

ÅSA LARSSON

**NAJLEPSZY
SZWEDZKI
KRYMINAŁ** | 2021

Oficjalna Nagroda Szwedzkiej Akademii Kryminatu

**NIEGODZIWOŚĆ
OJCÓW**



ÅSA
LARSSON

NIEGODZIWOŚĆ
OJCÓW

przełożyła
Beata Walczak-Larsson

Wydawnictwo Literackie

CHOMIKO_WARNIA

Spis treści

Karta redakcyjna Wtorek, 26 kwietnia Środa, 27 kwietnia Czwartek, 28 kwietnia Piątek, 29 kwietnia Sobota, 30 kwietnia Poniedziałek, 2 maja Wtorek, 3 maja Środa, 4 maja Czwartek, 5 maja Piątek, 6 maja Sobota, 7 maja Czerwiec Posłowie Przypisy

Tytuł oryginału: *Fädernas missgärningar* Opieka redakcyjna: EWELINA KOROSTYŃSKA
Redakcja: BIANKA DZIADKIEWICZ Korekta: KRZYSZTOF LISOWSKI, ANNA MILEW-
SKA, PAULINA STOPAREK Projekt okładki i stron tytułowych: KATARZYNA BORKOW-
SKA Fotografie na pierwszej stronie okładki

© Maarten Wouters / Stone / Getty Images

© David Paire / Arcangel Redaktor techniczny: ROBERT GĘBUŚ Tłumaczenie dofinanso-
wane przez Swedish Arts Council.

The cost of this translation was supported by a subsidy from the Swedish Arts Council, grate-
fully acknowledged. © Åsa Larsson, 2022

First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden

Published in the Polish language arrangement with Bonnier Group Agency, Stockholm, Sweden

© Copyright for the Polish translation by Beata Walczak-Larsson

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Literackie, 2023 Wydanie pierw-
sze ISBN 978-83-08-07785-6 Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl Konwersja: eLitera s.c.

WTOREK, 26 KWIETNIA

KIEDY RAGNHILD PEKKARI postanowiła umrzeć, życie stało się nieco łatwiejsze.

Miała plan. Narty przełajowe, dwugodzinna wycieczka po świeżej szreni, o ile ta nie będzie zbyt łamliwa. U celu, przy potoku, nad którym zawsze tworzył się śnieżny pomost, miała rozpaść ognisko i wypić ostatnią kawę. Wypełnić plecak stopionym śniegiem, by przemoczony i ciężki uwolnił się od powietrza. Potem zamierzała wjechać na nartach na pomost. W dole rwący nurt. Jeśli wszystko poszłoby po jej myśli, śnieżne łącze załamałoby się pod jej ciężarem. W przeciwnym razie mogła odepchnąć się kijkami przez krawędź.

To poszłoby tak szybko. Nie miałyby szans na zmianę decyzji, obciążona plecakiem i nartami.

A potem nareszcie byłoby po wszystkim.

Umówiła się ze śmiercią. I faktycznie przyszło jej się z nią spotkać, właśnie tego ustalonego w tajemnicy dnia, choć nie w taki sposób, jaki wybrała.

Kiedy już postanowiła, spadł jej z serca największy ciężar. Stan ducha zaś podniósł się niczym brzozy w lesie. Wygięte zimą pod czapami śniegu w zmrożone łuki, uwolnione przedwiosenną odwilżą, prostowały się teraz i mieniły z szarości w fiolet, liturgiczny kolor pokuty.

Przeszła na emeryturę rok wcześniej, w czerwcu. Szef kliniki wygłosił ewidentnie nieprzygotowaną mowę, pomylił liczbę jej lat w zawodzie, choć to przecież najłatwiejsza rzecz do sprawdzenia. Zastrany kurdupel. To jeden z tych lekarzy, którzy czuli się zagrożeni jej wzrostem. Jego prawa ręka, Elisabeth z naczelstwa kliniki, kupiła prezent: otwieracz do butelek w kształcie srebrzystego delfina. Po tych wszystkich latach – coś takiego. Elisabeth, pielęgniarka od ponad dwudziestu lat pracująca w administracji, miała zero kontaktu z tym, co jej były koleżanki po fachu robią na oddziałach. Stała po stronie dyrekcji, gdy wmuszała im parszywe grafiki i dodatkowe obowiązki. A na dokładkę ten srebrny delfin! Ragnhild wycedziła fałszywe podziękowania, czując, że musi iść do domu, by wyszorować się czyścikiem svinto.

Mogła była zwymiotować na ten cały pożegnalny podwieczorek z tanimi serwetkami i kupnym tortem. Paru lekarzy przewinęło się przez jadalnię. Ragnhild i pozostałe pielęgniarki wymieniły spojrzenia; dziwne, że lekarze nigdy nie odpowiadają na wezwanie do pacjenta w pogorszonym stanie, ale zawsze teleportują się do czegoś słodkiego. Któryś z rezydentów zapytał z pełnymi ustami: A co dziś obchodzimy?

Po ostatnim dyżurze uściskała koleżanki. Zatrzymała się na chwilę przed swoją szafką, tą samą od niemal trzydziestu lat, zamknęła ją ostatni raz i opuściła szpital z poczuciem nierzeczywistości i tym pieprzonym delfinem w torebce.

Lato przebiegło jak zwykle i Ragnhild miała wrażenie, że jest na wyjątkowo długim urlopie. Z nadejściem jesieni przyswoiła sobie nowe rutyny. Razem z byłą koleżanką, również emerytką, zapisała się na kurs tkactwa dla zaawansowanych. Trenowała każdego dnia, albo na siłowni, albo wędrując po lesie. Czytała też, oczywiście, prawie całą książkę dziennie.

Minęła połowa zimy. Wiedziała, że w pracy mają braki personelu, lecz nikt do niej nie zadzwonił. Elisabeth jej nie znosiła, więc jasne, że nie tęskniła za jej powrotem.

Boże Narodzenie spędziła we własnym towarzystwie. Zaskoczyło ją poczucie osamotnienia. Dotychczas zawsze brała dyżury w święta.

Na początku marca, w poniedziałek, gdy wracała ze sklepu z siatkami pełnymi zakupów, nawiedziło ją wspomnienie z dzieciństwa.

Nie miała dużo lat, sześć może. Wybrała się z wujkiem nad przerebłę, którą wcześniej wyciął i do której teraz miał wrzucić stary silnik motorówki. Wcześniej tego samego dnia wu-

jenka płukała tam prześcieradła, a on wykorzystał okazję, by pozbyć się bezużytecznych gratów. W tamtych czasach ludzie nierzadko stawiali na lodzie wysłużone lodówki i inne rzeczy, które – gdy lód topniał – szły na dno. Ale teraz mieli dostęp do przerebli i można było do niej trochę porzucać, nim znów zamarznie. Ragnhild stała przy samej krawędzi. Wujek jej nie upomniał, żeby się odsunęła. Widziała, jak ciężki silnik wpada z pluskiem do wody i powoli, kołysząc się, dosięga miękko dna.

Przypomniała sobie to oszałamiające uczucie, gdy wtedy spoglądała w głębię. Niebezpieczeństwo bliskości wody, hipnotycznie nieśpieszny taniec silnika w smugach słońca. Czuła się tak, jakby ją to wciągało, jakby – kołysząc się – też miała spaść w otchłań. Mgiełka mułu zbeltanego przez lądujący bezgłośnie motor.

Właśnie tak. Wracając z cotygodniowych zakupów spożywczych, kiedy jej silnik osunął się bezdźwięcznie na dno. Dziewięć miesięcy po przejściu na emeryturę pomyślała: Dostyc tego!

Ulga była nie do opisania. Ragnhild postanowiła przeżyć to ostatnie przedwiośnie. A potem zakończyć życie, zanim wiosno-zima zamieni się w porę roku nazywaną westchnieniem, kiedy gruba skorupa śniegu ani nie pęka, ani nie trzyma, tylko od czasu do czasu zapada się z odgłosem przypominającym żalosne westchnienie.

Przez cały marzec i kwiecień jeździła na nartach po lesie. Każdego dnia, czy w słońcu, czy w zadymce śnieżnej, to nie miało znaczenia. Przy ładnej pogodzie rozpalala ognisko, mościła się na siedzisku uszytym ze skóry renifera i popijała kawę kanapki. Przestała czytać książki. Wnikała w głąb siebie i zadziwiał ją spokój. Zadziwiała niesłychana siła decyzji, która niemal kompletnie zakończyła niejasne męki duszy.

Pod koniec kwietnia wzięła się do przedśmiertnych porządków. Ale niezbyt solidnie. Nie chciała, by wysprzątane mieszkanie zdradziło, że popełniła samobójstwo. Sama myśl o tym, jak ludzie z przechyloną głową będą komentować: „Ależ musiała być samotna”...

Nie, to musi wyglądać na wypadek. Świeże jedzenie w lodówce. Zimowa kurtka oddana do czyszczenia. No bo kto zanoszą ciuchy do pralni chemicznej, skoro postanowił odebrać sobie życie? Ragnhild położyła różowy paragon w widocznym miejscu, obok czajnika elektrycznego.

Za oknem topniały sople zwisające z rynny; jednostajne kap, kap, tym szybsze, im bliżej wiosny. Śnieg obsuwał się z dachów i znikał z asfaltu. Zbliżał się ów wyznaczony dzień. Ponoć szren mogła jeszcze utrzymać osobę na nartach, to był warunek konieczny.

W czasie porządków zastanawiała się długo nad fotografiami córki. Nie mogła ich zostawić w miejscach, gdzie zazwyczaj je przechowywała, wciśniętych w ulubione powieści na półce. Istniało ryzyko, że książki wylądują w sklepie charytatywnym prowadzonym przez Czerwony Krzyż, po piątce za sztukę. Nie mogła pozwolić, by wypadały z nich zdjęcia Pauli. Te wszystkie gadki i domysły. „Dlaczego trzymała fotografie córki w książkach? Co za dziwny z niej człowiek?”. Litowałyby się nad nią. Nie, dziękuję, nic z tych rzeczy.

Czyli co? Miała je powkładać w ramki i poustawiać tu i tam w mieszkaniu? Spalić? Trzymała je przez chwilę w ręku. Na jednym Paula miała dwa latka, promienny uśmiech na buzi uciapanej lodami i koronę na głowie. Na drugim – pięcioletnia córka i pierwsza górską wędrowniką, w kierunku Trollsjön, ciepły dzień, kwitnące łąki, Paula miała na sobie tylko majtki i płócienny kapelusik, tarzała się w jezorach śniegu. Gdy się zmęczyła, Ragnhild niosła ją na barana.

Byłam niezniszczalna jak górską brzoza, pomyślała teraz. Plecak i dziecko, i pod górę. Bułka z masłem.

Wyciągnęła zdjęcie z wakacji w kąpielisku morskim w Pite, na którym Paula obejmowała babcię, a potem te zwykłe fotografie szkolne; banalne niebieskie tło i uśmiech niebędący uśmiechem, tylko rozciągniętymi ustami, coś spokrewnionego ze strachem w oczach.

Ragnhild przeglądała zdjęcia z uwagą, oddychała lekko i płytko, siedziała w skupieniu.

Ciągle jeszcze mieszkało w niej zwierzę, gotowe się obudzić. Musiała się mieć na baczności. Obawiała się bowiem zwierzęcia matki. Że nagle wyczołga się ze swojej nory, z najeżoną sierścią i wrogim spojrzeniem. Wściekła, zraniona, nierozważna. Przepelniona pragnieniem, by wyjaśnić, doprowadzić do ładu, prosić o wybaczenie, wskazać współwinnych. Zatelefonować.

W końcu położyła zdjęcia Pauli w szufladzie biurka.

Okna nadawały się do umycia, ale nie o ten rodzaj porządków tutaj chodziło. Należało uprzątnąć jedynie prywatne rzeczy. A poza tym zbyt wypucowany dom świadczyłby o jego właścicielce, że to biedulka, która nigdy nie zakosztowała życia. O nie, oknami niech się zajmie jakiś frajer.

Kiedy nadszedł ostatni dzień, zrobiła to, co miała w planie. Wieczorem zapakowała do plecaka ciężkie rzeczy, które wydawały jej się jak najbardziej na miejscu: Kuchenkę turystyczną, stary zimowy namiot, butelkę wina, ciepły śpiwór, skórę renifera, kurtkę puchową.

Jeszcze raz podlała kwiaty. Nie zrobiły przecież nic złego.

Wyciągnęła z biblioteczki Biblię.

– Jeśli masz mi coś do powiedzenia... – zwróciła się do Boga.

Otworzyła na chybił trafił i padło na Księgę Sędziów, fragment, w którym Jael zabija wodza wojsk Siserę. Kobieta wzięła palik od namiotu, zbliżyła się cicho do śpiącego mężczyzny i przebiła jego skroń, tak że palik utkwił w ziemi.

– Żartownis z ciebie – odpowiedziała Ragnhild cierpko Panu. – Jak zgorzkniały zgred na poddaszu. Poglądy ma na wszystko, ale nie ruszy palcem.

Zatrzasnęła Biblię o bezsensownych wersach.

Nocna detonacja w kopalni rozległa się koło pierwszej i lekko zatrzęsała domem. Ragnhild zdrzemnęła się chwilę na łóżku. O trzeciej nad ranem po raz ostatni zamknęła drzwi do swojego mieszkania. Nie poczuła nic specjalnego. Powtórzyła w myśli swoją zwykłą rymowanek: „Nic się nie pali, nic się nie wali” i przekreśliła klucz.

Włożyła do samochodu narty i resztę bagażu. Okres prawdziwych dni polarnych miał się zacząć dopiero za trzy tygodnie, ale już teraz noce były jasnawe. Kiruna leżała pogrążona w ciszy, z daleka dobiegały tylko odgłosy z kopalni, o wiele bardziej słyszalne w środku nocy, gdy nie zagłuszał ich miejski ruch drogowy. Zgrzyt hamujących pociągów, szczęk puszczejących hamulców, kiedy wagony brzemienne rudą ruszały w drogę. Szemranie kopalnianych wentylatorów.

A mimo wszystko była zadziwiająco cicha – ta kopalnia nieubłaganie pozerająca od spodu zakichaną mieścinę.

Ragnhild nie zobaczyła żywej duszy, gdy opuszczała Kirunę. Miasto było opustoszałe i wyludnione. Jakby przed czasem poddane ewakuacji.

Wkrótce wyjechała na E10. Zastanawiała się, jak dużo czasu minie, nim wezwą ślusarza i wejdą do mieszkania. Nie miała już koleżanek z pracy, które mogłyby się o nią dopytywać, ale chodziła na parę cotygodniowych zajęć: jogę, trening, kończący się kurs tkactwa. To nie powinno potrwać dłużej niż dwa tygodnie, nim na poważnie odczują jej nieobecność.

Skręciła na wschód, w kierunku Vittangi. Droga dotrzymywała teraz towarzystwa rodzimej rzece, Torne. Ragnhild pomyślała o rychłym pękaniu lodu, o pierwszych listkach, świergocie ptaków, słońcu, które nie chowa się za horyzont. Po głębszym zastanowieniu doszła do wniosku, że nic w niej nie tęskni za przeżyciem tego wszystkiego raz jeszcze.

Nie włączyła radia, nie minęła żadnego samochodu oprócz paru ciężarówek z rudą. Asfalt był suchy i pełen dziur po zimowym przemarznięciu gruntu.

Zaparkowała w odśnieżonym zakolu. Wsunęła narty pod pachę i ruszyła wzdłuż szosy w poszukiwaniu miejsca, gdzie śnieżny wał obniżał się na tyle, by mogła go sforsować. Był nie-

równy i oblodzony. Tylko tego brakowało, żeby tu utknęła z połamanymi rękami i nogami.

Po drugiej stronie rozpościerał się las. Obejrzała się za siebie, ale samochód i droga skryły się za potężnymi zwałami śniegu; po prostu zniknęły.

Jery już zaczęły swoje trele. Dużo ich w tym roku. Mogłaby ulec złudzeniu, że znajduje się w tropikach. Swoim intensywnym śpiewem ptaki potęgowały wrażenie, które towarzyszyło jej za każdym razem, gdy przychodziła do lasu. Że opuszcza jeden świat i wkracza do innego. Jakby – uwolniwszy się z ostrych pazurów szkolnego podwórka – biegła do domu, do mamy, która spokojnie zamykała drzwi, chroniąc przed napaścią. Zawsze uważała, że las jest jak mama. Jak witająca ją, czczona przez Saamów bogini, Máttaráhkka.

A teraz tylko ona i las. Sosny o miedzianym połysku. Wiekowe strzeliste świerki z szarymi spódnicami. Niebo przechodziło od różu do błękitu, z niskim bladym słońcem na południowym wschodzie i białą pełnią księżyca na północnym zachodzie – przesyłały sobie promienie, splatały swoje światło jak drut cynowy Saamów.

Przypięła narty i odpychając się lekko kijkami, ruszyła po zlodzonej skorupie. Stwardniała i błyszcząca szreń wymagała od narciarki pewnej wprawy. Niełatwo było utrzymać się na nogach, kiedy narty rozjeżdżały się na boki. Pod drzewami, gdzie za dnia skapywał topniejący śnieg, podłoże było wyjątkowo twarde, niczym grube chropowate szkło. To tymi partiami mogła się przemieszczać, gdyby grzejące zbyt mocno słońce sprawiło, że zwykła szreń zacznie się łamać.

Na razie jednak powierzchnia śniegu nie pękała i jechało się z cudowną łatwością. Metalowa krawędź narty niemal nie pozostawiała po sobie śladu. Ragnhild usłyszała kilka kruków. Z większej odległości można je było pomylić ze szczekaniem psa, ale już po chwili kołowały nad nią, przywołując się nawzajem.

Czas minął jak z bata strzelił i ze zdziwieniem usłyszała szemranie wody. Czyżby dotarła do celu? Spojrzała na zegarek. Wpół do szóstej. Ostatni odcinek jechała przez krzewinki wierzby; kwitły już włośchatymi kotkami.

Podążyła z biegiem potoku i w końcu dotarła do mostka, pięknej budowli z lodu i śniegu nad początkiem bystrzyny.

Ale najpierw miała wypić kawę. Zaledwie dwadzieścia metrów od kładki było niewielkie wzniesienie z urodziewie czochratą, niewysoką sosną. Wokół pnia wyzierało wystarczająco dużo nagiej ziemi, by mogła tam usiąść i rozpalić ogień.

Zebrała drewno i materiał na podpałkę – poszarzałe świerkowe gałązki, korę brzozy, brodaczkę, jałowcowy chrust. Skruszyła szreń, po czym napełniła garnek i czajnik śniegiem. Nie odważyła się pójść po wodę do potoku, brzegi były zbyt oblodzone. Nie miała ochoty wpaść w rwący nurt. Brak logiki w tej ostrożności wywołał uśmiech na jej twarzy. Pokiwała głową. Chciała to zrobić po swojemu.

Rozpaliła ogień za pomocą krzesiwa. Szczyciła się tym, że potrafi wzniecić płomień w każdym miejscu i przy każdej pogodzie, bez potrzeby wyciągania zapalek. Od pięciu lat miała ciągle to samo pudełko z zapalnikami. Czy to nie śmieszne chełpić się czymś takim przed sobą samą?

Właśnie gdy zagotowała się kawa, zadzwonił telefon. Ragnhild omal nie wywróciła się ze zdumienia. Odstawiła czajnik z ognia i wyjęła komórkę z wewnętrznej kieszeni. Trzy minuty po szóstej. Abonent w sieci stacjonarnej. Kto w dzisiejszych czasach dzwoni ze stacjonarnego aparatu? Numer kierunkowy 0981. W tym obszarze leży wieś jej dzieciństwa.

Wpatrywała się nieufnie w telefon. Od wielu lat nie rozmawiała z nikim z tamtych stron. Sygnał nie ustawał. W końcu odebrała.

Po drugiej stronie odezwał się mężczyzna. Sądząc po głosie – młody.

– Czy to Ragnhild Pekkari? – zapytał. – *No sitten...*^[1] No więc... Myślę, że mam do przekazania bardzo smutne wiadomości.

MĘŻCZYZNA PO DRUGIEJ STRONIE przedstawił się i wyjaśnił, że jest właścicielem sklepu wiejskiego w Junosuando.

– Dzwonię w sprawie pani brata – powiedział. – Henry Pekkari nie pojawił się u nas od prawie trzech tygodni.

Ragnhild zdawała sobie sprawę, że powinna coś powiedzieć. Ale jej myśli nagle zwiotczały i wędrowały po omacku niczym pacjent pod wpływem benzodiazepin. Przez usta nie mogło się precyzyjnie żadne słowo. Sklepikarz mówił dalej.

– To nie musi oczywiście nic znaczyć. Ale Henry przychodził w każdy czwartek, kiedy dostawaliśmy weekendową dostawę z monopolowego. Halo, *oletko sielä*?

– Tak, jestem – wymamrotała.

– Aha, pomyślałem, że przerwało. Nie no... jasne, zdarza się, że nie przychodzi. Jak teraz, kiedy lód zaczyna być niepewny. Henry może utknąć na wyspie, nawet tygodniami. Ale zawsze dzwoni. Mieszka tam zupełnie sam, więc gdy nie może się przeprawić, daje nam znać. Jesteśmy tutaj w sklepie chyba jedynymi osobami, z którymi się spotyka i rozmawia. Próbowałem nawet do niego zadzwonić, i wczoraj, i dziś rano. Ale nie odpowiada.

– Co pan powie! – odparła Ragnhild Pekkari tonem, którego świadomie używała, by dać ludziom odczuć, że ma ich za świadków Jehowy, stojących na klatce schodowej z kolorową broszurą i zapewnieniem, że Królestwo Boże jest tuż-tuż.

Właśnie takim głosem odzywała się czasami do uciążliwych krewnych i dość często do szefa kliniki i jego świty.

Spojrzała na czajnik. Kawa już wystygła. Można ją zagotować jeszcze raz, tyle że wtedy będzie smakować jak kocie szczyny.

Dobrze mi tak, pomyślała. Moja ostatnia kawa w życiu to taka, no... ice coffee.

– Tak czy owak – powiedział sklepikarz – pomyślałem, że może pani miała od niego jakieś wiadomości.

– Nie miałam kontaktu z Henrym od trzydziestu jeden lat – odparła. – Z pewnością pan o tym wie. Jak wszyscy w Junosuando.

– Ale... jakkolwiek by było, jesteście siostrą i bratem, pomyślałem więc, że mimo wszystko zadzwonię – bronił się właściciel sklepu.

Zanotowała, że mężczyzna w co drugim zdaniu mówi „pomyślałem”, choć nie myślał dalej, niż sięgał nosem.

– Przepraszam, jeśli pani w czymś przeszkodziłem – dodał na zakończenie. – Powiem tylko jeszcze, że najpierw zadzwoniłem na policję w Kirunie. Ale odpowiedzieli, że helikopter nie może wylądować na wyspie, gdzie śnieg ma konsystencję ziemniaczanego piure.

Przymierzał się do odłożenia słuchawki. Ragnhild wyobraziła sobie, jak mężczyzna opowiada koleżankom w pracy, że „ta Pekkari, kurde, to ma nieźle narąbane w głowie, wygląda na to, że w ogóle się nie przejęła”.

I nagle usłyszała siebie samą, jak zadaje pytanie.

– Tylko jedna rzecz... Kiedy Henry robił zakupy, kupował może karmę dla psa?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział sklepikarz. – Rzadko siedzę przy kasie. Ale proszę poczekać, zapytam żonkę. Proszę czekać!

Głos mu momentalnie poweselał, gdy tylko poczuł, że nie odesłano go z kwitkiem. Ragnhild pożałowała pytania. Rozważała zakończenie rozmowy; wystarczyło się rozłączyć, udając, że przerwało połączenie.

Ale właściciel sklepu właśnie wrócił.

I potwierdził, że owszem, Henry zazwyczaj kupuje karmę dla psa.

A Ragnhild zwróciła twarz ku błękitnemu niebu. Próbując opędzić się od wspomnienia suczki, której imię Villa w języku z dzieciństwa znaczy wełna.

Villa o dobrotliwych oczach i z białą gwiazdką na piersi. Villa, która wystawiała ptaki i tropiła łosie, zaganiała krowy, a latem w nocy polowała na normice. Villa, która w zimie spała u jej stóp.

Villa, która została u Henry'ego. Przed... Boże, musiała policzyć, przed pięćdziesięcioma czterema laty. Henry skończył wtedy osiemnaście lat i przejął gospodarstwo na wyspie. Ragnhild miała lat dwanaście i przeprowadziła się do miasta z rodzicami oraz przybraną siostrą Virpi. Żądała z płaczem, by Villa pojechała razem z nimi, lecz nikt nie liczył się z jej wolą. „Villa nie może gnieździć się w mieszkaniu w mieście”, powiedział ojciec. Nie rozumiał, że to dotyczyło ich wszystkich. Żadna i żaden z nich nie byli stworzeni do mieszkania w mieście. To się dopiero miało okazać.

Ragnhild nie zdążyła odeprzeć emocji. W gardle wzbierał płacz po psie. Po Villi, która nie żyła od kilkudziesięciu lat.

Sklepikarz po drugiej stronie nie przestawał mówić. Ragnhild wykrztusiła: „Dziękuję”. Nieczyste słowo w jej ustach. A potem zakończyła rozmowę.

Wylała kawę na skwierczący ogień. Fusy ułożyły się na wierzchu jak mrowisko. Wyczyściła czajnik mchem wyrwanym ze ściółki pod sosną. Spakowała plecak i przypięła narty.

Snieżny pomost nie zniknie ani dziś, ani jutro. Szreń nie załamie się pod nią jeszcze przez jakiś tydzień. Miała tu wrócić. Ale teraz chodziło o psa na wyspie. Nie mogła go pozostawić na łasce losu.

Henry, ty ochlaptusie, po cholere ci pies?

Nagle wyrosła przed nią samica głuszca. W czasie godów, podniecona, była zupełnie obojętna na obecność człowieka. Przebiegała przez narty Ragnhild, podążała za nią na trasie, wznosiła się od czasu do czasu z ciężkim trzepotem skrzydeł, by nie zostać w tyle. Może to kijki wzmogły w niej ochotę na spółkowanie? Wszystko, co się rusza, stroszy i łopocze, przypominało tokującego koguta. Nierzadko kury leśnych ptaków w okresie godowym pojawiały się na dziedzińcach szkolnych, zwabione zamaszystymi ruchami bawiących się dzieci. Mama Ragnhild mawiała, że samice ciągnie do dzieci, bo mają instynkt macierzyński, również w stosunku do człowieka. Ragnhild zbywała ją stwierdzeniem, że to bzdury. A teraz kura towarzyszyła jej przez niemal dwa kilometry. Bezrozumna ofiara własnych uczuć.

– Przestań! – powiedziała do niej Ragnhild. – To gra niewarta świeczki.

I sunęła dalej na nartach. Ze śmiercią chwilowo za sobą, myślała. Ale śmierć jest zawsze przed nami. Czekala teraz tak blisko...

RAGNHILD PEKKARI dotarła do wsi Kurkkio zaraz po dziewiątej rano. Zaparkowała przy starym magazynie Fredrikssona i z nartami pod pachą ruszyła ku rzece. Odśnieżona dróżka prowadziła aż do sauny na brzegu. Ragnhild patrzyła zmrużonymi oczami w stronę wyspy. Było teraz zdecydowanie cieplej, parę stopni powyżej zera. Lód jest zdradziecki, wiedziała o tym. Wprawdzie ciągle metrowej grubości, lecz miękki. Osoba, pod którą się załamie, wpadnie do półpłynnej zupy ze śniegu i igiełek lodu.

Ale wzdłuż i wszerek rzeki biegły stare ślady skuterów śnieżnych. Błyszczały w słońcu jak ulice ze szkła. Może wytrzymają. W przeciwnym razie poczeka do jutra i przeprawi się po nocnej szreni. Tyle tylko, że nie chciała czekać, nie mogła. Myślała o psie. O Henrym oczywiście też, ale on już nie żył. Tego była pewna. Najwyższy, kurde, czas.

Zaledwie dwieście metrów dalej stał dom jej dzieciństwa. Z oddali prawie wszystko wyglądało jak dawniej, chociaż nawet z brzegu było widać, że połowa dachu obory się zapadła.

Plecak zostawiła w samochodzie, teraz musiała być tak lekka, jak to tylko możliwe. Nie miała odwagi zapiąć porządnie wiązań. Gdyby jednak wpadła do wody, wołała to zrobić bez nart. Pierwsze próbne odepchnięcie się kijkami i... ruszyła w kierunku wyspy.

Lód w koleinie był mokry i śliski. Narty chciały się rozjeżdżać się na wszystkie strony. Stopy chciały wyslizgnąć się z nart. To był prawdziwie chybiony pomysł, ale jeśli się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B. Przesuwała się do przodu bezkrokiem, trzymała jedną nartę przed drugą, by jak najbardziej równomiernie rozłożyć ciężar. Zerknęła na domki letniskowe wzdłuż brzegu. Jeśli ktoś tam teraz mieszkał, być może obserwował ją przez lornetkę, zastanawiając się, co to za wariatka.

Pociła się obficie; od słonych kropli spływających z czoła piekły ją oczy. Bała się zatrzymać, by ściągnąć choć czapkę. Chodziło o to, żeby nie stać w tym samym miejscu, żeby nie obciążać podłoża, być w ruchu.

W połowie drogi między brzegiem a wyspą tafla lodowa zmieniła charakter. Tutaj nie sięgał cień rzucany przez las i nadbrzeżny wał, słońce przygrzewało więc całymi dniami. Słyszała, jak mętny lód pęka i łamie się z przenikliwym brzękiem, wbijając kliny strachu w jej determinację. Gdzieś tutaj przebiegał główny nurt rzeki i lód w koleinach był jeszcze bardziej kruchy.

Ale powrót nie wchodził w grę. Musiałaby zejść z nart, a wtedy jak nic wpadłaby do wody. Odepchnęła myśli o czarnej zimnej otchłani, o zamykającej się nad nią śniegowej brei. Do przodu!

Czterdzieści metrów od brzegu jedna narta zapadła się w wodę. Chlup, i noga zniknęła; Ragnhild przewróciła się na bok. Krzyk wyrwał się z gardła bezwiednie, przeraźliwy i samotny. Gramoliła się jak owad, wydostała nogę ze śnieżnej papki, ale wciąż miała wrażenie, że lada moment ugrzęźnie i zatonie, szybko i bezradnie. Lęk przed śmiercią niczym wyrwijający się z piersi zając.

Uniosła się na czworaki, nie miała odwagi wstać, pełzła przed siebie jak zranione zwierzę. Kolano na ocalałej nartce, kijki pozostawione na lodzie.

Przekleństwa pchały ją do przodu.

– Kurwa mać, kurwa mać, kurwa mać!

Zmęczenie, które ogarnęło ją, gdy dotarła do brzegu, było tak potworne, że mogłaby zasnąć na siedząco. Po raz drugi tego ranka zdumiał ją własny strach przed śmiercią.

Przecież właśnie tak to sobie zaplanowała. W czarnej zimnej wodzie. A gdy przyszło co do czego, walczyła, wlekąc się do ładu jak żuczek o przyciętych odnóżach.

Może mimo wszystko należysz do typu tabletki plus alkohol, podsumowała uszczypliwie niczym własna oskarżycielka w czarnej todze. Sposób dla tchórzy.

Nie, broniła się przed oskarżycielskim głosem. Byle nie tu. Nie teraz. Nie w drodze do Henry'ego.

Bo teraz brnęła ku jego domowi. Słońce paliło jak płomień spawarki, iskrzyło się tysiącem odbłasków w zalegającej wokół bieli. Woda z topniejącego śniegu wdzieriała się przez wierzchnią warstwę ubrania, w butach chlupała śniegowa breja.

Ragnhild rozejrzała się z ciężkim sercem. Ostatnio była tu trzydzieści jeden lat temu. Odwiedziła wtedy brata, by powiedzieć mu o śmierci mamy. Próbowала wcześniej dzwonić, lecz nie odbierał. W końcu do niego pojechała. Sąsiad podwiózł ją łodzią. Niewzruszona ludzką nędzą, w której nurzał się Henry, zaprosiła go na pogrzeb, pod warunkiem że przyjdzie trzeźwy. Henry, zgodnie z pijackim zwyczajem, poużalał się nad sobą i wyszło chał obietnicę. Której naturalnie nie dotrzymał. Jeden z mieszkańców wioski wytrząsnął go z samochodu przed kościołem w Junosuando. Henry wyglądał jak kupa śmieci w garniturze, którego dni świetności bezpowrotnie minęły. Marynarkę włożył na goły tors. Przekonano pastora, by wstrzymał się z ceremonią, ktoś

pojechał do domu i wrócił z odpowiednią koszulą. Trumna spoczęła w ziemi i właśnie tam i wtedy, stojąc nad grobem mamy, Ragnhild odmówiła jakichkolwiek kontaktów z nim, takimi słowy jak „nigdy więcej” i „nie jesteś już moim bratem”.

Ale i tak się go nie pozbyła. Każdego dnia przy jakiejś okazji myślała o nim ze złością. Zajmował w jej głowie spore M4.

Virpi nie przysłała na pogrzeb. Olle, owszem, cały odprasowany i wypucowany, z żoną szczupłą jak niteczka, kierowniczką gminnego sekretariatu. Olle nie był równie nieprzejednany wobec Henry’ego. Ale to też nie Olle poświęcił swe młode lata podróżom na wyspę w towarzystwie *äiti*, by w co drugi weekend posprzątać dom i wyprać zaświnione ciuchy jego właściciela. W końcu, mając już ponad dwadzieścia lat, Ragnhild zbuntowała się i przestała przyjeżdżać. *Äiti* przyjeżdżała dalej. Póki nie przeszkodziła jej w tym choroba.

Moje zgorzkniałe serce, pomyślała Ragnhild. I cóż mam z tobą począć teraz, gdy *äiti* i *isä*^[2] już nie żyją? Virpi też już nie ma. Olle za to cieszy się najlepszym zdrowiem, pies mu mordę lizał. Nie mam zamiaru dzwonić do niego z wiadomością o śmierci brata.

Ale może Henry wcale nie umarł. Może leży gdzieś tam w środku, zachlany i zasikany.

Stała przed domem. W dalszym ciągu w kolorze czerwieni faluńskiej, choć po słonecznej stronie farba prawie zupełnie wyblakła. *Äiti* sfinansowała malowanie w ostatnim roku swego życia. Dach po północnej stronie wybrzuszył się do środka jak hamak. Spod okapu pięły się ponadpółtorametrowe patyki i minęło trochę czasu, nim Ragnhild zrozumiała, że to rząd brzózek, które zapuściły korzenie w próchnicy powstałej w rynnie, ponieważ nikt nigdy tej rynny nie czyścił.

Stodółki na łąkach stały na swoim miejscu, ale już bez drzwi, z nawianym śniegiem. Ziońcące czarnymi otworami, rozdziawionymi w bezgłośnym krzyku, wyglądały jak mroczne, zataczające się istoty. Kiedyś, w innym życiu, wznosiły się na łące zadbane i pełne pachnącego, suchego siana. Bawiła się tam z Virpi. Budowały szałas i w słabym świetle, które sączyło się przez szpary między balami, czytały książki dla dziewczynek. Skakały po sianie, chociaż to było zakazane.

Teraz całe gospodarstwo się przygarbiło. Przedwcześnie postarzałe, zapadło się w brzydotę.

Oby Henry już nie żył, pomyślała Ragnhild. W przeciwnym razie będę go musiała w końcu zabić.

Podwórze było w miarę dobrze odśnieżone. Tu i ówdzie żółte ślady sików.

Psa? – pomyślała. Czy brata?

Na ganku otrzepała śnieg z butów. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Gdy je otworzyła, fetor uderzył ją niczym pięść. Szczyny. Popijawa. Syf.

Lata pracy w pielęgniarstwie przyszły jej w sukurs. Oddychając przez usta, weszła do środka.

– Henry! – zawołała.

Cisza. Niewielka sień prowadziła do kuchni. Podłogi, zarośnięte nieczystościami, nie zdradzały swej pierwotnej barwy. Firanki wisiały workowato, rozmiękczone brudem. Parapety były pokryte stosikami martwych much, okna – pokropkowane ich odchodami. Przy zlewie zalegały opakowania po gotowych potrawach, z nadpsutymi resztkami. Puste butelki i puszki po piwie były dosłownie wszędzie.

Pod blatem kuchennym, gdzie kiedyś planowano montaż zmywarki, leżał zdechły szczur. Na wpeł zjedzony. Przez swoich pobratymców? A może psa? Na podłodze stały dwa puste półmiski.

Koirariepu, pomyślała Ragnhild. Biedny pies. Życ i przeżyć w takich warunkach... Musiał się przyzwyczaić do dłuższych okresów bez karmy, z pewnością nauczył się zjadać to i owo.

Zagwizdała w stronę piętra, ale żaden pies nie dał o sobie znać.

A potem weszła do największej izby. I tam znalazła Henry'ego.

Leżał na sofie na plecach. Nieruchomy. Z twarzą odwróconą w stronę oparcia. Niewielkie ciało, podobne do resztek kila i wręgi wysłużonej łodzi, znalezionej w zaroślach nad rzeką. Ragnhild podeszła bliżej. Nie odnotowała oddechu. Gdy zobaczyła twarz brata, nie miała wątpliwości, że ten nie żyje. Ledwie go poznała, taki był skudłacony i zapadnięty. Skóra w kolorze śmierci. Zimna w dotyku.

Ragnhild też zrobiło się zimno, poczuła się jakby nieżywa. Mokre ubrania wyssały z niej ciepło. Usiadła na stole obok.

Wsunęła rękę do kieszeni, by wyłowić telefon. Musi zadzwonić po karetkę. Nie, lepiej od razu do zakładu pogrzebowego, to tylko marnotrawstwo zasobów, gdy wiadomo, że on nie żyje. No i powinna zatelefonować do Ollego, zostało ich teraz dwoje; rodzeństwo mieszkające w tym samym mieście, niemające ze sobą kontaktu. Odezwała się w niej stara złość, niczym fale w ciemności. Henry i Olle. Zgarnęli spadek, gdy zmarł *isä*, a jej nakazali zająć się *äiti* i pogrzebem.

Zadzwonię, pomyślała. Ale jeszcze nie teraz. Muszę przez chwilę zatrzymać się w tym wszystkim, w samotności. Gospodarstwo, wspomnienie matki i ojca. Henry, Virpi i Olle. Życie, które tutaj miałam i straciłam. Nikt nie wie, że przyjechałam. Jakie to ma znaczenie, że zadzwonię godzinę później. No i pies, muszę go znaleźć.

Wstała. Nagle poczuła, że najważniejsze to odszukać tego biedaka. Jeśli jeszcze żyje.

Zastanawiała się przez chwilę nad kuchnią. Pomyślała o tym, że obcy ludzie wejdą tu, by zabrać zwłoki, i zobaczą jej rodzinny dom w stanie rozkładu.

Ale to rozkład Henry'ego, powiedziała do siebie. Nie mój. To nie jest mój wstyd. Odma-wiam.

A mimo to pootwierała okna, próbując wywietrzyć wnętrza. Obeszła cały dom w poszukiwaniu psa.

Otworzyła nawet szafy. Pokoje na piętrze były puste; na podłodze leżały tylko trzy matrace, co wydało się jej zadziwiające. Czyżby nocowali tu jego kumple od flaszki? Nigdzie ani śladu psa.

Uciekła na świeże powietrze. Stojąc na ganku, brała głębokie oddechy.

Pomyślała, że rozejrzy się za jakąś łopatą, żeby wynieść truchło szczura. To może zrobić. Ale posprzątać resztę? Nie ma mowy!

Ragnhild nawoływała i gwizdała. Dojrzała w śniegu zagłębienia, które mogły być śladami psa. Albo lisa? Przy tak ciepłej pogodzie tropy zmieniają charakter i trudno je rozpoznać.

Dobrnęła przez śnieg do stodoły, otworzyła stary wychodek, drewnię, schowki i inne szopy. No, gdzież on trzymał szufłę do śniegu?

Stwierdziła, że w zagrodzie nie ma nic wartościowego, same rupiecie. Tak zwani koledzy Henry'ego już dawno powynosili stąd wszystko, co mogło się przydać, z jego pozwoleniem lub bez. Przed domem stał skuter śnieżny. Henry zachował też czterokołowiec i łódź, bo bez nich nie miałyby dostępu do alkoholu. Ale traktor, piły motorowe, kombajn zbożowy, wszystko już dawno zniknęło. Przepite.

Obok wychodka, w wodzie kapiącej z dachu, tajał wysłużony telewizor.

Żal nad rozpadem, nad tą masą śmieci, ostre słońce, w którym niemal nie dało się otworzyć oczu, wszystko to sprawiło, że poczuła się nieziemsko zmęczona.

Muszę się na moment położyć, pomyślała.

Tylko gdzie? Na jednym z tych materaców na poddaszu, gdzie polegiwali jego plugawi kumple? Nigdy w życiu! To już raczej w korytarzu gnojowym w oborze.

W oborze! Tak, tam powinna być jakaś łopata, pomyślała. Zadzwonię wszędzie, gdzie trzeba, ale najpierw wyniosę tego szczura. Drzwi do obory były zatarasowane leżącym przed nimi śniegiem. Zsunął się z dachu, twardy jak beton. Wspierając się o ścianę, Ragnhild zaczęła intensywnie kopać. Zatrzymała się w połowie ruchu. Ze środka dochodził jakiś odgłos. Coś się poruszyło, zachrzęściło.

Próbowała kopniakami rozmiękczyć zlodowaciałą bryłę, aż rozboleły ją palce u stóp. Zmieniła nogę.

To jej starszy brat, Olle, namówił *isä* i *äiti*, żeby przepisali gospodarstwo na Henry'ego. Najpierw Henry wpadł w złe towarzystwo. Imprezował w Tärendö, Pajali i Kirunie. Pojawiał się w domu, gdy potrzebował pieniędzy i niechętnie pomagał w zagrodzie. „Robię tu za parobka”, narzekał, gdy raz na jakiś czas ruszył palcem. Nikogo i niczego nie darzył szacunkiem. Nie miał go ani dla szkoły, ani dla kościoła i pastora, dla cudzej własności, pracy i krewnych. Nawet dla *isä*, którego lekceważąco zaczął nazywać *faari*^[3].

– Jeśli Henry przejmie gospodarkę, to poczuje większą odpowiedzialność – tłumaczył rodzicom jego starszy brat.

Na *äiti* i *isä* ciążyło poczucie winy wobec młodszego syna. Jako dziecko dostał zapalenia ucha. To było akurat w czasie sianokosów i pojechali z nim do lekarza zdecydowanie za późno. Słuch został bezpowrotnie uszkodzony i Henry często narzekał na nieustanne piszczenie w głowie. Nauczyciel był niecierpliwym typem, który często przytykał go w ucho, ponieważ chłopiec nie słuchał.

Ollemu powiodło się znacznie lepiej. Pracował jako brygadzysta w kiruńskiej kopalni, choć dopiero co skończył dwadzieścia lat. Obiecał załatwić robotę dla *isä*.

– W warsztacie naprawczym potrzebują takich złotych rączek jak ty – przekonywał.

W końcu *isä* się zgodził. Zabrnął bowiem z Henrym w ślepy zaułek. Kłótnie i groźby nie pomagały. A z domu nie mogli go wyrzucić, bo przecież nie miał się gdzie podziąć. Możliwości pracy i szanse przychodziły i przepadały, zmarnowane. A *isä* już wtedy zaczął odczuwać biodro. Podjęto więc decyzję.

Wierzyli, że będzie lepiej, myślała teraz Ragnhild. Wypłata, urlop, mieszkanie.

Virpi, która wtedy skończyła siedem lat, trajkotała o placu zabaw za blokiem. Jeszcze go nie widziała, ale w opowieściach już jawił się jako baśniowa kraina. Tylko Ragnhild płakała, przeciwna przeprowadzce. Aż *äiti* straciła cierpliwość.

– *Heitä nyt*, przestań! Zamiast tylko o sobie, pomyśl o innych. Tata nie jest już młodzieniaszkiem. Nie ma siły pracować na gospodarce. Wszystkim nam będzie łatwiej. A tobie bliżej do koleżanek.

Dzień przeprawy przez rzekę. Lody puściły kilka dni wcześniej. Wypuszczono krowy na pastwiska. Liście brzoź przypominały mysie uszka. Mieszkanie w Kirunie było umeblowane i gotowe. Czekano na nich. Ragnhild pobiegła do lasu z suchką Villą. Las na wyspie nie był duży, dochodziły więc do niej bez problemu płacz i nawoływanie Virpi znad rzeki. Ale zupełnie się tym nie przejmowała. Ukryta pod świerkiem, po jakimś czasie usłyszała kroki *isä*, zdecydowane i niecierpliwie. Wystarczyło, że zawołał, a Villa zaszczekała radośnie, zdradzając kryjówkę.

Isä chwycił córkę za ramię i pociągnął za sobą, nie zważając na płacz i opór. Villa towarzyszyła im do samego brzegu. Ale nie pozwolono jej wskoczyć do łodzi. Nie spuszczać domowników z oczu, położyła się na pomoście i rozpoczęła czekanie na ich powrót.

Ragnhild ocknęła się z zamyślenia. Spostrzegła, że odkopała wszystkie lód sprzed drzwi obory. Leżał wokół jej stóp niczym skruszone szkło. Przekręciła okazały klucz w zamku.

– Villa – zawołała cicho, wchodząc do środka.

To nie miało znaczenia, jakim imieniem nawołuje psa. Przecież nie wiedziała, jak się

wabi.

Minęło trochę czasu, nim wzrok przyzwyczał się do ciemności. Wewnątrz nic się nie zmieniło. W półmroku rozróżniła boks dla konia i pięć mniejszych stanowisk dla krów. Wciągnęła powietrze nozdrzami. Jak to możliwe, że po tylu latach ciągle unosi się tu zapach bydła? Górskie krowy pojawiły się przed nią jak żywe. Bezrogie łby, kędzierzawe ogony, mądre brązowe oczy. Ostatni koń, Liinikkö, odszedł na wieczne łąki, gdy Ragnhild miała dziewięć lat. Ale krowy zostały w gospodarstwie, gdy rodzina przeprowadziła się do miasta. I teraz znów niemal czuło się ich obecność. Majros, Punakorva, Mansikka, Virrankukka i Sköna. Odgłos ich przeżuwania. Ciepły oddech odczuwalny na skórze. Dźwięk mleka strzykającego z wymion w ściankę wiadra. Dzwonek separatora w dojarni.

Nagle coś się poruszyło w starym cielętniku. Pies. Błyszczące czarno ślepia. Przypominał Villę. Jak to możliwe? Wiejski mieszaniec o cechach jāmthunda i elkhunda szarego. Czarne kontury szpiczastych uszu, biała krawatka zakończona gwiazdką. Dokładnie jak u Villi.

Ragnhild zawołała w ten sam sposób, w jaki przywoływano psy, gdy była dzieckiem, krótkim *tjö!* Nie podszedł. Zrobiła więc parę kroków w przód.

Kiedy zbliżyła się do ogrodzenia, pies zacharczał ostrzegawczo i cofnął się do kąta. Z podkulonym ogonem, uszami położonymi po sobie i podniesionymi wargami zaczął złowieszczo warczeć.

Ragnhild zatrzymała się u wejścia.

Bito go, pomyślała. Nauczył się, że na ludziach nie można polegać.

Rozejrzała się, by zrozumieć, jak się tutaj dostał, przecież drzwi były zamknięte.

Dostrzegła okienko do wyrzutu obornika. Otwarte, ale zasypane zlodowaciałym śniegiem, z widocznymi śladami pazurów. To jasne, że zwierzę wślizgnęło się tą drogą. A potem lodowy blok zsunął się z dachu i zatarasował wyjście. Pies nie dałby rady się przekopać. Może przeprowadzał się tutaj z domu, gdy Henry za dużo pił. Jadał nornice i śnieg, gdy pan zapominał o karmie i wodzie.

– Słuchaj no – powiedziała miękkiem głosem. – Jestem przyjazna. W każdym razie dla zwierząt.

Ściągnęła rękawiczkę, przykucnęła i wystawiła przed siebie dłoń, do powąchania.

– Villa – odezwała się ponownie.

Sekundę później pies ją zaatakował. Capnął za rękę. I błyskawicznie wybiegł przez drzwi z obory.

Ragnhild zakłęta, prostując nogi. Nie krwawiła. Nie poczuła nawet bólu w dłoni. Bardziej palił ją wstyd. Ależ się wygłupiła!

Rozumiem cię, pomyślała. Prawdę mówiąc, też taka jestem.

Pozostało jej zwabić go jedzeniem. Zdobyć zaufanie. Wyszła na podwórze. Ostre słońce i skrzący się śnieg sprawiły, że zmrużyła oczy. Po psie nie było ani śladu.

Musi znaleźć coś innego niż suchą karmę. Coś, czemu zwierzak nie będzie mógł się oprzeć. Przypomniała sobie stojące w dużym pokoju zamrażarki. Cały Henry! Skrzynie były z pewnością wypełnione leśnym ptactwem i łosiną; należnością od koła łowieckiego, polującego na jego włościach. Podczas gdy on sam żywił się gotowymi daniami z powodu braku kobiety w gospodarstwie.

Weszła znów do domu i w dużym pokoju podskoczyła na widok Henry'ego na sofie. Boże drogi, zupełnie o nim zapomniała! O jego martwym cielem.

Nieźla ze mnie wariatka, przeszło jej przez myśl. Naprawdę nie jestem przy zdrowych zmysłach.

Powinna zadzwonić do zakładu pogrzebowego. Tylko jak oni go stąd wywiozą, skoro lód

się załamuje? No i Olle, do niego też musi zadzwonić. Ale teraz pies miał najwyższy priorytet.

W najgorszym razie będzie próbował przeprowić się przez rzekę, zapadnie się w głębokim śniegu, ugrzęźnie. Umrze z głodu albo – znacznie osłabiony – zostanie zadziobany przez kruki i im podobne. Musi go złapać!

Zupełnie odruchowo podeszła do niewątpliwie najstarszej zamrażarki. Miała wprawę w gotowaniu jedzenia dla psów, również z mięsa dotkniętego oparzeliną mrozową.

Otworzyła przedpotopową zamrażarkę; aż dziw, że ciągle burczała. Była tak oszroniona, że ledwie dało się dojrzeć jej zawartość. Wewnętrzne ścianki wybrzuszały się lodem. Ragnhild zanurzyła rękę w skrzyni, trochę pogrzebała. Ku swojemu zdziwieniu wyciągała puste opakowania po panierowanej rybie, hamburgerach, klopsikach i tarcie z jagodami. Wyrzucała przastare kartony na podłogę. Zatrzymała się przy opróżnionej butelce keczupu.

– Noż kurde, Henry, coś ty...? – powiedziała z niedowierzaniem i odwróciła się do niego, jakby oczekując odpowiedzi.

Używał jej jako kosza na śmieci? – zastanawiała się, przewieszona przez kant zamrażarki. Ale w takim razie po co ją miał włączoną?

Grzebała coraz bardziej rozjuszona, omiatała wewnątrz ze szronu i nagle dojrzała kraciasty materiał.

A to co?, spytała w myśli, nie przestając zgarniać szronu. To przecież rękaw koszuli.

Wkładał ubrania do zamrażarki? Czyżby pod koniec dopadła go demencja? Splątanie? Delirka?

Dłoń bolała od zimna. Ragnhild wsunęła ją pod pachę. A potem włożyła palce do ust, by je ogrzać. Cholera, jakie zimne! Powinna była robić to w rękawiczce.

Odsunęła się na bok, by światło lampy pod sufitem dotarło do wnętrza skrzyni.

Z narastającym przerażeniem rozumiała, że nie musi nic więcej omiatać. Ponieważ w rękawie koszuli tkwiło ramię, zakończone zeschniętą dłonią.

Nie krzyczała. Nie cofnęła się gwałtownie. Wyjęła palce z ust i czekała na falę mdłości, która nigdy nie nadeszła. Splunęła na podłogę, splunęła jeszcze raz, i jeszcze raz.

A potem wybrała numer 112. Wyjaśniła sytuację. Że znajduje się na wyspie z dwoma trupami w tym samym pokoju. Tak, dobrze pani rozumiała. Musiała powtórzyć to jeszcze raz. Rzeka Torne, wyspa, jeden trup na sofie, drugi w zamrażarce skrzyniowej.

Niepokoił ją fakt, że mówi z takim spokojem. Że to wszystko brzmi jak opowieść szalonej, że nikt jej nie uwierzy. Próbując uwiarygodnić swój opis, rzuciła:

– Jeśli będzie pani rozmawiać z policją w Kirunie, to proszę poinformować prokuratorkę Rebekę Martinsson. Bo ten leżący na sofie to jej wuj, Henry Pekkari. A ja jestem jej ciotką.

Momentalnie pożałowała.

Kobieta z centrum powiadamiania ratunkowego dopytywała:

– Przepraszam, nie dosłyszałam. Kogo mam powiadomić?

– Nikogo. To nieważne.

Córka Virpi tak czy owak zostanie poinformowana. A Ragnhild za żadne skarby nie chciała mieć z Rebeką Martinsson do czynienia.

PROKURATORKA REBEKA MARTINSSON stała przy swoim podwyższonym biurku, gdy komisarz Tommy Rantakyro wsunął głowę do jej gabinetu.

– Ojoj, co za ciężkie westchnienia! – skomentował.

Rebeka wyszczerzyła zęby. Nie zdawała sobie sprawy, że wzdycha.

– To oznaka starości – odparła. – Coraz bardziej upodabnam się do mojej babci. Ona cały czas wzdychała. I to były rzeczywiście westchnienia w rodzaju: oby Pan nasz przyszedł i uwolnił mnie z tego świata.

Tommy się zaśmiał i postawił na biurku papierową torebkę.

– Podwieczorek – wyjaśnił. – Kulki witariańskie. Jedne z lukrecją, a drugie z imbirem i cynamonem. Leczą nadmierne wzdychanie.

– No tak! Czyli Pan nasz nie musi mnie jeszcze uwalniać.

– W każdym razie nie w ciągu najbliższej godziny.

Powąchała z wdzięcznością łakocie w torebce, by sprawić mu radość. Tommy był miły. Rebeka robiła, co mogła, żeby odwdziżyć mu się tym samym. Opuszczony przez dziewczynę dwa miesiące temu, niestrudzenie odgrywał rolę najlepszego i najbardziej opiekuńczego kolegi. Ciągłe robił za szczeniaka zespołu. Było w tym coś smutnego, że poniekąd nigdy nie dorósł. Odkąd dziewczyna z nim zerwała, a Sven Erik przeszedł na emeryturę, często zachodził do prokuratury, żeby pogadać. Zatrzymywał się ciut za długo, Rebeka zawsze czuła się zmuszona wyprasać go: „Słuchaj, teraz to już muszę...”.

– Jak ci idzie z bilansem? – zapytał, skinąwszy głową w kierunku sterty papierów na biurku.

Rebeka wydała kolejne babcine westchnienie i szukając pomocy, uniosła ręce ku siłom wyższym. Tommy westchnął jeszcze donośniej. Oboje zaśmiali się ze wspólnego żartu, który właśnie wykreowali.

Zwierzchnik Rebeki, Alf Björnfot, do zaległego urlopu płatnego dołączył dwa miesiące bezpłatnego i wyruszył na Alaskę. Podróż marzeń w towarzystwie dorosłej córki. Podglądanie niedźwiedzi i łowienie łososi.

Kolega Rebeki, prokurator Carl von Post, został tym samym p.o. szefem prokuratury rejonowej. Ostatniego dnia przed urlopem Björnfot wszedł do gabinetu Rebeki i powiesił na tablicy ogłoszeń samoprzylepną karteczkę z napisem: NIE DRAŻNIĆ SIĘ. To miał być żart, lecz nie do końca.

– Żyj w zgodzie z Carlem – powiedział Björnfot. – Wiem, że nie należy do twoich ulubieńców, ale to on ma więcej przepracowanych lat i dlatego muszę go mianować p.o. Nie chcę, żeby ktoś spieprzył mi podróż, wydzwanając z awanturami.

– Nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby do ciebie dzwonić z awanturami – odpowiedziała Rebeka. – A taką karteczkę to powinieneś przykleić w gabinecie Posta!

– Wiem – odparł Björnfot. – Tylko że on jest, jaki jest. Karteczki mu nie pomogą. I z pewnością będzie cię prowokował i drażnił. Ale musisz wytrzymać. Bo jeśli będziesz się go czepiała, to on nie odpuści i znajdzie mnie nawet wtedy, gdy zaszyję się w jakiejś zasranej dziurze na bezludziu. No, więc powstrzymaj się, proszę.

Splótł ręce jak do modlitwy i wyciągnął je ku prokuratorce. Po czym opuścił budynek. Ale jeszcze zanim zatrzasnęły się za nim drzwi wejściowe, von Post, w roli p.o. szefa prokuratury rejonowej, obciążył Rebekę nowymi obowiązkami. Położył na jej biurku cały stos postępowań przygotowawczych prowadzonych przez policję. Ponad sto pięćdziesiąt spraw. Większość dotyczyła drobnych kradzieży, oszustw na internetowych platformach handlowych i prowadzenia pojazdu w stanie nietrzeźwości. Rebeka miała teraz zdecydować, czy wniesie akt oskarżenia, a jeśli tak, to jej obowiązkiem będzie odfajkowanie ich przed sądem. Tak zwany bilans. Morderczo nudna i samotna praca.

– No więc, jak ci idzie? – spytał Tommy Rantakyrö.

Rebeka zacisnęła zęby. Od trzech tygodni była przykuta do biurka. Nie przygotowała się na to, że tak bardzo będzie jej dokuczać samotność. Von Post nie tylko nałożył na nią bilans postępowań policji, ale też odebrał prowadzone przez nią wcześniej dochodzenia. Żeby się mogła „skoncentrować na bilansie”. Nie protestowała. Karteczka przyklepiona przez Björnfota przyświecała jej niczym przykazanie boskie.

Ponieważ nie miała teraz własnych dochodzeń, nie wpadał do niej żaden policjant, żeby przedyskutować kolejne kroki w postępowaniu przygotowawczym. A ona też nie miała powodów, by przychodzić do nich po ostatnie doniesienia albo żeby przekazać nowe dyrektywy. Telefon milczał jak zaklęty.

Powinam być bardziej wdzięczna Tommy'emu, pomyślała. Troszczy się o mnie. Dlaczego człowiek nie docenia tych, którzy faktycznie troszczą się bardziej niż inni?

– Przygotowuję nadwyżkowe rozprawy – odparła. – Zaczynam w poniedziałek. Może uda się nam skazać paru łobuzów.

– Dobrze dla statystyki – powiedział Tommy.

Dobrze dla statystyki von Posta, pomyślała Rebeka.

I właśnie gdy ta myśl przelatywała jej przez głowę, z korytarza dało się słyszeć kroki prokuratora. Kilka sekund później pojawił się w drzwiach. Zmierzwione po chłopięcemu włosy, odprasowana koszula i zero skłonności do wystającego brzucha.

– Serwus, Tommy! – przywitał policjanta przyjaznym tonem i może ciut za mocno klepnął w plecy. – Jak ci idzie, Martinsson?

Rebeka zastygła w bezruchu. Znow odczuła różnicę między sobą a von Postem albo raczej między sobą a klasą wyższą. On był miły jak gospodarz programu zarówno dla wrogów, jak i dla sojuszników. Jej zaś trudno było skrywać prawdziwe uczucia. Stawała się małowówna i bez polotu, kark jej sztywniał, usta się zaciskały. Nielubianym osobom nie patrzyła w oczy. Gardziła sobą, ponieważ nie umiała grać kogoś, kim nie jest. Skazana na rolę duchowej słabeuszki.

Carl von Post posłał jej znaczący uśmiech. Nie miał nic przeciwko temu, że Rebeka go nie cierpi. Bawiło go wręcz, że nawet nie odpowiedziała mu na pytanie.

– Jak tam z mrożonkami? – zwrócił się do Tommy'ego.

– Ze zwłokami w zamrażarce? Spoko. Zamówiliśmy helikopter, któremu w końcu udało się wylądować. Zabrał i zamrażarkę, i tego gościa, który leżał martwy na sofie.

– Co? – wybuchnął von Post. – Dwa truposze? Morderstwo?

– Nic jeszcze nie wiemy. Obaj są u medyka sądowego i Pohjanen odezwie się, jak tylko będzie miał coś do powiedzenia.

– Świetnie. Z każdą nową informacją przychodźcie teraz do mnie, bo Martinsson jest zawałona...

– Tak, wiem – przerwał mu Tommy. – Dlatego przyszedłem z odrobiną słodyczy, żeby ją rozweselić. Ma do przekopania zajebisty stosik.

Usta von Posta rozciągnęły się w jeszcze szerszym uśmiechu.

– Mhm, to przekopywanie dobrze jej robi. Nie doszła do swej posady w prokuraturze zwykłą drogą. Ja musiałem najpierw zrobić aplikację prokuratorowską, dziewięć miesięcy, a potem harować dwa lata jako asystent prokuratora. No, więc brakuje jej pewnych podstaw.

Rebeka wpatrywała się w von Posta z zaciśniętymi ustami. To, kurwa, niesamowite, że – raz – mówi o niej, jakby jej tu nie było, a dwa – z jego tłumaczenia mogłoby wynikać, że ona ma gorsze kwalifikacje do tej pracy niż on. W rzeczywistości było dokładnie odwrotnie i von Post doskonale o tym wiedział. Zgadywała, że w bezsenne noce męczy go świadomość, że to właśnie Rebeka dla tej prokuratorowskiej roboty zrezygnowała z jego wymarzonej posady adwokata w firmie Meijer & Ditzinger. I jest przekonany, że przyjęliby mnie tam z otwartymi ramionami, gdybym tylko chciała wrócić. Ale ja sama nie jestem tego taka pewna, pomyślała.

– No, to nie będziemy ci przeszkadzać – zwrócił się do Rebeki i spojrział porozumiewawczo na Tommy'ego.

Lecz ten nie zbierał się wcale do wyjścia. Rebeka wyłowila jedną kulkę z torebki.

– Podzielimy się? – zapytała kolegę.

Von Post zniknął w korytarzu.

– Niezły z niego skur... – zaczął Tommy.

Rebeka znów zacisnęła zęby.

Tylko nie narzekaj, upomniała siebie samą.

Na początku, zaraz po wyjeździe Björnfota, nie mogła przestać mówić o von Poście. O tym, jakim jest skurwielem. Nazywała go von Chujpostem. Policjanci przychodzili do niej, by obejrzeć osławioną karteczkę na tablicy ogłoszeniowej. Ukuła określenie „postój Chujposta”.

Po jakimś czasie zrozumiała, że kolegom znudziło się wałkowanie tego samego tematu. A jej trudno było przestać. Postanowiła, że ograniczy się do odpowiedzi: „Dobrze”, gdy ktoś zapyta, co u niej. Że będzie mówić tylko o przyjemnych sprawach. Ale już po kilku zdaniach słyszała siebie samą, jak powraca do chujpościanego szczura. Jakby ktoś na nią czary rzucił.

Czuła się rozżalona i przygnębiona. Policjanci przechodzili obok jej gabinetu w drodze do von Posta. Podejrzewała, że szepczą między sobą, że przecież z nią też nie mają lekko. Wystarczy spojrzeć na to, jak potraktowała ich kolekę, Kristera Erikssona.

Przez półtora roku była z Kristerem w czymś, co chyba powinno się nazwać związkiem.

Ale cały czas mówiła: „Nie jesteśmy parą”. On powtarzał z uśmiechem: „Nie jesteśmy”. A potem całował jej włosy i wyciągał do lasu, na ryby, do łózka. Chciał więcej. Ona chciała mniej. A później wszystko spała. To ona była szuja. Wszyscy o tym wiedzieli.

Kiedy Krister zatrasnął drzwi, wróciła do Månsa Wenngrena. On też chciał mniej. Byli przyjaciółmi, a seks traktowali jako bonus. On już nie namawiał jej do znudzenia, by wróciła do Sztokholmu. Chociaż dalej uważał, że jest lekko stuknięta, z tą swoją wolą pracy w kiruńskiej prokuraturze. „Kiedy złożysz wypowiedzenie?” – pytał. – „Kiedy Chujpost powie, że w zakres twoich obowiązków wchodzi sprzątanie ubikacji?”

Wróciła do terażniejszości i odpaliła dla Tommy’ego najszerszy uśmiech, na jaki teraz było ją stać.

– Kij mu w oko – powiedziała wesołowato. – Jezu, jakie pyszne te kulki. Podzielimy się jeszcze jedną? A co to za zwłoki znaleźliście w zamrażarce?

– Na razie nie wiem, wygląda na to, że ten ktoś leżał tam bardzo długo.

– Poćwiartowany?

– Nie, najwyraźniej nie. Szkoda, że nie będziesz prowadziła postępowania przygotowawczego, von Post jest napalony jak fiks.

– Ach, tak. No to bawcie się dobrze ze zmrożonym morderstwem. Nie myślcie o mnie, gdy będę przyskrzyniać drobnych złodziejasków, grafficiarzy i piratów drogowych.

– Jesteś niesamowita! – Tommy nie krył podziwu w głosie. – Wiesz, że wszyscy tak uważamy.

– Wszyscy, oprócz jednej osoby.

I błyskawicznie dodała:

– Ale ja się nie przejmuję.

Grzebała w papierowej torebce z przesadnym zainteresowaniem.

– Ona to przeboleje – powiedział Tommy. – Przecież znasz Mellę.

Rebeka znieruchomiała nad torebką z kulkami witariańskimi.

– Mella? – spytała.

– O, kurde, ty miałaś na myśli von Posta...

Tommy uciał w pół zdania i skierował wzrok ku karteczce na ścianie.

– Mella! – wybuchnęła Rebeka. – Czy to znaczy, że Anna Maria jest na mnie wkurzona?

Dlaczego?

– Daj sobie spokój – prosił. – Myślałem, że była się u ciebie poskarżyć. Błagam, zapo-

mniej o tym, co powiedziałem.

– Ale cóż ja jej, kurza dupa, zrobiłam? – zapytała wzburzona. – Przecież nie widziałyśmy się od...

Rzuciła torebkę na stół i podeszła do drzwi.

– Nie musisz nic więcej mówić. Sama się dowiem.

I ruszyła szybkim krokiem wzdłuż korytarza.

Tommy Rantakyrö rozważał przez moment, czy za nią nie pobiec, ale postanowił sobie odpuścić.

– Jadę do domu – powiedział głośno. – Za chwilę tu pierdyknie!

Komisarz Anna Maria Mella wcisnęła przycisk w jadalnianym ekspresie do kawy. Zaskoczył niczym krajzega. Kiedy kubek się napełnił, na wyświetlaczu zajaśniało wezwanie: *Delektuj się!* Anna Maria wbiła wzrok w czerwone litery.

– Czy was to też doprowadza do szaleństwa? – zwróciła się do kolegów. – Automat nie będzie mi tu, kurde, mówił, kiedy mam się rozkoszować. Delektuję się, kiedy mam ochotę.

Komisarz Fred Olsson i dwójka nowych w uniformach, którzy już usiedli, parsknęli zadowoleni.

– To jak ten chłopak, którego kiedyś miałam – mówiła dalej, zachęcona ich śmiechem. – Kiedy byliśmy, jak by to powiedzieć... w intymnej sytuacji, on cały czas nawijał: Delektuj się! Deleeeektuj się! A człowiek myślał: Jak się trochę lepiej przyłożysz do roboty, to się podelektuję, okej?

Zgarnęła jeszcze jeden wybuch śmiechu i poczuła się trochę nieszczerą. Historia była wprawdzie autentyczna, ale można było odnieść wrażenie, że Anna Maria miała facetów na pęczki i że to wszystko wydarzyło się stosunkowo niedawno. Prawda była taka, że spała z innym mężczyzną niż Robert właśnie ten jeden jedyny raz. Miała siedemnaście lat, kiedy się rozstała z Robertem. Była nieszczęśliwa i pijana, Jalle raczej tylko pijany. Chodził do zawodówki transportowej w Kirunie i wynajmował pokój z osobnym wejściem. Tydzień później pogodziła się z Robertem i znów byli razem. Byli ze sobą od zawsze. Po jakiego grzyba wyciąga teraz tego Jallego? Jakżeż on miał na nazwisko...? Na szczęście zapomniała.

– Co jest z tymi wszystkimi aparatami? – odezwał się jeden z nowych mundurowych, Karzan Tigris.

Zaczął u nich jako asystent półtora miesiąca temu i miał popularne konto na Instagramie, gdzie pisał o ukochanym zawodzie policjanta; publikował zdjęcia, na których pije „poranną kawę gliniarza” albo stoi na rękach w pełnym rynsztunku. Anna Maria uważała, że Karzan ma wygląd ucznia gimnazjum. Ale teraz często miała takie wrażenie. Lekarze, nauczyciele, pastory, ciężko ich było traktować poważnie. Wiele z tych osób wyglądało tak, jakby jeszcze nie wolno im było prowadzić motoroweru^[4]. Dziwne.

Karzan mówił dalej:

– Każda maszyna dźwięczy i dzwoni. Taka pralka na przykład pipczy, by oznajmić, że pranie gotowe. I nigdy nie przestaje! Człowiek nie może nastawić prania, kiedy chce iść spać.

– Są pewnie technicy, którzy dokładają te wszystkie bajery, bo po prostu mogą – dodała druga z nowych, Magda Vidarsdotter.

Pochodziła z Flen, była bezdzietna, ale miała konia, którego trzymała w Jukkasjärvi. Też asystentka, lecz niezupełnie zielona. Pracowała wcześniej w Eskilstunie, ale przeprowadziła się na daleką północ dla przyrody. Potrafiła rozmawiać z Rebeką o koniach i psach tak długo, że czasami Anna Maria zastanawiała się, czy nie pracuje na farmie. W każdym razie modliła się do bogów, żeby Vidarsdotter i Tigris zostali w Kirunie na dłużej.

– A jak, myślicie, będzie wyglądała przyszłość, gdy technika AI potanieje? – kontynu-

owała Magda. – Może tak: „Cześć, Anno Mario. Twój poziom kortyzolu jest wyższy niż normalnie. Weź trzy głębokie oddechy. Zapytaj siebie samą, czy naprawdę potrzebujesz kawy”.

Ostatnie zdania wypowiedziała, naśladując skomputeryzowaną mowę. Słowa bez wyrazu, nienaturalne pauzy i jasny głos z rodzaju tych nawołujących do samoafirmacji.

Anna Maria śmiała się odrobinę dłużej, bo Magda zazwyczaj była dość małomówna. Teraz zaczęła się rozkręcać. A oni wszyscy zaczęli tworzyć stado niczym ujadające radośnie psy. Anna Maria to solidna samica alfa. Mieli naprawdę dobre szanse na zgrany zespół, choć niełatwo było wypełnić pustkę po Svenie Eriku Stålnackem.

No i to osobliwe uczucie, że teraz jest w grupie starszą. Czuła się jak dwudziestka, dopóki Sven Erik nie przeszedł na emeryturę.

– Jak cię nie będą wychowywać własne dzieci, to ich rolę przejmą sprzęty gospodarstwa domowego – skomentowała, udając zrezygnowanie. – Można sobie tylko życzyć...

Koledzy nigdy się nie dowiedzieli, czego Anna Maria by sobie życzyła, ponieważ w drzwiach stanęła Rebeka. Jej twarz bez wyrazu wskazywała na to, że sytuacja jest dość niebezpieczna.

Anna Maria momentalnie poczuła, jak stężenie kortyzolu w jej krwi wzrasta i przekracza normę. Żaden ekspres do kawy nie musiał jej o tym informować.

– Siemasz, Martinsson – zawołał beztrzesko Fred Olsson, zupełnie nieczuły na gęstniejącą atmosferę.

Rebeka Martinsson skinęła lekko głową, by od razu przejść do rzeczy.

– Masz coś do mnie? – zapytała Annę Marię. – Tommy się wygadał.

Policzki Melli zapłonęły. Tommy, cholera jasna! Po jakiego grzyba chodzi paplać do Rebeki? Czuła na plecach spojrzenia kolegów.

– Owszem – odpowiedziała. – Pójdziemy do mojego gabinetu?

– Możemy porozmawiać tu i teraz. Wygląda na to, że dyskutowałaś już ze wszystkimi oprócz mnie.

– No, nie do końca... Wczoraj się trochę wkurzyłam i powiedziałam Tommy’emu, że...

Przerwała i zaczęła od nowa.

– Chodzi o Eivor Simmę!

Rebeka uniosła pytająco brwi.

– Kradzież szczególnie zuchwała! – wyjaśniła Anna Maria. – Jedna z moich spraw, która wylądowała na twoim biurku. Kobieta ma osiemdziesiąt jeden lat. Okradziono ją w supermarkecie Coop na Trädgårdsgatan. Jakiś gość zapytał ją: „Czy to jest ten ryż, którego używa się do gotowania kaszki?” i podczas gdy ona mu odpowiadała, jego kumpel zwinął jej portfel z torebki, która stała w wózku sklepowym. Wczoraj Eivor Simma zadzwoniła i powiedziała, że dostała list, podpisany przez ciebie, że nie zostanie wniesiony akt oskarżenia.

– No i?

– To wydało mi się dziwne. Kamera monitorująca zarejestrowała Humle i Dumle^[5]...

– Wróblewskiego i Harjulę – poprawiła sucho Rebeka. – Doskonale pamiętam to postępowanie.

– ...kamera wyraźnie pokazuje ich, jak wychodzą razem ze sklepu w tym samym czasie, gdy była tam Eivor Simma – kontynuowała Mella. – W trakcie okazania z fotografii kobieta wskazała na Harjulę.

– No i właśnie o to okazanie chodzi. Dziesięć twarzy. Eivor Simma wskazała na fotografię Harjuli, która była jedyną nieostrą z tych dziesięciu. Ja też bym wybrała to zdjęcie. Każdy by tak zrobił. Materiał okazania nie spełniał wymogu wyłączenia jakiegokolwiek sugestii.

– I tak uważam, że powinien być wniesiony akt oskarżenia.

– Wiesz, że zdjęcie sprawcy nie może odstawać od pozostałych – tłumaczyła cierpliwie Rebeka i Anna Maria miała wrażenie, jakby znów siedziała w szkolnej ławce. – Obrońca od razu by to wyłapał i nie mielibyśmy najmniejszej szansy na skazanie winnych.

Mella zazgrzytała zębami. Sama sfotografowała Harjulę telefonem. No dobrze, może faktycznie za bardzo się spieszyła. Zdjęcie było trochę zamazane, nie zrobiła nowego. Ale, kurde, sprawa była oczywista i nie do podważenia. A teraz ona musi tu wysłuchiwać reprimendy w obecności nowych pracowników.

– Można się poczuć do dupy – powiedziała ze ściśniętym gardłem – kiedy Eivor Simma dzwoni do nas i trzeba jej wytłumaczyć, że nie zamierzamy oskarżyć tych skurczysynów. Choć na sto procent jesteśmy pewni, że są winni. Ta kobieta nie ma teraz odwagi wyjść na zakupy. To cholernie przygnębiające dla nas, policjantów. Takie rzeczy roznoszą się lotem błyskawicy. Może wiesz, że powstał o tym wątek na forum „Mieszkańcy Kiruny, którzy mają odwagę wyrazić swój pogląd”? To my dostajemy potem baty na mieście. Nic dziwnego, że ludzie plują na nasz widok i rysują nam karoserie samochodów. Czy to w ogóle ma jakiś sens, że zaczynamy postępowanie? Skoro wy tylko umarzacie!

– Aha, czyli teraz jesteśmy my i wy? A to twoje „tylko umarzacie”? Zdajesz sobie sprawę, że ze stu pięćdziesięciu dwóch postępowań akurat to jest jedynym, którego nie skierowałam do sądu? Nie zamierzam marnować pieniędzy podatnika i wnosić aktu oskarżenia dla sprawy z góry przegranej tylko dlatego, żeby ci poprawić samopoczucie.

– Nie to miałam na myśli – powiedziała Anna Maria, uważając, że mówi w miarę spokojnym i opanowanym głosem. – Nie chodzi o to, żebym miała lepsze samopoczucie. Chodzi o to, że każdy z nas jest częścią zespołu. I że przydałoby się nam trochę dobrej komunikacji.

Rebeka spojrzała na Annę Marię, jakby ta czytała na głos fragmenty taniego poradnika.

– Dobra – powiedziała. – Ja będę trenować komunikację. A ty się naucz obsługiwać aparat fotograficzny.

A potem obróciła się na pięcie i odmaszerowała korytarzem.

Fred Olsson i dwoje nowych mundurowych wstali od stołu i nagle zaczęło im się bardzo spieszyć, by zrobić dobry uczynek dnia: zgarnąć paru piratów drogowych. Zniknęli w mgnieniu oka.

Anna Maria została w jadalni sama. Automat do kawy wyłączył się ze smutnym gulgotem. Wyświetlacz pokazał jeszcze *Milego dnia!*, nim zgasł.

Rebeka zamknęła drzwi do swojego gabinetu.

– Niech... was szlag trafi! Dokładnie wszystkich! – wykrzyczała przed siebie.

Myślała, że zaczynają się z Anną Marią kumplować, i to nie tylko w pracy. Ale w tym ostatnim okresie nadwyżkowych rozpraw prawie w ogóle się nie widywały. Mella miała urwanie głowy z nowymi policjantami i z rodziną. To zrozumiałe. Ale dlaczego nie przyszła bezpośrednio do niej z tą sprawą? Zamiast tego nadawała na nią za jej plecami. To takie nieuczciwe. Zrobić z niej wroga policji.

Miała ochotę coś kopnąć, może kosz na śmieci? Ale to się zupełnie nie opłacało, musiałyby potem sama po sobie posprzątać.

Miała ochotę wrócić do domu i oddać się bez reszty telewizyjnym serialom, ale przecież musiała skończyć robotę. Tyle tylko, że nie mogła zdzierżyć ani sekundy dłużej sama w tym pokoju.

Chwyciła odruchowo za telefon i wybrała numer Marii Taube. Pożałowała tego, gdy tylko przyjaciółka odebrała. Poczuli się zgrzytliwą zrzęda, która dzwoni co i rusz, żeby wylać swoje żale.

– Martinsson! – wykrzyknęła Maria Taube. – Myślałam, że już o mnie zapomniałaś.

Ostatnio w ogóle ze sobą nie rozmawiamy.

Rebeka musiała się roześmiać.

– Rozmawialiśmy wczoraj – powiedziała. – I przedwczoraj też. No i to zawsze ja dzwonię i wtryndalam się w twoje ważne życie.

– Nic takiego nie pamiętam – poskarżyła się Maria. – Czuję się pozostawiona samej sobie. Jak tam?

Rebeka powstrzymała chęć, by ponarzekać na zaistniały stan rzeczy. Wiedziała, że Maria powie wszystko, co ona chce usłyszeć. Że Anna Maria postąpiła niewłaściwie. Że von Post to kompletne zero, podobnie jak cała jego rodzina. Bo Maria dobrze ją zna. Obwieściłaby Rebecę, że ma definitywnie za wysokie kwalifikacje, by pracować w tej podbiegunowej dziurze, i że trudno pojąć, dlaczego nie zajmuje się sprawami podatkowymi w prokuraturze regionalnej.

A jednocześnie Rebeka wyczułaby w głosie Marii, że ta nie spuszcza wzroku z ekranu komputera, że rozmawiając z nią, pracuje. W połowie zdania Maria powiedziałaby, że zadzwoni do niej później, bo teraz ma zebranie albo setkę pilnych maili do wysłania.

Potem Rebeka czułaby się odrzucona, zdjeta palącym wstydem, że jest tylko upierdliwą nudziarą w potrzebie. A poza tym myślałaby o tym, że dawniej Maria zawsze nakłaniała ją do powrotu do Sztokholmu i biura. Teraz już nie namawia. Rebeka zrozumiała dlaczego. Po prostu nie było dla niej miejsca w firmie Meijer & Ditzinger. Ten pociąg dawno odjechał ze stacji.

Weź się w garść, napomniała samą siebie i postawiła na rolę wesółka.

– Tutaj to się dzieją rzeczy! Towarzystwo Przyjaciół Kurravaary zakupiło defibrylator. Teraz musimy zwołać dodatkowe zebranie, żeby ustalić, gdzie go umiejscowić. No i praca wre na budowie nowego ratusza.

– To przecież chore, ta przewodniczka całego miasta – powiedziała Maria Taube. – Musimy kiedyś o tym porozmawiać, na serio.

– Nie, Jezu, to takie dołujące.

Bo to było dołujące. Nową Kirunę planowano wznieść na byłym torfowisku. W zimie o dziesięć stopni chłodniej niż na wzniesieniu Haukivaara, gdzie miasto leżało obecnie.

– Wiesz co, właśnie sama miałam do ciebie dzwonić – zaczęła z innej beczki Maria. – W drugi weekend maja wybieram się z paroma koleżankami do Riksgränsen. Tam są ciągle masy śniegu. I pomyślałam, że przyjedziemy już w czwartek, zatrzymamy się na pierwszą noc w Kirunie i nawiedzimy cię w Kurravaarze. Nie uważasz, że to fajny pomysł? Nie musisz nic przygotowywać. Weźmiemy ze sobą wałówkę i alkohol. Rozpal tylko w saunie.

Rebeka poczuła się nagle usidlona. Lubiła Marię, ale jej kumpelki z Djursholm?

– Okej, ale co to za koleżanki? – zapytała ze śmiechem. – Nie mogą być na detoksie.

– Nie, nie, żadne takie – zapewniła Taube. – Są bardzo milutkie, od razu je pokochasz.

– Bardzo milutkie? Milutkie? To brzmi potwornie. Wypisują takie rzeczy na Inście, jak *Friends don't let friends skip yoga?*

– Nie! – parsknęła Maria. – Obiecuję, że każda z nas to grubawa, ciężko harująca prawniczka albo ekonomistka. Jesteśmy niewytrenowane i przepracowane. Żadna nie ma czasu na jogę.

– Czy wszystkie jedzą czerwone mięso? I węglowodany? Czy uważają, że podawanie dzieciom białego cukru jest równoznaczne ze wstrzykiwaniem im heroiny?

– Tak! I nie! Jemy wszystko. Diczynę poszkodowaną na drogach i rafinowany cukier.

– No to nie ma sprawy! – powiedziała ze śmiechem Rebeka. – Przyjeżdżajcie na saunę, będzie super! Zapewniam browar i trochę dziczyzny z wypadków na drogach. Jak któraś chce jeść kiełki, to niech je weźmie ze sobą.

I dodała pospiesznie:

– A teraz muszę kończyć. Do usłyszenia!

– No to pa! – zaćwierkała Maria.

W każdym razie nie narzekałam, powiedziała do siebie Rebeka. I to ja zakończyłam rozmowę. Tylko jak to, kurde, możliwe, że udało mi się zaprosić laski z wyższych sfer na imprezę w Kurravaarze?

W tej samej chwili z parkingu dobiegło szczekanie. Rebeka wyjrzała przez okno. Została Smarkacza w samochodzie z otwartymi drzwiami bagażnika; siedział w klatce. Pogoda była w sam raz – ani nie za zimno, ani nie za ciepło. Zatrzymywali się przy nim policjanci, rozmawiali z nim i miziali za uchem. O wiele przyjemniej niż u pani pod biurkiem. A teraz Smarkacz stał na czterech łapach i ujadał z przejęciem na samochód wjeżdżający na parking. Jeep Kristera Eriksona.

Ostatnio rzadko się go widywało w komendzie. Pracował jako przewodnik psa służbowego w całym okręgu Norrbotten i ciągle był w rozjazdach.

Smarkacz tłukł się w klatce. Gdy byli parą, Krister zabierał go na treningi tropienia śladów. Jej pies kochał go poddańczo i w każdym calu.

Rebeka patrzyła teraz, jak Krister podchodzi do Smarkacza i wita się z nim przez pręty klatki. Gdy spojrział w kierunku jej gabinetu, pomachała mu zza szyby. Skinął głową niemal niezauważenie i wbił wzrok w asfalt. Teraz wysiadła z samochodu jego dziewczyna.

Rebeka zmusiła się, by zostać przy oknie. Marit Törmä była ubrana na sportowo, w ten prawidłowy sposób: wyblakły czerwony anorak z lat siedemdziesiątych, spodnie z ręcznie garbowanej skóry renifera, włosy upięte w jasny kucyk. Była typem osoby radosnej. Ładnej w dodatku. Cały policyjny kolektyw nie mógł wyjść z zachwytu, gdy Krister zaczął się z nią umawiać. Rebeka, owszem, to była dobra partia, ale ta druga...! Marit Törmä zdobyła złoto w mistrzostwach juniorów w biathlonie. A do tego uwielbiała górskie wędrówki. Gdy tylko mieli chwilę wolnego, wybywali razem w góry.

Tak powinno być, pomyślała Rebeka. Pewnie wkrótce się pobiorą. On zasługuje na taką jak ona.

Nagle Marit dojrzała ją w oknie, pomachała zamasyście i z entuzjazmem.

– Cześć, Rebeka! – krzyknęła.

Rebeka odmachwała, uśmiechając się, aż rozboleła ją twarz. Patrzyła, jak oboje, krok w krok, zbliżają się do wejścia.

Przestań!, upomniała siebie. Przestań się wygłupiać.

Zadzwęczał jej telefon. Dzwonił lekarz medycyny sądowej, Lars Pohjanen.

– Halo, Martinsson – zaskrzeczał. – Słyszałem, że masz smutne życie.

Odsunęła się od okna i usiadła w fotelu dla odwiedzających, mimo że cały był zasłany papierami.

– Gdzie to słyszałeś?

Pohjanen wziął kilka rzęzących oddechów, nim odpowiedział.

– Chodzą pogłoski. Von Post dołożył ci postępowania policyjne i nadwyżkowe rozprawy. Dzwonię, żeby cię rozweselić. Myślałem, że pokażę ci zwłoki, jeśli jesteś zainteresowana.

– Te z zamrażarki? Rantakyrö wpadł do mnie na chwilę i wspomniął o nich. Jasne, takie rzeczy mogą rozweselić dziewczynę jak nic!

Medyk zaczął się śmiać, wydając potworne dźwięki.

– No to kopsnij się tutaj.

– Nie chcę być taka... – powiedziała z wahaniem – ale czy to nie von Post...

– Ten pajac – odparł Pohjanen poirytowany – może sobie przeczytać protokół, jak go napiszę. Przyjeżdżaj tu raz-dwa, Martinsson. Zanim się rozmyślę.

Spakowała komputer, przekonana, że na dziś powinno wystarczyć. Jadąc do Pohjanena, całą drogę myślała o Kristerze. Jednak spojrział w jej okno. I co to oznaczało? Miotła się między Nic a Coś.

Marit Törmä, czekając na Kristera, który miał tylko wysłać ostatni raport, odwiedziła jego kolegów w komendzie. Porozmawiała z Karzanem o treningach i wypytała Magdę o konia. Fred Olsson był większym wyzwaniem. Wiedziała, że jego garaż jest pełen serwerów i wykopanych bitcoinów. Oczywiście, mogła zapytać. Ale i tak nic by z jego odpowiedzi nie zrozumiała. Dowiedziała się, że cała trójka za chwilę wybiera się na kontrolę drogową. Cały czas jednak uwierała ją Rebeka, niczym rzęsa w oku. Krister, który prawie nie potrafił się z nią przywitać. I ta jego mina, gdy Smarkacz lizał mu ręce przez pręty klatki. Miękką i zasmuconą. Ale gdy tylko odwrócił się do niej, twarz miał wysprzątaną jak mieszkanie wystawione na sprzedaż.

W jadalni natknęła się na Annę Marię. Zapytała ją o dzieci i usłyszała w odpowiedzi, że policjantka wystawiła je na Blocket^[6] w dziale „Oddam za darmo”. Dlaczego Krister po prostu nie mógł sobie odpuścić Rebeki? Jasne, że miał powód do urazy. Ale przecież rozstali się dwa lata temu. Teraz miał ją, Marit.

A ja jestem dobrą partią, pomyślała.

Mogła przebierać w mężczyznach jak w ulęgałkach. Ale nigdy wcześniej nie miała powodu do zazdrości i ta nieodparta chęć odciążenia go od klatki z psem... To uczucie było dla niej czymś trudnym i nowym.

Rebeka przemierzała wyludnione korytarze szpitala w Kirunie. Lokalni politycy zdążyli zlikwidować zarówno porodówkę, jak i chirurgię ostrą. Ale lekarza medycyny sądowej, Pohjanena, nie udało im się przesunąć. „Likwidujcie”, powiedział, „przenieście oddział, to w końcu będę mógł przestać pracować”. I nic z tego demontażu nie wychodziło, dopóki medyk pozostał przy życiu. Nieustannie królował w swym podziemnym imperium.

Kiedy Rebeka zadzwoniła do drzwi prosektorium, otworzyła jej techniczka sekcyjna, Anna Granlund.

Uśmiechnęła się do Rebeki, tak jak uśmiecha się do krewnej, która podzieli z nią rychłą stratę. Pohjanen żył w czasie pożyczonym. Pracował tylko dlatego, że chciał. Granlund mu to umożliwiała. Rozbierała jego zmarłych, otwierała ich, przecinała skórę i powłoki tak dyskretnie i starannie, jak sobie życzył. Ważyła organy, kroїła wątroby, serca, nerki i płuca i układała je w równiutkie rzędy na stalowych blatach. Nacinała brzuchy, rozkrawała jelita i badała ich zawartość, przepiłowywała czaszki, wyciągała mózgi, wymieniała baterie w dyktafonie Pohjanena, wmuszała w medyka trochę soku z jabłek, a kiedy kończył pracę, pisała jego protokoły i zaszywała zmarłych przed ich ostatnią podróżą.

– Hej – przywitała Reбекę ściszym głosem. – Lars śpi, ale prosił, żeby go obudzić, jak przyjdiesz.

Pohjanen spał na skosmaconej sofie w jadalni. Oddech miał chrapliwy, nieregularny, płytki. Przebudził się, zanim Anna Granlund musnęła jego ramię. Na widok Rebeki wyraz jego twarzy złagodniał.

– Martinsson! – wykrzyknął z zadowoleniem, wyprostował się na słabych nogach i zakaszłał. – Co się z tobą stało? Wyglądasz jak rok nieurodzaju.

Rebeka i Anna wymieniły spojrzenia. Mógł je sobie obrażać, ile dusza zapragnie, byle tylko nie wziął i nie umarł.

Pohjanen działał wedle zasady: atak jest najlepszą obroną. Bo to on wyglądał jak rok nieurodzaju. Jego cera przybrała pożółkły kolor taniego papieru; miał podkrążone oczy i zapadłe policzki. O sofę stała oparta laska. Pohjanen rzucił na nią złowrogie spojrzenie, jakby była najgorszą skarżypytą, i mozolnie, ale o własnych siłach ruszył w kierunku sali obdukcyjnej.

– W sędzie mam się pokazać dopiero w przyszłym tygodniu – powiedziała Rebeka. – Wtedy wezmę prysznic, włożę spódnice i żakiet. Może nawet umyję zęby.

Zwłoki spoczywały na metalowym stole.

Jak coś, co archeolog znalazł na mokradłach, pomyślała Rebeka.

Na blacie przy ścianie wznosił się stos ubrań, które, jak przypuszczała, należały do zmarłego.

Pohjanen opadł na stalowy taboret na kółkach i włożył rękawiczki z lateksu. Rebeka wcisnęła ręce głęboko do kieszeni. Jedna z lekcji wyniesionych ze współpracy z Pohjanenem. „Włóż ręce do kieszeni. Zaciśnij je w pięść. I trzymaj zaciśnięte”.

– Jak widzisz, to nie jest żaden świeżak – zaczął medyk. – Nie ulega wątpliwości, że leżał w zamrażarce bardzo długo. Po prostu został wysuszony przez wymrożenie.

– Zastrzelony – powiedziała Rebeka, przyglądając się otworowi w piersi mężczyzny.

Tę pierś zdobiła wytatuowana striptizerka z parą rękawic bokerskich zwisających na sznurkach z szyi. Kula przeszła jej gardło.

– Do przyczyny śmierci zaraz dojdziemy. *Älä hättäile*, nie ponaglaj! Dojrzałem jakby zarisy tatuaży, zdrapałem więc naskórek, by zobaczyć, co przedstawiają. Tatuaże umiejscawiają się w skórze właściwej, więc po chwili widać je było całkiem wyraźnie. A teraz pytanie za dziesięć tysięcy koron: co ci przychodzi na myśl, kiedy patrzysz na te dziury?

– Nic.

– Nic? Ta striptizerka na kłacie? Tatuaże marynarskie na ramionach? Niedźwiedź polarny z obnażonymi kłami? Trzy kropki na dłoni? E, jesteś za młoda. Gość ma dokładnie takie same tatuaże, jak Börje Ström!

– Bokser?

– Tak. Dziwne, nie? Ström jest jak najbardziej żywy. Zadzwoń do niego. Na dobrą sprawę jesteśmy spokrewnieni. Jego mama i mój tato byli kuzynami. No i tak.

– Zadzwoń do niego... Nie uważasz, że to policja powinna...

– Jego stary, Raimo Koskela, zaginął w sześćdziesiątym drugim, kiedy Ström miał jedenaście lat. Ström potwierdził teraz, że ojciec miał takie tatuaże, jak on sam. Nie wspomniał o tym w żadnym wywiadzie, z tego, co wiem. Nikt w rodzinie też o tym nie mówił, no, ale może w ogóle dużo o nim nie rozmawialiśmy.

Pohjanen szarpnął głową, jakby ją właśnie wyciągnął z wiadra wypełnionego lodowatą wodą. Jakież to myśli i wspomnienia nasuwały mu się teraz, że tak się z nich otrząsa?, zastanawiała się Rebeka.

– Sprawdziłem zamrażarkę, w której leżał – kontynuował medyk, ściągając rękawiczki. Z niebywałą precyzją wrzucił je do kosza na śmieci. – Mogłaby wystąpić w jednym z tych programów telewizyjnych o antykach. Zrobiłem zdjęcie, wysłałem technikowi kryminalistyki i dowiedziałem się, że ta skrzynia z dużym prawdopodobieństwem pochodzi z końca lat pięćdziesiątych albo początku lat sześćdziesiątych. I tutaj zbliżamy się do mojego, chrrr, kiepskiego, chrrr, położenia...

Rebeka czekała cierpliwie, aż Pohjanen skończy kaszleć i złapie oddech. Odrobinę dalej, przy zmywarce, Anna Granlund wyciągnęła szyję jak renifer wietrzący niebezpieczeństwo.

– Do jasnej cholery! – zaklął medyk. Wykrztusił wydzielinę w bawełnianą chustkę do nosa, którą szybko zmiął i włożył do kieszeni.

– Twoje kiepskie położenie... – odpowiedziała Rebeka neutralnie i usłużnie, jak gdyby stała w sali rozpraw i chciała pomóc świadkowi w zeznaniu.

– No właśnie – odparł Pohjanen, wycierając czoło zewnętrzną częścią dłoni. – Jak uważnie zaobserwowałeś, mężczyzna został postrzelony w pierś. Problem w tym, że zbrodnia uległa

przedawnieniu.

– Von Post ma pecha – stwierdziła Rebeka. – Morderstwo z zamrażarki to niezła gratka. On lubi takie spektakularne rzeczy.

– Ale fart dla ciebie. Bo pomyślałem, że mogłabyś się temu trochę przyjrzeć. Dla świętego spokoju.

– Co!? Dlaczego miałabym wziąć się do przedawnionej sprawy, do morderstwa sprzed pięćdziesięciu lat, dla świętego spokoju? Detektyw amator to nie ja.

– Zrób to więc dla Ströma – wypalił Pohjanen. – Jego ojciec był nieobecny przez całe jego życie. I nagle pojawia się w zamrażarce. Jak według ciebie człowiek się czuje w takiej sytuacji?

– To musi być potworne uczucie – odpowiedziała Rebeka, przybierając jak najłagodniejszy i najbardziej profesjonalny ton głosu, który oznaczał, że prędzej jej kaktus na ręce wyrośnie, niż rozmawiająca z nią osoba przeforsuje swoją wolę. – Ale nie zacznę prywatnego dochodzenia, żeby zapewnić Strömowi spokój ducha. Chyba to rozumiesz?

Milimetrowy uśmiech, skrzyżowane na piersi ramiona, głowa ociupinkę przechylona w bok. Wystudiowana, „miękka na powierzchni i twarda jak gład w środku” poza. Pohjanen przejrzał ją na wskroś i strasznie się wkurzył. Nie cierpiał takiego traktowania.

– Nie, nie rozumiem – odburknął. – Wszystko, czego od ciebie wymagam, to żebyś w wolnym czasie rzuciła okiem na sprawę.

– W wolnym czasie! – Zaśmiała się głucho. – Przepraszam, jakim wolnym czasie?

– Mnie się pytasz? Może w tym czasie, kiedy nie odbierasz dzieci z przedszkola i nie gotujesz obiadu dla rodziny.

Oczy Rebeki poczerniały jak jeziora na późnojesiennych mokradłach. Usta rozchyliły się lekko, łapiąc powietrze.

Pohjanen natychmiast pożałował swoich nieprzemyślanych słów, ale przeproszenie nigdy nie było jego mocną stroną. Zamiast tego mówił dalej, teraz trochę bardziej ugodowym tonem.

– To może chociaż porozmawiasz z siostrą tego, który był właścicielem zamrażarki? Właściciela mamy tutaj obok, więc na pogawędkę z nim już za późno.

Zaśmiał się chrapliwie, wskazując głową na chłodnię, i perorował dalej, jak gdyby słowami chciał oddalić się od tej przed chwilą wypowiedzianej uwagi na temat jej życia rodzinnego.

– Umarł dwa tygodnie temu z powodów jak najbardziej naturalnych dla starego alkoholika. Zaburzenia rytmu serca i w końcu nagłe zatrzymanie krążenia. Serce ważyło pół kilograma i to, że gość dożył siedemdziesięciu dwóch lat, to niemal cud. Jego siostra przyjechała do niego rano na nartach, żeby sprawdzić, jak wygląda sytuacja, i... No cóż, brat martwy, a w zamrażarce ojciec Ströma. Zadzwoń na policję, ta zamówiła helikopter z dźwignikiem, który przetransportował skrzynkę na ląd, i w końcu przewieziono ją tutaj. Siostra nazywa się Ragnhild Pekkari. Powiedziała, że jak najszybciej musi wrócić na wyspę. Miała tam odszukać jakiegoś psa. Jeśli dam ci numer telefonu...

Przerwał w pół zdania, ponieważ Rebeka wpatrywała się w niego, jakby zobaczyła zjawę.

– Ragnhild Pekkari? – powtórzyła powoli. – A jak się nazywa wyspa?

– Nie powiem ci od ręki...

– Palosaari? W Kurkkio? A właściciel zamrażarki, ten martwy pijaczyna, to nie Henry Pekkari?

– Tak. Znasz go? Leży tu w środku. – Kciukiem uniesionym nad barkiem wskazał drzwi chłodni. – Chcesz go zobaczyć?

Policzki Rebeki zapłonęły.

– Nie. Ale Henry Pekkari był moim wujem. Ragnhild jest moją ciotką. Albo inaczej, moja

mama dorastała razem z nimi w rodzinie zastępczej.

– Co ty nie powiesz! – wyrzucił z siebie z niedowierzaniem Pohjanen. – Ale w takim razie jest jeszcze jeden powód, dla którego...

– Nie ma takiej możliwości! – ucięła Rebeka. – Jeśli o mnie chodzi, to rodzina Pekkarich może wypierdalać.

POHJANEN OPADŁ na swoją skosmaconą sofę. Rebeka, pożegnawszy się pospiesznie, opuściła prosektorium. Próbował pytać ją o ciotkę, próbował ją zatrzymać, ale to tak, jakby chciał wyhamować pociąg z rudą żelaza.

Osobliwy zbieg okoliczności. Dotarło do niego, że to, co wiedział o rodzinie Rebeki ze strony mamy, to... No, właśnie nic. Jej matka zginęła w wyniku wypadku albo samobójstwa, kiedy Rebeka miała dwanaście lat. Weszła na szosę wprost pod koła ciężarówki. A teraz okazuje się, że istnieje ciocia. Chociaż mama Rebeki była przybranym dzieckiem, więc jak tę krewną-nie-krewną nazwać – przybrana ciocia? I martwy przyszywany wujek. A do tego trup w zamrażarce wuja.

– Człowiek nigdy się nie przestanie dziwić – wyskrzeczwał w kierunku Anny Granlund, która opróżniła zmywarkę. – To mogą napisać na moim nagrobku.

Anna stanęła w drzwiach.

– Co powiedziałeś o nagrobku? – spytała zaniepokojona.

Ale Pohjanen zdążył zasnąć z brodą wspartą na obojczyku. Anna ostrożnie wcisnęła poduszkę między bark i ucho medyka.

Obudziło go delikatne dotknięcie. Ale nie stała przy nim Anna Granlund, tylko jakaś nieznaną mu pielęgniarka. Momentalnie wpadł w zły humor. Nie lubił, kiedy obce osoby widziały go w czasie snu. I niech go przynajmniej, kurwa, nie dotykają. Pielęgniarka miała na sobie różowe spodnie i bluzę w tym samym kolorze.

Od kiedy personel zaczął wyglądać jak guma do żucia?, pomyślał. Co się tutaj dzieje?

Spojrzał na zegarek na przegubie ręki. Kwadrans po siódmej. O tej porze żona czekała z obiadem.

– Ktoś chce z panem rozmawiać – powiedziała guma do żucia. – Wyjaśniłam mu, że nie ma takiej możliwości, ale... To Börje Ström. Przyszedł na izbę przyjęć i zapytał o pana. Przyjechał tu aż z Älvsbyn.

W drzwiach za nią stał mężczyzna, szeroki w barach jak wrota obory. Długie ramiona wieńczyły pięści niczym czechoty. Włosy miał jasne, falowane. Oczy niebieskie jak wiosenny lód. Zewnętrzne kąciaki oczu skierowane lekko ku dołowi nadawały twarzy smutny wyraz. Nos był oczywiście złamany, nieodzowne znamię boksera.

Pohjanen podniósł się z sofy. Przejechał ręką po włosach i po kącikach ust, na wypadek gdyby w czasie snu się poślinił, poprawił zielony fartuch, przeleciał po nim wzrokiem, by sprawdzić, czy go nie poplamiał albo nie zapiął guzików jak Gancio.

– Börje Ström! – wysapał. – To dopiero...

Wyciągnął rękę na powitanie. Guma do żucia skorzystała z okazji i wymknęła się do pracy.

Pięściarz uściśnął dłoń medyka delikatnie, jakby obawiając się, że coś w niej skruszy.

Byli w podobnym wieku. Ström miał sześćdziesiąt pięć lat, Pohjanen zaledwie dwa lata więcej, choć każdy dodałby mu jeszcze ze dwadzieścia.

Pohjanen nagle uświadomił sobie, że powinien zamknąć usta. Ale zaraz znów je otworzył i poinformował o stopniu pokrewieństwa. O tym, że są kuzynami w drugiej linii.

– Ale to już powiedziałem przez telefon – dodał z pokorą. – I pewnie wszyscy do pana podchodzą i mówią, że w jakiś sposób łączą was więzy krwi.

– Zdarza się – przyznał Börje. – A ja pomyślałem, że... Po rozmowie z panem... Że przyjadę tu, żeby go zobaczyć.

– Rozumiem. Oczywiście. Chociaż to może nie być przyjemny widok.

– Tak, bez wątpienia.

– Nie jest do siebie podobny, że tak powiem – dodał Pohjanen. I od razu pomyślał, że powinien się ugryźć w język, zamiast paplać bez końca.

16 czerwca 1962

Dzień, w którym tato Börjego przepada bez śladu, zaczyna się zupełnie normalnie. Przez resztę życia Börje będzie pamiętał każdy szczegół z tego dnia, nawet najbardziej banalny. Zagięcie jest niczym raca, oświetlająca wszystko dookoła.

Börje budzi się wcześnie, parę minut po siódmej, choć to niedziela. Skrada się do kuchni i przygotowuje dwie kanapki. Mama jeszcze śpi. Kromki chleba kruszą się pod naporem twardego masła.

Dzisiaj przyjedzie po niego tato i zabierze na tygodniowe wakacje.

Cały dzień spędza w domu, spogląda na zegar, na poruszające się niemrawo wskazówki. Koledzy dzwonią do drzwi, pytają, czy nie wyjdzie na rower, ale on nie chce.

Mama siedzi przy stole nad krzyżówką. Włosy ma świeżo umyte i nawinięte na duże wałki. Pali i nie patrząc na niego, pyta:

– Dlaczego nie wyjdiesz się pobawić? On nie przyjedzie wcześniej niż wieczorem.

A potem dodaje, jakby tylko do siebie:

– O ile w ogóle przyjedzie. Jest mi winien pieniądze.

Ale Börje chce tylko czekać na tatę. Nie potrafi robić nic innego, niż czekać. Siedzi na swoim łóżku ze stertą gazet. „Kaczor Donald”, „The Phantom”, „Ilustrowane Klasyki”. Nie może się skupić na czytaniu. Myśli o tacie i o nadchodzącym tygodniu. Próbuje pamiętać o przewracaniu stron, bo mama może go obserwować ze swojego miejsca przy kuchennym stole.

Każdego innego dnia zamknąłby drzwi do swojego pokoju. I uświadomił mamie, że on już „nie wychodzi się pobawić”. Wkrótce skończy dwanaście lat. A mama pewnie myśli, że on ciągle ma tylko pięć. Ale teraz nie chce jej drażnić. Czyli: niezamknięte drzwi i zero tupetu.

– Cieszysz się na wyjazd? – pyta mama, kiedy jedzą na lunch resztki z luksusowego sobotniego obiadu, polędwicę z anansem.

Börje słyszy, jak mama dokłada starań, żeby zabrzmieć lekko. Jakby się nie przejmowała. Ale on przecież kapuje. Mama nigdy nie myje głowy w niedzielę. Teraz zdjęła wałki i włożyła najładniejszą sukienkę.

– No jak? – pyta jeszcze raz i próbuje ściągnąć na siebie jego wzrok, który on wbił w kadr gazetki o Kaczorze Donaldzie. – Trochę się chyba cieszysz?

Börje wkłada do ust kolejny kęs, by nie musieć odpowiedzieć. Wzrusza ramionami. Jakby jemu też nie zależało.

Udają przed sobą na tyle, na ile potrafią. Że ojciec nic dla nich nie znaczy. Börje nie może nic okazać. Ani radości. Ani tęsknoty. Bo wtedy mama nagle zgasi papierosa, położy dłoń na jego czole i zawyrokuje, że syn ma gorączkę. Stanie w drzwiach z założonymi rękami, kiedy przyjedzie tato, i wszystko odwoła.

Ale teraz mama akceptuje jego lekceważące wzruszenie ramion. Robi się niemal wesoła, włącza Radio Nord i podśpiewując, bierze się do zmywania. Potem wyskakuje na jakiś czas do sąsiadki. Kiedy Börje zostaje sam, wygląda sto razy przez okno w kuchni, wychodzące na podwórze. Dzień upływa. Mama wraca i nie zmieniwszy sukienki na gorszą, zaczyna czyścić żalu-

zje. Podaje mu na obiad krem z suszonych owoców i kanapki. Za dwanaście siódma w końcu rozlega się dzwonek u drzwi.

I staje w nich tato.

Börje niemal nie potrafi na niego spojrzeć, skupiony na tym, by nie zapomnieć o oddychaniu. Tato jest taki ogromny. Wysoki i szeroki w barach, wąski w pasie. Rękawy koszuli opinają się na mięśniach. Prawie nie mieści się między lustrem a stojakiem na płaszcze. Zatrzymuje się na wycieracze. Mama ściąga fartuch i robi lekki, zapraszający ruch głową, tato przesuwa się pół kroku w przód. Jest opalony, choć to dopiero początek lata. Włosy są tak jasne, że prawie białe. I bardzo krótko przystrzyżone. Równe białe zęby i niebieskie oczy. Nos jest przetrącony, bo tato potrafi się boksować. Jedno ucho może trochę odstaje, ale to nie zaburza całości.

„Typowy Fin”, zwykła mówić mama koleżankom, gdy rozmowa schodziła na tatę. „Bóg jeden wie, o czym myślałam. Ledwo zdążyłam mrugnąć okiem i zaciążyłam”.

Ale teraz w przedpokoju płoną jej policzki. Przekazuje plecak Börjego, wiszący na jej wskazującym i środkowym palcu. Tato go odbiera.

– To też masz wziąć? – pyta, wskazując na papierowe torby z symbolem nieskończoności, logo Konsumu, które Börje trzyma w rękach.

– Tak.

– Jestem motocyklem... – mówi tato, gładząc się w zamyśleniu po brodzie.

Mama przewraca oczami i cała głowa zatacza koło ku sufitowi. Loki nie poruszają się nawet o milimetr. Włosy są jak zasporejowany hełm.

– Dobrze, zaraz przepakuję – odpowiada i odbiera im plecak i reklamówki. – Myślałeś, że wystarczy mu jedna zmiana na cały tydzień?

– Poradzę sobie, mamu – odzywa się Börje. – Nie potrzebuję dużo. Przecież jest lato.

Mama znika w kuchni. Słyszą, jak poirytowana rozsuwa zamek w plecaku i szeleści torbami.

– Jesteś mi też winny pieniądze – woła do taty. – Kiedy masz mi zamiar oddać?

Börje czuje niepokój. Wie, że mama jest teraz zła. Ale tato uśmiecha się i mruga porozumiewawczo. Börje odwzajemnia uśmiech.

Uśmiecha się tak szeroko, że czuje napinającą się twarz. A w rękach kipi szczęście, jakby pełno w nich było bąbelkującej oranżady.

Kiedy schodzą na podwórko, przed motocyklem zdążyło się zebrać paru podrostków. Patrzą z zazdrością na Börjego, jak wkłada skórzaną kurtkę i kask, które tato ma ze sobą. Rodziciel dowcipkuje, rozmawia z chłopakami i demonstruje swój czarny BSA Golden Flash 650, rocznik 1956. Börje mieszka tylko z mamą. Zazwyczaj to on stoi obok, przepełniony uczuciem zazdrości, gdy ojcowie kolegów pakują samochód, nim ruszą do rodzinnych wiosek w dolinie rzeki Torne. Albo odśnieżają przed bramą i woskują synom narty. Ale teraz, właśnie w tym momencie, nie ma nikogo, kto nie chciałby zamienić się z Börjem. Żeby mieć takiego starego!

– Pokaże nam pan tatuaże? – odzywa się jeden z młodszych chłopczków.

Tato pyta ze śmiechem, który z nich chcą zobaczyć. Starsi podśmiewają się zażenowani, ale któryś z tych młodszych wykrzykuje zuchwale:

– Kobitkę, to jasne!

Tato rozpina koszulę i pokazuje nagą dziewczynę, która siedzi na środku ringu, a z jej szyi zwisają na sznurku rękawice bokserskie, zasłaniając najbardziej tajemnicze części piersi.

Chłopcy nie przestają pytać. Bardzo bolało? Ile miał lat, kiedy zrobił pierwszy tatuaż? Jak to możliwe, że ma ich tak dużo? Czy wytatuował coś na fiucie? Najodważniejszy przyciska palec do piersi taty, jakby chcąc sprawdzić, czy rysunek jest tam naprawdę na stałe.

– Tak, to boli – przestrzega tato. – Nie tatuujcie się, chłopaki. Tylko marynarze, więźnio-

wie i włóczykije się dziarają. Jak chcecie dostać pracę w kopalni, to trzymajcie się od tego pa-skudztwa z daleka.

I wszyscy myślą to samo, że nie chcą, kurde, pracować w kopalni, jak ich ojcowie. Chcą się dziarać, boksować i jeździć motocyklem.

Pędzą szosą we wczesnoletni wieczór. Börje ma na sobie plecak, a rękami obejmuje kie-rowcę w pasie. Tato trzyma swój plecak na brzuchu. Mijają zagrody, lasy i łąki z poszarzałymi szopami na siano. Zatrzymują się, by przepuścić wracające z lasu krowy. Krasule tarasują całą drogę. Börje zapamięta na zawsze głuche dzwonki na szyjach krów prowadzących stado, nie-ustanne muczenie z tęsknoty za wieczornym dojeniem, wypełnione do granic możliwości wy-miona zwisające ciężko pod brzuchami. Zapamięta jaskółki łowiące owady dla swych piskląt i druty telefoniczne żarzące się w wieczornym słońcu. Zapamięta rzekę. Rzekę Torne, wijącą się cały czas wzdłuż drogi.

W Junosuando przejeżdżają przez most i zacierają ku Kurkkio. Za nimi tylko tumany ku-rzu wzbijane przez motocykl.

Ostatni odcinek wiedzie leśną drogą. Piaszczysta ziemia jest miękka, Börje ma wrażenie, jakby jechali po trocinach. W końcu docierają do celu.

Brązowy domek ma blaszany dach. Klucz jest schowany w puszcze po konserwie, która stoi za wychodkiem.

– Możemy tu mieszkać przez tydzień, tylko w zamian musimy wymienić schodki przed drzwiami i wymalować drewnianą – wyjaśnia tato. – Ale przecież zrobimy to w trzy miga. Ty i ja umiemy współpracować, no nie?

Börje potakuje.

– Jesteś głodny?

Börje kręci głową. Nie ma odwagi otworzyć ust. To takie dziwne. Ma wrażenie, że jeśli tylko zacznie mówić, to się rozplacze. Nie ze smutku, tylko z powodu ogromu uczucia, którego nie potrafi wyjaśnić. Ostrożnie rozgląda się dokoła. Słońce rozpluwające się w ospalej rzece. Od-wrócona do góry dnem łódka spoczywa – podobnie jak pomost – kawałek od brzegu, na skraju lasu. To znak, że lato dopiero się zaczyna.

– W takim razie idziemy na ryby – mówi tato i wskazuje na wodę. – Widzisz, jak wypły-wają?

Börje patrzy. Powierzchnię wody rozcinają coraz większe kręgi.

Łódka nabiera trochę wody, ale nie za dużo, Börje nie czuje strachu. Wędkują w milcze-niu. Słychać tylko subtelne dźwięki. Świszt żyłki, chlupnięcie błystki, gdy wpada do wody, jej ty-kanie podczas ściągania. Pluśnięcie gdzieś dalej. Jakieś zwierzątko, które zanurkowało, może szczur wodny? Jakiś krzyk.

– To myszołów – mówi tato.

Złowili dwa okonie i jednego pstrąga. Tato ma w plecaku sól i opakowanie zsiadłego mleka. Rozpalają nad brzegiem rzeki ognisko i opiekają ryby. Jedzą rękami, popijając mlekiem z czerpaków. Potem tato rozpala w saunie. Czekając, aż się nagrzej, ucinają sobie drzemkę przy ognisku. Kąpią się w saunie – Börje siedzi na najniższej ławce, tato na samej górze.

Chłodzą się w rzece. Börje nurkuje i pływa długo pod wodą.

– *Ninku saukko* – mówi tato. – Jak wydra.

Po kąpielu trenują trochę boks. Już dawno minęła pora, by pójść do łóżka, ale to nie ma znaczenia. Noc jest jasna, a tato mówi, że w tym tygodniu będą spać, kiedy ich zmorzy sen. Tato to zdolny bokser, ale jeden cios w oko położył kres jego karierze.

– Jak nie zdążysz zobaczyć, kiedy nadchodzi prawy sierpowy, to jesteś bez szans.

Unosi swoje wielkie dłonie i pozwala Börjemu w nie tuc.

– Prosty w głowę – komenderuje. – Wtedy przeciwnik podnosi gardę, a ty go atakujesz w tułów. Drugi cios jest najgroźniejszy, ten pierwszy widać jak na dłoni. Oddychaj! Jak zapomnisz o oddechu, to się nie dotlenisz i będziesz zmęczony. Podnieś gardę, zawsze trzymaj gardę. Hej, co za cios! A teraz prosty w najniższe żebro. Bach! Bum! Super!

– Niiieee, jeszcze trochę – prosi Börje, kiedy tato pyta go, czy nie jest zmęczony i nie chce iść spać.

Wtedy ćwiczą odchylenia, szybkie odsunięcie głowy w lewo, w prawo, by uniknąć ciosu.

– Unik! Nie opuszczaj gardy!

Nagle tato chwyta go za ramię. Nie za mocno, ale tak, żeby Börje się zatrzymał.

– Słyszysz? – pyta, nasłuchując w kierunku lasu.

Börje łowi uchem dźwięk silnika, coraz wyraźniejszy. Spogląda na twarz taty. Ta przyjmuje nowy wyraz. Börje czuje przepływającą przez ciało falę niepokoju.

Tato przewraca łódkę do góry dnem.

– Tutaj! – nakazuje. – Właż. I siedź cicho. Ani mru-mru. Rozumiesz? Nie ruszasz się stąd, aż po ciebie przyjdę i powiem, że droga wolna. Nie wcześniej. Przytaknij, żebym wiedział, że zrozumiałeś.

Börje potakuje i robi, co mu kazano. Tato oddala się szybkim krokiem.

Börje nasłuchuje. Samochód podjeżdża pod chatkę. Silnik nie gaśnie. Słysząc głosy, lecz nie sposób rozróżnić słów.

Słysząc czyjeś kroki. Ktoś okrąża domek, zagląda do środka, po chwili wychodzi. Idzie nad brzeg rzeki. Zatrzymuje się przy łodzi. Börje siedzi jak trusia. Widzi buty, lecz te nie należą do taty. Obce stopy są na wyciągnięcie ręki. Mógłby ich dotknąć.

Ale teraz bezgłośnie wsuwa stopy pod ławeczkę przy wiosłach i kładzie ręce po wewnętrznej stronie burty. A potem podnosi ciało z podłoża. Odpycha się rękami, unosi tyłek, wygina plecy w łuk, drży z wysiłku.

Nieznajoma osoba kładzie dłonie na ziemi i zagląda pod łódkę. Börje chwyta powietrze oddechem krótkim i bezgłośnym. Obcy podnosi się i oddala w kierunku chatki. Börje zeskakuje na ziemię, miękkie podłoże tłumi kłapnięcie. Serce tłucze się w piersi z wysiłku.

Nagle samochód odjeżdża. Börje chce od razu wypełznąć, bo wszystkie okoliczne komary zwiedziały się o jego kryjówce. Kąsają go tam, gdzie – co Börje wie doskonale – będzie najbardziej swędziało. Wokół kostek, pod stopami, na nadgarstkach i po zewnętrznej stronie dłoni.

Ale nie wolno mu się ruszyć z miejsca, dopóki tato nie przyjdzie i nie powie, że droga wolna.

Czeka więc. Tato na pewno zaraz się pojawi. A potem Börje, nim zaśnie, złoży głowę na jego ramieniu. Napalą w kominku i Börje poprosi tatę, by opowiedział o walce o tytuł mistrza świata między Ingo a Floydem. Tato zna ją na pamięć.

Upływa coraz więcej czasu. Może poszedł zaparzyć kawę? A może zapomniał o tym, co mu kazał? Że Börje nie może się ruszyć, dopóki on nie przyjdzie i nie powie, że droga wolna?

W końcu chłopiec wypełza niczym wąż. Nasłuchuje. Wokół kompletna cisza. Tylko komary i plusk wody uderzającej o brzeg.

Nigdzie nie widać taty. Ani w domku, ani w saunie, ani w wychodku.

Börje biega po podwórzu bez ładu i składu. W końcu nabiera odwagi i woła:

– Tato! *Isä!*

Nikt nie odpowiada tej jasnej letniej nocy. Oprócz ptaków, zrywających się do lotu nad wodą.

Wiele lat później Börje pomyśli, że w jakiś sposób życie zatrzymało się właśnie tam nad rzeką. Kiedy stał przy brzegu i wołał tatę.

LEKARZ MEDYCYNY SĄDOWEJ Lars Pohjanen wszedł do sali sekcyjnej przed Börjem Strömem. Opadł na swoje stalowe krzesło na kółkach. Börje zatrzymał się przy metalowym stole, na którym spoczywały szczątki jego ojca. Przyglądał się uważnie tatuażom. Po chwili musiał cofnąć się o krok. Oddychał z nosem wciśniętym w rękaw swetra.

– O rany! – wykrzyknął i przełknął ślinę. – Pan pewnie przyzwyczajony do jeszcze gorszych rzeczy?

Pohjanen odchrząknął.

– Tak. Teraz to już człowiek chyba widział i wahał prawie wszystko.

– Postrzelony w pierś – skomentował Börje cicho. – Boże drogi, w cóż on był wplątany? Co mówi policja?

– Policja? Nic nie mówi. Morderstwo się przedawniło.

Börje Ström drapał się w głowę jak niedźwiedź.

– Przedawniło? Wie pan, człowiek może nie do końca ma tu w środku poukładane, po tych wszystkich uderzeniach w czaszkę. Ale nie przypuszczałem, że morderstwa podlegają przedawnieniu.

Pohjanen ściągnął twarz, tak że z wyglądu przypominał leminga.

– Ma pan rację. Teraz już nie podlegają. Ale to dotyczy tylko morderstw dokonanych po osiemdziesiątym piątym roku. Prawo zmieniono sześć lat temu, w dwa tysiące dziesiątym, żeby zabójstwo Palmego się nie przedawniło.

– Rozumiem – uśmiechnął się krzywo Ström. – W takim razie szkoda, że nie miałem ojca, który był premierem.

Pohjanen podjechał do blatu, na którym leżał stos ubrań zmarłego. Podniósł koszulę.

– Poznaje ją pan?

Przez kilka sekund Börje Ström jak zauroczony chłonał wzrokiem materiał w niebiesko-bordową kratkę.

– To koszula taty – powiedział łamiącym się głosem.

A potem zadrgały mu mięśnie twarzy.

Pohjanen poczuł, jak drętwieje. Czyżby Börje Ström zamierzał się teraz rozplakać? Sam nie był płaczkciem. Z paroma wyjątkami: płakał, kiedy w telewizji oglądał programy o minionych dokonaniach sportowców i o Amerykanach, którzy szukają swoich korzeni w Szwecji. Wyciągnął rękę w kierunku boksera, ale zatrzymał ją w połowie drogi i wcisnął w kieszeń. Włożył rękę do kieszeni. Zaciśnij je w pięść. I trzymaj zaciśnięte.

Pohjanen patrzył, jak Börje Ström opiera się emocjom. Jak bokser o liny. Pięści Ströma uniosły się nieznacznie. Jakby siłą nawyku, by chronić głowę i tułów, łącznie z sercem. Ale co garda pomoże w tym rodzaju bólu? Żałoba zadaje ciężkie ciosy od środka.

– Jeśli pan potrzebuje więcej czasu... – powiedział Pohjanen i pochylił się, by wstać z krzesła. – Poczekam...

Zakończył zdanie skinieniem w kierunku jadalni.

Börje Ström wyprostował się i pokiwał głową.

– W porządku. Muszę się tylko oswoić z myślą, jak sądzę. Że nikt nie zamierza nic zrobić. Że nigdy się nie dowiem...

Pohjanen otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Profesja nauczyła go, by nie składać obietnic, których nie będzie mógł dotrzymać.

– Wraca pan od razu do Älvsbyn? – zapytał w końcu.

– Nie. Myślę, że zostanę tu kilka dni. Muszę załatwić pogrzeb.

Podziękował medykowi za poświęcony mu czas i poszedł.

Pohjanen został przy zmarłym. Nie był typem sentymentalnym. Żal ludzi, owszem, ale

człowiek człowiekowi wilkiem. Medyk niejedno miał w swoich rękach. Skatowane kobiety i dzieci, młode ofiary samobójstw, tragiczne wypadki śmiertelne, morderstwa i choroby, wszystko to latami odkładało się w nim w skorupę żalu i coś w rodzaju rezygnacji, którą jego żona nazywała cynizmem. To była podstawa jego zawodowej osobowości.

– Jak bym sobie inaczej poradził? – zwrócił się do nieboszczyka na stalowym blacie. – Żeby robić dobrą robotę, trzeba zachować dystans.

A jednocześnie wiedział, że każda martwa osoba zabrała ze sobą do grobu jakiś fragment jego całości. Że byłby lepszym ojcem i mężem, gdyby obrał inną drogę.

– Chirurgię ręki na przykład – powiedział i zaczął kaszleć. – Albo, czy ja wiem... Gdybym został laryngologiem i wszczepiał taśmowo implanty ślimakowe.

Nie miał w zwyczaju rozmawiać ze zmarłymi. To był wyjątek.

Ale wzbierały w nim uczucia. Gniew. Z powodu tego, jak Szwecja potraktowała Ströma po jego walce w Catskill Mountains. Wstyd. Z powodu tego, jak jego własna rodzina traktowała Börjega, zanim zrobił karierę boksera, kiedy był jeszcze chłopcem.

– Łącznie z moim ojcem – dodał. – I ze mną też. Czy choć raz nie mógłbym po prostu olać tego dystansu? Zrobić czegoś? Pomóc? Bo mogę. Bo nie zostało mi dużo czasu.

REBEKA MARTINSSON zatrzymała samochód na podwórzu. Wyłączyła silnik. Siedziała w środku, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu.

Skąd to potworne zmęczenie?, pomyślała. Powinnam pójść do lekarza na kontrolę. Całe szczęście, że już po zimie i nie muszę odgarniać śniegu.

Smarkacz podniósł się w klatce. Chciał wyjść, by zatoczyć koło z nosem przy ziemi.

Rebeka omiotła swój dom osowiałym wzrokiem. Dom odpowiedział równie osowiałym spojrzeniem. Przypomniała sobie, że powinna zadzwonić do kogoś w sprawie dachu, ale to nie dziś.

Przyszywana siostra mamy, Ragnhild. I brat Ragnhild, Henry, który zmarł na wyspie. I zwłoki ojca Börjega Ströma, znalezione w zamrażarce Henry'ego.

Był jeszcze jeden brat, Olle Pekkari. Rebeka wiedziała, że ciągle prowadzi z synem przedsiębiorstwo rodzinne, mimo że jest na emeryturze.

Mamę umieszczono w rodzinie zastępczej, kiedy miała trzy lata. Rebeka nie wiedziała nic o swojej biologicznej babci ze strony mamy. Kiedyś mama powiedziała: „Ja też nic nie wiem. Sama była jeszcze dzieckiem, kiedy mnie urodziła, więc zostawiła mnie u Pekkariach i wróciła do Sodankylä”. Pekkariowie to jedyna rodzina mamy, ale Rebeka nie utrzymywała z nimi kontaktu. Mama wyprowadziła się od męża i córki, kiedy Rebeka miała siedem lat. Gdy skończyła osiem, umarł jej tato. Mieszkała ze swoją babcią ze strony taty, a mama – potrącona przez ciężarówkę na prostej drodze – zmarła, gdy Rebeka miała lat dwanaście.

Została jej tylko babcia. I Sivving. Oni stanowili jej rodzinę.

Nazwisko Pekkari wypłynęło przy jakiejś okazji. Rebeka miała mgliste wspomnienie, jak Sivving mówił babci, że Pekkariowie powinni pomóc Rebecce. Żeby mogła pojechać na narty albo dostać nowy rower.

– Nigdy w życiu – zarzekała się wtedy babcia. – Nigdy ich o nic nie poproszę! Wyrzucili Virpi z domu, jak miała czternaście lat.

Bo tak w ogóle babcia nie mówiła dużo o mamie. Rebeka nauczyła się dość wcześnie, że pytania o mamę i tatę napełniały babcię smutkiem, jej twarz się zamykała. Czy mamusia lubiła sine kluski? Tego nie wiem. A jakie lubiła kwiaty? Pytasz i pytasz. A jak się spotkali? Na tańcach chyba, nie pamiętam zbyt dokładnie.

Kiedy Rebeka miała się przeprowadzić na południe kraju, by studiować prawo, jedna z sąsiadek skomentowała: „Teraz widać, że to córka Virpi”. Nie wyjaśniła, co ma na myśli, ale

Rebeka chyba zrozumiała. Virpi była osobliwym typem i jej córka również. Oczywiście niektórym mieszkańcom trudno przyszło to strawić. Że córka Mikka zostanie prawniczką. Jej rodzice mieli we wsi niską pozycję społeczną. Mikko ze swą firmą, z której ledwie ciągnął jakieś zyski. Kiedy Rebeke prześladowały inne dzieci, nie potrafił się im przeciwstawić. Dopiero później zrozumiała dlaczego. Rodzice właśnie tych dzieci prześladowali go, gdy sam był dzieckiem. Historia się powtarzała. W koło, w koło, jak na karuzeli.

Minęło parę lat i Rebeka przyjechała w odwiedziny do babci w długim palcie i eleganckich kozaczkach. A niech się pogapią, pomyślała. Burzyła cały porządek świata tym płaszczem marki Tiger.

A potem życie w Sztokholmie stało się więzieniem. Praca, praca i tylko praca. Rebeka zatraciła swoje ja. Przyjeżdżała do domu latem zaledwie na tydzień. Zostawała parę dni na Boże Narodzenie. Teraz jej płaszcze były od Prady.

W końcu przyjazd na pogrzeb babci.

Ciągle jeszcze mogłaby tam tkwić. Drobić po perskich kobiercach w kancelarii w coraz droższych butach. Obumierać przy odmóżdżających serialach w coraz droższych mieszkaniach.

Gdy opuściła stolicę i wprowadziła się do babcinego domu pokrytego szarym eternitem, poczuła się wolna. Kariera adwokacka z niekończącym się dniem pracy, nakaz zafakturowanych godzin, bogaci klienci bez zasad moralnych, cały ten potrzask się zamknął. Rebecce udało się wymknąć. Była zraniona, ale żyła. Odnalazła swe leże na południowym stoku, otoczona wysłużonymi sprzętami, które przypominały jej o życiu z babcią. Własnoręcznie utkane firanki i malowane meble, dawne gatunki kwiatów od sąsiadów, którzy opowiadali, jak kiedyś sami dostali szczepkę od babci Rebeci.

Ale teraz znów znalazła się w potrzasku. Znów pracowała chorobliwie dużo. Dla kogo? W dodatku za ułamek wielkowiejskiej płacy.

No i jak, kurwa, do tego doszło, że znalazła się pod obcasem von Posta?

– Mam ją w dupie! – krzyknęła, nie wiedząc do końca, kogo ma na myśli.

Wtem ktoś zastukał w szybę. Na zewnątrz stał Sivving.

– Siedzisz sobie i marzysz? – zapytał, kiedy Rebeka otworzyła drzwi samochodu.

Słońce wisiało nisko. Ptaki świergoliły i kapało z dachu.

– To tylko wiosenne zmęczenie – powiedziała.

– Tak, człowiek się robi niemrawy na przedwiośniu, kiedy słońce przygrzewa nad śniegiem, a wiosna za pasem.

Wypuściła Smarkacza, który momentalnie zaprosił suczkę Sivvinga, Bellę, do zabawy. Skakał to w jedną, to w drugą stronę, kłaniał się nisko i wywijał ogonem tak intensywnie, że Sivving nie mógł się powstrzymać od śmiechu i komentarza, że mu ten chwost odpadnie u nasady.

No, chodźże wreszcie!, zdawał się wołać.

Ale Bella nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem. W zębach trzymała tradycyjną rękawicę z Lovikki.

– Zwariować z nią można – powiedział Sivving, patrząc na zwierzę czułym wzrokiem, który przeczył słowom. – Najpierw była w ciąży urojonej, a teraz zaadoptowała tę rękawiczkę. Popiskuje, ścieli gniazdo i wyprawia brewerie. Od tygodnia spać mi nie daje. Myślałem nawet, żeby zapytać, czybyś jej na jakiś czas nie wzięła do siebie. Masz ochotę na mięso w sosie koperkowym?

Potrząsnął zachęcająco plastikowym pojemnikiem.

– Trzeba tylko ugotować ziemniaki. Słuchaj, byłaś na badaniu technicznym samochodu?

– Jeszcze nie, ale pojadę – odparła Rebeka i poczuła tak silną chęć, by zdrzemnąć się na sofie, że aż wzięły ją mdłości.

– Co ci jest? – zaniepokoił się Sivving.

– Miałam taki dziwny dzień w pracy...

– Spotkałaś Kristera?

– Co? Nie, ja... To znaczy, Krister nie ma z tym nic wspólnego.

Ale gdzieś w zakamarku duszy pojawiło się wspomnienie, jak spojrział dziś w jej okno.

– Aha. Opowiesz przy obiedzie. Masz ziemniaki? Czy muszę przynieść?

Odgrzewali mięso w sosie koperkowym i gotowali ziemniaki, aż szyby kuchni Rebeki zaparowały. A potem, już przy stole, Rebeka opowiedziała o Henrym Pekkari, który zmarł na wyspie Palosaari, i ojcu Börjega Ströma, znalezionym w zamrażarce Henry'ego.

Psy rozłożyły się zadowolone na podłodze. Ich sucha karma została doprawiona odrobiną mięsa z koperkiem.

Bella wcisnęła wełnianą rękawiczkę pod brzuch i warczała na Smarkacza, gdy podchodził zbyt blisko.

– Od sześćdziesiątego drugiego roku – powtórzył Sivving, dłubiąc paznokciem między zębami. – Rozmawiałaś z Ragnhild Pekkari? Z Ollem?

– Nie. Morderstwo uległo przedawnieniu. A oni w zasadzie nie są moimi prawdziwymi krewnymi; ani ciocią, ani wujkiem. Przecież wiesz, że nigdy nie...

Rebeka zakończyła zdanie wzruszeniem ramion.

Wtem psy zerwały się i zaczęły ujadać.

Z podwórza dobiegł dźwięk silnika.

– A kogoż to niesie? – zastanawiał się Sivving.

Rebeka wstała od stołu, by wyjrzeć przez okno.

Na podwórzu z taksówki mozolnie gramolił się lekarz medycyny sądowej.

– Pohjanen – wyjęczała Rebeka. – Przyjechał, żeby mnie urobić.

Pohjanen dał się zaprosić na obiad. A potem przesuwając mięso i ziemniaki po talerzu tak długo, iż można się było nabrać, że coś zjadł.

– Nigdy cię o nic nie prosiłem, Martinsson – powiedział i z przyjemnością oparł stopy o Smarkacza, który położył się akurat pod nim. – Powinnaś mi wyświadczyć tę przysługę. Czy w tym lokalu nie podają nic do picia?

Rebeka podniosła się i podeszła do narożnego kredensu. Wyciągnęła trzy kieliszki do wódki i butelkę PET z bimbrem.

Wypili po dwa sznapsy. A potem Rebeka oznajmiła:

– Jutro muszę wcześniej wstać. Mam teraz dużo roboty, gdy Björnfort jest na urlopie.

Spojrziała znacząco na zegarek, lecz żaden z mężczyzn nie wspomniawszy ani słowem o tym, że pora kończyć albo że jutro też jest dzień. Mieli się świetnie w jej kuchni i nigdzie im się nie spieszyło. Polewali sobie nawzajem. Kiedy opróżnili butelkę, Sivving wstał i bez pytania wyciągnął następną.

Oparł się o szczebelki krzesła, aż zaskrzypiały.

– Börje Ström – powiedział. – Jego wygrana w mistrzostwach Szwecji w sześćdziesiątym ósmym przeszła do historii. Moim zdaniem to większy wyczyn niż złoto olimpijskie.

– Zgadzam się – przytaknął Pohjanen. – Ciągłe jeszcze junior, a przeciwnicy padali jak bierki.

– A po walce w Catskill Mountains...

Sivving potrząsnął głową. Pohjanen zawtórował tym samym.

Rebeka wstrzymała się z pytaniem, co się stało po Catskill Mountains i co to był za mecz. Marzyła o łóżku.

– Börje Ström zasłużył na więcej wtedy i zasługuje na więcej teraz – rzekł Sivving. – Mo-

żemy w każdym razie spróbować dociec, co się przydarzyło jego ojcu.

Możemy, pomyślała Rebeka. Jacy my?

– Rebeka – kontynuował Sivving błagalnym tonem. – Nie mogłabyś w tym pomóc?

– Myślałam, że chciałeś, żebym się zajęła Bellą – odpowiedziała sucho. – Nie mogę jednocześnie...

– E tam – przerwał jej i zatoczył ręką szeroki łuk, drugą nalewając do kieliszków. – Ja wezmę psy, a ty weź trupa z zamrażarki.

– Możesz zapytać kogoś innego – zwróciła się Rebeka do Pohjanena. – Przecież nawet nie jestem policjantką.

Pohjanen zaniósł się szyderczym śmiechem. Zabrzmiało to jak odgłos wydawany przez puste puszkę po konserwach potrząsane w torebce.

– A kogóż miałbym zapytać?

– Nie, no, jasne – mruknęła, sprzątając ze stołu.

Wiedziała, jak się mają rzeczy. Policjanci w regionie szanowali Larsa Pohjanena, ale nie darzyli go szczególną sympatią.

Medyka złościło zachowanie policjantów na miejscu przestępstwa. W sali rozpraw nazywał ich swoimi „dzięki Bogu daktyloskopowanymi przyjaciółmi w służbie bezpieczeństwa publicznego”. Dobrze, że odciski palców i DNA policjantów znajdowały się w policyjnej registraturze, ponieważ stróże prawa mieli zadziwiającą właściwość kontaminacji miejsca zdarzenia i ofiary. Policjanci odwzajemniali się, obszczekując go za jego plecami, na tyle, na ile mogli. Żartowali, że trudno go odróżnić od truposzów, których trzyma w chłodni. Pewnego pięknego dnia Anna Granlund przez pomyłkę rozpiłuje mu czaszkę. Nazywali go Gollumem.

„Według Golluma śmierć nastąpiła natychmiastowo”, można było usłyszeć.

– Wiecie, jak to wygląda, kiedy prokurator zaczyna prywatne śledztwo w czasie wolnym od pracy? – zapytała.

– Gównu mnie obchodzi, jak to wygląda – wyznał Pohjanen chwiejnym głosem. – Proszę cię, Martinsson. Nie mam sił, żeby zrobić to sam. Musisz mi pomóc. To jest ostatnia wola umierającego człowieka.

Zastukał palcem wskazującym w blat stołu, jak gdyby ta wola właśnie tam spoczywała, tuż pod okiem Rebeki. Jego słowa były zupełnie pozbawione typowej dla medyka zręczliwości.

Smarkacz wstał i położył mu głowę na kolanach.

– A tak zupełnie poważnie – powiedziała Rebeka. – Dlaczego to jest dla ciebie takie ważne?

Pohjanen zbierał się do odpowiedzi. Tkwiła gdzieś głęboko.

– Niegodziwość ojców. Może czytałaś o tym w Piśmie? Mam dług do spłacenia. I gdybym mógł pomóc Strömowi... Nie uwolni mnie to od grzechu...

Zakaszła.

– ...ale zdejmie ze mnie część ciężaru. I ty mogłabyś zdjąć ze mnie część ciężaru, Martinsson. Przed moją ostatnią podróżą.

– Próbujesz wzbudzić we mnie poczucie winy – odparła Rebeka z lekkim uśmiechem.

– Uhm... Skutecznie?

Nagle Pohjanen zniknął do połowy pod stołem i zajął się drapaniem Smarkacza za uchem z taką gorliwością, że pies przytupywał tylną łapą, próbując bez skutku pomóc w tym przyjemnym mizianiu.

Ponad stołem Sivving rzucił Rebecę spojrzenie, które zdawało się mówić: przestań go męczyć.

– Pora wracać – oznajmił Pohjanen, podnosząc się na chwiejnych nogach. – Zadzwonisz

po taksówkę?

– Ma się rozumieć! – odpowiedziała Rebeka. – A jutro zadzwonię do Svena Erika Stålnackego. Może mu się trochę nudzi i będzie mógł przyjść z pomocą.

– Czyli zrobisz to dla mnie? – zapytał medyk, nie ustając w mozolnej procedurze ubierania się; ręce do rękawów, szalik wokół szyi. – W takim razie dziękuję ślicznie. Przygotuj się na to, że jegomość Stålnacke potrzebuje odrobiny perswazji. Słyszałem, że po przejściu na emeryturę wzbrania się przed jazdą do centrum. Nie może znieść przenosin Kiruny.

– No, przekopują połowę miasta – wtrącił Sivving. – Jakby przewodniczący zarządu gminy zakopał gdzieś skarb, a potem zapomniał gdzie. Rebeka, weź ze sobą Börjega Ströma i pojedź do Svempy. Kto się oprze Strömowi?

W końcu została w kuchni sama. Znów naszły ją myśli o Kristerze. Te wszystkie ich wspólne obiady z Sivvingiem. Nalała sobie resztę wódki do szklanki i wzięła się do zmywania.

Myślała też o Annie Marii. O ich zażyłości. Ale dlaczego Mella nie mogła przełknąć, że jej wybrakowane zdjęcie spowodowało umorzenie? Zamiast tego obgaduje mnie za plecami, rozpamiętywała Rebeka. A przecież cały czas ma ręce pełne roboty, i w pracy, i w domu.

Gdy wyobraziła sobie liczną rodzinę Anny Marii w gwarnej kuchni, powędrowała myślami do Marcusa, chłopca umieszczonego w pieczy zastępczej u Kristera.

Wówczas musiała zakończyć zmywanie. Smarkacz leżał majestatycznym krzyżem na łóżku. W swoich snach przegonił z sypialni wszystkich nieuprawnionych. Warknął w półśnie, kiedy Rebeka przyciągnęła go do siebie.

RAGNHILD PEKKARI otworzyła drzwi do swojego mieszkania i weszła do przedpokoju. Rano przekręciła klucz w zamku po raz ostatni, a teraz była tu z powrotem. Wszystko zdawało się znajome, a jednocześnie obce. Ileż tysięcy razy przekroczyła próg właśnie w ten sposób, z widokiem na pokój dzienny, oparcie sofy, kwiaty na parapecie, drzwi balkonowe? Ile razy zzuwała buty na właśnie tej wycieraczce, wspierając się o framugę? Teraz jednak miała wrażenie, że nie już tutaj do niej nie należy.

To była zakończona znajomość. Więzy łączące ją z mieszkaniem zostały zerwane. Byli teraz dla siebie obcymi istotami. Jej cztery kąty jawiły się jako martwe. W taki sam sposób, jak niezajmowane od lat pustostany.

Przejrzała się w przedpokojowym lustrze. Co za dziwny dzień, zakończony długą rozmową z policjantem Fredem Olssonem. Zrelacjonowanie przebiegu wydarzeń było czymś bolesnym. Najpierw martwy brat, a potem ciało w zamrażarce.

– A więc nie zadzwoniła pani ani na policję, ani na pogotowie, ani do biura pogrzebowego? – dociekał Fred Olsson. – Tylko szukała pani psa, tak? I w poszukiwaniu jedzenia dla psa otworzyła pani zamrażarkę i znalazła zwłoki.

Zapytał ją, czy nie potrzebuje porozmawiać z psychologiem. Odmówiła.

To oczywiście, że uważają mnie za wariatkę, pomyślała. Ściągnęła buty i powiesiła kurtkę. I może nią jestem. Osoby szalone nie wiedzą, że są szalone.

Jak jakiś intruz stała w łazience i myślała zębami czyjaś szczoteczką. W niebieskim kolorze.

Zatrzymała się w drzwiach do sypialni i wpatrzona w łóżko czuła, że nedorzecznoscia byłoby się w nim położyć. W końcu spoczęła na nim i przykryta pledem gapiła się w sufit.

Wróciła myślą do wyspy i gospodarstwa. Do psa, którego nazwała Villą, który ugryzł ją i zniknął. Nie miała siły stawiać oporu, pozwałała myślom snuć się po głowie. Jakże to ma znaczenie?

Potem pomyślała o prawdziwej Villi, Villi jej dzieciństwa. I o tym, jak będąc dzieckiem, kładła się w saniach wypełnionych miękkim sianem, które *isä* przynosił ze stodoły dla krów. Z opakowaniem rodzynek, jeśli się jej poszczęściło. I którąś z doszczętnie zaczytanych książek.

Leżała tam i czytała przy dźwiękach dobiegających z obory. Przy szczęku krowich łańcuchów. I Villi, która pojawiwszy się znikąd, kładła się u jej boku. Pamiętała ich wspólne drzemki w słońcu.

I niezauważenie Ragnhild zapadła w sen.

ŚRODA, 27 KWIETNIA

REBEKA POŚWIĘCIŁA środę na odfajkowanie dwudziestu trzech spraw i skierowanie ich do sądu. Po południu pojechała do hotelu Ferrum po Börjega Ströma.

Nie powiedzieli dużo. Podali sobie ręce. Nie słoniowato, jak to zdarzało się w kontaktach ze starszymi mieszkańcami Norrbotten. On, ze swą długą karierą bokerską, przyzwyczyił się do uścisków dłoni. Ona, po tych wszystkich latach w biurze adwokackim, też nabrała wprawy. Kiepsko za to szło jej całowanie w policzek. Zaczynała ze złej strony, zderzała się, nigdy nie wiedząc, ile tych buziaków; jeden, dwa, a może trzy?

Gdy Rebeka była dzieckiem, nie podawano sobie rąk. Witano się skinieniem głowy, dorzucając czasami *terve*, „cześć”. Albo – jeśli wyznawało się laestadianizm – *Jumalan terve*, „szczęść Boże”.

Rebeka próbowała to wyjaśnić Månsowi.

– Podaniem dłoni witali się tylko Szwedzi – mówiła. – My się musieliśmy dostosować.

– Biedaczyny – ironizował Måns.

Wtedy cichła. Dostrzegał jej nieobycie i momentalnie zaczynał opowiadać o swoim dzieciństwie. Już jako berbecę musiał umieć składać ukłony i witać się grzecznie z dorosłymi. Surowe spojrzenie ojca znad rodzinnych sreber i lnianych serwetek. Nie ukloniłeś się gościom, to dostawałeś na odlew w głowę. Położyłeś łokcie na stole, to ojciec zakradał się od tyłu, podnosił ci ramię i trząskając nim o blat. Tak było i już. A odrobina ogłady towarzyskiej, tego spoiwa międzyludzkiego, chyba jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

– Wybacz – mówił Måns – ale jest różnica między brakiem wychowania a odrębnością kulturową.

– Uważasz, że brakuje nam wychowania? – pytała Rebeka i wybuchała między nimi kłótnia. Rebeka uświadamiała mu, że u babci w Kurravaarze jak najbardziej istniały reguły zachowania.

Powinnam z nim zerwać, myślała.

Nie dlatego, że to było konieczne. Odzywali się do siebie sporadycznie. Widywali jeszcze rzadziej, ostatnio prawie nigdy. Prawdopodobnie miał masę innych kobiet.

Siedzący obok niej w samochodzie Börje Ström pomrukiwał z zadowolenia, co uwolniło ją od nieciekawych rozmyślań. Wyjechali na drogę do Nikkaluokty i przed nimi, pod bezchmurnym niebem, rozświetliły się białe szczyty masywu Kebnekaise. Zwolniła, nie ze względu na widok, tylko z uwagi na renifery. Nie spieszyły się, by zejść z drogi.

– Nic na to nie poradzę – odezwał się bokser, fotografując komórką zwierzęta, które powoli mijali. – Pochodzę z najpiękniejszego miejsca na ziemi.

To prawda, zgodziła się z nim w myśli Rebeka, czując, jak ciągnie ją nieprzeparta tęsknota za górską wędrowną. Nie była w górach od... Tak, ostatnio z Kristerem. Rozbili zimowy biwak, mieli ze sobą psy.

Zerknęła na rękę Börjega Ströma, trzymającą telefon. Trzy zielononiebieskie kropki między kciukiem a palcem wskazującym. Natychmiast złapał jej szybkie spojrzenie. Nawykły do śledzenia takich zerknięć, to jasne. Rzut okiem poprzedza cios.

– Te kropki to mój pierwszy tatuaż – powiedział. – Zrobił mi go kolega za pomocą igły i tuszu ze złamanego długopisu. Mama omal zmysłów nie postradała.

Lipiec 1962

Mijają dwa tygodnie od zniknięcia taty. Börje wraca do domu z rowerem. W kuchni siedzi policjant i rozmawia z mamą.

– No, nareszcie – mówi mama.

Jej głos jest nienaturalny, myśli Börje. Nie odzywa się do syna, choć przecież do niego się zwraca. Nie tak brzmi, gdy są tylko we dwojkę.

Policjant zadaje Börjemu pytania o tatę, choć prawie cały czas spogląda na mamę. Börje opowiada. Nie ma szczególnie dużo do powiedzenia. Tato kazał mu się schować. Przyjechał samochód. Ktoś podszedł do przewróconej do góry dnem łodzi, w której ukrył się Börje. Potem ta osoba zniknęła. Samochód odjechał. Kiedy Börje wyszedł z kryjówki, nie mógł znaleźć taty. Szukał. Potem poszedł do najbliższego gospodarstwa, zapukał do drzwi. Zadzwonili do mamy.

– Słyszałeś głosy?

– Nie, a właściwie tak, ale niewyraźnie.

– Nie rozróżniałeś słów? Albo jak dużo było tych głosów?

Börje pokręcił głową.

– Mogę już iść?

Tak, może.

Kłania się i podaje rękę, ponieważ wie, że mama to lubi. Szczególnie wtedy, kiedy mówi tym głosem. A potem Börje siedzi na łóżku w swoim pokoju z „Kaczorem Donaldem” na kolanach. Zabawne. Policjant przedstawił się nazwiskiem Fjäder^[7]. Jak z gazetki o Donaldzie. Przez drzwi słyszy, jak mama pyta, czy komisarz Fjäder napije się kawy. W zasadzie nie ma czasu, odpowiada policjant, ale chętnie.

Potem mama ścisza głos, a Börje schodzi z łóżka i przykłada ucho do drzwi.

– Chroni swojego ojca – mówi mama. – Może to... Z cukrem? Fin, rozumie pan. Wódeczka i te rzeczy. Przyjechali kolesie i go zabrali. I wpadł do jeziora. Albo wrócił do Finlandii. Zobacz pan, że się wyczołga przed nastaniem jesieni. Nie powinnam mu była pozwolić wziąć ze sobą syna. Ale co zrobić? Chłopiec potrzebuje ojca. Przykładowo. Chociaż co z niego za przykład? Całe ciało w tatuażach. Żadnej sensownej pracy.

Kiedy policjant opuszcza mieszkanie, Börje idzie włożyć buty. Mama momentalnie pojawia się w przedpokoju.

– Dokąd się wybierasz?

– Na dwór.

– No, widzę.

Teraz mówi swoim normalnym głosem.

– A gdzie na dwór?

– Tato nie pojechał nigdzie ze swoimi kolegami – mówi Börje.

– Skąd to wiesz?

– Dlaczego kazał mi się schować, skoro to byli jego koledzy? Nie zostawiłby mnie tam samego.

– Przestań go bronić! – mówi mama surowym tonem. – Nie znasz go. No bo i jak miałbyś go znać? Wychowuję cię sama.

– Kłamałaś przed policjantem. Powiedziałaś, że zabrał się z koleżkami. Ale przecież cię tam nie było! Jak możesz...

Nie zdąży powiedzieć więcej, bo poczuje uderzenie w twarz.

– Dość! Rozumiesz?

Börje chwyta się za policzek. A potem otwiera drzwi i zbiega po schodach. Ignoruje nawoływania mamy.

Zwalnia dopiero przy placu zabaw. Koło huśtawek ze zużytych opon stoi jeden z kole-

gów, Matti, i buja młodszą siostrę. Dziewczynka szczebiocze i piszczy, zachwycona coraz większym pędem. Cały świat pachnie lipcowym kurzem. Wszyscy, których na to stać, wybyli na wakacje. Do rodzinnych wiosek w dolinie rzeki Torne, do Finlandii. Jeden chłopiec z jego klasy pojechał do Sztokholmu.

Börje zbliża się wolnym krokiem do Mattiego.

– Będziesz się bawił z dziewczynami cały dzień czy chcesz ze mną skoczyć?

– Skoczyć gdzie? – pyta Matti, pozornie niezainteresowany, ale natychmiast puszcza huśtawkę, udając, że nie słyszy, jak siostra krzyczy: „Wyżej! Wyżej!”.

– Skoczyć i zobaczyć, jak się dziaram.

– Co? Kto cię wytatuuje?

– Ty. Jeśli masz wystarczająco dużo *sisu*.

Börje wraca do domu po kilku godzinach. Prawa ręka piecze z bólu. Przerażony spogląda na swe odbicie w przedpokojowym lustrze. Pobielały mu nawet wargi. Ale zrobił to. Wytatuował trzy „kropki włóczęgi”. Dokładnie takie same, jak taty. Patrzy na swą zawziętą twarz. Mężczyzna o białych ustach. Nie jest już małym chłopcem. Matti i jego igła wykroili mu chłopięcą pyzatość policzków.

– Gdzie się podziewałeś? – pyta mama z kuchni. – Jedzenie wystygło.

Próbuje ukryć przed nią dłoń, przejść tylko obok. Mówi, że nie jest głodny. Ale mama nie jest głupia, nie w ten sposób. Chwyta go za rękę jak żmija i siłą otwiera zaciśniętą pięść. Przekonana, że coś w niej trzyma, może papierosy. Ale kiedy widzi, kiedy uzmysławia sobie, co widzi, zaczyna krzyczeć. Krzyczy tak, jakby zajęła się ogniem, szarpie go za włosy, wrywa je kępkami. Börje wpada najpierw na ścianę, potem na stół.

– Zwariował czy co?! – wyje mama. – Czy naprawdę jest kompletnie...?!

Prawą ręką trzyma go za włosy, a lewą szuka na blacie odpowiedniego narzędzia. Łapie wałek. Zdiera z syna bluzę, zmienia chwyt i teraz lewa ręka przyciska do stołu całą głowę, podczas gdy prawa wymachuje wałkiem, jak tylko potrafi. I jak mocno potrafi – po plecach, tyłku, głowie, karku.

W końcu i Börje zaczyna krzyczeć.

– Tato! – woła. – *Isä!*

Wtedy mama wrzuca go do pokoju i zamyka drzwi na klucz.

Börje pada na łóżko. Wyje w poduszkę, a kiedy, szlochając, podnosi głowę, by zaczerpnąć powietrza, słyszy, jak mama wylewa w kuchni strumienie łez.

Börje uważa, że mama oszalała. Jak ona może użalać się nad sobą, kiedy to on dostał łanie?

Szalona, popierdolona, zasrana wariatka!, wyzywa ją w myślach, zdumiony.

Nigdy wcześniej nie myślał tak o mamie. Ale tak myśli nowy Börje. Ten wyrzeźbiony przez igłę.

Börje budzi się w środku nocy. Ręka pali. Napuchnięta jak balon. Na zewnątrz jest jasno, w mieszkaniu cicho. Czuje, jak język klei się do podniebienia. Musi się napić. Lecz gdy próbuje wstać, pęka mu głowa, a pogruchothane ciało sprawia, że Börje opada na poduszkę i dalej w ciemność.

Kiedy budzi się ponownie, przy łóżku stoi mama. Mówi coś, ale on nic nie słyszy. Jakby miał watę w uszach. Kwiaty na firankach pęcznieją i kurczą się, i znów rosną. Odwraca twarz od słońca, które wpada przez okno. Czuje, że poduszka jest mokra od potu. Po chwili znów zapada w miłosierny sen.

Budzi go mama. Żaluzje są opuszczone, w pokoju panuje mrok. Ma na sobie piżamę, ale nie pamięta, żeby się przebierał. Jest mu tak zimno, że szczęka zębami. Mama obmywa mu twarz

i czoło chłodnym ręcznikiem, wkłada mu kurtkę na piżamę. Skarpety i buty.

– Za chwilę przyjedzie taksówka – mówi. – Musimy jechać do szpitala.

Później. Minął dzień? Kilka? Lekarz siedzi przy jego łóżku. Ręka z tatuażem jest zabandażowana.

– Ej, łobuzie! – mówi doktor łagodnym głosem i głaszcze go po głowie. – Może teraz zrozumiesz, że takie rzeczy są niebezpieczne. Miałeś szczęście, że nie wdało się zakażenie krwi. Teraz przez tydzień będziesz zażywał penicylinę.

Chłopiec się nie odzywa. Zerka na zabandażowaną dłoń.

– A z kropkami, obawiam się, będziesz musiał żyć.

Börje oddycha z ulgą. Kiedy zobaczył opatrunek, myślał, że zlikwidowali mu tatuaż. Zza pleców lekarza wyłania się pielęgniarka. Wygląda groźnie, z opuszczonymi kącikami ust i szpiczastym nosem. Ale jej dotyk jest miękki i czuły, gdy z wprawą rozpina koszulę szpitalną Börjego, obnaża jego plecy. Lekarz opuszcza okulary na nos, ogląda biegnące w poprzek czerwone pręgi. Pielęgniarka w milczeniu odgarnia włosy pacjenta, on czuje lekki ból. Łyse placki, skrzepła krew.

Doktor odwraca się do mamy bez słowa. Niewypowiedziane pytanie wypełnia całą salę. Wedle prawa można dzieci bić, ale nie katować.

– Był ze swoim tatą – mówi cicho mama. – Jesteśmy od wielu lat rozwiedzeni. Chciał z nim spędzić tydzień wakacji.

A potem podnosi rękę do ust i pozwala łzom napłynąć do oczu.

Börje trzyma język za zębami. Przecież był z tatą parę tygodni temu. Wtedy gdy zniknął. Ale o tym lekarz nie wie.

Kiedy wychodzą ze szpitala, mama kupuje lody. Börje je, choć nie ma ochoty. Gdy tylko usłyszy dźwięk motocykla, czuje, jak podskakuje mu serce. Ale gdy patrzy na przejeżdżający pojazd, nie siedzi na nim tato. Nigdy już nie będzie to tato.

REBEKA MARTINSSON zapukała do drzwi willi Svena Erika Stålnackego. Z Börjem Strömem u swego boku. Rzeczywiście wysoki mężczyzna.

– Wchodźcie! – usłyszała głos ze środka. – Stoicie i pukacie, tak jakbyście przyszli od kormornika.

Nic się nie zmienił, pomyślała Rebeka, wchodząc z bokserem do przedpokoju. Sven Erik, siedzący przy stole w kuchni, zaprosił ich machnięciem ręki. Wąsy jak szczotka ryżowa. Koszula z kraciastej flaneli, szelki i spodnie robocze, czapka z daszkiem obok krzyżówki. Żywa karykatura jegomościa z wioski w Norrbotten.

Melancholia owiała ją niczym podmuch wiatru. Brakowało jej Svena Erika w pracy. Anna Maria z pewnością też za nim tęskniła. Przez tysiąc lat byli nierozłączni jak dwa konie w jednym zaprzęgu.

Usiedli w kuchni. Gospodarz przegonił ze stołu dwie kotki, które momentalnie nań wskoczyły.

– Gdyby niektórzy nie karmili ich serem z kanapek... – skomentowała Airi, partnerka Svena Erika.

Nastawiła kawę i podgrzała słodkie bułeczki w mikrofalówce. Przeprosiła, że są z zamrażarki, a nie prosto z pieca.

– Widziałem, jak wygrałeś mistrzostwa Szwecji w sześćdziesiątym ósmym, Boże drogi, nie miałeś jeszcze wtedy siedemnastu lat – zaczął bez ogródek Sven Erik. – Po prostu odpierałeś cios za ciosem. Aż przeciwnik się zmęczył i stracił równowagę. Twoje kontry, bach, bach, buch!

– Tak – zgodził się Börje. – Byłem przyzwyczajony do Finów, którzy bili się do upadłego, a z wyściółką w rękawicach to też różnie bywało. I gdy przekroczyłem granicę i zacząłem

walczyć ze Szwedami, cały czas myślałem: kiedyż on w końcu zacznie?

Jedna z kotek przemaszerowała przez stół i wskoczyła pięściarzowi na kolana, zanim gospodarz zdążył ją złapać. Szara, prążkowana, z czarną łatką wokół oka. Pougniatawszy łapkami uda gościa, ułożyła się na nich i zaczęła mruczeć.

– Jak zaburtówka, nie? – powiedział Sven Erik wesoło. – No i wabi się Bokserka. Ze względu na to oko. To dzięki niej Airi i ja jesteśmy parą. A ta mała, kurczę, w ogóle się nie starzeje. Wygląda tak samo jak wtedy, gdy była kociątkiem. Dokładnie jak ty, żabko.

Ostatnie słowa skierował do Airi i korzystając z okazji, że wstała, by przynieść ucichły już perkolator, klepnął ją w pupę.

– No nie, Svenie Eriku! – wykrzyknęła Rebeka. – Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Nie klepie się kobiet po zadku.

– Co? Nawet swojej żony? We własnym domu?

– Nie jestem twoją żoną – zauważyła Airi. – Nigdy nie wzięliśmy ślubu.

Odwróciła się do Rebeki.

– W porządku. Sven Erik może mnie klepać w tyłek. I szefa. I jednego z naszych klientów, ważnego dla firmy...

Zachowała powagę przez dwie sekundy. Potem wybuchnęła śmiechem.

– Żartuję!

Sven Erik uniósł ręce w geście oznaczającym: „Lepiej nie dotykać niczego ani nikogo. Nawet kota”.

– Najlepiej siedzieć na dłoniach. Żeby nie zostać pozwanym.

– Ale nie wtedy, gdy się pije kawę – dodała Airi. – Częstujcie się, proszę, maczajcie.

Wszyscy maczali bułeczki w kawie. Airi wyciągnęła z lodówki trochę sera kawowego^[8]. Börje Ström wyluszczał swoją sprawę. Sven Erik słuchał, szarpiąc wąsy.

Rebeka rozejrzała się dokoła. Kuchnia była przytulna w podobny sposób, jak w domu babci. Niegdysiejsze miedziane formy do ciasta wiszące na ścianie dla ozdoby. Tace w wieszakach z wyszywanej taśmy. Zasłonka przesłaniająca ręczniki kuchenne, odprasowana i wykwinna, z delikatnymi kwiatami zimoziołu w hafcie krzyżkowym i z informatywnym tekstem *Ręczniki*. Wszechobecne ozdoby i ozdóbki: tradycyjne koniki z Dalarny, pudełka z giętego drewna, szwedzka flaga na drewnianym maszcie, na szafkach malowane puszkami z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, świeczniki, obrusy zrobione na szydełku, naczynia klepkowe, plecaki wyplecione z kory brzozy i rękodzieło artystyczne Saamów. Na parapetach stały kartony po jajkach z połówkami skorupki, wypełnionych ziemią, z której wystawały zielone listki. Szyldziki zrobione z wykałaczek i malutkich karteczek informowały, że to nagietki, groszek pachnący, aksamitki, mak i porcelanka błękitna, a oprócz tego rośliny użytkowe: trzy gatunki pomidorów, cukinia, sałata, marchew i mangold.

– Oczywiście zapłacę – zakończył Börje Ström.

– Nigdy w życiu! Nie przyjmę żadnej zapłaty – odpowiedział emerytowany policjant, gładząc wąsa niczym zwierzątko, które trzeba uspokoić. – Ale to morderstwo ma ponad pięćdziesiąt lat. W Sztokholmie są prywatni detektywi, którzy podejmują się tego typu zadań.

– Nie jestem szczególnie bystry – odparł Ström, pukając się w skroń. – Te wszystkie ciosy, które dostałem w głowę, rozumiesz. Człowiek nie do końca ma tu w środku poukładane. Ale myślę tak: gdyby tu przyjechał jakiś sztokholmczyk i jął rozmawiać z ludźmi o starym morderstwie... Równie dobrze mogę te pieniądze wyrzucić w błoto.

– Bez wątplenia – potwierdziła Rebeka. – Ty przecież znasz tu wszystkich, Svenie Eriku.

– Nie bajdurz – powiedział Sven Erik, najwyraźniej zadowolony z pochwały w obecności boksera.

Spojrzał na adwokatkę. Trudno było odmówić Strömowi, ale jeszcze trudniej jej. Dawno temu, gdy Lars Gunnar Vinsa najpierw zastrzelił swego syna, a potem siebie... Wtedy Sven Erik trzymał Rebekę, trzymał ją mocno, by nie pobiegła utopić się w rzece. A teraz mieszkała nad tą rzeką. Biegała po niej na nartach zimą. Łowiła w niej ryby latem.

– Wie pan – zwróciła się Rebeka do Ströma – kiedy jestem ze Svenem Erikiem w mieście, przejście dziesięciu metrów zajmuje pół godziny. Wszyscy go znają, zatrzymują się i chcą porozmawiać. No i z połową jesteś spokrewniony.

To ostatnie zdanie skierowała do policjanta, który machnął przecząco ręką.

– Niestety, ale muszę odmówić. Jestem na emeryturze. A skoro policja wtedy sobie nie poradziła, szanse, że teraz uda się tę sprawę wyjaśnić, są znikome.

Wyłowił kawałek kawowego sera z filiżanki. Kotki stłoczyły się wokół niego. Podzielił kasek sprawiedliwie.

Airi mieszała kawę w milczeniu.

Rebeka zwróciła na to uwagę. Ta kobieta była zazwyczaj bardziej rozmowna. Może oniesmielała ją obecność sławnego sportowca?

– Wiesz, Svenie Eriku – odpowiedział Ström – policja nigdy nie próbowała rozwiązać zagadki zniknięcia taty. Nikt się tym nie przejmował. W końcu uznano go za zmarłego. Tego roku, w którym wygrałem na olimpiadzie. Dostałem list z informacją, że nie ma żadnych „pozostałości”.

– W każdym razie... – wtrącił Sven Erik.

Nastąpiła chwila milczenia.

– W każdym razie Airi potrzebuje mnie w domu!

Airi otworzyła usta. Jakby chciała coś powiedzieć. Po chwili je zamknęła.

Börje Ström wyciągnął rękę przez stół. Przez całe bokserskie życie ćwiczył się w dziękowaniu przeciwnikowi, niezależnie od tego, czy zwyciężył, czy przegrał.

– Dzięki, tak czy owak – powiedział dobrodusznie. – Za poświęcony mi czas. A pani dziękuję za najsmaczniejsze od lat bułeczki z cynamonem. Czasami piekę sam, ale nigdy mi nie wychodzą tak dobre, jak te u pani. Ty to masz szczęście, Svenie Eriku.

– Głupi ma zawsze szczęście – zgodził się policjant.

– Prawdziwe masło – wyjaśniła Airi. – I o wiele więcej, niż podają w przepisie.

Przez okno kuchenne Sven Erik widział, jak samochód Rebeki opuszcza podwórze. Dyrgował jej od stołu, ale adwokatka wyjechała tyłem między słupkami bramy bez patrzenia na niego i bez problemu.

– Börje Ström powinien być dostać *bragdguldet*^[9] w sześćdziesiątym ósmym – powiedział. – Albo w siedemdziesiątym drugim, kiedy wygrał na olimpiadzie. To, co się wydarzyło po Catskill Mountains, to jeden wielki skandal. Co za piekielna historia z jego ojcem, no nie? I że to krewna Rebeki go znalazła. W zamrażarce!

Za jego plecami Airi westchnęła tak głośno, że aż się odwrócił. Zdjęła fartuch i usiadła. Jej ręce spoczywały beczynnym na stole. Wyglądała, jakby wezwała Svena Erika na rozmowę kwalifikacyjną.

Odsunął filiżankę. Co teraz będzie?

– Kochanie ty moje – zaczęła. – Nie zwykłam ci mówić, jak masz żyć, jak się zachowywać przy stole, jak się ubierać. Nie przypominam ci, że powinieneś zmienić skarpety albo zacząć trenować. Jesteś dorosłym mężczyzną i chcę, żeby tak zostało. Nie jesteś dla mnie projektem z potencjałem poprawy.

– Uważasz, że powinienem częściej zmieniać skarpety? – próbował zażartować.

– Nie. Choć mógłbyś kiedyś pójść ze mną na gimnastykę wodną. *No niin*, w porządku.

Robisz, co chcesz. Żyjemy w wolnym związku. Ale teraz, jeden jedyny raz chcę cię o coś poprosić: pomóż Börjemu Strömowi wyjaśnić, co się stało z jego tatą.

– Myślę, że poradzą sobie sami. Rebeka Martinsson jest doświadczoną...

– Nie ze względu na niego – przerwała mu. – Ze względu na mnie.

Sven Erik spojrział na nią zdumiony.

– Co masz na myśli?

– To mam na myśli – powiedziała, wskazując klosz wiszący nad stołem. – Na każdej lampie w tym domu napisałeś datę wkręcenia żarówki.

– Tak. Żeby sprawdzić, czy faktycznie świecą tak długo, jak obiecują na opakowaniu. To nieprzyzwoite, ile teraz biorą za żarówki. Bo ich żywotność...

– Guzik mnie obchodzi ich żywotność! I ten twój czas słoneczny...

– A niby dlaczego człowiek ma się stosować do czasu obowiązującego w Szwecji, kiedy nareszcie przeszedł na emeryturę i może żyć zgodnie z dziennym ruchem słońca?

– No właśnie, dlaczego?! – wybuchnęła Airi. – Kiedy każdego dnia można poświęcić godzinę na obliczanie tego prawdziwego czasu słonecznego.

– Wcale nie poświęcam godziny...

– Nie? Ale wiesz co? Dostaję szału, kiedy nie możemy dojść do porozumienia w prostych sprawach. Kiedy masz po mnie przyjechać o drugiej, a ja nie mam pojęcia, czy się pojawisz akurat wtedy, gdy każdy inny zwykły zegar pokazuje drugą.

Przerwała i wzięła głęboki oddech. Nie chciała się kłócić. Przeczuwała, że jej partner za chwilę zatnie się jak stary silnik.

– Podpatrujesz i śledzisz sąsiada, kiedy wychodzi ze śmieciami. Robisz uwagi na temat tego, jak odśnieżają podwórko. Złościsz się na ludzi, którzy nie przestrzegają ograniczenia prędkości, kiedy jadą przez wieś. A jesteś emerytem zaledwie od roku.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Sven Erik, nie kryjąc, jak bardzo się poczuł urażony. – Nie możesz ze mną wytrzymać? Chcesz się mnie stąd pozbyć? Skoro tak, zawsze mogę się przeprowadzić z powrotem do miasta. Teraz dom masz już ocieplony, więc mnie nie potrzebujesz...

– Przestać robić z siebie ofiarę – odpowiedziała ostro Airi. – Nigdy nie byłeś moim parobkiem.

Położyła swoje dłonie na jego, by nie mógł wstać, poniesiony złością.

– Chcę, żebyś tu mieszkał. Kocham cię i chcę, żebyś tu ze mną był. Ale nie cały czas. Koty mogą mi się plątać pod nogami, kiedy gotuję, zmywam i biegam ze ścierką. Ale nie chcę się potykać o ciebie. Nie gniewaj się, najdroższy. Ale gdy wracam z pracy, nie chcę mieć wrażenia, że czekałeś na mnie cały dzień.

Jego szczęki stwardniały. Jej słowa raniły głęboko.

Airi chwyciła go za palce. Widziała, że on się boi. Boi się zostać starcem, którego nikt nie potrzebuje i który nic nie wie. Była świadoma, jak się męczy, jadąc do Kiruny. Do miasta, które znał jak własną kieszeń, a które teraz skrawek po skrawku zapadało się w paszczy kopalni. A w tym powstającym na nowo nie było dla niego miejsca. „Niedługo zupełnie stracę orientację”, mawiał, kiedy z rzadka zajeżdżał do miasta.

– Spróbuj przez kilka dni – powiedziała prosząco. – Zrób to dla mnie. Zawsze lubiłam słuchać, jak po powrocie do domu opowiadasz o swojej pracy. To takie fascynujące. Ström zwrócił się właśnie do ciebie, a nie do kogoś innego. Bo ty jesteś najlepszy. A gdyby się okazało, że to coś koszmarnego, nie będę cię do niczego zmuszać.

Sven Erik bił się z myślami. Z jednej strony chciałby rzucić się w dół użalania się nad sobą. Spakować parę ciuchów i wsiąść do samochodu. Powiedzieć na odchodne, że może tym-

czasowo zamieszkać w pokoju gościnnym córki.

Ale się powstrzymał. Zaciśnął zęby i nie powiedział nic na swoją obronę. Przez wiele lat jego szefową była Anna Maria. A ona nie zawsze działała z wyczuciem. Nauczył się przyjmować krytykę od kobiet. Zraniona duma na nic się nie zdawała.

– Skoro tak, to zawsze mogę rzucić okiem na tę sprawę. Gdybym wiedział, że jesteś przychylnie nastawiona...

– Jestem przychylnie nastawiona – odparła, dziękując Bogu za te zwłoki znalezione w zamrażarce na wyspie.

CZWARTEK, 28 KWIETNIA

O CZWARTEJ TRZYDZIEŚCI RANO Börje Ström i Sven Erik Stålnacke przyjechali po Rebekę do komendy policji. Na dachu samochodu mieli ponton.

– Ragnhild Pekkari twierdzi, że lód jeszcze nas utrzyma, ale wolę być całkowicie pewny – wyjaśnił Sven Erik. – Idziemy za przykładem mężów w dawnych czasach. A oni brali ze sobą łódź. Jeśli lód się załamie, to wskoczmy do pontonu.

– Boże drogi, powinnam była sporządzić testament?

Zanim zdążyli wyjechać z miasta, Börje Ström zasnął na tylnym siedzeniu. Policjant zerknął na Rebekę.

– To dopiero dziwna historia. Że twoja ciotka znalazła ojca Börjego Ströma. W zamrażarce twojego wuja.

– Jak już wyjaśniłam, ona nie jest moją prawdziwą ciotką. A Henry Pekkari nie był moim wujem. Mama była przybranym dzieckiem w ich rodzinie. Miała sześć, siedem lat, kiedy przeprowadzili się z wyspy. Dorastała w Kirunie. Mieszkali w trzypokojowym lokum na Träarbetaregatan. Henry przejął to ich niewielkie gospodarstwo rolno-leśne. Ale gdy byłam dzieckiem, nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów z rodziną Pekkari. Oni wykopsali moją mamę z domu, kiedy skończyła czternaście lat.

Chociaż co ja tam o tym wiem, pomyślała Rebeka. Może porzucenie było jej siłą napędową. Poradziłam sobie bez mamy. I bez rodziny Pekkari.

– Nie znam ich – powiedziała na zakończenie. – Nawet ich nigdy nie spotkałam.

– W rodzinie jest jeszcze jeden brat, prawda? – spytał Sven Erik.

– Olle Pekkari, najstarszy z rodzeństwa. Twardy typ. Prowadzi firmę, która zabezpiecza stropy w kopalni. Chociaż teraz prawie wszystko przejął jego syn.

– Musimy z tym Ollem porozmawiać. Wiesz, czy byli sobie bliscy?

– A skąd, kurza dupa, mam wiedzieć? – wyrzuciła z siebie Rebeka. – Nie siedziałeś tutaj obok, kiedy przed chwilą tłumaczyłam, że Pekkariowie to nie moi krewni i że ich nie znam?

– Zapytamy Ragnhild – odparł Sven Erik, nieporuszony jej rozdrażnieniem. – Może ona akurat wie, z kim jej bracia się zadawali w sześćdziesiątym drugim roku, nawet jeśli jest o wiele młodsza.

– Czy ona... Czy ona tam będzie?

– Oczywiście. Nie wspomniałem o tym? Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Chyba nie macie ze sobą na pieńku?

– Nie.

Żeby tylko nie chciała rozmawiać o mamie, pomyślała Rebeka.

ŻEBY TYLKO REBEKA MARTINSSON nie chciała rozmawiać o swojej mamie, pomyślała Ragnhild Pekkari.

Wstała o wpół do czwartej rano i pojechała do Kurkkio. To ponaddwugodzinna podróż. Potem siedziała w samochodzie nad brzegiem rzeki i popijając kawę z termosu, czekała na Börjego Ströma, Rebekę Martinsson i tego emerytowanego policjanta, którego nazwiska nie mogła sobie przypomnieć.

Przedwiosenne słońce wisiało jeszcze ciężko nad horyzontem, a niebo miało kolor niedojrzałej moroszki. Dochodziła siódma.

Medyk sądowy Pohjanen zadzwonił do niej we własnej wzniosłej osobie. Jako pielęgniarzka na pogotowiu nigdy nie miała z nim do czynienia, widziała go kiedyś z daleka na parkingu. Ale oczywiście wiedziała, kim jest.

Wieść niosła, że to kwaśny zgred, ale Ragnhild usłyszała w telefonie uprzejmego mężczyznę. Trochę osowiałego. Poprosił o zgodę na przeprawę na wyspę, póki to jeszcze możliwe. Wyjaśnił, że nie chodzi o dochodzenie w zwykłym tego słowa znaczeniu. Mężczyzna w zamrażarce był ojcem boksera, Börjeho Ströma, i morderstwo uległo przedawnieniu. Ale pewien emerytowany policjant zdecydował się przyjrzeć tej sprawie, jakżeż on się nazwa, irytowało ją to, że zapomina, ona, która zawsze zapamiętywała nazwiska pacjentów, to jakieś podwójne imię. Czy mógłby przyjechać i obejrzeć dom? Nie, jasne, nie robią sobie nadziei na zbyt dużo po tych wszystkich latach, ale tak czy owak... I adwokatka, Rebeka Martinsson, też miała przyjechać. Z tego, co Pohjanen zrozumiał, były krewnymi.

„W zasadzie nie”, odparła wtedy Ragnhild.

Powiedziawszy to, poczuła w środku ów znajomy ciężar. To nie była żaloba, tylko właśnie ciężar, ten wysłużony silnik, który zatonął i opadł na dno. Córka Virpi miała przyjechać na wyspę.

Trudno jej było znaleźć właściwe słowo na opisanie emocji. Nie czuła strachu. Ani złości. Może robiąc przedśmiertne porządki, posprzątała również swoje uczucia? Zdecydowała, żeby nie wjeżdżać na śnieżny pomost, zawróciła i pobiegła na nartach na wyspę. A teraz niech się dzieje, co się ma stać. I dobrze. Mimo wszystko Ragnhild miała nadzieję, że Rebeka nie zapyta o Virpi.

Bo ja nie mam odpowiedzi, pomyślała. Ani jednej. I nie mam też obowiązku cokolwiek jej opowiadać. *Ei se kannatte*, co by to dało? Na wzniesieniu ukazał się samochód. Wewnątrz siedziały trzy osoby, na dachu przymocowany do bagażnika był ponton. Zrozumiała, że to oni.

Börje Ström drgnął, gdy Ragnhild wysiadła z samochodu. Nieprzygotowany na takie objawienie. Była wysoka, miała z pewnością metr osiemdziesiąt. Rosła, ale nie kanciasta. Całe życie uwielbiał pięściarki i kiedy spoglądał na jej ramiona, pomyślał, że ta kobieta ma wspaniały zasięg. Zmusił się, by oderwać wzrok od jej umięśnionego tyłka.

Obserwował ją, gdy z bagażnika dachowego wyjmowała pulki, sanie transportowe. Lekkość ruchów. Miała w sobie coś z niedźwiedzicy. Kiedyś w czasie leśnej przebieżki trafił na niedźwiedzia. Zwierzę spało na bgrze, niewielkim pagórku mrozowym, nieopodal leśnej drogi wzdłuż rzeki Rautas. Podniosło się akurat wtedy, gdy przebiegał obok. Zaledwie pięćdziesiąt metrów od niego. I właśnie ta lekkość, mimo ogromnej postury. Jak płynąca w górę woda. Nie, tej kobiecie nie trzeba pomagać w ściąganiu rzeczy z najwyższej półki.

Kiedy zrobił krok w jej kierunku, poczuł, jak coś się w nim zakołysało. Przywykł patrzeć na kobiety z góry. Ta była jego wzrostu. Jej oczy znalazły się nagle blisko. Szare jak słońce. Zawsze lubił deszczową pogodę. Uważał, że bieganie w deszczu w letni szwedzki dzień to coś najlepszego w życiu. Szczególnie po powrocie z USA, gdzie biegał w drżącym upale po zakurzonym asfalcie i gdzie po treningu wydmuchiwał czarne smarki.

Brwi Ragnhild były szerokie i wypłowiałe od słońca. Warkocz wystawał spod czapki, zrobionej na drutach. Twarz miała opaloną w sposób typowy dla narciarek: blade obwódki wokół oczu, chronionych okularami przeciwsłonecznymi, reszta skóry zaś ogorzała na brąz.

Wyciągnęła rękę. Suchą i z nagniotkami. Szorstką niczym kora. Börje Ström przypomniał sobie zasłyszane w dzieciństwie porzekadło. Nagniotki na dłoni ma pracowity, bąble zaś – leniwy.

Coś powiedziała. Ale jego myśli krążyły nieustannie wokół jej szorstkiej dłoni. To ręka, która pracuje. Zastanawiał się, w jaki sposób. Rąbie drewno? Patroszy ryby? Remontuje dom? Prowadzi psi zaprzęg?

Wciągnął powietrze, jakby mu zabrakło tchu. Jej anorak pachniał ogniskiem. Mieszał się z innym zapachem, znajomym, ale teraz trudnym do zidentyfikowania. Świeżo ubita śmietana? Drewno wygładzone papierem ściernym?

Ogarnęło go pragnienie, by zbliżyć nozdrza do jej skóry, by ją chłonać.

To było zaskakujące. Jak cios, którego na czas nie zauważył. Puścił jej dłoń. Ragnhild przywitała się z Rebeką i Svenem Erikiem.

Uświadomił sobie, że ona się przedstawiła, a on zapomniał wymówić swoje imię. A teraz to już po ptakach.

Ragnhild Pekkari witała się z przybyłymi. Ręka Börjega Ströma była twarda i szorstka, tak jak jej. On rozluźnił uścisk szybko, jakby sparzony. Ona poczuła, że płoną jej policzki i ogarnia ją złość.

O co mu chodzi?, pomyślała najpierw. Że ktoś z naszej rodziny zabił mu ojca i wpakował do zamrażarki?

A po chwili sięgnęła po pogardę.

To ten typ, pomyślała. Typ, wokół którego przez całe życie krążyły kobiety, chcąc mu się przypodobać. Elegancko pomarszczony. Jak Clint Eastwood. Przekonany, że wystarczy na którąkolwiek spojrzeć, żeby zaczęła sikać w majtki. Celebryta, który nawet nie raczy przedstawić się imieniem i nazwiskiem.

Ale ona nie z tych, co sikają w majtki, on się jeszcze o tym przekona.

– Lepiej, gdybyście wzięli ze sobą narty – powiedziała opryskliwie, patrząc na ponton na dachu samochodu. – Szreń nie powinna się załamać. Lód w koleinach po skuterach śnieżnych też wytrzyma. W każdym razie teraz, rano, zanim temperatura skoczy powyżej zera.

– Są jeszcze rzeczy na tym świecie, dla których życie mi miłe – odparł dobrodusznie Sven Erik. – Ale proszę, niech pani jedzie.

Rebeka Martinsson przywitała się z nią jak z każdą inną osobą. Ragnhild pomagała przy ściąganiu pontonu. Obawiała się, że Rebeka powie coś w stylu: „Pani dorastała z moją mamą, prawda?”. Ale Martinsson nie wspomniała o tym ani słowem. Była spokojna i miła. Sprawiała wrażenie odprężonej. To jasne. Przecież pracuje jako adwokatka. Wytrenowana w tym, by nie władały nią uczucia. Albo po prostu nie żywi żadnych uczuć wobec Virpi. Trudno powiedzieć.

Ragnhild wyjęła termos z samochodu. Odepchnęła od siebie emocje zmęczonymi rękami.

Kiedyś zobaczyła Reбекę w sklepie ICA. Wyglądała jak upiór. To było po tym wydarzeniu z policjantem, który zastrzelił swego upośledzonego syna, a potem siebie. Rebeka jej wtedy nie poznała, to jasne. Ragnhild biła się wówczas z myślami. Podejść do niej? Powiedzieć, kim jestem? Zapytać, jak się czuje? Zaproponować pomoc? Ale nie zrobiła nic. Nie miały przecież nigdy kontaktu.

Przypomniała sobie, jak odwiedziła Virpi na porodówce. Tego dnia była tak czy owak w pracy. Poszła do niej w mundurku pielęgniarskim, z żadną tam formalną wizytą. Virpi pozwoliła jej potrzymać dziecko. Rozmawiały o noworodku i nie musiały poruszać innych tematów. „Pozdrów, proszę, Isaka i Helmi”, powiedziała Virpi suchym głosem. Nazywała *isä* i *äiti* ich imionami. Osobliwe uczucie; to dziecko, które Ragnhild trzymała wtedy w objęciach, jest teraz stojącą przed nią kobietą.

Życie idzie szybkim, niefrasobliwym krokiem, pomyślała Ragnhild. W nosie ma, czy zdążymy rozwikłać nasze relacje, czy nie.

Poczęstowała przybyszy kawą i opowiedziała o psie, który w dalszym ciągu był na wyspie.

– Ugotowałam mięso i zostawiłam na ganku, zanim przyleciał helikopter. Mam nadzieję, że nie zjadły wszystkiego sroki i wrony.

Rebeka podniosła twarz do bladobiałego słońca, które właśnie wysunęło się zza wierzchołków drzew. Jakby węszyła, po zwierzęcemu.

– To co, przeprawiamy się? Żeby zdążyć z powrotem, zanim lód zacznie się topić.

Właśnie w tej chwili wyglądała dokładnie jak jej mama. Zmrużone powieki, gdy Virpi oceniała, czy można zdobyć drzewo, wspinając się na sam czubek. Zwężone oczy przed bójką z chłopakami w kiruńskiej szkole.

Tuiskusapara, kita na wietrze. Tak *isä* nazywał Virpi. *Tuiskusapara*. To taka, która łatwo wybucha gniewem. To było wtedy, gdy mieszkali na wyspie. Kiedy Virpi się wyprowadziła, obrzucał ją innymi epitetami. Jeśli w ogóle była o niej mowa.

Ragnhild nie myślała o tym słowie od ponad pięćdziesięciu lat. Nie jesteś taka spokojna, jaką udajesz, pomyślała o Rebecce.

A potem przymocowała dyszel pulek do pasa w talii i ruszyła przed siebie. Dokładała starań, by porzucić rozmyślenia o Rebecce i bokserze. Próbowwała myśleć o psie. Zastanawiała się, czy pozostał na wyspie. Czy Henry nadał mu jakieś imię.

Pozostali niech sobie idą, kiedy chcą. Z tym swoim cholernym pontonem. Nic dla niej nie znaczą. Sunęła bezkrokiem. Z pulkami było ciężko, ale z wdzięcznością przyjmowała fizyczne zmęczenie, uczucie strudzonych mięśni klatki piersiowej, brzucha, grzbietu. Zastanawiała się, czy Börje Ström patrzy za nią. Ponieważ czuła jego spojrzenie na karku i całych plecach. Nie miała odwagi zerknąć za siebie, by sprawdzić, czy ma rację, czy tylko się jej wydaje. Całe szczęście, że oddaliła się na tyle, iż nikt nie mógł usłyszeć, jak dyszy.

Wyspa była na wyciągnięcie ręki. Zapadłe stodoły wpatrywały się w Ragnhild. To znów ty? W jej piersi ponownie zakwitła czarna róża smutku.

– Zostanę tutaj – oznajmiła Rebeka, podążając wzrokiem za zbliżającą się do wyspy Ragnhild. – Ktoś przecież musi zadzwonić po służby ratownicze, kiedy łódź się pod wami załamie.

Ostatnie zdanie skierowała z lekkim uśmiechem do Svena Erika.

– Mhm – odpowiedział, myśląc zupełnie o czym innym.

Dlaczego ktoś wrzuca ciało do zamrażarki?, zastanawiał się policjant, gdy razem z pięściarzem ruszył ku wyspie wzdłuż śladów skutera śnieżnego.

Chciałby wypowiedzieć pytanie głośno. Tak jak zwykł to czynić, roztrząsając sprawy z Anną Marią Mellą. No, ale w zamrażarce leżał przecież ojciec Börjego Ströma i Sven Erik nie miał ochoty rozmawiać w ten fachowy sposób.

Zapowiadał się piękny dzień. Tarcza słońca wzbijała się coraz wyżej, niebo nabierało koloru. Ström szedł z przodu i ciągnął ponton. Sven Erik popychał go z tyłu. Wkrótce poczuł, jak poci się pod czapkę, choć nie wysiłał się jakoś szczególnie. Bokser wziął na siebie prawie cały ciężar. To chyba jasne. Taki jak on biega z pewnością dychy po lesie, ciągnąc za sobą oponę.

Gdy przeszli połowę drogi, Ström się zatrzymał i wypatrywał czegoś wzdłuż brzegu.

– Chatka, którą wtedy z tatą wypożyczyliśmy, leży tu gdzieś niedaleko, w górę biegu rzeki. Ale nie widzę jej stąd.

Szli dalej, Sven Erik powrócił do swoich rozmyślań.

No, dlaczego wrzuca się ciało do zamrażarki? Rok 1962. Ojciec Ströma zniknął w środku lata. Czyli było jasno przez całą dobę. Sprawca, bo przecież to wcale nie takie oczywiste, że był nim Henry Pekkari, nie chciał się pozbyć ciała w rzece, bo był zbyt widoczny. Dlaczego go nie zakopał? Ponieważ zabrakło mu – albo jej, Sven Erik poprawił się w myślach – sił? Kopanie to ciężka robota. Trzeba wyźłobić spory dół. Sprawca wpycha więc ciało do zamrażarki i planuje, że jesienią, gdy zrobi się ciemno, zapakuje je, obciąży i zatopi w rzece. Z jakiegoś powodu nigdy tego nie robi. Ofiara najprawdopodobniej została zastrzelona w zagrodzie. Przypuszczalnie w domu.

Jakkolwiek swobodnie próbował myśleć, raz za razem powracał do tego samego punktu: przez te wszystkie lata Henry Pekkari przechowywał ciało w zamrażarce. Dlaczego, skoro to nie on zabił ojca Börjego Ströma? A jeśli to on, to skąd znał Raimo Koskelę? I dlaczego go zamor-

dował?

RAGNHILD PEKKARI siedziała na ganku, kiedy mężczyźni, brnąc w śniegu, dotarli do zagrody.

Aha, pomyślała, Rebeka została na ładzie. *No, yhtä hyvä*, to i dobrze.

Sven Erik ściągnął kurtkę i czapkę, rzucił je na deski przedsiionka. Z wysiłku był czerwony jak burak.

– Człowiek już nie ma osiemnastu lat – powiedział z uśmiechem, nie przestając dyszeć. – Jakież ślady psa?

Ragnhild skinęła ku pustym miskom obok.

– To mogły być wrony. Albo lis. Nie widzę żadnych śladów na śniegu, więc trudno ocenić.

Börje Ström przyglądał się domowi. Miał zaciśnięte wargi, opuszczone kąciki ust.

Pewnie myśli, że jestem bez serca, bo ja tu o psie, podczas gdy jego ojciec leżał latami w zamrażarce, pomyślała.

Sven Erik zapytał, czy może wejść do środka.

– Proszę, niech pan wchodzi – zaprosiła go Ragnhild. – Otworzyłam na oścież wszystkie okna i drzwi, więc myślę, że pan wytrzyma. Nie odważyłam się sprzątać czy coś, jak tu ostatnio byłam. Nie miałam pojęcia, że morderstwo jest przedawnione, więc sądziłam, że policja przyjedzie, by szukać śladów i że najlepiej nic nie ruszać.

Zamknęła usta.

Przestań paplać!, upomniała siebie samą.

– I bardzo dobrze pani myślała – odparł życzliwie policjant. – Później chciałbym zadać kilka pytań dotyczących brata, Henry’ego. Jeśli nie ma pani przeciwko.

– Oczywiście. Zakładam, że uważacie, że to Henry zabił... Przepraszam, jak się nazywał pana ojciec? – zwróciła się do Börjega Ströma.

– Raimo. Raimo Koskela.

– Po prostu trudno mi w to uwierzyć – kontynuowała Ragnhild. – Henry był nieudacznikiem i pijaczną. Do tego złośliwym. Ale żeby kogoś zabił? Chociaż tak pewnie mówią wszyscy krewni.

– Wie pani, czy się znali?

– Nie. Ale mogli się znać, nawet jeśli pana ojciec był starszy. W sześćdziesiątym drugim Henry ciągle jeszcze miał kolegów. Razem z nimi pociągał tu z butelki. Zadawał się głównie z *ryökälhet*, łobuzami, że użyję słowa mojej mamy. To dlatego przejął gospodarstwo. Mama i ojciec wierzyli, że poczucie odpowiedzialności każe Henry’emu się ustatkować. No, ale widzą panowie, jak to się skończyło. Pod koniec lata w sześćdziesiątym siódmym ojciec przyjechał tutaj, żeby ubić krowy z konieczności.

– Mój tato nie był łobuzem – odezwał się Börje Ström.

Skąd on to wie?, pomyślała Ragnhild. Przecież był dzieckiem, kiedy ojciec zniknął. Ludzie idealizują i demonizują. Zawsze brakuje im sił, żeby zobaczyć człowieka w całej jego złożoności.

Przez pół sekundy, w przyplwywie autorefleksji, zastanowiła się nad własnym obrazem Henry’ego. I mężczyzn w ogóle.

– A pani najstarszy brat, Olle? – dociekał Sven Erik.

– On już wtedy pracował w kopalni. Został brygadzystą, mimo że ledwie skończył dwadzieścia lat. Z czasem założył własną firmę, zawsze szło mu z nią jak po maśle. Teraz przedsiębiorstwo prowadzi najstarszy syn.

Policjant wszedł do środka. Börje i Ragnhild zostali na ganku.

Ragnhild wyciągnęła z pulek rolkę czarnych worków na śmieci i kilka puszek z karmą dla psa. Börje obserwował kobietę i nie wiedział, co ma z sobą począć w jej towarzystwie. Nagle wydało mu się, że jego ciało mogłoby bezrozumnie zrobić to, na co ma ochotę. Na przykład podejść bliżej i złapać kobietę wpół. Jak pijak w knajpie przed ostatnim tańcem.

Miewał doskonale wytrenowane partnerki, to nie o to chodziło. Na siłowni w Älvsbyn pojawiały się damy, które zaczynały się boksować, „bo to taki dobry trening”. Szczególnie świeżo po rozwodzie. Czasami chciały się do niego wprowadzić. Ale wtedy mówił: stop! I tak to trwało, dopóki na horyzoncie nie pojawił się jakiś inny mężczyzna, który potrafił im zapewnić poczucie bezpieczeństwa i zastąpić ojca ich dzieciom. Albo dopóki nie znudził im się związek, który „dokładnie nie prowadzi”.

Ale ta niedźwiedzica... Potrzebowała kogokolwiek? Najpewniej jest zadowolona z samotnego życia w lesie. Zastanawiał się, czy ma kogoś. A jeśli tak, co to za typ.

Kiedy przechodziła koło niego, by wejść do domu, cofnął się o krok, nie chcąc być zawadą.

Ragnhild minęła Börjega Ströma, a on cofnął się, jakby z obawy przed zarazą. W jakiś niezrozumiały sposób zabolęła ją niechęć, jaką jej okazywał. Mimo że przez lata – choć nie bez trudu – przywykła do rejterujących mężczyzn. Szczególnie niskich z wyższym wykształceniem. Spotkała na swej drodze niejednego lekarza, który jej nie cierpiał.

A co mnie to obchodzi?, pomyślała sekundę później. Może sobie myśleć o mnie, co mu się żywnie podoba.

Svena Erika Stålnackego przeszły ciarki. Dom Henry'ego był w opłakanym stanie, jeszcze się z czymś takim nie spotkał. A widział w życiu niejedno. Brud pokrywał futryny drzwi i poręcze schodów niczym farba. W wyjątkowo ciemnym odcieniu, tam gdzie Henry często przykładł rękę, poruszając się po domu. Trzeba było mieć silną wolę, by dotknąć włączników światła i chwycić za klamki. Policjant był wdzięczny Ragnhild, że pootwierala, co się dało, i wywietrzyła najgorszy zaduch.

Wszedł do dużego pokoju i rozejrzał się dokoła. W każdym razie nietrudno było odgadnąć, gdzie stała zamrażarka. Sosnowa podłoga miała tam intensywniejszą barwę. Niepożółkły i niepokryty warstwą paskudztwa prostokąt. Kurz, który latami zbierał się między skrzynią zamrażarki a ścianą, leżał teraz w grubych wałkach na podłodze.

Bieda z nędzą, pomyślał Sven Erik. Choć niektórzy ludzie rodzili się z genem przetrwania. Żyli długo niezależnie od tego, jak bardzo się zaniedbywali. Że Henry dożył siedemdziesiątki, to niemal cud.

Kątem oka dostrzegł wchodzącą do kuchni Ragnhild, która po chwili zaczęła zapełniać worek za workiem: śmieci, resztki jedzenia, puste butelki, opakowania. Można było ulec złudzeniu, że demontuje całą kuchnię.

Policjant skupił się na dużym pokoju. Kanapa była pokryta solidną warstwą koców, które i tak nie zasłaniały wgnieceń. Doszczętnie wysiedziana i wyleżana. To tutaj spoczywał martwy Henry.

I to prawdopodobnie tutaj zasypiał przed telewizorem, pomyślał Sven Erik.

Obraz za kanapą był reprodukcją w złotej ramie. Kolory straciły intensywność, przeważały zielononiebieskie tony. Malowidło przedstawiało pasterza, który oparty o kamienny mur, odcinał kawałek mięsa. U jego stóp stał pies i prosił o kąsek. W tle śródziemnomorski krajobraz: cyprysy i falujące pagórki.

Obraz wisiał dziwnie nisko. Jakby nie na swoim miejscu. Siedząc wygodnie na kanapie, można było uderzyć o niego głową.

Sven Erik pochylał się do przodu. Odrobinę nad górną listwą widniał stary ślad po gwoź-

dziu.

Przecież to nie może być takie proste, pomyślał, ściągając obraz ze ściany.

Ale właśnie takie proste to było. Za obrazem znajdował się wyraźny otwór po pocisku.

Dlaczego musiałam z nimi pojechać?, zastanawiała się Rebeka. Słońce wzniosło się ponad wierzchołki drzew, ale ciągle jeszcze było zimne.

Otuliła się szczelnie kurtką, opuściła oparcie fotela i postanowiła uciąć sobie drzemkę.

Nie mają dużo czasu, pomyślała, spoglądając na zegarek. Jak tylko się ociepli, nikt nie przejedzie rzeki na nartach. A chyba nie chcą tam zostać na noc.

Próbowała zasnąć, ale bezskutecznie. Gdyby mogła się przespać choć pół godziny, choć dwadzieścia minut. Żeby nabrać sił, jeśli przyjdzie jej pracować do późnego wieczora.

Jak mam zdążyć z przygotowaniem tych rozpraw do poniedziałku?, myślała. I skąd to potworne zmęczenie? Muszę mieć jakiś niedobór w organizmie. Powinnam odwiedzić sklep ze zdrową żywnością. Zacząć robić zielone koktajle i trenować.

– Halo!

Na dźwięk głosu Rebeka otworzyła oczy. Wzdłuż drogi nadchodziła drobniutka staruszka. Pochylona znacznie do przodu, pchała przed sobą fińskie sanki^[10]. Tu i ówdzie spod śniegu wyzierały płaty żwiru i przesuwanie po nich płóz było ciężką pracą. Kobieta miała na sobie ogromny pomarańczowy anorak. Nieprawdopodobnie chude nogi w ciężkich traperkach. Machała całym ramieniem niczym rozbitek w szalupie ratowniczej. Rebeka otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu. Żegnaj, drzemko!

– Halo! – zawołała staruszka raz jeszcze.

Ale tutaj widocznie wyczerpały się jej siły. Zatrzymała się, obeszła z mozołem sanki i usiadła na nich. Zawołała:

– Kto zacz? Znam cię?

Rebeka się zaśmiała.

– Mam podejść, żeby mi się pani przyjrzała?

Staruszka przywołała ją zamaszystym gestem.

– *Tule nyt!* No, chodź tutaj!

Rebeka podeszła do nieznajomej.

– No, czyją jesteś córką? – zapytała staruszka. – Widziałam, że kilka osób przepравиło się do Pekkarich. Co to za jedni?

Rebeka wyjaśniła, kim są i w jakiej sprawie udali się na wyspę.

– No proszę, a ja zwykłam mówić, że w naszej wsi to już nic się nie dzieje. Nazywam się Mervi Johansson. Więc Ragnhild też tam teraz jest?

– Tak. Chciała trochę ogarnąć dom i... Był tam też jakiś pies, który zniknął.

– Pies, no tak. Będę miała oczy i uszy otwarte. Psy Henry’ego czasami do mnie zachodzą. Zdarza się, że on w swoich gorszych okresach zapomni je wpuścić do domu, choć na dworze minus dwadzieścia pięć stopni. Albo zapomni im dać jeść. Wtedy zwierzaki uczą się, że można przyjść do mnie. Bo teraz tylko Henry i ja mieszkamy tu na stałe. A potem, kiedy znów staje na nogi, przychodzi po nie. Powiedziałam mu, że nie może ich trzymać na uwięzi, że one muszą się poruszać swobodnie. Pomyśl tylko, pies na łańcuchu, a pan o nim zapomina. No tak, ale teraz już nie muszę się o to martwić. Teraz zostałam we wsi tylko ja.

Rebeka chciała skorzystać z okazji i zapytać, czy Henry Pekkari znał ojca Börjega Ströma, ale Mervi Johansson zaczęła właśnie wyliczać po kolei gospodarstwa domowe, które istniały we wsi, gdy ona jako młoda mężatka przeprowadziła się tutaj na początku lat pięćdziesiątych. Nazwiska i fragmenty ludzkich losów padały jak krople deszczu. Staruszka najwyraźniej wychodziła z założenia, że Rebeka wie, o kim mowa. Nagle zamilkła.

– Ja tu gadu-gadu o starych czasach, a ty może masz co innego do roboty?

– Nie, nie – zapewniła Rebeka. – A wie pani, czy Henry Pekkari znał ojca Börjega Ströma, Raimo Koskele?

Kobieta popatrzyła w stronę wyspy.

– Wiesz co? Kiedy rodzice Ragnhild przeprowadzili się stąd do Kiruny... Nie mogłam tego odżalować przez wiele lat. Mówisz, że nazywałeś się Martinsson? Skąd pochodzisz?

– Rodzina mojego taty jest z Kurravaary, ale... Wie pani, czy Henry znał...

– Jesteś córką Violi Martinsson?

– Nie. Wnuczką Theresii Martinsson. Viola była ciocią mojego taty.

Mervi Johansson podniosła się z sanek. Chwyciła Rebekę za ramię, jakby chcąc się przekonać, że rozmówczyni istnieje naprawdę.

– Czyli w takim razie jesteś córką Virpi! Virpi mieszkała tutaj u Pekkarich. Wiesz o tym? Bywała u mnie razem z Ragnhild, kiedy obie były dziećmi. Pewnego lata miałam osieroczone jaśnie. Przychodziły, żeby karmić je butelką. Ragnhild wiosłowała, chociaż była tylko małą dziewczynką.

Jasne oczy starszki zatrzymały się na Rebecce.

– Ależ ty jesteś podobna do mamy! Prawda, że jest podobna do Virpi?

Rebeka zastanawiała się, do kogo Mervi skierowała to pytanie. Ona sama zwykła rozmawiać ze Smarkaczem; ciekawe, jak dużo jej brakowało, żeby zacząć rozmawiać z kimś, kogo nie ma na miejscu. I jak dużo brakowało jej, żeby rozmawiać z kimś, kogo nie ma, w obecności innych żyjących osób.

Wkrótce sama taka będę, pomyślała.

Mervi milczała przez kilka sekund. Powoli zwolniła uścisk. Może przypomniała sobie, jak Virpi zmarła.

– Nie – powiedziała po chwili i wysilając pamięć, zmarszczyła swoją już pomarszczoną twarz. – Nie – powtórzyła. – Nie wiem, czy Henry znał Raimo Koskele. Henry zadawał się tylko z nieudacznikami. Wybacz, że mówię tak bez ogródek. Z upływem czasu tych wizyt było coraz mniej. W końcu siedział na wyspie zupełnie sam. Wszyscy jego koleżkowie od flaszki już dawno nie żyją. Ale faktem jest, że prawie trzy tygodnie temu, w nocy z piątku na sobotę, był tam jakiś skuter. Śniegu było jeszcze tyle, że lód nie puszczał. A potem przyszło prawie tropikalne ciepło. Skuter przejechał z wyciem silnika za starą powozownią, więc się obudziłam. Pomyślałam wtedy: aha, to znaczy, że jeszcze z kimś się spotyka.

– Kto to mógł być? – zapytała Rebeka. – Chciałabym porozmawiać z kolegami Henry'ego. Dowiedzieć się, co go łączyło z Raimo.

Mervi Johansson potrząsała głową, jakby miała w niej puzzle i chciała, żeby ich kawałki ułożyły się we właściwym miejscu. Jasnoróżowy kosmyk wymknął się starszce spod chustki i Rebeka nie mogła oderwać od niego wzroku. Różowe włosy? Mervi Johansson napotkała jej spojrzenie i się zaśmiała.

– W ubiegłym tygodniu odwiedziła mnie prawnuczka. Najpierw zafarbowała swoje włosy, a potem moje. Całe szczęście, że już nie chodzę na spotkania modlitewne. No bo co by kaznodzieje laestadiańscy powiedzieli?

– Droga bezmyślności – odpowiedziała Rebeka głosem wieszczącym Sąd Ostateczny.

Mervi zaśmiała się ponownie i zakwiliła:

– Przebacz mi moje grzechy! – Ale zaraz spowaźniała. – Nie mam pojęcia, kto przyjechał tym skuterem. Nie mieliśmy zupełnie kontaktu, Henry i ja.

Opadła na sanki. Rebeka oceniła, że powinny zmieścić się w samochodzie. Musi podwieźć starszuskę do domu, w przeciwnym razie ta wyzionie ducha, męcząc się w ten sposób

w drodze powrotnej.

– Ale pamiętam lato, kiedy zniknął Raimo Koskela – kontynuowała Mervi Johansson. – Ludzie mówili, że opuścił syna, poszedł w tango i nigdy nie wrócił. Chłopiec, biedaczysko, przyszedł tu pieszo w środku nocy. Zapukał do Poromy, o, tam dalej, gdzie się zaczyna leśna droga. – Wskazała ręką.

Wież ciągnęła się wzdłuż rzeki.

– Czy Raimo Koskela miał tutaj krewnych? – dopytywała Rebeka.

– Nie. Wypożyczył domek od Olgi Palo. Chociaż nie, raczej nie wypożyczył. Olga była już wtedy wdową. I liczyła się z każdym groszem. To prawie było chorobliwe, po tym, jak umarł jej August. Więc myślę, że mu wynajęła. Była właścicielką lasu, nie cierpiała biedy. Ale jakby panicznie bała się ubóstwa. O rety, jaka była wściekła, gdy nam pociągnęli asfaltową drogę do wsi. To było rok wcześniej. Wszyscy byli przeszcześliwi. Staliśmy się częstką świata. Ale Olga postawiła szlaban na leśnej drodze i zamknęła na kłódkę. Żeby ludzie nie chodzili do jej lasu na jagody. Była taką prawdziwą *visukinttu*. Mówisz naszym językiem?

– Nie – odparła Rebeka, cały czas robiąc notatki w telefonie. – Ale sporo rozumiem, chociaż akurat tego...

– To znaczy sknera – powiedziała zdecydowanie Mervi. – Szkoda, że wy, młodzi, nie mówicie. Zjadłabyś trochę krwistych placuszków? Właśnie zrobiłam ciasto. Czy jesteś taką tą, weganką?

– Jem wszystko – uśmiechnęła się Rebeka. – Nawet to, co leży rozpląszczone i nieżywe na drodze. I dałabym sobie odciąć prawą rękę za trochę krwistych placuszków.

Zebrali się w dużym pokoju przed otworem po kuli. Ragnhild zatrzymała się w drzwiach. Sven Erik wyciągnął z pasa nóż.

– Czy mogę trochę podłubać w ścianie, żeby znaleźć pocisk? – zapytała Ragnhild. – Postaram się nie powiększyć dziury za bardzo.

– Dłub pan, ile wlezie – odpowiedziała ponuro. – Jak trzeba będzie, to mogę przynieść młot kowalski.

Sven Erik wbił ostrze w otwór.

– Czyli tutaj został zastrzelony – odezwał się Börje Ström i odchrząknął kilka razy.

Ragnhild odwróciła się w jego stronę. Chciała powiedzieć: przepraszam. Nie istniało żadne inne wyjaśnienie niż to, że Henry zastrzelił ojca boksera. Ale jej usta były nieme.

Börje spojrzał jej w oczy i potrząsnął lekko głową. Ragnhild pomyślała, że zrozumiał jej katusze. Że tym gestem daje do zrozumienia, iż nie ma za co przepraszać. Że przecież to nie ona strzelała. Lecz sekundę później wydało się jej, że to znaczy coś zupełnie innego. Że Ström ma całą jej rodzinę za szumowiny.

– Dzięki Bogu, że mama i tato nie musieli tego doświadczyć – powiedziała.

Jakby w obronie. Jakby chciała wyjaśnić, że *äiti* i *isä* nie byli pokroju Henry’ego.

Sven Erik wydobył kulę ze ściany i włożył do koperty, którą wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki. Zwrócił się do Ragnhild.

– Zobaczmy, czy pochodzi z broni będącej w posiadaniu Henry’ego. Jak pani myśli, czy brat miał jakąś broń palną z tamtych lat? Moglibyśmy ją zbadać.

– Ani tato, ani Henry nie korzystali z szafy na broń. Jeśli gdzieś są jakieś strzelby, to w schowku na poddaszu. Weźcie ze sobą, co chcecie.

Sven Erik i Börje weszli na piętro. Niewielki ciemny korytarz z dwojgiem zamkniętych drzwi na wprost i para drzwiczek po obu stronach, prowadzących do zabudowanych skosów.

Policjant otworzył pierwszy schowek. Zaraz za drzwiami leżał wełniany koc w czerwonej kratę. Kontury zdradzały wyraźnie, co jest pod spodem. Sven Erik podniósł przykrycie, złamał

strzelbę i nie znalazłszy żadnych naboju, sprawdził, czy magazynek w sztucerze jest pusty, po czym owinął dwie sztuki broni kocem.

– To dopiero dziwne – odezwał się stojący za nim Börje, kiedy otworzył pierwsze drzwi.

Pokój był nieumeblowany. Z murowanego pieca farba schodziła płatami. Tapety się wybruszały, a sufit szpeciły plamy wilgoci. Na podłodze leżały trzy materace, dwa węższe i jeden szeroki. Ten ostatni miał dwa ostre i dwa zaokrąglone rogi, co wyglądało dość osobliwie. Były też kołdry i poduszki. Żadnej pościeli.

Jego wzrok spoczął na parapecie, na którym leżała tubka pasty do zębów i szczotka do włosów. Jakby przez kogoś zapomniane.

– Ciekawe, kto tu nocował – zastanawiał się głośno Börje. – Kumple od flaszki?

– Ze szczotką do włosów i pastą do zębów? – odpowiedział z powątpiewaniem Sven Erik.

Otworzył drugie drzwi, prowadzące do wąskiego pomieszczenia z natryskiem. Uchylił brudną zasłonę w jaskółki i niebieskie obłoczki. Uderzyło go, że prysznic lśni czystością. Na podłodze stała butelka z szamponem, który obiecywał przywrócić farbowanym włosom połysk i blask.

Szampon dla kobiet, pomyślał i wrócił do schowka przy skosie, skąd przyniósł wieszak.

– Co robisz? – zapytał Börje.

– Sprawdzam pewne rzeczy.

Przy pomocy wieszaka podniósł kratkę ściekową. Zwisły z niej długie blond włosy.

Damskie odwiedziny, pomyślał. Raczej odpłatne. Ale coś tu się nie zgadzało. Trzy materace. Trzy kobiety? Henry Pekkari nie mógł chyba w tym stanie...?

– Mniejsza o to – powiedział, podnosząc się. – Próbujemy przecież dociec, co się tutaj przydarzyło twojemu ojcu w sześćdziesiątym drugim roku. A nie zagłębiać się w zainteresowania Henry’ego Pekkariego. Choć oczywiście dobrze byłoby wiedzieć, czy się znali. Żyją jeszcze jacyś koledzy twojego taty?

– Tato walczył w barwach Klubu Bokserskiego Nordpolen. Tak jak ja. Obaj trenerzy jeszcze żyją. Sikke Fredriksson i Jussi Mäntynen, kojarzysz ich?

– No jasne! Klub mieści się ciągle w tym samym lokalu. Myślę, że obaj się tam czasami pojawiają. A ty tam nie zaglądasz? Nic się nie zmieniło.

– Nie. Nie byłem tam od początku lat siedemdziesiątych. Ale mam wrażenie, jakby to było wczoraj, kiedy przyszedłem do klubu pierwszy raz.

Sierpień 1962

Minęły dwa miesiące od zniknięcia taty i właśnie zaczął się rok szkolny, kiedy Börje idzie do Klubu Bokserskiego Nordpolen. To klub taty. Od jakiegoś czasu kołata mu się w głowie myśl, że tam go spotka. Może wrócił. Może mama zabroniła mu się z nim kontaktować. Może jest tam właśnie i sparinguje. I gdy tylko zobaczy, jak Börje wchodzi do środka, przerwie walkę i pokaże w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

Klub znajduje się w piwnicznym lokalu pod piekarnią, niedaleko wieży ciśnień. Budynek ma dwie kondygnacje, fasadę z pomalowanej na zielono blachy falistej i brązowe ramy okienne. Podwórze, otoczone parkanem, jest w większości wyasfaltowane. Stoją tam samochody i motocykle pod brezentem. Na pokrowcach leżą żółte liście. W świetle latarni wyglądają jak rozrzucone przez kogoś złote monety.

Börje zwleka, ale w końcu zbiera się na odwagę i podchodzi do wejścia. Piwniczne drzwi, kilka stopni poniżej ziemi, mają brązową barwę. Ponad nimi oświetlony napis głosi: KB NORD-POLEN. Na szyldzie znajdują się również niedźwiedź polarny z obnażonymi kłami i czerwone

rękawice bokserskie.

Drzwi są lekko uchylone. Z lokalu dolatują różne odgłosy: terkot skakanek, rytmiczne ciosy, łomot i parskanie. Börje schodzi po schodach, zagląda do środka.

To świat mężczyzn. Wrzący kocioł męskich zapachów. Ostry pot, stęchłe ubrania, liniment. Na ringu pośrodku lokalu sparinguje dwóch starszych chłopaków. Trochę dalej jakiś dryblas pracuje na worku treningowym. Mężczyźni w szortach i z nagimi torsami tłuką w gruszki bokserskie albo skaczą na skakance. Wielu z nich ma tatuaże. Börje zerka na swoje kropki włości, akurat w tym środowisku żaden powód do dumy.

Choć serce wali mu jak młotem, a nogi wyrrywają się do ucieczki, otwiera drzwi. Wchodzi do środka. Zatrzymuje się zaraz za progiem, gotów na to, że wyrzucą go jak bezdomnego psa.

Na ścianach wiszą opatrzone autografami zdjęcia bokserów w walecznych pozach oraz afisze informujące o zawodach. Zaraz przy drzwiach niewielki szyld informuje: „Kto splunie na podłogę, dostanie lanie”.

Przy ringu stoi trener, ostrzyżony na języka blondyn. Ma na sobie spodnie i biały podkoszulek, w rękę trzyma stoper. Cały czas pokrzykuje na sparingujących chłopaków.

– Garda, Lassi! Nie garb się z rękawicami jak baba, co się boi dostać w głowę. Nogi chodzą! Stoisz na mokradle czy co? Jeszcze dwadzieścia sekund. Czadu, panowie, czadu! Stop!

Na ostatni sygnał bokserzy momentalnie zaprzestają walki. Wszyscy kończą ćwiczenia. Niektórzy zaczynają ze sobą rozmawiać. Inni pochylają się do przodu, dysząc ze zmęczenia.

Ostrzyżony na języka dostrzega Börjego. Ten chciałby się przytrzymać klamki, ponieważ nogi ma jak z waty.

– Zabłądziłeś, chłopcze? Szukasz kogoś?

Trener przygląda mu się uważnie. Jego nos jest szeroki i płaski, tak jak taty. Kark grubym niczym drzewo. Stwardniała cera przypomina wyprawioną skórę, jakby rozpiętą na kościach twarzy. To skóra, która się rozrywała, goiła i znów pękała. Głos jakby do niej przystający: surowy, lecz melodyjny. Z wyraźnym fińskim zaśpiewem, dokładnie takim jak taty. Zaciekawione oczy, bystre spojrzenie. Patrzy na Börjego, nie przestając kontrolować sytuacji wokół.

– Mój tato się tutaj boksuje – wyrzuca w końcu z siebie Börje.

– Ach tak! A jak się nazywa?

– Raimo.

Pogaduszki ustają. Wszyscy patrzą teraz na niego.

Börje ma duszę na ramieniu. Próbuje wesprzeć się o drzwi, ale te nie są zamknięte, więc gdy uciekają mu za plecami, omal nie traci równowagi.

– Co powiedziałeś? – nie dowierza język. – Raimo? Raimo Koskela?

Robi kilka kroków w kierunku Börjego. Ten potwierdza skinieniem głowy. A jeśli teraz dostanie w czapę? Może tato i ten facet mają na pieńku?

Podchodzi do niego jeszcze inny mężczyzna. Prawdopodobnie też trener, w długich spodniach, podkoszulku i ze stoperem w dłoni. Chociaż ten jest znacznie wyższy. I bez bokserskiego nosa. Ma ciemne kręcone włosy w lokach. Jego życliwe oczy zatrzymują się dłużej na Börjem. Ten czuje się teraz spokojniejszy.

– Syn Raima! – mówi pięknonosy, a jego twarz wyraża jednocześnie i radość, i smutek. – Cześć! Mam na imię Sigvard. Możesz mi mówić Sikke.

– Sisu-Sikke, tak się nazywa! – woła ktoś z głębi lokalu. – Wiesz, co to *sisu*?

Jasne, że Börje wie. *Sisu* to fińskie słowo oznaczające moc czynu. Ale nie potrafi wydobyć z siebie dźwięku. Teraz również język bada go wzrokiem od stóp do głów, by w końcu rozpromienić się w ciepłym uśmiechu.

– A ja jestem Nyrkin-Jussi – mówi. – Kto by pomyślał, syn Raimo! To co, umiesz się

boksować?

REBEKA WESZŁA do swojego gabinetu kwadrans przed dwunastą. Na śniadanie zjadła krwiste placuszki u Mervi Johansson. O wpół do dziesiątej pozostali uczestnicy wyprawy przeszli z powrotem przez rzekę. Pod nikim nie załamał się lód i nikt nie utonął. Już samo to można było uznać za sukces.

Ale teraz czekały na nią na biurku stopy zarzuconej pracy. „Rychło w czas!”, zdawały się mówić z wyrzutem.

Nie wszystko naraz, powtórzyła Rebeka jak mantrę, rzucając płaszcz na fotel dla klientów. Przynajmniej nie musiała dziś wychodzić ze Smarkaczem, zajął się tym Sivving.

W drzwiach pojawiła się sekretarka sądowa von Posta, Eva Bergmark. Jej uśmiech był zbyt szeroki. Krok – odrobinę za szybki. Oznaki niewróżące nic dobrego.

– Cześć, Rebeka! Calle pojechał do Gällivare. Na spotkanie z szefową od ciężkich przestępstw. Ale ma dzisiaj rozprawę w sądzie i chciałby, żebyś ją wzięła. Nie musisz nic przygotowywać, powiedział. W zasadzie wystarczy tylko tam pójść.

– Żartujesz sobie? Najpierw przydziela mi bilans postępowań przygotowawczych policji, a teraz chce, żebym wzięła jego sprawę w sądzie?

Ale Eva Bergmark nie żartowała. Przechyliła głowę i uśmiechnęła się przymilnie.

– A ja ciągle czekam na twoje raporty z dyżurów. I ankietę współpracowników. No i jesteś jedyną osobą, która jeszcze nie wypełniła grafiku urlopów.

Po czym odmaszerowała, stukając obcasami w korytarzu.

Rebeka zerknęła na pozew i wniosek dowodowy. Miała jeszcze pół godziny do rozprawy i przeglądając istotne części dochodzenia wstępnego, przebierała się w kostium, który zawsze wisi w gabinecie. Wcisnęła stopy w buty na wysokim obcasie. W rajstopach, które wyjęła z kieszeni żakietu, poleciało oczko, ale nie było na to rady. Zapięła żakiet z nadzieją, że tym samym stłumiła zapach potu po porannej wycieczce. Spięła włosy w kucyk.

Gdy przekraczała próg, zadzwonił Pohjanen.

– Raport! – rozkazał krótko.

– Mam dziś w pracy lekkie urwanie głowy. Za dwadzieścia minut powinnam być w sali rozpraw. Nie mógłbyś zadzwonić do Svena Erika, żeby...

– Próbowałem – przerwał jej medyk sądowy. – Ale telefon jest wyłączony. Dwadzieścia minut to ocean czasu. Opowiadaj.

Z tonu głosu wywnioskowała, że czekał, aż ona zadzwoni. Że temperatura wzrosła. Medyk nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś go pomijał czy ignorował.

Rebeka zdawała mu sprawozdanie z porannych wydarzeń, wsiadając do samochodu i jadąc do sądu rejonowego. Pohjanen chrząknął zadowolony na wieść o znalezionej w ścianie kuli.

– Można więc przyjąć, że Henry Pekkari go zastrzelił albo przynajmniej w jakiś sposób był w to wplątany – wycharczał. – A skąd się znali?

– A żeby to ktoś wiedział... Mervi Johansson powiedziała, że nie ma pojęcia, ale Sven Erik ma porozmawiać z byłym trenerem Börjega Ströma, bo jego ojciec trenował w tym samym klubie.

– Dobrze, bardzo dobrze – odparł Pohjanen z zadowoleniem. – Zobaczmy też, co się da wyczytać z tego pocisku.

– Chodzi mi po głowie jeszcze jedna rzecz... – powiedziała Rebeka.

Zaparkowała samochód i spojrzała na zegar w desce rozdzielczej. Rozprawa miała się zacząć za siedem minut. Może to nie był odpowiedni moment.

– *Shoot!* – odpowiedział radośnie medyk.

– Szybciorem. Nie mam dużo czasu. Mervi Johansson powiedziała, że prawie trzy tygo-

dnie temu ktoś przejeżdżał rzekę na skuterze śnieżnym. No i nie mogę przestać myśleć o tych materacach na poddaszu i długich włosach w kratce ściekowej.

– Co mi tu sugerujesz, Martinsson?

Po wesołości w jego głosie nie było ani śladu.

– Przyznaj, że to osobliwy zbieg okoliczności, kiedy... – zaczęła Rebeka.

– Wybij to sobie z głowy! – przerwał jej znów Pohjanen. – Zrobiłem sekcję zwłok Henry’ego Pekkariego. Jediną dziwną rzeczą było to, że śmierć nie nastąpiła dwadzieścia lat wcześniej.

– Nie proszę cię o powtórzenie sekcji, ale...

– Świetnie! – warknął medyk. – Bo nie mam najmniejszego zamiaru robić tego jeszcze raz.

Potem dostał ataku kaszlu. Rebeka czekała, spoglądając na zegarek. Miała jeszcze trzy minuty. Przez szklane wejście frontowe widziała, jak ludzie wchodzą do sali rozpraw. Jak zamykają się za nimi drzwi.

– Powątpiewasz w to, że znam się na rzeczy, to oczywiste – powiedział, gdy przestał kaszleć.

– Nie. Chciałam cię tylko poprosić, żebyś jeszcze raz popatrzył na protokół z sekcji zwłok. Tknęło mnie złe przeczucie.

– Aha, czyli znów do tego wracamy. Do twoich uczuć i przeczuc. Swoje wymysły możesz zachować dla siebie, zrozumiano?

– Słuchaj, muszę kończyć. Moja rozprawa...

Nie zdążyła powiedzieć więcej. Pohjanen się rozłączył. Wysiadła z samochodu i pospieszyła ku wejściu.

Proszę bardzo, myślała wściekła. Proszę bardzo, że wstałam w środku nocy i poświęciłam prawie cały dzień na twoje prywatne dochodzenie. A resztę dnia na robotę von Posta.

Wylądowała w sali rozpraw i z mozołem przeszła całą rozprawę. Wertowała papiery zdecydowanie dłużej, niż miała w zwyczaju. Sprawiała wrażenie nieprzygotowanej i niepewnej. Nie nawidziła siebie samej.

Kiedy zbierała się do wyjścia i wkładała płaszcz, zdążył podejść do niej obrońca. Wcześniej kilka razy próbował się z nią umówić. Teraz nie miała siły się wykręcać, zasłaniać wymówkami.

Przywitali się, on powiedział, że miło ją spotkać.

– Myślałem, że to sprawa von Posta.

– Musiał pojechać na spotkanie z szefową od ciężkich przestępstw – odpowiedziała. – Nie miałam więc dużo czasu, żeby się przygotować.

Zamilkła. Zła na siebie samą. Po jaką cholere się usprawiedliwia przed tym... małymia-
steczkowym adwokatem? Dnem wśród studentów prawa.

– Nie, nie sędzę... – odparł obrońca. – Szefowa odpowiedzialna za ciężkie przestępstwa wzięła wolne. I dziś, i jutro. Jej mąż ma okrągłe urodziny.

– Aha. Widocznie się przesłyszałam. W każdym razie Calle miał coś innego do roboty.

Uśmiechnęła się do adwokata, jakby nagle odkryła jego wdzięki, i wykonawszy ten zwodniczy manewr, pożegnała się pospiesznie, nim mężczyzna po raz kolejny wpadł na pomysł, by ją zaprosić na kolację.

Złość gotowała się w niej niczym wywar czarownicy, gdy rzuciła torebkę na tylne siedzenie. Ten skurwysyński dupek von Chujpost! Zostawił jej tę swoją rozprawę tylko po to, żeby się z nią podrażnić. Ponieważ mógł się drażnić. Ponieważ Alf Björnfort dał mu władzę, by mógł się drażnić. Zastanawiała się, co też von Post dzisiaj robi. Jeździ na nartach w Riksgränsen? Podczas

gdy ona haruje tu jak wół.

Wróciła do domu w Kurravaarze, zapomniawszy zrobić po drodze zakupy, więc postanowiła zjeść na obiad cokolwiek, byle tylko nie wracać do miasta. Popcorn polany masłem?

Przez całą drogę wciskała gaz do dechy i była zła. Zła na von Posta. Zła na Pohjanena. Zła na Björnfota. Zła na wszystkich, którzy przyjmowali za pewnik, że będzie im świadczyć usługi.

– Niech was szlag trafi! – krzyknęła w samochodzie.

Sven Erik Stålnacke wrócił do domu, w którym pachniało rybnym jednogarnkowcem i świeżo upieczonym chlebem. Airi przywitała go w sieni.

– No – powiedziała. – I jak poszło?

Choć widziała po nim wyraźnie, że się udało. Że poszło świetnie. Miał werwę w oczach i dużo do opowiadania. Zauważyła to już przez kuchenne okno. Na prowadzącej do drzwi alejce.

– Że też... – powiedział z udawanym oburzeniem – że też zawsze musisz mieć rację!

– Wiem – odparła, uśmiechając się tak szeroko, że poczuła, jak napina jej się skóra twarzy. – To okropna właściwość.

– Już w domu? – zdziwił się Sivving. – Nie ma jeszcze szóstej. Myślałem, że skorzystasz z okazji, by popracować dłużej, skoro dziś jesteś bez psa.

Podgrzewał gotową zupę przy piecyku w piwnicznej kotłowni. Miał tam też swoje łóżko i niewielki stół kuchenny. Rzadko korzystał z pozostałych części domu.

– Nie mam siły – odpowiedziała Rebeka. – Starczy też dla mnie?

– Oczywiście, że starczy. Kupiłem też nowy chleb chrupki. Z takimi tam...

Sięgnął po opakowanie i czytał na głos:

– ...nasionami chia i solą morską. A ty mi musisz wszystko opowiedzieć o dzisiejszym dniu. Byłaś na badaniu technicznym? Wkrótce dostaniesz zakaz prowadzenia samochodu.

Rebeka zajrzała pod stół. Bella leżała tam ze swoją rękawiczką.

– A gdzie Smarkacz? – spytała.

– U Kristera. Nie dostałaś ode mnie wiadomości?

– Co? Nie.

– Nie? Co ty mówisz? Nawet nie sprawdziłaś telefonu?

– Cały czas. Zerkam na telefon cały czas. Mogę zobaczyć tę twoją wiadomość?

– Nie, telefon mi się właśnie rozładował. Ale wysłałem ją koło dwunastej. Bo ze Smarkaczem szło nam tak sobie. Od razu była rozróżba, kiedy Bella, no wiesz... On chciał się bawić, wyrywał jej tę rękawiczkę. No i poprosiłem Kristera, żeby przyszedł i go zabrał. Powiedziałem, że odbierzesz go wieczorem.

– U Kristera? – zapytała Rebeka i momentalnie poczuła się tak nieziemsko zmęczona, że tylko cudem utrzymywała się na nogach.

– Zadzwoń do niego – zaproponował Sivving. – To przyjedzie tu z psem. Powiedz, że zupy dla niego też wystarczy.

– Zdecydowanie nie. Wiesz, że ma nową dziewczynę? Nie możesz ot tak sobie dzwonić do niego i prosić, żeby się zajął psami albo załatwił to czy tamo.

– Znowu zaczynasz marudzić o odśnieżaniu piątego kwietnia? Byłaś w Sztokholmie i gdyby Krister nie przyjechał i nie odgarnął śniegu na podwórzu, nie mogłabyś tu wjechać. Najpierw śnieg, potem odwilż i mróz. Popatrz na Annę Lisę Aidanpää. Nie odśnieżyła i musiała potem parkować na szosie. Prawie nie dało się przejechać. Toż to niebezpieczeństwo na drodze!

– Powiedziałeś, że zajmiesz się Smarkaczem. Jeśli powstaną jakieś komplikacje, to musisz najpierw zadzwonić do mnie. Żebym ja mogła rozwiązać problem, OK?

– To może ja zadzwonię do Kristera i poproszę, żeby przyjechał tutaj z psem? Wyjaśnię

mu, że zupy dla niego zabraknie.

– Nie, na litość boską! Pojadę do niego. A twój telefon nie był przypadkiem rozładowany?

Rebeka Martinsson zatrzymała się przed domem Kristera Erikssona. Na podwórzu stał tylko jeden samochód, ale nie jego. Marit Törmä prowadzi więc toyotę corollę. Rebeka próbowała wymyślić, co to o niej świadczy, ale nie mogła na nic wpaść, zwłaszcza na nic niekorzystnego.

Czy naprawdę musi teraz wysiąść, podejść do drzwi, zadzwonić, pokonwersować z tą kobietą i zapytać o swojego psa? No, musi! Sivving, niech cię szlag!

Otworzyła schowek w desce rozdzielczej i wyjęła papierosy. Palila w środku, nie otworzywszy okna. Uświadomiła sobie, że Marit poczuje nie tylko jej kwaśny pot, ale też smród popielniczki. Opuściła szybę i wyrzuciła niedopałek. Potem zaczęła grzebać w schowku w poszukiwaniu gumy do żucia. W końcu znalazła trzy kawałki, leżące luzem we wgłębieniu na kubek, włożyła je do ust, przeżuwając niczym rękaw, pomyślała: *Just do it* i wysiadła z auta.

W tej samej chwili na podwórze wjechał Krister i zaparkował za jej samochodem. Jedyne, o czym potrafiła pomyśleć, to brudne włosy. Dlaczego nie wzięła rano prysznic? Ponieważ wstała o czwartej. Ale mimo wszystko. Połknęła gumę do żucia.

Sekundę później zapomniała o włosach, bo z samochodu wyskoczyły trzy rozszalałe psy. Przywitały się z nią z całą psią radością wyrażaną ciałem. Ogony machały, a jęzory powiewały niczym flagi. Zwierzęta szczekały i tłoczyły się wokół niej, chcąc podejść jak najbliżej. Rebeka omal się nie wywróciła. Smarkacz przybiegł ze znalezionym gdzieś patykiem w nadziei, że to przysporzy mu popularności. Roy, staruszek, powarkiwał na młodzież i przyciskając zadek do nóg Rebeki, domagał się miziania u nasady ogona. Spełniła jego żądanie. Tintin śpiewała z oddaniem swoją pieśń. Rebeka starała się, by rąk starczyło dla każdego. Pochyliła się, pozwalając psom lizać sobie twarz. Zdążyły ją nieźle oślinić, by po chwili, jak na dany sygnał, odstąpić, gdy pojawił się Krister. Teraz podskakiwały wokół niego i czekając, opowiadały, że pewna osoba przyszła w odwiedziny, czy on o tym wie? Halo, halo, najlepsze odwiedziny pod słońcem. I z powrotem do Rebeki.

Trudno było powstrzymać się od śmiechu. Krister i Rebeka śmiali się razem. Psy powymiały ich stare zgrzyty i niewypowiedziane żale. Rebeka się podniosła. Zwierzęta popędziły przez podwórze i węszyły wokół, by sprawdzić, co się ostatnio wydarzyło.

Był taki przystojny! Nigdy nie uważała, że jego poparzona twarz jest szpetna. No i to ciało. Krzepkie, naprawdę. Nie takie tam od wyciskania na siłowni. Przywitał się krótkim „hej!”. Na dźwięk jego głosu coś w niej się poruszyło i zaczęło węszyć. Jak zagubione w lesie zwierzątko, które nagle usłyszało nawoływanie właściciela. Głos znany z domu. Przełknęła ślinę. Odwzajemniła się równie krótkim „hej!”. Zapytała, jak się miewa. Odpowiedział, że wyłącznie dobrze. Znowu pomyślała o swoich ohydnych włosach.

Z domu wybiegł Marcus, tylko w skarpetkach.

– Rebeka! – zawołał.

Przytulił się do niej i wcisnął twarz w jej klatkę piersiową, nie przestając mówić.

Rebeka położyła dłonie na głowie chłopca. Jego włosy ciągle były po dziecięcemu miękkie. Jedenaście lat. Jak to możliwe?

– Nie słyszę, co mówisz, kiedy masz buzię w moich ubraniach – powiedziała ze śmiechem. – Ale to z pewnością ogromnie interesujące.

– Wyślę ci potem wiadomość – wymamrotał. – Bo teraz muszę cię bardzo długo trzymać w objęciach.

– Ale, ale, zapomniałeś o butach – przypomniał mu Krister. – Biegnij do domu. Obiad go-

towy?

Marcus podniósł twarz i spojrzał na Rebeke.

– Marit ugotowała indyjski jednogarnkowiec z soczewicą. Zjesz z nami?

– Nie, dziękuję. Sivving by się zmartwił, bo obiecałam mu, że zjemy razem.

– Możemy po niego pojechać. A Smarkacz chce tutaj zostać i bawić się z Tintin i Royem.

Prawda, że chcesz?

Wypuścił Rebeke z objęć i zaczął biegać z psami.

– Jazda do domu! – zawołał Krister. – Bo jak nie, to położę ci te mokre skarpetki na wieczornej kanapce.

– Okej, okej, mój panie – poddał się Marcus i zawrócił.

Gdy Rebeka odprowadzała wzrokiem chłopca, który – wywijając rękami – wbiegał do domu, Krister skorzystał z okazji, by się jej przyjrzeć. Wychudzona. Cienie pod oczami. Ale to nie miało znaczenia. Była jak Biran, jego ulubiona góra, stojąca samotnie między Kårsavagge i Kärkevagge. Widział ją w każdej pogodzie. We mgle. W zadymce śnieżnej. Kiedy w czerwcu kwieciała się pod promiennym słońcem. Na przedwiośniu, pokrytą świeżym śniegiem, wyglądającą niczym gigantyczna beza. Kiedy padał grad jak piłeczki pingpongowe. Biran nigdy mu się nie nudziła. To była jego góra, niezależnie od pogody. Podobnie z Rebeke. We wszystkich jej odsłonach. Nagle tak bardzo zapragnął wziąć ją w ramiona, że natychmiast włożył ręce do kieszeni. Kątem oka dostrzegł stojącą w kuchni Marit.

Teraz jestem z Marit, pomyślał. Mamy dobre życie.

Zaskoczyło go uczucie gniewu na Rebeke. Dziki impuls, żeby ją szturchnąć.

– A jak idzie Marcusowi? – zapytała. – Z kolegami, w szkole i tak dalej.

Odpowiedział, że „wyłącznie dobrze”, identycznie jak wtedy, gdy chciała się dowiedzieć, jak miewa się on sam. Poczł się jak baran. Jak idiota powtarzający „wyłącznie dobrze”. Co sądzisz o kryzysie klimatycznym? Wyłącznie dobrze.

– Dziękuję – powiedziała. – I przepraszam. Nie miałam zamiaru obarczać cię Smarkaczem. To Sivving...

Westchnienie i pełen rezygnacji gest dokończyły zdanie.

– Mhm. Nie ma sprawy – odpowiedział. – Muszę już iść.

Spróbowała się uśmiechnąć. Z dość marnym rezultatem. Usta drgnęły jej mimowolnie. Poczł się osobliwie zadowolony z tego, że Rebeka nie umie udawać. Otworzyła bagażnik i klatkę, zawołała Smarkacza, który przybiegł, machając ogonem.

– Wskakuj! – wydała polecenie.

Powinien teraz odejść. Powinien pójść do Marit. Zamiast tego podszedł do Smarkacza i zaczął drapać go za uszami.

– Ma dobry nos – powiedział. – Ułożyłem mu ślad. Mógłby zostać świetnym tropicielem.

Gdybyś ty nie..., pomyślał i poczł, jak zaciskają mu się szczęki.

Tintin usiłowała wskoczyć do samochodu za Smarkaczem. Rebeka odpędzała ją, jednocześnie zamykając klatkę. Suka lizała jej dłonie. Podskakiwała i opierała łapy o bagażnik. Roy pojął w lot. Stał obok pana.

– Do nogi! – krzyknął do Tintin Krister.

Ale ona nie słuchała. Musiał ją pociągnąć za obrozę do domu.

Rebeka odjechała. Człła się ciężka, ważyła kilka ton. Na dworze było zdecydowanie za jasno, choć już zapadł wieczór. Chciała, żeby zapadł też mrok. Chciała być tym mrokiem spowita. Miała wrażenie, że mijający ją kierowcy przyglądają się jej badawczo. Musiała zacisnąć zęby.

Krister położył dłoń na klamce. Opędzał się od rozedrganej matczynej tęsknoty, by zabrać

Rebekę do lasu. Patrząc, jak zatapia wzrok w ognisku albo zasypia na skórze renifera, podczas gdy on przygotowuje obiad. Psy porozkładane wokół niej. Wyglądała na zmęczoną i wyniszczoną. To z pewnością zasługa von Posta, który jeździ na niej jak na łysej kobyle, kiedy Björnfort ma urlop.

Marit też uwielbia chodzić po górach. Ale – i tu zawstydził się swoich myśli – ona jest gwiazdą. Jako juniorka zdobyła złoto w biathlonie i podobnie jak on, jest ratowniczką górską. Ma ponad trzydzieści tysięcy obserwujących na Instagramie. Kiedy ostatnio byli w górach, poprosiła go, żeby ją sfotografował przy źródle. On wyjął telefon, ona zdjęła sweter i niosła wiaderka z wodą odziana w koszulkę na ramiączkach. Jej szczupłe umięśnione ramiona na tle gór. Niezliczone ilości lajków. Był dumny. Cieszył się w jej imieniu. Ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że nie byli sami. Ona, on i trzydzieści tysięcy obserwujących.

Rebeka nie jest lepsza, skarcił siebie samego. Zawsze myślami w pracy, pochłonięta swoimi sprawami.

Kiedy stali się parą i Marit udostępniła ich wspólne zdjęcia na Inście, reakcje były mocne. Niektórzy czuli obrzydzenie na widok jego nierównomiernie różowej, poparzonej twarzy i braku nosa. Pisali wulgarne komentarze. Nagle pojawili się w wątkach trolle piszący: „Pieprzy się z Obcym, ja pierdołę!”. Inni deklarowali krótko: „Przestaję obserwować!”.

Irytowało go, że Marit czuła się zobowiązana, by go pocieszać. „Nie przejmuj się”, mówiła. Naprawdę się nie przejmował. „Ci, którzy się liczą, kochają cię”, zapewniała. Nie znał tych ludzi. To było dla niego bez znaczenia, czy go kochają, czy nienawidzą. „Większość uważa, że jesteś cudowny”, kontynuowała. Tak, wiele osób sądzi, że jest cudowny. Ci byli jeszcze gorsi ze swoimi komentarzami w stylu: „Piękno nosimy w sobie, a ty jesteś fantastyczny”.

Marit pisała o tym trochę za dużo. Że on też jest ratownikiem górskim. Przewodnikiem psa. Mężczyzną, który przysposobił strauatyzowanego chłopca. Jakby musiała go lansować.

Otworzył drzwi do swojego domu. Marit przywitała go w sieni, biorąc w objęcia. Otoczył ją ramionami i pomyślał, że, kurde, on to ma szczęście. Ona jest naprawdę fantastyczna.

Żałował, że zgodził się zaopiekować Smarkaczem. Ale przecież pomógł w tym Sivvin-gowi, nie Rebecce.

Psy wbiegły do środka, przywitały się z Marit szybko i niedbale i powęszywszy trochę, ruszyły do kuchni, by sprawdzić swoje miski z karmą. Nie zdążyła ich nawet pogłaskać. Ile razy skarżyła się Kristerowi, że ma psy jednego pana.

Pocałował ją. Udzielił swego rodzaju rekompensaty za psy. Powiedział coś pozytywnego o zapachu indyjskiego jedzenia.

– Kochanie, nim ściągniesz buty... – odezwała się. – Czy mógłbyś podnieść niedopałek Rebeki? Widziałam, jak rzuciła go na ziemię. Jeden pet zabija życie mikrobiologiczne w siedmiu litrach wody gruntowej.

Odnalazł niedopałek i wyrzucił do śmieci. Przypomniawszy sobie, że Rebeka pachniała gumą do żucia. Intensywnie miętową gumą. O co jej chodziło? Co sobie wyobrażała? Że będą się całować?

TO NOCNA CHWILA, nazywana wilczą godziną. Cienka błona między nocą a świtem, kiedy umiera najwięcej osób i rodzi się najwięcej dzieci, kiedy sen jest najgłębszy, a senne zmyry są najbardziej rzeczywiste. Niemcy nazywają ją Hundewache, psią wachtą. Gwiazda Syriusz świeci wtedy intensywnym światłem. Godzina nazwana w Biblii pianiem koguta, gdy Piotr pojmuję, że wyparł się swego mistrza trzykrotnie, zgodnie z przepowiednią Jezusa.

Börje Ström budzi się w pokoju hotelowym od pomruku nocnej detonacji w kopalni. Leży bezsennie do wpół do czwartej. Potem wychodzi na dwór i biegnie w jasną noc. Słońce pojawia się nad horyzontem i cień boksera ma długie nogi. Drogi są bezśnieżne, ale ciągle pokrywa je po-

zimowy żwir, który teraz przesuwają się pod stopami i nawet bieganie po asfalcie staje się uciążliwe. Pierwsze kilometry są ciężkie, ciało pobolewa tu i tam. Z wiekiem wydłuża się czas rozgrzewki.

Zostawia miasto za sobą i biegnie ku Luossavaarze, starej górze kopalnianej. Tutaj przeniesie się część miejskich domów z okolicy zagrożonej zawałami. Kopalnia pożera miasto, w którym dorastał. Kiruna zapada się w rosnącej czeluści. Rudę żelaza trzeba wydobyć. Młodzi ludzie potrzebują pracy. To zrozumiałe.

Robi się coraz bardziej stromo. Nie przestając biec, Börje myśli o swoim ojcu, który przez te wszystkie lata leżał w zamrażarce na wyspie. Musi się dowiedzieć, jak do tego doszło. Jeśli to możliwe. Bo niewykluczone, że ci, którzy mogliby coś powiedzieć, też już nie żyją. Prawda, podobnie jak miasto, kruszeje i zamienia się w piasek.

Nie pozostaje nic innego, jak biec do przodu. Krok za krokiem, choć nogi miękają jak spaghetti. Pamięta Nyrkina-Jussiego, który głosił to jak ewangelię: biegać trzeba. Najlepiej na moczarach i w głębokim śniegu.

Sierpień 1962

– Kto by pomyślał, syn Raimo! – mówi trener z ciemnymi lokami. – To co, umiesz się boksować?

– Trochę.

Börje ledwie śmie patrzeć na mężczyzn w lokalu.

– Ach, tak! – woła jeden ze stojących w ringu. – No to chodź tu, chłopcze, i pokaż, co potrafisz.

Stłumione śmiechy.

– Do roboty, panowie! – krzyczy ciemnowłosey. – Koniec urlopu!

Trenerzy przyglądają się Börjemu przez chwilę, podczas gdy inni wracają do przerwanych ćwiczeń; skakanki świszczą, cios za ciosem spada na worki treningowe. Börje wstrzymuje oddech. Ma dziwne uczucie, że właśnie teraz rozstrzyga się jego los. Boi się, że mężczyźni wzruszą ramionami i powiedzą: „W porządku, chłopcze, może lepiej, żebyś już wrócił do domu”. Boi się tego jak śmierci.

Ten niższy trener z nosem boksera, Nyrkin-Jussi, chrząka.

– Twój tato... jeszcze nie wrócił?

Börje potrząsa głową.

– Nauczył mnie uderzać w worek – mówi cicho.

– Chcesz trochę poćwiczyć? – pyta Sisu-Sikke. – Możesz pożyczyć rękawice taty. Jak ci obandażują ręce, to powinny pasować.

I tak się zaczyna. Börje pracuje na worku. Na początku uderza weń tak mocno, jak potrafi, na wypadek gdyby ktoś patrzył. Worek wychyla się jednak tak bardzo, że niemal go przewraca. Ramiona drżą z wysiłku, ale wygląda na to, że nikt się nim nie przejmuje, więc po wstępnej potyczce Börje zadaje lżejsze ciosy. Worek zamienia się z wroga w kolegę treningowego. Ciało pamięta lekcje pobrane u taty i pracuje teraz w seriach: prosty w głowę, sierpowy, podbródkowy, prosty w głowę, prosty w głowę, prosty w głowę, prosty w głowę.

Przez cały wieczór nikt się do niego nie odzywa. Jest najmłodszy w lokalu. Pozostali mają może piętnaście lat lub więcej, wielu jest w wieku taty. Ich ciała spływają potem, jakby stali nago w deszczu. Trenerzy poświęcają im całą uwagę. Przez chwilę Börje ma wrażenie, że któryś z nich go obserwuje, lecz gdy się odwraca, widzi, jak obaj uporczywie wpatrują się w swoje stopy.

Nagle Sisu-Sikke wyrasta za nim i kładzie mu rękę na barku.

– Na dziś już chyba wystarczy.

Pomaga mu zdjąć rękawice i ostrożnie uwalnia z bandaży. Jak dobrze poczuć w ciele spokój i zmęczenie. Jak dobrze poczuć się zaopiekowanym przez kogoś, kto nie traktuje cię jak dziecko.

I w końcu Sisu-Sikke zadaje pytanie:

– Chcesz tu wrócić?

Börje potakuje skinieniem głowy.

– Weź ze sobą ubrania do treningu. Możesz je trzymać w szafce taty. Jesteśmy tutaj w każde popołudnie i wieczór. Wystarczy tylko przyjść. Ale teraz mama chyba czeka z obiadem, nie?

Börje wraca do domu. Odczuwa coś w rodzaju zdziwienia. Że świat na zewnątrz nieustannie istnieje. Przez ponad godzinę zapomniał o tym drugim świecie. O świecie, w którym ma dom, mamę i szkołę. Ciągle jeszcze czuje zapachy w lokalu bokserskim, słyszy dźwięki.

Powiedzieli, że może tam wrócić.

Dorosły Börje Ström stoi na szczycie i łapie oddech. Truchta w miejscu, by pozbyć się kwasu mlekowego. Spogląda na zegarek. Wpół do piątej. W dole rozściela się miasto. Faktycznie ładne, leżące na niewysokim wzniesieniu Haukivaara pomiędzy dwoma kopalnianymi górami, Luossavaarą i Kirunavaarą.

Wydmuchuje smarki i wyciąga telefon. W Älvsbyn ma kobietę o imieniu Lottie. Wczoraj wieczorem dostał od niej SMS-a. Świetna jest. Dobrze się trzyma. Wyśmienicie gotuje. Börje wysłał jej kilka serduszek i mrugającą buźkę.

A potem zbiega z góry. Myśli o Ragnhild Pekkari. O jej twardych dłoniach i anoraku pachnącym ogniskiem. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby spotkać ją jeszcze raz.

W wileczą godzinę Ragnhild śni o Börjem Strömie. Są nadzy. Spoceni. Śliscy. Obejmują się tak mocno, jakby chcieli wycisnąć z siebie nawzajem życie, stopić się w jedno. Ona siedzi na nim okrakiem.

Budzi ją szczytowanie. Nie jest pewna, czy nie krzyczała. Tak głośno, że usłyszeli sąsiedzi? Ma nadzieję, że nie istnieje żaden Bóg, bo przy tym nie chce mieć świadków.

Mokra od potu, rozgrzana snem i wstydem, leży teraz w łóżku, ogarnia wzrokiem ciemność. Biała noc wciska się w szparę między roletą a ścianą. Z wolna pojawiają się kontury mebli. I wrażenie z dzieciństwa, że nocą sprzęty ożywają. Biurko i krzesło, drewniany kamerdyner i kosz na pranie; nieme czarne zwierzęta stoją wpatrzony w nią, nieruchome. Zastanawiają się, co z niej za jedna.

Rebeka zasypia na ławie kuchennej i budzi się koło trzeciej. Trampek w ustach, ubrania przyklejone do ciała. Odkłada kieliszek i pustą butelkę po winie do zlewu i zamyka komputer. Sika, obmywa twarz, ale nie ma siły, by wyjąć płatki kosmetyczne i płyn do demakijażu, więc kiedy przegląda się w lustrze, wygląda jak panda. Próbuje wytrzeć resztki make-upu ręcznikiem, efekt jest taki sobie. Myje zęby. Mówi do siebie, że powinna zacząć dbać o higienę snu, kłaść się wcześniej, nie oglądać seriali, zostawiać telefon poza sypialnią i takie tam rzeczy, o których piszą.

Boi się depresji. Ta porusza się niczym cień, niczym olbrzym wokół jej domu, wolnym, nieubłaganym krokiem. Jeśli Rebeka odpuści sobie wypracowane rutyny, to niechybnie uchyli drzwi. A wtedy olbrzym przykucnie, wejdzie do środka i ją złapie.

W sypialni na swoim posłaniu leży Smarkacz. Nawet nie podnosi głowy na odgłos kroków pani. Przeszywa ją ukłucie smutku, że wybrał samotne spanie, że nie chciał dzielić z nią ławy w kuchni. Dawniej zawsze spał u niej w nogach.

To dlatego, że mam zbyt mroczną duszę, myśli i zbiera się jej na płacz na widok leżącego

psa. Jest taki piękny, zwinięty w kłębek jak lisek, z nosem na ogonie.

Unika mnie, myśli Rebeka. Nie nadaje się dla niego. Męczę go samą obecnością, moim zaraźliwym mrokiem.

Zaczyna żałować Smarkacza, że musi żyć z tak obrzydliwym człowiekiem jak ona. Żałuje też samej siebie, bo to ona jest tą obrzydliwą osobą i nigdy nie będzie inna.

Chce zapłakać. Usta wyginają się w podkówkę, ale płacz nie nadchodzi, nie przynosi ulgi. Nawet płakać nie potrafi!

Zimna, myśli o sobie. Oziębła i bez uczuć. Szurnięta. Chora na głowę. Nieprzydatna nikomu. Dochodzi do wniosku, że musi oddać Smarkacza. Uwolnić go od siebie samej. Sivving by go nie przyjął. Ale może Krister?

Wraca myślą do Kristera. I automatycznie do jego nowej dziewczyny. Marit Törmä, kurza dupa! Perfekcyjna górską wędrowczyni. Powierzchnowa. Nudna. Rebeka jej nie cierpi. O czym oni w ogóle mogą ze sobą rozmawiać?

Posępny głos w jej wnętrzu odpowiada, że Marit z pewnością nie jest z tych, co nagle wybuchają płaczem, gdy się kochają. Albo – owładnięte własnym mrokiem – chcą, by na tydzień zostawić je w spokoju.

Naprawdę dobrze zrobił, że związał się z tą kobietą, myśli Rebeka i niczym stara studnia w porze deszczu wypełnia się odrazą do siebie samej. Nic mi nie zostało i wszystko jest z mojej winy.

W końcu zasypia.

Lekarz sądowy Pohjanen siedzi na swojej skosmaconej sofie w podziemiach szpitala i pali papierosa. Na kolanach trzyma służbowy komputer z protokołem z sekcji zwłok Henry'ego Pekkariego. Jego żona zdążyła wysłać pięć gniewnych SMS-ów, ale on nie odpowiedział na żaden. Przecież i tak, kurde, wie, gdzie on jest. I niech sobie, cholera jasna, odpuści pisanie w stylu: „Daj mi przynajmniej znać, że żyjesz”.

Nie pojechał wieczorem do domu, został w pracy. Ale dalej jest dorosłym człowiekiem, bo chyba nie przestaje się takim być w obliczu nadchodzącej śmierci? A ona ciągle jest jego żoną, bo niby kiedy została jego przedszkolanką? Albo opiekunką? Jeśliby tu umarł, to któraś z tych różowych gum do żucia na pewno by ją o tym powiadomiła.

Wybuch złości na Rebece już dawno przebrzmiał.

Martinsson. Ona i to jej cholerne przeczucie.

Gdy tylko przerwał z nią rozmowę, nadal rozeźlony, powrócił do protokołu z obdukcji. No i Martinsson miała rację! Henry Pekkari nie zmarł z przyczyn naturalnych dla podstarzałych pijaków. Został pozbawiony życia.

Ale każdy mógł to przeoczyć, myśli Pohjanen i przesuwając na czubek głowy okulary, które ześlizgują się po potylicy i lądują na podłodze za sofą.

Żadna część jego umysłu nie zastanawia się nad ich odzyskaniem. Medyk pociera nasadę nosa. Umknęło mi to, myśli. Iluż miał na stole obdukcyjnym starców, którym zabrakło rozsądku, by w porę przestać prowadzić samochód? Ileż ich ofiar?

Pora zatem kończyć. Pojechać do żony. Położyć się na drogiej kanapie, wtrząchnąć benzo i słuchać muzyki przez resztę swoich dni. *Giant Steps* Johna Coltrane'a, *The College Dropout* Kanyego Westa, *Vespertine* Björk, *Highway to Hell* AC/DC, *Confession on a Dance Floor* Madonny. Beethovena: piąta i siódma symfonia w wykonaniu Filharmoników Wiedeńskich pod batutą Carlosa Kleibera; ta agresywna werwa w piątej i allegretto w siódmej. Kiri Te Kanawa, która zamienia w złoto cokolwiek, na przykład *The Flower Duet*. Można skończyć gorzej.

Zamknie na chwilę oczy. Za jakąś godzinę wstanie dzień. Wtedy zadzwoni do Martinsson.

Jak się rzekło: ona i to jej cholerne przeczucie.

PIĄTEK, 29 KWIETNIA

POHJANEN ZADZWONIŁ do Rebeki Martinsson wcześniej rano. Wstała z łóżka z telefonem między uchem a barkiem, z kołdrą zarzuconą na ramiona. Podczas gdy medyk odchrząkiwał, porannie oczyszczając gardło, ona zeszła na dół i wypuściła Smarkacza na siku. Sama też przykucnęła na podwórzu, przecież i tak nikt nie widzi. Strząsnęła kropelki moczu i podciągnęła majtki.

– Przyjrzałem się jeszcze raz protokołowi z sekcji zwłok Henry’ego Pekkariego – powiedział Pohjanen. – Wszystko wskazuje na to, że cierpiał na zaburzenia rytmu serca i zmarł na skutek nagłego zatrzymania krążenia z powodu długotrwałego nadużywania alkoholu.

– Okej. Przepraszam, że...

– Nie skończyłem, Martinsson! – przerwał jej. – Okazuje się wszelako, że Henry Pekkari padł ofiarą *Burke and Hare killing*.

– Co to...

– Każdy mógłby to przegapić! – wybuchnął Pohjanen zrzędlwym głosem. – W miejscach plam opadowych są *livores*.

– Nie rozumiem – odparła Rebeka i zawołała Smarkacza.

Dała mu jeść, podczas gdy medyk wyjaśniał.

– Nieznaczące pęknięcia naczynek krwionośnych. Wiesz, co to są rozszerzone i popękane naczynka krwionośne?

– Tak, ale...

– Cisza, do jasnej cholery, kiedy tłumaczę. Bo inaczej zadzwonię do twojego szefa, twojego p.o. szefa! I zamiast z tobą, porozmawiam z nim. Oczywiście zanotowałem plamki. Ale te wybroczyny widniały tylko na górze przedniej części ciała.

Był zmuszony zaczerpnąć powietrza. Długie, męczące wdechy, jak przez słomkę.

– Jakie kwalifikacje mają ci, co wożą transporty? – kontynuował po chwili. – Wygraną w zawodach jedzenia sinych klusek w Överkalix? Nie uważali za stosowne poinformować mnie, że przewrócili go na brzuch. Wyszedłem więc z założenia, że tak go znaleźli i że te wybroczyny spowodowane popękanymi naczynkami to plamy opadowe.

Rebeka zaczęła odmierzać kawę, ale straciła rachubę.

Morderstwo, pomyślała rozochociona. Naprawdę?

– A oprócz tego miał krwawienia w muskulaturze skroni, powstałe jeszcze za życia.

– Intrawitalnie – powiedziała Rebeka jak radosna uczennica.

Pohjanen zarechotał, ale po chwili spoważniał.

– Muszą go obejrzeć technicy – powiedział.

– A co to jest *Burke and Hare killing*? – zapytała Rebeka, wracając do gotowania kawy.

– Nazwa pochodzi od dwóch morderców, którzy na początku dziewiętnastego wieku z powodzeniem stosowali tę metodę, uśmiercając rozbitków życiowych odtrąconych przez społeczeństwo, i sprzedawali zwłoki lekarzowi, który zajmował się studiami anatomicznymi.

– Żartujesz – powiedziała Rebeka i do Pohjanena, i do Smarkacza, który położył się w jej łóżku z głową na poduszce. Uważał, że ta jak najbardziej nadaje się dla króla Kurravaary.

– Mogę cię zapewnić, że nie mam nastroju do żartów. Ofiara zostaje poddana uciskowi torakalnemu, na przykład w ten sposób, że sprawca siada mu na piersiach. Klatka piersiowa, z natury ruchliwa, kurczy się za każdym razem, gdy ofiara wydycha powietrze, i nie ma szans, by zwiększyć objętość przy wdechu. Nie powstają żadne zewnętrzne obrażenia, ale ciśnienie wewnątrz klatki wzrasta do tego stopnia, że krew nie może powrócić do serca. Dochodzi wtedy do

wynacznienia w górnej części klatki piersiowej i na szyi. Jednocześnie dusisz ofiarę, zatykając jej nos i usta albo przyciskając do twarzy poduszkę. To powoduje petocje na twarzy, szyi i części barkowej. Dopilnuj, żeby technicy poszukali włókien. Z poduszki.

– Mhm – mruknęła Rebeka. – Mógłbyś poczekać ze złożeniem tego raportu do piątej?

– Jasne. Nigdy nie doszłoby do wszczęcia śledztwa w sprawie morderstwa, gdybyś ty nie...

Przerwał. Po drugiej stronie panowała cisza. Rebeka wsypała ostatnią miarkę kawy i włączyła perkolator.

– Przeoczyłem to – wyznał w końcu Pohjanen. – Myślałem, że to plamy opadowe.

– Powiedziałeś przecież, że każdy mógł to przeoczyć.

– Ale ja nie jestem każdym – rzekł i się rozłączył.

MERVI JOHANSSON obudziła się od świecącego w sypialni słońca. Boże mój drogi, która to godzina? Po siódmej! Kiedy ostatnio spała tak długo?

Wstała z łóżka i przejrzała się w lustrze. Cienkie różowe kosmyki włosów sterczały na wszystkie strony. Nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Nigdy nie była pięknocią, ale teraz! Zrobiła sobie selfie i wysłała do prawnuczki.

W młodości marzyła o tym, by móc spać do woli, ale każdego ranka mama mówiła: „Pobudka, wstać!”. A później trzeba było pracować. Ani się obejrzała, jak urodziła gromadkę dzieci i nie było mowy o spaniu. Z maluchem uczezionym piersi albo spódnicy nieustannie tęskniła za tym, żeby się wyspać. Żeby spać do przedpołudnia. Spać tak długo, by nie czuć zmęczenia, ba! – by poczuć się wypoczęta. Tęskniła za tym całe lata. Potem dzieci wyfrunęły z gniazda, ale jej sen z młodości nigdy nie powrócił. Budziła się wcześniej, nigdy się nie wylegiwała.

Teraz moczyła sucharki w porannej kawie i myślała o wczorajszym dniu. O Rebecce Martinsson, córce Virpi, i o Ragnhild. Bo Ragnhild przecież mogła do niej zajrzeć? No, chociaż oczywiście teraz ma dużo na głowie, po śmierci brata. W każdym razie miło będzie pójść na pogrzeb. Nawet jeśli pochówki sprawiały jej największą przyjemność między siedemdziesiątką a osiemdziesiątką. Wówczas spotykała znajomych w swoim wieku. Rozmawiała z nimi o starych czasach i nie musiała mieć wyrzutów sumienia, że dobrze ją to nastrajało, ponieważ zmarli szli na spotkanie Pana naznaczeni wiekiem. Teraz jednak nawet najstarsi na pogrzebach byli o wiele młodszy niż ona. Nie pamiętali mroźnych zim z lat wojny, reorganizacji, dzieci wojennych^[1] ani widoku palonych przez Niemców wsi po fińskiej stronie rzeki. Nic nie wiedzieli i nic nie chcieli wiedzieć.

– A teraz to mało kto uważa mnie za człowieka. Nawet dziewczynki i Arvid.

To ostatnie zdanie wypowiedziała do swojego męża. Nie żył od dwudziestu siedmiu lat, ale często z nim rozmawiała. Wolą mieszkać we własnym domu i pogadywać ze zmarłymi przyjaciółmi i mężem, niż przenieść się do Ängsbacken i próbować nawiązać kontakt z tymi, co błądzili w mgłę niepamięci. Dzieci wierciły jej dziurę w brzuchu, żeby przeprowadziła się do domu spokojnej starości. „Przeprowadźcie się sami!”, odpowiadała. Przecież oni też już osiągnęli wiek emerytalny. Mieli czas. Mogli ją odwiedzić w Kurkkio.

Za oknem zastukała w szybę sroka. Przychodziła każdego ranka, przyzwyczajona, że dostanie coś do dzioba. Mervi rzuciła w śnieg jeden z krwistych placuszków, które zostały z wczoraj. Sroka zanurkowała po zdobycz i odleciała z furkotem.

Oczami wyobraźni Mervi zobaczyła męża kręcącego głową. Nigdy mu się nie podobało, że ona karmi dzikie zwierzęta, ptaki, wiewiórki, lisy. On w dzieciństwie doświadczył głodu inaczej niż ona, rozumiała go. Ale teraz czuła się wolna, bo mogła decydować sama.

– Stać nas na to – powiedziała do męża. – Poza tym muszę się kimś opiekować, bo inaczej życie nie miałoby sensu.

Wyglądała za sroką, ale ta zniknęła. Pewnie się boi, że straci kasek na rzecz wron, które rozrabiają za starą powozownią, pomyślała.

Wychyliła się jeszcze bardziej i patrzyła w tamtym kierunku.

To dziwne. W ostatnich dniach właśnie tam się zlatywały i robiły potworny hałas. Sporo ich było. Może znalazły jakieś padłe zwierzę. Renifera?

Mervi Johansson postanowiła zbadać sprawę. Jeśli tam faktycznie leży renifer, powinna zgłosić to do związku Saamów. A poza tym poprosić kogoś o usunięcie ścierwa, żeby się tu nie rozkładało, gdy śnieg stopnieje.

Włożyła gumowce i zarzuciła sweter na koszulę nocną. Schodziła mozolnie z ganku, trzymając się poręczy. Fińskie sanki stały przy najniższym stopniu schodów. Przepchnęła je przez bezśnieżne podwórze i szła dalej po śniegu. Szczęśliwie w koleinie skutera była wystarczająco wytrzymała. Od czasu do czasu stopy niemal się zapadały, ale wówczas Mervi opierała się o sanki, by po chwili znów pewnie kroczyć ku powozowni.

Kiedy obeszła jej narożnik, wrony uniosły się w powietrze. Zrejerowały na wierzchołki drzew i skrzecząc na całe gardło, przelatowały z gałęzi na gałąź.

Coś tam faktycznie leżało, przy samej ścianie, do połowy ukryte pod zwałami śniegu i lodu, spadłymi z dachu. Mervi się zatrzymała, zacisnęła dłonie na uchwytych sanek.

To nie było żadne zwierzę. To były dwa ludzkie ciała. Jedno ramię wygięte pod nienaturalnym kątem. Głowa. Długie blond włosy z grudkami lodu. Odrobinę dalej wystawały dwie nogi. Dżinsy i błyszczące buty sportowe. Rozerwana zimowa kurtka. Kawałki watoliny porozrzucane po śniegu. To z pewnością wrony. Rozdziobały, rozszarpały pazurami.

– Dziewczyny! – krzyknęła i wypuściła sanki z rąk. – Biedne dziewczyny!

Powozownia leżała na lekkim wzniesieniu, które opadało ku rzece. Gdy Mervi puściła sanki, te zsunęły się wolno w dół. Niedaleko. Półtora metra dalej zatrzymały się na wyboju.

Mervi zrobiła krok w przód, by je schwycić. Ale śnieg poza wyjeżdżoną koleiną był zbyt miękki. Staruszka zapadła się po kolano. Rozeźlona próbowała wyciągnąć stopę, ale wówczas zapadła się drugą nogą. Teraz była kompletnie uwięziona. Przypomniała sobie młodego Saama, który uczył ją słów związanych ze śniegiem. Na taki śnieg, w którym człowiek się zapada, mają specjalne słowo: *lärkádahka*.

I pomyśleć, ile człowiek pamięta z tego, czego się nauczył w młodości! Kiedy Saamowie nocowali w zagrodzie podczas przeprowadzek reniferów. Kiedy można się było zakochać w tych przystojnych pasterzach. Gdyby ją teraz zobaczyli, śmialiby się z pewnością. Mieli też specjalny czasownik, który znaczył: utknąć stopą w śniegu albo mokradle, *dihpput*. I określenie śniegu, który wpadł do butów: *själmmat*.

Po prostu nie mogła się wydostać na powierzchnię. Próbowała położyć się na brzuchu i pełzać, ale bez skutku. Sanki stały irytująco blisko, lecz poza zasięgiem ręki. A telefon leżał na stole w kuchni.

Wołała kilka razy tak głośno, jak tylko potrafiła. Ale przecież była jedyną mieszkanką wsi. Nikt jej nie słyszał.

– Ojoj, dziewczyny – zwróciła się do zmarłych w śniegu. – I co my teraz zrobimy?

Bezoka twarz leżała zwrócona w jej stronę.

Skorupa lodowa wrzynająca się w nogi: *ruhhta*.

REBEKA PRZYSZŁA DO BIURA wcześniej. Pierwsze, co zrobiła, to podeszła do kartki Björnfota z apelem: *Nie drażnić się*. Najpierw dopisała na dole: *ze mną*. Potem przedarła kartkę na dwie części i przyklepiła do tablicy: *drażnić się*. Drugą połówkę wyrzuciła do kosza.

Miała plan. Wysłała SMS-a do Tommy'ego Rantakyrö z prośbą, by został trochę dłużej w pracy. Policjant nie zadawał żadnych pytań; odpowiedział, że to mu nawet na rękę, bo ma zale-

głości w sortowaniu i skanowaniu dokumentów do archiwum.

Carl von Post wybył po lunchu. Na weekend miał wyjechać z rodziną na narty do Riksgränsen.

Rebeka zaesemesowała do Pohjanena: *Możesz już przesłać raport o morderstwie Henry'ego.*

Kiedy raport nadszedł, Rebeka stała obok Tommy'ego, który, sporządziwszy zawiadomienie o przestępstwie, przesłał je elektronicznie do odpowiedniej jednostki prokuratury. Rebeka niezwłocznie pobiegła do siebie i wszczęła postępowanie przygotowawcze. Zarządziła sprawą tak, żeby przypadła jej oddziałowi. Gotowe! Teraz to było jej morderstwo. W poniedziałek Chujpost dostanie apopleksji, ale teraz wszystko było tego warte. Rzuciła okiem na żółtą karteczkę z napisem: *drażnić się.*

Jeśli ty się drażnisz się ze mną, to ja się będę drażnić z tobą, pomyślała.

Poświęciła chwilę, by zadumać się nad ogromem gównianej pracy, jaką von Post zrzucił na jej barki. A do tego jeszcze zwagarował, kłamiąc, że jedzie na spotkanie z szefową od ciężkich przestępstw. Zmusił ją, by pobiegła na rozprawę nieprzygotowana i jąkała się jak przerażona aplikantka prokuratorska.

Wiedziała, że rozpowiada o niej różne rzeczy. Mogła sobie wyobrazić, jakimi słowy. Mówił, że jest zatroskany, twierdził, że Björnfort jest zaniepokojony, że Björnfort żałuje, iż ją zatrudnił. Insynuował jej nadużywanie alkoholu, dawał do zrozumienia, że zdarza się jej przeoczyć rzeczy mające związek z pracą, powiedział – zgodnie z prawdą – że nie chodziła na terapię po samobójczej śmierci Mai Larsson, dodał, że jest kapryśna, że ma trudności ze współpracą, że zawała swoje relacje. Ostatnio tę z Kristerem.

Zatrzymała się myślą w tym samym miejscu, w którym stała wcześniej tysiąc razy. Mogła być współwłaścicielką kancelarii Meijer & Ditzinger i zarabiać pięć razy więcej niż von Post. Jak, kurwa, do tego doszło, że utknęła w tutejszej prokuratorze i znosi upokorzenia z jego strony? Tego bezchujnego biedaka? Jak, kurwa, do tego doszło, że Björnfort na to przyzwala? Jak, kurwa, do tego doszło, że ona ścieli sobie łóżko w ten sposób raz za razem? Jak, kurwa? No jak?

Coś ze mną poważnie jest nie w porządku, pomyślała. Tutaj, kurza dupa, muszę przyznać von Postowi rację.

Ale i tak chciała wziąć to morderstwo. Bo to najprzyjemniejsza robota: dochodzenia, współpraca z policją, zaciskanie pętli, wymierzanie sprawy słusznej kary.

A to przestępstwo ma w sobie coś szczególnego, kontynuowała rozważania. Na pierwszy rzut oka: żalosne ukatrupienie pijaka, gdyby nie te materace na poddaszu. I długie włosy pod prysznicem.

Rebeka poświęciła morderstwu Henry'ego cały piątkowy wieczór. Sporządziła memorandum w sprawie wizyty na wyspie i w sprawie przyczyny tejże, a mianowicie znalezienia zwłok Raimo Koskeli w zamrażarce w dużym pokoju.

Podjęła niezbędne decyzje o zabezpieczeniu miejsca przestępstwa i przeprowadzeniu rewizji w domu denata.

Wysłała e-mail do techników sądowych w Luleå z dyrektywami odnośnie do oględzin domu i zwłok ofiary. Wydała tymczasowe zarządzenie o kontroli rozmów telefonicznych, by sprawdzić połączenia wychodzące i przychodzące z numerem telefonu Henry'ego Pekkariego. Zamierzała zażądać spisu telefonów obsługiwanych przez najbliższą stację bazową w czasie popełnienia morderstwa. Tylko jak określić ten czas? Pohjanen nie potrafił podać dokładnej daty śmierci.

Ale, ale! Mervi Johansson wspomniała o skuterach śnieżnych na wyspie, prawie trzy tygodnie temu. W nocy z piątku na sobotę. Czyli z ósmego na dziewiątego kwietnia.

Rebeka próbowała zadzwonić do Mervi z prośbą o potwierdzenie daty, ale staruszka nie odebrała. Może już poszła spać? Rebeka spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma. Piątek wieczorem. Była sama w całej komendzie policji. Zadzwoniła do Sivvinga. Ucieszył się. Powiedział, że kolacji starczy również dla niej. Niech no tylko się pośpieszy.

 Nie marudził ani o dachu, ani badaniu technicznym samochodu.

SOBOTA, 30 KWIETNIA

– **NIE PRZEJMUJĘ SIĘ** – powiedziała Anna Maria Mella. – Ale to cholernie nieprzyjemne.

Rodzina siedziała przy stole. Nastoletni Petter wcinał zsiadłe mleko z müsli, jakby brał udział w biciu rekordu świata. Jenny stała przy mikserze i łączyła nasiona chia, jarmuż, spirulinę i banany w brązową papkę, snapując jednocześnie z koleżankami.

– Mhm – odpowiedział Robert ze wzrokiem zatopionym w telefonie. – Nie zapomnij po sobie pozmywać – dodał, zwracając się do Jenny.

– Dlaczego Pohjanen nie poprosił mnie o pomoc przy tym morderstwie z zamrażarki? – kontynuowała Anna Maria. – To dziwne, kurde, że Rebeka i Sven Erik mają ze sobą współpracować. A Sven Erik nawet nie zajrzał do mnie, żeby powiedzieć „cześć”, jak był w mieście. A oprócz tego...

Wbiła zęby w kanapkę, jakby ta sprawiła jej ból, i z ustami pełnymi jedzenia mówiła dalej:

– A oprócz tego nie mogę się pogodzić z tym, że nie wniosła aktu oskarżenia w mojej sprawie. Człowiek pracuje na swoją reputację przez dwadzieścia lat, a ona psuje mi ją w trzy minuty. Weźmy ten wątek na Facebooku. Wszyscy wiedzą, o kogo chodzi, chociaż nikt mnie nie wymienił z nazwiska. I teraz całe miasto może mówić o tym, że nawet nie potrafię zrobić zdjęcia i przygotować porządnego okazania z fotografii i że to dlatego wszystkie miejskie zbójce pozostają na wolności.

– Teraz to chyba przesadzasz – rzekł Robert, nie odrywając oczu od telefonu.

– Ale dlaczego nie porozmawiała bezpośrednio ze mną?

– Zapytaj ją. Chyba jesteście koleżankami?

– Też myślałam, że jesteśmy.

Anna Maria zwróciła się do najmłodszego syna, Gustafa, który spoglądał markotnie na swoją kanapkę i szklanę z sokiem:

– Jedz! Przecież dzisiaj masz mecz.

– Nie mogę – odpowiedział. – Mam depresję.

Anna Maria odłożyła swój kubek z kawą.

– To mocne słowo, przyjacielu. Co się stało?

Napotyając jego smutny wzrok, poczuła, jak jej żołądek ściska się z niepokoju. Teraz między dziećmi w szkole obowiązują twarde zasady. A Gustaf to miękki chłopak. Jest ofiarą mobbingu? Od jak dawna? Dlaczego nic nie zauważyła? Ponieważ za dużo pracuje. A może zakochał się nieszczęśliwie w jakiejś koleżance? Anna Maria chciała udusić tę małą łamaczkę serc, kimkolwiek jest.

– Pamiętasz, w zeszłym tygodniu, kiedy tak się cieszyłem, bo zostałem inwajted do Minecraft server? – zapytał Gustaf.

– Tak – skłamała Anna Maria.

– Byłem wczoraj na serwerze i miałem zbudować swój dom. Nie miałem czasu, żeby ściąć wszystkie drzewa, no więc podpyliłem je i powstał pożar lasu.

Kontynuował łamiącym się głosem:

– Ogień był ogromny, o wiele większy, niż myślałem, i dom sąsiada prawie spłonął, bo był zbudowany z wełny i drewna, i dwa bloki się podpyliły, a to on zbudował las i teraz nagle po lesie. Próbowałem gasić pożar. Zabanuj mnie na serwerze! Jakbyś mi wczoraj nie kazała wyłączyć komputera i pójść spać, to mógłbym odbudować las.

– O, kochanie! – wykrzyknęła.

Poczuła tak ogromną ulgę, że musiała przygryźć wargę, by nie wybuchnąć śmiechem.

– Mówi się: podpalić, nie podpylić – zwrócił się Petter do młodszego brata.

Anna Maria przesłała mu znaczące spojrzenie.

– No co? – wybuchnął Petter. – Ty mnie zawsze poprawiasz, jak coś źle powiem.

– Dziękuję, córeczko – powiedziała Anna Maria do Jenny, która przed każdym postawiła szklankę z mulistym smoothie.

– Weź go umyj od razu – przypomniał Robert Jenny, która włożyła mikser do zlewu.

– Zaraz! – odparowała Jenny. – A ty weź na wstrzymanie!

– Nie mam ochoty na sraczkowate śniadanko – powiedział Petter.

– Przestań! – podniosła głos Anna Maria. – Nie mów tak o jedzeniu.

– Jesz przecież mięso – zwróciła się Jenny do brata. – Nie możesz wypić koktajlu w nieodpowiednim kolorze, ale bez problemu wcinasz szare zwłoki! A poza tym wzięłaś moją ładowarkę.

– Biorę na wstrzymanie – odpowiedział Robert córce. – Ale obiecuję, że jeśli mikser dalej będzie w zlewie, gdy wrócimy z meczu, to włożę ci go do łóżka.

– W porządku! – powiedziała Jenny. – W takim razie ja do końca życia będę ładowała do twojego łóżka wszystkie gary, których ty nie pozmywałeś.

Zadzwoił telefon Anny Marii.

– To z pracy, muszę odebrać.

Wybiegła do przedpokoju. W kuchni kłócili się już wszyscy uczestnicy opery mydlanej pod tytułem *Sobotni poranek z rodziną nuklearną*. Gustaf zaczął płakać.

Dzwoniła Magda Vidarsdotter.

– Przepraszam – powiedziała Anna Maria, przysłaniając dłonią wolne ucho. – Możesz powtórzyć? Nie dosłyszałam z powodu harmonijnego życia rodzinnego.

– Wszyscy muszą się stawić na miejscu – powtórzyła Magda. – Pamiętasz truposza z zamrażarki w Kurkkio?

– Tak.

– Właściciel zamrażarki, o którym myślano, że zmarł śmiercią naturalną... Pohjanen złożył raport, z którego wynika, że mężczyzna został zamordowany.

– Ale jaja! – krzyknęła Anna Maria. – Kto prowadzi postępowanie przygotowawcze?

– Martinsson. Oprócz tego mamy jeszcze dwa przypadki śmiertelne w Kurkkio. Niespełna kilometr od pierwszego domu znaleziono w śniegu ciała dwóch kobiet.

– No to jaja jak berety! Też zamordowane?

– Za kwadrans mamy tutaj odprawę, więc...

– Już jadę! – przerwała jej Anna Maria i zakończyła rozmowę.

Gdy wróciła do kuchni, harmonia rodzinna na chwilę ustała.

– Co się stało? – zapytał Petter.

– Wygląda na to, że mamy trzy morderstwa – odpowiedziała Anna Maria, czując występujące na twarzy rumieńce. – Cztery, jeśli wliczymy to przedawnione w zamrażarce. Teraz to wybuchnie wrzawa.

Wkładała kurtkę i buty.

Rodzina momentalnie się pogodziła.

– Czy twój serwer ma farmę mobów? – zapytał Petter Gustafa.

– Tak.

– To powinniście mieć nieograniczone ilości *bone meal*. A wtedy drzewa mogą odrosnąć w przyspieszonym tempie. Jak chcesz, to pomogę ci odbudować las.

– Pyszności! – skomentował Robert, wypijając muliste smoothie dwoma łykami.

– Dzięki! – odpowiedziała Jenny i objęła tatę. – Kochany, kochany tatusiu, nie mógłbyś umyć tego miksera? Mam dziś tyle nauki...

Robert mruknął, że może.

Anna Maria obserwowała swoją rodzinę. Jak to możliwe, że kłótnia ustała, gdy ona sama znalazła się poza nawiasem? Dlaczego nie poczuwają się do odpowiedzialności za wzajemne relacje przez cały czas?

Można oszaleć, pomyślała. Człowiek ich kocha, ale może oszaleć.

Krzyknęła na odchodne: „No to cześć!”, ale raczej nikt jej nie odpowiedział.

W TYM SAMYM CZASIE, gdy Anna Maria Mella wsiadała do samochodu i ślizgając się, ruszyła do komendy policji w Kirunie, żona Carla von Posta jadła śniadanie ze swoim mężem w restauracji hotelu Niehkus w Riksgränsen. Synowie ciągle jeszcze spali; dzielili pokój i zwykli jeść śniadanie zdecydowanie później, miała nadzieję, że go nie przeoczą. Na lunch przychodzili tylko wtedy, gdy dokuczał im głód. Wspólne obiady to jedyna rzecz, której żądała. Uczestniczyli w nich sumiennie, zmiatali swoje porcje, nie angażowali się w rozmowy, korzystali cichaczem z telefonów pod blatem stołu. Calle nie reagował. Ona – co drugi raz. Po dziesięciu minutach chłopcy byli najedzeni i pytali, czy mogą odejść od stołu. Pobyt z rodziną, wyraz na „p”, podobnie jak „pierzdel” i „pierzolenie”.

A skoro już o pierzoleniu mowa...

Wczoraj Calle został w barze, kiedy ona koło jedenastej poszła spać. Czuli się przez to jak straszna nudziara, ale była wykończona. Pracowała jak wół przez cały tydzień, potem pakowanie, przepytywanie chłopców, czy wzięli ze sobą wszystko. Słońce, masa świeżego powietrza i narty. Była tak zmęczona, że zbierało się jej na płacz, kiedy Calle usiadł w barze i zaproponował malucha przed pójściem do łóżka.

Został więc w barze sam. A ten maluch zaprowadził go faktycznie do łóżka. Z kimś innym.

Wrócił o wpół do czwartej. Nawet nie próbował się skradać. Bar zamykali o drugiej, tego była pewna.

Walnął się na łóżko. Wionęło od niego alkoholem, potem, seksem i perfumami jakiejś kobiety.

Teraz przebierał palcami po telefonie. Sprawdzał komentarze i lajki pod ostatnim zdjęciem ze stoku narciarskiego, które zatytułował: *Prawdziwy śnieg*. Dzisiaj mają w planie pięciokrotny heliskiing. Żeby mógł opublikować na Inście coś, co się naprawdę liczy.

Usłyszała dzwonek SMS-a i przez sekundę wyobrażała sobie, że to jego nocna towarzyska, której podał swój numer telefonu.

– Rebeka Martinsson – odezwał się, nie odrywając oczu od ekranu. – Ten pijak na wyspie, gdzie w zamrażarce znaleziono Raimo Koskelę, najwyraźniej został zamordowany.

– Musisz pojechać do Kiruny?

– Nie. Co mnie to, kurwa, obchodzi. Jakaś pieprzona burda między dwoma pijaczkami, podczas której jeden przypadkiem zakatrupia drugiego. *Be my guest*, Martinsson. Tym to się ona może zająć. Razem z bilansem.

Zanotowała, że mąż wkłada telefon do kieszeni, zamiast zostawić go na stole, gdy podniósł się, by pójść po dolewkę kawy. Od jak dawna dbał o to, by trzymać smartfona poza zasięgiem jej wzroku? Nie wiedziała.

– Chcesz jeszcze? – spytał, spoglądając na jej pustą filiżankę.

Pokręciła głową.

Słyszała, jak rozmawia z kimś przy automacie z sokami.

– No więc... Tak naprawdę nie cierpię Kiruny. Zwłaszcza teraz, kiedy całe miasto zapada się we własną dupną dziurę. Ale marzec, kwiecień, maj tutaj w górach... To cholernie trudne do przebiccia.

Nie cierpi Kiruny, pomyślała. Nie cierpi Rebeki Martinsson. Dlaczego?

A po chwili zaskoczyła siebie samą zadaniem w myślach pytaniem: dlaczego nie cierpi mnie?

To było takie agresywne. Nie ukrywał się, nawet nie wziął prysznic, zanim grzmotnął się na łóżko obok niej. Odwróciła się tylko plecami. Nie zrobiła mu sceny, nie zażądała wyjaśnień. Wiedziała, jak takie kłótnie się zaczynają, jak wyglądają w środku i w jaki sposób się kończą. Na koniec zwykł mówić, że ona za dużo pracuje, że to według niego rodzaj niewierności, że jej szef jest ważniejszy, że ona jest zbyt drętwa, niezainteresowana seksem, a teraz: chorobliwie zazdrośna, paranoidalna.

Spojrzała na swoje dłonie. Nie należały już do młodej osoby. Skóra przy obrączce ślubnej zaczęła się marszczyć.

Nienawidzi mnie i Martinsson z tego samego powodu, pomyślała. Ponieważ jest miernotą. A ja mam dość udawania, że miernotą nie jest: przed chłopcami, przed naszymi znajomymi.

Kiedy ostatnio dostała podwyżkę, nawet mu o tym nie wspomniała. Takie rzeczy go nie cieszą.

Niewielka kolejka, która utworzyła się przed dymiącą gofrownicą, wprawiła ją w osobliwe przygnębienie. Wszystko było takie jałowe.

– Chcę się rozwieść – powiedziała.

Nie na tyle głośno, by ktoś usłyszał. Calle ciągle stał przy sokach, rozmawiał, wybuchał śmiechem. Ale ona sama usłyszała. Wsłuchiwała się w swój głos, by wyłowić uchem jego brzmienie. Był całkiem spokojny. Smutny.

Kwadrans po jedenastej wszyscy zebrali się w komendzie policji. Automat do kawy burczał i jaskrawą czerwienią wzywał przechodzących: *Delektuj się!*

Anna Maria przywitała się ze swoim stadem i oddała głos Rebecce. Ta zaczęła od informacji, że Henry Pekkari padł ofiarą *Burke and Hare killing*.

– A kiedy byłam tam ze Svenem Erikiem – kontynuowała – spotkałam sąsiadkę Henry’ego, Mervi Johansson. Dziś rano jej córka znalazła ją w śniegu za powozownią. Nieprzytomną i poważnie wyziębioną, ale żywą. Czego nie można powiedzieć o tych dwóch, które też tam leżały.

Klikając raz za razem, wyświetliła na białym ekranie serię fotografii, na których wyraźnie widniały dwie martwe kobiety w śniegu. Obie miały długie blond włosy z ciemniejszymi odrostami. Twarz jednej mogła świadczyć o poważnym pobiciu. Ręka wykręcona pod nienaturalnym kątem. Potargana kurtka puchowa. Druga prawie nie miała twarzy. I tylko cienką bluzkę w leopardzie cętki. Obie nosiły džinsy i adidas.

– Jak widać, raczej nie uprawiały turystyki na łonie natury – powiedziała Rebeka. – Zdjęcia zrobił personel karetki pogotowia. Najbliższy policjant znajdował się w Karungi, więc minęła dodatkowa godzina, zanim przyjechał na miejsce.

– Co im się przytrafiło? – zastanawiała się Anna Maria Mella.

– Czy to ptaki wydziobały oczy? – zapytał Karzan Tigris.

– Prawdopodobnie tak. Musimy poczekać na wynik sekcji zwłok – powiedziała Rebeka – ale oczywiście już teraz możemy podejrzewać morderstwo.

Zdała sprawozdanie z podjętych przez siebie kroków. Anna Maria przyznała w myśli, że Rebeka jest świetna. Bystra i poukładana. Musiała się pilnować, żeby nie przytakiwać z zachwytem jak siedzący obok koledzy i koleżanki. Można było odnieść wrażenie, że Martinsson głosi

ewangelię nowo narodzonej gromadce wyznawców.

– A czy sądzimy, że istnieje jakiś związek z morderstwem Henry’ego Pekkariego? – zapytał Tommy Rantakyrö.

– Jak najbardziej – odparła Rebeka. – Kiedy byliśmy u Henry’ego z powodu ciała w zamrażarce, Sven Erik znalazł długie blond włosy pod prysznicem. Sprawdzimy oczywiście, czy tak jest, ale mam przecucie, że pochodzą od którejś z tych dwóch kobiet.

Na dźwięk imienia Svena Erika przez kolektyw policyjny przeszła spokojna fala szczęśliwości. Svempa, no jasne, że to on odkrył te włosy.

– A w pokoju na poddaszu – kontynuowała Rebeka – leżały materace. Sven Erik, Börje Ström i Ragnhild Pekkari nanieśli oczywiście własne ślady na miejscu zdarzenia, ale o ile nam wtedy było wiadomo, Henry zmarł śmiercią naturalną, a morderstwo Raimo Koskeli uległo przedawnieniu, więc...

Westchnęła i wydeła policzki w baloniki.

– Jasne, technicy nie będą z nas zadowoleni – zakończyła. – I biorę to na siebie. To ja ich tam wysłałam.

Zrobiła krótką przerwę, a Anna Maria zastanawiała się, czy Rebeka spodziewa się od niej ostrego komentarza. Ale Mella nie miała żadnych obiekcji. Skąd, kurde, mogli wiedzieć, że poruszają się po świeżym miejscu przestępstwa?

– Gdy tylko dostaniemy dane logowania do stacji bazowych i billingi telefonu Henry’ego Pekkariego, to może ktoś z was...

– Ja mogę! – wykrzyknął Fred Olsson i wyciągnął rękę jak uczeń w pierwszym rzędzie.

– I ktoś jeszcze mógłby sprawdzić w NOA^[12] ewentualne zgłoszenia zaginionych kobiet.

Kolejna podniesiona ręka.

Rebeka przeczytała listę spraw do zrealizowania w postępowaniu przygotowawczym, zapisała je na tablicy i oznaczyła inicjałami osób odpowiedzialnych za ich wykonanie.

– Anno Mario – powiedziała na końcu – zażądałam helikoptera. Przeprawa na wyspę jest teraz szalenie niebezpieczna. No i chciałam cię zapytać, czy nie wzięłabyś kogoś ze sobą, żeby się rozejrzeć na miejscach zdarzeń.

To była najważniejsza praca. I najciekawsza. Oględziny miejsca przestępstwa. Rozmowa z technikami. Anna Maria doceniła wyciągniętą ku niej dłoń.

Wymieniły ze sobą szybkie uśmiechy. Odczytały ulgę w oczach drugiej. To tylko nieporozumienie, możemy je olać. Policjantka wiedziała, że Rebeka zaharowuje się na śmierć przy bilansie drobnych roszczeń. A ona sama miała sporo dodatkowej pracy przy wdrażaniu nowicjuszy do zespołu. Przy najbliższej okazji zapyta Rebeke, czy nie zechce zjeść z nią lunchu.

– Jasne! – odpowiedziała. – Tommy?

– Tak jest! – odparł, wstając. – Tylko najpierw muszę kupić snus^[13]. Bez snusu w torne-dalskich lasach... To przypomina mi o starym porzekadle: pieruńskie piekło!

Wszyscy się zaśmiali.

Kiedys szczeniak w grupie, dziś prawa łapa samicy alfa, pomyślała Rebeka.

– A jak to się skończyło dla staruszki, Mervi...? – zapytał Karzan Tigris.

– Mervi Johansson – dokończyła Rebeka. – Ma zapalenie płuc, jest w dość kiepskim stanie. Miejmy nadzieję, że się z tego wykaraska. Gdy tylko będzie zdolna do rozmowy, to ją oczywiście przesłuchamy. Poinformuj też krewnych Henry’ego Pekkariego.

Ragnhild Pekkari jadła śniadanie tak wolno, jak mogła. Przeczytała gazetę od deski do deski. Pozmywała po jedzeniu. Wytarła do sucha i położyła na miejsce talerze i sztućce. Ale potem nie miała już nic innego do zrobienia. Mieszkanie było potwornie wysprzątane.

Zadzwoiła do Ollego.

– Powinniśmy porozmawiać o pogrzebie – powiedziała po kilku grzecznościowych formułkach.

– Rób, jak uważasz. Myślę, że tak będzie najlepiej.

Jak to robią inni?, myślała Ragnhild. Z pewnością oddają się wspomnieniom.

– Chłopak może się zająć oświadczeniem spadkowym – kontynuował Olle. – Ale dużo z tego nie będzie. Gospodarstwo jest w kompletnym rozpadzie.

– Tak – powiedziała i dodała w myśli: aha. Takie buty. Chcą mnie wykupić za marne pieniądze. A niech tam. Przypomniała sobie śniegowy mostek.

Chłopak to jego najstarszy syn, Anders. Z tych, którzy co dwa lata kupują nowy samochód i zabierają rodzinę na drogie zagraniczne urlopy, ale w restauracjach nie mogą się oprzeć pokusie kradzieży saszetek z cukrem i solą.

– Jeśli nie masz nic więcej...

– Nie.

I po rozmowie.

Zdażyła odłożyć telefon, gdy ten znów zadzwonił. Nieznany numer.

Ale głos poznała momentalnie. Börje Ström.

– Hm. Serwus... Yyy... – zaczął niepewnie.

Nie pomogła mu. Była ciekawa, jak sobie poradzi przez telefon. Kiedy do dyspozycji ma jedynie swój głos i słowa. Kiedy nie stoi obok i nie jest tak szatańsko przystojny.

– Pomyślałem, że powinienem wybrać trumnę dla taty – mówił dalej. – A ponieważ ty chyba też masz wybrać dla brata, to może...

Tutaj zakończył. Czekala, ale żaden ciąg dalszy nie nadchodził. To prawdopodobnie było pytanie.

– To może? – powtórzyła, choć była pewna, co miał na myśli.

– Dotrzymamy sobie towarzystwa – wydusił z siebie.

Ze zgrozą zanotowała, jak bardzo się ucieszyła.

Zgodziła się. I natychmiast skrobnęło ją podejrzenie, że chodzi mu tylko o towarzystwo kobiety. Że podobnie jak Olle przywykł do tego, iż kobiety zajmują się załatwianiem spraw przyziemnych. Teraz zwrócił się do niej, choć to oczywiście nie ma nic wspólnego z jej osobą.

Ale nie mogła sobie pozwolić na wybredność. Towarzystwo niesło ulgę. Bogiem a prawdą, Börje był jedyną osobą, której towarzystwa sobie życzyła.

Szaleństwo, powiedziała do staruszka Boga na strychu.

Była niczym zwierzę, które stawia pierwsze czujne kroki po wyjściu z klatki. Wszystko na zewnątrz zagraża życiu. Ale jedyne, czego dusza pragnie, to biec na tych dawno nieużywanych nogach.

Zgodziła się. Börje patrzył zdziwiony na telefon. Nie wierzył, że przystanie na jego propozycję, choć naturalnie miał taką nadzieję, w przeciwnym razie by nie zadzwonił. Znów pomyślał o jej szorstkich dłoniach. O pachnącym ogniem anoraku.

Potem wrócił myślą do pogrzebu. Do pierwszego pogrzebu, w jakim wziął udział. Tato nie miał żadnego. Przecież tylko zniknął.

Październik 1962

Umiera babcia Börjega. Rak żołądka. W dniu pogrzebu Börje i mama jadą porannym autobusem do Övertorneå. Nie spadł jeszcze pierwszy śnieg i wygląda na to, że jesień nie ma ochoty ustąpić miejsca zimie, mimo że łąki skoszone, a ziemniaki zebrane.

Siedzenia czuć kurzem. Zimna mżawka na szybach. Jak tysiąc igielnych ukłuć. Mijają

wszystkie znane miejsca, ruiny byłej huty żelaza w Kengis, sklepiki wiejskie i stacje benzynowe ESSO. Droga biegnie wzdłuż rzeki. Woda stoi nisko, lada dzień trzaśnie mróz i pokryje ją lodem. Rzeka płynie od biednych ku bogatym. Na północy brzegi są strome, pasy ziemi uprawnej wąskie, domy niezbyt duże, podobnie jak stodoły i obory. Im dalej na południe, tym bardziej płaskie brzegi, szersze pola i obszerniejsze zagrody, gdzie domy pyszną się snycerką i wystawnymi ganiami.

Mama ma trzech starszych braci. Podobnie jak babcia i dziadek, należą do wspólnoty zachodnich laestadian. Laestadianie są zachodni i wschodni. Zachodni są zakonserwowani, mówią ludzie, by odróżnić różne nurty wiary. Cechuje ich największa surowość. Nie wolno być próżnym, nie mają więc w oknach firanek ani kwiatów. Nie posiadają radia ani telewizora. Kobiety noszą proste długie spódnice w ciemnych barwach. Ukrywają włosy pod chustkami, które w niedzielę zawiązują pod brodą. Mężczyźni nie zakładają krawatów. Krawat to oznaka beztroski i próżności. Na swoich spotkaniach śpiewają psalmy powoli; ich przeraźliwe głosy zawsze wleką się za organistą. Niekończące się kazania są arcyważne.

Mama jest jedyną osobą w rodzinie, która nie wyznaje prawdziwej wiary. Nie chodzi na spotkania. Nosi spodnie i nie nakrywa głowy. A do tego ma krótkie włosy – grzech! – i w swoim zawodzie obcina włosy innym kobietom – podwójny grzech!

Gdy Börje był młodszy, wujenki czasami zabierały go na spotkania. Nie cierpiał ich. Mama nazywa braci bezkrawatowcami. Börje uświadamia sobie, że mama nigdy nie opowiadała o swoim dzieciństwie.

Börje nie ma ochoty na spotkanie z wujkami. Najstarszy z nich, Erkki, po śmierci dziadka pięć lat temu przejął gospodarstwo leśno-rolne. Nigdy nie mówi zbyt dużo, a i tak wszyscy wiedzą, że to on teraz jest najważniejszy. Wszyscy w rodzinie, nawet mama, biorą urlop i jadą do rodzinnej zagrody, żeby pomóc przy sianokosach. Ale Börje nigdy nie słyszał od wuja słowa podziękowania. Wręcz odwrotnie, Erkki dawał im odczuć, że to oni na nim pasożytują. Wkracza do kuchni w zabłoconych butach, bo któraś z kobiet zawsze szybko wytrze podłogę po jego wyjściu. Je w milczeniu, a pozostali wiosłują tak szybko, jak potrafią, ponieważ wuj Erkki odsuwa talerz w przeświadczeniu, że wszyscy inni też są ponownie gotowi do pracy.

Wuj Daniel jest nauczycielem prac ręcznych. Potrafi budować łodzie i wyciosać z drewna wszystko, czego dusza zapragnie. Zawsze nad czymś pracuje. Jego synowie zaś zawsze mu pomagają. Daniel pokazuje i wyjaśnia, ale Börje stoi bezczynny i tylko przygląda się jak dziewczyna, choć czasami pozwalają mu robić najprostsze rzeczy, wyciągać gwoździe ze starych desek i naprostować je młotkiem.

Najmłodszy wuj, Hilding, to ten, którego Börje nie lubi najbardziej. Mieszka w Kirunie i pracuje w kopalni jako górnik przodowy. Poza tym jest kaznodzieją we wspólnocie zachodnich laestadian. Wygłaszający kazania to laicy, którzy zarabiają na siebie samych i nie stanowią obciążenia dla zboru jak pastorzy w Kościele szwedzkim.

Kiedy babcia żyła, nawet ona bała się Hilinga. Przed jego wizytą chowała wszystkie rzeczy, które mógł uznać za oznakę próżności. Haftowany obrus z frędzelkami wymieniała na prosty, ściagała z parapetów wszelkie ozdoby i pelargonie. Zdejmowała obrazy ze ścian, zostawiając jedynie fotografię ślubną.

Kupowanie to grzech, w domu powinno się mieć własnoręcznie utkane gałgankowe dywaniki, nie kupne. Szwedzkie zbytki to też grzech. Wolno mieć krótkie dyskrety zasłaniające tylko dolną część okna. Długie zasłony to zbędny i grzeszny wymysł.

Börje ma wiele kuzynek i kuzynów. Ograniczanie liczby dzieci to też grzech. Erkki ma ich siedmioro, Daniel ósmioro, Hilding zaś pięcioro i szóste w drodze. Tutejsze dzieci zwracają się do rodziców w trzeciej osobie. Börje jest z mamą na ty.

Börje przypomina sobie, jak kiedyś mama kupiła mu hula-hoop. Wziął ze sobą obręcz do autobusu. Potem na podwórzu razem z kuzynkami próbowali na zmianę kręcić obręczą w pasie. Nagle z domu wyszedł Hilding. W kilku szybkich krokach podszedł do bawiących się dzieci. Szarpnął za obręcz tak gwałtownie, że jedna z dziewczynek się wywróciła.

– Mizdrzycie się tutaj jak kurwy?! – wrzasnął.

Jego własne dzieci natychmiast zaczęły płakać i powtarzały *anteksi, isä, anteksi*, przepraszam, ojczy, przepraszam. Pozostałe zamarły w bezruchu. Hilding ruszył z hula-hoopem do drewnutni, gdzie porąbał je na kawałki. I po krzyku.

A teraz Börje i jego mama jadą na pogrzeb i znów mają spotkać całą rodzinę. Börje czuje ucisk w żołądku. Mama najwyraźniej też. Przez cały ranek stała przed lustrem, zmieniała ubrania i nawijała włosy na wałki, i omal się nie spóźnili na autobus, ponieważ w ostatniej sekundzie postanowiła zmyć szminkę z ust.

Börje chce jej powiedzieć, że ładnie wygląda, ale to nie pomoże.

W czasie podróży mama rozmawia głośno sama z sobą. Börje się wstydzi. Pozostali pasażerowie myślą pewnie, że zwariowała.

– Mam to w dupie! – wyrzuca nagle z siebie mama, głośno i wyraźnie.

Pogrzeb ciągnie się w nieskończoność. W Kirunie mżyło. Tutaj jest chłodniej. W powietrzu unoszą się kryształki lodu i Börje czuje, jak bolą go zmarznięte palce u nóg; eleganckie buty są zdecydowanie za cienkie. Musi sobie co chwilę przypominać, że tam w dole leży jego babcia. Myśli bowiem nieustannie krążyć wokół taty. Wkrótce miną cztery miesiące od jego zniknięcia. Börje czuje mdłości od smrodu mokrych wełnianych okryć żałobników.

Potem jest stypa w pomieszczeniu wspólnoty. Roi się od ludzi. Nareszcie można ze sobą porozmawiać. Narasta gwar, goście jedzą kanapki i ciasto, odwiedzają toaletę albo wkładają snus pod wargę.

Może wuj Hilding uważa, że nastrój jest zbyt frywolny. Przeżuwa swoją kromkę z surową miną. Zmarszczka między brwiami jak sieknięcie siekierą. Nagle wstaje i rozgląda się wokół. Z miejsca cichną rozmowy. Kobiety zbierają najmłodsze dzieci i uciszają je.

Hilding dziękuje wszystkim, którzy przybyli, by odprowadzić jego mamę na miejsce wiecznego spoczynku. Mówi głosem zdławionym od powstrzymanego płaczu, mówi o matce. Człowieku pracy. Dobrej żonie, rodzicielce i sąsiadce. Kobiecie najgłębszej wiary. Wiary, którą tak bardzo chciała przekazać wszystkim swoim dzieciom.

Mama Börjego blednie. Jej oczy powiększają się ze strachu. Domyśla się, do czego brat zmierza. Laestadianie hołdują tradycji piętnowania poszczególnych członków wspólnoty. Podczas kazania oskarżają ich o grzeszne życie i bezbożność, nawołują do pokuty i poprawy. A ona jest przecież największą grzesznicą w tej grupie.

Prawowierni wzdychają, wznoszą stłumione okrzyki. Zbiera się na łyzy i pojawiają się płócienne chusteczki do nosa.

Biedna mama, wibruje Hilding. Jej życzeniem było, aby wszyscy wędrowali w prawdzie! I najbardziej bolało ją to, że jedyna córka, najmłodsza z rodzeństwa, ta, która miała być ich niebiańską radością, że właśnie ona nie dotrzymała rodzinie towarzystwa na wąskiej ścieżce prowadzącej do życia wiecznego.

Nikt nie patrzy na mamę, ale cała uwaga żałobników zwraca się na nią. A mama unosi barki, przyciąga brodę do piersi, kuląc się w sobie, opiera o liny. Przeczekuje deszcz ciosów. Hilding peroruje o szerokiej drodze bezmyślności, która prowadzi do topieli na torfowisku.

Börje się zastanawia, kiedy ostatnio widział drogę na mokradłach.

Już po wszystkim nikt nie komentuje maglowania mamy. Ludzie są w pewnym sensie bardziej przychylni. Uśmiechają się do niej. Jakby pozbyli się ciężaru. Zrzucili go na tę taką

z nieślubnym dzieckiem, krótkimi włosami, garsonką, makijażem i pracą w salonie fryzjerskim. A teraz, z poczuciem ulgi, mogą sobie pozwolić na coś, co przypomina życzliwość. Gwar znów narasta. Kawa w filiżankach zdążyła wystygnąć, pora na dolewki.

Kiedy Börje wyciąga rękę po słodką bułeczkę, czuje żelazny uścisk na ramieniu. Stoi za nimi wuj Hilding. Jego oczy są bladoniebieskie jak wiosenny lód na rzece. Usta wąskie. Mówi, że Börje jest wąły. Zbudowany jak dziewczynka.

– Trenuje gimnastykę – objaśnia mama.

Bo tak jej powiedział. Że chodzi na treningi gimnastyki. Nie pozwoliłaby na klub bokser-ski, o tym wie doskonale.

Wąskie usta wuja Hilinga zwężają się jeszcze bardziej. Anemiczne pasemko nakreślone w twarzy ołówkiem. Gimnastyka jest doczesna.

– Aha! To takimi teraz młodzi się zajmują sprawami? A co złego w uczciwej pracy rąk? Mój Antti ma sześć lat i pomaga wujkowi przy budowie nowej stodoły.

Mama ma na tyle zdrowego rozsądku, żeby tym razem trzymać język za zębami. Börje czuje, jak kurczy mu się serce na myśl o tym, że mógłby zostać wypożyczony rodzinie jako parobek. Dzieci wujków to kopie swoich rodziców. Poważne oczy i ołówkowe kreski ust. Börje dostrzega, jak dzieciaki nieustannie manewrują, żeby oddalić się od ojca. Rozpierzchają się jak kłaczki kurzu. Hilding musi je wzywać do siebie, gdy czegoś od nich chce.

Po chwili ktoś inny chce z nim porozmawiać i zostają sami.

– Spadamy – mówi mama do Börjego, spoglądając na zegarek.

Mają trzy godziny do odejścia wieczornego autobusu. Mama chce zajrzeć do chatki.

Kiedy rozporządzano majątkiem po dziadku, bracia podzielili się lasem. Erkki dostał gospodarstwo. A mama... No cóż, jej przypadła chatka.

Teraz wkładają dzinsy, anoraki i gumowce. Mają przed sobą półgodzinną wędrówkę przez las.

Chatka jest licha. Nieizolowana, okna z pojedynczą szybą. Ale tak cudownie położona na południowo-zachodnim zboczu, nad źródlanym strumieniem, gdzie woda jest orzeźwiająca i smaczna i gdzie w wakacje można się kąpać. Na schodkach mają wieczorne słońce. I prawie żadnych komarów w lecie, ponieważ las rośnie na piaskach. Wiekowe świerki, piękne drzewa liściaste i strzeliste sosny, które w wieczornym świetle mieniają się miedzią i złotem. Mama kocha te wysokie sosny.

– Ach, ten las... – mówi jak zwykle.

Rozpala w piecu i gotuje kawę, choć wypili tyle filiżanek na stypie.

Jej barki się rozluźniają. Miękną rysy twarzy. Börje wie, że dla mamy to najpiękniejsze miejsce na świecie. I tu się z nią zgadza.

Börje zdąży wykąpać się w strumieniu. Brzegi są pokryte cienkim lodem, ale Börje kruszy go stopami, a mama ze śmiechem czeka na niego z ręcznikiem, kiedy on – parszcząc – wychodzi z wody. Potem pora na powrotną wędrówkę.

Wuj Hilding podwozi ich na przystanek autobusowy. Przy pożegnaniu znów robi użytek ze swoich silnych rąk. Tym razem łapie Börjego za kark i nie puszczając, pociąga tam i z powrotem. Jakby go chciał wytrzepać. Porządnie nim potrząsnąć. Wychować na człowieka.

Mama wkrótce mu to umożliwi. Ale teraz żadne z nich nie ma o tym pojęcia. A najmniej mama.

Anna Maria Mella i Tommy Rantakyrö przyjechali do Kurkkio w sobotę, zaraz po lunchu. Technicy już tam byli. Zaparkowali samochody na podwórzu Mervi Johansson.

Jedna z zespołu techników podeszła do przybyłych i zdała relację z sytuacji.

– To tam, za powozownią – powiedziała, wskazując kierunek. – Ekstremalnie ciężkie wa-

runki pracy. Nie dało się dojść do celu bez niszczenia śladów, ponieważ śnieg ma ponad metr głębokości i jest miękki jak papka. Sfilmowaliśmy więc miejsce dronem, a potem musieliśmy po prostu przebrnąć przez śnieg z noszami i przenieść zwłoki; leżą w furgonetce. Chcecie zobaczyć od razu?

Ruszyli w stronę samochodu.

– Zamierzamy zebrać ślady – kontynuowała techniczka. – Przekopujemy się centymetr po centymetrze. Martinsson zamówiła helikopter, żebyśmy mogli się dostać na wyspę, ale pilot twierdzi, że prawdopodobnie nie będzie mógł wylądować na takim zapadającym się śniegu. Obawia się, że helikopter się wywróci. Parę dni temu przyleciał tutaj po Henry’ego Pekkariiego i zamrażarkę z ciałem ojca Börjega Ströma, i to podobno nie była łatwa sprawa. Czy to prawda, że Stålnacke dotarł tam pieszo, zabezpieczony tylko pontonem?

– Znasz go przecież – odparła Anna Maria, uśmiechając się krzywo.

Kobieta otworzyła tylne drzwi furgonetki i weszli do środka. Stłoczyli się między zwłokami.

– Pohjanen oczywiście wyda swoją opinię – powiedziała techniczka. – Ale mamy tu dwie kobiety, dwadzieścia pięć – trzydzieści lat. Przejechał po nich skuter, parę razy, to widać też po śladach pojazdu, które sfilmowaliśmy z drona. Kiedy podnosiliśmy ciała, czuć było niestabilność miednicy, najprawdopodobniej obie mają złamania kości obręczy miednicy, samo to prowadzi do śmiertelnych krwotoków.

Relacjonując, wskazywała to na jedną, to na drugą zmarłą. Anna Maria nagrywała swoim iPhone’em.

– Tutaj mamy nieprawidłowe ułożenie kości udowej i dokładnie widać obrzęk, obie krwawiły w wielu miejscach ciała. Asymetria klatki piersiowej, zmiążdżone żebra i zgaduję, że akurat ta dziewczyna nie umarła natychmiast, ponieważ powietrze wtargnęło do tkanki tłuszczowej skóry, przy jej ucisku usłyszysz trzeszczenie.

Odzianym w gumową rękawiczkę palcem nacisnęła skórę zmarłej. Anna Maria i Tommy nasłuchiwali.

– Zmiążdżona kość nosowa, rozszarpane ucho i awulsja, czyli oderwanie skóry twarzy, szczególnie u jednej z nich, jak widzicie. Trudno będzie zrobić rekonstrukcję.

– Musimy je zidentyfikować – powiedziała Anna Maria. – Będzie mi potrzebne zdjęcie rentgenowskie zębów i DNA, tak szybko, jak to możliwe. I inne znaki szczególne.

– Szukałam ich – odpowiedziała techniczka. – Zero biżuterii. Ale jedna z kobiet na kostce ma wytatuowaną czerwoną parasolkę. Tutaj. Zrobiłam dość dobre zdjęcie, mogę je przesłać.

Wyglądało na to, że Tommy ma dość. Obrócił się na pięcie i wyskoczył z samochodu. Anna Maria zrobiła to samo. Podążyła wzrokiem za jego plecami. Niech się chłopak trochę otrząśnie. Niektóre przypadki śmierci są potworniejsze niż inne. To dobrze, że on w dalszym ciągu reaguje. Ona sama nigdy nie była szczególnie wrażliwa.

Sondowała wzrokiem wyspę na rzece.

Na poddaszu u Henry’ego Pekkariiego były trzy materace, myślała. Adidasy i tylko jedna miała kurtkę. Dokąd biegnie człowiek, kiedy ucieka? Do najbliższego domu, oczywiście. Z nadzieją, że ktoś go tam uratuje.

Dwie uciekające osoby i jedna na skuterze. A może? Trzy uciekające i tylko jedna uszła z życiem? Czy to mógł być dziwny nieszczęśliwy wypadek? Zdarzało się, że ludzie ginęli pod kołami własnego samochodu. Jeśli skuter ugrzązł i dwie osoby z niego zeszły? Nie, przecież skuter przejechał po nich kilka razy. Tam i z powrotem. Morderstwo, bez wątplenia morderstwo.

Morderstwo to coś okropnego. Ale śledztwa w sprawie morderstw... Tak naprawdę uważała, że są fajne. Nie mogła tego powiedzieć znajomym. I to nie dotyczyło zakatowanych w domu dzieci albo kobiet, bo tego typu sprawy były tylko potworne.

Pomyślała o dziewczynach w śniegu. A potem o swojej córce. Która w kuchni miksowała muliste smoothie.

Anna Maria pracowała tyle lat. Wiedziała, jak ważne jest uświadomić sobie, że te zmarłe osoby też są czyimiś córkami. Okazywać im współczucie, samej nie tracąc wiary w ludzkość. Dziwną człowieka ma pracę, pomyślała. Trudno to innym zrozumieć.

Tommy nagle wyrósł obok niej, wyjątkowo milczący. Jakby przygaszony. Błady, z ciemnymi obwódkami wokół oczu. Wiedziała, że nie ma teraz lekko, kiedy jego partnerka zostawiła go dla innego, hydraulika z Altajärvi. To dlatego zabrała go tu ze sobą. Myślała, że to go ożywi. Lecz najwyraźniej osiągnęła odwrotny skutek.

Wtedy Tommy się odezwał:

– Anno Mario...

Jakby miał jej coś do powiedzenia. Coś, co mu ciąży na duszy.

Ale kiedy zapytała:

– Tak?

Odpowiedział:

– Nie, nic.

A potem przysłała techniczka z informacją, że helikopter jest w drodze.

PONIEDZIAŁEK, 2 MAJA

CARL VON POST WRÓCIŁ DO PRACY w poniedziałek koło dziewiątej. Jego sekretarka, Eva Bergmark, poinformowała go, że podczas weekendu dochodzenie Rebeki Martinsson się rozrosło. Trzy zamordowane osoby: dwie niezidentyfikowane kobiety i alkoholik Henry Pekkari. No, w zasadzie cztery, jeśli liczyć przedawnione morderstwo Raimo Koskeli.

Eva Bergmark nie omieszkła też powiadomić szefa o zaciekawieniu mediów. Uwagę dziennikarzy przyciągnęło przede wszystkim zamrożone morderstwo. *Zamordowany leżał w zamrażarce. Ojciec boksera światowej sławy odnaleziony po 54 latach.* Nagłówek wygenerował tyle kliknięć, że zaczęły dzwonić wiadomości telewizyjne i prasa papierowa. Na dobitkę zainteresowano się zmarłymi kobietami w śniegu.

– I nikomu nie przyszło do głowy, żeby mnie powiadomić? – zapytał niezadowolony von Post.

– Byłam przekonana, że Martinsson się do ciebie odezwała – broniła się Eva Bergmark. – Zapytałam ją na...

Ale zanim dokończyła, Carl von Post był już w drodze do gabinetu koleżanki.

Smarkacz przywitał von Posta z wielką poddańczą radością. Machając ogonem, podrzucił zaślinionego królika z gałganków z nadzieją, że wzbudzi u von Posta pokusę i zazdrość, że mężczyzna złapie Lika i że zaczną go tarmosić, i że potem bardzo się zakolegują.

Von Post próbował odsunąć psa nogą. Woń przemoczonej gałgankowej przytulanki wywołała w nim lekkie mdłości. Obiecał sobie, że najważniejszą cechą kolejnej osoby, którą zatrudni w kancelarii, będzie poważna alergia na sierść zwierząt. Żeby w końcu móc wprowadzić bezdyskusyjny zakaz przebywania psów w prokuraturze.

– Widzę, że sporo tu się wydarzyło – odezwał się do Rebeki.

– Mhm – mruknęła, nie odrywając oczu od ekranu komputera.

Miała świeżo umyte włosy, zebrane w luźny kok. Była ubrana w odprasowaną bluzkę, granatowe spodnie od kostiumu i buty na wysokim obcasie.

Gotowa na występy w mediach, pomyślał rozdrażniony.

– Zdasz mi krótkie sprawozdanie z dotychczasowych dochodzeń, a potem przydzielimy je mojemu wydziałowi – powiedział.

Rebeka podniosła wzrok.

– Dlaczego mamy je przydzielić twojemu wydziałowi?

– Ponieważ moim zdaniem nie zdążysz na czas z postępowaniem przygotowawczym w sprawie trzech morderstw, kiedy jednocześnie pracujesz nad bilansem drobnych roszczeń. A ja nie lekceważę kobietobójstwa. Nie można tych spraw traktować po macoszemu.

– Poświęciłam na to już całe trzy dni pracy – odparła spokojnie Rebeka. – Byłam tam. Przygotowałam plan postępowania. To byłoby marnotrawstwo zasobów, gdybyś nagle ty przejął dochodzenie. Nie mogę się na to zgodzić.

– Możesz zatrzymać Henry’ego Pekkariego, a...

– Henry’ego Pekkariego. Kobiety w śniegu. Zachowuję ich wszystkich. Istnieje między nimi związek. Z dziewięćdziesięcioprocentową pewnością znaleźliśmy włosy tych kobiet w domu Henry’ego. Wygląda na to, że tam nocowały.

Carl von Post poczuł, że coś doniosłego wymyka mu się z rąk.

– Ponieważ jestem szefem...

– Pełnię obowiązki szefa – poprawiła go Rebeka. – Rozmawiałam w weekend z Björnfortem. Obiecał, że jeśli przyszłoby ci do głowy przejście śledztwa, to on wróci do swoich

obowiązków, żeby temu zapobiec.

Carl von Post mimowolnie wziął głęboki oddech, który na chwilę odjął mu mowę.

Na początku dwudziestego wieku przyjeżdżali tutaj naukowcy, żeby mierzyć czaszki jej krewnych, pomyślał. Uważali, że mieszanie się ras to największe zagrożenie dla czystości rasy nordyckiej. Potworne, jasne. Ale mimo wszystko, kurwa, nie do końca byli w błędzie.

– Skontaktowałaś się z Björnfotem – powiedział. – Żałosna jesteś, Martinsson.

Obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Zdegenerowana, myślał. Z depresją. Niestabilna. Zanieczyszcza całe miejsce pracy.

Zacisnął dłonie w pięści na myśl, że będzie zmuszony przyglądać się śledztwu niczym widz na trybunie.

Ale istnieje więcej sposobów dobrania się komuś do skóry, pomyślał. Wystarczy tylko jedna twoja omyłka, Martinsson, i zaczniemy drugą rundę.

Fred Olsson wsunął głowę do gabinetu Rebeki.

– Mam dane logowania do stacji bazowych i billingi telefoniczne Henry’ego Pekkarięgo. Myślałem, że to będzie trochę trudne, bo przecież nie wiemy dokładnie, kiedy został zamordowany. Dzwonił średnio raz na tydzień. Do sklepu w Junosuando.

– Tygodniowe zamówienie gorzałki – powiedziała Rebeka.

– Zgadza się. Ale! W piątek ósmego kwietnia o dwudziestej trzeciej trzynastcie wykonał połączenie telefoniczne, które nie było skierowane do sklepu.

– Do kogo?

– Do brata, Ollego Pekkarięgo.

– Dobra robota! – powiedziała z uznaniem. – Dobrze byłoby się dowiedzieć, o czym rozmawiali.

– I jeszcze jedna rzecz. Wygooglowałem ten tatuaż jednej z kobiet...

Przerwał i spojrzał w głąb korytarza, skąd dochodziły radosne głosy. Rozpromienił się.

– Serwus! – wykrzyknął. – Zacząłem podejrzewać, że nie żyjesz.

Rebeka usłyszała odpowiedź Svena Erika Stålnackego:

– Złego diabli... No, wiesz!

Chwilę później emerytowany policjant pojawił się w drzwiach Rebeki.

– Przeszkadzam? Chciałem zapytać, czy nie pojechałabyś ze mną porozmawiać z byłymi trenerami Börjega Ströma.

– Nie przeszkadzasz – zapewnił Fred Olsson. – Rozmawiajcie sobie. Ja już wychodziłem.

– Poczekaj, Fredde! – zawołała Rebeka. – Wygooglowałaś tatuaż jednej z kobiet. Czerwona parasolka, tak?

– Tak, no właśnie. Czerwona parasolka to symbol aktywistek i aktywistów walczących o prawa osób pracujących seksualnie. Red Umbrella.

– Prawa osób pracujących seksualnie? – powtórzyła Rebeka niemądrze.

– Tak, żeby w ustawodawstwie brano pod uwagę ich interesy, tego typu rzeczy. Więcej nie wiem. Przyznam, że to dla mnie coś nowego. Wygoogluj sobie sama.

– To znaczy, że były prostytutkami – powiedziała Rebeka. – Kurza dupa.

Westchnęła, uciskając powieki opuszkami palców.

– Mogą być cholerne kłopoty z identyfikacją – dodała.

Wszyscy wiedzieli, że osoby zajmujące się prostytutką przemierzają się po całym świecie. Często okłamują rodziny, nie przyznają się do tego, gdzie są i jak zarabiają na utrzymanie. Czasami nie mają żadnego kontaktu ze swoimi krewnymi i nikt ich nie szuka, kiedy znikają bez śladu.

Rebeka odsłoniła oczy i wbiła wzrok w Svena Erika, jakby nagle ujrzała w nim zesłańca

bogów.

– Ale jeśli te dziewczyny pracowały w Kirunie i okolicach, to istnieje przecież jakaś grupa ich klientów, którzy może wiedzą, kim one są. Klienci prostytutek opowiadają wszystko swoim lafiryndom, prawda? Svenie Eriku, to twoje słowa. A ty...

– Wiem, do czego zmierzasz, ale odpowiedź brzmi: nie! – odparł ostrzegawczo Sven Erik.

– A ty masz informatorkę, która jest lafiryndą – kontynuowała Rebeka. – Albo raczej miałeś, zanim przeszedłeś na emeryturę. Może ona ma paru klientów, którzy chodzą nie tylko do niej. I w ten sposób może dałoby się ustalić tożsamość tych kobiet. Przynajmniej imiona i narodowość.

– Powiedziałem: nie.

– Popatrz. – Nie dawała za wygraną i sięgnęła po fotografie przedstawiające zmarłe w śniegu. – Jakiś szaleniec przejechał po nich skuterem, tam i z powrotem.

Sven Erik przejrzał szybko zdjęcia, westchnął, bolejąc nad potwornością świata, i oddał je Rebecce.

– Okej – powiedział z niechęcią.

Przecież on to lubi, pomyślała. Być w centrum zdarzeń. Robić użytek ze swojego doświadczenia i tych wszystkich kontaktów.

Wyciągnął telefon i wysłał SMS-a. Po chwili dzwonek zaanonsował odpowiedź. Sven Erik zamruczał z zadowoleniem i włożył telefon do kieszeni.

– No to jedziemy – oznajmił.

– Co? Dokąd? Do niej? Nie możemy tylko zadać parę pytań przez telefon? Po południu mam nadwyżkowe rozprawy.

– Wtedy z całą pewnością odmówi. Prosimy ją przecież o kontakt z jej klientami. Kupowanie seksu jest karalne. Niezbędna będzie więc łagodna perswazja. Moja informatorka zgodziła się na spotkanie, chce nas wysłuchać. To nie są oczywiste rzeczy. A ty na swoją rozprawę zdążysz.

– Perswazja to twoja dyscyplina olimpijska – powiedziała Rebeka, wkładając płaszcz. – Dlaczego potrzebne ci moje towarzystwo?

– Nie strugaj wariatki – odpowiedział zyczliwie. – Każda informacja, którą zdobędziesz tą drogą, jest poza dochodzeniem; mam nadzieję, że to jasne. A informator musi dostać coś w zamian, pieniądze albo coś innego. Tak to działa. Ona nie potrzebuje kasy. Potrzebuje nowego kontaktu w komendzie, ponieważ ja już tu nie pracuję.

Wyjeżdżali z miasta. Mijali ogromne maszyny obsługiwane przez młodych ludzi: wywrotki przegubowe, buldożery, koparki, zagęszczarki, dźwigi. Zwały mokrego śniegu wymieszanego z błotem. Sven Erik siedział za kierownicą. Przeklinał, kiedy pomylił drogę. Nowe ronda, zamknięte ulice.

– Ostatnimi czasy nie mam pojęcia, którą drogą jechać.

Gdy Rebeka próbowała mu przyjść z pomocą, prychnął tylko, więc przestała się wtrącać, pozwalając mu krążyć tak długo, aż znajdzie sam.

– Czasami się zastanawiam, jak długo Kiruna będzie jednym wielkim placem budowy – odezwała się.

– Wiecznie – odpowiedział Sven Erik. – Mam dość tego głupiego gadania o przenosinach miasta. W mediach na całym świecie mówi się o Kirunie jako mieście, które się przenosi, ponieważ rozrasta się kopalnia. Ale prawda jest taka, że wszystko będzie wyburzone. Wyburzy się stare i zbuduje nowe. Zaledwie parę domów przeniesie się w całości do nowych miejsc.

– To prawda. Ale bez kopalni...

– ...nas nie ma – dokończył Sven Erik. – Wiem. Wiem!

Umilkli. Przejżdżali obok budowy nowego ratusza. Sven Erik pomyślał, że przynajmniej politycy gminni zasiądą w budynku ze złota, kosztownym dziele architektonicznym za kilkaset milionów. Ale nic nie powiedział. Nie zamierzał robić za zrzęдлиwego zgreda.

Gdy tylko wygłosisz opinię, która odbiega od tej obowiązującej, przywalą ci na czole pieczętą. Biały mężczyzna w średnim wieku, który nie ma pojęcia, jak bardzo jest uprzywilejowany. Gdyby dostawał jedną koronę za każdym razem, kiedy jego trzynastoletnia wnuczka wypowiada słowo *mansplaining*, mógłby... No, w każdym razie zafundować sobie obfity posiłek ze wszystkimi dodatkami.

Była informatorka nazywała się Anna Josefsson. Mieszkała dwadzieścia kilometrów za Vittangi. Sven Erik skręcił ostrożnie na podwórze, by nie rozjechać rozmokłej ziemi. Stodoła, stajnia. A pomiędzy nimi stary dom z bali z uroczym gankiem.

– Ładnie tu – skomentowała Rebeka. – I z widokiem na rzekę!

– Tak – przyznał Sven Erik. – Chłopi w okolicach Vittangi byli kiedyś bogaci i wpływowi. Ojciec Anny pomógł jej wyremontować dom. Ale wiele razy skarżył mi się, że lepiej byłoby zrównać tę chałupę z ziemią i trzasnąć jakąś willę z prefabrykatów.

– Mhm – mruknęła Rebeka, zastanawiając się, jak dobrze Sven Erik zna Annę Josefsson. Miała nadzieję, że nie był jej klientem, gdy opuściła go żona. Piętnaście lat temu?

Tak mało wiemy o innych, pomyślała. Znamy ich tylko z jednej strony, ufając, że to cała prawda. W każdym razie nie mogła zapytać o takie szczegóły.

Ręce w kieszeniach, przypomniała sobie. I trzymaj je zaciśnięte.

Na pastwisku stało kilka koni. Kiedy Rebeka i Sven Erik wyszli z samochodu, jeden z nich podbiegł, żeby się przywitać. Wyciągał szyję wysoko ponad elektrycznym ogrodzeniem. Był czarny, miał długą grzywę i dmuchał przyjaźnie na policjanta, szukając jednocześnie łakoci w jego kieszeniach.

– Piękny z ciebie konik – powiedział Sven Erik i głaszcząc go po szyi, wyczesywał kłaki zimowej sierści. Koń zamknął z błogością oczy.

Anna Josefsson wyszła na ganek. Pełna wdzięku, zgrabna, odziana w dżinsy, sweter islandzki i wysokie gumowce. Kasztanowy, wyjątkowo długi warkocz wystawał spod wełnianej czapki.

– Rebeka Martinsson! – zawołała. – Zabrałeś ze sobą Rebeke Martinsson, Svempa? Myślałam, że przyjedzie z tobą ktoś z policji.

W kilku krokach znalazła się przy gościach. Uśmiechała się całą twarzą.

– Poznajesz mnie? – zapytała. – Zrobiłam nos, wyobraź go sobie trochę większym.

Rebeka grzebała gorączkowo w pamięci, ale korytarze były puste.

– W szkolnych czasach nazywano mnie Isa. Miałam dosyć rymowanek typu: „Ania bania wpadła do prania”.

– Isa – powtórzyła Rebeka – która przez pierwsze pięć lat chodziła ze mną do podstawówki?

Nie kryła powątpiewania. Pamiętała Isę jako szarą myszkę.

– Jesteście koleżankami z klasy? – zaśmiał się Sven Erik. – A Rebeka zawsze powtarza, że to ja ze wszystkimi... albo chodziłem do szkoły, albo jestem spokrewniony.

– Byłyśmy dobrymi koleżankami – powiedziała Rebeka. – Ty i ja, i...

– ...Maret Anna i Lena – uzupełniła Anna Josefsson. – Pamiętasz, jak nas uczyłaś tabliczki mnożenia, kiedy skakałyśmy przez skakankę?

– Nie.

– Celem było skakanie przez wszystkie działania aż do dziewiątki. W dalszym ciągu,

kiedy liczę, czasami łapię się na tym, że uginam ciut kolana. Pisałaś opowiadania. I sztuki, które potem grałyśmy. Pamiętasz?

– Nie. Rany boskie, jakie to żenujące!

– Mam jedno – powiedziała Anna i dziobnęła palcem powietrze. – Mam jedno napisane przez ciebie opowiadanie. O łosiu Paiju.

– O łosiu Paiju. Naprawdę o nim pisałam?

– Jak tam, Svempa? Widzę, że zyskałeś nowego kolegę – zwróciła się Anna do policjanta. Miała na myśli konia, który właśnie kręcił pyskiem w okolicach potężnych wąsów Svena Erika. – Prawdziwa z niego przylepa – mówiła dalej. – Ale kiedy tutaj przyjechał, był chudy jak szczapa. Jak tylko miał okazję, gryzł mnie w plecy. Śmiertelnie bał się zgrzebła. Kiedyś, gdy chciałam go wyszczotkować, capnęła mnie za ramię i podniósł ku ścianie boksu.

– Kto był dla ciebie taki niedobry, co? – zapytał konia Sven Erik, gładząc go po oczach i czole. – Masz jeszcze Svantego? – zwrócił się do Anny, przesuwając wzrokiem po pozostałych zwierzętach na pastwisku.

Anna się zaśmiała.

– Boże drogi, wzięłam Svantego piętnaście lat temu, a miał wtedy dwadzieścia dwa. Już dawno odszedł do krainy wiecznie zielonych łąk. Rebeka, dam ci to opowiadanie o łosiu. Chyba wiem, gdzie je mam.

Zniknęła w domu.

Sven Erik nie przestawał głaskać nowego kolegi, a Rebeka wróciła myślami do swojego łosia. Zupełnie o nim zapomniała. Którejś jesieni tato zastrzelił na polowaniu kłepę. Sekundę później z lasu wyszedł łoszak. Rebeki przy tym nie było, ale wieczorem przypadkowo usłyszała, jak tato relacjonował zdarzenie babci. Weszła do kuchni i z płaczem zapytała, czy mały łos teraz jest bez mamy. A potem wymogła na tacie obietnicę, że przez całą zimę będą dokarmiać łoszaka. Nadali mu też imię Paiju, iwa.

Anna wróciła z zeszytem w ręce. Ze słowami „to dla ciebie” podała go Rebecce. Na okładce widniała głowa łosia o końskim spojrzeniu i tytuł *Paiju*, uwieczniony grubymi literami, wypełnionymi czerwoną kredką.

– No, a jak wy się poznaliście? – zapytała Rebeka, wsuwając zeszyt do torebki.

Sven Erik przestał głaskać konia, więc ten zaczął go lekko trącać, chcąc przypomnieć o swoim istnieniu.

– Svempa i ja poznaliśmy się *back in the days*, ponieważ miałam upierdliwego klienta. Zakochał się we mnie. Klient, nie Sven Erik. W każdym razie tak twierdził. Kupował mi ciuchy. Dzwonił i pytał, czy je noszę, a gdy się okazało, że niekoniecznie, wpadał w złość. Wpadał też w złość, kiedy je na sobie miałam, ale widział mnie w nich ktoś inny. Zaczął mnie kontrolować. Przyjeżdżał tutaj, spisywał numery rejestracyjne innych klientów, groził im. Chciał mnie wziąć ze sobą na urlop. Kiedy próbowałam położyć temu kres, zaczął grozić i mnie. Wydzwaniał i mówił okropne rzeczy. I powiedział, że jak nie będę „grzeczna”, to doniesie na mnie do urzędu skarbowego, a wtedy oni wymierzą mi domiar. Gdyby do tego doszło, straciłabym gospodarstwo, dom, wszystko. Ale jeden z moich kuzynów znał Svempę, no i ty przemówiłaś mu do rozsądku.

– Kompletny świr – powiedział Sven Erik i potrząsnął głową na wspomnienie uciążliwego klienta.

– Przepraszam, może jestem naiwna – odezwała się Rebeka. – Ale prawo was chroni... To znaczy, sprzedawanie seksu nie jest zabronione. Karalne jest tylko jego kupowanie. Dlaczego nie zgłosiliście przestępstwa? Ten mężczyzna zostałby skazany za groźby bezprawne i kupowanie seksu.

– W tej kwestii zazwyczaj ludzie są w błędzie – odpowiedziała spokojnie Anna Josefsson.

– Prawo o kupowaniu seksu nie chroni mnie, ono chroni bezpieczeństwo publiczne. Prawo istnieje po to, byś nie musiała żyć w społeczeństwie, w którym kupuje się seks. Jeśli pójde na policję, to raz-dwa skonfiskują mi telefon, żeby przejrzeć SMS-y i przyskrzynić moich klientów. A potem zażądata, żebym pojawiła się na rozprawie i przeciwko nim zeznawała. Zaczną nadzorować moje mieszkanie. Jeśli wynajmę lokal, zarzucą jego właścicielowi kuplerstwo. Albo przypuszczą szturm na mój dom, powywlekają stąd klientów i zawiozą do aresztu. No i wiesz, jak jadę do klienta taksówką, a taksówkarz jest tego świadomy, to popełnia przestępstwo sutenerstwa, bo czerpie korzyści majątkowe z mojego sprzedawania seksu. Tak więc zwlekamy jak najdłużej z szukaniem pomocy na policji.

A jednak znajomość ze Svenem Erikiem zapewniała jej poczucie bezpieczeństwa. Miała policjanta, któremu mogła zaufać, pomyślała Rebeka. A teraz chce mieć mnie.

Były dawniej koleżankami. Rebeka nie lubiła być nikomu dłużna przysług. Ale nie martwiła się na zaś.

Opowiedziała Annie Josefsson o zmarłych kobietach w śniegu. Sven Erik niemal cały czas stał w milczeniu i głaskał konia, który prawie usnął z łbem na jego barku.

– To znaczy, że prawdopodobnie były trzy? Ale dwie nie żyją? – chciała się upewnić Anna.

– Zamordowane – uściśliła Rebeka.

Prawo o kupowaniu seksu mimo wszystko przyhamowuje popyt, pomyślała. I odkąd weszło w życie, no, aż do dzisiaj, w Szwecji nie odnotowano żadnego zabójstwa prostytutki. Pominając te wszystkie niezgłoszone.

Anna Josefsson jęknęła.

– Ludzie nie chcą wiedzieć – powiedziała i jej gesty nabrały wigoru; palce zgięły się, jakby trzymała w rękach coś dużego. – Jeśli w jakimś sensie sama reprezentuję Red Umbrella, to właśnie o tym mówię. Osoby sprzedające seks pracują często za granicą, niechętnie robią w branży w kraju ojczystym, a rynek chce urozmaicenia, klienci w Kirunie przez miesiąc wolą atrakcyjne Rosjanki, ale potem mają ochotę na coś innego. Więc sprzedające seks nieustannie się przeprowadzają. Ale gdy któraś chce założyć firmę, nie może zamieścić ogłoszenia, że poszukuje lokalu, nie może zatrudnić ochroniarza, sprzątaczkę, szofera, bo wszystkich można by oskarżyć o sutenerstwo. Dlatego musi kupić tego typu usługi u przestępców, a jej praca natychmiast staje się bardziej niebezpieczna. Uzależniasz się od facetów, którzy handlują bronią i narkotykami i którzy mają wredny stosunek do kobiet, a kiedy oni cię oszukują albo zaczynają cię zmuszać do... No cóż.

– Rozumiem – odparła Rebeka. – Ale co w takim razie powinniśmy zrobić?

Anna Josefsson spuściła wzrok.

– Czy wiesz, jaki odsetek przestępstw z użyciem przemocy wobec nas prowadzi do zatrzymania i wyroku skazującego? – zapytała cicho.

A po chwili podniosła oczy i uśmiechnęła się ciepło.

Twarz profesjonalistki, pomyślała Rebeka.

– Popytam swoich facetów – powiedziała Anna. – Niektórzy chodzą nie tylko do mnie. Może wiedzą coś o tych dwóch blondynkach, które ostatnio pracowały w okolicy. Tatuaz z parasolką to coś, na co mogli zwrócić uwagę.

Anna zwróciła się do Svena Erika.

– A jak tam życie na emeryturze? Gra w bingo i poszukiwania genealogiczne na całego?

– Nie... To jest... – wydukał i odchrząknął.

Więcej już nie powiedział. Ni stąd, ni zowąd zaczął bezgłośnie płakać. Drgały mu mięśnie wokół ust, wąsy falowały to w górę, to w dół. Łały się łzy.

Anna i Rebeka spojrzały po sobie zdumione. Ręce jednej i drugiej spoczęły na ramionach Svena Erika.

– Przepraszam – wykrztusił. – Zacząłem myśleć o mamie. Jej ostatnich latach. Nie pamiętała, kim jestem. Wspomnienia błąkały się jak po lesie, tu i tam, bez kompasu. Brat nigdy nie przyjechał w odwiedziny z Karlstadu. Ona i tak nas nie poznaje, mówił. No więc byłem przy niej tylko ja.

Koń, kurwa i pokieroszowana prokuratorka stali wokół niego w ciszy i we wspólnocie uczuć. On zebrał się w sobie i krótkim uśmiechem dał znać, że już się wypłakał. Anna też się lekko uśmiechnęła i wydała cichy dźwięk, coś w rodzaju krótkiej mruczanki. Rebeka odniosła wrażenie, że ta kobieta przywykła do płaczących mężczyzn.

– Nie wiem, dlaczego się tak nagle rozkleiłem – powiedział Sven Erik. – Może to konie? Kiedy była dzieckiem, mieli konia. Jej tato pracował jako przewoźnik.

W drodze powrotnej do miasta Sven Erik myślał o swoich łzach. To osobliwe, że jakieś uczucie może się pojawić ot, tak, by po chwili zupełnie zniknąć. Myślał o mamie. Leżąc na łożu śmierci, wyznała rzeczy, o których nigdy wcześniej nie mówiła.

Opowiadała o swoim dzieciństwie. O życiu w biedzie. Ludzie dzisiaj nie zrozumieliby ani krzty z tego, w jakich ciężkich warunkach przyszło jej dorastać. Albo że potem sprzątała u bogaczy i żebrała u ich żon o znoszone ubrania dla swoich dzieci. Jedna z tych burżujek odebrała jej karton z odłożonymi ubrankami, mówiąc: „To niedobrze obdarowywać biedne dzieci takim eleganckim odzieniem. Jeszcze im się w głowie przewróci”. Kiedy opowiadała o tym, łzy napłynęły do oczu obojgu.

Rebeka poprosiła go, żeby poszukał okularów przeciwsłonecznych w schowku deski rozdzielczej i musiał przerwać swoje rozmyślenia.

– Musiałam je zostawić w biurze – powiedziała. – Rozboliła mnie głowa od tego słońca. Mogę cię poprosić o jedną rzecz? – dodała.

– Prosić można zawsze, czasami może nawet zostaniesz wysłuchana – odparł.

– Zanim tamtego wieczoru Henry Pekkari został zamordowany, zadzwonił do swojego starszego brata Ollego. Chciałabym zapytać Ollego, o czym rozmawiali. Nie chcę jednak nastąpić żadnemu z policjantów na odcisk, no wiesz, to może być drażliwa sprawa, wtrynam się tam i robię ich robotę. Ale jeśli ty ze mną pojedziesz, to nikt mi tego nie weźmie za złe. Ba! Wszyscy będą zadowoleni.

– Dlaczego nie poprosisz Anny Marii, Freda albo Tommy’ego?

– Mają teraz tyle pracy – odparła lekkim tonem.

Sven Erik gładził w zamyśleniu wąsy, a po chwili wybuchnął krótkim, bezradnym śmiechem.

– Nie powiedziałaś im. Nie powiedziałaś, że twoja mama została umieszczona w rodzinie zastępczej u Pekkarich. I boisz się, że to wyjdzie na jaw. Do kurwy nędzy, Rebeka, to nie wygląda dobrze!

– To nie jest żadna tajemnica – odpowiedziała Rebeka. – Ale mama wyprowadziła się od nich, kiedy miała czternaście lat. Nigdy nie miałam z tą rodziną do czynienia, nie znam ich, nic mnie nie obchodzą.

– Prowadzisz śledztwo w sprawie zabójstwa członka rodziny! To przecież jest konflikt interesów!

– Nie ma żadnego konfliktu interesów. Nie jestem spokrewniona z rodziną Pekkarich. Nawet w ogóle ich nie znam. No i przecież nie podejrzewamy Ollego o dokonanie przestępstwa! Ragnhild też nie. Ty zaś jesteś spokrewniony z połową miasta, a z pozostałymi chodziłeś do szkoły. Gdybyś nie mógł brać udziału w śledztwach, w których osoby zamieszane w sprawę albo

są z tobą spokrewnione, albo znane ci...

– Różnica polega na tym, że ja zawsze grałem w otwarte karty. I czasami musiałem się wycofać. Przejrzystość, Rebeka. Słyszałaś o niej kiedykolwiek?

– Będę przejrzysta – obiecała Rebeka pojednawczo. – Ale jeszcze nie teraz.

– Nie, jasne, najpierw chcesz rozwiązać tę sprawę. Boisz się, że von Post ci ją zwędzi.

– Wystarczy, że dam mu jakikolwiek powód do przejścia tych morderstw, zrobi to szybciej, niż ja wypowiem: „napalony na media” – odparła ponuro. – No to co? Pojedziesz ze mną do Ollego? A przy okazji zapytamy go, skąd Henry Pekkari znał ojca Börjega Ströma.

– Dobra, pojedę. Ale obawiam się, że niepotrzebnie napytasz sobie biedy.

Dzwonek oznajmił nową wiadomość w telefonie Rebeki. Od Marii Taube. „Tęsknię, tęsknię, tęsknię”, napisała, dołączając serduszka i tańczące kobiety w czerwonych sukienkach.

Rebeka jęknęła i wstukała rząd radosnych buziek.

– Złe wieści? – zapytał Sven Erik.

– Nie. W czwartek mam dziewczynską imprezę. Moja koleżanka z byłej pracy w Sztokholmie wybiera się z kumpelkami na narty i przy okazji wpadną do mnie. Nie wiem tylko, jak mam zdążyć coś przygotować. Powinnam też posprzątać.

– E tam, poczęstuj je kiszonym śledziem. Pasuje na wszystkie okazje.

Wyszukał na YouTube filmik z grupką Amerykanów jedzących kiszzonego śledzia. Rebeka oglądała wideo, próbując nie stracić z oczu szosy. Sven Erik pomagał jej, kontrolując sytuację przed i za nimi. Śmiali się do rozpuku w samochodzie, który lekko się zataczał. Zupełnie bezkarni.

OLLE PEKKARI mieszkał w drewnianej willi przy Föraregatan. Otworzyła im jego żona. Astrid Pekkari urodziła się w 1942, w tym samym roku, co Olle, Rebeka to wcześniej sprawdziła. Sprawdziła też kwotę ich zadeklarowanego podatku oraz zyski i obroty firmy. Wiedziała, ile średnio zarabiają ich sąsiedzi i w jakim przeciętnie są wieku. Z ewidencji ludności wynotowała, że Astrid ma dwoje rodzeństwa, a na Facebooku obejrzała fotografie jej wnucząt, swetrów zrobionych na drutach i widoków z Teneryfy, po której wędrowała z mężem w ubiegłym roku.

Astrid miała ładnego siwego pazia z przyciętą na skos grzywką, odprasowaną bluzkę i perły. Spódnica wisiała trochę luźno. Rebeka pomyślała, że to klasyczny strój sprzed jakichś dwudziestu lat. Prosty rozpinany sweter musiał sporo kosztować. Oczekiwała gości? Czy może są ludzie, którzy po prostu chodzą tak ubrani po domu? W myślach mignęło jej własne domowe człapanie w rozciągniętych trykotach, z brudnymi włosami upiętymi w kok.

– Proszę, niech państwo wejdą – powiedziała życzliwie Astrid Pekkari, kiedy przedstawili się i zapytali o jej męża. – Możecie poczekać w salonie.

W holu stał otwarty kosz z kory brzoźowej, wypełniony jednorazowymi ochraniaczami na buty.

– Życzy sobie pani, byśmy... – zapytał Sven Erik, wskazując pojemnik.

Astrid zrobiła przeczący gest.

– Nie, nie. To Olle jest pedantem. Ja zwykłam mówić tak: dopóki to ja sprzątam, dopóty to ja decyduję. Nie musicie państwo ściągać butów.

Powiodła po Rebecie długim spojrzeniem.

– Ależ pani jest podobna do Virpi.

Jej usta pozostały otwarte, ale kiedy Rebeka nie odpowiedziała, kobieta odwróciła się w kierunku schodów i zawołała:

– Olle!

Rebeka nie wiedziała, co ma zrobić ze swoim podobieństwem do Virpi. Nie owładnęły

nią żadne uczucia. Babcia i Sivving zawsze powtarzali, że jest podobna do taty.

Z piętra nie nadeszła żadna odpowiedź.

– Ma w uszach muzykę – wyjaśniła Astrid. – Proszę, wejdźcie państwo, a ja po niego pójde.

Zniknęła na górze.

– Tak będzie najlepiej – powiedział przyciszonym głosem Sven Erik, naciągając ochraniacze na buty. – Jeśli to dla Ollego ważne.

Rebeka podążyła za jego przykładem i wkroczyli do salonu, szeleszcząc. Z piętra dobiegły pukanie w drzwi i niewyraźne mamrotanie.

Salon pasował do Astrid Pekkari. Wypolerowane na połysk meble w stylu gustawiańskim. Serwantki i kryształowy żyrandol. Obrazy olejne na ścianach. Można było odnieść wrażenie, że niczego tutaj nie zmieniono przez ostatnie trzydzieści lat. Ani pyłku kurzu. Na wierzchu nie leżało nic, co świadczyłoby o tym, że pokój jest w użyciu. Nawet żadnej gazety ani książki. Żadnej robotki ręcznej. Żadnej krzyżówki.

Rebeka pomyślała o babci. Kiedy była dzieckiem i mieszkała z nią w jej domu, obie spały w kuchni; babcia na wysuwanej drewnianej ławie, Rebeka na materacu, który leżał na podłodze. Obecna sypialnia Rebeki była wówczas reprezentacyjną „dużą” izbą, wysprzątaną i nieużywaną. Stał tam jedyny wyściełany mebel, elegancki fotel. Wyszywane obrusy z frędzlami pokrywały stół z klapą. Z dużej izby korzystano od wielkiego dzwonu. Gdy przychodził z wizytą pastor. Gdy Rebeka zrobiła maturę. Z okazji świąt.

Tak było w wielu tornedalskich domach. Nieużywany pokój może był ważny z tego względu, że odróżniał jego posiadacza od zwykłego ludu. Człowiek był biedny, ale nie mieszkał pod świerkiem ze swoją kozą.

Przeszukiwała wzrokiem półki z książkami. Stał tam jakiś album ze zdjęciami mamy?

Usiedli na brzeżku sofy, nie opierając się o pękate poduszki.

Jak Astrid i Olle mówią o mamie?, zastanawiała się dalej Rebeka. Jeśli w ogóle rozmawiają. Może są taką parą, która zamilkła? On tam na poddaszu. Ona w towarzystwie przyjaciółek zasuwa z kijkami.

Nie dla wszystkich rozmowa jest ważna, myślała. O tym, co cię uformowało. O tym, co sprawia, że biegniesz do lasu, wskakujesz do dołu i stroszysz kolce. Co mówi Marit do Kristera? O czym rozmawiają? O przyjemnych rzeczach, to pewne.

Olle wszedł do salonu. Wysoki, tak jak Ragnhild. Rześki i żwawy jak na swoje prawie siedemdziesiąt pięć lat. Poruszał się lekko, bez widocznych starczych dolegliwości. Usiadł na sofie, nie przytrzymując się podłokietnika. Przypominał Ragnhild również z twarzy: coś w oczach, łuk kupidyna. Dobrze ubrany, podobnie jak żona. Spodnie wyprasowane na kant, biała koszula.

Rebeka i Sven Erik się przedstawili.

– Wiem przecież, kim jesteście – powiedział i machnął ręką.

Prawie nie patrzył w stronę Rebeki. Ale błyskawicznie zarejestrował wzrokiem jej podobieństwo. Znów Virpi.

Zwracał się wyłącznie do Svena Erika. Rebeka poczuła wdzięczność, że emerytowany policjant z nią tu przyjechał. Mężczyźni zaczęli od kołowania na temat wnuczki Ollego, która gra w hokeja w grupie juniorek. Wkrótce żeńska drużyna awansuje do drugiej ligi, co do tego byli zgodni.

– Chcemy panu zadać kilka pytań – powiedział Sven Erik, gdy wyczerpali temat hokeja. – Chodzi o Raimo Koskelę, którego znalezione w zamrażarce pańskiego brata.

– O Boże drogi – westchnął Olle Pekkari i przeciągnął dłonią po twarzy. – Mam nadzieję, że państwo rozumieją, że nie miałem pojęcia...

– Morderstwo Raimo Koskeli uległo przedawnieniu – kontynuował Sven Erik – mimo to chcielibyśmy tę sprawę wyjaśnić. Jestem już na emeryturze, ale obiecałem Börjemu Strömowi popytać tu i tam. Rozumie pan, tak żeby on to mógł godnie zakończyć.

– Rozumiem – odparł Olle. – Proszę śmiało pytać. Ale ani ja, ani moja rodzina nie chcemy, żeby nas w to wciągnięto. Piszą o tej historii w gazetach.

– Wie pan, czy Henry znał Raimo Koskelę? Czy coś ich łączyło?

Olle Pekkari pokręcił głową.

– Henry był... Jak to powiedzieć?... Słaby. Czasami myślę, że gdy byliśmy młodzi, wziąłem na siebie zbyt dużą odpowiedzialność. Rozpieściliśmy go i zabrakło mu kręgosłupa. Imprezował i nie potrafił zagrzać miejsca w pracy. Zadawał się z włóczęgami z Kiruny i z okolicznych wsi. Ale Raimo Koskela był z pewnością dziesięć lat starszy. Nigdy nie słyszałem, żeby Henry o nim wspominał.

– Gdyby coś się panu przypomniało, proszę się do nas odezwać. I jeszcze jedna rzecz...

Spojrzał na Rebeke, by oddać jej głos.

– Pański brat, Henry, został zamordowany.

Prosto z mostu. Siedzący obok niej Sven Erik niemal podskoczył na sofie.

– Co?! – wykrzyknął Olle. – Nie, nie. Umarł na zawał serca. Albo udar mózgu.

– Tak, pierwotnie sekcja zwłok właśnie na to wskazywała – powiedziała Rebeka. – Ale przy bliższym badaniu okazało się, że został pozbawiony życia. Poprzez ucisk klatki piersiowej.

Wyjaśniła pokrótce, co wykazała powtórna obdukcja. Opowiedziała o kobietach w śniegu. Olle słuchał z zaciśniętymi ustami.

– Tak, czytaliśmy o tych kobietach – skomentował.

Astrid Pekkari ukazała się w drzwiach.

– Czy ktoś ma ochotę na kawę? – zapytała.

Olle przegonił ją ruchem ręki niczym muchę.

– To musi być jakaś pomyłka – powiedział. – Zamordowany?

– Kiedy ostatnio rozmawiał pan ze swoim bratem? – zapytała Rebeka.

– Nieskończenie dawno temu – odparł. – Nie jest tajemnicą, że Henry był alkoholikiem, prawie nie mieliśmy ze sobą kontaktu.

– Ach, tak... Według zestawienia połączeń Henry zadzwonił tutaj, na stacjonarny telefon, tego samego wieczoru, kiedy, jak przypuszczamy, został zamordowany. W piątek ósmego kwietnia. Może odebrał ktoś inny? Może pańska żona?

– Zdarzało się, że Henry dzwonił po pijaku – przyznał Olle i wciągnął kilkakrotnie powietrze. – Rozumie pani, trudno było pojąć, co mówi, bez ładu i składu, bełkotliwie. Tego typu rozmowy człowiek kończył tak szybko, jak to możliwe. Nigdy ich nie zapamiętywałem.

– Rozumiem – powiedziała Rebeka. – Czy żona mogłaby potwierdzić, że to nie ona...

– Oczywiście. Astrid!

Astrid ponownie ukazała się w drzwiach.

– Zdecydowaliście się na kawę?

– Czy Henry tutaj dzwonił? – zapytał Olle. – I rozmawiał z tobą? Zanim...

– Nie.

– Jeśli to wszystko... – rzekł i podniósł się, dając do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Twarz miał zbielełą jak płótno. Wysilił się na uśmiech, który momentalnie zniknął. Jakby zmiarkował, że to nie na miejscu. Usta były półotwarte. Rebeka zanotowała unoszącą się pod kuszulą klatkę piersiową.

Odprowadził ich do holu, gdzie zdjęte ochraniacze na buty ponownie spoczęły w koszu. Astrid stała w drzwiach do kuchni.

– Tak jak powiedziałem – odezwał się Olle. – Moja rodzina w ogóle nie miała z Henrym do czynienia. Nie życzymy sobie, by nas uwikłano w to śledztwo.

Sven Erik wcisnął palce w swojego wąsa.

– Czy istnieje jakiś powód, dla którego mieliby państwo być uwikłani? – zapytała Rebeka.

– Żaden, oprócz tego, że pani żywi urazę do rodziny Pekkarich – odpowiedział gospodarz.

– Olle! – rzuciła ostrzegawczym tonem jego żona.

– Pani matka – kontynuował Olle napiętym głosem – powinna była być wdzięczna, że się nią zaopiekowaliśmy. Ale ona robiła wszystko, co w jej mocy, żeby wejść w konflikt zarówno z ojcem, jak i z matką. *Kansainvälinen*. Skróciła im życie, to moje przeświadczenie.

– Dziwne – odparowała Rebeka. – Bo można być zdania, że to jej życie zostało skrócone.

Poczuła ciepłą rękę na plecach. To Sven Erik. Wyprowadził ją z domu.

Kiedy ponownie siedzieli w samochodzie, Rebeka zapytała:

– Co to znaczy? *Kansainvälinen*.

– Kobieta każdego mężczyzny – wyjaśnił Sven Erik. – Naprawdę powinnaś przyznać się do pokrewieństwa... Okej, okej, do powiązania z rodziną Pekkarich.

– On kłamie. – Rebeka trzasnęła ręką w kierownicę. – W każdym razie o rozmowach telefonicznych. Skłamał, mówiąc, że Henry nie dzwonił – kontynuowała. – A kiedy dostał dowody, czarno na białym, nagle zmienił zdanie i zaczął pieprzyć, że Henry czasami dzwonił po pijaku. Ale z billingu Henry’ego wynika, że przez ostatnie dwa miesiące nie było żadnych innych połączeń do jego brata.

– Owszem, coś tu się nie zgadza – przyznał Sven Erik.

– Chcę mieć billing telefonu Ollego Pekkariego – powiedziała Rebeka, pisząc SMS-a do Freda Olssona. – Chcę się dowiedzieć, czy Olle dzwonił do kogoś bezpośrednio po rozmowie z bratem. I...

Zrobiła zrzut ekranu z zegarem.

– ...chcę wiedzieć, czy dzwoni do kogoś właśnie teraz.

– Mhm – mruknął Sven Erik. – W każdym razie nie kazał nam założyć siatki ochronnej na włosy. Ale Astrid chyba jest w porządku.

Rebeka się zaśmiała.

– Jakżeż, kurde, pokochałam swój domowy rozgardiasz!

– No! – potwierdził Sven Erik. – Człowiek od razu zatęsknił za domem. Za żwirkiem poroznoszonym przez koty po całej podłodze w łazience.

– Za sierścią psa i kąpiącymi siusiakami na poduszkach sofy!

– Otóż to! – przyznał ciepło Sven Erik. – Skapujące siusiaki! Jakże niedoceniane w przytulnym zaciszu domowym.

Krister siedział w kuchni u swojej siostry, Lindy, i popijał rooibos.

Razem z Marit wybierał się do Sztokholmu, by przenocować w japońskim SPA. Dostali dobrą zniżkę w zamian za obietnicę opublikowania pięciu zdjęć z pobytu. Linda miała się zająć psami.

Roy siedział wpatrzony w drzwi schowka na odkurzacz. Linda nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– On doskonale wie, że tam są zabawki i kości do gryzienia. Prawda, robaczku? Wiesz o tym. Że zawsze kupuję ci coś nowego do zabawy.

Wstała, otworzyła schowek i podała Royowi piszczącą gumową kaczkę, na którą momentalnie się rzucił.

Tintin nie interesowały żadne kaczkę. Zaparkowała w przedpokoju i patrząc na drzwi wejściowe, wzdychała. Od czasu do czasu posyłała Kristerowi długie, oskarżające spojrzenie.

– Skąd ona może wiedzieć, że chcesz ją tu zostawić? – zdziwiła się Linda.

– Ona wie wszystko.

– Tintin – zwróciła się do niej. – Będzie ci u mnie bardzo dobrze, przecież wiesz o tym.

Pan potrzebuje chwili bezpsiego wytchnienia.

Pan musiał jakoś wykrzywić twarz, bo jego siostra natychmiast zapytała:

– Nie uśmiecha ci się ten wyjazd?

– Nie, nie, z pewnością będzie miło.

Upredzając jej kolejne pytania, poprosił, by powiedziała, co u niej w pracy. Zdała mu relację z budowy nowej szkoły i o architekcie, który uważa, że okna między klasami i korytarzem to świetny pomysł.

– Jakby dzieciaki nie miały wystarczająco dużo kłopotów z koncentracją – zakończyła.

Potem opisała równie bezrozumny pomysł zamówienia krzesel na kółkach, bo wtedy to już zupełnie nie da się przekonać uczniów do siedzenia w miejscu. I kupna nowych stołów, których skrócenie wymaga inżynierskich umiejętności. Po jakiego grzyba te wszystkie zebrania z architektem? Przecież i tak nikt nie słucha nauczycieli, gdy mówią o swoim wyobrażeniu sal szkolnych.

Wypowiedziawszy ostatnie zdanie, zrozumiała, że brat najwyraźniej też jej nie słucha.

– Hej – odezwała się miękko i położyła swoją dłoń na jego. – Co z tobą?

– Dobrze.

A po chwili zapytał:

– Co tak naprawdę myślisz o Marit?

Przysunęła rękę do siebie.

– Najważniejsze jest chyba, co ty myślisz – odparła wymijająco.

Milczał wystarczająco długo, by poczuła się zmuszona do odpowiedzi.

– Uważam, że Marit to... dobra osoba. Porządna i poukładana. Miła dla otoczenia. Ekstrawersyjna... – Próbowwała schwycić jego wzrok, uporczywie wbity w blat stołu. – Radosna – dodała.

– Ale nie odpowiedziałas na pytanie – odparł z odrobiną irytacji w głosie. – Co o niej myślisz?

Linda wyciągnęła pudełeczko ze snusem i włożyła porcję pod wargę. Poczęstowała brata, ale ten pokręcił głową. Przestał brać snus ze względu na Rebekę. Zawsze jakaś korzyść z tego związku.

– Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Przecież to ty masz z nią żyć.

Zesztywniał, najeżył się. Odepchnął Roya, który usiłował położyć mu wymemlaną kaczkę na kolanach.

– Okej – zaczęła niepewnie. – To nie tak, że jej nie lubię, absolutnie nie. Ale uważam, że... Brakuje jej głębi. I zawsze jestem trochę spięta, jak tu przychodzicie, bo potem nagle człowiek widzi swoją kuchnię na jej Inście. Zawsze czuję, że powinnam posprzątać i się odstawić. A z tym Instagramem jest jeszcze jedna rzecz. Jakby wszystko miało się przekładać na lajki. Czasami się zastanawiam, czy to, co człowiek robi, ma jakąś wartość samo w sobie. Jak wtedy, gdy przygotowałam tutaj dla niej urodzinowy obiad. To bardzo miło z jej strony, że opublikowała zdjęcia, że napisała „najlepsza szwagierka”. Ale wołałabym, żeby to spotkanie pozostało czymś prywatnym. Czymś tylko między tobą, mną i nią. Odnoszę wrażenie, jakby ona wymieniała to, co rzeczywiste, na coś w rodzaju celebryckiej waluty. – Zamilkła. – Teraz to chyba jestem niesprawiedliwa. Mogę to wszystko cofnąć?

Wydała z siebie dźwięk taśmy cofanej na najwyższych obrotach.

Nie uśmiechnął się. Zapytał natomiast:

– A co myślałaś o Rebecce?

– Wiesz, że ją lubię. Ale ona jest bardziej typem rollercoastera. No i widziałam, że cię zraniła. A nikomu nie wolno krzywdzić mojego starszego brata. Jak byliście razem, to... Czasami życzyłam ci kogoś bardziej w stylu Marit.

– Słuchaj – wyrzucił z siebie gwałtowniej, niż zamierzał. – Kiedy Rebeka i ja byliśmy razem... Nie zostawiała nawet szczoteczki do zębów w mojej łazience. Gdy nocowała u mnie, przychodziła z torbą podrózną, gdzie trzymała swoje rzeczy, i zawsze ją potem ze sobą zabierała. Jakby nieustannie gotowa do odejścia w parę sekund. Gdyby związek się posypał, nie musiałaby wracać po jakiś sweter. Czy tę cholerną szczoteczkę do zębów.

– Rozumiem.

– A potem pojechała do Sztokholmu i pieprzyła się z Månsem.

W przedpokoju Tintin wstała.

– Leżeć! – krzyknął Krister.

Przypomniał sobie Reбекę właśnie tamtego dnia. Przyjechała prosto z lotniska, weszła do środka bez torby podręcznej. Ta została w samochodzie. Zrozumiał od razu. Rebeka stała w holu. Nie zdjęła butów. Psy krążyły wokół niej jak szalone, przeschęśliwe z powodu ponownego spotkania. Ona zeszczywniała. On czuł coś w rodzaju strachu.

„Muszę ci to powiedzieć. Spałam z Månsem”, wyznała. „Ale nie jesteśmy parą, nie wróciłam do niego”.

„A my?”, zapytał wtedy.

Na to pytanie zdawała się nie mieć odpowiedzi.

Podszedł do drzwi wejściowych i otworzył je bez słowa. Stał z boku i dał ręką znak, że może iść.

A ona wzięła ze sobą Smarkacza i poszła. Wsiadła do samochodu. Odjechała.

I tyle. Nawet się porządnie nie pokłócili.

Poszedł z psami w góry. Spędzili pod gołym niebem pięć dni. Spali na skórze renifera w zimowym namiocie. Każdego dnia wspinał się na jakiś szczyt, żeby złapać zasięg. Ale żadnego nieodebranego połączenia od niej, żadnej wiadomości.

Podniósł wzrok na siostrę.

– Marit to najlepsze, co mi się zdarzyło w życiu – powiedział.

– Tak – odparła i widać było po niej, że chciałyby cofnąć każde swoje słowo.

Ale nie mogła tego zrobić. Słowa zostały wypowiedziane i wisiały teraz w powietrzu, i kołysały się tam i z powrotem jak donośne dzwony kościelne.

Nie został na lunch. Pozbierał się i uciekł stamtąd.

Anna Maria usłyszała głos Svena Erika, gdy tylko weszła do jadalni w komendzie. Siedział z Rebeką i jadł z nią tajskie danie, kupione na wynos. Powietrze było ciężkie od mdławego zapachu potraw podgrzanych w mikrofalówce. Karzan Tigris i Magda Vidarsdotter jedli prosto z plastikowych pojemników. Fred Olsson wyłożył swoje wegetariańskie curry na talerz, a obok umieścił kawałek ręcznika papierowego, złożonego starannie jak serwetka.

Wszyscy zaśmiali się z czegoś, co właśnie powiedział Sven Erik. Magda tak intensywnie, że z ust wypadło jej trochę jedzenia.

Emocje krajały Annę Marię, jakby była z masła.

Sven Erik Stålnacke. Tak strasznie za nim tęskniła. Nawet jeśli formalnie była jego szefową, to właśnie on w jakiś sposób zapewniał jej poczucie bezpieczeństwa. Oprócz tego, że w pracy byli nierozłącznymi kompanami, to właśnie z nim mogła przewalkować wszystkie pro-

blemy, zarówno te ze zwierzchnictwem, jak i z kolegami, i... nawet te domowe.

Ale najwyraźniej tęsknota była nieodwzajemniona. Siedział teraz i rechotał z innymi, i opowiadał swoje dykteryjki. Nawet nie przeszedł koło jej gabinetu, żeby się przywitać. Teraz widocznie liczyła się tylko Rebeka.

I nikt nie zaesemesował, że pora na lunch. Jeszcze niedawno snuła plany wspólnego posiłku z Rebeką i dwójką nowo zatrudnionych. Ale ochotę na to zdradzała raczej tylko jedna strona. Policjantka czuła, jak znów przywiera do niej niechęć do Rebeki. Niczym lep na muchy zaplątany we włosy.

– Serwus, Anna Maria! – zawołał Sven Erik. – Usiądź tutaj!

– Nie chcę wam przeszkadzać.

– Co za „przeszkadzać”? Nie opowiadaj bzdur, tylko chodź i siadaj!

Śmiejąc się serdecznie, wysunął puste krzesło obok siebie.

Anna Maria ruszyła w kierunku stołu. Z uśmiechem na twarzy próbowała wymyślić jakąś replikę.

Karzan streścił jej właśnie opowiedzianą anegdotę. Rozmowa nabrała tempa i Anna Maria nie musiała długo czuć na sobie tych wszystkich spojrzeń. Na stole leżały gazety poranne. Czołówki traktowały o zwłokach w zamrażarce i kobietach w śniegu. Wkrótce zaczną pisać o zabójstwie Henry’ego Pekkarięgo.

– Podasz do wiadomości, że pod skuterem Henry’ego znaleźliśmy krew i włókna ubrań? – zapytała Anna Maria.

– Jeszcze nie – odpowiedziała Rebeka. – Konferencja prasowa jest o piątej. Chciałabym, żebyś też na niej była.

– Wiedziałam, że powinnam była rano wziąć prysznic – powiedziała, zbierając kilka salw śmiechu.

Obejrzała się.

– A gdzie Tommy?

– Poszedł do domu – odparła Magda Vidarsdotter. – Kiepsko się czuł.

Anna Maria zanotowała sobie w pamięci, żeby sprawdzić jego nieobecności z powodu choroby. Musi z nim pogadać.

– Zastanawiasz się, co włożyć na imprezę u Rebeki? – wyrwał ją z rozmyślań Sven Erik.

– Co? Nie... Nie jestem...

– To nie do końca impreza, to moja koleżanka z byłej pracy i jej kumpelki – zaczęła Rebeka i zaraz dodała: – Przyjdź, koniecznie! To miłe dziewczyny!

– Mhm, dzięki – wymamrotała Anna Maria.

Złapana w potrzask. To jasne, że Rebeka poczuła się zmuszona ją zaprosić. Cholerny Sven Erik! A co, kurde, miała powiedzieć przy wszystkich? Nie, nie mam ochoty przyjść na imprezę z twoimi koleżankami z kancelarii adwokackiej w Sztokholmie?

Zadzwoił telefon Svena Erika. Policjant wstał, skinął porozumiewawczo w stronę Rebeki i zniknął w korytarzu.

Gdy po chwili wrócił, powiedział:

– Tak, miała klienta, który prawdopodobnie wie, co to za dziewczyny.

– Kto? – zapytała Anna Maria, ale nie dostała odpowiedzi.

– Potrzebujesz towarzystwa? Może Karzan...? – zaproponowała Rebeka.

Sven Erik pomachał odmownie ręką.

– Ten ktoś nie chce rozmawiać z policją, ale zaakceptował emerytowanego policjanta. I obiecałem nie zdradzić jego imienia i nazwiska. Nie chce być przesłuchiwany, nie chce być świadkiem. Ruszam w te pędy.

– Super by było, gdyby udało nam się je zidentyfikować – powiedziała Rebeka. – Rany boskie!

Spojrzała na zegarek.

– Za kwadrans muszę być w sądzie. Przyczynić się do skazania paru łobuzów.

– Nie wszystkich łobuzów – dodała Anna Maria wystarczająco głośno, gdy Rebeka wychodziła z jadalni.

Börje Ström zbiegł po schodach do restauracji w hotelu Ferrum i wybrał na lunch dorsza w sosie jajecznym. Towarzyszył mu przy stoliku hotelowy portier, sympatyczny jegomość. Miło im się rozmawiało. Mężczyzna pochodził z Merasjärvi, próbowali dociec ewentualnego pokrewieństwa. Znaleźli pewne więzy w połowie dziewiętnastego wieku. Potem rozmowa oczywiście zeszała na boks. Parę słów poświęcili zmarłemu ojcu.

– Co za cholerna historia – powiedział portier ze współczuciem w głosie.

Börje wtajemniczył go w swoje plany: zakład pogrzebowy, kościół, przygotowania do pogrzebu. Omal nie opowiedział mu o Ragnhild, ale ugryzł się w język.

– W pewnym sensie dobrze będzie złożyć ojca w grobie – podsumował mężczyzna.

– Zdecydowanie – odpowiedział Börje. – Gdybym tylko miał ze sobą jakąś porządną koszulę...

Pociągnął za swą spraną bluzę. Pomyślał o Ragnhild Pekkari. Co ona by o niej sądziła?

– Nie przebrałem się, zanim ruszyłem z Älvsbyn. Wskoczyłem tylko do samochodu i gazu. Chyba nawet nie zamknąłem drzwi na klucz. Muszę skoczyć do miasta i coś sobie kupić.

– Niech pan pozwoli ze mną do magazynu – powiedział portier, chcąc pomóc. – Wie pan, ludzie zostawiają w hotelu ubrania i nigdy o nie nie pytają.

– Ma pan coś w moim rozmiarze? – zapytał Börje z uśmiechem.

Przewyższał portiera o głowę. A ten przecież nie był szczególnie niski.

Znaleźli odpowiednią koszulę. W liliowym kolorze, uszytą z taniej bawełny.

– Weź ją pan – powiedział wspaniałomyślnie portier. – Wisiała tutaj całą wieczność. I tak byśmy ją wkrótce wyrzucili.

Börje zaczął zapinać guziki przy mankietach. Portier pomógł mu z prawym. Bokser stał jak dziecko z wyciągniętą przed siebie ręką. Pomyślał o osobach, które pomagały mu w tych latach, kiedy mieszkał w Kirunie. Pomyślał o Sisu-Sikkem i Nyrkinie-Jussim. O tych wszystkich chwilach, kiedy bandażowali mu ręce i nakładali rękawice.

1962 – 1966

– Pięściarz, który nie wytrzyma wszystkich rund, równie dobrze może skończyć z boksem! – wykrzykuje Nyrkin-Jussi w kierunku trenujących ze skakanką. – Macie skakać i macie biegać. Biegać! – grzmi niczym laestadiański kaznodzieja. – Biegać każdego dnia.

A później cytuje Świętego Pawła.

– „Czyż nie wiecie, że gdy zawodnicy biegną na stadionie – peroruje głośno – wszyscy wprawdzie biegną, lecz jeden tylko otrzymuje nagrodę? Przeto tak biegnijcie, abyście ją otrzymali. Każdy, który staje do zapasów, wszystkiego sobie odmawia. Ja przeto biegnę nie jakby na oślep; walczę nie tak, jakbym zadawał ciosy w próżnię, lecz poskrabiam moje ciało i biorę je w niewolę”^[14]. Tak jest napisane w Biblii, panowie. *Päälle vain*, do przodu!

I Börje biega. Ma jedenaście lat i biega każdego dnia, cały czas. Do szkoły i ze szkoły. (To jest darmowy trening, chłopcze, mówi Nyrkin-Jussi. Niech inni się śmieją, potem nie będzie im do śmiechu).

Kończy dwanaście lat i biega w lasach wokół Luossavaary, byłej góry kopalnianej. (Od

czasu do czasu możesz sobie wyobrazić, że jakiś bękart, *äpäpäät*, wyciąga swoje chude rączki i chce cię zawlec pod ziemię, to pomaga dać z siebie jeszcze więcej, he, he!)

Pracuje na worku w siłowni. (Nie wal tak mocno, jakbyś walczył za króla i ojczyznę, skup się na szybkości, cios ma być rozluźniony do momentu, gdy trafia, dopiero wtedy napinasz pięść, wyobraź sobie, że masz złapać w locie muchę).

Kończy trzynaste lat i zaczyna gimnazjum. Teraz wbiega na szczyt Luossavaary. (Okej, chłopcze, ostatni kawałek pobiegiesz sam. Człowiek czuje się jak pradziadek, kiedy na ciebie patrzy. „Rozmach jest chlubą młodzieży, ozdobą starców – siwizna”. Ja tutaj zaczerpnę tchu).

Kiedy idzie mu czternasty rok, mężnieje i nagle strzela w górę. Sisu-Sikke podaje mu ochraniacz na zęby. Smakuje jak dętka rowerowa. Jeden ze starszych chłopaków zakrapia pudełeczko na ochraniacz płynem do płukania ust, ale inni uważają, że to takie dziewczynskie, więc Börje idzie za przykładem kolegów, przyzwyczajają się. W końcu polubi smak gumowej dętki, dziwne, jak to wszystko funkcjonuje.

Dostaje też ochraniacz na głowę, ale takich nikt nie używa; nie przylegają dokładnie do rozgrzanej czaszki, spadają na oczy. Teraz już sparinguje, nawet z seniorami.

Nyrkin-Jussi i Sisu-Sikke z zawodu są listonoszami i pomagają mu znaleźć dodatkowe zajęcia. Dostaje najbardziej uciążliwe rejony, te z pagórkami i schodami. Po lekcjach roznosi popołudniową pocztę i bezpłatną gazetę, zawsze biegiem. Zimą ciągnie po śniegu rower objuczony sakwami i zasuwa po schodach na samą górę z torbą listonosza przewieszoną przez ramię. Potem w dół w rekordowym czasie, błyskawiczne ruchy na każdym piętrze, to w lewo, to w prawo, wtyka koperty we wrzutniki na listy.

Chodzi do klubu każdego dnia. Pracuje na worku, trenuje mięśnie brzucha z piłką lekarską, skacze na skakance.

Trzyma tarcze treningowe starszym chłopakom. Jeden z nich mówi, że Börje śmierdzi jak szczyny kota. Co on na to może poradzić? Ma tylko jeden zestaw ubrań do treningu. Mama pierze raz na dwa tygodnie.

Ale na drugi dzień jego jedyny podkoszulek i krótkie spodenki leżą w szafce wyprane. Pachną świeżością. I tak jest co tydzień. Domyśla się, że to za sprawą Sisu-Sikkego, chociaż żaden z nich nie podejmuje tematu.

Trzyma tarcze, uczy się odczytywać ciosy starszych kolegów. Widzi podskórny ruch mięśni poprzedzający sierpowy. Jest wystarczająco twardy, by przyjmować ciosy, ma siłę trzymać gardę.

Wiosną 1966 roku kończy piętnaste lat i zaczyna brać udział w meczach klubowych. Okazuje się jednakowoż, że jest w tym beznadziejny. Jak przychodzi co do czego, nie potrafi uderzyć.

– Jesteś zbyt defensywny – krzyczy Nyrkin-Jussi. – Przecież umiesz! Do przodu i walcz! Milutki to możesz być dla swojej mamy.

To duża różnica między sparingiem i trzymaniem tarczy a prawdziwym boksem. Nigdy się nie umiał bić. W szkole nadal jest tym chłopakiem, którym był zawsze. Od największych chojraków trzyma się z daleka, na tyle, na ile to możliwe. Czasami przychodzi do klubu z pękniętą wargą i śliwą pod okiem.

– Co? – nie dowierza Nyrkin-Jussi, przyglądając się Börjemu. – Z takim wyglądem tutaj? Jeślibyś czasem musiał stąd wyjść w podobnym stanie, to co innego. Musisz oddać!

Łatwo powiedzieć. Strach to robak wgryzający się w kręgosłup. A dręczycieli jest wielu. Kiedyś najgorszy z nich zmusza Börjego, by na czworakach zjadł wypluty właśnie snus. Nie ma wyboru. Musi usłuchać. Na oczach wszystkich, na środku holu. Wyzywają go od parszywych pojębów. Rechoczą. On rzyga jak kot przed salą prac ręcznych.

Ale to wszystko znika, gdy wchodzi do sali treningowej. Tutaj ogarnia go spokój. Woń spoconych rękawic i linimentu. Te wszystkie rytmiczne odgłosy uderzeń i skakanek. Szorstki głos Nyrkina-Jussiego, który czasem grzmi jak kaznodzieja, a czasem jak właściciel meliny: „Każdego dzieła, które twa ręka napotka, podejmij się według twych sił!» Sił, panowie! *Helvetin saatana piru* – zajeście szatańskich sił! *Päälle vain!*”.

Dobrze też nie mieć do czynienia z kobietami. W domu jest mama. W szkole dziewczyny w jego wieku zaczynają się malować i palić papierosy. Kompletnie nieprzystępne. Kiedy przypadkowo na nie spojrzy, słyszy ich opryskliwe: „Co tak się gapisz, pryszczaty przymule?”.

Mama cieszy się z pracy syna na poczcie i nie zadaje pytań, chociaż on często wraca do domu po dziewiątej. Zarzucił kłamstwo o gimnastyce. Jest zadowolona, ponieważ oddaje jej połowę wypłaty. Pieniądze są potrzebne, bo on ma wilczy apetyt, a ona w salonie fryzjerskim zarabia dość kiepsko.

Ale Börje wie, że to tylko kwestia czasu, nim mama dowie się o boksowaniu.

– Nie szlajasz się, synu? – pyta go, patrząc na pęknięty łuk brwiowy.

To kwestia czasu.

Choć to i tak nie ma znaczenia, myśli Börje Ström. Mama może mnie zabić. A ja nie przestanę się boksować.

DOKŁADNIE O GODZINIE DRUGIEJ poniedziałkowego popołudnia Börje Ström zadzwonił do drzwi. Ragnhild zdążyła się przebrać dwa razy. Właśnie zamierzała zrobić to ponownie, ale było za późno.

Miała na sobie spódnice, czego nie cierpiała, ponieważ była zmuszona włożyć rajstopy. A rajstopy to mordęga dla rosnących kobiet. Miała w zwyczaju kupować dwie identyczne pary w największym rozmiarze, obcinać jedną nogawkę, a potem wkładać jedną parę na drugą. Wówczas nie opadały tak bardzo w kroku. Chodziła zazwyczaj w spodniach. Co jej strzeliło do głowy z tą spódnicą? A teraz musi go wpuścić. Mówi się trudno.

Rzuciła okiem w lustro, zanim otworzyła. No, są sześćdziesięciosześcioletki, które wyglądają gorzej. Sweter islandzki i prosta czarna spódnica. Włosy upięte ciut niestarannie. Zero pozy. Zamknęła drzwi do sypialni ze zdradziecką górą ciuchów na łóżku.

Poszli do biura pogrzebowego na piechotę. Nie zamienili wielu słów. Podsumowali maj jako najbrzydszy miesiąc w Kirunie. Pozimowy żwir na chodnikach i drogach. Czarna warstwa brudu na niemal stopniałych zaspach śniegu. Zero zieleni. W południowej Szwecji ludzie publikowali zdjęcia kwitnącej czeremchy i bzu, krokusów i narcyzów.

Ragnhild pomyślała, że nie ma bladego pojęcia ani o boksie, ani o sporcie i że nic ją z tym mężczyzną nie łączy. I skąd, u licha, wytrzasnął tę paskudną liliową koszulę?

Börje Ström zastanawiał się nad sporą biblioteką, którą dojrzał w pokoju Ragnhild, gdy czekał na nią, aż włoży wierzchnie okrycie. W szkole przeczytał kiedyś jedną książkę, ale nie pamiętał jej tytułu. Marvin Hagler powiedział w jakimś wywiadzie: „Gdyby otworzyli moją łusą głowę, znaleźliby tam wielką rękawicę bokserską. Tylko tym jestem. I tym żyję”.

Milczenie początkowo było trochę uciążliwe. Ale po jakimś czasie przywykli. Znaleźli wspólny rytm, stawiali długie, zdecydowane kroki. Przemierzali ulice niczym para łosi dwunastaków, przyciągając ludzkie spojrzenia.

Patrzcie sobie, zwróciła się Ragnhild w myślach do przechodniów.

Drałowała u boku tego rosnącego mężczyzny i czuła się tak swobodnie, jak zazwyczaj tylko w lesie.

Nagle byli na miejscu. Ona potrzebowałaby kilku dni takiego marszu.

Przedsiębiorca pogrzebowy zapamiętał Ragnhild z pogotowia. Miał kiedyś zapalenie wyrostka robaczkowego. W tamtych czasach w mieście istniała jeszcze chirurgia doraźna.

– Całe szczęście – powiedział. – Diabli wiedzą, czybym zdążył do Gällivare.

Rozejrzała się wokół. Firanki z Ikei, meble z Ikei, na ścianie w tanich ramach afisze z Ikei. To wszystko podziałało na nią przygnębiająco. Nie dlatego, że było brzydkie. Dlatego, że było takie samo, wszędzie takie samo. Podobnie rzecz się miała u ludzi z pieniędzmi: tapety od Morrisa i wyposażenie domu ze Svenskt Tenn.

Pomyślała o swoim domu rodzinnym na wyspie. O meblach własnoręcznie wykonanych przez *isä*, o firankach utkanych przez *äiti*. Olle i jego żona z pewnością ich nie zechcą. Bezrozumni.

Chociaż ona sama też nie zajmie się tekstyliami ani umeblowaniem, pomyślała po chwili. Chce tylko pochować brata.

Börje Ström rozmawiał z przedsiębiorcą pogrzebowym żywo i bez skrępowania.

– Jak się prowadzi taki interes, to trzeba chyba mieć specjalny dar obchodzenia się z ludźmi – zagadnął.

– Zgadza się. Kiedy chodziłem do szkoły, nie mogłem zrozumieć, jak matka może się czymś takim zajmować. Nie cierpiałem pomagać jej w weekendy. Ale teraz rozumiem. Człowiek doświadcza tylu dobrych spotkań z bliźnimi. Czasami musi być też trochę psychologiem.

Wybierali urny i ustalali szczegóły. Przyglądała się Börjemu. Był wiosennym słońcem, w którego promieniach topnieją ludzkie serca. Rozpływają się jak bałwany, którym w końcu odpadają marchewkowe nosy. Nie mogła się zdecydować, czy to ją doprowadza do białej gorączki.

Przypomniała sobie mamę przedsiębiorcy pogrzebowego, która pomagała jej w pochówku *isä* i *äiti*. Dobry człowiek.

– Żadnych kwiatów – zdecydowała. – Przecież i tak nikt nie przyjdzie. Oprócz mnie i brata z żoną.

– No, ale wy tam będziecie – zaprotestował Börje. – To oczywiste, że musicie mieć trochę kwiatów.

Zamówiła któryś z najtańszych wieńców. Börje wybrał taki sam dla swego ojca.

Ogarnęło ją poczucie dobrze spełnionego obowiązku. *Äiti* z pewnością by jej przyklasnęła. Robię to dla niej, pomyślała. Nie dla Ollego. Nie dla siebie. I zdecydowanie nie dla Henry’ego. Gdyby chodziło tylko o niego, przesyłałaby prochy do pudełka po butach i pojechała do stacji zbiórki odpadów. Razem ze szkłem, makulaturą i śmieciami do spalarni.

Przedsiębiorca pogrzebowy robił notatki o kawie i torcie kanapkowym.

– Nie będą obecni żadni inni krewni? – zapytał. – A pani córka przyjedzie?

– Nie – odparła bez drżenia w głosie. – Ona nie znała Henry’ego.

– Nie mieszka w Kirunie, prawda?

Nie wszyscy wiedzą, pomyślała. Człowiek jest przekonany, że każdy wie, ale ludzie żyją własnymi sprawami.

Pokręciła głową i nim zdążył powiedzieć coś więcej na ten temat, zakończyła:

– To chyba wszystko, tak?

SVEN ERIK CZUŁ, jak psuje mu się nastrój. Skręcił na parking, gdzie był umówiony z mężczyzną, z którym skontaktowała go Anna Josefsson. Jasnoszare kontenery stały jedne na drugich; około trzydziestu tymczasowych mieszkań. Kiedy się tutaj pojawiły? Nie był w przemysłowej części miasta od dawna, nie miał zatem pojęcia. Na ich widok ścisnęło mu się serce. Czy ludzie naprawdę mają mieszkać w ten sposób?

Mężczyzna był młody, najprawdopodobniej jeszcze przed trzydziestką. Miał wełnianą czapkę i drogą kurtkę puchową. Zapukał w szybę.

– Pan Sven Erik?

Usiadł na miejscu pasażera i ściągnął czapkę. Przedstawił się jako Simon.

Jego cera była bardzo blada. To nie jest chłopak, który spędza przedwiośnie na łonie natury, pomyślał Sven Erik.

– Mieszkasz tutaj? – zapytał, wskazując głową baraki.

– Tak. Milutko, nie? – odparł Simon z wyraźną ironią.

– No, najlepiej to nie wygląda.

– A jeszcze pan nie wie, jak tam jest w środku. Dzielisz pokój z innym gościem, pracujesz po dwanaście godzin przez siedem dni bez przerwy, potem masz tydzień wolnego. Większość wtedy wraca do domu. A do pokoju wprowadza się inna dwójka. Mamy jedną kuchnię na dwanaście osób. Za sprzątanie i porządek odpowiadamy sami, ale... To jedno wielkie bezhołowie.

– A dokąd jedziesz, kiedy wracasz do domu?

– Tollarp. Chociaż teraz już nie jeżdżę.

– Aha. Chcesz pitny jogurt?

Sven Erik przechylił się w stronę Simona i otworzył schowek pasażera. Znowu wpadłem w stare nawyki żywieniowe, pomyślał. Wrzucam coś na ruszt w biegu.

– Żeby teraz wybrać jakiś smak... To przecież dżungla – powiedział. – Możesz dostać... Co tu jest, kurde, napisane?... Kaktus z limonką. A może wolisz truskawkę z trawą cytrynową?

– Nie, dzięki – odpowiedział Simon, lekko się uśmiechając. – Wolę snus.

Wyjął pudełeczko z kieszeni i włożył porcyjkę pod wargę.

– I dobrze – westchnął Sven Erik. – Ja rzuciłem snus dwadzieścia osiem lat temu.

– Dżizes. – Chłopak się zaśmiał. – Wtedy mnie jeszcze nie było na świecie.

– Dlaczego już nie jeździsz do domu? Jeśli wolno mi spytać?

– No cóż... Wie pan... – zaczął Simon i przeciągnął dłonią po twarzy. – Podczas gdy ja tu byłem zajęty robotą na północy, moja dziewczyna skorzystała z okazji, żeby zawrzeć znajomość z moim kolegą. Byli czymś więcej niż kumplami, że tak powiem. No i nagle nie miałem dokąd wracać. Tak że teraz mieszkam tu na stałe. Pracuję na trzy zmiany.

– Nie możesz się przeprowadzić? Znaleźć coś własnego?

– W Kirunie nie ma żadnych wolnych mieszkań. Chociaż podobno w samym mieście jest ślicznie.

– Co? Nie byłeś nigdy w centrum? W Kirunie?

– No, jakoś tak wyszło, że nie. Autobus zawozi nas do kopalni, a po zmianie przywozi tu z powrotem. Własne mieszkanie to większe wydatki. A mam ich teraz wystarczająco dużo. Płacę na utrzymanie dwójki naszych brzdąców, a w co drugi weekend odwiedzam je w Tollarp. Wtedy muszę nocować w hotelu. Tak więc... No.

– A co robisz w kopalni?

– Wożę skałę płonną.

Sven Erik czuł, że musi przejść do rzeczy. Że za chwilę Simon zacznie płakać, a wtedy rozmowa może przyjąć najmniej oczekiwany obrót. Wielokrotnie był świadkiem męskich łez, które kończyły się tym, że płaczący albo opowiadał mu wszystko jak leci, albo zamykał się w sobie na amen, bo okazawszy słabość, nie potrafił sobie z nią poradzić.

W kieszeni wewnętrznej miał zdjęcie martwych kobiet, ale postanowił z nim trochę poczekać.

– Widziałeś w wiadomościach, że znaleźliśmy dwie zmarłe prostytutki, prawda? Anna Josefsson twierdzi, że je znałeś.

– Obiecała mi, że ta rozmowa nie wpakuje mnie w żadne gówno.

– Nie jestem już policjantem – powiedział Sven Erik. – Interesuje mnie tylko to, kim one były i kto je...

Pokiwał posępnie głową.

– Okej, byłem parę razy u Anny – zaczął Simon. – Z nią mi najlepiej, ale żeby do niej dojechać, muszę wynająć samochód. To kosztuje. Paru gości tutaj skrzykuje się czasami i dzwoni po dziwki. Dziewczyny przyjeżdżają w kamperze, zatrzymują się na parkingu.

– Jak to się odbywa? No wiesz, w praktyce.

– W środku mają dwa łóżka, więc mogą przyjmować dwóch klientów jednocześnie, każda swojego. A trzecia dziółcha siedzi w szoferce, jeśli ktoś ma ochotę na trzepanko albo loda.

– Kto prowadzi samochód?

– Myślę, że to Rosjanin. Gadamy tylko o zapłacie, po angielsku. Dwóch gości prowadzi samochód i pobiera opłaty. Najchętniej w dolarach albo euro, *cash is king*.

– A dziewczyny?

– W ostatnich miesiącach to były trzy dziółchy ze Wschodu. Może też Rosjanki, nie wiem.

Trzy, pomyślał Sven Erik. Dwie zamordowane. A gdzie podziała się trzecia?

– Możesz je opisać?

– Dwie blondynki z silikonowymi cyckami. Ja tam wolę naturalne. Z tą trzecią nigdy nie byłem, więc...

– Wiesz, jak się nazywały?

– Hm, Mary. Ta, którą miałem ostatnio. *Virgin Mary, you know. Easy to remember*. A tak poważnie, przecież one nigdy nie przedstawiają się prawdziwymi imionami. I nie do końca można wierzyć w to, co nam o sobie opowiadają. Bajerują o studiach albo o dzieciach, które muszą utrzymywać. Ale to tylko po to, żeby klienci czuli, że w jakiś sposób... jakby im pomagają. Człowiek woli myśleć, że jego pieniądze idą na pomoc potrzebującym, a nie na narkotyki i inny szajs, nie? Niektórym gościom tutaj łatwo wcisnąć kit, ale moim zdaniem one kłamią jak z nut, gdy tylko otworzą jadaczkę. Dziewczyny zdają sobie sprawę, że ja nie wierzę w ten ich *bullshit*, mają dla mnie szacunek. No i jestem trochę ich ulubionym klientem, młody i... Nie jakiś tam starodupiec.

Uczucia Svena Erika wahały się między współczuciem a pogardą. Na głos powiedział:

– Kiedy były tu ostatnio?

Simon wzruszył ramionami.

– Może miesiąc temu. Miały przyjechać w pierwszy czwartek kwietnia, ale się nie pojawiły, więc...

Sven Erik sprawdził w kalendarzu w swoim telefonie. Pierwszy czwartek, czyli siódmy kwietnia.

– Powiedziałeś, że po nie dzwonicie. Masz numer telefonu?

– Odpowiedź: nie. To jest bardziej tak, że nagle rozchodzi się wiadomość, że mają przyjechać i można złożyć zamówienie. Na seks albo narkotyki. Chłopaki, co prowadzą kampera, mają trochę towaru na sprzedaż.

– A kto daje znać o ich przyjeździe?

– Tego nie powiem. Nie chcę napytać sobie biedy, chyba pan rozumie.

– Rozumiem – odpowiedział Sven Erik i wysunął z kieszeni fotografię martwych kobiet.

Simon rzucił okiem, ale natychmiast odwrócił wzrok.

– Ja pierdolę... – wymamrotał.

– Czy to one?

– Tak. Może, przecież nie widać. Ich twarze... Schowaj pan to.

– Myślę tak – powiedział Sven Erik, chowając zdjęcie. – Nikt z was tutaj, kupując usługi tych dziewczyn, nie chciał ich skrzywdzić. Więc jeśli wpadniesz na coś, co mogłoby pomóc policji dowiedzieć się, kim były albo skąd pochodziły... Albo dotrzeć do tych Rosjan...

Wręczył mu kartkę z odręcznie napisanym nazwiskiem i numerem telefonu.

– I wiesz co, zadzwoń kiedyś do mnie, to ci pokażę Kirunę. Musisz zobaczyć to miasto. Zanim się zapadnie w otchłań kopalni.

PASTOR OKAZAŁ SIĘ MŁODĄ, ostrzyżoną na języka kobietą z tatuażami na ramionach. I kolczykiem w brwi. Minęło ładnych parę sekund, zanim Ragnhild i Börje zrozumieli, że mają przed sobą pastorkę, a nie konfirmantkę.

Kobieta się zaśmiała.

– Jestem przyzwyczajona – wyjaśniła. – Wyglądam na taką, co ma dwanaście lat i ucieka przed wymiarem sprawiedliwości. Geny. Moją mamę w dalszym ciągu biorą za dwudziestolatkę.

Przeszli razem do tej części kościoła, w której prowadzi działalność szkółka niedzielna. Krzesła ustawione w krąg. Na stoliku Biblia dla dzieci i świecznik. Pastorka zapaliła świeczkę i poprosiła przybyłych, żeby usiedli.

– Tutaj jest przyjemniej – powiedziała. – Może zaczniemy od tego, że państwo opowiedzą trochę o swoich krewnych, których mamy pochować.

Börje przedstawił swoją historię. O tacie, który zniknął, kiedy on sam miał jedenaście lat, i który teraz nagle pojawił się w zamrażarce. Pastorka oczywiście słyszała o tym w wiadomościach.

– Był panu bliski?

– To zależy, jak na to spojrzeć. Nie widywałem go zbyt często. Dorastałem z mamą. Ale to on nauczył mnie boksowania. Kiedy zniknął, boksowałem dalej. Wszystkie swoje tatuaże zrobiłem na podobieństwo jego, tak jak je zapamiętałem.

Zakasał rękawy i pokazał ramiona. Kotwica na jednym i róża wiatrów na drugim.

– Wygląda na to, że miał na pana ogromny wpływ – powiedziała pastorka i podwinąwszy rękawy, obnażyła swoje tatuaże. Krzyż po jednej stronie i cytat biblijny po drugiej.

– Nie takie odległe, jak by się zdawało. – Uśmiechnęła się. – Jako symbol, kotwica wywodzi się z chrześcijaństwa. Ze swoją poprzecznicą to zakamuflowane wyobrażenie krzyża.

– A róża wiatrów jest potrzebna, by znaleźć drogę do domu.

Uśmiechnął się do Ragnhild, by wciągnąć ją w rozmowę.

– To niesamowite, że w obecnych czasach pastor też może mieć tatuaże – mówił dalej. – Za czasów taty tylko marynarze, prostytutki i przestępcy nakłuwali skórę igłą.

Ragnhild walczyła ze sobą, słuchając opowieści o dorastaniu Börjega.

Jakie to proste, myślała. Jakie to, do kurwy nędzy, dla facetów proste. Odgrywać rolę ojca, kiedy im się podoba. Podczas gdy matka najwyraźniej wychowała go zupełnie sama. Dopatrzyła, żeby miał dach nad głową, a na stole jedzenie.

Mogła się założyć, że pastorka jest feministką. Ale gdzie się podziało jej krytyczne myślenie? Uśmiecha się i porównuje tatuaże. Uwiedziona kolejną opowieścią mężczyzn o mężczyznach.

Potem nagle nadeszła jej pora.

– Może pani opowiedzieć trochę o swoim bracie? – spytała pastorka.

Ragnhild nie przyszło jednak do głowy ani jedno słowo. Na przeszkodzie stały w jej wnętrzu zwały kamieni.

Jej wzrok spoczął na tablicy filcowej z paroma wycinankami. Łódka i wieloryb.

– Jonasz w brzuchu ryby? – zapytała. – Czy dzieci nie uważają, że to niedorzeczna bajka?

Złożyła ręce i ścisnęła je mocno palcami, by ukryć ich drżenie. Skała płonna wypełniała ją po czubek głowy.

– Tak, to Jonasz – odparła pastorka. – Prowadzimy zajęcia z dziećmi zgodnie z rokiem liturgicznym. I moim zdaniem to w istocie baśnie są najprawdziwszymi opowiadaniem.

– Nie pamiętam – wtrącił Börje. – Jak on się znalazł w brzuchu wieloryba?

– Jonasz był prorokiem – powiedziała pastorka. – I podobnie jak inni prorocy w Biblii, był nieszczęśliwy, niezadowolony i przygnębiony. Zawsze uważałam, że to dość miłe. Że profeci nie byli tacy alleluja, cali *happy*. W każdym razie Bóg polecił Jonaszowi udać się do Niniwy, by głosił pokutę i pojednanie, w przeciwnym razie Bóg miał unicestwić całe miasto.

– Mocne słowa! – zauważył Börje jowialnie.

– Ale zamiast pójść do Niniwy, Jonasz wsiadł na okręt płynący do Tarszisz. Pan zesłał na morze wiatr, rozpętała się gwałtowna burza. Wszyscy byli przekonani, że wkrótce zatoną. Prorok nakazał marynarzom, by go wyrzucili za burtę, bo sztorm powstał z jego winy. I tak też uczynili. Morze ucichło. Jonasz wylądował w brzuchu wielkiej ryby. Kiedy Bóg go odratował, Jonasz udał się do Niniwy i nawoływał do pokuty. Mieszkańcy Niniwy zaniechali nieprawości i Bóg postanowił ich ocalić. Wówczas Jonasz strasznie się wkurzył. Uważał, że Bóg nadszarpnął jego reputację proroka, bo przecież Jonasz przepowiedział zagładę miasta. Cała opowieść kończy się tak, że prorok dalej stroi fochy, a Bóg próbuje mu wyjaśnić swoje postępowanie i nie opuszcza go mimo jego krnąbrności.

Pastorka się zaśmiała.

– Wybaczcie, państwo, proszę. Zrobiło się z tego całe kazanie. Ale dla mnie ta historia ma w sobie tyle prawdy... Ponieważ sama często uciekam od własnej Niniwy, robię coś innego i czasami wybieram śmierć, śmierć duchową, zamiast czynić to, co powinnam.

– Na przykład co? – zapytał Börje z zaciekawieniem.

Pastorka wzruszyła ramionami.

– Poprosić kogoś o wybaczenie. Wytrwać w prawdziwym uczuciu. Osiągnięcie trzeźwości było dla mnie taką rzeczą. Setki razy wskakiwałam na okręt do Tarszisz.

– Może powinniśmy ustalić psalmy? – odezwała się Ragnhild.

Wybrali psalmy, postanowili prześpiewać dwa z nich. Gdy tak śpiewali, zaburczała komórka Börjego. Ragnhild kątem oka dostrzegła, że czytając SMS-a i odpowiadając nań krótko, przechylił telefon ku sobie.

To jasne, pomyślała. Kobieta.

I kiedy po spotkaniu z pastorką stali na kościelnym wzniesieniu, zadzwonił jego telefon. Przeprził, powiedział, że tylko odbierze. Stał za węglem. Ragnhild słyszała jedynie niezrozumiałe mamrot.

Rzuciła okiem na swój telefon. Była koleżanka z pracy wysłała wiadomość z kondolencjami. Ragnhild podziękowała za troskę. Nie rozpisywała się. To przecież nic nie znaczy. Prawie nic. Ludzie są dobrze wychowani, ot co.

Ustalili wcześniej z Börjem, że zjedzą wspólnie kolację. Ale teraz nie wytrzymała. Nagle stało się dla niej jasne, że jest dla niego po prostu przydatna, podobnie jak dla Ollego. To ona zadzwoniła i umówiła ich na wizyty w zakładzie pogrzebowym i u pastorki.

Centrum obsługi, pomyślała. Tym właśnie jestem. A teraz do Börjego dzwoni jego stałe centrum obsługi z pytaniem, kiedy wróci do domu.

Zaczęła iść. Tak szybko, jak mogła, nie przechodząc w bieg.

A kiedy przycwalała na Lappgatan, odezwała się do niej policja w Kirunie. Policjantka o nazwisku Mella poinformowała ją, że Henry został zamordowany. Trzeba będzie wstrzymać pogrzeb, powiedziała. Technicy muszą zbadać zwłoki. A policja chciała jeszcze raz z nią porozmawiać. Więc gdyby Ragnhild była tak uprzejma zajrzeć do komendy...

Börje Ström zakończył rozmowę z Lottie w Älvsbyn. Kiedy wrócił na miejsce, Ragnhild już nie było. Czuł, jakby zaliczył nokaut, choć ciągle był w pełni sił. Cios, którego nie dostrzegł. Bum! – w nerw przy żuchwie – i uginają się nogi.

W komendzie Ragnhild jeszcze raz zdała relację ze swojej wyprawy na nartach do Palosari, gdzie znalazła martwego brata, a potem Raimo Koskelę w zamrażarce. Opowiedziała o wszystkim, o telefonie od sklepikarza i o psie, który sprawił, że tam pojechała. I który ciągle jeszcze się nie pojawił. Może też już nie żył? Zjedzony przez kruki, wrony i lisy.

Dopiero wtedy, usiłując przypomnieć sobie każdy szczegół ze swych poczynań na wyspie, zrozumiała, jak wiele sobie po Börjem zaczęła obiecywać. Jak o nim śni, nawet na jawie.

A czego się spodziewałaś?, zadała sobie w myślach pytanie.

Jak to było u Moi Martinson^[15]? „Zaufać mężczyźnie, wybij sobie z głowy!”

Komisarz Anna Maria Mella zadawała kolejne pytania. Jedna część Ragnhild odpowiadała. Druga zaś chciała wycić ze wstydu, ponieważ rozważała, czy mogłaby z Börjem wejść w jakiś związek. Sądziła, że jest typem uwodziciela. Ale tak naprawdę nim nie był. Nie musiał się nawet trudzić, by kogoś oczarowywać i uwodzić. Wystarczyło, że istniał, by hordy kobiet biegnęły ku niemu, postukując obcasami, trzymając przed sobą w rękach garniec z gulaszem, obnażając dekolt spod rozpiętych na górze guzików.

A ona była jedną z nich. Trzask-prask i stała się jedną z nich. Przebierała się sto razy, żeby ładnie wyglądać. W myślach już leżała na jego ramieniu. Wtulona w niego, pozwoliła się objąć. Pomyślała, że „tak”. Jak gdyby miała jakiś wybór.

Nie miała zbyt wysokiego mniemania o mężczyznach, tak w ogóle. I od zawsze. Kiedy była dziewczynką, musiała się pilnować. Chłopcy się bili. Kiedy przypadkiem oberwała w szkole, świat dorosłych wzruszał ramionami, powtarzając: „Chłopcy już tacy są”. Później brali to, czego chcieli, w inny sposób. Mężczyźni. Chłopcy. Określani za życia różnorako. Nieroby, nieudacznicy i nedorajdy. Ruchajła i donżuani. Niektórzy mieli w sobie coś złośliwego, takie pasmo zjadliwości, jak powracające paski w dywanach z gałganków. Inni byli dobrzy. Większość kobiet w jej rodzinie zgadzała się co do tego, że jeśli znajdziesz dobrego męża, takiego, co nie chleje i nie bije, to powinnaś być zadowolona. Dodatkowy plus, gdy okazywał się pracowitym majster-klepką. Takiego mężczyznę się karmiło, po takim mężczyźnie się sprzątało, czasami szło się z nim do łóżka. Żywiło się wobec niego uczucia, jakimi darzy się konia pociągowego albo wiernego psa.

Powinnaś była znaleźć takiego wiernego psa, pomyślała. Kiedy byłam młoda. Wybrać go na ojca Pauli. Wtedy wszystko ułożyłoby się inaczej. Ależ ze mnie pieprzona idiotka!

Komisarz Mella pytała ją o to, z kim Henry się zadawał. Z nikim, o ile jej wiadomo. Miał z kimś na pieńku? Chyba ze wszystkimi. Ale to przecież zamierzchłe czasy. Komuż chciałoby się przejmować człowiekiem pokroju Henry’ego. To morderstwo było takie... niepotrzebne.

Myślała o mężczyznach. Nawet Henry do nich należał. „Niech Bóg człowieka chroni przed namiętnością”, słyszała od krewniaczek. Cieleśne pożądanie zawsze prowadziło do nieszczęścia.

No i popatrz teraz. Jak szybko ciało zaczęło upominać się i tęsknić. Börje Ström był tym typem mężczyzny, który rozrywa człowieka na strzępy od wewnątrz. Czyż nie miała tego dość? A mimo to wdepnęła prosto w potrzask na niedźwiedzia. Była święcie przekonana, że postąpiła słusznie, opuszczając Börjega pod kościołem.

Kiedy przesłuchanie się skończyło, zapytała policjantkę:

– Zawiadomiliście państwo Ollego, naszego brata? Czy on wie, że Henry został zamordowany?

– Tak, wie – odparła Mella.

Wychodząc z komendy, Ragnhild odnotowała, że Olle nawet się nie pofatygował, żeby jej o tym powiedzieć. Centrum obsługi, pomyślała raz jeszcze.

– A więc były trzy – powiedziała Rebeka Martinsson i upiła łyk jogurtu. – Oj... kaktus

z limonką!

– Czego to ludzie nie wymyślą! – westchnął Sven Erik, przyglądając się czule napojowi o smaku pomarańczy i wanilii. – Na zdrowie, prokuratorska mistrzyni!

Uniósł buteleczkę z jogurtem i wychleptał zawartość. Rozparł się wygodnie w fotelu dla klientów.

Poczęstował Rebekę jogurtem pitnym, gdy wróciła ze swoich rozpraw. Czuła się jak na hajcu. Sąd uwzględnił jej wnioski w każdej sprawie. Odfajkowane, jedna po drugiej, pach-pach-pach!

– Dwie kobiety zostały rozjechane przez skuter śnieżny; słyszałeś o tym, że znaleźliśmy ślady pod pojazdem Henry’ego. Ale gdzie w takim razie podziała się trzecia? – zastanawiała się Rebeka. – Jeśli uda mi się wyrwać trochę nadgodzin, mógłbyś popracować przy śledztwie. Co ty na to?

Sven Erik machnął odmownie ręką.

– Ktoś musi się zająć sprawą ojca Börjega Ströma. Bo ty teraz raczej nie zdążysz z Raimo Koskelą?

– Właśnie, jak tam stoją nasze sprawy?

– Zapytam Pohjanena, czy dowiedział się czegoś o pocisku. No i chcę porozmawiać z byłymi trenerami Börjega. Oni przecież znali Raimo.

Krótkie pukanie i po chwili w drzwiach ukazała się głowa komisarza Freda Olssona.

– Serwus, Svempa! – wykrzyknął.

Po czym pomachał w kierunku Rebeki billingami niczym wygranymi na loterii.

– Popatrz tylko! – zawołał.

– Prezent gwiazdkowy? – zażartowała. – A może urodzinowy?

Cudownie, pomyślała Rebeka. Cudownie znów być częścią zespołu. Spotykać policjantów, którzy wpadają i wypadają z jej biura, składają raporty, proszą o podjęcie decyzji. No i te dzisiejsze rozprawy. Rozniosła się o niej fama, że pracuje niczym maszyna. Konferencja prasowa też poszła jak po maśle. Podczas gdy von Post stroił fochy, siedząc za zamkniętymi drzwiami swego gabinetu.

– Tutaj! – powiedział Fred i wskazał pozycje zaznaczone na wydruku żółtym markerem.

– W piątek ósmego kwietnia Henry Pekkari dzwoni do swojego brata, Ollego. Jak tylko skończyli rozmawiać, widzisz?, nie minęła nawet minuta i Olle Pekkari dzwoni do Fransa Mäkiego.

– Ja cię smole! – wykrzyknął Sven Erik. – To on jeszcze żyje?

– Kto? – chciała się dowiedzieć Rebeka.

– Nie żartuj! – powiedział Sven Erik. – Przecież musiałaś o nim słyszeć. Ileż on może mieć lat? Sto?

– Osiemdziesiąt osiem – odparł Fred Olsson. – Mieszka niedaleko Esrange. Z tego, co słyszałem, ze swoją piątą wybranką, rosyjską żoną z katalogu.

– Żona z katalogu? – zdziwiła się Rebeka. – Dalej się tak mówi?

– Frans zawsze był na poły gangsterem z zawodu – powiedział Sven Erik. – Posiadał mnóstwo restauracji i klubów w całym regionie. Trochę nieruchomości. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych skoncentrował się na włamaniach i narkotykach. Potem handel narkotykami przejęli inni.

Policjant odkręcał i zakręcał wieczko jogurtu pitnego. Rebeka zanotowała, że Sven Erik to jeden z tych, którzy najlepiej snują rozważania, mając czymś zajęte ręce. I od razu pomyślała o Kristerze i jego nieustannie aktywnych rękach. Musiała poświęcić chwilę na przywrócenie myśli do porządku.

– Jako zawodowy kombinator miał niesamowitą smykałkę do interesów – kontynuował

Sven Erik Stålnacke. – Nieustannie wpadał na nowe pomysły zarabiania pieniędzy. Trochę jak Bert Karlsson^[16], tylko w wydaniu przestępczym. Na przykład na początku lat osiemdziesiątych był właścicielem warsztatu. Skupował luksusowe samochody powypadkowe, ale wiesz, takie kompletnie pokiereszowane. Odkręcał tablice rejestracyjne i po całym Norrbotten zatapiał wraki w wyrobiskach zalanych wodą. Potem jego chłopcy kradli identyczne luksusowe gabloty, przykręcali stare tablice i dawali do zrozumienia, że są mistrzami świata w naprawianiu totalnie zdezelowanych pojazdów. Parę lat temu nowy właściciel tego warsztatu postanowił go rozbudować. Kiedy robił wykop pod fundamenty, znalazł ponad trzydzieści tablic rejestracyjnych z tych skradzionych samochodów, wszystkie zakopane w ogródku. Tyle tylko, że te przestępstwa już dawno uległy przedawnieniu.

– Był aktywny jeszcze na początku dwudziestego pierwszego wieku – uzupełnił Fred Olsson. – Wtedy zajmował się przemysłem oleju napędowego z Finlandii. Zbijał na tym kokosy, bo ludzie kupowali ropę do ogrzewania domów. Potem przejęli ten interes Hells Angels.

– Pomyśl, gdyby każdy Svensson rozumiał to proste równanie! – wybuchnął Sven Erik. – Jeśli tanio kupujesz przeschmuglowane papierosy, gorzałkę czy ropę, czy trochę amfetaminy na sobotni wieczór, wówczas torujesz drogę elementom przestępczym, które prędzej czy później przejmą tę lukratywną działalność. Potem to właśnie ci gangsterzy strzelają do innych na ulicy i sprzedają narkotyki na dziedzińcach szkolnych. Ale dopiero wtedy, cholera jasna, ludzie przywołują policję.

– Dlaczego Olle Pekkari zadzwonił właśnie do niego? – zastanawiała się głośno Rebeka.

– Przez parę lat był też wplątany w tę historię ze zbieraczami jagód – mówił dalej Sven Erik, który zagłębił się w archiwum pamięci. – Ściągnął tutaj ludzi z Tajlandii i Bułgarii. Obiecywał złote góry i gruszki na wierzbie. A potem ci sezonowcy tutaj utknęli. Bez grosza przy duszy, kiedy spadł śnieg. Winni mu za bilet na samolot i utrzymanie. Chociaż pracowali przez całe lato. W końcu gmina musiała sfinansować im bilety powrotne.

– Czy to ten, którego w gazetach nazywano Borówkowym Królem? – zapytała Rebeka.

– Mówiłem, że musiałaś o nim słyszeć – odpowiedział Sven Erik. – Królem nazywano go przez wiele lat, a po tej historii ze zbieraczami jagód dołożono borówki. To był jego schyłkowy okres. Staczał się po równi pochyłej od dawna. No, więc ten nowy epitet wcale go nie zachwyił. Napisał do gazety i groził procesem sądowym reporterowi, który ukuł tę nazwę. Ale list mu opublikowali.

Sven Erik wzniosł oczy i szukał w pamięci.

– „Uwłączający przydomek, który tak łatwo skojarzyć z borówkowym tygodniem”^[17], coś w tym stylu.

– Coś potwornego – powiedziała Rebeka z udawaną powagą. – Żeby skojarzyć go z czymś tak haniebnym.

– Chciałaś się też dowiedzieć, czy Olle Pekkari dzwonił do kogoś po waszej wizycie – przypomniał o sobie Fred Olsson. – I faktycznie, dzwonił.

Policjant przewertował billingi i wskazał kolejne żółte zakreślenie.

– Tutaj – powiedział. – Jak tylko wyszliście, zadzwonił do swojego syna. Rozmawiali siedem minut i trzydzieści dwie sekundy.

– To jeszcze nie musi nic znaczyć – wtrącił Sven Erik. – Właśnie się dowiedział, że jego brat został zamordowany. Potrzebował o tym porozmawiać.

– Nie musi, ale może coś znaczyć – odparowała Rebeka. – Nie zapominaj o tym, że Olle kłamał. Twierdził, że nie rozmawiał z Henrym tamtego wieczoru, a gdy mu udowodniliśmy, że owszem, momentalnie skorygował swój obraz zachowany w pamięci. Chcę porozmawiać z Borówkowym Królem. Fredde, pojedziesz ze mną?

– Mam wizytę u kręgarza. Nie powinnaś wziąć ze sobą Melli? Przecież jest osobą odpowiedzialną za procedurę w tym śledztwie.

Börje Ström wrócił do hotelu. Na zegarze była za kwadrans piąta. Zadzwoił jeszcze raz do Ragnhild, ale nie odbierała. Usiadł w jednym z foteli przy recepcji i przeczytał lokalną gazetę od deski od deski. Potem wyszedł do miasta. Kupił parę bluz, slipów i skarpet.

Dochodziła szósta, kiedy odezwał się telefon. Sven Erik.

– Co ty na to? – zapytał policjant. – Odwiedzimy twoich starych trenerów? Sprawdzimy, może wiedzą, czy twój ojciec znał Henry’ego Pekkarięgo.

Börje wrócił truchtem do hotelu, wbiegł po schodach do pokoju i oderwał metkę od nowej bluzy. Kiedy zszedł do recepcji, Sven Erik już na niego czekał. Rozmawiał przez telefon.

– Pohjanen – wyjaśnił bezgłośnie, kiedy zbliżali się do drzwi wahadłowych, prowadzących na parking. – Właśnie dołączył Börje – powiedział do telefonu. – Przełączam na głośnik.

Börje i Pohjanen się przywitani.

– Jak wam idzie? – zaskrzeczał medyk zachęcająco.

– Börje i ja jesteśmy w drodze do jego byłych trenerów. Czyli w dechę.

– Świetnie. A teraz posłuchajcie. Dostałem odpowiedź w sprawie kuli, którą Sven Erik znalazł w ścianie. Wystrzelona z pistoletu, kaliber dziewięć milimetrów.

– Niezły numer! – wykrzyknął Sven Erik.

– Prawda? Ogranicza nasze poszukiwania, czyż nie?...

Przerwał mu atak mokrego kaszlu. Policjant i bokser popatrzyli po sobie, pokręcili głowami. To nie wróżyło nic dobrego.

– Kto w latach sześćdziesiątych miał dostęp do pistoletu? – zapytał, kiedy przestał kaszleć. – Dowódcy jednostek piechoty w Kirunie, dowódcy Gwardii Krajowej. Przypuszczam, że istniał też jakiś klub strzelecki.

– Dobrze byłoby zwrócić się o pomoc do społeczeństwa – zaproponował były policjant.

– Myślałem... to samo... – wyrzucił z siebie medyk, walcząc z kolejnym atakiem kaszlu. – Zadzwoiłem do „NSD”^[18] i „Kuriren” i powiedziałem, o co mi chodzi. Ludzie piszą też o tym w mediach społecznościowych, więc miejmy nadzieję, że informacja się rozejdzie.

Zakończyli rozmowę.

– Słyszałeś? – zwrócił się Sven Erik do Börjego. – Pocisk wystrzelono z pistoletu. Takiej amunicji używa wojsko.

Wsiedli do samochodu i podczas gdy Sven Erik manewrował autem, by wyjechać z parkingu, Börje bił się z myślami.

– W cóż on był wplątany, mój tato? – powiedział w końcu.

– Gdybyśmy znali odpowiedź... A skoro już o tym mowa. Znasz Borówkowego Króla? Albo przynajmniej o nim słyszałeś?

– Tak. Choć za moich czasów nazywano go tylko Królem. Był właścicielem lokali naszego klubu. Czasami tam przychodził. Jego syn był może rok starszy ode mnie.

Styczeń 1966

Na zewnątrz szaleje zamieć śnieżna. Wieje i wyje. Całe miasto jakby wymarło. Drogi, zamiane sypkim śniegiem, są nieprzejezdne. Niewiele osób dotarło do klubu. Panuje niemal senna atmosfera. Elektryczna dmuchawa terkoce na najwyższych obrotach, ale i tak wszyscy mają na sobie bluzy z długim rękawem. Ktoś walczy z cieniem przed lustrem. Dwóch innych sparinguje. Słychać pojedyncze uderzenia w gruszkę czy worek. Börje, poruszając się to w tył, to w przód, mierzy w worek z piaskiem.

Kiedy Król wkracza do klubu ze swoim synem, Taggenem, wiatr momentalnie nawiewa do środka tyle śniegu, że nie sposób domknąć drzwi. Śnieg osiada na framudze i stopniały błyskawicznie tężeje. Jeden z młodszych pięściarzy podbiega, zeszkrobuje lód i zamyka drzwi. Przez piwniczne okna nic nie widać, są kompletnie zasypane. Nawalnica wspiera się barkiem o ścianę budynku.

Król otrzepuje się ze śniegu. Na podłodze przy wejściu jest mokro, mimo leżących tam ścierek i ręczników. Mężczyzna omiata lokal takim wzrokiem, że grzecznościowe formułki zamierają trenującym w gardle.

Börje zerka przez moment i powraca do pracy na worku. Jakiś czas temu był w Palladium. Pokazywali film przyrodniczy z Afryki. Lew spoglądał w obiektyw kamery nieodgadnionym wzrokiem, oczyma bez wyrazu, jakby ze szkła. Jedyne, co człowiek wiedział z pewnością, to że jest mięsem. Podobnie teraz z Królem. W jego oczach każdy jest tylko mięsem. A jego nastroj może się zmienić od zera do setki w ciągu sekundy. O tym się po prostu wie.

Król był swego czasu zawodnikiem w kategorii lekkopółśredniej. Ale zakończył karierę. Boks na punkty to nie jego bajka, obwieszcza od czasu do czasu młodszym pięściarzom w klubie. Stanowczo za dużo sędziów idiotów. „Ja jestem z tych, co poświęcili się nokautom”, powtarza często. „Jestem typem zawodowca”.

I gdy tak się przechwala, lepiej spuścić wzrok, bo wiadomo, że Król może cię przejrzeć. On doskonale wie, co myślisz, że przecież, kurde, nikt ci nie zabrania nokautować w boksie amatorskim, trzeba tylko porządnie się przyłożyć, jak się chce. Jak się potrafi.

Ale spuszczasz wzrok. Bo nie chcesz poczuć na sobie tego mięsnego spojrzenia, które wykryje, że za mało w tobie *sisu*, byś powiedział głośno, co myślisz. Król chce, żeby myśleć o nim jak o gnojku, ale jednocześnie nigdy się do tego nie przyznać. Król posiada klubowy lokal. Jest w porządku, pobiera niewysoki czynsz. Niedawno jedna z ciężarówek należących do Króla przywiozła nowe worki treningowe. Prezent. Królowi to na rękę, że klub bokserski Nordpolen znajduje się właśnie tutaj, a nie gdzie indziej. Tutaj nikt nie ma odwagi grzebać przy jego samochodach pokrytych plandeką, które parkują na dziedzińcu. Niektóre chłopaki ściągają długi dla Króla albo biorą udział w dyskretnych zebraniach. Ale o tym się nie rozmawia. W każdym razie nie z Börjem. Chociaż teraz, po trzech latach w klubie, zdążył to i owo zrozumieć.

W oczach Taggena też jesteś mięsem. Tyle że jego spojrzeniu zazwyczaj daleko od bezwyrazowości. Oczy są zwężone i pełne pogardy dla młodszych. Taggen jest trzy lata starszy od Börjego. Kiedy sparinguje, uderza zawsze zbyt mocno. A gdy po gwizdku trenera obniżasz gardę, właśnie wtedy zadaje ci dodatkowy cios.

Ale teraz chłopak nie ma żadnego spojrzenia. Oddaje się studiowaniu podłogi akurat w tym miejscu, gdzie się zatrzymał. Nawet nie otrzepał się ze śniegu, który topnieje mu na ubrani. Zuchwale podwyższona fryzura à la Elvis, która przyniosła mu przydomek Taggen, pompa, zwisa jak bezwartościowa trawa po jesiennym deszczu.

Król podchodzi do Nyrkina-Jussiego. Taggena popycha przed sobą, trzymając go po ojcowsku za kark. Bez wstępu wykłada kawę na ławę.

– Jussi! Dlaczego mój syn nie pojedzie w ten weekend na zawody w Gamla Karleby?

Mówi głośno. Żeby nikomu nie przyszło do głowy, że on z tych, co kłaniając się układnie, przepraszają, że żyją.

Nyrkin-Jussi ściąga łapy i prosi pięściarza, żeby przez chwilę poćwiczył ze skakanką. Podchodzi do Króla i Taggena.

– Ponieważ ma jechać trzech chłopaków – odpowiada spokojnie. – A Taggen nie jest jednym z nich.

Kilku bokserów przerywa trening i przysłuchuje się rozmowie. Börje, zajęty swoimi spra-

wami, przerabia worek. Ale uszy ma szeroko otwarte, choć tego nie widać.

– Wiem, że Taggen nie jest jednym z nich.

Król mówi ciągle tym samym podniesionym głosem, choć teraz stoi z rozmówcą twarzą w twarz.

– Będziesz mi tu mówił rzeczy, o których już wiem? Traktował bez szacunku, kiedy przychodzi i zadaje pytanie?

Skórzana twarz trenera ściąga się w grymasie zamyślenia.

– Finowie to nie bezbronni żółtodzioby – mówi i wszyscy w sali słyszą opanowanie w jego głosie. – Są cholernie twardzi. Moim zdaniem Taggen nie jest w formie, żeby...

– A ja mówię, że jest w formie! – przerywa mu Król. – Nie wtrącałem się wcześniej, nie chciałem zadzierać, ale to przecież skurwysyństwo, że w ostatnim meczu rzuciłeś ręcznik. Taggen poszedł na deski i dał się liczyć, ale mógł wygrać. Prawda, synu?

– Powinienem być wygrać – odpowiada syn i patrzy trenerowi prosto w oczy.

I znów to mięsne spojrzenie. Börje myśli, że jedyną osobą, która może przerobić Taggena na mięso, jest ojciec Taggena.

Nyrkin-Jussi zaciska usta i oddycha głośno przez swój rozplaszczony boksinerski nos.

Król rozpościera ręce w geście mówiącym: „Czy może jesteś innego zdania?”

– Stałeś na nogi na siedem, podniosłeś ręce na osiem – zwraca się Nyrkin-Jussi do Taggena, ciągle trzymając głos na wodzy. – Zbyt chwiejnie, uważam. Moim chłopakom wolno przegrywać, nie o to chodzi. Ale nie muszą dostawać takiego lania.

– Nie dostanie lania – mówi Król. – Ani nie przegra.

Podnosi palec, by dźgnąć pierś rozmówcy, ale coś w oczach trenera każe mu się zatrzymać.

– Ładnie tu, prawda? – odzywa się, pokazując palcem dokoła. – Nowiuteńkie rzeczy. Całe szczęście, że dorzucam trochę kasy, nie? Dużo miejsca, niski czynsz.

– W porządku – mówi Nyrkin-Jussi. – Może z nami pojechać, ale na twoją odpowiedzialność.

Dopiąwszy swego, Król nagle staje się uosobieniem uprzejmości. Śmieje się serdecznie, jak gdyby wszystko było jednym wielkim żartem. Poklepuje trenera po ramieniu. Potem wita się z pięściarzami. Zamienia kilka słów. Otwiera drzwi do zamieci śnieżnej i znika. Taggen krok w krok za nim. Kiedy drzwi się zamykają, zapada kompletna cisza.

Skórzana facjata Nyrkina-Jussiego jest bez wyrazu. Jego ogromne pięści, od których nadano mu przydomek – *nyrkki* to pięść – zwisają bezwładnie po bokach. Ale ramiona unoszą się i opadają w rytm ruchów klatki piersiowej, która to rozpręża się, to zwęża, rozpręża się i zwęża. Nagle trener obraca się na pięcie i rusza w kierunku szatni. Mija Börjego, który właśnie zakończył długą serię ciosów w korpus na worku. Kiedy worek wraca ruchem wahadła, Börje atakuje go paroma silnymi sierpowymi. Nyrkin-Jussi kładzie mu rękę na ramieniu i odciąga do tyłu. Börje musi zrobić krok, żeby się nie przewrócić. Worek objaja się o niego.

– Gdzie twoja równowaga? – pyta opryskliwie trener. – Nie odchylaj się nigdy do tyłu, chłopcze. Ile razy ci o tym mówiłem?

Znika w szatni. Po dziesięciu minutach wraca z rękawicami boksinerskimi pod pachą i pyta Börjego, czy chce z nim trochę powalczyć.

Börje potwierdza skinieniem głowy. Nawet jeśli jeszcze przed chwilą się dąsał, to zapomina o tym, wcierając kalafonię w podeszwy. Nigdy wcześniej Nyrkin-Jussi z nim nie sparował.

– Masz szybki lewy, chłopcze, ale gdzie twój prawy? Podążaj za prawym, mógłbyś mi strzelić sierpowego w głowę. A lewym dajesz na wątrobę. Nie bój się, użyj siły, co jak co, ale jeszcze potrafisz się obronić. Jak wrzucisz taki cios, to przeciwnik się nie pozbiera. Wątroba to

uderzenie obezwładniające. Wróg jest ledwo żywy do końca meczu.

Börje trafia lewym w trenera. Cios nie jest mocny, ale szybszy, niż Nyrkin-Jussi się spodziewał. Börje dostrzega zdziwienie w jego oczach.

– „Żelazną różgą będziesz nimi rządzić...” – prawi trener. – A teraz prawym! „...i jak naczynie garniarza ich pokruszysz”.

Börje przemieszcza się, cały czas w ruchu, robi uniki i odchylenia, kiedy trener daje mu proste. A potem bije ile wlezie, kiedy Nyrkin-Jussi wypycha go w tył.

– Nie możesz przerwać! – krzyczy trener. – Pracuj i przeszkadzaj cały czas, korzystaj z lewej pięści, nawet jak się cofasz. Musisz umieć walczyć, nawet gdy się cofasz. Nie cierpię tego widoku, kiedy chłopak wycofuje się na liny, skulony, z głową owiniętą ramionami jak jakimś pieprzonym szalikiem.

Pot bije z Börjega niczym wiosenne strumienie spod śniegu. Ochrypli głos trenera jest głosem Boga na górze Synaj.

– Trzymaj gardę. Opuść brodę! Luźne ramiona. Nie wstrzymuj oddechu, bo mięśniom zabraknie tlenu. Nikt nie wytrzyma bez tlenu. Oddychaj! Wdech, wydech!! Nie wykręcaj za bardzo tułowia, bo stracisz równowagę. Wyobraź sobie, że ktoś przeszył cię różnem od czubka głowy prosto przez jaja aż do ziemi. Wokół tego różna masz się kręcić.

Po sparingu Börje trzęsie się jak nowo narodzone cielę. Wypluwa ochraniacz na zęby, pochyla się do przodu, opiera ręce o kolana i łapie oddech. Nyrkin-Jussi też oddycha ciężko, czerwony na twarzy.

– Jesteś gotów – mówi i klepie lekko Börjego w plecy, jak gdyby przybijał mu stempel „zatwierdzono”. – Tak czy owak, w weekend musimy wziąć dodatkowy samochód do Finlandii. Pojedziesz z nami do Gamla Karleby, żeby wziąć udział w meczu?

Börje wpatruje się w trenera. Żartuje sobie? W Szwecji musi mieć ukończone siedemnaście lat, żeby walczyć. Teraz nie ma nawet piętnastu. Ale wie, że w Finlandii przepisy nie są równie surowe. I że Finowie nie są tacy drobiazgowi, gdy chodzi o rejestrację walk. Najważniejsze dla nich jest to, by ich chłopcy mogli walczyć w meczach, nie tracąc majątku na podróże na południe. Ale i tak. O ile mu wiadomo, nikt tak młody jak on nie pojechał na zawody z klubem Nordpolen.

A co powie mamie? Musi wymyślić jakąś bujdę, że wybiera się z kolegą do Tornedalen.

Prostuje się. Wędruje wzrokiem w kierunku lustra na ścianie. Widzi postawnego chłopaka. Nie jest potężny, ale wysoki i szeroki w barach. Jasne włosy umiejętnie ostrzyżone, w końcu ma mamę fryzjerkę. Krótkie spodenki i przepocona koszulka. Spojrzenie przygotowane na ciosy z prawa i z lewa. Bokser. Ktoś podobny do taty. Musi sobie tylko sprawić więcej tatuży. Przygląda się kropkom włóczęgi.

Börje jedzie za granicę i dostaje cięgi. Szwedzi uważają, że Finowie biją niezrozumiale mocno. Wiele lat później okaże się, że bracia po drugiej stronie rzeki Torne używali starych rękawic, w których przesuwali wyściółkę z wierzchu na spód. Ale teraz nikt nie ma o tym pojęcia. Chłopcy z Kiruny wiedzą tylko, że ciosy fińskich pięściarzy są jak uderzenia żelazną rurą. Wracają cali w siniakach.

Ale przyczyna niepowodzenia Börjega nie leży w fińskich rękawicach, tylko w jego głowie.

– Musisz zakończyć! – grzmi Nyrkin-Jussi między rundami. – Wiem, że potrafisz. Kiedy zadasz parę ciosów i przeciwnik jest trochę zamroczony, nie możesz czekać, aż on odetchnie. *Päälle vain!* Odstępujesz, kurwa, na bok i pozwalasz mu zejść z lin. A ty musisz... nacierać na niego. Kiedy Jozue zdobył Jerycho, najpierw jego ludzie okrążali miasto codziennie jeden raz przez sześć dni. A potem się sprężyli. Siedem okrążeń dnia siódmego. A potem?

Börje wzrusza ramionami. Czeka na gong.

– A potem mury runęły i wojownicy weszli do miasta, i przeznaczili na zabicie wszystko, co tam było – woła trener. – Oni zakończyli!

Sisu-Sikke nie mówi dużo. Wygląda głównie na zatroskanego. Börje sądzi, że potrafi zakończyć. Że zakończy. Chce zakończyć. Ale nie zawsze wystarczy to, co pomyśli głowa. Ciało zdaje się rozumować inaczej. W Karleby Börje przegrywa na punkty.

Na przedwiośniu jeździ na mecze do Rovaniemi, Kemi, Kajani i Otanmäki. Meczu w Kemi zupełnie nie pamięta. Wie, że Sisu-Sikke pomógł mu zasnurować rękawice. I wie, że potem błędził w śniegu, szukając swoich nart. Trener przyprowadził go z powrotem do hali sportowej. Mecz najwidoczniej już się skończył. „Co ty mówisz, chłopcze? Przecież nie wzięłeś tu ze sobą żadnych nart”. Börje przestał majaczyć o nartach i leżał na pryczy niedaleko natrysków, podczas gdy pozostali kapali się w saunie. Słyszał, jak Nyrkin-Jussi mówi, że chłopak ma świetną technikę. Ale że brakuje mu siły ciosu.

Börje nie ma siły ciosu, a w dodatku jest *bleederem*. Gdy tylko dostanie w łuk brwiowy, to nic nie widzi, bo krew zalewa mu oko.

Te wszystkie noce na tylnym siedzeniu samochodu. Przez lasy i śnieg, i granicę, z powrotem do Szwecji. Cały obolały. Ale ból ciała mu nie przeszkadza. To nawet w jakiś dziwny sposób miłe uczucie, być spranym na kwaśne jabłko.

Bardziej doskwiera mu ból duszy. Gdy wie, że jest lepszy od przeciwnika. A mimo to nie wygrywa. Gdy Nyrkin-Jussi przestaje mu prawić kazania.

– Kiedy ostatnio widziałeś się ze swoimi trenerami? – zapytał Sven Erik, kiedy dojeżdżali do domu seniora Ogród Złotej Jesieni. – Dawno temu?

– Nie spotkałem ich, odkąd zdobyłem złoto na olimpiadzie. Po Catskill Mountains człowiek nie miał ochoty tu wracać. A potem przeprowadziłem się do Älvsbyn. Zobaczymy...

Nie dokończył zdania.

Zobaczymy, czy w ogóle chcą się ze mną spotkać, pomyślał. Najpierw człowiek jest młody i głupi. Potem lata mijają.

Ale Börje Ström martwił się zupełnie niepotrzebnie. Kiedy razem ze Svenem Erikiem wkroczył do domu seniora, zapanował tam tak radosny nastrój, jakby to było święto rozbierania choinki.

Sisu-Sikke i Nyrkin-Jussi objęli Börjego i zmierzwili mu włosy.

– Witajcie w kopalni wapna! – przywitał ich Nyrkin-Jussi.

Sisu-Sikke mieszkał w Ogrodzie Złotej Jesieni. Siedział na wózku, jedno ramię i mowa szwankowały, ale jego spojrzenie było klarowne jak górskie jezioro.

Nyrkin-Jussi ciągle miał proste plecy. Giętki jak wierzba, ogromne pięści. Wymienili z Börjem parę ciosów na niby.

Personel wybuchnął: „Znamienici goście!” i zaparzył świeżą kawę. Potem pomagał w zrobieniu niezliczonych zdjęć, na których seniorzy w towarzystwie Börjego trzymali prawe pięści w powietrzu. Nawet najbardziej krucha dziewięćdziesięciosiedmiolatka, pomarszczona jak rodzynka, w puszystym różowym swetrze i o włosach przypominających kwiaty wełnianki w jesiennym deszczu, nawet ona zacisnęła dość mocno pięść w bokerskiej pozie. Z zawziętą miną świdrowała wzrokiem aparat telefoniczny.

Sven Erik, obawiający się zapachu środków czyszczących zmieszanego z wonią rozpadających się ciał, widoku sztucznych kwiatów w oknach i nieszczęsnych istot, które – w mglistym zamroczeniu – wołają: „Pomóż mi, pomóż mi!”, poczuł, jak poprawia mu się humor. No, może jednak da się tu wytrzymać, gdy nadejdzie pora.

Kiedy największe poruszenie osłabło, chyżo przewieźli Sisu-Sikkego do jego pokoju,

żeby porozmawiać na osobności.

Börje zatrzymał się w drzwiach. Ściany były wytapetowane świadectwami jego kariery. Afisze z czołówkami gazet o złocie w mistrzostwach Szwecji. Gry słów wykorzystujące jego nazwisko^[19]: „Ciosy spadały Strumieniami”. „Nokaut! Adolfssonowi wysiadł Prąd”. Oprawione w ramki artykuły z gazet i zdjęcia idola. Rozpoznał własne rękawice wiszące na haku. Ani jednej wzmianki o Catskill Mountains. To dobrze.

Zastanawiał się wcześniej, co oni tak naprawdę czuli, gdy postanowił przejść na zawodowstwo. Gdy zostawił ich za sobą. Tutaj dostał odpowiedź. Ciągłe był ich chłopakiem.

– Ły... Łyz... – powiedział Sisu-Sikke i machnął na Nyrkina-Jussiego, który szybko wytarł mu policzki.

– Eh. Co ty tam opowiadasz – powiedział Nyrkin-Jussi. – To nie żadne łyzy. Coś ci tylko wpadło do oka. Siadajcie, chłopaki.

Były trener nastawił jeszcze jeden dzbanek kawy. Sven Erik poczuł pieczenie w żołądku. Wieczorem będzie herbatka z rumianku. Przez chwilę rozmawiali o boksie, by przejść do poważniejszych tematów.

– Tak, twój tato pracował trochę dla Króla – powiedział Nyrkin-Jussi. – Ale nie był zamieszany w żadną łobuzerkę. Nie zajmował się działalnością przestępczą i mogę za to ręczyć.

– Kto wiedział o tym, że znajdują się w chatce w Kurkkio? – zapytał Sven Erik.

– My, oczywiście. Chatkę udostępniła szwagierka ciotki Sikkego, Olga Palo. Ale Raimo opowiadał o tym na prawo i lewo. Nie posiadał się z radości. Cieszył się na ten wasz wspólny tydzień. Twoja mama niezbyt ochoczo pozwalała na takie spotkania.

– To prawda. Rozeszli się, zanim skończyłem rok – powiedział Börje. – A przecież nawet nigdy nie byli małżeństwem. Mamę kojarzono w rodzinie tylko ze skandalem.

– A czy Raimo znał Henry’ego Pekkarięgo? – dociekał Sven Erik.

– Henry przyjeżdżał do Kiruny od czasu do czasu. Imprezował i wpadał do znajomych w klubie. Ale nigdy się nie boksował.

– Król... Król... – próbował Sisu-Sikke. – Skur... syn!

– Tak – tłumaczył Nyrkin-Jussi. – Borówkowy Król już wtedy był skurwielem. Jasne, że po klubie szwendały się podejrzane typy. Czasami w weekendy organizowali własne mecze, mocno zakrapiane, z zakładami. Ale my trzymaliśmy się od tego z daleka. Robiliśmy swoje. I tak jak powiedziałem, twój ojciec nie zadawał się, kurde, z Henrym.

Wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Zastrzelono go z pistoletu – powiedział Sven Erik. – Wojskową amunicją. Mieliście w klubie kogoś z armii albo Gwardii Krajowej?

Nyrkin-Jussi drapał się po głowie.

– Pistolet, mówisz. Pistolety posiadała tylko wierchuszka. Nie mieliśmy zawodowych dowódców wojska, którzy chcieliby zszargać sobie opinię boksem. Ten sport postrzegano wtedy w inny sposób. Dowódcy Gwardii Krajowej to rodzaj elity – przedsiębiorcy handlowi, ordynatorzy. Tego typu ludzi też nie mieliśmy w klubie.

Nie tylko klasa wyższa uważała boks za coś zgubnego, przypomniał sobie Börje i powędrował w myślach do mamy. I jej brata.

Luty 1966

Börje kryje się z boksem. Ale w końcu tajemnica wychodzi na jaw. Robi się z tego dzika chryja, większa, niż można się było spodziewać.

Mama zostaje poinformowana przez klientkę.

– Już samo to – krzyczy – że dowiaduję się tego od klientów! A ludzie myślą, co to za niewydarzona matka, która nie ma pojęcia, czym się zajmuje jej syn.

Börje nie zdążył nawet ściągnąć kurtki. Mama stoi w przedpokoju i wrzeszczy. Że kłamał! Że kłamał jej w żywe oczy! Przez tyle lat! A tak mu ufała. A on z pewnością teraz sądzi, że jest głupią gęsią. Śmieje się z niej razem z klubowymi koleżkami, że tak łatwo ją zrobić w konia. Jest tak cholernie łatwowierna i dobroduszna.

Idzie za nim krok w krok do jego pokoju i podniesionym głosem mówi, że to było mu bardzo na rękę. Mieć taką naiwną matkę. Bo to przecież wielka wygoda mieć codziennie gotowane obiady i pościelone łóżko.

– Dobry hotel, nie?

Jest taki sam jak jego ojciec. Raimo też ją traktował jak służącą. A teraz Börje idzie w jego ślady.

Nakrzyczawszy się, zaczęła płakać. On też tak sobie ułoży życie? Bez porządnej pracy. W towarzystwie hołoty z klubu. Z roztrzaskanym nosem i rozumem. Z pijaństwem i tatuażami.

Mama żąda od niego jakiejś reakcji.

– No powiedzże coś!

Ponieważ Börje milczy, mama oświadcza, że teraz to już koniec z boksowaniem. Ona mu na to nie pozwoli. Przynajmniej dopóty, dopóki będzie mieszkał pod jej dachem.

Wówczas Börje kręci głową.

– Nie możesz mi tego zabronić – mówi.

Najpierw jest przekonany, że za chwilę dostanie w twarz. Nie myśli się bronić, chce tylko przekręcić trochę głowę, by cios wylądował na policzku, a nie na uchu. To nie zaboli. Wkrótce skończy piętnaście lat i jest od niej wyższy o głowę. Ostatnio narzekała, że musi mu nakupić tyle nowych ubrań.

Ale policzek nie nadchodzi. Mama odwraca się do ściany i zasłania twarz dłońmi.

– Dlaczego? – łka. – Raimo nie dał na ciebie ani grosza. Odszedł od nas. A ty robisz wszystko, żeby się do niego upodobnić. Traktujesz mnie jak śmiecia.

Börje przygląda się mamie, nieporuszony jej łzami. Niech sobie płacze i krzyczy, ile chce. Trudno mu zrozumieć, że tak długo udało mu się utrzymać boksowanie w tajemnicy. Teraz zasuwą zamek w kurtce i wkłada czapkę. Wychodzi spokojnie z mieszkania i w trzech krokach jest na dole. Biegnie truchtem do klubu. Śnieg skrzypi pod nogami, a na niebie wije się potężna zorza polarna. Mama to niezła wariatka. Słychać ją aż na podwórku.

Kiedy po treningu wraca do domu, widzi w przedpokoju swoją torbę szkolną i walizkę. W dużym pokoju na środku sofy siedzi wuj Hilding. Ołówkowe usta i skrzyżowane ramiona na piersi. Mama przycupnęła na skraju mebla.

To Hilding wygłasza mowę. Mówi, że mamie Börjego zabrakło sił. Że Börje wychował się bez ojcowskiej ręki i że nastąpiła pora, by ktoś wziął na siebie tę odpowiedzialność. Na jakiś czas Börje zamieszka u wuja Hilinga. Aż sprawy się wyklarują i ułożą. Jego głos jest miękki i spokojny. Hilding prawi o miłości. O prawdziwej miłości. A prawdziwa miłość jest surowa. W podobny sposób, w jaki dziecko odczuwa surowość ręki, która gwałtownym szarpnięciem odciąga je od torów, po których sekundę później przejedzie pociąg.

Mama zdaje się żałować swojej decyzji. Ale teraz jest już za późno. Börje myśli, że mama czeka na jego skruchę. Że chciałaby usłyszeć, jak prosi ją o wybaczenie kłamstw. Jak prosi o to, by u niej zostać. Ale Börje w dalszym ciągu czuje się dziwnie obojętny na wszystko, co się wokół niego dzieje. Sam nie wypowiada prawie ani słowa. Znosi walizkę do samochodu wuja Hilinga. Co do dwóch rzeczy jest pewny. Raz: sprawy się nie wyklarują i nie ułożą, jeśli to ma oznaczać koniec boksowania. Dwa: nigdy już nie zamieszka z mamą. Nigdy.

Wuj mieszka ze swoją żoną i teraz już siedmiorgiem dzieci w trzypokojowym mieszkaniu przy Tallplan. Wchodząc z Hildingiem do klatki schodowej, Börje słyszy dochodzące ze środka dziecięce głosy. Ale gdy tylko wkraczają do mieszkania, głosy cichną.

W mieszkaniu wuja nie ma radia. Nie ma firanek ani kwiatów w oknach. Poniechano każdego zbytku. I zadbano o porządek. Trudno uwierzyć, że tu mieszkają dzieci. Börje stawia walizkę w pokoju dziecięcym. Stoją tam dwa piętrowe łóżka. Ich materace okrywają mocno naciągnięte narzuty.

Maria, żona Hilinga, ścieli Börjemu na podłodze. Najmłodsza dziewczynka śpi z rodzicami. Dwójka starszaków – w dużym pokoju.

Piją wieczorną herbatę w milczeniu. Dzieci spoglądają ukradkiem na Börjega. Tylko najmłodsza córka wydaje dźwięki; gaworzy swoją niezrozumiałą dziecięcą mową i pokazuje wszystkim kanapkę, która coraz bardziej przypomina pomięty mokry papier.

Börje zerka na wujenkę. Na jej skórę, odsłoniętą na moment, gdy Maria sięga po ser i rękaw bluzki podjeżdża do góry. Siniak wokół nadgarstka. Patrzy na musztardowe przebarwienia na szyi. Na policzek z fioletowym śladem po uszczypnięciu.

Wieczorem leży na materacu i nie może usnąć. Pozwala sobie na myślenie o tacie. Z wiekiem czyni to coraz bardziej sporadycznie. Zrozumiał, że zbyt częsty powrót do wspomnień sprawia, że te się zacierają. Nabierają osobliwych kolorów, których nie miały od początku, a potem szybko blakną. Tak jak sińce. Ale tego wieczoru obejmuje tatę ramionami, z policzkiem przy jego plecach. Jadą motocyklem przez dolinę rzeki Torne. Brzozy w zielonej koronce, krowy na szosie w drodze do dojrani. Wieczne słońce i pęd powietrza. Plecy taty. Szerokie plecy taty.

Börje odpuszcza sobie treningi przez tydzień. Wuj ustanowił reguły. Börje zaraz po szkole ma iść do pracy na poczcie, a po pracy prosto do domu. Żadnych dróg okrężnych. W niedzielę towarzyszy rodzinie, gdy udają się do domu modlitwy. Resztę czasu spędza w mieszkaniu.

Nie ma ochoty słuchać nakazów, ale jakie ma wyjście? Musi wymyślić jakiś plan, tyle że na razie go nie ma. Nocami śni o czarnym domu, w którym ktoś go zamknął, i o burczącym niedźwiedziu, który zawsze potrafi go wyniuchać, choć Börje ukrywa się pod łóżkiem albo w szafie. Budzi się. W pokoju czuć koszmarny zaduch. Wydawane przez chłopców dźwięki we śnie. Ich kwaskowato ciepłe oddechy. Za dnia Börje mocuje się z kuzynami na podłodze kuchennej. Goni ich między przedpokojem, kuchnią a pokojem. Słyszy, jak brzmi śmiech Marii.

Ale na kwadrans przed powrotem Hilinga cała rodzina wygląda gałgankowe chodniki i prostuje ich frędzle. Zapada taka cisza i powaga, że Börjemu trudno oddychać. Tęskni za czymś innym. Chce po prostu stąd wybiec. Pobiec do domu... ale nie do mamy, nie, do domu w klubie. Właśnie tak to czuje.

I w końcu idzie do klubu. Po rozniesieniu poczty.

Nyrkin-Jussi i Sisu-Sikke witają go skinieniem głowy. Z ich twarzy bije powaga, ale też zachęta. Wiedzą, jak się mają sprawy.

Börje sparuje przez cały wieczór, aż pod koniec czuje w ciele zmęczenie i spokój. A ten ciężar w żołądku, który dawał o sobie znać przez cały tydzień, znika bez śladu. Po ósmej Börje wrzuca do szafki rękawice i ochraniacz na zęby. A potem idzie pieszo aż do Lombolo. Zima szczypie w skórę.

Kiedy wraca do domu wuja, mija dziewiąta. Hilding wzywa go z dużego pokoju. Stoi tam z dłońmi splecionymi za plecami i nakazuje siostrzeńcowi, by usiadł na krześle wysuniętym na środek pomieszczenia. Dzieci i Maria stoją w rzędzie przy ścianie, milczące i blade. Börje siada. Odnosi wrażenie, że mają taki rodzinny zwyczaj. Sam na sam z Hildingiem w ringu. Pozostali muszą patrzeć.

Börje przywykł do gniewu mamy. Jej złość jest jak wrzący garnek, którego zawartość

kipi, burzy się i pryska. A potem ucicha.

Gniew wuja to całkowite przeciwieństwo. Jest zimny i nieporuszony. Wnika w głąb jak marzłość. Kruszy kamienie. Nie cierpi sprzeciwu.

O, jego głos jest taki miękki. Miękki jak puch. Ale pod puchem śniegu leży gruba warstwa lodu. Skorupa, przez którą renifery umierają z głodu. Puchowy głos pyta Börjega, gdzie się podziewał. Börje nie odpowiada. Czy nie umówili się, że ma wracać zaraz po rozniesieniu poczty? Börje milczy.

Wuj Hilding obchodzi siostrzeńca. Nazywa go zepsutym. To szatan, ten wielki niszczyiciel, zatopił swe szpony w duszy Börjega. Któż inny niż szatan potrafi bowiem sprawić, by człowiek tęsknił za biciem i tłuczeniem bliźniego. I dla jakiej przyczyny? Dla połyskującego pucharu? Dla zaszczytów tego świata?

Teraz wuj chce usłyszeć z ust siostrzeńca, że noga Börjega nigdy więcej nie postanie w klubie bokserskim. Że będzie udawał głuchego, gdy wąż starodawny zechce namówić go do spożycia owocu, który popłynie trucizną w jego żyłach. Wuj nie pozwoli Börjemu wędrować tą szeroką drogą, tą złotą drogą, tą drogą bezmyślności, która prowadzi do wiecznego cierpienia, do piekła. Miłość wuja jest zbyt silna, by na to zezwolił.

– Obiecaj – mówi. – Obiecaj, że więcej tam nie pójdziesz.

Börje patrzy na Marię i dzieci. Najmłodsza dziewczynka siedzi na biodrze mamy z kciukiem w buzi. Chłopcy kulą się, cofają pod ścianę tak bardzo, jak to możliwe.

Możliwe, że szatan zatopił pazury w jego duszy. Ktoś w każdym razie myśli w jego głowie. Myśli, że wuj jest otoczony ludźmi, którzy kurczą się i kulą. W zborze. W rodzinie. Nikt nie ma odwagi się wychylić.

Ale w pracy, myśli Börje, wśród górników, komunistów, Finów i innych zwykłych ludzi? Tam chyba jest inaczej. Wąż starodawny w głowie Börjega podpowiada teraz, że w kopalni Hilding raczej nie ma tak szerokich barów. I nagle opada z niego cały strach. Oczami wyobraźni widzi wuja, który, dotknięty do żywego, siedzi w milczeniu przy gwarkach. A oni mają niewyparzone gęby i nie cierpią bogobojnej gadki w zbyt dużych ilościach.

– No – namawia wuj ponownie. – Powiedz, że koniec z boksowaniem.

– Nie – odpowiada Börje i podnosi się, ponieważ nie ma zamiaru tu dłużej zostać.

Jeśli się pospieszy, to może w klubie jeszcze kogoś zastanie. Może spać na podłodze w szatni.

Ale wuj popycha go mocno w pierś i Börje ląduje gwałtownie na tyłku, omal nie spadając z krzesła.

– Nigdzie nie pójdziesz, dopóki się nie rozmówimy.

– A właśnie że pójdę – odpowiada Börje ze spokojem. – Nie jesteś moim ojcem.

Wstaje jeszcze raz. Wuj wyciąga po niego rękę. Jest wyższy, ale nieprzesadnie. I tym razem Börje jest przygotowany. Robi unik i wuj, nie trafiwszy, traci równowagę, musi zrobić krok w przód i uderza nogą o krzesło. Odwraca się ku siostrzeńcowi. Z ołówkowych ust wydobywa się krótki pomruk.

Maria krzyczy przerażona. Börje zdąży zerknąć na nią i dzieci. Na wyblakłe sińce w kolo-rze musztardy na jej skórze. Napotyka wzrok najstarszego syna, Anttiego.

Börje widział, jak bokser w czasie pojedynku szuka wzrokiem sędziego. Kiedy widać miażdżącą przewagę i ten słabszy wisi na linach, i prawie nie ma pojęcia, gdzie się znajduje, ale nogi nie mają tyle zdrowego rozsądku, żeby się ugiąć, wówczas zwycięski pięściarz szuka wzrokiem sędziego i prosi: „Przerwij! Czy naprawdę mam zakończyć?”

Teraz Börje szuka błagania w oczach Anttiego. Czeką, aż ten powie: „Przestań!”. Ale dziesięciolatek nie błaga i nie prosi. Jego spojrzenie wbija się w kuzyna jak ostrze i bezgłośnie

nakazuje: „Kończ!”.

Zakończ płaszczenie się, pełzanie i milczącą uległość. Zakończ pogardę, szykany i upokorzenia. Nie musisz stać na czworakach i przeżuwać snusu, który ktoś inny miał w ustach. Dosyć tego! Koniec! Wystarczy!

Wuj próbuje chwycić siostrzeńca za ramię, ale udaje mu się ledwie złapać rękaw koszuli. Börje włącza siłę mięśni brzucha, opuszcza brodę, czuje sprężystość kolan, choć stopy ma jakby przyklejone do podłogi. Nie pozwoli się wytrącić z równowagi ani jeszcze raz zepchnąć na krzesło.

– Siadaj! – dyszy wuj. – Siadaj, mówię! Ty diabelskie nasienie. Ty bękartcie!

I oto nadchodzi lewa ręka Hildinga. Otwarta. W drodze do policzka. Prawa Börjega jest wolna. Blokują uderzenie, po czym idzie w dół i zawraca w ciosie podbródkowym ku szczęce wuja. Bum!

Wuj pada na kolana. Maria sadza córeczkę na podłodze i podtrzymuje męża, żeby się nie przewrócił.

Börje prosi chłopców o pomoc w spakowaniu swoich rzeczy. Robią to błyskawicznie. Po niespełna minucie ich kuzyn opuszcza mieszkanie.

Nazajutrz rezygnuje ze szkoły i zaczyna pracować na poczcie na cały etat. Wprowadza się do niewielkiej kawalerki obok wieży ciśniń w pobliżu klubu.

Tydzień później startuje w pojedynku z Jarim Kuuselą. Kuusela to prawdziwa młockarnia z Kittilä. Ma osiemnaście lat. Ale jak wiadomo, Finowie nie przejmują się takimi szczegółami.

W drugiej rundzie Kussela przypuszcza zmasowany atak na głowę przeciwnika. Plecy Börjega, nieustannie ocierane o liny, są obdarte ze skóry. Rozbity łuk brwiowy krwawi. Börje słabo widzi, oko zalewa krew.

Między drugą a trzecią rundą Sisu-Sikke przyklepia mu plastry, przykładając łód, smarując ranę maścią wazelinową własnego wyrobu. Krwawienie nie ustaje. Cholerna brew, zawsze musi się rozkwasić! Jak człowiek nie widzi nadchodzących ciosów, to dupa zbita.

Sisu-Sikke mamrocze pod nosem coś, czego Börje nie rozumie. Ale w jakiś osobliwy sposób pojmuje, że trener rozmawia z łukiem brwiowym, nie, z samą krwią. Czuje, że brew reaguje na zawołanie. To tak, jakby poziom wody opadał podczas odpływu. Albo jakby ktoś brał głęboki oddech. I krwawienie ustaje. Börje czuje wkładany do ust ochraniacz na zęby i staje na nogi.

Kuusela nie szczędzi ciosów, ściga Börjega po całym ringu i wkrótce znów go przyspila do lin. Wali w głowę. Celuje w brwi. Börje się zgina. Czuje się coraz bardziej zamoczony od tych wszystkich uderzeń w głowę. Z obu stron nadciąga czarna mgła. I nagle słyszy, jak Fin nazywa go diabelskim nasieniem i bękartem. Słyszy oczywiście głos wuja, ale zrozumie to dopiero później. Nawet fakt, że Fin mówi po szwedzku, nie wydaje mu się teraz dziwny.

Potem wszystko idzie szybko i odruchowo. W gardzie Kuuseli jest luka. Kiedy on miota swoje lewe, prawe podążają z automatu, odsłaniając na moment szczękę.

Kontra Börjega nadchodzi jak błyskawica. Lewy sierpowy. Niczym kot, który uderza łapą. Tak szybko, że niektórzy po walce mówią, że nie zdążyli tego zobaczyć.

Kuusela leży na deskach, sędzia go wylicza. Nyrkin-Jussi bierze głowę Börjega w swoje ręce i woła:

– To tak właśnie ma wyglądać, chłopcze! Ręka Boga. Mocna ręka Boga. Masz siłę ciosu!

Sisu-Sikke siedzi w narożniku i uśmiecha się blado. Jakby zabrakło mu sił, by wstać i objąć swojego młodego wychowanka.

Sven Erik Stålnacke spojrział na Sisu-Sikkego, który osuwał się niepokojąco na swoim wózku.

– Powinniśmy się chyba zbierać – powiedział. – Airi czeka z obiadem.

– Wpadnijcie jeszcze kiedyś. Tutaj, na stacji końcowej, dużo się nie dzieje.
– Koń... koń... – powtarzał Sisu-Sikke.
– Końcowa stacja, tak – potwierdził Nyrkin-Jussi, kładąc rękę na ramieniu kolegi.
– Możesz założyć klub bokserski w salonie – zaproponował Börje. – Bywacie w klubie?
– Zdarza się – odparł Nyrkin-Jussi. – No, ale wiesz, młodzi mają blade pojęcie, kim jesteś.

– Koń... kończ! – powiedział Sisu-Sikke udęczonym głosem.
– Wygląda na to, że trochę się zmęczyliśmy – skomentował Nyrkin-Jussi i spojrzał zatroskany na przyjaciela. – Ale dziękujemy za odwiedziny.

Kiedy Börje i Sven Erik zamknęli za sobą drzwi, natknęli się na drobnego mężczyznę na wózku inwalidzkim. Koszula nierówno pozapinana, z okazałą plamą na piersi. Staruszek trzymał w ręce sztuczną szczękę, którą na widok gości błyskawicznie wsunął do ust. Słychać było jej lekkie kłapanie, gdy zaczął mówić.

– Hej, ho! – zawołał. – Czy to Börje Ström?

Bokser potwierdził.

– Czytałem o twoim ojcu w gazecie – powiedział klapacz i wytarł rękawem koszuli brązowe ślady snusu w kącikach ust.

Rękaw świadczył o sile nawyku.

– Wiem, dlaczego go sprzątnęli! I mogę o tym opowiedzieć za... powiedzmy, dwa patyki.

– Bzdura – zripostował Sven Erik. – Ludzie, którzy naprawdę coś wiedzą, nie proszą o pieniądze. Jak ktoś żąda kasy, to opowiada tylko brednie. Chodź, Börje.

– Tak czy owak, dziękuję – powiedział bokser z szerokim uśmiechem. – Graba!

Uścisnął rękę mężczyźnie, który – zebrawszy się w sobie – przedstawił się imieniem i nazwiskiem.

– Larre Grahn. Nie miałem ci ja nic złego na myśli. Ale to prawda, że znałem twojego ojca. I że wiem, dlaczego go sprzątnęli.

Rzucił policjantowi nieprzyjazne spojrzenie.

– Nie mogę zapłacić – powiedział Börje, drapiąc się po głowie. – Po tych wszystkich ciosach, no wie pan, człowiek ma trochę tępy łeb. Ale gdybym chciał płacić za każdą nową informację o moim tacie, mógłbym wkrótce wydać grubą książkę z bajkami. Svempa ma rację.

– Dobra, chromolę kasę – powiedział Larre Grahn. – Chodźcie ze mną.

Wjechał przed nimi do swojego pokoju.

Börje i Sven Erik wymienili spojrzenia.

– E, co nam, kurde, zależy – powiedział Sven Erik i wzruszył lekko ramionami. – Przecież nie zaszkodzi.

W niewielkim pokoju żaluzje były opuszczone. Larre, pomagając sobie rękami, podniósł się z wózka i opadł z hukiem na fotel stojący przed telewizorem, który wisiał na ścianie.

– *Istu*, chłopaki – zaprosił ich gestem, wskazując na nieposłane łóżko.

Goście usiedli na skraju.

– Nie mamy zbyt dużo czasu – ostrzegł Sven Erik, spoglądając na zegarek.

Airi czekała na niego z obiadem. Podejrzewał, że staruszek gównie wie o Raimo Koskeli. Że skusiła go chęć pobycia sam na sam z legendą boks i że to jest jedyny powód, dla którego teraz tu siedzą.

– Znał pan mojego tatę? – zapytał Börje.

– Nie tak, że się kumplowaliśmy, ale pracował u Króla, prowadził ciężarówkę. Widywalismy się w klubie. Miałem wtedy pieroński lewy. Waga średnia. Åke Forslind też był na usługach Króla. Wicie, kto on?

Ani Börje, ani Sven Erik nigdy o nim nie słyszeli.

– Forslind, niezły z niego bęcwał moim zdaniem, był zamieszany w fałszerstwo. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Państwo amerykańskie sprzedało prasy drukarskie do... Noż kurde felek, do...

Grahn wyłowił z kieszeni pudełeczko ze snusem, otworzył je, ale uświadomiwszy sobie, że musi wybrać między używką a sztuczną szczęką, zamknął je i wytrząsnął z pamięci to, co mu przed chwilą uleciało.

– Bahrajnu! – wykrzyknął. – No. Jankesi chcieli ulepszyć metody drukowania banknotów. Nowe maszyny. Stary park maszynowy miał pojechać do Bahrajnu. Korzystano przy tym z wielu przewoźników, między innymi ze szwedzkiej firmy, w której pracował Forslind. I przy tych transportach była jakaś matryca, która oczywiście powinna była pójść do destrukcji, a nie leżeć zapomniana pod plandeką. Forslind pomyślał, że może na tym zarobić parę groszy, i wziął matrycę do domu. Miał w Sztokholmie znajomego: zacny gość, adwokat, o ile pamiętam. Taki, co to kolekcjonuje luksusowe gabloty i ma własną drukarnię.

– I wzięli się do drukowania banknotów, tak? – wtrącił Börje.

– No. Ten łaskawca ze Sztokholmu mógł wyprodukować lewą część banknotów, bo matryca, ta prawdziwa, była tylko na prawą stronę. Wydrukowali kilka kilogramów studolarówek. Sprzedali paru reflektantom z ówczesnego Związku Radzieckiego. Ale ten adwokacki skurwiel popełnił dwa błędy. Po pierwsze, wydrukowali banknoty na pierońsko kiepskim papierze.

Grahn urwał i chwycił protezę za przednią część, po czym przesunął tam i z powrotem. Prawdopodobnie go uwierała.

– A jaki był jego drugi błąd? – zapytał Sven Erik, myśląc, że przynajmniej będzie miał co opowiedzieć Airi wieczorem.

– A po drugie, wysłał Forslinda za granicę z dwoma walizkami fałszywych studolarówek. Forslind, cały w nerwach, zabalował na promie, żeby te nerwy uspokoić. No, więc na granicy nie tylko walizki były sztywne, że tak powiem. Fińscy celnicy od razu go zwinęli. Szczęście w nie-szczęściu, że banknoty były wydrukowane na dziadowskim papierze, bo właśnie dlatego sąd uznał, że to fałszerstwo nie było jakimś ciężkim przestępstwem. W każdym razie Forslind siedział tylko trochę ponad rok. Adwokat też coś tam dostał. Nie wiem dokładnie, ale takie elegancie łobuzy zawsze się wybronią.

– Nie jestem zbyt łebski – odezwał się Börje – ale co to ma wspólnego z moim ojcem?

– Twój ojciec był w to wplątany – odparł Grahn. – Razem z Forslindem wziął kasę za tę fałszywą walutę i nigdy tych pieniędzy nie oddał. Pewnie je przepuścił. Rosjanie wkurzyli się jak diabli. No i ruska mafia w końcu tu się pofatygowała i go ustrzeliła.

Sven Erik zerknął na Börjego. Ten wyglądał, jakby właśnie został świadkiem zderzenia pociągów.

– Opowiedział pan o tym policji? – zapytał Sven Erik. – Rozumiem, że po zniknięciu Ra-ima ktoś musiał o niego pytać w klubie.

– Jasne. Rozmawiałem z posterunkowym Adrianem Fjäderem.

Adrian Fjäder, pomyślał Sven Erik. Co to za nazwisko? Czy Grahn nie pożyczył go z „Kaczora Donalda”?

– Dziękujemy panu bardzo – powiedział Sven Erik, wstając.

Popychał przed sobą Börjego, aż wyszli na korytarz.

– Tego się nie spodziewałeś, co?! – krzyczał za nimi Larre Grahn. – Tego się nie spodziewałeś po swoim starym!

– Larre Grahn opowiada pierdoły – odezwał się Sven Erik, kiedy po chwili stali przed domem seniora.

– Mhm – mruknął Börje i przesunął się trochę, by uniknąć skapującej z dachu wody, której pierwsza strużka spłynęła mu po głowie za kołnierz. – Rozumiesz, chciałem się jak najbardziej upodobnić do ojca. Wytatuowałem się jak on. Ale prawda jest taka, że nigdy go nie poznałem.

– Ależ wdepnęliśmy w gówna – stwierdził Sven Erik. – Końskie gówna! Gówna słońca! Börje potrząsnął głową. Obezwładniło go uczucie totalnego spustoszenia. Powalony las. Wokół mizernej chatki, która nic nie jest warta.

Czerwiec 1966

Mama dzwoni do Börjega. Odzywają się do siebie od czasu do czasu, i to chyba dobrze.

– Pojedziesz ze mną na wieś?

Odkąd się wyprowadził z domu, był z nią parę razy w chatce. Zawsze przecież coś trzeba naprawić, a kiedy tam już są, okoleni borem, mimo wszystko panuje między nimi zgoda. Bo mama ma rację, mówiąc:

– Człowiek nie może być na wskroś nieszczęśliwy, kiedy wiatr przeczesuje korony tych sosen.

Börje pożycza jeden z samochodów pocztowych. Nie ma jeszcze prawa jazdy, ale kto się tam przejmuje takimi błahostkami. W czasie podróży niewiele ze sobą rozmawiają. Börje po wakacjach ma w planie swoje pierwsze mistrzostwa Szwecji juniorów. Ale ponieważ mama nie chce mówić o boksie...

Parkują i zaczynają wędrówkę w kierunku chatki. Börje uwielbia tę ścieżkę. Już jako dziecko wiedział, że gdy tylko założą plecaki i ruszą na wschód od wzniesienia, znajdzie w nim i w mamie jakaś zmiana. Niemal od razu tracili poczucie czasu, bo czas wyzwał się z kostiumu dni tygodnia i każdy kolejny dzień był wielki, pełen wiatru i pogody, lasu i zwierząt.

Teraz mijają wszystkie kamienne postoje z dzieciństwa Börjega: kamień na picie soku, jaszczurkę, tron, głaz trolla. Mamie nigdy się tutaj nie spieszyło, zawsze pozwalała mu zdejmować plecak i wdrapywać się na bryły skalne. Zwykła zapalać papierosa z twarzą zwróconą do słońca i czekać, aż Börje się wyhasa, by po chwili znów podjąć wędrówkę.

Teraz słyszą szum wody, która kipi w wąwozie. Mama mówi coś o kawie, że dobrze będzie się jej napić.

Ale już na miejscu stoją tylko, zdjęci grozą.

Cała działka leśna, na której stoi chatka, padła ofiarą wyrębu. Wygląda jak pobojuwisko. Pradawny bór zamienił się w pole śmierci.

Ogromne iwy pokryte płucnikiem, pięknym porostem, który w deszczu mieni się cudowną zielenią. Teraz ścielą się martwe. Osiki, których listowie na wietrze szumi jak woda w strumieniu, leżą pokotem. Padłe brzozy mają ciągle wiosennie drobne, seledynowe listki. Już nigdy nie przejdą w płomienne barwy jesieni. Rosłe świerki, kilkusetletnie sosny z obłokami koron i gniazdami ptaków drapieżnych leżą bez życia. Chatka stoi niczym naga szopa w środku zatracenia.

Börjemu odejmuje mowę. Ten las. To był przecież ich dom. Ileż razy zjeżdżał ze stoku na nartach w zawrotnym tempie, ale zawsze udało mu się znaleźć przerwę między pniami. Te wszystkie zwierzęta. Te wszystkie miejsca, w których z mamą zbierał jagody. Te miękkie mchy. Wszystko bezpowrotnie stracone.

Mama płacze. Wyciąga papierosa, wkłada go do ust, ale pudełko z zapalnikami wypada jej z ręki.

Wokół unosi się silna woń świeżego drewna. Oprócz zapachu klubu bokserskiego właśnie

woń świeżego drewna jest ulubionym zapachem Börjega. Ale teraz kłuje go w nozdrza niczym nóż. Börje zgina się w pół i wymiotuje na ścieżkę.

To wuj Hilding. Rozumieją to, choć nie zamieniają ze sobą ani słowa. To jego zemsta za powalenie go na deski. Działkę posiadają bracia, mama jest tylko właścicielką chatki. Na papierze jest to więc ich las i mogą z nim robić, co chcą.

Zabiję gada, myśli Börje w drodze powrotnej do domu. Choć przecież wie, że nigdy tego nie zrobi.

Sven Erik Stålnacke chwycił Börjega za ramię i przywrócił go do teraźniejszości.

– Posłuchaj! Jeśli twojego ojca zabiła radziecka mafia, to dlaczego nie zrobiła tego od razu, na miejscu? W tym domu w Kurkkio, gdzie mieliście spędzić wakacje?

– Może chcieli... sprawdzić, czy ma jakieś pieniądze? – zaproponował Börje.

– I pojechali do Palosaari? A co mieli do roboty na wyspie? Nie, ktoś tutaj wykręca kota ogonem. A skoro o kocie mowa, zjesz z nami obiad? Co oczywiście nie znaczy, że proponuję ci potrawkę z kota.

– Dzięki, może innym razem. Teraz muszę...

Börje urwał. Zamierzał powiedzieć, że musi pobyć sam ze sobą, ale to nie była prawda.

– Co wiesz o Ragnhild Pekkari? – zapytał.

Aha, takie buty, pomyślał Sven Erik i poczuł wręcz głupią radość.

– No... herod-baba, można powiedzieć. W latach osiemdziesiątych kajakarka górską, jedyna kobieta, która pokonała bystrzynę w Kengis. Pracowała jako pielęgniarka na pogotowiu ratunkowym. Nie miała szczęścia do mężczyzn, z tego, co słyszałem. Ojciec jej córki pił zdecydowanie za dużo. Ale pozbiarał się później, już po rozwodzie.

Pożegnali się. Obiecali, że wkrótce się do siebie odezwą. Börje stał jeszcze chwilę, przysłuchując się kapiącej wodzie.

Był czas, kiedy tęsknił za meczami. W ringu nie musiał myśleć o tym, co kłopotliwe i skomplikowane. Tu chodziło o życie albo śmierć. Istnieli tylko on i przeciwnik, a ich ciała pływały z wysiłku. Wszystko inne było gdzieś na zewnątrz.

Był czas, kiedy zaglądał do kieliszka. Po Catskill Mountains i jeszcze później, gdy zamieszkał w Älvsbyn. Ale to już od dawna nieaktualne.

Jasne, że były też kobiety. Wiele kobiet. Mizdrzyły się półnagie z transparentami w czasie przerw między rundami. Siedziały starannie umalowane w pierwszych rzędach. Dzieliły z nim łóżko. W zależności od zarobków kupował im biżuterię, sukienki i futra.

Ale teraz tęsknił za ramionami Ragnhild i jej szorstkimi dłońmi, tak jak wcześniej tęsknił za tym, żeby siedzieć z ojcem na motocyklu.

Nie potrafił tego pojąć, ale potwornie za nią tęsknił. Za jej zapachem ognia i oczami w kolorze słoty.

Zostawiła go przed kościołem.

Ale dopóki sędzia nie odliczy do dziesięciu, jeszcze nie wszystko stracone, pomyślał.

Zaczął iść. Skierował kroki do jej mieszkania.

W domu seniora Ogród Złotej Jesieni Sisu-Sikke zaczął ronić łzy. Płacząc, wyrzucał z siebie:

– Prze... prze... przestań!

– O co ci chodzi? – zapytał Nyrkin-Jussi, próbując złapać go za rękę. – Co ci jest, serce moje?

Ale Sisu-Sikke go odepchnął. Filiżanka roztrzaskała się o podłogę. Nie chciał się uspokoić. Personel nie mógł sobie poradzić. W końcu zdecydowano, że ten stan zagraża jego zdrowiu i przywołano pielęgniarkę, która dała mu zastrzyk. Personel i Nyrkin-Jussi musieli go przytrzy-

mać siłą.

– Co się stało? – zapytał Nyrkin-Jussi po jakimś czasie, kiedy położył się obok śpiącego Sisu-Sikkego.

I nie wiedział sam, czy ma na myśli to, co się wydarzyło przed chwilą, czy to, co stało się wtedy, w czerwcu 1962 roku, kiedy zaginał ojciec Börjega Ströma.

REBEKA CZEKAŁA W SAMOCHODZIE na Annę Marię Mellę dziesięć minut, nim ta opuściła budynek komendy policji. Wzrok wbity w ziemię jak u dziecka, które ktoś zmusił, by poszło do szkoły. Usiadła na fotelu pasażera z krótkim „hej”.

– Pozwolisz, że poprowadzę? – zapytała Rebeka.

– To twój samochód – odparła Anna Maria, wzruszając ramionami.

Więcej słów nie padło. Rebeka spędziła podróż na zgrzytaniu zębami z powodu swego pytania. „Pozwolisz, że poprowadzę?” Aż taka ze mnie słabeuszka? Nastrój spadł do zera.

Wyjechały na drogę prowadzącą do Esrange. Dom Borówkowego Króla był jednopiętrową willą z prefabrykatów, wzniesioną w latach osiemdziesiątych. W jasnoblękitnym kolorze. Główny budynek połączono z dwoma skrzydłami i całość gospodarstwa przywodziła na myśl kanciastą podkowę. Rebeka wjechała w nią i wyłączyła silnik.

Przybudówki wyglądały na magazyny. Jedna z nich miała obszerne nowe drzwi do garażu. Druga kończyła się pustym wybiegiem dla psów.

Wysiadły z samochodu.

Wszystkie okna przybudówek były zabite płytami pilśniowymi. Przed domem stały trzy nierzucające się w oczy samochody i jeden quad z przymontowanym doń pługiem. Poza tym prawie całe podwórze było zavalone rupieciami. Zardzewiała karoseria bez kół, góra śmieci, rozmokłych kartonów, wysłużony odkurzacz, butelki PET i mnóstwo innych rzeczy, które osoba bardziej sumienna wywozłaby do punktu zbiórki odpadów. Duża czerwona plama w śniegu.

Mella szturchnęła Rebeke w ramię i wskazała głową w górę. W każdym rogu była zamontowana kamera monitorująca.

– Kontrolują nas – powiedziała Mella i zamachała do kamery.

Rebeka zadzwoniła do drzwi. Cisza. Zadzwoniła jeszcze raz. Słysząc było jedynie kapanie z dachu i ptasie trele gdzieś w oddali.

– Jak myślisz? – zwróciła się do policjantki.

Anna Maria stała przy czerwonej plamie. Pełno w niej było szorstkich zwierzęcych włosów.

– Łoś – stwierdziła. – To przecież, kurde, nie jest okres polowań!

Rebeka podeszła do części mieszkalnej i próbowała zajrzeć do środka przez spuszczone żaluzje. Zaczęła się czuć nieswojo. Ogarnięta przecuciem, że wcale nie są tutaj same.

Załomotała do drzwi.

– Nie, tak nic nie wskóramy – powiedziała Mella. – Sprawdzę po drugiej stronie.

Obeszła jedno skrzydło. Dalsze brodzenie w śniegu było właściwie niemożliwe. Dżinsy momentalnie przemokły, a buty wypełniły się śniegiem. Nie była odpowiednio ubrana na taką wycieczkę. A do tego przegapił obiad z rodziną.

Ugrzęzną tu i nie będę się mogła wydostać, pomyślała. Ale pomna noworocznej obietnicy sprzed roku trenowała w służbowej siłowni trzy razy w tygodniu. Walczyła więc dalej. W końcu dotarła do okna i zajrzała do wewnątrz.

Ujrzała salon, a w nim leżącą na skórzanej sofie kobietę z laptopem na brzuchu. Anna Maria załomotała w szybę.

– Halo! Proszę otworzyć! Policja!

Kobieta podniosła wzrok. Anna Maria wydobyła swoją legitymację i wskazała poprzez

cały dom na drzwi wejściowe. Kiedy kobieta wstała, policjantka popędziła z powrotem.

– Zaraz przyjdzie – oznajmiła Rebecę, zziębnięta. – Kobieta, która leżała na sofie w salonie. Drzwi się otworzyły i kobieta wystawiła z nich głowę.

Rebeka spodziewała się kogoś w spodniach od dresu i z przetłuszczonym kucykiem na głowie. Ale ta kobieta wyglądała jak milion koron bezguścia.

Była młoda, szczupła i długonoga. Cienkie czarne pończochy, wysokie obcasy i jedwabna bluzka w lamparcie cętki, rozpięta na tyle, że odsłaniała rąbek biustonosza z czarnej koronki. Włosy miała długie, w jasnorudych i blond pasemkach. Zrobione usta, wydatne i sztywne. Sztuczne rzęsy jak tłuste odnóża much i absurdalnie długie paznokcie niczym połyskujące niebiesko pazury.

– *Yes?* – odezwała się kobieta.

– *Police* – odpowiedziała Anna Maria i odchrząknęła, żeby rozkręcić swój szkolny angielski. – *We want to speak to Frans Mäki. Can we come in?*

Kobieta przysunęła rękę do piersi w mechanicznym geście uległości.

– *I can't... I don't... Wait a minute* – odparła i zamknęła drzwi.

Po chwili drzwi otworzyły się ponownie. Tym razem stała w nich inna kobieta. Miała około trzydziestu lat. Włosy spięte w ciasny kok. Żadnego makijażu, żadnej biżuterii. Otaksowała szybko wzrokiem przybyłe. Anna Maria odniosła wrażenie, że została zeskanowana i oceniona przez androida.

– Czym mogę paniom służyć? – zapytała bezbłędnym, choć niepozbowionym akcentu angielskim.

Anna Maria powtórzyła prośbę o rozmowę z Fransem Mäkim.

– Czego panie od niego chcą?

– To powiemy mu osobiście – odpowiedziała Anna Maria, próbując zajrzeć do wnętrza. – Jest w domu?

– Mąż jest chory. Nie przyjmuje gości. Proszę poczekać.

Zniknęła i wróciła po niespełna minucie, wymachując przed nimi jakimś dokumentem. Sporządzono go po rosyjsku, ale nagłówek był angielski: *Medical certificate*.

– Mogą panie porozmawiać ze mną – dodała.

Rebeka i Anna Maria wymieniły spojrzenia.

– Okej – zaczęła Rebeka. – Wieczorem ósmego kwietnia zadzwonił tu Olle Pekkari. Chciałybyśmy się dowiedzieć, czego dotyczyła ta rozmowa.

Kobieta wyjęła paczkę papierosów. Wytrzepała z niej jednego i zapaliła. Zaciągnęła się. Wzruszyła ramionami.

W tym samym momencie Anna Maria obejrzała się za siebie.

Przy samochodzie Rebeki stało dwóch mężczyzn. Przebiegła po nich wzrokiem. Dwóch osiłków. Takich, co to porządnie rozbudowali mięśnie, a karki mieli jak opony traktora. W ostatnich czasach nie trenowali równie sumiennie, obrośli trochę w tłuszcz. Ale w dalszym ciągu siły mieli za trzech, bez dwóch zdań. Ostrzyżeni na jeża. Czaszka jednego z nich świeciła łuszczącym się różem.

Łatwo się spalić w przedwiosennym słońcu, pomyślała Anna Maria. Nawet u nasady włosów.

Pojawili się znikąd. Jeden z oponiastych karków trzymał na smyczy psa przypominającego pitbulla. Ciało zwierzęcia miało wyraźne blizny. Z uszu zostały tylko postrzępione resztki.

Drugi mężczyzna otworzył samochód Rebeki i usiadł za kierownicą.

– Hej, ty tam! – zawołała Anna Maria. – Zostaw to auto w spokoju! Wysiadaj!

Ruszyła ku osiłkom. Mężczyzna wysiadł z samochodu i wyszedł na spotkanie policjantki.

Powiedział coś po rosyjsku do kobiety. Ta odpowiedziała w tym samym języku. Rebeka i Anna Maria wyłapały słowo „policija”. Pies wydał z siebie złowrogi bulgot.

– Zabierz tego psa! – nakazała Rebeka.

Zwierzę rzuciło się przed siebie. Mężczyzna skrócił smycz. Pies, drapiąc pazurami w powietrzu, obnażył zęby i czekał ochryple, gdy łańcuch zacisnął mu się na szyi.

Anna Maria się wystraszyła. Pies z pewnością ważył tyle co ona. Cofnęła się trochę po skosie, uderzyła nogą o samochód.

Było coś niepokojącego w oczach tych mężczyzn; to, jak patrzyli na siebie nawzajem, a potem na kobietę. Jak gdyby tylko czekali na sygnał. Obaj poruszali się spokojnie, ale nie minęła sekunda i Rebeka miała jednego przed sobą, a drugiego z tyłu.

Zawodowcy, przemknęło Annie Marii przez myśl.

Z tych, co z zimną krwią wyciągają sekator i obcinają niepokornym palce jako ostrzeżenie. Co zakładają ludziom worki na głowę, nim oddadzą strzał, by nie zbryzgać sobie ubrania. I co zawsze dopatrzą, by ofiara stała na tanim dywanie, który potem łatwo zrolować.

Ten z psem miał na sobie tylko koszulę. Drugi zaś był ubrany w czarną kurtkę puchową, zapiętą na jeden środkowy zatrzask. Na podwórzu w słońcu było z pewnością piętnaście stopni. Dlaczego włożył kurtkę puchową, zanim wyszedł z domu?

Żeby ukryć broń, pomyślała Anna Maria. Ale my jesteśmy z policji, ona ich o tym poinformowała. Co chcą zrobić? Nie odważą się. A jeśli tak?

Miała przy sobie broń służbową. Ale dłonie były jak z lodu, czuła kłucie w opuszkach palców. Pistolet wypadłby jej z rąk.

Kobieta weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi. Rebeka i Anna Maria zostały same z oponiastymi karkami. Te wymieniły ze sobą kilka słów po rosyjsku. Anna Maria poczuła, jak strach ściska jej żołądek.

Nagle mężczyźni się cofnęli. Jeden z nich wskazał głową samochód Rebeki. Wyraźny znak, że powinny ruszyć w drogę. Pies – nieustannie ujadając – stał na tylnych łapach. Osłkowi, który ważył co najmniej sto dwadzieścia kilo, nie było łatwo utrzymać go na wodzy.

– Jedziemy – zdecydowała Rebeka.

Wsiadły do samochodu. Rebeka cofnęła pojazd. Mężczyźni odprowadzili kobiety wzrokiem, kiedy samochód zawrócił i wyjechał z podwórza.

– Rany boskie, co to było? – powiedziała Anna Maria, kiedy ujechały kawałek.

Rebeka potrząsnęła głową i ścisnęła kierownicę tak mocno, że zabolą ją dłonie. Zauważyła, jak trudno jej było utrzymać nogę na gazie, prędkość to malała, to rosła.

– Na serio! – wykrzyknęła Mella. – Co to za jedni? Jak to możliwe, że policja nie ma o nich pojęcia? Nigdy nie słyszałam o tym, że tu mieszkają rosyjscy mafiosi. Zajmują się czymś w Kirunie?

– I ten biedny pies... – wtrąciła Rebeka.

– Czyś ty zupełnie... – zaczęła Anna Maria, ale ucięła w pół zdania.

Takiego psa z miejsca powinno się odstrzelić, pomyślała. I już.

Siedziały w milczeniu przez jakiś kilometr. Obie oszołomione wrażeniem, że natknęły się na coś wielkiego. Mniej lub bardziej przez pomyłkę. To tak, jakbyś przekopując pole ziemniaczane, nagle usłyszała: brzdęk! I zastanawiasz się, na co łopata trafiła. Kim są ci ludzie?

– Coś w tym jest, bez wątplenia – odezwała się Rebeka. – Henry Pekkari zadzwonił do swojego brata, Ollego, tego samego dnia, w którym go zamordowano. A Olle Pekkari minutę później zadzwonił do Borówkowego Króla. A u Króla mieszkają ci Rosjanie. To nie przypadek.

Zwolniła ze względu na kilka reniferów, które niespiesznie poruszały się po szosie.

– Przed chwilą przejeżdżaliśmy koło jakiegoś domu. Wracamy. Musimy porozmawiać

z tymi ludźmi z sąsiedztwa.

- Nie powinnyśmy wezwać posiłków?
- Posiłków? Żeby porozmawiać z sąsiadami?

Anna Maria milczała. Ogarnięta wściekłością, w którą tak łatwo wpaść, gdy ktoś człowieka zawstydzi.

Pieprzona Rebeka, pomyślała, kiedy ta zawróciła i ruszyła z powrotem. A co się stanie, jeśli oponiaste karki nas zobaczą? Ona nie ma dzieci. Łatwo jej szarżować.

Sąsiedzi byli w domu. Dochodziła już siódma. Mężczyzna, który im otworzył, miał długą białą brodę i długie, grube skarpety, naciągnięte na dzinsy. Anna Maria, przedstawiając się, wyciągnęła legitymację policyjną. Żona, siedząca na ławie kuchennej z robótką ręczną, zawołała:

- Kto to?
- Policja – rzucił jej mąż przez ramię i zaprosił nieznajome do środka.

Kobieta wyszła do przedpokoju z robótką w dłoni.

- O Bożeż ty mój! – wykrzyknęła, zasłaniając usta wolną ręką.

– Nie, nie przychodzimy z wiadomością o śmierci – powiedziała Anna Maria. – Proszę nam wybaczyć, jeśli napędziłyśmy państwu stracha. Chciałybyśmy tylko zadać kilka pytań, jeśli państwo pozwolą.

- A o co chodzi?
- O pańskich sąsiadów – odpowiedziała Rebeka.

Para momentalnie zasygnalizowała nieprzychylność. Kobieta zacisnęła usta. Mężczyzna, gładząc się po brodzie, pokręcił głową z ubolewaniem.

- Nic o nich nie wiemy – powiedział.
- Nic nie wiemy – powtórzyła kobieta. Jej dłoń ścisnęła robótkę jeszcze mocniej.

– Ale coś z pewnością państwo wiedzą – próbowała Rebeka. – Może przynajmniej, jak się nazywają. Przecież wzdłuż tej drogi mieszkacie tylko państwo i oni.

- Nie możemy paniom pomóc.
- W porządku – odezwała się Anna Maria i wyciągnęła swoją wizytówkę. – Jesteśmy zainteresowane tym, kim są i... tak w ogóle, właściwie czymkolwiek. Jeśli coś się państwu przypomni, to proszę do mnie zadzwonić, dobrze?

Mężczyzna wziął od niej wizytówkę.

- Nadkomisarz Anna Maria Mella – przeczytał na głos. – To pani?
- Tak, ale zanim wyszłam za mąż, nazywałam się Nygård.

Zaśmiał się.

– Boże drogi, nie poznałem pani od razu. Ścięła pani warkocz? Pewnie pani nie pamięta, ale to pani zajęła się naszym synem, jak kiedyś stąd uciekł. Nie przypomina sobie pani?

- Nie.
- To już ponad piętnaście lat temu – powiedział mężczyzna. – Boże, on co chwilę uciekał! Mrówki w spodniach, taką wtedy stawiano diagnozę. I pewnego razu jakaś kobieta przyprowadziła go do was. Bo uważała, że samotnie wędrujących sześciolatków nie można pozostawić swojemu losowi. W dodatku z przejęcia syn się posikał.

Mężczyzna uśmiechnął się melancholijnie do siebie na to wspomnienie.

– Kiedy wpadłem jak burza na posterunek, z sercem między migdałkami, nasz syn siedział sobie u pani na kolanach, jadł słodkie bułeczki i popijał kakao. Dostał breloczek w kształcie motocykla policyjnego. I zostaliście kumplami. Potem wołaliście do siebie: „hej, hej”, gdy się przypadkowo spotykaliście w mieście.

– Ach, tak – powiedziała Anna Maria, gorączkowo przeszukując pamięć; ledwo pamiętała fragmenty z dzieciństwa własnych dzieci.

– Nie wspomniała pani ani słowem o jego zasikanej pupie. A przecież przemoczył pani spodnie na amen, tam gdzie siedział. Nie pisnęła pani ani słówkiem. I chłopak nie musiał się wstydzić.

– Wstydził się potem, tak czy owak – dodała kobieta. – Moczył się jeszcze dość długo w porównaniu ze swoimi rówieśnikami.

– Ale pani wtedy udawała, że nic się nie stało – zwrócił się mężczyzna do Anny Marii. – Nigdy nie zapomnę pani zasikanych kolan. Mam nadzieję, że znalazła pani coś na zmianę.

– Znalazłam z pewnością. A czym syn się teraz zajmuje?

– Pracuje jako personel pomocniczy w szkole podstawowej.

Zapadła cisza.

– Jeśli opowiemy coś o sąsiadach... – odezwała się kobieta – może nam pani obiecać, że to się nie wyda?

– Chronię swoje źródła – odparła Anna Maria.

A wszystkie ewentualne rozmowy o obowiązku składania zeznań możemy przełożyć na inny termin, dodała w myślach.

– Wejdźcie, proszę, do środka – zaprosiła kobieta. – Nie ściągajcie, panie, butów. Przecież tu tylko czysty śnieg.

– Tak, co innego w mieście – powiedziała Anna Maria. – Najwyraźniej zima tu jeszcze nie odpuściła.

Zdjęły buty mimo protestów gospodarzy.

– Może kawy? – zaproponowała kobieta. – Właśnie mieliśmy się napić po kolacji, więc mamy świeżą.

Usiedli w kuchni. Kobieta poczęstowała gości ciastkami z Kangos i mocną kawą z perkolatora.

– Opowiedz o Bengcie – zwróciła się kobieta do męża.

– Bengt to państwa syn? – chciała się upewnić Anna Maria.

– Nie, nie. Bengt to był nasz pies.

– Borzój – dodała kobieta. – Najłagodniejszy na świecie.

– To prawda. Zabili go.

– Sąsiedzi?

– Nie, ich psy.

Mężczyzna zakrył usta dłonią, podczas gdy żona kontynuowała:

– Wybierałam się do miasta. Bengt wskoczył do bagażnika, ja musiałam się wrócić, bo zapomniałam okularów do czytania. Nie zamknęłam bagażnika, Bengt nigdy nie wyskakiwał z samochodu bez pozwolenia. W każdym razie... Pojawiły się znikąd. Dwójka psów morderców. Usłyszałam tylko potworny jazgot. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, jak te bestie wywlekły Bengta z bagażnika. Wybiegłam z domu, krzyczałam co sił w płucach i w końcu uciekły. A Bengt... – Mieszała kawę łyżeczką, jakby chciała wziąć się w garść, nim zacznie mówić dalej. – Przykuśtykał do mnie. Cały brzuch miał rozpruty, jelita i wnętrzności zwisały do ziemi. Położył się u moich stóp i umarł w moich ramionach. Na szczęście długo się nie męczył. Zszedłeś z poddasza...

– Tak – powiedział jej mąż. – To jest ciągle takie... W głowie miałem kompletną pustkę. Wziąłem strzelbę i poszedłem do nich.

– Próbowałam go zatrzymać – uzupełniła żona.

– Człowiek nie myśli racjonalnie w takiej sytuacji. Poszedłem do sąsiadów i na podwórzu zobaczyłem jednego z tych mężczyzn, którzy tam mieszkają. Zdążył zamknąć psy w zagrodzie. Ale gdy tylko się tam pojawiłem, wyciągnął pistolet i wymierzył we mnie. Miałem w rękę wła-

sną pukawkę, ale nawet jej nie odbezpieczyłem. Zawołał coś po rosyjsku w stronę domu i po chwili wyszła stamtąd kobieta. Zapytała po angielsku, o co mi chodzi.

– O Boże – westchnęła głęboko Anna Maria.

– Tak, tak to można ująć. Zacząłem płakać, byłem też w cholernym strachu. Powiedziałem, że ich psy rozszarpały naszego na śmierć i że zadzwonię na policję. Nakazała mi gestem, że bym poczekał. Weszła do domu i po chwili wróciła z plikiem banknotów. Trzydzieści tysięcy. Ot, tak po prostu.

– I co pan zrobił? – zapytała Anna Maria.

– Wziąłem te pieniądze, nie miałem odwagi odmówić, bo ten z pistoletem ciągle we mnie mierzył. A ona powtórzyła parę razy: *No police. Remember, no police.*

– Kiedy to było? – chciała się dowiedzieć Anna Maria.

– Pół roku temu – odpowiedziała kobieta. – Myśleliśmy, żeby sprzedać dom i wyprowadzić się stąd, ale nas nie stać. Mamy za wysoki kredyt, a przez jakiś czas musieliśmy też pomagać synowi, kiedy wpadł w tarapaty finansowe. Zanim wyszedł na prostą.

Pokręciła głową z rezygnacją.

– Widziałyśmy u nich tylko jednego psa – powiedziała Rebeka.

– Ten drugi pewnie już nie żyje – dodała kobieta. – Czasami organizują tam walki psów.

Przyjmują zakłady.

– Skąd to państwo wiecie?

Kobieta i mężczyzna wymienili między sobą spojrzenia i zgodnie wstali od stołu.

– Proszę z nami pójść na górę – powiedziała kobieta. – Ale to, co paniom mówimy i pokazujemy, absolutnie nie może wyciec.

Udali się na poddasze. Para weszła do sypialni jako pierwsza. Łóżko porządnie zasłane narzutą wydzierganą na szydełku. Ozdobne poduszki. Za firanką w oknie na statywie stał aparat fotograficzny z potężnym obiektywem. Widać było stąd wyraźnie ścianę szczytową sąsiedzkiego budynku z zagrodą dla psów.

– Obserwuję ptaki – wyjaśniła kobieta. – To dlatego tutaj się wprowadziliśmy dwadzieścia trzy lata temu. Mieliśmy tu pasterza różowego i grubodzioba. Ale zdarza się oczywiście, że człowiek zaobserwuje inne rzeczy. Zrobi parę zdjęć.

– Rozumiem – rzekła Anna Maria, czując, jak rośnie w niej miłość do detektywów społecznych. Kochanych, cudownych detektywów w społeczeństwie.

Kwadrans później Rebeka i Anna Maria wyszły stamtąd z plikiem wydrukowanych zdjęć. Miały wyraźne fotografie przedstawiające całą czwórkę z domostwa – dwie kobiety i dwa oporniste karki. Na jednym ze zdjęć bez wątplenia widniał Frans Mäki. Wąty staruszek na wózku inwalidzkim w bejsbolówce na głowie i z pledem na kolanach.

– To wspaniała zdobycz – powiedziała Anna Maria, wertując wydruki.

I dodała w myśli, że byłoby na miejscu, gdyby Rebeka jakoś to skomentowała. Powiedziała, że dostały te zdjęcia tylko dlatego, że Anna Maria była świetną policjantką, gdy sześciolatek tej pary zwiął z domu. Ale wyglądało na to, że Rebeka zwraca uwagę tylko na źle zrobioną robotę. Anna Maria twardniała w środku.

– Naprawdę nie musisz mnie zapraszać na swoją imprezę – powiedziała, żałując, że od samego początku nie znalazła dobrej wymówki.

– Chcę, żebyś przyszła – odparła Rebeka głosem pozbawionym uczucia.

A potem zapadła cisza.

Teraz nie mam szans, żeby się z tego wycofać, pomyślała Anna Maria. Jak nie przyjdę, ona odbierze to jako wyraźną manifestację. Miała ochotę głośno jęknąć na samą myśl o wieczorze w towarzystwie Rebeki i jej koleżanek z dobrych domów. I co na siebie włoży? Już samo to,

że musi wydać majątek na jakąś nową kieckę...

Rebeka zagłębiła się w myślach. Olle Pekkari wiedział, kim są ci Rosjanie. To nie ulega wątpliwości. Zadzwonił tam tego samego wieczoru, kiedy ktoś zamordował jego brata. Ale ona przycisnie go tak mocno, że w końcu jej wyzna, o czym traktowała ta rozmowa.

Krister Eriksson w pożyczonym szlafroku przemykał cichutko korytarzem w hotelu SPA. Pod pachą trzymał koszyczek, w którym trzeba było zdeponować telefon i inne przedmioty wartościowe. Odpuścił sobie medytację z misami dźwiękowymi i cieszył się na samotną przedobiednią drzemkę.

Sen zawiódł go jednak niczym kiepskie ubezpieczenie i Krister – poniesiony impulsem – wysłał Rebecę wiadomość: „Widzę, że macie ręce pełne roboty. Czuję się jak zdrajca. Ale stopy mam idealnie gładkie po fish pedicure. To rybki usuwające zrogowacenia skóry. Czy odważę się na sushi w tutejszej restauracji?”

Ragnhild Pekkari, leżąc na łóżku, rozmyślała o mężczyznach i miłości. Czym była dla mnie miłość? Lękiem przed samotnością. Instynktem rozmnażania się. Powtarzaniem porażek z dzieciństwa: jeśli nie mogłam uratować brata w nieszczęściu, to będę ratować mężczyzn, którzy mi go przypominają. Jeśli mój tato nie potrafił mnie kochać, to znajdę facetów o zimnych sercach i postaram się im przypodobać.

Już dawno temu postanowiła wycofać się z tego szaleństwa zwanego miłością. Przez wystarczająco wiele lat widziała, jak jej koleżanki usługują swoim mężom, biorą na siebie odpowiedzialność za dzieci, sprzątanie, dom, relacje, rodziców, również męża. W najlepszym razie czuły się niedostrzegane i niekochane, w najgorszym – sterane, szykanowane, maltretowane psychicznie i fizycznie. Ale nie ustawały w staraniach. Nie uczyły się wymieniać korków czy opon i dalej żyły w przeświadczeniu, że nie poradzą sobie same.

No i te wszystkie kobiety, które przyjeżdżały na pogotowie, ponieważ zleciały ze schodów, poślizgnęły się w łazience, spadły z łóżka. Ze strachem w oczach i z zaciśniętymi ustami, które nigdy nie powiedziały, co tak naprawdę się wydarzyło.

Dopiero po czasie zrozumiała, jak sama została zaprogramowana na zniszczenie własnego życia przy pomocy mężczyzny.

Po przeprowadzce do Kiruny *äiti* się zmieniła. Cała jej wiedza nagle stała się bezwartościowa. Na wyspie była silną kobietą, która umiała wszystko. Zajmowała się hodowlą zwierząt oraz ich ubojem, konserwowała, piekła, robiła masło, kosiła trawę na siano, gręplowała, przędła, tkła, robiła na drutach, leczyła ziołami. W mieście tego typu wiedza nie była potrzebna. *Isä* pracował w LKAB^[20], zakupy spożywcze robili w Konsumie. Doktor leczył najmniejszą przypadłość, a ubrania kupowało się w sklepie. *Äiti* została panią domu. Sprzątała i dwa razy do roku zmieniała zasłanki w oknach. Kurczyła się.

Ragnhild przypomniała sobie pewien późny wieczór, miała wtedy czternaście lat. Leżała w łóżku i słyszała rozmawiających w kuchni rodziców. *Äiti* zmywała naczynia, *isä* opowiadał o pracy w warsztacie naprawczym, przerzucając strony w „Norrländskan”. Czekala, aż rodzice usną, żeby wymknąć się z mieszkania. Zaczęła bowiem bywać w mieście nocą. Spotykać się z chłopcami, pić alkohol. Virpi spała jak zabita w łóżku obok.

Ragnhild słyszała, jak *isä* opowiada o upierdliwym gościu, który prowadzi badania czasu pracy. Jak biega za każdym robotnikiem z ołówkiem w ręce i papierami przypiętymi do pilśniowej podkładki.

– Mierz, ile czasu zajmuje ci przyniesienie śrubokręta – narzekał *isä*. – Liczą twoje kroki, notują, czy rozmawiasz z kolegami o rzeczach związanych z pracą, czy przypadkiem nie zdarzyło ci się wspomnieć o wędkowaniu. Pilnują cię ze stoperem przed sraczykiem, odmierzają twoje przerwy i to, jak długo idziesz po części zamienne. A potem potracają ci z pensji, jak nie

wyrobisz normy.

Pieprzone liczygrosze, cholerny system akordowy, narzekał. Ta nowa organizacja pracy dzieliła robotników i sprawiała, że opłacało się odwalić fuszerkę. Byle szybko, reszta nie miała znaczenia. No i Henry, który zaniedbywał gospodarstwo. Wyprzedawał las, żeby mieć jakiś dochód.

– Nie pasuję do tego życia – powiedział *isä*. – Czuję, że grunt mi się usuwa spod nóg.

A potem głos *äiti*, stłumiony, niechętny:

– Sam tego chciałeś.

Ragnhild już dawno temu przestała płakać z tęsknoty za wyspą. Teraz nocami chciała wychodzić ukradkiem, upijać się i obściskiwać z chłopakami. Ciągłe jeszcze jeździła z *äiti* na wyspę, żeby sprzątać u Henry’ego, ponieważ była zmuszona. Ale już wtedy szukała własnego szczęścia.

Dorośla Ragnhild zmusiła się do porzucenia myśli o młodości. Wstała z łóżka i poczuła osobliwą słabość nóg. Spojrzała na zegarek. Już siódma. Miała w planach kolację z Börjem i właśnie nadeszła na to pora.

Wyjęła z półki Biblię. Znalazła opowieść o Jonaszu. Jonaszu, który za nic nie chciał ruszyć do Niniwy i popłynął do Tarszisz. Musiała usiąść na sofie, czytając jego modlitwę: „Wody objęły mnie zewsząd, aż po gardło” i „Do posad gór zstąpiłem, zawory ziemi zostały poza mną na zawsze”.

Każdy ma swoją Niniwę, pomyślała. I ratuje się ucieczką. Woli, żeby załoga wyrzuciła go za burtę.

Osunęła się na kolana. Zebrała do modlitwy. Nie modliła się, odkąd przestała być dzieckiem. Miała wrażenie, że woła w ogromnym pustym magazynie. Pomyślała o Rebecce Martinsson. I o Virpi. Myśli przyssały się do Pauli. One były jej Niniwą.

A potem zaczęła modlitwę jak wiele nienawykłych do niej osób:

– Nie wiem, czy w ciebie wierzę. Ale nie wiem też, gdzie się podział.

I wtedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Przez judasza zobaczyła Börjega Ströma.

Nie otworzę, pomyślała.

Ale ręka nacisnęła klamkę.

Miał ze sobą torbę ze spożywczego. Spojrzała mu w oczy. Nie było w nich tej dawnej pewności siebie. Żadne z nich nie spuściło wzroku.

Dwie zbłąkane osoby, które wpadły na siebie w środku zamieci śnieżnej, pomyślała.

– Hej, maleństwo! – przywitał się. – Zostawiłaś mnie.

– Tak.

– Zrobiłem zakupy – powiedział, podnosząc torbę.

Ragnhild otworzyła usta, by powiedzieć, że nie jest głodna. Powiedzieć, żeby się stąd wyniósł. Zapytać, czy jego kobieta wie, gdzie on się szwenda.

Ale usta jej nie słuchały. Powstrzymały się z odmową i rozciągnęły we wdzięcznym uśmiechu. Nogi odstąpiły na krok, żeby Börje mógł wejść do mieszkania.

„Maleństwo”. Nikt do niej tak się nie zwrócił, odkąd skończyła jedenaście lat i przerosła wszystkich chłopaków w szkole. I zaczęła życie, w którym nazywano ją różnie, od długonogiej i góry po goryla.

„Maleństwo”. Przypomniła sobie tych śmiazków, którzy przed laty prosili ją do tańca. Kiedy ona siedziała, a oni jeszcze nie rozumieli. Widząc, że są stanowczo za niscy, uprzejmie odmawiała. Wpadali wtedy w złość. Wyrzucali z siebie pijackie wiązanki: „A ty co, królewna jakas? To co tutaj, kurwa, robisz, jak nie chcesz tańczyć?”. Nalegali, coraz bardziej upierdliwi.

W końcu się podnosiła. A wtedy niemal robili w gacie. Patrzyli w górę na chwiejnych nogach. „Ożeż kurwa”, wrywało się im, „co za potwór!”.

A teraz: „Maleństwo”. Miała ochotę wtulić się w to słowo.

Börje zzuł swoje buty w rozmiarze 51 i wszedł do kuchni. Podążyła za nim niczym bezpański pies.

– O, to jest kuchnia, która odpowiada moim potrzebom – powiedział, gładząc z zadowoleniem podwyższone przez Ragnhild blaty.

– To samo zrobiłam w łazience – wychrypiała. – Podniosłam lustro i umywalkę. Nie mam ochoty ciągle przykucać we własnym domu.

On pokroił cebulę i roztrzepał jajka. Zrumienił omlet z jednej strony, nie szczędził tartego sera Västerbotten. Złożył na pół. Przygotował sałatę.

Ona biła się z czarnymi myślami. Począwszy od tej, że jako rozpieszczony facet nie będzie potrafił nawet ugotować jajka, zakończywszy na tej, że właśnie prezentuje swój uwodzicielski trick. Że przed nią było sto innych kobiet, które – podobnie jak ona teraz – obserwowały pichenie tego samego omletu.

A po chwili przyszło jej na myśl, że czekała na niego od lat. Że zabłądziwszy, wybrała kiedyś złą ścieżkę, która coraz bardziej oddalała ją od tego, co miało być jej życiem. Teraz była na właściwej drodze. Spotkała równie rosłego mężczyznę. W dodatku na wyspie, gdzie jej życie ciągle było tym niepozorowanym. Przypadek? A może palec boży?

Börje snuł wspomnienia z Kiruny, o ludziach, których spotkał w mieście, jak gdyby znali się od dawna. I na szczęście nie miał na sobie tej okropnej liliowej koszuli.

Jedli. Wypiła kilka szklanek wody. Odzyskała siły.

On zmywał. Ona wycierała. Potem złapał ją za ręce. Nie opierała się. Dotyk, doznanie zmysłowe innego człowieka. Tak potwornie dawno tego nie czuła. Zazwyczaj dotykała swoich pacjentów. Ale ich też już nie miała. Przez całą zimę trzymała w rękach tylko książki.

Jej skórę trawił głód. Czuła dojmujący głód człowieczej bliskości. Pozwoliła więc ciarcom rozejść się po ciele, od rąk aż do łona.

Miał inną kobietę. Ale to problem na później.

Teraz jego dłoń gładziła jej włosy. Zdjęta strachem, musiała się powstrzymać, żeby nie odtrącić jego ręki.

– Nie wiem, czy sobie z tym poradzę – powiedziała, chcąc podzielić się uczuciem.

– Mój tato był przestępcą – oznajmił.

To przyszło z nagłą i znikąd. Zrozumiała, że owo przeświadczenie czało się w nim od jakiegoś czasu. Opowiedział o wizycie u swoich byłych trenerów, o staruszku i historii z fałszerstwem banknotów.

– Miałem o nim tak wysokie mniemanie. Dla mnie był... A to wszystko kłamstwo.

– Witaj w klubie. – Zaśmiała się ponuro. – Mój brat... Nie to, że kiedykolwiek miałam o nim wysokie mniemanie. Ale my nie jesteśmy nimi.

– Niezupełnie – odparł, patrząc na swoje wytatuowane ramiona.

– Chcesz się położyć? – zapytała. – Nie musimy...

Z wdzięcznością skinął głową.

– Odsapniemy? – zapytał. – Nie musimy się rozbierać.

Weszli do sypialni. Na podłodze, niczym wylinki, leżały wszystkie przymierzane wcześniej przez Ragnhild ubrania.

Położyła głowę na jego ramieniu. On objął wolną ręką tył jej głowy i ucho. Dźwięk, który powstawał, gdy jego dłoń wodziła wolno po małżowinie, przywodził na myśl wodę, szum fal. Albo szmer wód słyszany przez dziecko w łonie matki.

- Trzeba żyć z dnia na dzień – powiedziała.
- Trzeba żyć każdego dnia, to masz na myśli?

Nie miała ochoty się droczyć. Słuchając uspokajającego szmeru dłoni, która pocierała ucho, zapadła w drzemkę.

WTOREK, 3 MAJA

SMARKACZ OBUDZIŁ REBEKE, nim zadzwonił budzik. W ciągu dziesięciu minut nastawiła kawę, wzięła prysznic i upięła włosy. Musiała dzisiaj pojechać do sądu, ale wszystkie sprawy miała w małym palcu, mogła więc sobie pozwolić na chwilę z kawą na ganku.

To jest mimo wszystko życie, pomyślała, siedząc na schodkach z kubkiem w dłoniach. Poranne słońce jeszcze nie grzało. Ale zapowiadało się na prawdziwie ciepły dzień. Smarkacz szalał po podwórku ze znalezionym przez siebie patykiem. Podrzucał go i ślizgając się na wysepkach lodu, rzucał się za nim w pogoń. Zarażał ją swoją psią radością.

Odsunęła od siebie telefon, by ręka przypadkiem nie weszła na Instagram Marit Törmä.

Mogę sama decydować, o czym chcę myśleć, powiedziała w duchu i skierowała twarz do słońca. To mi wystarczy. Praca. Psy. Sivving. Trochę słońca. Trochę kawy.

Zostawiła Smarkacza u Sivvinga. Zanim od niego wyszła, wmusił w nią kanapkę.

Godzinę później mieli odprawę. Rebeka Martinsson i Anna Maria Mella zdały relację z wizyty u Fransa Mäkiego, czyli Borówkowego Króla, jego rosyjskiej żony i dwóch mężczyzn z psem bojowym.

– Ciekawe, kim jest ta młoda dziewczyna – zastanawiała się Anna Maria. – Wspólną partnerką tych facetów?

– W kamperze przyjmowały trzy dziewczyny, prawda? – myślał głośno Karzan Tigris. – Jeśli to właśnie te osiłki prowadziły samochód, co wydaje się dość prawdopodobne... Dwie kobiety nie żyją. Czy w takim razie ona nie jest tą trzecią?

– Nie możemy ich wezwać na przesłuchanie? – zapytała Magdalena Vidarsdotter.

– Ponieważ nie mamy nic konkretnego, będą zaprzeczać – odpowiedziała Rebeka. – Zaprzeczają wszystkiemu. Albo przesiedzą całe przesłuchanie w milczeniu. Wiecie, jak to jest.

– To doprawdy dziwne, że kompletnie nic o nich nie wiemy – powiedziała Anna Maria. – Żadnych zgłoszeń, podejrzeń, nic!

– A może to tylko grupa nieprzyjemniaczków, która właśnie tam się wprowadziła? – zaproponował Tommy Rantakyrö.

– To następstwo telefonów nie jest przypadkowe – stwierdziła Rebeka. – Nie może być dziełem przypadku. Tego wieczoru, kiedy umierają Henry i dwie kobiety w śniegu, właśnie Henry albo ktoś inny z jego telefonu dzwoni do Ollego Pekkarięgo. W niespełną minutę po tej rozmowie Olle albo ktoś inny z tego aparatu dzwoni do Borówkowego Króla.

– Jeden z nich miał broń pod kurtką – powiedziała Anna Maria. – Uwierz mi, to było coś więcej niż grupa nieprzyjemniaczków. Robili wrażenie... – szukała odpowiedniego słowa i znalazła je – ...profesjonalistów – dokończyła.

– Proponuję przerwę – oznajmiła Rebeka. – Dzwońcie do swoich informatorów, do ludzi, którzy znają ludzi w odpowiednich kręgach, że się tak wyrażę. Ktoś musi wiedzieć, co to za jedni.

Wszyscy się rozeszli. Rebeka przeczytała jeszcze raz wiadomość od Kristera. „Czy odważę się na sushi w tutejszej restauracji?” Zwlekała z odpowiedzią. Ale teraz minęło już wystarczająco dużo czasu. „Smarkacz pozdrawia i mówi, że chętnie zje te rybki prosto z bali i do moczenia nóg”, napisała i od razu wysłała.

Możemy przecież w dalszym ciągu być kumplami, pomyślała.

A potem co chwilę sprawdzała, czy Krister nie odpowiedział, aż do końca przerwy czterdzieści minut później.

Nikt nie miał nic do powiedzenia o Rosjanach. Ale Fred Olsson zaobserwował, że jeden

z jego informatorów sprawiał wrażenie zastraszonego.

– Myślę, że coś wie – powiedział Fred. – Takie miałem odczucie. Ale zapewniał, że nie ma zielonego pojęcia. I jeszcze jedna rzecz. Rosa Larsson i Heikki Vinberg wyprowadzili się z miasta.

– Co to za jedni? – zapytała Magda Vidarsdotter.

– Przez ostatnie dwadzieścia lat zapewniali mieszkańcom Kiruny dostawę wszelkich substancji uzależniających – odpowiedziała Anna Maria.

– Oprócz czterech lat na początku wieku, kiedy Rosa miała dłuższą odsiadkę – dodał Fred.

– Naprawdę się wyprowadzili?! – wykrzyknęła Anna Maria. – A kiedyż to? I dokąd?

Fred wzruszył ramionami.

– Ponad pół roku temu. Poza granice Norrbotten w każdym razie, według mojego źródła.

– Trudno mi w to uwierzyć – kontynuowała Anna Maria. – Heikki Vinberg chyba nigdy nie był na południe od Gällivare. Nie wiem, jak wy, ale ja myślę, że gdy małe rybki chowają się w szuwarach, a te średniej wielkości odpływają, to...

– ...znaczy, że w jeziorze pojawiła się duża ryba – uzupełnił Fred Olsson.

– Pozostaje nam kogoś nastraszyć i w ten sposób zmusić do mówienia – stwierdziła Anna Maria i od razu zatęskniła za Svenem Erikiem, który rzadko uznawał zastraszanie ludzi za dobrą metodę.

– Czy jesteście pewni, że te zmarłe kobiety to dziwki? – zapytał Tommy.

– Trudno pominąć tę wytatuowaną czerwoną parasolkę – odparła Rebeka.

– Nie możemy po prostu wezwać Borówkowego Króla na przesłuchanie? – nie dawała za wygraną Magda. – Jako świadka w postępowaniu przygotowawczym?

– Muszę najpierw sprawdzić to zaświadczenie lekarskie, którym nam wymachiwali przed nosem – dodała Rebeka. – Tak czy owak, zacznę od nakazu przeszukania u Ollego Pekkariego i rekwizycji jego ksiąg rachunkowych, wszystkich umów, dokumentów poświadczających, wszystkiego, co dotyczy jego działalności gospodarczej. Jeśli razem z Borówkowym Królem robił jakieś przekręty, to ja je z tych papierów wytrząsnę. I może wtedy zrobi się ciut bardziej rozmowny.

– Czy wiemy coś więcej o tożsamości tych kobiet? – zapytała Anna Maria.

– Przesłaliśmy rentgeny zębów do NOA – odparł Fred. – Właśnie, mógłbym dostać zdjęcia tych osiłków? Wrzucę je do systemu rozpoznawania twarzy.

– Leżą na moim biurku – powiedziała Anna Maria. – Przekopuj się w dół, to znajdziesz.

– Coś nowego o skuterze Henry'ego? – zapytała Rebeka.

Anna Maria pokręciła głową.

– Żadnych odcisków palców oprócz właściciela. Ale to bez wątplenia właśnie ten skuter przejechał po kobietach w śniegu.

Gdybyśmy nie odkryli, że Henry sam padł ofiarą zabójstwa, wychodzilibyśmy z założenia, że to on, pomyślała policjantka. Że najpierw je rozjechał, a potem zmarł. Co tam się tak naprawdę wydarzyło?

– Myślę, że trafiliśmy na coś większego – oznajmiła Rebeka. – Przystępczość zorganizowaną. Której przez dość długi czas udawało się przemykać pod radarem. Musimy się zorientować co do jej rozmiarów. No i czego dotyczy. Chodzi tylko o narkotyki i seks? Czy coś jeszcze poważniejszego? Im dłużej zdążymy popracować, nie wywołując u nich niepokoju, tym lepiej. Jedną wizytę policji już zaliczyli.

Spojrzała na zegarek. Czekają ją rozprawy w sądzie. Ale najpierw chciała zlecić przeszkanie mieszkania i pojechać do firmy Ollego Pekkariego. Liczyła, że jak zwykle coś się znajdzie.

Miała dwa nieodebrane połączenia, jedno od Pohjanena, drugie od Sivvinga. Załatwione, obiecała, choć przecież nie miała pojęcia, czego od niej chcieli. Zaraz to załatwię!

Marit Törmä rzuciła okiem na leżący na hotelowym łóżku telefon Kristera, nagle rozświetlony. Naprawdę udał im się ten niewielki urlop. Przerwa w codzienności. Zdjęcia z myślą o Instagramie robiła zazwyczaj wtedy, gdy go nie było w pobliżu. Kiedy publikowała swoje fotografie, wzbierało w nim coś w rodzaju skrywanej niecierpliwości. Sprawiało jej to niemal przykreść. To przecież właśnie jej konto na Inście w dużej mierze sfinansowało ten pobyt. Inne influencerki mają mężów, którzy chętnie trzymają w ręku aparat, gdy żony trenują jogę albo coś innego. Ona czuła się zmuszona, by robić wszystko w pośpiechu i w ukryciu. Jakby posiadanie popularnego konta było czymś nagannym.

Krister spuścił wodę w toalecie.

Wiadomość na Messengerze była od Rebeki. Marit pochyliła się nad telefonem i przeczytała: „Smarkacz pozdrawia i mówi, że chętnie zje te rybki prosto z balii do moczenia nóg”.

– Idę na masaż! – krzyknęła i zanim Krister zdążył odpowiedzieć, wyszła z pokoju.

Miała ochotę biec, choć do masażu zostało jeszcze pół godziny. Zmusiła się do zwolnienia kroku. Korytarze były tutaj nieskończenie długie.

Z przeciwnej strony nadchodziła grupka kobiet, którą Marit i Krister spotkali w drodze powrotnej ze śniadania. Dostyc głośne, rozmowne i rozchichotane. Na widok Kristera u jej boku zamilkły. Teraz śmiały się i trajkotały w najlepsze, któraś z nich nawet ją pozdrowiła.

W Kirunie miał wysoki status społeczny. Wszyscy wiedzieli, kim jest. Krister to ratownik górski i przewodnik psów policyjnych. Na południe od Luleå sprawy przedstawiały się inaczej. Nieustanne spojrzenia obcych, nie zawsze dobrze skrywane. Dzieci, które ku przerażeniu rodziców pytały wprost: „Dlaczego jesteś taki brzydki?”, „Dlaczego nie masz uszu?”. Wobec dzieci był niespotykane cierpliwy i miły. Opowiadał o pożarze. Podziwiała go za to. Uwielbiała to.

Masażystka komentowała jej umięśnione ciało i pytała o trening; była zdecydowanie zbyt rozmowna. Marit wolałaby leżeć w milczeniu, ale czuła się w obowiązku udzielać uprzejmych odpowiedzi.

A więc esemesuje z Rebeką. Nie powinna się tym przejmować, ale nawet o tym nie wspomniał. Zawsze opowiada o SMS-ach od siostry albo Marcusa.

To ona była siłą napędową na początku ich znajomości. Od rozstania z Rebeką minęło trochę czasu. Odezwała się do niego, ponieważ planowała wyprawę do jaskiń w Björkliden i chciała zapytać o przejście przez syfon. Konwersacja w wątku zakończyła się jej wpisem. Nie wiedziała, czy powodował ją instynkt rywalizacji, czy zwykła ciekawość, w każdym razie odezwała się ponownie. Nie była przyzwyczajona do tego, że mężczyźni tracą zainteresowanie, kiedy ona je okazywała. Wysłała zdjęcie zapakowanego plecaka. I w końcu dopisała: „Jak chcesz, to możesz ze mną pojechać”.

Poświęciła temu związkowi dwa lata swego życia. Była cierpliwa. Ze względu na Marcusa Krister wolał poczekać z decyzją o wspólnym zamieszkaniu. Chłopiec potrzebował spokoju i poczucia bezpieczeństwa. Ale przecież kiedyś coś się musi zacząć dziać. Ona też chciała mieć dzieci. Własne.

Nie lubiła myśleć w ten sposób, ale tak naprawdę Krister powinien być wdzięczny, że ją ma. A on teraz esemesował z Rebeką. Zajmował się jej psem. A Marcus udostępniał jej wideoklipy na YouTube. Czasami Marcus tęsknił tak bardzo za Smarkaczem i Sivvingiem, że do nich przyjeżdżał.

Może to gra niewarta świeczki?, pomyślała.

Kiedy wracała z masażu, zobaczyła, że masażystka dołączyła do jej obserwatorów i zalaj-

kowała dwadzieścia fotografii.

Po śniadaniu Ragnhild Pekkari wsiadła do samochodu i pojechała do szpitala w Gällivare. Sto trzydzieści kilometrów w jedną stronę, ale gdyby Mervi Johansson jednak miała nie przeżyć, pragnęła się z nią pożegnać. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że nie zajrzała do niej, gdy przyjechała na wyspę, ani za pierwszym, ani za drugim razem. Była u niej za to Rebeka Martinsson. Mervi z pewnością snuła domysły.

Po rozmowie z pielęgniarką na oddziale pulmonologicznym dowiedziała się, że może przyjść w odwiedziny, gdy tylko zakończy się obchód. Usiadła więc w kawiarence szpitalnej i spędzała czas na popijaniu kawy i przeglądaniu wczorajszej popołudniówki. Obserwowała odwiedzających i personel. Wszyscy zajęci swoimi myślami. Praca, niepokój, choroby. Była z tym wszystkim obeznana. Dziewczyna z kasy układała kanapki w ladzie chłodniczej. Obsługiwała klientów z niewymuszoną uprzejmością. Zerknąwszy na zegarek, Ragnhild zdziwiła się, że tak szybko pokazał kwadrans po dziesiątej.

Skóra Mervi była cienka i miękka jak jedwab. Ragnhild chwyciła staruszkę za rękę. Jakżeż ona zmalęła! Szpitalna koszula nocna zwisała z jej ramion niczym wielki żagiel.

– Jestem Ragnhild Pekkari – przedstawiła się. – Poznajesz mnie? Córka Isaka i Helmi.

– Ach, tak, Ragnhild – powiedziała Mervi z roztargnieniem i zamknęła oczy.

Może mnie nie pamięta, pomyślała Ragnhild.

Żaluzje załamywały ostre wiosenne światło. W sali panował przyjemny półmrok. Ragnhild zastanawiała się, czy staruszka znów zapadła w drzemkę. Ale ta nagle otworzyła oczy.

– Przyjechałaś tu aż z Kiruny?

– Tak. To przecież niespecjalnie daleko. Słuchałam radia.

– Zapłacę ci za benzynę.

– No chyba zwariowałaś! Zafarbowałaś włosy? Na różowo?

Mervi podciągnęła się na łóżku. Ragnhild wykorzystała okazję, by poprawić jej poduszkę.

– Wiesz co – powiedziała Mervi – gorąco ci polecam różowy kolor. Nagle skupiasz na sobie tyle uwagi. Jeden pielęgniarz tutaj, taki z dredami, uważa, że jestem bardzo ładna. Nigdy nie jesteś za stara!

Mrugnęła znacząco.

– Masz kogoś nowego?

Ragnhild zaprzeczyła gestem.

– Nie, broń Panie Boże!

– Miałaś takiego pecha z tym Tordem. Ożeż! Dobrze się wtedy spisałaś.

Ragnhild poczuła ból w policzkach i na czole. Chciała potrząsnąć głową. Wcale się dobrze nie spisała.

– A jak tam z Paulą?

– Dobrze.

Bo było dobrze. Widziała na Facebooku, że Paula ma się dobrze. Ale nie utrzymywały ze sobą żadnego kontaktu. Ragnhild wysyłała wnuczkom prezenty urodzinowe, choć nie miała pewności, czy do nich docierały. Może córka wyrzucała je, nawet ich nie otwierając? Nie dostała nigdy ani słowa podziękowania.

– Ragnhild Pekkari! Kopę lat! – usłyszała nagle za plecami.

W drzwiach stanęła kobieta w jej wieku. Siwe włosy i oczy Mervi.

– Stina, córka Mervi. Cześć, mam, przyniosłam ci trochę ubrań i parę drobiazgów. Jak się czujesz?

– Świetnie! – odpowiedziała staruszka. – Wracamy do domu?

Stina wywróciła oczami.

– Moje własne dzieci chcą mnie przeprowadzić do ośrodka w Pajali – zwróciła się Mervi do Ragnhild.

– Mają jedno miejsce – powiedziała Stina, również kierując słowa do Ragnhild. – Mervi nie może dłużej mieszkać sama. Obawiamy się o nią.

– A czy ja się nie obawiałam o nie całe swoje życie? – Mervi nie spuszczała oczu z emerytowanej pielęgniarki. – Decyduję o sobie sama i już! No chyba że mnie ubezwłasnowolniliście? Stina westchnęła zrezygnowana i wypakowała z papierowej torby kosmetyczkę i ubrania. Ragnhild uściśnęła rękę staruszki.

– Była tutaj policja i rozmawiała z mamą – odezwała się Stina. – Coś okropnego, co się stało z twoim bratem. Ale mama nie wiedziała nic więcej oprócz tego, że za powozownią jeździł skuter.

– Kiedy zapytali mnie trzeci raz o to samo, to im powiedziałam, że koniec rozmowy – uzupełniła Mervi.

Mrugała oczami jak zmęczone dziecko. Ragnhild głaskała jej ramię, tak jak kiedyś głaskała Paulę przed snem.

– I wiesz co? – zwróciła się do Ragnhild Stina. – Kiedy byliśmy u mamy, Leif i ja, żeby zabrać trochę rzeczy, to był tam pies. Pies Henry’ego, mamó! – powtórzyła głośniej, ponieważ Mervi znów zamknęła oczy. – Leżał na twoim ganku, kiedy przyszedłam tam z Leifem.

– A gdzie on teraz jest? Pies?

– Psa, czy raczej sukę, mamy ze sobą w samochodzie. Leif powiedział, że dziś wieczorem zabierze ją do lasu i zastrzeli. W przeciwnym razie umrze z głodu. To byłoby znęcanie się nad zwierzętami. Zasnęła? – Stina zaczęła szeptać. – Ona nie może dłużej mieszkać w swoim domu. Teraz ledwo uszła z życiem. A jak się wywróci? Nie radzi sobie z utrzymaniem czystości, to co, mamy do niej przyjeżdżać i sprzątać? Wystarczy zatrucie pokarmowe... Powiedziałam jej prosto z mostu, że to bardzo egoistyczne, że się nie zgadza na ten ośrodek. Ale wiesz, jaka jest. Uparta jak osioł.

Ragnhild skinęła głową. Myślami była przy psie.

O Boże, myślała. Ale co ja mogę począć?

– Rozumiem, że mama chce mieszkać we własnym domu, to nie o to chodzi. Tylko że ona zawsze żyła w tym starym świecie. My się przeprowadziliśmy, ukończyliśmy szkoły. Nauczaliśmy się szwedzkiego. Jasne, ja też wracam w myślach do tego prostego życia, jakim żyliśmy w naszej wiosce. Krowy, sianokosy, łowienie ryb, tato wracający z lasu, zabawy z rodzeństwem. Ale czasy się zmieniły. I trzeba się do nich dostosować. Przecież właściwie niczego nam nie brakuje.

– Tak... – powiedziała Ragnhild, myśląc o tym, jak jej *äiti* rozjaśniała się i znów stawała sobą, kiedy po sprzątanu u Henry’ego zatrzymywała się na chwilę u Mervi na kawę i kobiece pogaduchy.

A potem dodała:

– Suka. Nie możecie jej zabić. Ja się nią zajmę.

– *Älä houraa*, no chyba oszalałaś! Przecież ona jest zupełnie zdziczała.

Mąż Stiny, Leif, czekał w samochodzie na parkingu szpitalnym.

Co jest z tymi facetami?, pomyślała Ragnhild. Dlaczego nie wszedł z żoną do środka?

Leif też uważał, że to szaleństwo, by zachować psa.

– Przecież ona nie wytrzyma w mieszkaniu.

Ale po chwili przyznał z ulgą, iż to dobrze, że nie musi zabijać zdrowego zwierzęcia.

A gdyby Ragnhild zmieniła zdanie, wystarczy tylko zadzwonić.

Suka nie protestowała, ale ze strachu zeszytywniały jej nogi, kiedy Leif przynosił ją do sa-

mochodu Ragnhild. Podał nowej właścicielce powróż.

– Możesz go używać jak smyczy. Zrobiłem luźną pętlę, ale zaciśnie się, gdyby psiunia chciała zwać. Coś w stylu smyczy dla retrievera.

– No tak – zwróciła się Stina do pielęgniarki. – Ty zawsze się troszczyłaś o zwierzęta. Pamiętasz tego cielaka, z którym biegałyście razem z Virpi przez całe lato? Wszędzie za wami chodził, no, oprócz łódki, do której nie chciał wejść. Budowałyście przeszkody, żeby przez nie przeskakiwał. Jakżeż go nazywałyście...?

– Nie pamiętam – odrzekła Ragnhild zgodnie z prawdą.

Suka przez całą drogę powrotną do Kiruny siedziała w samochodzie niczym zrezygnowana więźniarka. Ragnhild z nią rozmawiała.

– Doprawdy nie wiem, czy oddałam ci przysługę. Czasami trudno odróżnić miłość od egoizmu.

Na wysokości Puoltikasvaary przypomniała sobie imię cielaka, z którym Virpi i ona bawiły się któregoś lata. Nazywał się *Onnenkukka*, Kwiatusek Szczęścia. Dawaty mu do picia mleko w wiaderku. A kiedy wszystko wypił, wkładały mu palce do mordy i pozwalały je ssać. Miał takie silne wargi. Pamiętała zmysłowość odczucia, ściśnięte mocno palce między podniebieniem a szorstkim jęzorem.

Zastanawiała się, czy suka też teraz myśli o wyspie. O polowaniu na nornice, o wolności.

A Börje Ström się nie odezwał. Może wrócił do Älvsbyn?

We wtorkowe przedpołudnie Sven Erik Stålnacke pojechał do miasta, choć tak naprawdę nie miał nic do załatwienia. Może zrobił to dla Airi? Żeby nie spędzić dnia w domu na ławie kuchennej. Wiedziony impulsem, skręcił w kierunku Luossavaary. To tutaj planowano przeniesienie kilku starych drewnianych domów.

A potem, stojąc na szczycie, targany wiatrem, kontemlował widok Kiruny. Widział dom, w którym dorastał z wychowującą go samotnie mamą. Kościół, w którym wziął ślub z Hjördis. Dzielnicę willową, gdzie zamieszkali, gdy Lena zaczęła chodzić do podstawówki. Znał każdą ulicę i prawie każdy dom. Wiedział, kim byli właściciele nieruchomości i kto w nich mieszkał. Przypominał sobie życie policjanta, tak bardzo związane z samym miastem. Ulice, na których zatrzymywał kierowców za przekroczenie prędkości, wille, do których przychodził z zaginionymi psami albo wiadomością o śmierci. Gdzie interweniował w wypadku przemocy, pijaństwa, narkotyków albo włamania. Na niektórych domach nie chciał zatrzymywać wzroku. Tam gdzie przychodził po dzieci. Albo realizował nakaz wydalenia z kraju. Można by odnieść wrażenie, że miał za sobą jedno długie pasmo nieszczęść i biedy, ale faktem jest, że zachował pozytywne nastawienie do ludzi. Przez te wszystkie lata zetknął się też z wieloma przejawami dobra. Ludzie udzielali sobie wsparcia w czasach ciężkiej próby. Świadkowie, pokonując strach przed represjami, robili to, co do nich należało. Osoby pracujące w szkole i opiece społecznej walczyły o młodzież. Tyle że ta Kiruna, którą znał i pamiętał, zniknęła teraz w dobrze zaplanowanym osuwisku. Sama podstawa jego wspomnień miała ulec zagładzie. Powstaną nowe domy i ulice, z którymi nigdy nic go nie zwiąże.

W każdym razie dobrze, że tu przyjechał i przyjrzał się miastu z góry. Spodziewał się czegoś znacznie gorszego. Pomyślał, że nie opłaca się uciekać od swoich smutków. One i tak człowieka dogonią. Nie ma innego wyjścia, jak tylko się z nimi zmierzyć.

Opłakiwał swoje miasto przez dwie minuty, aż do chwili, gdy w kieszeni zadzwonił telefon. Nieznany mu numer. Z pewnością jakiś sprzedawca. Chociaż oni też są ludźmi.

Ale to nie był sprzedawca.

– Serwus, panie Svenie Eriku, tu Simon.

Chłopak ze Skåne, z którym rozmawiał na parkingu przed barakami mieszkalnymi. Ten,

który opowiadał o pracownikach seksualnych i Rosjanach w kamperze.

– No, pytał pan o tę trzecią dziewczynę – powiedział Simon. – Dowiedziałem się, gdzie jest. Pracuje w hotelu Mården w Riksgränsen. Ma na imię Galina.

– Dzięki, Simon. A czy Galina ma jakieś nazwisko?

– Nie wiem.

– Kto ci o niej powiedział?

– Taki jeden z baraku, nie mogę zdradzić, jak się nazywa. Ale Galina miała jego numer. Zadzwoiła i powiedziała, że wpadła w tarapaty, więc pomógł jej znaleźć pracę. Teraz w sezonie mają tam komplet gości.

Zakończyli rozmowę. Sven Erik pomyślał, że zawsze opłaca się spotykać ludzi osobiście. Próbował zadzwonić do Rebeki i Anny Marii, ale łączył się tylko z pocztą głosową. Zostawił wiadomość Annie Marii. Błogosławiona chwila, w której znów poczuł się policjantem.

Karzan Tigris i Tommy Rantakyrö pojechali z Rebeką po księgi rachunkowe Ollego Pekkariego i resztę dokumentów dotyczących działalności jego przedsiębiorstwa. Biuro graniczyło z willą syna, Andersa Pekkariego, przy Kengisgatan. Biała cegła na zewnątrz i niewymagające szczególnej troski rośliny wewnątrz. Jasne meble i podłogi bez dywanów, o które można by się potknąć.

Anders Pekkari właśnie miał wychodzić na lunch, ale ponownie powiesił kurtkę.

Był dobrze zbudowanym mężczyzną w okolicach pięćdziesiątki, równie porządnie odprasowanym jak jego ojciec. Wysoki, podobnie jak reszta rodziny.

Przeczytał nakaz, który podała mu Rebeka. Wyglądał na spokojnego, lecz rozszerzone nozdrza zdradzały szybszy oddech, gdy wyciągnął z kieszeni telefon i zadzwonił do swojego adwokata. Potem poprosił sekretarkę, która zresztą była jedyną osobą przebywającą w biurze, żeby pomogła policji zebrać to, czego sobie życzą.

Karzan i Tommy wynosili do samochodu segregatory zawierające dokumenty poświadczające, sprawozdania roczne i Bóg wie co jeszcze. Rebeka została w biurze, chcąc dopilnować, by nic nie zginęło w trakcie tej procedury.

Anders Pekkari zakończył krótką rozmowę telefoniczną i obrzucił Rebekę spojrzeniem, pod którym poczuła się jak zwierzę w klatce. A on mógł to zwierzę dotykać patykiem wetkniętym między pręty.

– Dziwne uczucie, pomyśleć, że ty i ja moglibyśmy być przyszywanymi kuzynami.

Rebeka milczała.

– Ale, jak to mówią, gównu zawsze spływa na dół – kontynuował. – Dziadek i babcia zapewnili Virpi dobry dom. A ona nawet nie przyszła na ich pogrzeby. Szlag by ją! Skakała z kwiatka na kwiatek, aż w końcu znalazła wystarczająco głupiego, żeby jej zrobił dziecko.

Rebeka pomyślała o swoim tacie. Może i był głupi. Ale zmarł, zanim ona wydorowała na tyle, by się o tym przekonać. Rzadko kładł ją do łóżka. Wolał usiąść z piwem przed telewizorem. Czasami jednak udawało się jej go uprosić, żeby przy niej chwilę poleżał. Wtedy kładła głowę na jego ramieniu. A on opowiadał o leśnym życiu łoszaka Paiju. „Łoszak Paiju cieszy się, że w końcu nastąpi lato. Wchodzi do jeziora i podjada lilie wodne, na samym dnie. Wygląda tak, jakby nurkował. Znika pod wodą, ale po chwili podnosi głowę i przeżuwa”.

Kochałam cię, pomyślała. Tak bardzo cię kochałam.

– Pracowałaś wcześniej jako adwokat w Sztokholmie, prawda? – kontynuował Anders Pekkari. – Co się tam właściwie stało? Chodzą pogłoski, że spałaś z szefem i że w końcu cię stamtąd wylali. A teraz kopa daje ci nadużywanie władzy w prokuraturze. Można zrozumieć, że jesteście ze sobą spokrewnione, Virpi i ty.

Rebeka widziała, jak sekretarka robi wszystko, by udawać, że tego nie słyszy. A po chwili

Karzan Tigris wszedł do środka.

– Ten też? – zapytał, wskazując na karton. – Ostatni?

– Tak, został tylko ten – odparła Rebeka. – Coś jeszcze?

To ostatnie pytanie skierowała do Andersa Pekkariego.

– O, z pewnością będzie więcej rzeczy. Obiecuję!

– Całe szczęście, że się człowiek na czymś takim nie zna – powiedział Karzan, kiedy znów siedzieli w samochodzie. – Ile czasu zajmie przeczytanie tego wszystkiego?

Zerknął na leżące z tyłu kartony.

– Nie potrzebuję czytać wszystkiego – odpowiedziała Rebeka. – Muszę tylko...

Zakończyła niepoważnym wzruszeniem ramion.

...znaleźć igłę w stogu siana, pomyślała. Jeśli ta igła w ogóle tam jest. Musi być, pomyślała chwilę później. I ja ją znajdę. I wbiję prosto w tę nadętą rodzinę.

Spojrzała z ukosa na Tommy'ego. Czekwała na jakiś rozweselający komentarz, ale Tommy siedział w milczeniu, wpatrzony w miasto, które rozplywało się w wiosennych roztopach.

Zadzieram ze zwykłymi, przywoitymi ludźmi, pomyślała. A on nie chce mieć z tym nic wspólnego.

Odparła ciężkie uczucie samotności. Próbowwała pozostać przy gniewie.

Anders Pekkari zamknął drzwi za organami władzy. Poleciał sekretarce, żeby poszła do domu. Po czym wykonał trzy rozmowy telefoniczne. Pierwszą do Carla von Posta. W końcu byli braćmi rotarianami.

– Mamy z nią ogromne problemy – powiedział von Post, wysłuchawszy Andersa, i obiecał, że się tym zajmie.

Drugi telefon Andersa Pekkariego odebrał reporter z „Norrländska Socialdemokraten”. Córki obu mężczyzn grały w tej samej drużynie hokeja. Rodzina Pekkariich od lat wspomagała klub finansowo.

Na koniec Anders zadzwonił do żony Borówkowego Króla, Marii Mäki. Ponieważ musiał. Opowiedział, co się wydarzyło i jakie podjął działania. Kobieta była szorstka i małowówna.

– *They have nothing*, nic na nas nie mają – powiedziała. – Zachowaj spokój. To tylko jak dziury powietrzne. No wiesz, turbulencje podczas lotu. Czujesz je w żołądku, ale to przecież nic.

Chciał zaprzeczyć, chciał krzyknąć jej w słuchawkę: jak to nic!?

– No, to powiedz teraz – mówiła dalej – jak idzie córce w hokeju. A syn radzi sobie w szkole?

Lodowaty strach ścisnął mu trzewia.

– Dobrze – wychrypiał i zakończył rozmowę.

Siedział przy stole w swoim pustym biurze, ciągle z telefonem w ręku. Dopiero gdy ujrzał skapujące nań krople, zrozumiał, że płacze. Chlipał jak mały wystraszony chłopiec.

Rebeka Martinsson podwiozła Karzana i Tommy'ego do komendy. Kartony z segregatorami leżały na tylnym siedzeniu. Zamierzała zacząć je przeglądać jeszcze tego wieczoru. Może odszuka swoje stare buty do biegania i zrobi rundkę przed obiadem.

Do dzieła!, zachęciła samą siebie, czując, jak znów ogarnia ją dobry nastrój. Po czym wyleczyła się z niego, wchodząc na Instagram Marit Törmä. Marit i Krister w japońskim kąpielisku ze sztokholmskimi szterami w tle (3572 lajki) i masaż pałeczkami z bambusa (6213 lajków).

Zerknęła na telefon. Nic nowego od Kristera.

Wiedziona impulsem, zadzwoniła do Månsa.

– Martinsson! – wykrzyknął na powitanie. – Trochę się w tej Kirunie dzieje! Truposze w zamrażarce i dziwki w śniegu.

– Żebyś wiedział. To właśnie tutaj dzieją się rzeczy!

– Słyszałem, że Taube ma cię odwiedzić w drodze na narty.

– Mhm...

Może czekał, aż mu zaproponuje, żeby się zabrał z Marią na północ? Trudno go było rozgryźć. Zaczęła więc z innej beczki.

– Znasz kogoś, kto się zajmuje przestępczością zorganizowaną? I kto naprawdę zna się na rzeczy?

– Nie macie takich specjalistów w prokuraturze?

– Mamy.

– Tylko że te najlepsze osoby są gdzie indziej, prawda? To była twoja decyzja, żeby grać w poprzedniejszej drużynie. Ale jasne, mogę sprawdzić. A co tam się u was właściwie dzieje?

Powinna mu rzucić jakąś kość. Wszyscy prawnicy lubią wiedzieć więcej niż media. To plotkarskie towarzystwo. Chcą wiedzieć, kim jest celebryta przyłapany na jeździe po pijaku. Chcą znać prawdziwe powody rezygnacji polityka, który odszedł ze względu na „sytuację rodzinną”.

Ale nie miała żadnej kości.

– Chyba coś znaleźliśmy – powiedziała tylko. A po chwili się poprawiła: – Czy raczej, na coś wpadłyśmy.

Opowiedziała o wizycie u Borówkowego Króla. O budzących grozę mężczyznach i o psie, który wabił się Bengt.

– No, to można nazwać prawdziwą rodziną plus – powiedział rozochocony Måns. – Znam jedną osobę, z którą mogłabyś porozmawiać. Wcześniej zatrudniona w urzędzie skarbowym jako specjalistka w dziedzinie przestępczości zorganizowanej. Taka, co ze względu na pracę ma tajny adres. Potem przeszła do sektora prywatnego. Jest biegłą w firmie ubezpieczeniowej. Zapytam, ale nie obiecuj sobie zbyt wiele.

– Nigdy sobie za dużo nie obiecuję, gdy chodzi o ciebie – powiedziała Rebeka. – Ty i ci twoi znajomi. Dużo kostiumu i mało zawartości.

Zaśmiał się.

– Niech cię szlag, Martinsson!

Naprawdę niewielu miało odwagę rozmawiać z nim lekceważącym tonem. Coraz więcej osób po prostu się go boi. Na dłuższą metę to dość nieprzyjemne.

– Co ty robisz tam na północy? – zapytał. – Nie mogę cię zrozumieć.

– Nie wiem. Przyjedź i mnie porwij.

Zauważyła, że w kubku wciśniętym w uchwyt jest jeszcze trochę kawy z rana. Dopięła. Zimna, ale nie całkiem ohydna.

Måns zaśmiał się ponownie. Ale nie skomentował propozycji przyjazdu. To nie było przecież poważne zaproszenie. I już dawno przestała mówić, że za nim tęskni.

Po prostu nie chce być sama, pomyślała.

On przestał nalegać, żeby wróciła do Sztokholmu. Lubił ją, niewątpliwie. Ale lubił ją taką jak teraz. Pełną energii. Na tropie. Ładną i świeżo wykąpaną.

A co z całą resztą mnie?, pomyślała. Kto ją pokocha?

Ona i on to już historia. W każdym razie łąda moment.

Måns zaczął opowiadać o niedawno kupionym zegarku. Gino Rossi, model Skadi, tylko pięć egzemplarzy, czarna stal damasceńska, czerwone złoto i masa perłowa.

– Czterdzieści dwa tysiące dolarów plus podatek.

Słuchała cierpliwie. Nigdy nie potrafiła pojąć tej części składowej Månsa. Tego zamiłowania do przedmiotów. Że są aż tak ważne. Samochody, łodzie, domy na Majorce, zegarki. Garnitury szyte przez irańskiego krawca, z którym Måns w czasie przymiarek pije kawę i pali papie-

rosy. Opowiadał często o tej przyjaźni w czasie obiadów i przyjęć. Należał do rodziny, która obcowała niemal wyłącznie z ludźmi swojego pokroju i klasy. Ale każdy z nich lubił znać kogoś z ludu – rolnika na wsi, piekarza z wybrzeża Österlen, krawca z Iranu.

– Zazdroszczę ci – powiedziała, zaskakując samą siebie.

Måns, który wyjaśniał techniczne szczegóły mechanizmu zegarka, stracił wątek.

– Co?

Śmiech w głosie. Gotowa do obrony przed ewentualnym tonem powagi.

– Zdajesz się taki zadowolony. Zadowolony z życia.

Mnie nieustannie coś gna i swędzi, pomyślała. Żadne życie mi nie pasuje. Każde po jakimś czasie zaczyna świerzbić.

– Boże drogi, Martinsson – powiedział. – Przez całe swoje życie nie byłem zadowolony ani jednego dnia.

I błyskawicznie dodał:

– Muszę kończyć. Zebranie lunchowe.

Rozłączył się, zanim zdążyła się pożegnać. Zawsze tak robił.

Carl von Post pozwolił sobie na dwugodzinny lunch. Półtorej godziny spędził na siłowni. Przewiosłował trzy kilometry na wioślارzu, by potem w jednej sesji, pod okiem trenera osobistego, zaliczyć wszystkie mięśnie. Pot lał się strumieniami. Zachęcany okrzykami trenera, prokurator poczuł się nadzwyczaj silny.

Po treningu, w szatni, przyglądał się swemu odbiciu w lustrze. Ręcznik wokół bioder. Żadnych tam oponek. Miał dobry wygląd. Prezentował się lepiej i młodziej niż jego rówieśnicy.

Był gotów. Miał powalić Reбекę Martinsson.

I nawet nie musiał się specjalnie wysilać. Ona sama tak sobie pościeliła i teraz miała się tak wyspać.

Zbłądziłaś się, kobieto, zwrócił się do niej w myślach. Myślałaś, że drażnienie się ze mną ujdzie ci płazem. Ale nadeszła pora, byś wypła piwo, którego sobie nawarzyłaś.

– Otwórz buzię i połykaj, Martinsson! – powiedział głośno.

Był w szatni sam.

REBEKA PRZEKOPYWAŁA SIĘ przez nadwyzkowe rozprawy. Szła jak burza. Prawie nie musiała zaglądać do swoich papierów. Jak z automatu wyrzucała z siebie opisy czynów, przemówienia końcowe i żądania kary. Sąd rejonowy przychylił się do jej wniosku w każdej sprawie. Adwokaci siedzieli zmęczeni i przygotowani na przegraną, pocieszając się myślą o wynagrodzeniu. Połowa oskarżonych nawet się nie pojawiła.

Na samym końcu w sali rozpraw siedział tutejszy dziennikarz freelancer, Stefan Oja. Pojawiał się czasami na rozprawach. Jego krótkie notatki o drobnych przestępstwach były stałym elementem w prasie lokalnej. Gdy jakaś sprawa przyjmowała komiczny obrót, sprzedawał ją popołudniówkom. Jak zwykle zapisywał to i owo w notesie. Gdzieś w połowie rozprawy wyciągnął telefon i wyglądało na to, że odczytał jakąś wiadomość. Obrzucił Reбекę trudnym do odgadnięcia spojrzeniem, a potem telefon całkowicie go pochłonał. Reбека nie zaprzętała sobie tym głowy, ale kiedy ogłoszono ostatni wyrok i wszyscy zaczęli zbierać swoje manatki, Stefan Oja podszedł do niej.

– Cześć, Reбека! Zrobiłaś dziś kawał dobrej roboty – zaczął. – Ale wiesz, jedna z gazet krajowych poprosiła mnie o napisanie paru słów o tym, jak szykanujesz swoich krewnych.

– Nikogo nie... Skąd się to wzięło?

– Masz jakiś komentarz?

– Nagrywasz? – zapytała, spoglądając na trzymany przez dziennikarza telefon.

– Dostanę za tę chałturę piętnaście tysięcy, Reбека. Jesteś teraz kimś w rodzaju cele-

brytki. Nie bierz tego do siebie.

– Nikogo nie szykanuję. Policja w Kirunie prowadzi śledztwo w sprawie trzech morderstw.

Pochyliwszy się demonstracyjnie nad telefonem Stefana Oji, dodała wyraźnie:

– I nie jestem spokrewniona z rodziną Pekkarich!

– A więc uważasz, że do rodziny zalicza się wyłącznie biologiczne dzieci? Twoja mama była przyszywaną siostrą Ollego Pekkariego.

– Spadaj – powiedziała Rebeka. – Po prostu spadaj.

Zgarnęła swoje papiery, wyszła pospiesznie z sali rozpraw i odrobinę za szybko poprowadziła samochód w kierunku komendy.

Rzuciła aktówkę na fotel dla klientów. Drzwi do biura Carla von Posta były zamknięte.

Z pewnością coś skurwysyn knuje, pomyślała.

Do ostatniej odprawy został tylko kwadrans. Zrzuciła buty na wysokim obcasie, włożyła adidasy i pospieszyła do pokoju odpraw.

Pierwszą napotkaną tam osobą był Fred Olsson.

– Mam tu coś – zawołał, wymachując jakimiś papierami. – Myślę, że chcesz to obejrzeć, nim zaczniemy.

– Dawaj! – odpowiedziała, podążając za nim do jego biurka.

Słyszała, jak reszta zespołu zbiera się w sali konferencyjnej. Tommy i Magdalena pozdrowili ją w drodze do automatu z kawą.

– Przyniosę ci kubek – rzucił Tommy.

– Po pierwsze – zaczął Fred, rozkładając papiery – chyba możemy ustalić tożsamość tej kobiety z tatuażem. Adriana Mohr z Balvi na Łotwie. Jej siostra zgłosiła zaginięcie, ponieważ Adriana nie odzywała się od trzech tygodni. Zażądaliśmy zdjęć rentgenowskich zębów. Siostra potwierdziła, że Adriana była pracownicą seksualną w północnej Skandynawii. Przestała brać narkotyki i przez jakiś czas była zaangażowana w walkę o prawa prostytutek. Dziesięć lat temu, zaraz po narodzinach swojej córki, wytatuowała na prawej kostce czerwoną parasolkę.

– To najprawdopodobniej ona – zgodziła się posępnie Rebeka. – No i córka...

– Tak, wszystko to cholernie smutne. Siostra wychowuje samotnie dwójkę dzieci, a do tego zajmuje się córką...

Spojrzał w papiery, żeby znaleźć nazwisko.

– Adrian Mohr. Z tego, co zrozumiałem, Adriana utrzymywała ich wszystkich. Przyjeżdżała do domu raz na miesiąc. Miała tam być w zeszły weekend.

– Dobra robota, Fredde! – pochwaliła go Rebeka i pomyślała, że gdyby dalej zajmowała się prawem spółek w kancelarii Meijer & Ditzinger, nie musiałaby cały czas przypominać sobie o tym, jak parszywy jest świat. – Masz coś jeszcze?

– No... – odparł Fred i z ciężkim westchnieniem wypuścił z ust powietrze, przebijając jednocześnie palcami po wargach. – To trochę grubymi niemi szyte, ale co mi tam. Te fotki, które Mella i ty dostałyście od sąsiadów. Przedstawiające tych osiłków i kobiety, które mieszkają u Borówkowego Króla. Wrzuciłem je do systemu rozpoznawania twarzy.

– No i?

– Znalazłem jedną z tych osób, ale to nie na sto procent, trzeba o tym pamiętać.

Podniósł pokrywę komputera i wyszukał odpowiedni obraz. Czarno-biała fotografia wyglądała na zdjęcie z gazety. Tytuł i tekst po rosyjsku.

Zdjęcie przedstawiało grupę osób stojących na szerokich schodach, które wiodły do okazałej budowli. Ogromne okna ze szczeblinami, kolumny, łuki drzwiowe.

– Tutaj – wskazał Fred. – Na trzech zdjęciach z tej sesji program wskazał właśnie tę ko-

bietę, z pewnością od siedemdziesięciu dwóch do osiemdziesięciu czterech procent.

– To ona – powiedziała Rebeka, absolutnie pewna. – Chociaż...

Porównywała fotografie.

– Elena Litowa, członkini ławy przysięgłych w głośnej rozprawie w Nowosybirsku – powiedział Fred Olsson. – Nie zrozumiałem wszystkiego, ale szło o kradzież tożsamości sporej belgijskiej firmy z branży telekomunikacyjnej. Belgijski szef tego przedsiębiorstwa, które rozpoczęło działalność w Rosji, w wywiadzie twierdził, że wycyckano ich z dwustu milionów dolarów.

W drzwiach pojawił się Tommy.

– Idziecie? Wszyscy już są.

– Jak ty wyglądasz? – zwrócił się Fred do kolegi. – Zapuszczasz brodę?

– Wyślij mi linka z tym tekstem o kradzieży tożsamości firmy – powiedziała Rebeka do Freda.

W tej samej chwili w korytarzu pojawił się Carl von Post.

– Zaczynamy? – zapytał. – Chcę wam wszystkim coś przekazać.

Rebeka ruszyła za nim, pełna złych przeczuć.

Carl von Post stanął przed grupą policyjną. Rebeka usiadła na krześle z boku. Ręce splecione na piersi, podciągnięte ramiona, noga założona na nogę. Ilustracja postawy obronnej z podręcznika o mowie ciała.

Von Post czuł się odprężony. Zanim tu przyszedł, powiesił marynarkę na krześle i wciągnął na koszulę granatowy sweter z kaszmiru. Swobodny przywódca.

– Przejdę od razu do rzeczy. Rebeka Martinsson w trybie natychmiastowym zostaje odsunięta od tego śledztwa.

Zrobił krótką pauzę i właśnie w tej pauzie odezwała się Rebeka, dokładnie tak, jak przewidział.

– Jaja sobie robisz? Dlaczego?

– Pomyślałem, że porozmawiamy o tym na osobności, ty i ja – odparł von Post, posyłając jej spojrzenie pełne współczucia i powagi.

O, jakaż ona nieskomplikowana, pomyślał. Wystarczy nakręcić tę sprężynkę w plecach i pomaszeruje właśnie tam, gdzie sobie życzyłeś, prosto na skraj przepaści.

– Wyjaśnij tu i teraz. To dotyczy wszystkich i wszyscy prędzej czy później się o tym dowiedzą.

– Wpłynęła na ciebie skarga do SIN^[21]. Zezwoliłaś na nadzór telefoniczny, nie mając wystarczających powodów.

– Twierdzi kto?

– Twierdzi osoba, która złożyła skargę. Adwokat rodziny Pekkarich.

– Ale SIN jeszcze nic nie stwierdził, prawda? Ktokolwiek może zostać oskarżony o cokolwiek.

– Traktujemy to... – von Post zdawał się szukać odpowiedniego słowa – bardzo poważnie. Decyzja o wyłączeniu ciebie ze śledztwa jest uzgodniona na wyższym szczeblu. Raz, że nie poinformowałeś mnie o swoim pokrewieństwie z rodziną Pekkarich. Twoja mama i Olle Pekkari byli rodzeństwem.

– Nie byli rodzeństwem...

– Rodzina Pekkarich była jej rodziną zastępczą, a zatem doszło tu do konfliktu interesów.

– Takie rzeczy rozstrzyga się indywidualnie – przerwała mu Rebeka. – Członkowie rodziny zastępczej nie są automatycznie traktowani jako bliscy krewni.

– Twoja mama była skłócona z tą rodziną – napierał von Post.

– Skłócona? W jaki sposób?

– I dwa: podjęłaś decyzję o nadzorze telefonu Ollego Pekkariego, mimo że nie jest podejrzany o przestępstwo. Dalej: zwlekałaś trzy dni z poinformowaniem rodziny Pekkariich o tym, że Henry Pekkari został zamordowany.

– Ze względu na dobro śledztwa – wyrecytowała Rebeka.

– A może dlatego, że nie chciałaś ujawnić pokrewieństwa? – zapytał von Post łagodnym tonem.

Policjanci przyglądali się Rebecce podejrzliwie.

– Noż kurde, Rebeka! – nie wytrzymała Anna Maria.

– Ta skarga jest bezpodstawna – powiedziała prokuratorka. – Porozmawiam z Björnfo-tem.

– Proszę bardzo. Właśnie z nim rozmawiałem. Chce, żebyś do niego zadzwoniła.

Rebeka się podniosła.

– Zadzwonię od razu – rzuciła i niemal wybiegła na korytarz.

W sali zapanowało ogólne przygnębienie. Carl von Post pilnował swojej twarzy jak jastrząb. Niełatwo mu było powstrzymać się od uśmiechu, ba! – śmiechu. I od zgłoszenia chęci udziału w *Tańcu z gwiazdami*.

– Śledztwo toczy się dalej – oznajmił i pogłaskał się po brodzie, sygnalizując, że wziął na swoje barki odpowiedzialność, że zapanował nad sytuacją, której najchętniej by uniknął. – Przejmuję funkcję prowadzącego postępowanie przygotowawcze i nakazuję, aby niedozwolony nadzór telefoniczny został usunięty z materiałów postępowania. Nikogo z was tutaj nie obciążam odpowiedzialnością za nieprawidłowości. Ale teraz zrobimy to jeszcze raz i jak należy. Przesuwamy odprawę o godzinę, a w tym czasie Anna Maria wszystko mi zreferuje.

Spojrzał na telefon.

– Zobaczymy się więc o...

Przerwała mu Sonia z recepcji, wsuwając głowę przez uchylone drzwi.

– Hej! Przepraszam, że przeszkadzam, ale dostaliśmy wiadomość o przypadku nagłej śmierci w Riksgränsen. Prawdopodobnie samobójstwo.

Zerknęła na notatnik.

– Kobieta. Szef hotelu Mården nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska, był dość roztrzęsiony. Ale na imię miała Galina. Zatrudniona na okres próbny przez trzy tygodnie, powiedział. Nie była szwedzką obywatelką. A teraz...

Anna Maria wstała. Jej twarz była blada jak zimowe niebo. Wyciągnęła swój telefon.

– Galina – powiedziała. – Dostałam SMS-a od Svena Erika. Jedna z tych trzech prostytutek, które pracowały w kamperze, miała na imię Galina. Dostała pracę w Riksgränsen. Dowiedział się o tym od swojego informatora.

– A kiedy zamierzałaś o tym powiedzieć? – zapytał von Post.

– Teraz! Miałam zamiar powiedzieć o tym teraz, na odprawie.

Idiotka, pomyślał von Post. Jestem otoczony przez idiotów. Czerwonych i niebieskich, i żółtych, i zielonych. Ale wszyscy to totalni idioci.

Rebeka wpadła do swojego gabinetu i zamknęła drzwi. Wybierając numer Alfa Björnfo-ty, wypuściła telefon z ręki i musiała zacząć jeszcze raz.

Skurwiele jedne!, myślała. Niech was wszystkich szlag trafi, skurwysyny!

Alf Björnfort odpowiedział po pierwszym sygnale. Zdawał się nie być strasznie daleko.

– No cóż, Rebeko – zaczął. – Mamy problem. Może ty tego nie dostrzegasz, ale wyłączy-łem cię ze śledztwa również dla twojego dobra.

– Dziękuję za troskę – odparła Rebeka.

– Daruj sobie ten sarkastyczny ton. Naprawdę nie rozumiesz, co zrobiłaś? Zezwoliłaś na

nadzór telefoniczny osoby, która nawet nie jest o nic podejrzana. Zaniechałaś informacji o konflikcie interesów. Prasa i tak już czuwa nad tą sprawą.

– A więc obawiasz się prasy?

– Nie. Obawiam się tego, że osoby związane z wymiarem sprawiedliwości sądzą, iż przepisy ich nie dotyczą.

– Czy to ja sądzę, że nie dotyczą mnie przepisy?

– A jak myślisz? I martwią mnie twoje kłamstwa i manipulacje.

– Co?!

– Przejęłaś to śledztwo dość samowolnie. Skłamałaś, twierdząc, że jeśli Carl ci je odbierze, to ja dopilnuję, żebyś je dostała z powrotem.

– To było oczywiście kłamstwo – przyznała Rebeka. – Ponieważ nigdy nie stanęłyś po mojej stronie, a przeciw von Postowi. Tutaj chłopcy trzymają się razem.

– Przestań! – krzyknął Björnfort. – Nie zwalaj tego, kurwa, na mnie! To nie patriarchat. To ty naruszyłaś przepisy. A my próbujemy naprawić szkodę.

– Szkodę – wycedziła Rebeka. – Chcesz zobaczyć prawdziwą szkodę? Mogę ci przesłać zdjęcia tych dwóch pracowników seksualnych, to wtedy zobaczysz szkodę. Ale ty widocznie ustaliłaś sobie inne priorytety.

Po drugiej stronie nastąpiła cisza. Mijały sekundy. Gdy Björnfort odezwał się ponownie, jego głos był spokojny, niemal ospały.

– Mówisz teraz o mnie okropne rzeczy, Rebeko. I myślę, że sama tego nie słyszysz. Ale chcę cię poprosić o jedną rzecz, zanim zakończymy rozmowę.

– Nie drażnić się?

– Nie wyjeżdżaj. Nie bierz urlopu. Nie idź na zwolnienie chorobowe. Jesteś tu potrzebna.

– Jasne. Ktoś przecież musi opróżnić kosze na śmieci i posprzątać toalety. Wiesz, że twój pupilek zwał na mnie bilans postępowań przygotowawczych policji? Jak tylko wyjechałeś.

Z drugiej strony Atlantyku doszło do niej ciężkie westchnienie. Zrozumiała, że szef nie został o tym poinformowany.

– Porozmawiamy dłużej przy innej okazji. Dbaj o siebie.

– Jasne – powiedziała i rozłączyła się.

Patrzyła na telefon. Przez moment rozważała, czy nie zadzwonić do Marii Taube. Nie mogą tu przyjechać. Impreza odwołana. Ale nie miała sił wybrać numeru przyjaciółki.

Fred Olsson wysłał jej link o kradzieży tożsamości belgijskiej firmy telekomunikacyjnej. Zaczęła czytać wywiad z dyrektorem przedsiębiorstwa.

Naprawdę niezła afera. Rosyjska mafia, twierdził dyrektor firmy. Nie było podstaw, by sądzić inaczej. Zaplątanych w tę sprawę było mnóstwo osób, skorumpowani policjanci, sędziowie, urzędnicy ichniejszej skarbówki. Skradli dokumenty nadzoru oraz pieczęcie elektroniczne firmy i zawarli z nią blagierskie umowy, zadłużając firmę na gigantyczne sumy. A później ci fałszywi wierzyciele oskarżyli firmę właśnie o owe fikcyjne długi. Sąd i ławnicy nie sprawdzili autentyczności umów, tylko wydali wyrok na korzyść wierzycieli. Ponieważ firma telekomunikacyjna poniosła z tego powodu ogromne straty, rosyjski urząd skarbowy wypłacił monstrualnie wysoki podatek zaliczkowy, blisko dwieście milionów dolarów. Suma została wpłacona na nowe konto skradzionej firmy, a potem przelana na konta firm oszukańczych wierzycieli.

– Kurza dupa! – powiedziała głośno Rebeka.

Elena Litowa, przekupiona ławniczka. I może to właśnie ona jest żoną Borówkowego Króla. Ta, która według ewidencji ludności nazywa się Maria Mäki. No, nie do końca zwykła żona z katalogu...

Ale co ona tutaj robi?, zastanawiała się Rebeka.

Usłyszała idących korytarzem Annę Marię i von Posta. Weszli do jego gabinetu i zamknęli drzwi.

Uświadomiła sobie, że siedzi na podłodze, oparta plecami o fotel dla klientów. Powinna wstać. Nie miała siły wstać.

Zrobiłam tutaj swoje, pomyślała. Niech rozwikłują sobie tę zagadkę, tak jak chcą i potrafią. Ale ja tu już nigdy, przenigdy nie wrócę. Wyciągnęła przed siebie nogę i kopnęła kosz na śmieci tak mocno, że się wywrócił.

– **TO PRZECIEŻ CHORE!** Nie potrafię tego pojąć.

Szef hotelu Mården w Riksgränsen stał na wyłożonych kamieniem tyłach przybudówki. Przeciągnął ręką po przedwiosennie opalanej twarzy i poprawił bandanę, zawiązaną ciasno na głowie. Miał na sobie niebieski fartuch ze skórzanymi detalami i unosił się nad nim lekki zapach jedzenia. Wąsy były elegancko wystylizowane, z podkreślonymi ku górze końcówkami. Identyfikator na piersi informował, że mężczyzna nazywa się Mange Eriksson.

O, oni są tacy cool, pomyślała Anna Maria Mella. Ci wszyscy ludzie gór, pracujący w turystyce. Sama nie miała na sobie zjazdówek od... No, odkąd pojawiły się dzieci.

Na ziemi leżała zmarła kobieta, przykryta kocem. Personel karetki pogotowia już na nich czekał. Teraz pojechali gdzieś na obiad, restauracja hotelowa była dla nich za droga. Mieli wrócić, by zabrać zwłoki, kiedy policja zrobi swoje.

Anna Maria podniosła żółty gofrowany koc. Kobieta była niskiego wzrostu. Szczupła, tak jak Jenny, nim nabrała pełniejszych form. Plama krwi pod głową.

Odszczekuję, pomyślała. Nie lubię pracować nad morderstwami. Wolę zatrzymywać piratów drogowych. Zagłębić się w administracji.

– A więc pracowała tam na górze? – zapytała, wskazując otwarte okno na trzecim piętrze.

– Tak, sprzątała pokój.

– I nikt nic nie widział?

– Tak. Lunch skończył się dawno temu. W zasadzie wszyscy wybyli na stoki, pogoda jak drut, więc... A personel był zajęty. Sprzątał ze stołów, porządkował, przygotowywał obiad.

– Ale znalazł ją ktoś z gości hotelowych?

– Tak, jakaś kobieta, która wyszła na papierosa. Jest teraz na przejażdżce psim zaprzęgiem, ale zostawiła swoje dane, zapisałem je.

Anna Maria stłumiła zrezygnowane westchnienie.

– Jak się nazywa?

– Nasz gość?

– Ona też, ale miałam na myśli Galinę. Jak brzmi jej nazwisko?

– Eee, Galina Ko... Ku... Nie, nie wiem.

– Może ma je pan na umowie o pracę albo czymś takim...?

Mężczyzna zaczął jakby stąpać w miejscu. Przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Gdzieś z oddali dochodził warkot skutera śnieżnego.

– No więc... z tym jest problem. Ona była jakby... zatrudniona na próbę. Mieliśmy załatwić wszystkie papiery i tak dalej, ale teraz jest sezon i mamy cholernie dużo roboty i...

– Rozumiem. Czyli pracowała na czarno.

– Cholera jasna, mam nadzieję, że nie wpadnę przez to w jakieś kłopoty. Mieliśmy wszystko załatwić, chodzi tylko o takie... opóźnienie administracyjne. Nie przyjechała tutaj na rozmowę kwalifikacyjną, że się tak wyrażę. Była w tarapatkach i potrzebowała dachu nad głową i pracy od zaraz.

– Co to były za tarapaty?

– Tego nie wiem.

Anna Maria odczekała kilka sekund. Chciała, żeby Tommy Rantakyrö stanął obok i był jej wsparciem, ale on tkwił niewzruszenie kilka kroków dalej i patrzył w innym kierunku.

– Podejrzewam, że była prostytutką – powiedział w końcu szef hotelu. – Ale nie wiem nic więcej.

– Nie wie pan nic więcej? Ale może słyszał pan w wiadomościach, że policja w Kirunie pracuje nad morderstwem dwóch prostitutek? Nie zastanawiał się pan, czy te sprawy są ze sobą powiązane?

– Nie.

– Nie, aha. Kiedy Galina zaczęła tu pracować?

– Niecały miesiąc temu.

– Przyjechała tu sama?

– Nie, nie. Odezwał się do mnie chłopak, który pracował u nas, gdy przebudowywaliśmy jadalnię.

– Poproszę o jego nazwisko i numer telefonu.

– Dlaczego?

Anna Maria popatrzyła na swój notatnik i uniosła brwi. Mężczyzna podniósł lekko ręce w geście oznaczającym: „okej, poddaję się”.

– Dobrze, dobrze. Kristoffer Westman.

Wyciągnął swój telefon i odczytał jego numer.

– Co powiedział, kiedy do pana zadzwonił?

– Niedużo. Że zna dziewczynę, która potrzebuje roboty. O tej porze roku zawsze potrzebujemy rąk do pracy.

– Była przygaszona? Napomknęła coś o tym, że chce sobie odebrać życie?

– Nie, w ogóle raczej dużo nie mówiła. Nie rozmawiała tutaj z nikim. Jak miała wolne, to czasami siedziała na FaceTimie. Ale chyba faktycznie była przygnębiona. Często ją przyłapywałem na płaczu. Kiedy sprzątała pokoje i była sama.

– Czyli uważa pan, że popełniła samobójstwo? – zapytał Tommy.

– Tak, oczywiście. Nie podejrzewacie chyba... Nie?

– Po kolei – odezwała się Anna Maria. – Dlaczego była przygnębiona? Tommy, mógłbyś skoczyć do samochodu po rękawiczki jednorazowe?

– Nie wiem. Powiedziała tylko, że wylądowała u *bad men, very bad men*. Nie chciała o tym rozmawiać. Ale można się domyślić.

Tommy wrócił z rękawiczkami. Włożywszy je, Anna Maria odwinęła koc, żeby przesukać kieszenie zmarłej.

– Żadnego telefonu – powiedziała i zwinęła koc z powrotem. – Miała własny, prawda?

– Jasne. Jak już wspomniałem, czasami widziałem, jak rozmawia przez FaceTime'a. Korzystała z naszej sieci.

Anna Maria poprosiła o dostęp do pomieszczenia, w którym mieszkała Galina.

Pokój był niewielki. Łóżko nieposłane. Na kaloryferze suszyła się para majtek i T-shirt z nadrukiem: *Naturalny śnieg. Naturalne szczęście – Riksgränsen*. Na stoliku obok łóżka leżało kilka wycinków z magazynu mody; przedstawiały piękne wnętrza, ogrody, leżącą na szezlongu, omdlałą kobietę w długiej sukni. W koszu na śmieci parę papierków po cukierkach, poza tym nic więcej.

W toalecie w plastikowym kubeczku stały szczoteczka do zębów i tubka z pastą w mini-formacie. Wyglądały na takie z zestawu hotelowego. Szczotka do włosów. Na lustrze wisiała załamaną kartka z tekstem napisanym ołówkiem: *Smile, breathe and go slowly*.

– Gdzie są jej rzeczy? – zapytała Anna Maria, nie spuszczać oczu z przesłania na łazien-

kowym lustrze.

– Nie miała nic ze sobą, kiedy tu przyjechała. Nawet torebki.

Podnieśli z łóżka cienki materac, pod spodem leżał paszport.

– Galina Kirejewska – przesyłabizowała policjantka. – Z Kurczaloja. Ale żadnego telefonu. Możemy zajrzeć do pokoju, w którym sprzątała?

Korytarz był pusty. Przed pokojem stał wózek do sprzątania. Szef hotelu otworzył drzwi. Na podłodze leżała góra pościeli. Sierka pod otwartym oknem.

– Czy ktoś tutaj wchodził po tym, jak wypadła? – zapytała Anna Maria.

– Nie, człowiek się naoglądał telewizji. Jak zamykałem, to naciągnąłem na dłoń rękaw swetra.

– Drzwi były otwarte, jak pan tutaj przyszedł?

– Tak.

– Zabezpieczamy – zdecydowała Anna Maria. – I dzwoniemy po techników.

– Okej, nie chcę być taki... Ale jak długo to potrwa? Wieczorem przyjadą nowi goście, a hotel jest wypełniony po brzegi.

– Trudno powiedzieć.

– Jakoś to rozwiążę. Ale czy sądzicie, że coś się stało? Myślę, że... chyba wyskoczyła?

Anna Maria nie odpowiedziała. Podeszła do okna i spojrzała w dół na zwłoki. Zbliżała się do nich para nastolatków.

– Hej, wy tam! – zawołała. – Odejdźcie stąd!

Tommy też się wychylił i krzyknął, żeby się odpiardolili.

Chłopak spojrzał pospiesznie w górę, po czym trącił dziewczynę. Ona błyskawicznym ruchem podniosła koc, a on zrobił parę zdjęć telefonem.

– Noż do kurwy nędzy! – ryknęła Anna Maria.

Wypadła z pokoju z siłą pocisku i zbiegła po schodach. Tommy zaraz za nią.

Uduszę ich, myślała. Ale kiedy okrążyła węgiel, para nastolatków zdążyła uciec. Tommy się nie zatrzymał.

Z rękami na kolanach próbowała złapać oddech. Przykryła zwłoki kocem. Po chwili usłyszała wrzask po drugiej stronie budynku i pobiegła w tamtym kierunku. Przed wejściem do hotelu zobaczyła Tommy'ego i dwójkę młodych ludzi. Policjant siedział okrakiem na chłopaku. Zerwał z niego kurtkę i wysupłał telefon z wewnętrznej kieszeni.

– Przestań! – krzyknęła dziewczyna. – Zwariowałeś czy co?

– Zwariowaliście czy co?! – wrzeszczał Tommy. – Fotografować zmarłego człowieka? Człowieka! Co chcieliście zrobić z tymi zdjęciami? Opublikować na Facebooku?

– Tommy! – przywołała go do porządku Anna Maria, odciągając za ramię.

– E, przygas, kto teraz ma Facebooka? – powiedział chłopak, wstając. – Oddaj mi telefon!

Tommy cisnął smartfonem w kamienną ścianę budynku. Dźwięk tłuczonego szkła hartowanego świadczył o tym, że życie telefonu dobiegło końca. Policjant podniósł go i rzucił przed siebie tak daleko, jak potrafił. Roztrzaskane cacko utonęło w śniegu gdzieś między brzozaami.

– Proszę bardzo, weź sobie! – wydyszał Tommy.

– Czyś ty oszalał?! – wrzasnął chłopak. – To była szóstka S plus!

– Marsz do samochodu! – nakazała Anna Maria koledze. – Natychmiast!

Musiła mu to powtórzyć parę razy, zanim ruszył z miejsca.

– Złożę na ciebie skargę – krzyknął za nim chłopak. – Masz to jak w banku!

Tommy, nie odwracając się, pokazał mu środkowy palec.

– Chcesz złożyć skargę? – zapytała Anna Maria.

– Tak! Jest pani policjantką? Czy on też jest policjantem?

– Zgadza się. Ile masz lat?
– Siedemnaście.
– To musimy się skontaktować z twoimi rodzicami. Są tutaj?
Młodzi momentalnie spotulnieli.
– Są na stoku – odpowiedziała dziewczyna, naburmuszona.
Dopiero teraz Anna Maria dostrzegła, że to rodzeństwo. Może bliźniacy.
– Powiemy im, co zrobiliście.
– A czy to zabronione czy co? – zapytała dziewczyna.
– Nie, jeszcze nie – odparła Anna Maria. – Ale niemoralne i haniebne. Można się zastanawiać, co to za ludzie, którzy robią takie rzeczy. Zapytam waszych rodziców, co oni o tym sądzą. Ale nie, to nie jest zabronione.

Oboje wpatrywali się w Annę Marię z zaciekłością na twarzach. Podobnie jak Jenny, kiedy nie udaje się jej postawić na swoim. W końcu chłopak wzruszył ramionami, obrócił się na pięcie i odszedł. Dziewczyna pobiegła za nim.

Anna Maria maszerowała do samochodu. Wszystko się w niej gotowało.

Przez pierwsze dziesięć kilometrów nie odezwali się do siebie ani słowem. Tommy na fotelu pasażera. Postawiony kołnierz kurtki. Czapka głęboko naciągnięta na czoło. Jakby chciał się ukryć w szalasię.

Zawsze był taki szczeniacki, pomyślała Anna Maria. Ogromnie się ucieszyła, kiedy zamieszkał razem z Millą; właśnie takiej dziewczyny potrzebował, żeby się ustatkować.

Podobnej do „poduszkowych dziewczynek” w szkole, uświadomiła sobie. Sama taka była. Sadzana w ławce obok hałaśliwych chłopców, żeby działać na nich uspokajająco.

Teraz czuła się obezwładniona bezsilnością. Najwyraźniej te ludziki w mózgowicy, które odpowiadają za właściwe rzeczy do powiedzenia, były już po fajrancie.

Kiedyś przecież trzeba się nauczyć, jak sobie radzić w życiu, snuła dalej myśli. Rozstania, choroby, śmierć. Ważne, żeby się nie zatracić, kiedy spotykają cię takie rzeczy. Nie żłopać wódki i nie siedzieć w tym pieprzonym dole.

Musi z nim pogadać. Teraz. Bo tak dalej być nie może. Ale musi działać z rozwagą. Słuchać. Żeby od razu nie zaczął się bronić.

Potoczyła wzrokiem po zamarzniętej tafli Torneträsk. W tle łagodne białe góry, jasnoniebieskie cienie, iskrzące się słońce. Było pięknie. Cudownie. Już sam ten widok powinien wprawić ją w taki spokój, jaki odczuwa człowiek pucujący swoje kryształły.

A on tylko sobie siedzi i milczy. Co za dziecinada! Gdybyś choć przeprosił, pomyślała. Czy to takie trudne? To też cecha dorosłych. Zrozumieć, że nie wszystko jest winą innych.

Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowała, było oskarżenie podwładnego o nadmierne użycie siły. Miała nadzieję, że te cholerne małolaty nie puszczą pary z ust. A jednocześnie to też nie byłoby w porządku.

Oddychała. Liczyła do pięciu na wdechu i pięciu na wydechu. Robert zwykł stroić sobie z tego żarty. Ponieważ mieli pięcioro dzieci, mówił: „Oddychaj” i zaczynał liczyć: „Jeden idiota, drugi idiota, trzeci idiota...”, i tak aż do pięciu.

– Co za pojebane durnie! – odezwał się nagle Tommy.

– Małolaty? – zapytała Anna Maria. – Chłopak ma siedemnaście lat, Tommy.

A gdy nie odpowiedział, tylko – jeszcze bardziej chowając się pod kołnierzem – niemal zniknął, dodała:

– To, co zrobiłeś, jest nie do zaakceptowania. Chyba rozumiesz, prawda? Rozmawiałam z nimi i przy odrobinie szczęścia unikniesz ich pieprzonej skargi. Ale dłużej tak się nie da.

Zamilkła na moment, uświadomiwszy sobie, że za bardzo go strofuje, ale po chwili do-

dała:

– Niepokoję się o ciebie. Okropnie się niepokoję.

I wyrzuciła z siebie wszystko jednym ciągiem. Że dość często bierze zwolnienie, że w pracy śmierdzi przetrawionym alkoholem, że powinien się pozbierać, uczesać, wziąć w garść i na miłość boską pójść i z kimś porozmawiać.

– Z jakimś specjalistą, oczywiście. Bo ja sama nawet nie wiem, co mam ci powiedzieć. Nie jestem twoją matką.

– Mówisz dokładnie to samo, co ona – odezwał się zza kołnierza.

Zrobiło się jej tak przykro, że zupełnie straciła wątek. Przejechali kolejne dwadzieścia kilometrów, zanim powiedziała:

– Odwiozę cię do domu. I zostaniesz w domu do końca tygodnia. Na przyszły tydzień zamówię ci rozmowę u terapeuty. A jak odwołasz choć jedną wizytę, to wezwę haerowca.

Przez resztę podróży siedzieli w milczeniu. Anna Maria włączyła radio. Tylko raz odwrócił się od niej i pospiesznie przesunął dłonią po twarzy.

I kiedy zostawiła go pod blokiem, patrząc, jak przygarbiony powoli wchodzi do środka, pomyślała: No, poradziłaś sobie celująco, Mella! Słuchałaś i działałaś z rozwagą, tak że nie zaczął się bronić.

Po czym ruszyła z kopyta i odjechała.

Myślała o drobnym ciełe Galiny Kirejewskiej, przykrytym kocem.

Nie zdjęła gumowych rękawiczek, zastanawiała się. Czy osoba, która chce popełnić samobójstwo, naprawdę nie zdejmuje gumowych rękawiczek? No i gdzie jest jej telefon?

Tommy Rantakyrö wszedł do swojego mieszkania. Albo raczej: ich byłego wspólnego mieszkania. Pełnego dziur po rzeczach, które Milla wzięła ze sobą, a których on nie zapełnił. W przedpokojowej ścianie tkwiła śruba, na której dawniej wisiało lustro. W sypialni leżał materac dmuchany. Tommy nie rozumiał jej nowego chłopaka, który nie miał nic przeciwko temu, żeby pieprzyć się z Millą w tym samym łóżku, gdzie ona i Tommy... Nie, na coś takiego Tommy nigdy by się nie zgodził. Często tak myślał, chociaż przecież wiedział, że to nieprawda. Zgodziłby się na cokolwiek. Stół w dużym pokoju i dywan też ze sobą zabrała. Zostawiła mu połowę roślin doniczkowych. Wszystkie padły.

Myślał o Galinie Kirejewskiej. Myślał o nastolatkach, które zrobiły zdjęcia. Nigdy wcześniej nie używał pięści, nigdy.

Anna Maria była przekonana, że problem leży w jego imprezowaniu; wściekła się, że dał się ponieść emocjom z tymi małolatami. Ale ona nic nie wie. Bo on dopuścił się czegoś znacznie gorszego. Czegoś potwornego.

Obraz kobiet znalezionych w śniegu za powozownią Mervi Johansson zabłysnął w jego głowie. Serce przez moment waliło mu jak młotem.

Nie powinien był zostać gliną. Nie nadawał się do tego. Chociaż marzył o pracy w policji, odkąd skończył dziesięć lat. Wtedy jego klasę odwiedził policjant. Nawet ci najzuchwalsi byli pod wrażeniem i tłoczyli się wokół umundurowanego funkcjonariusza. Właśnie tam i wtedy Tommy podjął decyzję. Pewnego dnia będzie takim podziwianym mężczyzną w granatowym mundurze. Dostał się za drugim podejściem.

Po studiach ubiegał się o posadę w Kirunie i przyjęli go. Mama była przeszczęśliwa. Tato też, choć nie okazywał tego w ten sam sposób. Ojciec nigdy nie wysuwał się na pierwszy plan. Zaczął pracować w Urzędzie Kolei jako piętnastoletni chłopak i pracuje tam nieustannie od czterdziestu trzech lat. Teraz to Urząd Transportu, ale ten sam pracodawca, więc gdy ojciec przejdzie na emeryturę, jednocześnie będzie obchodził swoje pięćdziesięciolecie służby w tym samym miejscu. Do tej pory wziął jedynie pięć dni zwolnienia chorobowego. Powinien był zwerbować

Tommy'ego do Urzędu Kolei. Wówczas wszystko potoczyłoby się inaczej.

Rodzicom nie urodziło się więcej dzieci. Tommy był jedynakiem. Zawsze radośni, gdy ich odwiedzał. Mama ze swoim wiecznym „spocznijże ociupinkę”, miękkim wezwaniem do krótkiej drzemki na ławie kuchennej. A kiedy budziła go lekkim dotykiem, na stole zawsze czekało coś do jedzenia: kawa i kanapki, góra placuszków, obiad albo kolacja, jeśli akurat nadeszła pora.

Co by powiedzieli, gdyby dowiedzieli się prawdy?

Spaprał piękną karierę policjanta. Z Anną Marią jako szefową i Svenem Erikiem w roli opoki w komendzie. Wiedział, że robi w grupie za młokosa, ale nie miał nic przeciwko temu. Drażnił się zawsze ze Svenem Erikiem, ulubionym tematem były koty. Twierdził na przykład, że te łaszą się do niego jedynie po to, żeby – oznaczywszy go swoim zapachem – potraktować go jak własność, a nie dlatego, że są mu oddane.

Powróciły do niego słowa Milli wypowiedziane podczas jednej z wielu kłótni: „Jeśli masz dwadzieścia trzy lata, to takim chłopiactwem wzbudzasz zachwyt, ale jeżeli masz trzydzieści trzy, to gasisz zmysły”.

Parę miesięcy temu przeprowadzali z Karzanem kontrolę drogową. Zatrzymali jednego z tych najzuchwalszych koleżków ze szkolnych czasów Tommy'ego. „Ej, no, odpuść sobie, Tommy”, apelował dawny kumpel. W tonie głosu nutka żądania. I Tommy wiedział, że gdyby to od niego zależało, dałby chłopakowi spokój. Ale Karzan roześmiał się tylko, powiedział, że takich rzeczy się nie negocjuje, i wlepił mu mandat. Kumpel bezgłośnie wyraził słowo „pizda”; Tommy nie skomentował z nadzieją, że policyjny kolega tego nie zauważył.

Karzan był od niego młodszy i dwa razy silniejszy. No i miał to konto na Inście z hashtagem „porannakawagliniarza”. Wyprzedzał go już na dzień dobry. Rola szczeniaka zaczęła Tommy'ego uwierać. Sven Erik przeszedł na emeryturę. Dźwięczące znów w głowie słowa Milli: „Dorośnij w końcu, kurde blade”.

Lęk spadł na niego z niespodziewaną siłą. Te kobiety. To nie jego wina. To jego wina. Kołysał ciałem tam i z powrotem, oddychał krótko przez nos i przeciągał palcami po twarzy, od policzków do szyi, aż zabolą go skóra.

Nigdy nie był dobrym materiałem na policjanta. Teraz naprawdę to udowodnił. Zbłądził się tak bardzo, że nie miał wyjścia. Pomyślał, jak tysiąc razy wcześniej, że musi o tym wszystkim opowiedzieć Annie Marii. A potem, znów jak tysiąc razy wcześniej, stwierdził, że nie może tego zrobić. Po prostu nie potrafi.

Nagle poczuł mdłości i ruszył do kuchni. Uderzył głową w kran, kiedy schylił się, żeby opłukać twarz i napić się wody. Wytarł się ścierką kuchenną, papierowe ręczniki się skończyły.

Zadzwoił telefon. Jego drugi telefon, nowy, zaszyfrowany. Z pewnością Jurij, to on rozmawiał. Pozostali zawsze milczeli. Tommy nie odpowiedział. Co oznaczało, że wkrótce się tu pojawią. Nie można ich ignorować.

Musi się stąd ulotnić. Bezwzględnie. Zatrzyma się tylko przy monopolowym. Potrzebuje czegoś na uspokojenie. Potrzebuje zatrzymać myśli krążące w kółko jak szalone.

– No, chodź – powiedziała Ragnhild Pekkari miękkim głosem. – Będę siedziała jak trusia. A ty nabierzesz odwagi.

Villa stała w drzwiach między przedpokojem a kuchnią. Ragnhild siedziała na podłodze. W wyciągniętej ręce trzymała rozciapany kawałek karmy. Suka powęszyła, zrobiła sztywny krok w przód, po czym wycofała się i zniknęła w przedpokoju, zeszła z pola widzenia. Po chwili znów się pojawiła w progu. Dwa kroki do przodu. Głód walczył ze strachem.

Zadzwoił telefon. Börje Ström. Nie wpisała go do kontaktów, ale poznała numer. Włączyła głośnik.

– Co robisz? – zapytał.

– Buduję zaufanie – odpowiedziała i zrelacjonowała, jak została właścicielką psa. – To trochę potrwa – dodała.

Wczoraj o tej porze zasnęła na jego ramieniu. Kiedy się obudziła, już go nie było. Poczula się bardzo samotna. Ale teraz była tu Villa.

– Jesteś na spacerze?

Słychać było po oddechu.

Tak, odpowiedział i zapytał, czy może do niej wpaść. Na wspólny obiad? Mógłby po drodze zrobić zakupy.

– Nie wiem – odparła z wahaniem.

Więc nie pojechał do Älvsbyn. Poczula, jak jej twarz się uśmiecha.

– A może ty się z kimś spotykasz?

– Nie sędzę – wysnęło się jej.

Przypomniała sobie swój ostatni związek. Piętnaście lat temu. Właśnie skończyła pięćdziesiątkę, ciągle jeszcze urodziwa. On był nauczycielem przedmiotów ścisłych w Gällivare. Zaczęli się widywać w co drugi weekend, ponieważ co drugi tydzień mieszkały u niego nastoletnie córki. Nie chciała spotykać jego dzieci. Żadnych dzieci, powiedziała. I zdecydowanie żadnych córek, dodała w duchu. Jechał do niej sto dwadzieścia kilometrów w piątki i wracał sto dwadzieścia kilometrów w niedziele.

Byli zawsze u niej, nigdy u niego. Ona sprzątała, kupowała kwiaty, które stawiała na stole w kuchni, robiła zakupy na stoisku z wędlinami. Po trzech miesiącach zaproponował, żeby zwracała mu połowę kosztów benzyny na podróż. Odmówiła. Wyjaśniła, że jej wydatki też wzrosły, odkąd się poznali. Poddał się, ale nie ulegało wątpliwości, że nie był do końca zadowolony. Związek przetrwał dwa lata. Potem trochę się nad tym zastanawiała. Jeśli litr benzyny kosztował dziesięć koron, to każda wizyta u niej nie przekraczała dwustu koron, ponieważ jego samochód nie spalał litra na dziesięć kilometrów. Same kwiaty do kuchni tyle kosztowały. Ale nigdy nie prosiła go o zasilek na kwiaty czy jedzenie. Albo papier toaletowy! Przesiadywał w sraczyku i podcierał się w nieskończoność.

Pozwalał sobie zatem na to dyskretne niezadowolenie. Tym samym udaremnił jej ewentualne prośby o jakieś zakupy po drodze. Zaciskała zęby, kiedy w porywach miał ze sobą wino i napełniając kieliszki – zawsze, zawsze! – informował ją, ile kosztowało. Obiecała sobie nie zniżyć się do jego poziomu. Nigdy nikomu o tym nie opowiedziała. Wstyd, że od razu nie zakończyła związku z takim dusigroszem, był zbyt głęboki.

Nauczyciel przedmiotów ścisłych dobrze się czuł w jej wysprzątanym mieszkaniu, pełnym ładnych poduszek, obrazów i książek. Wtedy postanowiła: dosyć, basta. Nie mogła zdzierżyć tego braku równowagi. Nie miała siły, żeby się jej przeciwstawić ani żeby ją wytrzymać. Nie istnieje chyba nic bardziej samotnego niż samotność w związku.

– A cóż to za myśli snują ci się teraz po głowie? – zapytał Börje.

Bez wahania opowiedziała mu o nauczycielu Kennecie. Nie przejmując się, że sprawi wrażenie osoby słabej i bojącej się samotności.

Börje Ström wybuchnął śmiechem, gdy skończyła.

– Co za dureń! – skwitował.

Ona też się roześmiała. Jego lżejsze podejście do życia było zaraźliwe.

On jest tak bosko beztroski, pomyślała, słysząc jednocześnie ciemny podszept w duszy: beztroski znaczy rozpieszczony.

A mimo to uważała, że takie siedzenie na podłodze, cierpliwe wyczekiwanie Villi i rozmowa z nim to najprzyjemniejsze rzeczy, jakie ostatnio robiła.

Zdawał się zbierać w sobie.

– Chcę ci coś powiedzieć – zaczął. – Miałem kogoś. W Älvsbyn. Nie mieszkamy razem i... Ale w każdym razie zadzwoniłem do niej. I to już koniec.

W jej piersi zaczęły skakać gimnastyczki radości. Była na to zupełnie nieprzygotowana. Dziewczynki w różowych strojach robiły gwiazdy i wywijają koziołki. Ale zaraz przywołała je do porządku, kazała usiąść na ławkach pod drabinkami.

– Straciłem dla ciebie głowę – wyznał.

Pogarda dla tak prostego wyrażenia uczuć obudziła się w niej jak na sygnał. Ragnhild momentalnie złażała siebie samą, że czepia się słów.

Zapadła cisza. Villa stała w drzwiach. Jej ruchy nabrały miękkości. Bardziej zaciekawione niż bojaźliwe. Uszy postawiła do przodu, przechyliła głowę w jedną, a potem w drugą stronę.

Ragnhild sięgnęła po Biblię i okulary do czytania, leżące na stole.

– W Księdze Rodzaju jest opowieść o tym, jak Adam i Ewa zgrzeszyli, jedząc zakazany owoc w ogrodzie Eden – powiedziała. – Bóg ich wtedy przeklina. Przeklina węża, mężczyznę i kobietę. Do kobiety mówi między innymi... – Założyła okulary i przeczytała na głos: – „W bólu będziesz rodziła dzieci, ku swemu mężowi będziesz kierowała swe pragnienia, on zaś będzie panował nad tobą”.

– Aha – rzekł. – To też coś w rodzaju odpowiedzi.

Biedny facet. Nic nie pojmuje.

– Rozumiesz? To nie żadne przesłanie. To przekleństwo. Pożądamy was. Wy macie nad nami władzę. A jeśli chodzi o zakochanie czy namiętność, to z własnego doświadczenia wiem, że często dopadają nas, kiedy uciekamy. Od depresji albo żałoby.

Villa usiadła. Przyglądała się badawczo swojemu nowemu człowiekowi.

– A co Bóg powiedział mężczyźnie?

Ragnhild przesunęła wzrokiem po wersetach.

– „W pocie więc oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie, póki nie wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty; bo prochem jesteś i w proch się obrócisz!”

Odłożyła okulary na stół.

– Jesteśmy przeklęci – powiedziała. – Próbujemy żyć razem, ale nie możemy się od tego przekleństwa uwolnić.

– A więc i ty, i ja jesteśmy już przeklęci?

Wystarczająco, pomyślała. Może już teraz. Choćby dlatego, że siedzę tu i próbuję coś wyjaśnić. Wyjaśnić i wytłumaczyć komuś, kto zupełnie nie rozumie.

– W Älvsbyn posiadam niewielki budynek z mieszkaniami na wynajem. Chcąc nie chcąc, zostałem majster-klepką. I myślę tak: dopóki wszystko hula, nie trzeba przy niczym majstrować. Ale jak przyjdzie do mnie lokator i powie, że rury się zatkały, to wtedy trzeba wyjąć skrzynkę z narzędziami.

– No to opowiedz – zachęciła. – Opowiedz, jak ci się wiodło z kobietami. Musiałeś kiedyś wyciągnąć skrzynkę narzędziową?

1970

Ma na imię Marjut i pochodzi z Kemi. Börje spotyka ją w Parku Ludowym. Jest piękną na starą solidną modłę. Nowoczesne dziewczyny obcinają i tapirują włosy, chodzą w spodniach albo spódniczkach mini i lakierkowych kozakach. Marjut ma włosy jak Rita Hayworth. Sama szyje sukienki i żakiety, które opinają jej krągłości. Śmieje się szczerze, lubi boks, „choć czasami muszę zamykać oczy”, i nie przynudza o Nixonie i wojnie wietnamskiej.

Jest wrzesień 1970 roku. Börje uchodzi w Kirunie za bohatera. Trzeci rok z rzędu został krajowym mistrzem wagi półciężkiej. W tym roku wygrał przez nokaut. Nigdy nie potrzebuje płacić za siebie, kiedy wchodzi do jakiegoś lokalu, ludzie przepychają się, żeby mu postawić. Nawet najgorszy dręczyciel z gimnazjum podszedł kiedyś do niego z kuflem piwa, ale przy wszystkich Börje powiedział głośno: „Spadaj na drzewo! Nie jesteśmy kumplami”. Ktoś w pobliżu oddał kufel fundującemu i ten odszedł, powłócząc nogami.

Imprezuje ostro, co najmniej trzy razy w tygodniu. Raczej nigdy nie wylewa za kołnierz. Nie brakuje kobiet, które rozkładają przed nim nogi. Stracił już rachubę.

Pyta Marjut, czy się z nim przejdzie. Ale ona nie ma ochoty. I nie pozwala się zaprosić na wódeczkę.

– Przyszłam tutaj potańczyć – odpowiada i sączy oranżadę przez słomkę.

– Ale ja nie tańczę – mówi Börje. – Myślałem więc, że wyjdziemy, żeby pooddychać świeżym powietrzem.

– No to najwyższa pora, żebyś się nauczył tańczyć – odparowuje, mrugając filuternie i rusza na parkiet z chłopaczką z Tuolluvaary, który co najwyżej zwyciężył w zawodach w wędkarstwie podlodowym.

Börje nie daje za wygraną. Przydreptuje do Marjut trochę później.

– Przemyślałem to – oświadczył. – Nauczę się tańczyć. Jeśli ty mi udzielisz lekcji.

Tańczą nie najgorzej. Ona jest skora do śmiechu. Potem przez tydzień chodzą na spacer i w końcu łądają w łóżku. Börje zadbał o to, by wymienić pościel w swojej sypialni. Marjut właśnie skończyła osiemnaście lat i mieszka kątem u swojej ciotki, więc tam się nie mogą spotkać.

– A to kto? – pyta z udawanym oburzeniem, kiedy dostrzega na jego piersi rozneglizowaną damę, niemal dokładnie taką samą, jak u jego taty.

– To przecież ty – mówi Börje.

Wtedy ona znów się śmieje i ściągnąwszy ze ściany rękawice, w których wygrał ostatni mecz, wiesz je sobie na piersiach. Wypytuje go o pozostałe tatuaże, trochę ich w ostatnim czasie przybyło. Niedźwiedzia polarnego z obnażonymi kłami, symbol klubu, zrobił po międzynarodowej wygranej w Berlinie; *the man's ruin*, „zgubę męczyzny”, z dziewczyną, kartami i butelką wódki wytatuował po poprzednich mistrzostwach Szwecji. Kiedy wygra na olimpiadzie, sprawi sobie na plecach wielki okręt opleciony przez węża. Marjut śmieje się z jego zuchwalstwa. I z potępieńczych kropek włóczęgi, które były jego pierwszym tatuażem. Z czasem te kropki stały się zabawną anegdotą o tym, jak kolega wydziarał go igłą, jak Börje dostał lanie, a potem gorączkował. I o tym, jak od tamtego czasu poświęcił swoje dziewiętnastoletnie życie na tatuaże i cięgi.

W Boże Narodzenie Marjut oświadcza, że jest w ciąży. Börje kupuje pierścionek. Nie ma sprawy. W lipcu na porodówce w Kirunie rodzi im się córka. Börje nie zamawia żadnego nowego tatuażu.

– A co było później? – zapytała Ragnhild, kiedy skończył opowiadać.

Przyglądała się jego numerowi na wyświetlaczu telefonu. Rozważała, czy nie dodać go do kontaktów. Wpisać jego imię i nazwisko.

– No cóż. Niezłe pociągałem z kielicha. Resztę czasu przygotowywałem się do olimpiady albo pracowałem. W końcu jej się znudziło i wróciła do Kemi. Aina właśnie nauczyła się chodzić.

Oszczędził jej szczegółów. O tym, jak przychodził do domu zalany w trupa i Marjut pomagała mu wchodzić po schodach. Nigdy jednak nie był na tyle pijany, żeby nie mieszać z blótem sąsiadów, którzy z ciekawości uchylali drzwi. O tym, jak rzygał na podłogę. Albo o tym, jak kiedyś żaden z kumpli nie chciał go podwieźć samochodem, kiedy nie był w stanie pójść do

domu o własnych siłach. Wsadzili go do pożyczonej na budowie taczki. Wyrzucili go z niej przed drzwiami domu. Z tego też powstała wielokrotnie powtarzana, zabawna historia. Jak się zmieniali przy pchaniu tej taczki. Jak się po drodze parę razy wywrócili.

– Masz kontakt z córką? – zapytała Ragnhild.

– Tak, odzywamy się do siebie. Czasami odwiedza mnie z wnukami, mają już czternaście i dwadzieścia lat. Czas leci.

Villa podeszła i odważyła się wziąć jedzenie z ręki. Połknęła łąpczywie i znów się cofnęła.

– Dzielna dziewczyna – powiedziała Ragnhild.

Usłyszawszy słowa Börjega, poczuła napływającą falę przygnębienia. Mężczyznom tak łatwo. Mogą zrobić cokolwiek i mimo wszystko uzyskać przebaczenie. Pił. W porywach trenował i pracował. Aż w końcu Marjut nie wytrzymała.

– A ty? – zapytał. – Ty też masz córkę. Jak to było u ciebie?

– Hm. Jak to było u mnie?

Odchrząknęła. Zabolało ją gardło.

– Właśnie kiedy zaczęłam pracować jako świeżo upieczona pielęgniarka, spotkałam Toddego. Byłam kajakarką górską. On też. No i tak.

Nowy w grupie, przypomniała sobie. Wesoły, zabawny, niefrasobliwy. Pełen anegdot i opowieści. Wysoki i przystojny. Ale od początku było widać, że ciągnie go do butelki. Zawsze był najbardziej pijany. Zasypiał, gdzie popadnie. Wpadał do rzeki.

Ale ja, myślała teraz, ja z nim zamieszkałam, wyszłam za niego za męża, urodziłam jego dziecko, założyłam z nim firmę.

– Nie wyszło?

– Nie.

Chociaż prawdziwa odpowiedź powinna brzmieć, że wychodziło stanowczo za długo. W żadnym miejscu pracy nie potrafił zatrzymać się dłużej. Każdy szef był idiotą. To niesamowite, jak życie co rusz zdawało się z nim droczyć. W końcu założyli własną firmę kajakarstwa górskiego. Ragnhild miała zająć się administracją i czasami brać udział w weekendowych spływach. Todde był odpowiedzialny za stronę praktyczną. Firma nie przetrwała nawet dwóch sezonów. Właściciele hotelów, którzy sprzedawali wycieczki, mieli dość jego partactwa. Po jakimś czasie przestało być zabawnie, gdy jedzenie, przechowywane zbyt długo w ciepłe, spowodowało zatrucie pokarmowe wszystkich uczestników wycieczki i ludzie robili pod siebie w śpiworach.

Wszyscy mieli go po dziurki w nosie, pomyślała. Ja też. Miałam dosyć kłótni i tłumaczeń, że to nie jego wina, i obietnic, że się poprawi, i tego, że nic się nie zmieniało. Oprócz jego picia, które przybrało na sile. Miałam dość siebie. Dość tej osoby, którą się stałam. Naprawiałam jego relacje. Byłam nieustannie nasrożoną policjantką, organizatorką i matką dorosłego mężczyzny.

Interes wziął w łeb. Wyposażenie sprzedali za marne pieniądze, ponieważ nie potrafił o nie zadbać. Zostawiał gumowe pontony w słońcu, kiedyś położył w jednym z nich nieszczelną puszkę z lepikiem, ta się oczywiście przewróciła. Żeby związać koniec z końcem, Ragnhild zaczęła brać nocne dyżury w szpitalu. On był na spływach kajakowych z jej koleżankami i kolegami.

Myślałam, że właśnie tego potrzebuje, żeby stanąć na nogi. Podobieństwo do jej brata Henry'ego było tak uderzające, że mogłaby pękać ze śmiechu, gdyby to nie było tak potwornie tragiczne.

– Średni był z niego pożytek – stwierdziła.

A potem zamilkła, świadoma wylewającej się z niej goryczy. Jak to było w Księdze Przysłów? „A rynną wciąż ciekącą – kłótniwa kobieta”. Pomyślała o Pauli. Nie dało się ignorować

tych wspomnień. Kiedy Paula miała sześć miesięcy. Dźwięk jej pierwszego perlстого śmiechu; zanosila się śmiechem, choć jeszcze nie umiała chodzić. Ragnhild pamiętała zapach jej główki i zaciśniętą na swoim palcu piąstkę. Ssanie rozchodzące się od brodawek aż do łona, kiedy Paula wisiała u jej piersi. Dlaczego? Dlaczego właśnie wtedy nie rozumiała, jak bardzo jest szczęśliwa z tą maleńką istotą?

Powinno była odejść, pomyślała teraz, czując, że oczy jej płoną. Powinno była wziąć dziecko pod pachę jak silna Marjut i wyprowadzić się z domu. Ale ja to znosiłam, dawałam radę i wytrzymywałam. Aż on mnie rzucił.

Börje wydał z siebie odgłos współczucia, którego nie mogła znieść, na które nie zasłużyła. Coś w rodzaju chrząknięcia, jakim samica renifera pociesza swoje cielątko.

Powinno teraz nacisnąć czerwoną słuchawkę. Zakończyć tę rozmowę.

– Maleństwo ty moje – wymamrotał Börje, jakby naprawdę przemawiał do dziecka.

I wtedy pękła. Rozdarła się jak papier. Płacz przyszedł z taką mocą, że musiała walczyć o każdy oddech. Nie miała się mu jak przeciwstawić. To nie ona płakała. To płacz nią płakał. Puściły lody. Ona kruszyła się i wylewała z siebie potoki.

Przycisnęła plecy do kaloryfera. Mocno. Wbiła paznokcie w ramię.

– Chcesz, żebym przyszedł i cię przytulił? Jestem pod twoim blokiem.

Zgodziła się. Minutę później stali w przedpokoju. Ona płakała, on trzymał ją w objęciach. Mocno, żeby zupełnie się nie rozsypała. Kołysał ją, bez zbędnych słów i pytań. Nie powiedziała nic o Pauli. Nie mogła się przemóc, by zacząć mówić.

Podczas gdy płacz nią płakał, ona miotała się między myślą, że ten uścisk jest wybawieniem, a niepokojem, że to pułapka.

Jak wysoką cenę gotowa jest zapłacić kobieta, żeby nie płakać samotnie?, pomyślała, wtulając się w jego ramiona.

ANNA MARIA MELLA skierowała kroki ku sofie w salonie. Najpierw zahaczyła o kuchnię, w której leżały kartony po pizzy. Wszyscy już zjedli. Zignorowała brudne naczynia w zlewie. Przymknęła oko na rozciapane resztki zapychające sitko na samym dnie. Odpuściła sobie opróżnienie zmywarki. Zdecydowała, że pizza na zimno jest równie dobra, jak na ciepło, i przycięła kilka kawałków. Włączając telewizor, opadła na poduchy.

Ostatnia rozmowa służbowa. Potem tylko: dziękujemy i dobranoc. Zadzwoiła do Svena Erika Stålnackego.

– Gotujemy ossobuco. To Mella! – zawołał.

Usłyszała w głębi Airi, która odkrzyknęła:

– Pozdrów ją ode mnie!

– Ma się gotować trzy godziny – wyjaśnił radośnie Sven Erik. – Kotom już odbija. Do stały troszkę, jak żyłowałem mięso.

– Naprawdę? – zaśmiała się Anna Maria. – I pewnie napowietrzacie wino?

– W rzeczy samej!

Opowiedziała o Galinie Kirejewskiej w Riksgränsen.

– Coś potwornego – przyznał Sven Erik. – Biedna dziewczyna.

– Nie wierzę w to, że wyskoczyła – powiedziała Anna Maria. – Powinniśmy wezwać tych Rosjan na przesłuchanie.

– Jasne, tylko na jakiej podstawie?

– No, to przecież Rosjanie prowadzili samochód z dziwkami.

– Ale nie możecie ich zgarnąć tylko dlatego, że są Rosjanami.

– To nie są byle jacy Rosjanie – upierała się policjantka.

– Racja. Ale jeśli nic na nich teraz nie macie i wezwiecie ich do komendy... Lepiej daj so-

bie na wstrzymanie i poczekaj na raport Pohjanena. Bo istnieje ryzyko, że jak tylko ich wypuścicie, to zwieją.

– Wiem. Słuchaj, ten twój informator, chłopak ze Skåne... Nie mógłbyś mu pokazać zdjęć tych Rosjan i zapytać, czy ich poznaje?

– Zapytam go, pewnie, że tak. A jak tam Rebeka? Słyszałem, że Chujpost i Björnfort wyłączyli ją ze śledztwa.

– Nie tylko ona jest w to śledztwo zaangażowana – odparła, świadoma, jak ostro brzmią jej słowa.

– Oczywiście. Ale przecież nie twierdzę, że tak jest.

– Rebeka nie jest... graczką zespołową, że tak powiem. Wybiega przed szereg, podejmuje decyzje, sieje spustoszenie, a potem musimy po niej sprzątać na tyle, na ile się da.

– Możliwe – zamyślił się Sven Erik.

Zamilkł. Policjantka wiedziała, że myślą o tym samym. O tej nocy, kiedy Anna Maria samowolnie, z odbezpieczoną bronią, pobiegła do posiadłości Regla, należącej do finansisty Mauriego Kallisa. Sven Erik był wtedy zmuszony zabić człowieka. Pogodzenie się z tym zajęło mu dużo czasu.

– Tyle że Rebeka nie zawsze myśli o ratowaniu własnej skóry – zauważył Sven Erik. – A gdy tak wszystkim potrząsa, spadają rzeczy, nad którymi warto popracować, tutaj chyba się ze mną zgodzisz?

Rebeka, ciągle ta Rebeka, pomyślała ponuro.

– Czuję się taka zniechęcona – powiedziała. – Słuchaj, pracowaliśmy razem kopę lat. Sądzisz, że jestem dobrą policjantką?

– Najlepszą! – odpowiedział z emfazą. – Dobrą szefową. Dobrą koleżanką. Dobrą śledczą.

– Brakuje ci pracy? – zapytała, choć właściwie chciała usłyszeć, że brakuje mu jej, Anny Marii.

– Na początku było ciężko, kurka siwa. Zapytaj Airi, co robiłem w domu jako świeżo upieczony emeryt.

– Okej, muszę kończyć. U nas dziś wieczorem żadna tam bosso bułko. Leżę na sofie z zimną pizzą.

– Zdążysz namieszać w garnkach, jak przejdiesz na emeryturę. Głowa do góry, Mella!

Anna Maria rozłączyła się, bezwiednie zwinęła kawałek pizzy i wepchnęła do ust. Tłuszcz był zimny i stężały. Pomyślała, że odżywia się niezdrowo. I co to w ogóle za program?

W drzwiach pojawiła się Jenny.

– Cześć, mam! Słyszałam, że przyszedłeś. Jak tam?

Podeszła i usiadła koło Anny Marii.

– W porządku – odparła, siląc się na przekonujący uśmiech. – Czasami człowiek ma po prostu zły dzień w pracy.

– Czytałam w sieci o tej zmarłej dziewczynie w Riksgränsen, o to ci chodzi?

– O to też.

Jenny pogłaskała ją po głowie. Rzuciła okiem na telewizor.

– Co oglądasz?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Ta kobieta wygląda na lekarkę, która wyciska ludziom ogromne pryszczki. Powiedz mi, żebym wstała z sofy i zrobiła coś pożytecznego ze swoim życiem.

– A właśnie, że nie! Czasami trzeba poleżeć do góry brzuchem i pooglądać kiepską telewizję. Nie można być bezustannie użyteczną i dzielną.

Role się odwróciły, pomyślała Anna Maria. Kiedy była mała, ciągle wyciągała do mnie rękę. Teraz ja je wyciągam. Pragnę tych chwil. A ona myśli o czym innym. I tęskni za innymi.

– Obiecuj mi, że będziesz ostrożna – poprosiła córkę.

– O co ci chodzi?

– O wszystko. Życie. Wyprzedzanie ciężarówek. Mężczyzn.

Jenny się uśmiechnęła. Była z tym uśmiechem tak piękna, że Anna Maria poczuła ból.

– Pojutrze idziesz na imprezę u Rebeki. Jutro pójdziemy do miasta i kupimy ci sukienkę.

Do dzieła, mamó! Kiedy ostatnio kupiłaś coś dla siebie?

Po obiedzie Sven Erik zadzwonił do Simona i zapytał, czy ten mógłby rzucić okiem na kilka zdjęć i ewentualnie rozpoznać mężczyzn, którzy prowadzili kamper z pracownikami seksualnymi.

– Nie pamiętam ich – odpowiedział chłopak. – Byłem zbyt pijany.

Ewidentnie kłamał. Nie chciał. Sven Erik ponowił prośbę. Simon mógłby przynajmniej obejrzeć te fotografie. Nie zaszkodziłoby. Przecież widział ich parę razy. A teraz znaleziono martwą Galinę Kirejewską. Nie jest do końca pewne, czy to wypadek. Kto wiedział, że pracowała w Riksgränsen?

Ale Simon się zaciął, na granicy gniewu.

– Powiedziałem, że nie chcę być w nic wmieszany. Nie mam pojęcia, jak ci faceci wyglądają.

I dodał:

– Dziwkarstwo to zawód wysokiego ryzyka. Wiedziały o tym.

Sven Erik poczuł tak silną odrazę, że zabrakło mu słów. Rozumiał, że Simon się boi. Ale nie można było nic na to poradzić.

Ludziom, kurka siwa, brakuje kręgosłupa moralnego, pomyślał.

Anna Maria wstała z sofy i zaczęła robić coś pożytecznego ze swoim życiem. Wyczyściła zlew i opróżniając zmywarę, zadzwoniła do Kristoffera Westmana, mężczyzny, który Galinie Kirejewskiej załatwił pracę w Riksgränsen. Wiedziała, że jest zatrudniony jako elektryk w LKAB i mieszka w willi w dzielnicy Lombolo razem z żoną i dwójką nastoletnich dzieci.

– A kto, kurde, dał pani mój telefon? – zapytał, kiedy Anna Maria, przedstawivszy się, wyłuszczyła swoją sprawę. – Mange Eriksson?

– Tak. Więc jeśli mógłby pan odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących Galiny Kirejewskiej...

– Wie pani co?! – krzyknął jej do ucha. – Gównó o niej wiem. Nigdy jej nie spotkałem. Nie wiem, kim jest.

– To jakim cudem zadzwoniła właśnie do pana, a pan jej załatwił pracę?

– A skąd mam wiedzieć?! – wrzasnął tak, że Anna Maria musiała zmniejszyć głośność w telefonie. – Dostała od kogoś mój numer. I nie, nie powiedziała od kogo. To musiał być ktoś, kto wie, że znam tam parę osób. I co z tego mam, że próbuję być miły i pomóc człowiekowi w potrzebie? Wizytę smerfa, który mi założy kajdanki.

– Nikt panu nie założy kajdanek, ale jeśli woli pan porozmawiać na komendzie, to nie ma problemu. Interesuje mnie, kto wiedział o jej pobycie w Riksgränsen.

– No to przyjeżdżajcie! Zabierzcie mnie na posterunek. Nie zapomnijcie, kurwa, o kogucie! Dostaniecie dokładnie te same odpowiedzi. I nic więcej. Nie znałem jej. Nie wiem, od kogo dostała mój numer telefonu. Nie mam pojęcia, kto wiedział o tym, że pracuje w hotelu w Riksgränsen. Chciałem tylko być dobry. Zbyt dobry. Czy to według kodeksu przestępstwo czy co?

Anna Maria była głęboko przekonana, że Kristoffer Westman wie więcej, niż ma ochotę zdradzić, ale dalsza rozmowa nie miała sensu, więc dała za wygraną. Cholerni ludzie! Jak coś

pójdzie nie tak, to wołają policję. Ale sami nie chcą być w nic wplątani. Ze strachu o własną skórę, małżeństwo, opinię sąsiadów. A czasami po prostu nie mają ochoty.

Dopóki nie nastanie jakiś kryzys, jesteśmy nieprzyjaciółmi, pomyślała zniechęcona.

Sven Erik i Airi usiedli na ganku, każde z kieliszkiem wina. Wieczorne słońce wisiało nisko nad horyzontem. Cieszyli się pierwszymi płatami ziemi uwolnionej od śniegu. Wkrótce będzie można chodzić po lesie. Rozmawiali o planowanej wędrowce do szałasu w Satmalajärvi, o kiełkujących sadzeniakach, które wkrótce znajdą się w ziemi, o pracy Airi, jeszcze dwa lata do emerytury.

– To najlepsza bosso bulko, jaką jadłem – powiedział zadowolony.

– Biedna Rebeka – odezwała się nagle Airi. – Ona przecież potrzebuje tej pracy. W przeciwieństwie do mnie, która tylko liczy dni.

Sven Erik skinął głową.

– Może ją zaprosimy na obiad? – zaproponowała Airi. – Myślisz, że chciałaby posiedzieć z nami, starszyzną?

Wtem na drodze pojawił się samochód. Zwolnił, zbliżając się do domu. Boczna szyba osunęła się w dół. Kobieta w okolicach pięćdziesiątki, w okularach przeciwsłonecznych, wystawiła głowę.

– Sven Erik Stålnacke. Gdzie on mieszka?

– Tutaj – odpowiedziała Airi. – I nawet jest w domu.

Zabawnym ruchem ręki wskazała swego partnera, który uniósł dłoń w geście pozdrowienia.

Prowadząca samochód odpowiedziała tym samym gestem, skręciła i wjechała na podwórze. Teraz gospodarze dostrzegli starszego mężczyznę na tylnym siedzeniu. Kobieta w okularach wyskoczyła z pojazdu i otworzyła tylne drzwi.

– Dzień dobry – zwróciła się do Svena Erika i Airi. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy. Tutaj, tato, poczekaj.

Pomogła starcowi znaleźć grunt pod nogami i posłużyła wsparciem, gdy się podnosił. Opuścił laskę i oparty o nią, zrezygnował z pomocy córki.

Był chybotliwy, ale szykowny. Odprasowana koszula i płaszcz. Gładkie policzki, siwe włosy elegancko przystrzyżone. Córka cały czas w pobliżu; gotowa, by go złapać, gdyby miał się wywrócić. Szedł powoli w kierunku ganku.

– Sven Erik Stålnacke? – zapytał głosem dwadzieścia lat młodszym, niżby wynikało z jego aparycji. – Przeczytałem w gazecie, że zajmuje się pan morderstwem Raimo Koskeli, ojca Börjego Ströma. Chciałbym złożyć zeznanie.

Nazywał się Karl Andersson, pochodził z Piilijärvi. Córka miała na imię Emma, po mężu Lindskog. Karl przystał na pół kieliszka wina, Emma zapewniała trzy razy, że wystarczy jej szklanka wody. Airi postawiła na stole piwo bezalkoholowe, na wypadek gdyby kobieta się rozmyśliła.

Podziwiali widok i zbudowaną przez Svena Erika wędzarnię, stojącą na podwórzu. Potem zabrał głos Karl.

– Z tego, co zrozumiałem, ojciec Börjego Ströma zniknął szesnastego czerwca sześćdziesiątego drugiego roku – zaczął. – I został teraz odnaleziony w zamrażarce na wyspie Palosaari. Zastrzelony. Amunicją pistoletową.

– Zgadza się – odparł Sven Erik.

– W tym czasie byłem oficerem. Szesnastego czerwca z kilkoma kolegami trenowaliśmy strzelanie do tarczy na strzelnicy wojskowej. Potem udałem się prosto do domu rodzinnego w Piilijärvi. Bywaliśmy tam często w lecie. W każdym razie miałem ze sobą broń, nie pojecha-

łem bowiem do domu i nie zamknąłem jej. Pistolet leżał na siedzeniu pasażera. To brzmi jak szaleństwo, ale...

Wypił łyk wina, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł usta. Potrząsał głową, jak gdyby to wspomnienie było czymś, czego pragnął się pozbyć.

– To były inne czasy, tato – powiedziała Emma Lindskog, kładąc dłoń na dłoni ojca.

Wyszarpnął rękę.

– Nie urodziłem się w średniowieczu! – krzyknął. – Wtedy również, do diaska, były przepisy, niezależnie od tego, co wam, młodym, się wydaje. Oficer miał obowiązek przechowywania swojej broni w domu w trzech częściach. Pistolet, zamek i amunicja miały być oddzielone. Nic mnie nie usprawiedliwia.

Po krótkiej przerwie oddech starca się uspokoił.

– Wczorajem wyszedłem do samochodu po papierosy, które leżały w schowku pasażera. I wtedy zauważyłem, że pistolet zniknął.

Airi i Emma wymieniły ukradkiem matczyne spojrzenia. Sama myśl, że broń mogła się dostać w ręce dziecka...

– Samochód nie był zamknięty, prawda? – chciał się upewnić Sven Erik.

Karl Andersson zaśmiał się smutno.

– Zamykać samochód? W gospodarstwie swoich rodziców? Nawet teraz ludzie tego nie robią. No cóż, niezmiernie się wystraszyłem, to oczywiste. Poinformowałem małżonkę, ale ona pistoletu nie widziała. Nasz pierworodny, Ville, dopiero zaczął rączkować, Emmy jeszcze nie było na świecie, więc to nie oni. Wiedziałem, że muszę zgłosić tę kradzież przełożonym. Ale zwlekałem. Boże drogi, nie mogłem spać. Przeklinałem swoją głupotę. Ale któż mógł przypuszczać...

– Czy mogę zapytać... – zaczął Sven Erik.

– Proszę, niech mi pan tylko pozwoli dokończyć. Rano pistolet znów leżał w samochodzie. Na siedzeniu pasażera.

– Jest pan pewien, że to było szesnastego czerwca?

– Ma się rozumieć. Siedemnastego czerwca Brazylia wygrała z Czechosłowacją w finale mistrzostw świata. Cała rodzina siedziała w kuchni i słuchała relacji z meczu. Ja myślałem tylko o pistolecie. Myślałem, że ktoś go ukradł, a później pożałował swego czynu. Albo pożyczył go jakiś młodzieniec, żeby poczuć się ważniakiem. Może próbował strzelać w lesie. Ale coś...

Podczas krótkiej pauzy zabębnił palcami po stole.

– Coś mnie w tym uwierało. Oddano tylko jeden strzał. Jeśli paru młodzieniaszków pożyczło broń, żeby się nią pobawić... Czy nie powinni byli opróżnić magazynku? Tak czy owak, postanowiłem nie zgłaszać tego zdarzenia. Sądziłem, że nie wydarzyło się nic poważnego. Dzięki swojej szczęśliwej gwiazdce i nigdy więcej nie dopuściłem się takiego niedbalstwa. Proszę zrozumieć, gazety nie pisały o zniknięciu Raimo Koskeli, nie było wzmianki o żadnym morderstwie. O ile mi było wiadomo, nikt nie użył pistoletu z niecných pobudek.

– I nagle pojawił się Raimo Koskela. Zamordowany.

– Co to był za pistolet? – zapytał Sven Erik.

– Towarzysz czterdzieści – odpowiedział Karl Andersson. – To znaczy pistolet m40, jeśli mam być formalny.

– Już nieistniejący?

– W rzeczy samej. Poddany destrukcji dawno temu. To wszystko zdało mi się takim nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności.

– Czy w pana rodzinnej wsi był ktoś, kto, patrząc z perspektywy czasu, mógł być w to wpłątany? Ktoś powiązany z Koskelą albo klubem bokserskim?

– Nie, nie. To zwykli szacowni obywatele. Sporządziłem listę osób mieszkających w pobliżu.

Wyciągnął z kieszeni zapisaną ręcznie liniowaną kartkę A4, złożoną na czworo. Sven Erik przebiegł oczyma po nazwiskach. Nic mu nie mówiły.

– Znałem ich wszystkich – dodał Karl Andersson ze wzrokiem zwróconym na listę. – Nie znajdzie pan wśród nich mordercy.

– Dziękuję panu, że zadał pan sobie trud, żeby tu przyjechać i opowiedzieć o tym. Dziękuję państwu bardzo. Morderstwo uległo przedawnieniu, ale dla Börjega Ströma to ważne, żeby poznać prawdę. I wszyscy popełniamy błędy...

Starzec podniósł się z pewnym wysiłkiem.

– Popełniłem dwa błędy – powiedział. – Po pierwsze: nie pojechałem do domu z bronią, nie rozebrałem jej i nie położyłem w należnym miejscu. Po drugie: zdecydowałem się na interpretację faktów, która zapewniła mi zdradliwy spokój ducha. Wmówiłem sobie, że w tym czasie, gdy pistolet nie leżał w samochodzie, nie zdarzyło się nic groźnego. Żeby zaoszczędzić sobie złożenia raportu o zdarzeniu.

Podziękowawszy za poczęstunek, odjechali. Sven Erik jeszcze raz przeczytał nazwiska na liście. Lindmark, Olsson, Nilsson, Nutti, Järvinen. Nic mu nie odżywało w pamięci. A mimo to było tam coś, na co jeszcze nie wpadł. Czego jeszcze nie skojarzył.

Rebeka Martinsson zakończyła dzień z telefonem w łóżku. Smarkacz śnił już na swoim posłaniu. Zapomniał o języku zwisającym z pyska. Ogon uderzał o podłogę, łapy drżały.

Weszła na facebookowe konto siostry Kristera. Ostatni filmik pokazywał Tintin i Roya biegających wokół Kristera, jakby ten powrócił z wojny, cudem ocalony. Widziała jego nogi; psy to pojawiały się, to znikwały z kadru. Słyszała, jak próbuje je uspokoić ze śmiechem w głosie. Jego siostra podkręcała nastrój podniecenia, pytając: „A kto się tak cieszy? A kto się tak cieszy?”.

Potem weszła na instagramowe konto Marit Törmä. Przynajmniej żadnego zdjęcia z pierścionkiem zaręczynowym.

Przewróciła się na plecy i wbiła wzrok w sufit. Kompletnie pusty i biały.

ŚRODA, 4 MAJA

POHJANEN ZADZWONIŁ akurat wtedy, gdy Anna Maria wysiadła z samochodu przed komendą.

– Przykro mi – wychrypiał bez ogródek. – Nic nie wskazuje na to, że wobec Galiny Kirejewskiej użyto przemocy. Wszystko przemawia za tym, że wypadła albo wyskoczyła z tego okna w hotelu.

– I dupa! – zakłęła policjantka, czując, jak chandra zatapia w niej pazury. – Żadnych śladów obrony? Żadnych siniaków? Nic pod paznokciami?

Przecięgnęła kartę przed czytnikiem i otworzyła drzwi.

– Czy powiedziałbym ci, że nic nie wskazuje na coś innego niż wypadek albo samobójstwo, gdybym znalazł ślady świadczące o próbie obrony? – odpowiedział zgryźliwie. – Nie marnuj czasu umierającemu człowiekowi, Mella. – Odchrząknął i zmienił ton. – W każdym razie poszło szybko – powiedział niemal łagodnie. – W wyniku upadku... chrrr... roztrzaskała kość skroniową. Wynaczynienie krwi pomiędzy kością czaszki a oponą twardą. Krwotok spowodował przemieszczenie mózgu, najpierw ku przeciwnej stronie, a potem w stronę karku, gdzie mózg przechodzi w rdzeń kręgowy. Tam... – Przerwał, by zaczerpnąć powietrza. – Tam, na nieszczęście, znajduje się ośrodek oddychania i gdy ten został poddany uciskowi, śmierć nastąpiła w mgnieniu oka – zakończył.

– No, toś mnie pocieszył.

Anna Maria pomyślała o rosyjskich osiłkach. To dla nich pestka wyrzucić przez okno kobietę o posturze nastolatki, nim zdąży stawić opór.

– Czy wyklucasz to, że została wyrzucona?

– Oczywiście, że nie – wycharczał medyk. – Powiedziałem, że nic nie świadczy o tym, że użyto wobec niej przemocy. I powinnaś wiedzieć jedną rzecz o siniakach, Mella.

– Tak?

– Wymagają trochę czasu. Miałem kiedyś na stole kobietę. Jej mąż skurwiel skopał ją tak, że zniszczył każdy organ wewnętrzny. Ale nie miała ani jednego siniaka, mimo że w środku była kompletnie porozrywana. Zmarła tak szybko z powodu tych obrażeń, że krwiaki nie zdążyły się pojawić. Masz jakieś wieści od Martinsson?

– Nie. Wiesz, że...

– Tak, tak, czytałem w sieci. Wylali ją ze śledztwa. Zgaduję, że Chujpost zafundował wam tort. Powiedz, żeby do mnie zadzwoniła, jak ją zobaczysz. Nie odpowiada na telefon. Teraz ma trochę czasu, żeby poświęcić się ojcu Börjega Ströma. Chcę mieć jasność w tej sprawie. Jutro wybierasz się do niej na imprezę, prawda? No to powiedz jej.

– No nie wiem, czy mam ochotę... – zaczęła Anna Maria.

Ale Pohjanen zdążył się rozłączyć.

– ...być twoją sekretarką – dokończyła sobie a muzom.

Spojrzała w górę. Niebo się zachmurzyło. Posępnie szare zwisało ciężko nad jej głową.

Nyrkin-Jussi wszedł do Ogrodu Złotej Jesieni i pozdrowiał napotkane w korytarzu osoby, torując sobie drogę do pokoju Sisu-Sikkego. Ranki były tutaj takie spokojne. Zapach świeżo zaparzonej kawy. Personel krzątający się w kuchni.

– Przed chwilą przyniosłam mu śniadanie – zrelacjonowała Hiba. – Powiedział, że nie jest głodny.

– Dopatrzę, żeby zjadł choć trochę – odpowiedział Nyrkin-Jussi.

Hiba pogłaskała go po ramieniu, zanim wszedł do pokoju.

Sisu-Sikke siedział na wózku przed swoim śniadaniem, pokrojonym w niewielkie kawałki. Miał czystą koszulę i starannie uczesane włosy. Kwiaty doniczkowe dostały trochę wody. Nyrkin-Jussi poczuł się, jak zawsze, wzruszony dbałością o Sikkego w tym ośrodku.

– *Rakastan*, najukochańszy – powiedział. – Musisz trochę zjeść. Bo inaczej pójdziesz na deski w pierwszej rundzie.

Sisu-Sikke się uśmiechnął. Ale w tym słonecznym przebłysku krył się smutek.

– Pomyślałem, żeby... – zaczął Nyrkin-Jussi, obchodząc pokój i zapalając każdą lampę; kiedy za oknem było pochmurnie, wewnątrz robiło się tak ponuro. – Żeby zaprosić Börjega Ströma na obiad, co ty na to?

Sisu-Sikke potrząsnął głową.

– Ja się wszystkim zajmę – nalegał Nyrkin-Jussi. – Zamówimy samochód. Przenocujesz w domu, łóżko jest takie puste. Fajnie byłoby powspominać stare czasy. On przecież nigdy... Pomyśl, usłyszeć go, jak sam opowiada o złocie olimpijskim. Przestań potrząsać głową. Wypadną ci od tego wszystkie włosy. Co ci jest?

8 września 1972

Nyrkin-Jussi przyjechał z Sisu-Sikkem do jego rodziców mieszkających w Kuoksu. Pora na wykopki. Był tam też pod koniec lipca i pomagał przy sianokosach. Wie, że jest lubiany przez tę rodzinę. Bracia Sikkego mówią, że nadarzył im się dodatkowy brat, i narzekają przekornie, że mama w końcu znalazła swojego pupilka.

Umowa jest taka, że Jussi i Sikke to najlepsi koledzy i jednocześnie trenerzy w klubie bokserskim Nordpolen. Może rodzina wie więcej. Prawdopodobnie tak. Rodzice Sikkego przestali suszyć mu głowę, żeby sobie kogoś znalazł. A mama ścieli im na rozsuwanej ławie i na leżącym na podłodze materacu w składziku, podczas gdy reszta dorosłych dzieci stłacza się tu i tam w domu. Co Jussi i Sikke robią po nocach, to ich sprawa, dopóki nie ujawniają nic więcej niż zażyłą przyjaźń.

Rodzina docenia siłę Nyrkina-Jussiego; chłopak potrafi udźwignąć za trzech, choć jest „mniejszego modelu”. Ma poczucie humoru, pracuje dobrze w zespole, a do tego je jak niewielka armia. Ta ostatnia właściwość być może jest najpiękniejsza w oczach mamy Sikkego, która nieustannie próbuje wmusić weń jeszcze więcej. „Jedz, skoro ci smakuje”, mówi i nakłada kolejną porcję. „Dziobiesz jak ptaszyna”.

Łęty przemarzły i wykopki w tym roku są wyjątkowo uciążliwe. Najpierw idzie się zgarbionym z motyką, wrywa ścięte mrozem, wiotkie łodygi, potem zbiera i sortuje ziemniaki. Duże do dużych, małe dla krów. Taka praca nadweręza kręgosłup. W czwartek i piątek dzieci dostały wolne ze szkoły, potrzebne każde ręce do pracy. Wieczorami rozpalają w saunie i wypacają trudy dnia.

Choć akurat dzisiaj kończą pracę wcześniej. Börje Ström wszedł do finału igrzysk olimpijskich i mecz zaczyna się o piątej. Szwecja zdobyła już cztery złote medale: Ulrika Knape w skokach do wody, Gunnar Larsson dwa w pływaniu i Ragnar Skanåker w strzelectwie. Ale finał w wadze półciężkiej przebija wszystko. Oczekiwania rosną i cała Szwecja gotuje się jak w garnku. A Norrbotten aż kipi. Właśnie gdy Börje Ström zapewnił sobie srebro, w monachijskiej wiosce olimpijskiej doszło do zamachu. Piątego września palestyńska grupa terrorystyczna „Czarny Wrzesień” wtargnęła na zagrodzony teren, zabiła dwóch izraelskich sportowców, a dzie więciu innych członków izraelskiej drużyny wzięła jako zakładników. Olimpiada została zawieszona i następnego dnia niemiecka policja i wojsko dokonały próby odbicia uwięzionych. Pięciu z ośmiu terrorystów zostało zabitych, zginęli wszyscy zakładnicy i jeden niemiecki policjant.

Rozważano odwołanie igrzysk, ale w końcu nadeszła informacja o ich kontynuacji. Rezygnacja byłaby poddaniem się presji terroryzmu. Mecz finałowy miał dojść do skutku. Nagłówki nie mogły być większe. „Wygra Börje Ström, a nie terroryzm!”

Schodzą z kartofliska i idą do sauny o drugiej. O czwartej jedzą smażonego okonia i ziemniaki. W końcu wybija piąta.

Wszyscy tłoczą się w największej izbie. Kilka osób znajduje miejsce na wysuwanej ławie, inne na przyniesionych z kuchni krzesłach, młodzież rozsiada się na gałgankowych chodnikach zaścielających podłogę. Telewizor postawiono na rozkładanym stole. Bracia Sisu-Sikkego dzień wcześniej majstrowali przy antenie na dachu, by uzyskać jak najlepszy odbiór.

Najstarszy z braci rozdaje dorosłym piwo, małolaty dostają oranżadę, pod warunkiem że nie rozleją ani kropelki. Dzieci, którym udziela się nastrój podniecenia, czytają na głos tekst na puszcze: *Cukier krzepi, Tuborg lepij!*. Zwijają się ze śmiechu, powtarzając: „lepij!”, aż najstarszy brat musi na nie huknąć i zagrozić im wydaleniem z izby.

– Powinniśmy tam z nim być – mówi po raz setny Nyrkin-Jussi, kiedy na ekranie pojawia się Börje Ström.

Z reguły trenerzy towarzyszą swoim zawodnikom na igrzyskach. Lecz tym razem Szwedzki Związek Bokserski zdecydował, że pojedzie jakiś trener ze stolicy. Ponieważ Sztokholm wystawił zawodnika wagi półśredniej, w zasadzie bez szans, wystarczyć miał jeden szkolenowiec, tak postanowiono. Nie mieli się jak przeciwstawić. Börje zadzwonił przed meczem półfinałowym i powiedział, że widział tego trenera tyle co nic. No i dobrze, bo ten człowiek głównie wie o tym, jak Börje walczy, i tylko go drażni, wykrzykując masę bezsensownych rzeczy w czasie meczu. Ale po wygranej, kiedy Börje miał już zapewnione srebro, stołeczny trener pojawił się momentalnie i obejmując zwycięzcę, szczyrzył zęby do kamer, bubek jeden!

Rozbrzmiewa pierwszy gong.

Kubańczyk Emilio Martinez rusza pełną parą. Ma metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i osiemdziesiąt jeden kilo mięśni. Jego prawy sieje spustoszenie, lewy irtuje, a prawy spada jak tłok. Börje przesuwają się do tyłu, nie nadąża z kontrą. Zestresowany cofaniem się, w drugiej minucie przechyla gardę, żeby odeprzeć lewy zamachowy. Powstaje potrzebna Martinezowi luka. Wpakowany w nią prawy prosty trafia bezbłędnie. Stadionem w Monachium wstrząsa potężny wrzask, Börje ląduje na deskach.

W izbie w Kuoksu też wznoszą się okrzyki. Sędzia liczy. Szwed podnosi się na trzy. Martinez dopada go niczym burza gradowa. Resztę rundy Börje osłania się z wysoko uniesionymi ramionami. Kubańczyk strzela celnie. Jedna bomba ląduje nad lewym okiem.

Dwie bratowe opuszczają izbę, to zbyt brutalne, nie mogą wytrzymać. Wołają z kuchni: „Krwawi?”, „Co dalej?”. Ich mężowie grożą rozwodem, jeśli kobiety natychmiast nie zamkną jadalniczek.

Drugą rundę Börje zaczyna z brwią posmarowaną maścią do ran. Zdążył poznać prawy tłok przeciwnika. Ten nie przestaje strzelać, ale Börje rusza z wolna do przodu, kontruje i się naprzykrza, wyprowadza kilka na pozór bezsensownych sierpowych na prawy bark rywala. Nyrkin-Jussi i Sisu-Sikke wymieniają szybkie spojrzenie. Dobre zagranie, sprytnie! Nie przysporzy punktów, ale to prawe ramię trzeba rozbroić. Pod koniec rundy nacierają obaj. Publiczność w Monachium i w Kuoksu wstaje z siedzeń. Wiwatuje na cześć walczących. Börje strzela swoimi upercutami, bije sierpowymi, uderza w nerki. Martinez wyraźnie chce dosięgnąć uszkodzonej już brwi rywala. Wie, że Szwed to *bleeder*, i jego trener z pewnością polecił mu zmasakrować ranę.

Publiczność w izbie przekrzykuje telewizyjnego komentatora pojedynku.

A potem staje się to, co absolutnie nie powinno się stać. Martinez rozpruwa Börjemu lewy łuk brwiowy. Krew tryska obficie, zalewa oko. Szwed się wycofuje. Kubańczyk okłada go

na przemian to w głowę, to w korpus. Börje się kuli, ucieka. Rozgląda się jednym okiem.

Nyrkin-Jussi krzyczy do telewizora, że sędzia, do jasnej cholery, powinien dać upomnienie za ciosy poniżej pasa. A po chwili zwraca się do Sisu-Sikkego:

– Widzisz? Widzisz bark Kubańczyka?

– Widzę.

Mięsień barkowy Martineza drży przed każdym prawym.

Nyrkin-Jussi rwie sobie włosy z głowy i wykrzykuje bezsilnie:

– Bark! Prawy bark!

Bo że ten dupek ze Sztokholmu dostrzeże to i pomoże Börjemu... Na to nie można liczyć.

Sekundy wloką się, jakby grzęzły w mokradle, aż w końcu rozbrzmiewa gong. Börje idzie do narożnika. Krwawi jak zarzynany prosiak, białe ręczniki schodzą jeden po drugim. Sisu-Sikke używa czerwonych ręczników, żeby przeciwnik nie widział, jak sprawy się mają. Ale teraz go tam nie ma. Dzieli ich kilka tysięcy kilometrów. Jest specjalista od ran, lekarz też sprawdza. Czy to już koniec? Czy w ogóle dojdzie do trzeciej rundy? Sisu-Sikke podnosi się i podchodzi do telewizora. Staje z boku, żeby nie zasłaniać innym. Patrzy na Börjega, tylko na Börjega. A kiedy ten znika z kadru, widzi go oczyma wyobraźni. Usta poruszają się, formułują niedosłyszalne słowa.

Jego mama też wstaje. Oczy ma rozszerzone niepokojem. Jako pierwsza w tym pomieszczeniu pojmuje, co robi syn. Zamawianie krwotoków ma w rodzinie wieloletnią tradycję. Znana jest opowieść o jej pradziadku, osiedleńcu w Sockenträsk, który zajął się koniem uczestniczącym w wojnie z Rosją w latach 1808–1809. Koń miał dwadzieścia osiem ran zadanych szablą i był skazany na śmierć w męczarniach. Ale pradziadek zatamował krew i pielęgnował konia przez całą zimę po kapitulacji. Osiedleńca już nigdy nie był sobą po tym zdarzeniu. Został dziwakiem, do którego prowadziło się chore zwierzęta, a całą gospodarką, lasem i domem zajmowała się żona. Najczęściej siedział w stajni i oddawał się rozmyślaniam. I tam też zmarł z powodu anemii w tym roku, w którym urodziło się jego czwarte dziecko, prababcia Sikkego. Koń dożył ponad trzydziestu lat i pomagał wdowie w transporcie drewna i w wiosennych pracach polowych. Latem pasł się w lesie i dopóki jego uzdrowiciel żył, przychodził do niego w odwiedzinach w czasie wakacji. Jej mama nie potrafiła odmówić, kiedy mieszkańcy wsi przychodzili ze swoimi dolegliwościami. Po zamawianiu spała godzinami, dzieci musiały zająć się wieczornym udojem. Ona sama nie miała szczególnie silnego daru, korzystała z niego, gdy dzieci były małe, to wszystko. Ale wie, że Sikkemu jest to dane.

– *Varota* – mówi teraz do syna, który przed telewizorem próbuje zamówić krwawienie Börjega. – Bądź ostrożny!

Gong wzywa do ostatniej rundy. Börje wychodzi na ring z niemal nową twarzą. Plaster i klej zatamowały krew. Zdaje się zebrany w sobie. Wszyscy wiedzą, że przegrywa na punkty. Ma jeszcze trzy minuty.

Uwolniony od ślepoty rusza do ataku. Wyprowadza krótki lewy i potem prawy na głowę. Poprawia lewym na skroń i prawym na korpus. Martinez z pomocą swojego prawego tanecznie schodzi z linii ciosów. Wystarczy tylko kontrowanie, by wygrał. Ale Börje puszcza go w liny. Dobija się do półdystansu.

– On czeka na prawy, czeka na prawy! – krzyczy Nyrkin-Jussi.

I prawy nadchodzi. Ale Börje dostrzega to poprzedzające cios drżenie mięśnia barku. Błyśkawicznie, niemal jednocześnie z tłokiem Kubańczyka wyprowadza krótki prawy, który idealnie dosięga brody rywala. Nogi Martineza uginają się jakby w zwolnionym tempie, jego prawe ramię ciągle wyciągnięte do przodu, kiedy Börje dorzuca dodatkowy sierpowy z pozdrowieniem „szerokiej drogi!”. Kubańczyk pada. Ale nie wali się jak kłoda, tylko osuwa niczym zwiędły kwiat. Deski przyjmują go litościwie. Sędzia liczy. Dach stadionu w Monachium niemal unosi się od

wycia publiczności. W Kuoksu ludzie wstrzymują oddech, aż pada sakramentalne: dziesięć.

Walka zakończona. Sędzia podnosi rękę Börjego ku niebu. Komentatorzy zdzierają gardła, krzycząc o cudzie ze Szwecji.

Nyrkin-Jussi płacze otwarcie i bez wstydu. Kobiety przybiegają z kuchni.

Sisu-Sikke słania się na nogach przed telewizorem, błady jak płótno. Jest małomówny i kładzie się do łóżka wyjątkowo wcześnie.

Kiedy Nyrkin-Jussi budzi się o drugiej dwadzieścia w nocy, odkrywa, że Sisu-Sikke nie leży u jego boku. Wkłada sweter i spodnie, wychodzi w jesienną ciemność.

– Sikke! – nawołuje cicho.

Drzwi do obory są otwarte. Przez sekundę zastanawia się, czy nie wrócić po buty, ale niepokój jest zbyt silny. Czuje lodowate zimno pod gołymi stopami. Odnajduje Sikkego u krów.

Ten siedzi na odwróconej do góry dnem balii obok Omeny. Wszystkie krowy przeżuwają w ciemności, dostały trochę siana, prawdopodobnie po to, żeby nie muczały w środku nocy. Sisu-Sikke opiera czoło o bok Omeny i nie reaguje na swoje imię.

Nyrkin-Jussi pojmuje, że nie powinien przeszkadzać, że u tej przewodniczki stada zamawiający nabiera sił, że odzyskuje zdrowie. Kładzie wiązkę siana na posadzce. Siada na niej, opierając się plecami o boks dla cielaków. Teraz jest wystarczająco daleko i blisko, ciągle rozróżnia w mroku sylwetkę Sikkego. Odgłosy krowiego przeżuwania i oddechów kołyszają go do snu. Zdaży jeszcze pomyśleć, że wszystko będzie dobrze, że Omena się nim zajmie.

Kiedy budzi się o świcie w oborze, oprócz krów nikogo tam nie ma. Podnosi się na sztywnych nogach; co za diabelski pomysł, żeby spać na siedząco na betonie. Rozciąga kark i przemyka do składziku. Sisu-Sikke śpi na rozsuwanej ławie.

Dopiero późną jesienią Nyrkin-Jussi dostrzega pewne zmiany. Jego partner był zawsze uniwersalnym bokserem. Równie szybki i silny w lewej i prawej ręce. To miało duże znaczenie, gdy przygotowywał któregoś z chłopaków na spotkanie z bokserem leworęcznym. Ale po finale igrzysk olimpijskich staje się ortodoksyjnie praworęczny. Nigdy o tym nie rozmawiają. Nawet wtedy, gdy trzydzieści lat później Sisu-Sikke po pierwszym wylewie traci władzę po lewej stronie ciała do tego stopnia, że musi nauczyć się robić proste rzeczy wyłącznie prawą ręką. Błuzni, gdy z mozołem próbuje zapiąć guziki koszuli. Przestaje kłaść żółty ser na poranną kanapkę, ponieważ nie potrafi go sam pokroić. Wiązanie butów i otwieranie butelek okrasza takimi przekleństwami, że niejednemu szewcowi zwiędłyby uszy. A nie daj Boże, żeby Nyrkin-Jussi zaproponował pomoc.

– Dlaczego nie chcesz, żebyśmy zaprosili Börjego na obiad? – zapytał Nyrkin-Jussi, nalewając kawy do kubka również sobie. – Jesteś zły na niego? Słuchaj, naprawdę musisz trochę zjeść.

– Nie... nie...

Sisu-Sikke pokręcił głową z rezygnacją i podjechał do blatu, na którym leżał jego „tablet”. Jedna z wnuczek brata zrobiła go na pracach ręcznych. Prosta deska z wypalonymi na niej literami alfabetu. Niewielki drewniany wskaźnik na tasie, żeby się nie zabłąkał. Sisu-Sikke położył tabliczkę na stole kuchennym i przekazał swoją wiadomość:

NIE ZŁY TO MOJA WINA TATO BS ZMARŁ TERAZ MNIE OPUŚCISZ

REBEKA MARTINSSON obudziła się w środowy poranek i rozmyślała nad swoją decyzją o rezygnacji z pracy w prokuratorze. Jak to jest, że inni ludzie zdają się iść przez życie prosto, bez zygzaków prowadzących w ślepe zaułki i zerwane relacje?

Smarkacz położył głowę na brzegu jej łóżka i wbił w nią ślepią. To co, wyjdziemy teraz? To co, wstaniesz teraz? To co teraz?

– Wstanjemy i wyjdziemy – powiedziała, marząc o życiu, w którym nikt by od niej ni-

czego nie wymagał, nawet roślina doniczkowa.

Miała nieodebrane połączenia od dwóch dziennikarzy, którzy w dalszym ciągu chcieli, by skomentowała wykluczenie jej ze śledztwa.

– Wstawaj, koniec wylegiwania! – nakazała sobie.

Po kawie planowała porządki. Jutro przyjedzie Maria Taube z kumpelkami. Dom wyglądał jak chlew.

Nastawiła pierwsze pranie i uprzątnęła wszystkie puste butelki. Trochę ich się zebrało. Włożyła połowę do czarnego worka na śmieci i wrzuciła do bagażnika. Resztę wyniosła do dawnej obory. Nie mogła wywieźć takiej ilości szkła do punktu recyklingu. Kręciło się tam wystarczająco dużo ludzi, którzy wiedzą, kim jest.

Wszyscy znają małpę, pomyślała. A małpa w klatce ma depresję i gryzie własny ogon.

Smarkacz biegł w kółko i od czasu do czasu zanurzał nos w śniegu.

Rozważała, czy nie powinna go zamknąć w domu. Bóg jeden wie, co on tam wygrzebuje i wrzuca na ruszt. Mysie trupki i inne łakocie, którymi w czasie odwilży częstuje przyroda.

Wytrzepała gałgankowe chodniki i rzuciła je na śnieg. Powycierała kurze wilgotną ścierką, słysząc w głowie głos babci: „Miotelka do kurzu, phi! Tylko go roztrzepie”. Odkurzając, spociała się jak mysz, sofa i poduszki były pełne psiej sierści.

Kiedy pralka zapipczała, Rebeka założyła narty, rozciągnęła sznur między drzewami, wróciła po kosz mokrych tekstyliów i rozwiesiła je na świeżym powietrzu. Nie było lekko, kilka razy zapadła się w miękkim śniegu, ale przynajmniej poczuła, że teraz naprawdę będzie miała wysprzątnany dom.

– Wkrótce zacznę gotować własne mydło z popiołu brzozy i tłuszczu – oznajmiła Smarkaczowi, który co rusz stawał na jej nartach, żeby też nie tonąć w śniegu.

Spojrzała w niebo; żeby tylko nie zaczęło padać.

Pomyślała o babci. Jak ona z tym wszystkim nadążała? Zawsze miała w domu tak czysto i przytulnie. Że nie zrezygnowała z kwiatów doniczkowych, że co roku wysiewała do ziemi nie tylko rośliny użytkowe, ale też te cieszące oko, że trzymała porządek w szufladach i pod zlewem, prasowała powłoczki na poduszki i zmieniała firanki.

Ona, Rebeka, była ze wszystkim w niedoczasie: rachunki, sprzątanie, kupno nowych rajstop. Zawsze najbardziej liczyła się praca.

Zastanawiała się, jaka była jej mama. Taka, co to zadziera nosa, według mieszkańców Kurravaary. I o niej samej też tak myśleli. Niektórzy w dalszym ciągu nazywali ją adwokatem, tak jak ją ochrzcili, gdy wyjechała z domu i zaczęła studiować prawo.

„Nie myśl o tym”, usłyszała w głowie babciny głos. „*Ei se kannatte*, to się nie opłaca”.

Babcia żyła wedle tego typu zasad. Nie opłaca się rozpamiętywać tego, co minęło. Dosyć ma dzień swojej biedy. Czas przynosi radę. Cytaty z Biblii na zmianę z przysłowiami.

I tak też się dało, pomyślała Rebeka. To może nawet był lepszy sposób.

Życie babci było po brzegi wypełnione udręką i utratą. Rodzeństwo, mąż i syn, wszyscy odeszli przed nią. To były inne czasy. Nikt się nie zajmował terapią, treningiem uważności ani jogą. Człowiek wypłakiwał się w lesie, a potem zbierał w garść i szedł do pracy. Nie wierzono – tak jak obecnie – w uzdrawiającą moc rozmowy.

I czy ja sama nie jestem do niej podobna?, myślała, szorując na kolanach podłogę w kuchni.

Kiedy przestałam chodzić na terapię, myślała dalej i zanurzyła szczotkę ryżową w gorącej wodzie z szarym mydłem. Przestałam, jak przestałam, w zasadzie prawie nie zaczęłam. Czy wtedy właśnie tak nie czułam? Że co to pomoże, drażnić w przeszłości? Co się stało, to się nie odstanie. Mama i tato byli dwiema osobami, które dużo straciły i które miały usterki w systemie.

Wyciągali po siebie ręce niczym dwoje tonących i żadne z nich nie potrafiło uratować drugiego.

A wkrótce odejdą wszyscy, którzy jeszcze coś mogą opowiedzieć. Sivving.

I Ragnhild Pekkari.

Odepchnęła myśli o Ragnhild, jednocześnie odsuwając kartony z papierami firmy Ollego i Andersa Pekkari. Von Chujpost niech przyśle kogoś po te pudła, skoro unieważnił jej decyzję o rewizji. Nie trzeba tego wszystkiego przeglądać, uświadomiła sobie. Można to po prostu olać.

W domu pachniało świeżością. Pomyślała, że uzbiera trochę witek brzozy i włoży do wazonu.

Smarkacz wycofał się na ławę w kuchni. Wzdychał zrezygnowany i posyłał jej długie spojrzenia. Jak długo będziesz taka nudna?, pytał.

Babcia miała w zwyczaju śpiewać podczas sprzątanía. I robić pauzy na kawę.

Pralka zapipczala ponownie. Rebeka postanowiła, że powiesi drugie pranie, a potem zadzwoni do Sivvinga z pytaniem, czy nie zechce do niej wpaść, bo właśnie planuje przerwę na kawę.

– Nie cierpię tego!

Anna Maria próbowała ściągnąć przymierzaną sukienkę. Utknęła gdzieś w połowie, stała teraz pochylona do przodu. Miała zasłoniętą głowę i wrażenie, że za chwilę się udusi. Pot przylepił materiał do ciała.

Jak pociągnę gwałtowniej, to trzaśnie w szwach, uprzytomniła sobie. To będzie kosztowna impreza.

– Olewamy to – powiedziała do córki, która stała na straży przed kabiną. – Idziemy na lunch.

Jenny odsunęła kotarę i weszła do środka.

– Rany boskie, zasłoń! – krzyczała Anna Maria spod fałdów tkaniny.

– Ależ, mamó! – zaśmiała się Jenny. – Zasłoniłam. Czekaaj, pomogę ci. No, poczekaj! Stój spokojnie.

– Wyłuskaj mnie z tej cholernej kiecki!

– Jak paniom idzie? – dało się słyszeć jasny głos ekspedientki z zewnątrz. – Przynieść inny rozmiar?

– Nie, dziękuję, raczej łom – wystękała Anna Maria.

Z pomocą córki wyswobodziła się z sukienki. Patrzyła na kreację nienawistnym wzrokiem, podczas gdy Jenny ją odwieszała.

– Miałaś mi się w niej pokazać. Nie podobała ci się?

– Bardzo mi się podobała. Na wieszaku podobała mi się niesłychanie.

– No to przymierz tę. Masz superładne ramiona.

Jenny trzymała kwiecistą suknię z odkrytymi plecami.

– Za długa – burknęła podejrziwie Anna Maria.

– Pomogę ci skrócić. Proszę cię, mamó. Fajnie przecieź przymierzać ciuchy.

– Jasne – odparowała Anna Maria, wskazując córkę palcem. – Fajnie, jak się ma dwadzieścia lat. Ale gdy tyłek opadł ci do poziomu kolan...

– Przestań! – przerwała jej ostro Jenny. – Żadnej nienawiści do ciała!

Anna Mara posłusznie włożyła sukienkę. Z lustra spoglądała na nią jakaś odklejona od rzeczywistości osoba.

– Cicho sza! – szepnęła. – Weszłam w kontakt ze swoją wewnętrzną boginią. Dawaj, zapalimy kadzidelko.

– Dobra, ściągaj. I przestań się wygłupiać.

– Stawiam serduszko przy twoim nastawieniu – poinformowała Anna Maria, uwalniając

się z sukni numer dwa.

Sukienka numer trzy przemieniła ją w ciastko, które uciekło z cukierni. Czwarta wydy-
mała się na plecach, ponieważ była uszyta na znacznie wyższą osobę.

– Dzwonią dzwony Notre Dame, bim, bam, bom! – zanuciła Anna Maria, kuśtykając po
przebieralni.

Przymierzenia piątej odmówiła.

– Mam, kurde, swetry, które są dłuższe.

– Poddaję się – oznajmiła Jenny. – Opuść sobie tę imprezę! Przecież nie musisz tam iść,
jeśli to takie męczące.

– Muszę – odparła Anna Maria ponuro. – Szczególnie teraz, kiedy Reбекę odsunęli od
śledztwa. To byłaby jawna manifestacja, gdybym nie przyszła. Musisz mi pomóc.

– No, to sprężaj się! A ta?

– Ma tylko jeden rękaw... Okej, okej.

Sukienka była niebieska jak zmierzch. I leżała jak ulał.

– No, gitówa – podsumowała Jenny.

Anna Maria zgodziła się z córką. Sprawdziła jeszcze, jak wygląda z tyłu. A potem sprawd-
dziła cenę.

– Tysiąc dziewięćset! – wykrzyknęła. – Kamienie szlachetne zaszyli w lamówki czy co?

Jenny błyskawicznie rozpoczęła akcję przekonywania. Kiedy mama ostatnio kupiła jakąś
sukienkę? Miały ten sam rozmiar butów i Jenny mogła jej pożyczyć swoje najbardziej eleganc-
kie. W końcu zadzwoniła do Roberta, który też był za.

– No dobra – poddała się Anna Maria z nadzieją, że ma wystarczająco dużo pieniędzy na
koncie. To będzie naprawdę droga impreza.

Ale przynajmniej połowę ceny sukienki był wart pocałunek, który córka złożyła jej na po-
liczku. Roześmiane, zdążyły jeszcze zjeść lunch, nim Jenny wróciła do szkoły.

Syn Borówkowego Króla postarzał się w sposób, który sprawił, że Börje poczuł się nie-
swojo. Był ogromny, ale nieumięśniony. Blady jak surowe ciasto, worki pod oczami. Żałosne
resztki włosów zwisały w zbyt długich strąkach. Börje nigdy by go nie poznał, gdyby wycho-
dzący mu naprzeciw mężczyzna nie wykrzyknął:

– Strömmen! To ja, Taggen!

Trzech mężczyzn pracowało w warsztacie przy produkcji kontenerów socjalnych. Stali
z ochraniaczami słuchu przy maszynach. Taggen przekrzykiwał frezarkę:

– Kopę lat. Naprawdę kopę lat! Panowie! Panowie!

Maszyny cichły jedna po drugiej, nauszniaki osuwały się na kark albo podjeżdżały w górę.

– Musicie się przywitać z bohaterem – nawoływał, potrząsając jego ramieniem lewą ręką
i ściskając dłoń prawą. – Börje Ström, złoto na olimpiadzie w siedemdziesiątym drugim i trzy-
krotne mistrzostwo Szwecji.

Mężczyźni podeszli, żeby go pozdrowić. Jeden z nich wspomniał o dzieciach kuzyna,
które boksowały się w klubie Nordpolen, i zrobił sobie selfie. Taggen, wciśnięty między nich,
objął pięściarza ramieniem i też załapał się na fotografię.

– Trzeba wam wiedzieć, że w tamtych czasach parę razy sprawiłem mistrzowi niezłe la-
nie.

Upozorował kilka ciosów. Börje życzliwie je skontrował. Ale słowa Taggena pozostawił
bez komentarza. W tamtych czasach chłopak nie zdradzał zadatków na boksera. Był wytreno-
wany, owszem. Ale brakowało mu zasięgu. Nie potrafił odczytywać przeciwnika. Najczęściej
szło mu tak sobie. Każdy mógłby zostać gwiazdą, gdyby tylko się bardziej przyłożył, gdyby bez-
dusznymi rodzice nie stawiali przeszkód, gdyby nie to albo tamto. Börje już dawno temu przestał się

irytować z powodu takiego gadania.

– Może zorganizujemy dla was mecz? – zaproponował jeden z mężczyzn.

Pozostali zaśmiali się dyskretnie.

– Jasne. – Taggen się zaśmiał. – Teraz mógłbym wystartować w wadze porządnie ciężkiej.

– Potworna rzecz... z twoim ojcem – powiedział ktoś inny.

Bokser mruknął coś w rodzaju podziękowania.

– No to ja wybywam na lunch – oznajmił Taggen. – Będziemy gadać o starych czasach, wrócę więc gdzieś tak przed północą.

Taggen zarezerwował stolik w Ripan i upierał się, że sam zapłaci. Przywitał kelnerkę po imieniu.

– Widzę, że masz szczególnego gościa – odpowiedziała.

Usiedli przy oknie.

– Najlepsze miejsce – zachwalał, zataczając łuk ręką. – Znają mnie tu, dostają trochę *special treatment*.

Börje rozejrzał się i nie potrafił dociec, co różni akurat ten stolik od innych przy oknie.

Teraz miał okazję przyjrzeć się mężczyźnie naprzeciwko. Był do tego przyzwyczajony na ringu: obserwować i oceniać rywala. Niewątpliwie miał przed sobą gadułę. Nie pamiętał jednak, czy Taggen wcześniej też tak nawijał. Od czasu do czasu ich spojrzenia się spotykały, Börje dostrzegał w oczach mężczyzny jakąś przebiegłość, niepewność. Ale nie tylko wobec Börjego, również wobec samego siebie. Börje złapał się na tym, że ciągle się zastanawia, kim tak naprawdę jest jego rozmówca, pod płaszczykiem tych różnych klituś-bajduś i żartów o swojej wadze. To się nie trzymało kupy.

– Gdybyś zechciał przeprowadzić się do Kiruny, to daj znać – powiedział Taggen, wyciągając rękę po koszyczek z chlebem. – Mogę ci załatwić pracę i mieszkanie. Interes się kręci jak ta lala.

Börje słuchał jednym uchem. Taggen opowiadał o tym, jak sprzedają kontenery socjalne, baraki budowlane i minimieszkania dla całej północnej Europy. Mają więcej zamówień, niż mogą zrealizować. A w samej Kirunie przybyło przecież mnóstwo ludzi, którzy się tu nie osiedlili, tylko kursują między domem a pracą, więc kontenerowe dzielnice ciągle się rozrastają. Ale nie narzeka. To śpiewka przyszłości. Mobilna siła robocza. Rodziny zatrzymują się w innym miejscu. To fakt, wtedy płacą podatki na miejscu zamieszkania, ale tutejsza gmina nie musi inwestować w szkoły i tym podobne. Czyli wszyscy są zadowoleni. Oprócz zielonych i lewicy, oczywiście, ale oni zawsze są w opozycji do wszystkiego.

– *Adapt or die*, no nie? – zakończył z chlebem w ustach. – Dostosuj się do nowych czasów albo przepadnij.

Niektórzy ludzie, myślał Börje, są jakby skonstruowani z takich frazesów i gotowców, jak samochody poobklejane przeróżnymi naklejkami.

Na zewnątrz chmurzyło się coraz bardziej. Zniknęły cienie. Patykowate brzozy usiłowały wyróżnić się w mlecznym krajobrazie.

Kelnerka przyjęła zamówienie.

– Kotlet mielony z łosia – zdecydował Taggen. – I...

– ...nie żałuj sosu i ziemniaków – uzupełniła kelnerka z uśmiechem. – Wiem.

– Chciałem powiedzieć: i twój numer telefonu!

– Mój telefon się wyładował – odparowała dziewczyna, mrugając okiem i odeszła.

– Jestem przecież wspaniałą partią – zawołał za nią, klepiąc się po brzuchu. – Dwoje w jednym.

Nie przestawał mówić. Teraz zaczął opowieść o kompleksie wypoczynkowym Ripan. W tym miejscu dawniej była otwarta woda, w której kobiety w zimie płukały pranie. Czy Börje o tym wiedział? Potem urządzono tu kąpielisko, a w końcu przebudowano kamping na ekskluzywny hotel.

– Kiruna rozrasta się tak, że niemal pęka w szwach. I tego pociągu człowiek nie chce przeoczyć.

Zjadł wszystkie chleb i w oczekiwaniu na ciepły posiłek zabrał się do pieczywa chrupkiego z masłem. Wziął maselnickę z sąsiedniego stołu. Börje czekał na odpowiednią lukę. To prawie jak podczas tego meczu bez walki w finale kategorii ciężkiej w 1952, w którym Ingo Johansson spotkał się z olbrzymem Edem Sandersem z Los Angeles. Ingo nie dopuszczał do bezpośredniego starcia. Cofał się, robił uniki w bok, tańczył. Miał nadzieję, że zmęczy rywala. Sanders doszedł do finału nokautami, ale teraz nie mógł osiągnąć przeciwnika. Gonili się w ringu przez dwie rundy, w których nie padł ani jeden cios.

Mielony z łosia został podany i zjedzony, posiłek dobiegał końca. Nie pojawiła się żadna naturalna okazja. W środku wywodu Taggena o nowo odkrytych złożach rudy żelaza, biegnących od Luossy do Nukutusjärvi, Börje wtrącił:

– Słuchaj, mój tato...

Taggen stracił wątek, spojrzął na telefon.

– Jesteś starszy ode mnie – kontynuował Börje. – Boksowałeś się w klubie jakiś czas. Znałeś go? No wiesz, on pracował trochę dla twojego ojca.

Dłoń Taggena przesunęła się po twarzy.

– Cóż, twój ojciec był już wtedy po trzydziestce. Nie zadawałem się z takimi starszkami. Nie pamiętam.

– Rozmawiałem z niejakim Larsem Grahnem, mieszka w tym samym ośrodku co Sisu-Sikke. Powiedział, że mój tato robił jakieś podejrzanе interesy z kimś o nazwisku Forslind. Że sprzedali fałszywą walutę rosyjskiej mafii i że to właśnie rosyjska mafia go zastrzeliła. Wiesz, człowiek po tych wszystkich ciosach w głowę może nie wszystko ma tam poukładane, ale to przecież brzmi niedorzecznie.

– Zgadzam się, ale tak naprawdę człowiek niewiele wie o swoim rodzicielu.

Odsunął od siebie talerz i zaczął przekładać z miejsca na miejsce szklankę, butelkę po piwie bezalkoholowym i solniczkę.

– Uwierz mi, jak się jest synem Borówkowego Króla, to człowiek nasłucha się rzeczy, o których wolałby nie wiedzieć. Wiele razy myślałem, żeby stąd wyjechać i... Zacząć od nowa. W tamtych czasach to tu był trochę Dzik Zachód. Chyba wszyscy starsi w klubie od czasu do czasu maczali palce w jakichś nie do końca czystych sprawach. Tak po prostu było i już.

– Myślisz więc, że Grahn mówi prawdę?

Taggen wzruszył ramionami.

– Słuchaj, miałem czternaście lat, kiedy zniknął twój ojciec...

– Chciałbym porozmawiać z twoim tatą – przerwał mu Börje. – Ale wygląda na to, że ma wokół siebie niewielką armię, która go strzeże.

Taggen pokręcił wolno głową.

– Wkrótce skończy dziewięćdziesiąt lat. Zdrowie ma nie najlepsze. Kiedy go spotykam, to, no, starcza mu sił na dziesięć minut. I to nie jest żadna armia.

Zaśmiał się.

– Tylko jego żona i parę osób, które pilnują porządku. Te ostatnie z konieczności. Bo są ludzie, którzy potrafią ograbić ze wszystkiego starszków mieszkających trochę na uboczu.

– Daj mi pięć minut z nim.

– Zrozum, nic ci nie mogę dać. Czy nie lepiej to sobie odpuścić?

Skinął głową w kierunku jego wytatuowanego ramienia i zaśmiał się pusto.

– A co, kurwa, zrobisz, jak się dowiesz, że był zamieszany w jakieś poważne machlojki?

Usuniesz każdy tatuaż laserem?

– Czy ty właśnie tak zrobiłeś ze swoim ojcem? Po prostu sobie odpuściłeś?

– Na tyle, na ile umiałem.

Solniczka zamieniła się miejscem ze szklanką raz jeszcze.

Kelnerka wróciła z rachunkiem. Taggen dał jej solidny napiwek, dziewczyna wykrzyknęła zaskoczona:

– Oj, dziękuję!

Gdy tylko się odwróciła, mężczyzna wstał.

– No, jeśli człowiek ma jeszcze coś dzisiaj zrobić...

Ściągnął kurtkę wiszącą na oparciu krzesła.

– Nie masz nic przeciwko temu, że cię nie odwiozę do hotelu? To niedaleko na piechotę.

– Nie ma problemu. Dzięki za lunch.

– No, musimy to powtórzyć, nie? – powiedział, błędząc oczyma dookoła.

– Możesz go przynajmniej zapytać – nie poddawał się Börje, gdy szli ku wyjściu. – Zapytaj, czy chce się ze mną spotkać. Pięć minut. Zawsze mogę tam pojechać i zapukać do drzwi.

Zatrzymali się na parkingu.

– Nie rozumiesz – odpowiedział Taggen. – Proszę, nie jedź do ojca. Obiecuj mi!

Börje został sam i patrzył za oddalającym się samochodem.

Niebo poszarzało jeszcze bardziej. Czyżby zbierało się na śnieg?

Pomyślał ponownie o meczu w Helsinkach. Po dwóch rundach sędzia podniósł rękę Sandersa. Ingo został zdyskwalifikowany i nawet nie dostał swojego srebrnego medalu, mimo że zajął drugie miejsce. Börje poczuł, jak ogarnia go poczucie bezsilności.

Człowiek chce wierzyć w uczciwe walki, pomyślał. W czyste zamiary i nieznaczone karty. Ale władza jest tak daleko, tak odległa od ringu. Kompletnie niedosiężna. I dlatego tak się grzmocimy.

Zadzwoił do Ragnhild. Odebrała błyskawicznie.

– Przyjdź do mnie. Dostaniesz kawę po lunchu.

– Mimo że jestem przekleństwem? – odważył się na żart.

– Jedno przekleństwo mniej lub więcej – odparła. – Rusz tyłek i przychodź.

Anna Maria Mella siedziała przy swoim biurku. Jej wzrok zatrzymał się na stojącej przy wejściu torbie z tasemkowym uchwytem. Zamknęła drzwi i rozwinęła cieniutką bibułkę. Czy sukienka ciągle jest tak piękna, jak ją zapamiętała ze sklepu? Czy może raczej zapłaciła tysiąc dwieście koron za samo przeżycie zakupów z Jenny?

Rozpięła spodnie i pozwoliła im opaść do kostek. Zdjęła bluzkę, włożyła sukienkę i odwróciła się do lustra.

Właśnie w tym momencie ktoś zapukał do drzwi i Sonja z recepcji wetknęła głowę do gabinetu.

– Oj! – wykrzyknęła. – Jak ładnie wyglądasz! Co za sukienka!

– Kosztowała majątek – skomentowała policjantka, podciągając spodnie. – Kiedy zrobię z niej użytek?

– Na jutrzejszym obiedzie u Rebeki?

– No tak, a potem? Przypomnij Robertowi, żeby mnie w niej pochował. Przynajmniej będzie z niej jakiś piruński pożytek.

– Przełączę do ciebie rozmowę. Chciałam ci tylko powiedzieć, żebyś odebrała.

– OK, tylko o co...? – zaczęła Anna Maria, ale Sonia już zbiegała po schodach.

Telefon jednocześnie zadzwieczał i zabłysnął lampką.

– Komisarz Mella.

– *Hello* – odezwał się jakiś mężczyzna po angielsku z wyraźnym rosyjskim akcentem. – Mam informacje o Galinie Kirejewskiej. Czy rozmawiam z właściwą osobą?

– Tak, słucham.

Przysunęła do siebie samoprzylepne karteczki i beznadziejny długopis, który zostawiał jedynie bezbarwne wgłębienia na papierze. W końcu znalazła inny w szufladzie.

– Jej rodzina dostała wiadomość, że znaleziono ją martwą – powiedział mężczyzna. – Nieszczęśliwy wypadek.

– Tak, to prawda. Jestem jedną z tych osób, które jako pierwsze przybyły na miejsce. A z kim rozmawiam?

– Jestem jej przyjacielem. *Just listen, please*, proszę słuchać. Usłyszałem, że jej rodzina dostała wiadomość o śmierci, i pomyślałem, że muszę... Chcę tylko, żebyście wiedzieli, że zadzwoniła do mnie, zanim zmarła. Powiedziała, że pracuje jako prostytutka w Kirunie... Wypowiadam prawidłowo? Kiruuunie?

– Wystarczająco prawidłowo.

– Powiedziała, że pracowała w kamperze z dwoma innymi kobietami. I że ci alfonsi, którzy prowadzili samochód, to *very bad men*. Właśnie tak powiedziała. Rosjanie.

Serce Anny Marii uderzało czujnie pod drogą sukienką.

– Proszę mówić dalej.

– Pewnego wieczoru, no, może jakieś trzy tygodnie temu, nagle plany się zmieniły. Miały pracować jak zwykle, ale zamiast tego zostały wywiezione na wyspę. Zainstalowano je na poddaszu domu, który należał do jakiegoś starszego mężczyzny, alkoholika. Mówiła, że siedziały tam tylko, surfowały w sieci i jadły. Wzięły prysznic. Na dole wybuchła awantura. Jedna z dziewczyn zeszła po cichu na dół, żeby zobaczyć, co się dzieje, i zaraz wróciła, i powiedziała: „Oni go mordują, oni go mordują. Nas też zamordują”.

– Kto kogo mordował?

– Alfonsi mordowali tego starego mężczyznę. Dusili go na sofie.

Teraz, pomyślała Anna Maria. Teraz ich mamy.

– Dlaczego kobiety były przekonane, że one też zostaną zamordowane? Przecież raczej nie poszłyby na policję?

Zapanowała kilkusekundowa cisza.

– Dlaczego nie miałyby pójść na policję? Jeśli były świadkami morderstwa? Ponieważ były pracownicami seksualnymi? Ponieważ takie nie mają zasad moralności? To był błąd, że do pani zadzwoniłem...

– Proszę mi wybaczyć! – wykrzyknęła Anna Maria. – Nie to miałam na myśli...

– Były przerażone, rozumie pani? Domyślały się, że tego typu ludzie pozbywają się świadków. Galina powiedziała, że wpadły w panikę. Włożyły buty, otworzyły okno i wyskoczyły na śnieg. Te dwie zaczęły biec. Galina ugrzęzła w śniegu. Powiedziała, że koleżanki biegną w stronę łądu, ale kiedy ona sama w końcu się wydostała na powierzchnię, ruszyła na drugą stronę wody, bo tam było bliżej do lasu. Kiedy dotarła do linii drzew, usłyszała skuter śnieżny, ale nie oglądała się za siebie. Przeszła przez las i w końcu dotarła do drogi. Szła nią, dopóki nie zatrzymał się jakiś samochód. Zadzwoniła do jednego ze swoich klientów. Ten załatwił jej pracę w restauracji, nie wiem gdzie. Myślę, że gdzieś w pobliżu. Powiedziała, że chce zbierać trochę pieniędzy, żeby wyjechać do Niemiec.

– Mam więcej pytań. Jak się pan nazywa?

– Nie mogę pani zdradzić swojego nazwiska. Ale proszę mi wierzyć. Ona nie miała w planach samobójstwa.

– Potrzebowałabym udokumentowanego przesłuchania z panem. Te informacje są bardzo ważne, chyba pan rozumie.

– Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc. Policja tutaj jest dla nas bardzo niebezpieczna.

– Dla nas?

– Jestem gejem. Galina też nie była hetero. I nie wiem nic więcej niż to, co pani przekazałem. Nie wspomniała nigdy, jak ci mężczyźni się nazywają ani nic w tym stylu. Prosiłem ją, żeby była ostrożna. Żeby jak najszybciej stamtąd wyjechała. Ale torebka z pieniędzmi została w domu na wyspie. Miała zarobić tylko trochę pieniędzy, żeby wystarczyło na podróż. Mieliśmy się zdzwonić, ale...

– Policja w twoim kraju nie musi być w to zamieszana – prosiła Anna Maria. – Możemy...

– Przykro mi. Galina była cudowną przyjaciółką. Bardzo mi przykro.

– Halo! Halo!

Mężczyzna się rozłączył.

– Nie, nie, nie! – krzyczała Anna Maria do swojego telefonu.

Potem pogalopowała do biura Carla von Posta w prokuraturze.

– Oj! – wyrwało mu się na jej widok. – Usiądź, Mella.

– Nie mogę siedzieć – odparła i zrelacjonowała mu rozmowę z anonimowym mężczyzną.

– Zgarniamy ich!

Carl von Post położył łokcie na stole i wsparł brodę na złożonych dłoniach.

– A co potem? – zapytał.

Anna Maria zamilkła.

– Ale to przecież oni! To oni zamordowali Henry’ego Pekkarięgo i Galinę Kirejewską, i Adrianę Mohr, i tę trzecią kobietę, której jeszcze nie zidentyfikowaliśmy. Cztery osoby!

– Jestem przekonany, że masz rację. Ale w dalszym ciągu nic na nich nie mamy. Jeśli ich wezwiemy na przesłuchanie, nie pisną ani słówka, to jasne. A gdy ich wypuścimy, znikną jak kamień w wodę. Wyjadą z kraju na zawsze.

– To znaczy, że nic z tym nie zrobimy? – chciała się upewnić Anna Maria.

Von Post przeciągnął ręką po twarzy.

– Spróbujemy namierzyć rozmowę – rzekł. – Ale ten człowiek nie potrafi zidentyfikować Rosjan. Musimy znaleźć przynajmniej jedną osobę, która powiąże mężczyzn z kamperem. Jak wam idą rozmowy z mieszkańcami baraków?

– Jak po grudzie – odpowiedziała Anna Maria zrezygnowana. – Nikt nic nie wie, dziwne, co?

Tak nie może być, myślała, wracając z prokuratury. Nie wytrzymam ze świadomością, że oni sobie tutaj bezkarnie rozbudowują kryminalną megadziałalność, podczas gdy ja ścigam drobnych złodziejasków i piratów drogowych.

Dlaczego zabili Henry’ego Pekkarięgo? Co tam się, u diaska, wydarzyło na tej wyspie?

Dopiero kiedy wróciła do swojego biura, zauważyła, że ma na sobie elegancką sukienkę i dzinsy. Von Post nie skomentował tego ani słowem.

Teraz już nie będzie miał wątpliwości, że jestem *hullu*^[22], pomyślała.

– No, kiepsko – powiedział Sven Erik, wyglądając za okno. – Muszę odsnieżyć to poletko, bo inaczej młode ziemniaki nie dojrzejną na twoje urodziny.

– W tym roku rzeczywiście mieliśmy wyjątkowo śnieżną zimę – przyznała Airi. – Włożę kilka sadzeniaków do wiader, to pierwsze wykopki będą wcześniej. Ale zgadzam się z tobą, trzeba odgarnąć ten śnieg. Pomogę ci.

Posprząтали ze stołu po podwieczorku. Ona umyła kubki i talerzyki, on powycierał je i włożył na swoje miejsce. Każdy z kotów dostał zwinięty w rulonik plasterek sera. Bokserka jak zwykle wbiła pazury w rękaw jego koszuli, żeby przypadkiem o niej nie zapomniał. Sven Erik wysuwał powoli rulonik z ręki. Ta zbawienna chwila dnia powszedniego mogłaby trwać znacznie dłużej.

– Tylko po jednym! – upomniała Airi, wychodząc do sieni, żeby włożyć gumowce. – Nie możesz jej dawać więcej, to niesprawiedliwe.

Wyszedł za nią do przedpokoju. Bokserka miauczała oskarżająco, ponieważ nie dotrzymał umowy; przecież zawsze dostaje dodatkową porcję.

Odsnieżanie pola to uciążliwa praca. Śnieg był mokry i ciężki. Sven Erik jeszcze raz podjął temat odsnieżarki wirnikowej, a Airi jeszcze raz zapytała, czy nie chce z nią długo żyć.

– Praca fizyczna utrzymuje nas w dobrej formie – powiedziała. – Dotknij tutaj. Zawsze odsnieżałam ręcznie i zawsze ręcznie przekopywałam ziemię.

Ucisnął jej mocne bicepsy.

– Chcę żyć z tobą sto lat – odparł. – Co najmniej sto.

– No to do roboty! – Zaśmiała się i wbiła łopatę w śnieg. – Nie bierz tak dużo naraz. Lepiej mniej, a częściej. Nie chcę mieć w domu faceta z postrzałem.

To prawda, myślał Sven Erik, nabierając szuflą odpowiednią ilość śniegu. Jak się pracuje na kobiecy sposób, to człowiek więcej robi. Przyszedł mu na myśl dziadek i jego koń. Transportował drewno i wodę, pracował do tego na roli, wychowywał dzieciaki i był przewodniczącym rady wiejskiej. „Najlepsze życie człowiek miał wtedy, gdy harował jak wół”, zwykł żartować i dodawał: „Całe szczęście, że człowiek nie zawsze miał najlepsze życie”. Choć wszyscy przecież wiedzieli, że ten żart wyrastał z solidnej, poważnej refleksji.

Ale w gruncie rzeczy to babcia była tą osobą, która robiła wszystko. Przy zwierzętach, dzieciach, starszyźnie i w domu. Wstawiała pierwsza, a kiedy dziadek wracał do domu po ciężkim dniu pracy, zasiadał przy stole z obiadem, a potem wyciągał swoje zmęczone członki na kuchennej ławie. Podczas gdy jego żona sprzątała ze stołu, zmywała, patroszyła ryby na następny dzień i doiła wieczorem krowy. Każda luka była wypełniona pracą, choćby szło o przerobienie jeszcze jednego rzędu na drutach albo szybki wypad na skraj lasu, by zbierać kubeczek jagód.

– I świetna była w zaganianiu nas, dzieci, do pracy – powiedział głośno. – Dawała nam niezbyt trudne zadania, żebyśmy się nie przemęczyli. I mnóstwo pochwał. Mama też taka była. Bo jak dziadek nas brał do roboty, to wieczorem płakaliśmy z wycieńczenia.

– A gdzie to się teraz podziewasz w swoich myślach? – zaśmiała się Airi.

– Nieważne – odpowiedział Sven Erik ze śmiechem. – Boże drogi, człowiek jest już w tym wieku, że nawet nie zauważa, kiedy zaczyna głośno myśleć.

Lecz po chwili, nie ustając w odsnieżaniu, opowiedział jej o swoich rozmyślaniach. I rozmawiali dalej o babciach i dziadkach. Sven Erik dziękował swojej szczęśliwej gwieździe za Airi. Która miała podobne dzieciństwo jak on. Nigdy nie musiał jej nic tłumaczyć.

– A jak tam ci idzie ze śledztwem? – zapytała.

– Obawiam się, że nie ma więcej kamieni, pod które możemy zajrzeć – powiedział i opierając się na trzonku szuflki, przesunął czapkę na czubek głowy. – Nie zajdziemy dalej z tym pistoletem, który ktoś „pożyczył” w Piilijärvi, a potem oddał. Borówkowy Król... Cóż, po tym, czego doświadczyły Anna Maria i Rebeka, nie mam nawet zamiaru starać się o audiencję. Börje rozmawiał z jego synem, Taggenem Mäkim, ale on w sześćdziesiątym drugim był taki młody, że nie miał w zasadzie nic nowego do powiedzenia. No i ten ciołek Larre Grahn, który opowiadał nies stworzone rzeczy o rosyjskiej mafii i fałszywych dolarach. Nie, nie ma szans.

– A śledztwo policyjne z sześćdziesiątego drugiego? Naprawdę nie da się do niego do-

trzeć?

– Oddane na przemiał już dawno temu. Chodziło przecież tylko o zaginięcie. No i uznano go za zmarłego dziesięć lat później, w tym samym roku, w którym Börje wywalczył złoto na olimpiadzie.

– No dobrze, ale ten policjant, który zajmował się sprawą zaginięcia, jakżeż on się nazywał, Fjäder? Czy ten Larre Grahn nie wymienił go z nazwiska?

– Tak. Ale Stålnacke^[23] brzmi lepiej, prawda? Jeśli się zastanawiasz nad zmianą...?

Podeszła do niego ciężkim krokiem. Objęła go ramionami.

– Chcesz mnie zobaczyć w welonie i wianku?

I to też, pomyślał Sven Erik. Że ona mnie dotyka, nie tylko w sypialni. Z Hjördis nigdy nie okazywali sobie czułości ot tak, w środku dnia. Airi czasami nawet ładowała mu się na kolana, kiedy siedział na sedesie i sikał. Pierwszy raz najzwyczajniej się wystraszył, ale potem przywykł. Ciesność jest dla niej czymś naturalnym. Airi zachowuje się jak jej koty, ich koty. One też wskakują mu na kolana, kiedy siedzi w ubikacji, kładą się na gazecie, którą próbuje czytać. OK, Airi nie kładzie się na stole, ale zasada jest ta sama. Często przerywa to, co właśnie robi, ze słowami: „Teraz musisz mnie na chwilę przytulić”.

– No, i znowu jestem głodna – powiedziała. – Utrę trochę starych ziemniaków, to usmażymy placki ziemniaczane.

– Z dżemem borówkowym i boczkiem – dodał.

Airi ściągnęła gumowce na ganku. Przyglądała się przez chwilę partnerowi, który w dalszym ciągu machał łopatą na poletku. Śledztwo w sprawie przedawnionego morderstwa okazało się dla niego zbawieniem. Znow stał się sobą. Znow dobrze sypiał. Tej beczynnej zimy spał jak ktoś wściekły, zaciskał i podnosił pięści we śnie, rzucał się tak, że i ona, i koty podskakiwały wystraszone w łóżku. Zdawać się mogło, że spał w proteście przeciw życiu, które nie daje mu dłużej powodu do wypoczynku.

Fjäder, pomyślała. Warto sprawdzić.

Sven Erik przerwał pracę, kiedy jedna trzecia pola była odśnieżona. Gdy tylko przyjdzie parę ciepłych dni, ukaże się naga ziemia. Spojrzał w kierunku łańcucha gór. Niestety wyglądało na to, że zbiera się na śnieżycę. Jeśli spadnie więcej niż dziesięć centymetrów, to pożyczycy od sąsiada odśnieżarkę. Niech sobie Airi i jej bicepsy mówią, co chcą.

Kiedy wszedł do kuchni, Airi właśnie skończyła ucierać ziemniaki i stała w kuchni z Bokserką na ramieniu.

– Chodź, posłuchaj! – powiedziała, wycierając ręce w ściereczkę. – Poszukałam na Facebooku. I wiesz co? Ten policjant, Fjäder, żyje.

– Coś takiego!

– Bystry jeszcze umysł według wnuczki jego brata. Mieszka w Parkalombolo.

Sven Erik ugniatał wąsa.

– Parkalombolo – powiedział. – Mają drużynę piłkarską, w każdym razie mieli. Na jedynastym miejscu w czwartej lidze Północnej Norlandii, w dwa tysiące szóstym spadli do piątej.

– No proszę! Warto zobaczyć jak nic. Przejedziemy się tam jutro na wycieczkę? Mam wieczorny dyżur, więc jeśli tylko ruszymy z rana...

– A pole ziemniaczane?

– Najprawdopodobniej będzie w tym samym miejscu, gdy wrócimy do domu. Powinieneś założyć sobie konto na Facebooku.

– Nawet jeśli mi zapłacili milion, to nie założę.

Carl von Post ugniatał z rezygnacją awokado, kiedy zadzwonił telefon. Tęsknił za Sztokholmem, za halą targową na Östermalmie, za włączeniem się między stoiskami bez konkretnych

planów na obiad. Po prostu zacząć od ryby albo kawałka mięsa, potem przejść do sałaty, sosu, dodatków. Przysiąść na chwilę z lampką wina albo filiżanką espresso i wrócić do domu z torbą pełną smakołyków.

Dzwonił Anders Pekkari.

– Dobra robota! – zaczął. – To musi być miłe uczucie, utrząść nosa Rebecce Martinsson, no nie? Słuchaj... Ekm... Księgowość firmy, kiedy nam ją zwrócisz?

Von Postowi momentalnie pogorszył się nastrój. Po pierwsze, nie podobało mu się, że Anders Pekkari chwali go niczym jakiegoś dziennego najmitę.

Wykrzykuj sobie „dobra robota” do swoich podwładnych, cymbale, pomyślał.

Po drugie, nie podobał mu się komentarz o ucieraniu nosa. Co za miłe uczucie? Jak gdyby to była rzecz powszechnie znana, że on, von Post, znajduje się na słabszej pozycji względem Martinsson. Jakby potrzebował demonstrować swoją przewagę.

I po trzecie, dobrze by było, gdyby Anders Pekkari nie zachowywał się tak, jakby składał zamówienie w prokuraturze. Dzwoni i ponagla, jakby to on...!

Nie. Von Post dziękował pięknie za rozkazy od rotariańskich braci z Kiruny. Niedouczone ptasich mózdzków, które ledwie przebrnęły przez liceum, a teraz zarabiały cztery razy więcej niż on sam, jadły w restauracji i jeździły z rodzinami do Tajlandii na koszt firmy. A potem w jego towarzystwie otwarcie opowiadały o oszustwach podatkowych. Nigdy tego nie komentował, ale teraz niech wszyscy, dokładnie wszyscy odpiędą się od jego pracy i nie próbują nią kierować, przytkając palcami.

Wrzucił awokado do koszyka i wycofał się do jednej z wyludnionych alejek między półkami.

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa uchylimy decyzję o przeszukaniu – powiedział.

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa? – powtórzył Anders Pekkari coraz bardziej skrzekliwym głosem. – Ten nakaz jest nielegalny i powinien, kurwa, być cofnięty. Natychmiast!

Von Post się uśmiechnął. To niemal wzruszające, pobierać nauki w dziedzinie prawa od kogoś z rezerwy talentów.

– No cóż, Rada do spraw Bezpieczeństwa i Ochrony Prywatności jeszcze się na ten temat nie wypowiedziała. Kiedy i, zauważ, j e ś l i to uczyni na niekorzyść Martinsson, wówczas decyzja o uchyleniu nakazu powinna nastąpić niezwłocznie; możesz poprosić swego adwokata, by zapoznał cię ze szczegółami. Spróbuję się temu przyjrzeć w przyszłym tygodniu. Ale, jak wiesz, mamy na karku trzy morderstwa.

– Noż do kurwy nędzy, Calle! – wyjęczał Anders Pekkari z prośbą w głosie.

No, znacznie lepiej, pomyślał rozradowany prokurator. Widocznie to nie takie trudne.

– Słuchaj, naprawdę muszę... – rzucił na zakończenie, rozmyślnie nie wyjaśniając, co musi, a czego nie. – Zobaczmy się w poniedziałek na unihokeju!

Zakończył połączenie. Tak trzymać! Przez kilka sekund czuł, jak wraca mu dobry nastrój. Lecz już po chwili widok awokado przywołał go do rzeczywistości. Żona poprosiła, żeby zrobił zakupy na obiad, który dziś mieli zjeść razem. Muszą porozmawiać, powiedziała. Synowie byli u kolegów. Żeby się wspólnie uczyć, tere-ferę kuku. Za firanką z pewnością grają na komputerze. Niechęć wyżywała go swymi spierzchłymi rękoma.

W środowe popołudnie zaczął sypać śnieg. Wełniaste strzępki padały gęsto.

Ragnhild Pekkari wyjrzała przez okno w pokoju. Samochody na letnich oponach wlekły się w ślimaczym tempie. Wycieraczki chodziły na najwyższych obrotach.

Villa wsunęła się bezgłośnie do sypialni.

Tam w dole jakiś cień przebiegał przez ulicę. To Börje Ström zbliżał się do jej bramy.

Nie odstraszyła go, płacząc w jego ramionach.

Rozmyślała o śnieżnym pomoście.

Tydzień temu miała na niego wstąpić i zakończyć swoje życie.

To nie tchórzostwo pchnęło ją ku pomostowi i to nie tchórzostwo sprawiło, że ów pomost opuściła. Po prostu chwilowo coś stanęło na przeszkodzie.

Jej życie zawodowe miało głęboki sens. Ratowała ludzi od cierpienia, choroby i śmierci. Kiedy przeszła na emeryturę, zostały jej tylko te wszystkie inne sfery życia. I nie mogła sobie z tym dać rady.

Utrata wydeptała w niej twarde i nieprzebyte dno i Ragnhild została z tym sama.

Byłam taka zła, pomyślała. Niemal w każdej minucie. Bezkompromisowa i zła.

Na *äiti* i *isä*, i Henry'ego, i Ollego. I na Virpi.

Na tych wszystkich lekarzy, których nie cierpiała za brak empatii wobec pacjentów, za ich zadufanie, niekompetencję i niezdolność dostrzeżenia pracy pielęgniarek.

Na ojca Pauli. Pamiętała swoje fantazje o zemście, wydarzenia tworzone w wyobraźni nocą, kiedy nie mogła zasnąć. Jak przyjeżdża karetką pogotowia do wypadku. Todde i jego nowa żona siedzą uwięzieni w płonącym samochodzie. Ratownicze służby drogowe jeszcze nie dojechały. Patrzy w jego wytrzeszczone oczy, słyszy trzask płonącego wraku. Sekundy dzielące ich od eksplozji.

Jej mąż wytrzeźwiał. Gdy Paula miała trzynaście lat, jeden z klubowych kumpli zaciągnął go do Anonimowych Alkoholików. Todde uważał, że Ragnhild powinna chodzić na rodzinne spotkania. Odmówiła. Wszystko, dosłownie wszystko, co dawniej kręciło się wokół jego nietrzeźwości, kręciło się teraz wokół jego trzeźwości. Spotkania, rachunek sumienia będący jednym z tych dwunastu kroków, wnikliwa samoocena.

Sponsor dał mu zatrudnienie. I wtedy Todde ją rzucił. Podejrzewała, że spotkał kogoś w grupie AA. Z czasem okazało się, że miała rację. Paula dzieliła swój czas między nią a swoją nową rodziną. Chodziła na wszystkie spotkania. I też uważała, że Ragnhild powinna się do nich przyłączyć. Paula była taka młoda. Wiedziała wszystko o świecie. „To ty mu umożliwiałaś picie”, powiedziała. „Podtrzymywałaś je”.

„A ja myślałam, że płacę rachunki, robię zakupy i sprzątam”, odpowiedziała wtedy.

To było tak głęboko niesprawiedliwe. Paula nagle zdecydowała, że zamieszka u niego na stałe. Coraz rzadziej odwiedzała swoją mamę. Przyjaciółki uspokajały Ragnhild, twierdząc, że to przywilej wieku. „Wróci”, mówiły. Ale córka nigdy nie wróciła. Odsuwała się od niej coraz bardziej. Milcząca i wroga. Ragnhild zawsze czuła się po cichu sądzona i krytykowana. Broniła się, wspominając o swoim wkładzie pracy rodzicielskiej. „Pamiętasz, jak marzyłaś o nowych tapetach w swoim pokoju? Wzięłam dodatkowe dyżury nocne i pewnej soboty poszłyśmy na zakupy”.

Paula skończyła osiemnaście lat i wyjechała do Luleå. Nigdy nie dzwoniła. Kiedy Ragnhild się odzywała, miała wrażenie, że jej przeszkadza. Przestała się więc odzywać. Niewolna od próżności, myślała, że córka w końcu kiedyś za nią zatęskni.

Paula zaakceptowała jej zaproszenie do grona znajomych na Facebooku. I Ragnhild oglądała zdjęcia swoich wnucząt. Czasami przewijał się tam Todde ze swoją nową żoną, Ragnhild lajkowała. Za każdym razem jakby z ukłuciem igły wstrzykującej truciznę.

Jak do tego doszło?, zastanawiała się. Że on stał się świętym, którego przeszyły strzały, a ja demonem? Upokorzyła się, dzwoniąc kiedyś do niego. Kiedy Paula miała okrągłe urodziny i nie zaprosiła na nie matki. „Powinnaś to wyjaśnić z Paulą”, powiedział. I jeszcze raz próbował ją przekonać do spotkań AA. „Byłeś, kurwa, lepszy, kiedy piłeś”, odparła.

Miała powyżej uszu tego gniewu. Serdecznie dosyć jego gorzkiego smaku. Ciągle tej sa-

mej zdartej śpiewki. Tego samego ciężaru, tego samego zużytego motoru do łodzi, który opada coraz niżej i niżej.

Śnieżny pomost z pewnością tam jeszcze jest nad strumieniem.

Świadomość tego dawała jej niezmierną siłę. Że potrafi. Że istnieje pomost. W ten lub w inny sposób.

Nie muszę wytrzymywać dłużej niż sekunda za sekundą, pomyślała.

Płatki za oknem wirowały i wywijały w tańcu, korzystając ze swej krótkiej podróży. Jutro miały się zamienić w wodę. Pojutrze w trawę.

Pukanie do drzwi. Börje.

Ruszyła ku drzwiom. Życie we dwójkę nie było wyzwoleniem. Nie wierzyła we współczesny kult miłości. Ale nie musiała być sama i to niosło ulgę. Życie według własnych przekonań znacznie tego dnia, gdy poczuje się wystarczająco silna.

Anna Maria wykonała błyskawiczną operację w kuchni. Wrzuciła do piekarnika rybę, nastawiła garnek ziemniaków, uprzątnęła wszystko ze stołu, wyrzuciła gazety na makulaturę, a pocztę położyła na stosie „papierów do przejrzenia później”.

Opróżniła i ponownie załadowała zmywarkę, wyjęła worek z odpadkami i potrząsnęła nim, by móc go zawiązać. Upaćkała sobie palce.

O ile bardziej uciążliwe jest zawiązanie worka, zastanawiała się, w porównaniu z ostrożnym układaniem śmieci w stosik na samym wierzchu w oczekiwaniu, że ktoś inny ten worek zawiąże i wymieni na nowy? I jak uciążliwe jest wyniesienie worka ze śmieciami do pojemnika przed domem? Czy naprawdę bardziej uciążliwe niż przestępowanie go w drzwiach wejściowych i udawanie, że go tam nie ma? Jak dużo energii się oszczędza, gdy się wkłada puste kartony po jogurcie do lodówki, zamiast je złożyć i wyrzucić do pojemnika z opakowaniami? Ileż ciekawych kwestii! Ktoś powinien zacząć badania naukowe na ten temat.

Wybrała numer do Tommy’ego Rantakyrö, włożyła słuchawkę do ucha, wskoczyła w drewniaki i ślizgając się w mokrym śniegu, dotarła do pojemnika na śmieci, żeby wyrzucić lepki worek z odpadkami.

Tommy nie odpowiadał, zostawiła wiadomość na poczcie głosowej. Powiedziała mu, żeby został w domu do końca tygodnia, ale żeby też raczył odpowiedzieć na jej telefon.

Wróciwszy do domu, zapomniała na moment o porządkach w kuchni i zajęła się chaosem obuwniczym w przedpokoju. Wyniesienie butów zimowych na strych nie wchodziło w grę, przecież na dworze padał śnieg. Boże drogi, maj to naprawdę upierdliwy miesiąc!

Postanowiła, że następnego dnia wpadnie do Tommy’ego. Zapuka i sprawdzi, co u niego słychać.

Kiedy wyjmowała odkurzacza ze schowka, dostała w głowę drążkiem do mopa. Oprócz ciasnoty zawsze panował tam bałagan.

A może wcale nie powinnam do niego jechać?, ogarnęły ją wątpliwości. Zachowuję się jak nadopiekuńcza matka. Wszyscy to kiedyś przerabialiśmy. To oczywiście kijowo, że przychodzi do pracy na kacu. I te jego rozproszone krótkie zwolnienia chorobowe z powodu balowania. Co to za słowo zresztą, jak gdyby tego typu picie miało w sobie coś z radosnej zabawy.

Może powinnam przestać się z nim patyczkować. A jednocześnie, co złego w tym patyczkowaniu, jeśli chcesz komuś pomóc? Dlaczego bardziej profesjonalne jest nieprzejmowanie się? I zwalanie odpowiedzialności za bliźnich na instytucje?

Wyjęła znów telefon i napisała do Tommy’ego: „Proszę, zadzwoń. Teraz! Chcę tylko sprawdzić, co u ciebie”.

Jenny zeszła z piętra z muzyką w uszach. Anna Maria podążyła za nią do kuchni.

– Mogłabyś odkurzyć?

Córka uwolniła jedno ucho ze słuchawki.

– Co?

– Możesz odkurzyć? Tylko tutaj na dole. Kuchnię i przedpokój. Poukładałam buty i...

– Rany, jak tylko się pokażę, to momentalnie zapędzasz mnie do pracy. Dlaczego nigdy nie pytasz Pettera albo Gustafa?

– Jasne, że pytam. Przestań!

– Nieprawda, pytasz tylko mnie. Rozkazujesz mi. Ciągle! Słowo daję, wychowujesz nas w duchu patriarchy. Gratuluję!

Obróciła się na pięcie i wbiegła po schodach na górę.

– Poczekaj! – zawołała za nią Anna Maria. – To znaczy, że ja mam odkurzyć? Co to za równouprawnienie?

– Odkurzę! – krzyknęła Jenny. – Później. Czy wszystko musi się dziać od razu, jak tylko coś powiesz? Histeryzujesz, mamo!

Wynoszę się stąd, pomyślała Anna Maria. Tylko najpierw podleję kwiatki i wyciągnę z piekarnika obiad dla rodziny.

Rebeka Martinsson posypała świeżym śniegiem gałkankowe chodniki i odświeżyła je szczotką na kiju. Położyła je potem na wyszorowanej podłodze i napaliła w piecu, żeby wyciągnąć z nich wilgoć.

Zadzwonił telefon. Przez moment zastanawiała się, czy w ogóle chce sprawdzić, kto zacz. Pewnie znowu jakiś dziennikarz.

Oby wkrótce znaleźli sobie nowy temat, pomyślała.

Måns Wenngren.

– Pytałaś o kogoś, kto zna się na zorganizowanej przestępczości – zaczął bez ogródek. – W ciągu godziny zadzwoni do ciebie kobieta z ukrytego numeru. Odbierz. Nie była przesadnie zapalona, że się tak wyrażę.

– Dzięki – odpowiedziała, siadając na brzegu sofy, żeby nie ugnieść ozdobnie zaaranżowanych poduszek. – Chociaż akurat teraz jestem wyłączona ze śledztwa.

– No tak, wszędzie o tym trąbią – zaśmiał się. – Ale wcześniej takie rzeczy ci nie przeszkadzały, no nie?

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Na weekend wybierał się z kumplami na żagle. Powiedziała mu, że tutaj śnieg wali tak gęsto, iż nie widać wyciągniętej przed siebie ręki.

– Ja cię pierdolę! – powiedział z emfazą i Rebeka wyczuła w jego głosie, że naprawdę nie tęskni za czasami, kiedy był zmuszony pomieszkiwać z nią w Kurravaarze.

Kiedy skończyli rozmowę, odgrzała resztkę kawy w dzbanku i uświadomiła sobie, że powinna zjeść coś w rodzaju obiadu. Wdychając zapach kawy i świeżo wyszorowanej podłogi, wertowała gazety. Smarkacz kręcił się niespokojnie, nie mogąc sobie znaleźć miejsca.

– Co ci jest? – zapytała. – Połóż się.

Telefon zadzwonił ponownie. Numer zastrzeżony.

– Rebeka – przedstawiła się, biorąc psa za obrozę i zmuszając do leżenia.

– Cześć, tu Eva Johansson. Måns prosił mnie, żebym się do ciebie odezwała.

– Dziękuję, że dzwonisz. Jestem prokuratorką w Kirunie i...

– Powiedział, o co chodzi. Czytałam o tobie. I o tych morderstwach na północy.

Rebeka słyszała, jak Eva Johansson zapala papierosa i zaciąga się nim.

– No więc w czym mogę ci pomóc? Mam tylko pół godziny, a więcej rozmów nie będzie.

Rebeka opowiedziała o Borówkowym Królu, Fransie Mäkim.

– Wkrótce skończy dziewięćdziesiąt lat – podsumowała. – Niedawno poślubił Rosjanę w okolicach trzydziestki. Jeśli wierzyć programowi rozpoznawania twarzy, parę lat temu była za-

mieszana w gigantyczne przejście tożsamości pewnej firmy. Potężna afera ze skorumpowanymi policjantami, prokuratorami, sędziami i pracownikami ichniejszego urzędu skarbowego. W domu, gdzie mieszkają, są też dwa mięśniaki i młodziutka kobieta, która wygląda jak... Tyłek, piersi, sztuczne paznokcie, podrabiane włosy, zrobione usta. Jesteśmy przekonani, że mięśniaki prowadziły kamper z trzema pracownicami seksualnymi. I sprzedawały narkotyki.

Opowiedziała o psie, który się wabił Bengt i którego rozszarpały bestie należące do Rosjan.

– Nie zniknęli po tych morderstwach?

– Nie.

– Kiruna jest w trakcie dużych przemian, prawda? – zapytała Eva Johansson. – Mam na myśli przeprowadzkę miasta z powodu rozbudowy kopalni. Taka miejscowość w Szwecji to dla elementu kryminalnego smakowity kąsek w zasięgu ręki. Jakiego typu przedsiębiorstwa posiada ten Borówkowy Król?

– No cóż, jest ich całe mnóstwo. Budowlane, obrót produktami z drewna, wiercenie szybów i tak dalej.

– W sektorze budowlanym jest sporo zorganizowanej przestępczości. Urząd Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast szacuje, że oszustwa w branży budowlanej kosztują nas od osiemdziesięciu trzech do stu jedenastu miliardów koron rocznie. To są pieniądze, z których powinny być finansowane opieka nad starszymi, szkolnictwo i służba zdrowia. Jeśli jest tak, jak podejrzewacie, że ta żona ma powiązania ze zorganizowaną przestępczością, to... Teraz tylko spekuluję...

Kolejne głębokie zaciągnięcie się dymem po drugiej stronie. Rebeka wstała i zaczęła szukać tytoniu w szufladzie z rupieciami. Smarkacz błyskawicznie podniósł się i podbiegł do drzwi. Zaskomlał, ale go zignorowała.

– Jeśli ma tego typu kontakty, to ma dostęp do świetnie funkcjonującej sieci ekonomicznej, żeby przelewać pieniądze – kontynuowała Eva Johansson. – Kontakty w banku, spółka wyduszką na Cyprze, spółka w rajach podatkowych. Tego typu element dostrzega atrakcyjność Kiruny i zatapia w niej pazury. Mnóstwo lukratywnych kontraktów. Dużo potężnych projektów, z którymi nie można zwlekać. No i dzięki małżeństwu z tym Borówkowym Królem ma dostęp do lokalnej firmy. Nie musi zaczynać działalności od zera. Wynajęła sobie mięśniaków, dwóch profesjonalistów, którzy pomagają jej we wszystkim – od zapewnienia ochrony osobistej do przekonania kluczowych osób, tych podejmujących decyzje w gminie i spółkach zamawiających. Takie stacjonowanie w jakiejś dziurze na dłuższą metę może być nudne, więc jest też dziewczyna dla chłopaków, a może i dla Króla, co ja tam wiem o jego upodobaniach na stare lata, no i trochę walk psów.

Rebeka znalazła opakowanie tytoniu, bibułki i zwijarkę do papierosów.

– Wygląda na to, że już przejęli prostytutkę i narkotyki – powiedziała. – Zapotrzebowanie jest duże. Jest tu wielu mężczyzn, którzy swoje życie i rodziny mają w innej miejscowości, którzy gnieźdzą się w nieciekawych barakach w nieciekawej okolicy i harują ciężko na zmiany.

– Tak... – zamyśliła się Eva Johansson. – Ale to przymierze z Borówkowym Królem wskazuje raczej na sektor budowlany. Chcą zgarnąć kasę ze złotodajnych kontraktów. A te zyskuje się dzięki łapówkom i groźbom. Potem odstawia się budowlaną fuszerkę, wiesz, ludzie bez wykształcenia, zatrudnieni na czarno przez podwykonawców, których sami kontrolują, tani, kiepski cement w konstrukcjach nośnych, zero izolacji przed wilgocią. Mogłabym wyliczyć sto innych rzeczy. Jakiś rok temu oddano do użytku sto jedenaście nowo wybudowanych mieszkań czynszowych w Spånga. Kiedy ludzie się tam wprowadzili, nie mieli elektryczności, ogrzewania ani wody.

– Żartujesz!

– Niestety nie. Właśnie w związku z tą aferą zastrzelono na Lidingö kierownika projektu. To było morderstwo na zamówienie, złapali chłopaczka, który to zrobił, ale nie miał żadnych powiązań z ofiarą. Odmawiał zeznań. Nie oskarżono więc nikogo o podżeganie, ponieważ nie dało się dociec, kto był osobą zamawiającą. Takie rzeczy dzieją się cały czas, ale nie pisze się o tym zbyt dużo, bo, no cóż, to trochę zagmatwane i skomplikowane. Ludzie wolą czytać o celebrytach, którzy się skompromitowali albo oczekują dziecka, owocu wielkiej miłości.

– Ale ty pracujesz dla firmy ubezpieczeniowej. Czym się właściwie zajmujesz?

– Mmm... Kiedy staje budowa tunelu albo zawala się most i nagle potrzeba dwustu milionów, żeby to ogarnąć, firma za to odpowiedzialna właśnie zbankrutowała, a pieniądze odpłynęły w siną dal... Wtedy zamawiający zgłasza się do swojej firmy ubezpieczeniowej, prawda? Moja praca polega na znalezieniu osób decyzyjnych, które przyczyniły się do szkody. Tego, kto podpisał umowę z wątpliwym podwykonawcą, tej, która przymykała oczy i nie pociągnęła na czas za hamulec bezpieczeństwa, mimo napływających raportów o nieprawidłowościach. Następnie firma ubezpieczeniowa przedstawia swoje stanowisko i mówi tak: „Mamy dowody – albo przesłanki – świadczące o tym, że ty i grupa osób skupionych wokół ciebie pobieraliście łapówki. Możemy przesłać wyniki naszego dochodzenia do prokuratora, możemy też tego nie zrobić. Wy natomiast możecie wycofać swoje roszczenia wobec firmy ubezpieczeniowej albo dalej się przy nich upierać”. Każdy polityk i urzędnik woli uniknąć skandalu i tkwienia w takim gównie. Sprawa więc przycicha. A mój zleceniodawca, czyli ubezpieczyciel, nie musi wypłacać masy pieniędzy.

– Zrobią to za niego podatnicy – stwierdziła kwaśno Rebeka.

– Tak, jeżeli zamawiającym była gmina albo państwo. Co nie należy do rzadkości.

Rebeka odwróciła się, słysząc osobliwy dźwięk. Jak gdyby ktoś stąpał po miękkiej butelce z ketchupem. Smarkacz przykucnął przy drzwiach. Z jego odbytu tryskała biegunka. Niczym psi Charlie Chaplin szedł w kucki, zostawiając ślady kupy na podłodze, gałgankowych chodnikach i ścianach.

– Ty psi pierunie! – wrzasnęła Rebeka. – Stop, stój, zatrzymaj się!

– Co się dzieje? – zapytała Eva Johansson.

– Mój pies właśnie dostał sraczki. Czekaj, nie rozłączaj się.

Chwyciła Smarkacza za obrozę i ciągnęła go, z nieustannym rozwolnieniem, po schodach, by w końcu wypchnąć za drzwi.

– O Boże – westchnęła do słuchawki. – Dopiero co skończyłam sprzątanie.

– Moja była labradorka jakieś dwa lata temu wytarzała się w ludzkim gównie – powiedziała Eva Johansson. – Zatrzymaliśmy się na siku, byliśmy w drodze do... To nie ma znaczenia. Wytarłam ją jako tako dwoma serwetkami o zapachu cytryny, które znalazłam w aucie. Niewiele to oczywiście pomogło. A potem siedzieliśmy z nią jeszcze dwieście kilometrów, zanim dotarliśmy do celu. Ciągle nie mogę znieść zapachu cytrynowych chusteczek odświeżających.

– Ale psy znosisz?

– Nie mogę bez nich żyć.

– Dlaczego zamiast psów nie można kochać rybek akwariowych? – zapytała Rebeka, przyglądając się Smarkaczowi, który ciągle wystraszony zajściem, kontynuował swój chaplinowski chód, tym razem po świeżym śniegu.

– Zajmij się psem – powiedziała Eva Johansson. – Jeśli kiedyś chciałabyś zmienić pracę, to skontaktuj się ze mną przez Månsa. Opowiedział mi o tobie.

– Ach, tak?

– Ta praca jest zdecydowanie lepiej płatna niż twoja posada w prokuraturze. I możesz mieszkać, gdzie chcesz. Chociaż sporo dni spędzasz w podróży. No i, jak się domyślasz, nieod-

łączną częścią tej pracy jest zagrożenie, nie można się za bardzo wychylać. Rozumiem, że akurat w tej dziedzinie nie masz czarnego pasa. Ale może się zmienisz.

– Okej. Mogę do ciebie zadzwonić, jeśli... ?

– Nie. Przykro mi. Mam wystarczająco dużo roboty z własnymi aferami.

– Czy Eva Johansson to twoje prawdziwe nazwisko?

Kobieta się roześmiała.

– Oczywiście, że nie. Ale Måns i ja jesteśmy starymi kumplami, więc gdyby cię zainteresowała taka praca, daj znać. Powodzenia z psem. I jeszcze jedna rzecz...

Zdawała się wahać przez sekundę.

– Doszło do trzech, może czterech morderstw, w które te osoby najprawdopodobniej są zamieszane. Mogą się ulotnić w ciągu dziesięciu minut. Ale nie zrobiły tego. Co o tym myślisz?

– Że sporo tu zainwestowały i mają dużo do stracenia.

– Mmm, myśl dalej. Nie lubię spekulować, gdy chodzi o dochodzenia innych.

I zakończyła rozmowę. Nagle. Podobnie jak Måns.

Muszą być ze sobą spokrewnieni, pomyślała Rebeka. Albo przynajmniej chodzili do tej samej prywatnej szkoły. Nauczyli się, jak wzbudzić w rozmówczyni uczucie, że właśnie została spławiona.

A mimo wszystko czuła się podekscytowana propozycją pracy.

Dlaczego nie?, pomyślała.

A później wzięła się za zmywanie psiej kupy w kuchni i na schodach. Dwa chodniki jeszcze raz wylądowały w pralce.

Myślała dużo o Kristerze. O tym, że dawniej zadzwoniłaby do niego i wszystko mu opowiedziała. On by się śmiał. A potem wsiadłby do samochodu i przyjechał, żeby pomóc jej sprzątać.

CZWARTEK, 5 MAJA

NAPÓR BIAŁEGO ŻYWIÓŁU trwał przez całą noc i nie ustawał również następnego dnia. Śnieżną breję na ulicach pocięły koleiny. Osoby, które zuchwale wymieniły opony na letnie, jechały teraz w żółtym tempie. Widoczność była prawie zerowa, człowiek poruszał się po omacku, jak w gęstej mgle, śnieg na przedniej szybie przyrastał na wysokość zastraszająco szybko.

Zamieć z zawieją drażniły się z mieszkańcami willi. Ci z wejściami od północy niemal nie mogli otworzyć drzwi zasypanych nawianym śniegiem. Ci z drzwiami po zaciśniej stronie nie mieli lepiej, bo wiatr nie wywiał stamtąd nic. W mediach społecznościowych roiło się od zdjęć ukrytych pod śniegiem rowerów, samochodów, wózków dziecięcych. Pojawiła się nawet krótką wzmianka w wiadomościach telewizyjnych.

Sven Erik Stålnacke i Airi Bylund śmiali się ze swoich próżnych wysiłków, by dzień wcześniej odśnieżyć pole ziemniaczane. Zrezygnowali z planowanej wycieczki do Parkalombolo. Sven Erik po prostu zadzwonił do od dawna już emerytowanego policjanta, komisarza Adriana Fjädера.

Przedstawili się sobie, powzdychali trochę nad tekstem „Piękny maju, witaj ponownie w naszej krainie”^[24], no, już to widzę. W Parkalombolo też padał śnieg. Sięgnęli pamięcią wstecz do kilku niezapomnianych śnieżnych zim, a potem przez trzy kwadransy rozprawiali o historii lokalnej policji.

– Dobrze się czułem w Kirunie – wyznał Fjäder. – Ale teraz już chyba nigdy więcej nie odwiedzę miasta. Serce pęka, kiedy człowiek widzi, jak wyburza się wszystkie wspomnienia.

– Nowe też może być piękne – odparł Sven Erik, zdziwiony sam sobą, że staje w obronie zmian. – Ratusz z muzeum sztuki będzie parady, a przeniesione domy Bleckhornen odnajdą się na nowo na Luossie.

Zmienił temat i wyłuszczył swoją sprawę.

– Pamiętam zaginięcie Raimo Koskeli – powiedział Fjäder. – Faktem jest, że włożyłem w tę sprawę dużo wysiłku, byłem młody i ambitny. Pamiętam, że jego była żona była piękną kobietą. Twierdziła, że Koskela po prostu zostawił dzieciaka na pastwę losu, zabalował i wrócił do Finlandii. Był typem człowieka, który miał się różnych zajęć, dorywcze zarobki to tu, to tam. Jeździł motocyklem, połowę ciała miał w tatuażach. W tamtych czasach to trochę odbiegało od normy. Ale czytałem teraz wszystko, co napisano o znalezieniu zwłok. W zamrażarce. Znalazłeś jakieś wyjaśnienie?

– Nie. Ale broń to najpewniej towarzysz czterdzieści, który nagle zniknął pewnemu oficerowi. Pistolet się odnalazł, jego kradzież nigdy nie została zgłoszona. Wystrzelono tylko jeden pocisk.

– A to ci dopiero!

– Dowiedziałeś się, czy był w coś zamieszany? – zapytał Sven Erik.

– Tak, był taki jeden, co zgłosił się do mnie i twierdził, że Raimo wplątał się w jakąś historię z podrabianiem pieniędzy, ale że to wszystko wzięło w łeb, że sprzedali fałszywe dolary rosyjskiej mafii.

– Jak się nazywał?

– Żebym ja to pamiętał...

– Larre Grahn? – rzucił Sven Erik.

– Ależ tak, to on! Zabawne, jak umysł funkcjonuje. Kiedy zapytałeś o jego nazwisko, w głowie pojawił mi się las. Grahn!^[25] Nie zagłębiłem się w to. Chodziło przecież o zaginięcie.

Ale wiele lat później, to musiało być w osiemdziesiątym drugim albo trzecim, rozmawiałem z jednym opryskiem poszukiwanym przez policję w Gävle, podejrzanym o kradzież dwustu kilogramów kurkumy z Kockums.

– Co?

– Tak, to był jeden z naszych chłopców, którzy próbowali swoich skrzydeł na południu, Kjell Fredrik Esko, już od dawna nie żyje. W każdym razie kurkumę podaje się ponoć kłusakom. Wymyślili więc, że można na tym nieźle zarobić. No ale tutaj, w Kirunie, Kjell Fredrik należał do drużyny Borówkowego Króla. I powiedział mi, że w tym samym czasie, kiedy zniknął Raimo Koskela, Królowi zaginęła reklamówka z pieniędzmi. Esko podejrzewał, że Koskela po prostu wziął kasę i uciekł, ale teraz, gdy znaleziono go z kulą w piersi, to można się oczywiście zastanawiać...

– Reklamówka z pieniędzmi!

– No a co? Ci chłopcy raczej nigdy nie byli przedmiotem badań rewidentów.

Po zakończonej rozmowie Sven Erik wyciągnął teczkę z materiałami z dochodzenia na temat Raimo Koskeli. Ogarnęło go uczucie beznadziei. Z tych wszystkich punktów połączonych linią powinien wyłonić się jakiś obraz. Ale punktów było za mało.

Muszę porozmawiać z Borówkowym Królem, pomyślał. Co mi ci Rosjanie mogą zrobić? Jeśli przydybią mnie w bramie i nie pozwolą wejść, to przynajmniej będę wiedział, że spróbowałem.

Anna Maria Mella koło czwartej po południu zajechała pod garaż, wpadając na podjeździe w lekki poślizg. W ciągu siedmiu sekund, których potrzebowała na dojście do domu, zdążyła zamienić się w bałwanka.

– Anioły wymiotują śniegiem – oznajmiła Robertowi i Jenny, którzy siedzieli przy stole w kuchni. – Przyprawcie mi nos z marchewki.

Żadne z nich, zagłębione w swoim telefonie, nie zareagowało. Przed Jenny stała pusta szklanka po kakao. Zwykła zapychać się cukrem i kanapkami przed obiadem, a potem grzebała w talerzu, mówiąc, że nie jest głodna. Od czasu do czasu miała zdrowe zrywy i wtedy przyrządzała zielone koktajle albo piekła batoniki z ziaren.

Dorośleją, ale zachowują się jak dzieci, których nie wolno traktować jak dzieci, pomyślała.

Otrzeпаła buty ze śniegu i zostawiła je do wyschnięcia na wycieraczce. Powiesiła mokrą kurtkę na pokrętle kaloryfera.

– Zadzwoń do Rebeki i powiem, że dziś wieczorem nie przyjdę – oznajmiła. – Nie mam zamiaru prowadzić w taką pogodę, ona to zrozumie.

Jenny i Robert oderwali się od telefonów jednocześnie, jakby zrośnięci ze sobą.

– Co ty mówisz? – wybuchnął Robert. – Odwiozę cię, oczywiście, a potem po ciebie przyjadę.

– Jasne, że masz iść, mamusiu! Zrobię ci makijaż i uczeszę. No i sukienka!

– Zupełnie poważnie – nie poddawała się Anna Maria. Otworzyła lodówkę w poszukiwaniu czegoś nadającego się do przygotowania obiadu. – Nikt tam za mną nie zatęskni.

– Zabraniam ci być marudą-paskudą – powiedziała Jenny.

Skierowała telefon ku mamie i zrobiła jej zdjęcie.

– No. Fotka „przed”.

Anna Maria spojrzała na fotografię.

– Rany boskie! Bezdomny kot, którego jakiś idiota wrzucił do pralki.

– Pojedziesz i już – powiedział stanowczo Robert. – Nawet jeśli musiałbym cię odwieźć skuterem brata.

I postanowione. Anna Maria była tak bardzo przepełniona niechęcią, że zabrakło w niej miejsca na inne uczucia.

O czym w ogóle będę z nimi rozmawiać?, pomyślała.

– Teraz masz być grzeczniutki – nakazała Smarkaczowi Rebeka, widząc, jak taksówka z gośćmi wolno wjeżdża na podwórze. Była już trochę wstawiona; wypila wprawdzie tylko dwa piwa, ale nie zdążyła nic zjeść.

Lot był opóźniony z powodu zamieci śnieżnej, Maria Taube obfotografowała swoją paczkę na Arlandzie i wrzuciła zdjęcia na Insta.

Rebeka przyjrzała się dokładnie trzem koleżankom Marii z jej otagowanych fotek i powtórzyła ich imiona. Sofi, Clara i jeszcze jedna Zofia, ale z inną pisownią, Sophie.

Smarkacz potraktował rolę gospodarza bardzo poważnie i przywitał się z kobietami, jakby uratowały go ze schroniska dla psów. Miały jednak wystarczająco dużo na głowie, płacąc za kurs i zbierając swoje bagaże. Skończyło się na tym, że Rebeka musiała go trzymać za obrozę. Powitanie w każdym razie nie wypadło sztywno i nic się nie stało, że powstał lekki chaos. Rebeka była na tyle trzeźwa, że – w odróżnieniu od Smarkacza – zachowała powitalny umiar. Maria pocałowała ją szybko w usta, a do pozostałych Rebeka wygłosiła tradycyjne: „Witajcie, miło was poznać, miejmy nadzieję, że ta paskudna pogoda się zmieni i że będziecie miały świetne narty”. Po czym zapędziła je do mieszkania na parterze, gdzie miały przenocować.

To tutaj mieszkała z tatą, dopóki żył. Babcia urzędowała na piętrze i właśnie to piętro zajmowała teraz Rebeka.

– Jak tu ładnie! – wykrzyknęła Sophie.

Ta dziewczyna najbardziej przypadła Rebecie do gustu. Była okazała i trochę głośna, wypełniała sobą przestrzeń w przyjemny sposób, ponieważ – zwalniając pozostałe z odpowiedzialności – umożliwiała im chwilę wytchnienia.

A w mieszkaniu było rzeczywiście bardzo ładnie. Rebeka też tak uważała. W kuchni zachowały się szafki z lat pięćdziesiątych, podobnie jak inne meble. W Ikei dokupiła tylko nowe łóżka. Ale kiedyś, gdy jeszcze była z Kristerem, w twórczym szale przemałowała wszystko na jasne, wesole barwy. Różowy mieszał się z turkusowym, czerwonym i jasnoniebieskim. Jej zamiarem było stworzenie wrażenia, że wkracza się do książki obrazkowej, i to chyba się udało. Człowieka ogarniała w środku radość. A Rebeka za każdym razem, gdy tu wchodziła, nie musiała widzieć siedzącego przy stole taty.

Kapały się w saunie. Smarkacz rozłożył się przed kominkiem w izbie obok. Rebeka nie żałowała drewna. W śniegu chłodziły się butelki piwa. Pocięła na plasterki marynowane i lekko wędzone mięso renifera. Momentalnie zapomniała, że obiecała sobie nie pić więcej przed obiadem.

Polewały rozgrzane kamienie wodą, pojękiwały, gdy pierwsza fala gorącej pary buchała im w twarze. Wznosiły toasty i z piskiem tarzały się w puszystym śniegu.

Nietrudno było z nimi zawrzeć znajomość. Sophie zajmowała się administracją i dość szybko okazało się, że administruje majątkiem rodziny.

– Chociaż nie rozumiem, dlaczego upierali się, bym studiowała prawo – powiedziała. – Moja rodzina potrzebuje raczej większej liczby lekarzy do wypisywania recept na dragi!

I opowiedziała w zabawny sposób o swoich ciut szalonych krewnych po mieczu i kądzieli.

Druga Sofi była, podobnie jak Rebeka, prawniczką podatkową, specjalistką od VAT-u w handlu międzynarodowym („babka watowa”), świeżo po rozwodzie, więc sporo było o tym. Maria dostarczyła najświeższych plotek ze swojego, a Rebeci byłego miejsca pracy. Clara i jej mąż budowali domek letniskowy w Åre.

– Chcę, żeby wyglądał właśnie tak! – powiedziała z gestem obejmującym i saunę, i dom.

Rebeka wstrzymała się z komentarzem: „Wypasiona willa w słynnym ośrodku sportów zimowych i eternitowa chałupa na zadupiu w Kurravaarze”, połączonym z gestem ważenia tych budowli w obu dłoniach. Rzuciła czerpakiem tak dużo wody na rozgrzane kamienie, że Clara i Sofi przeniosły się na niższą ławkę.

Czy oni zawsze tacy byli, myślała mętnie, ci mieszkańcy Djursholmu, klasa zdecydowanie wyższa? Opowiadali o swoich umysłowo chorych krewnych, wyciągali na światło dzienne jakiegoś biednego przodka, który nie pochodził ze stolicy, starali się stonować swoją przynależność do wyższych sfer albo rozmawiali o psach, wszystko po to, żeby... Żeby co?

– Kto chce jeszcze jedno? – zapytała.

Podniosła się i wyszła na zewnątrz, gdzie nieustannie padał śnieg.

Żeby zatuszować przepaść klasową, uświadomiła sobie, gdy brnąc na bosaka w białym puchu, zgarnęła pięć piw. Żeby nie musiała się wstydzić i czuć się gorsza. Żeby rozmawiać z chłopami na chłopski sposób.

A potem dodała w myślach: spierdalajcie! Jednocześnie mówiła do siebie: daj spokój, one są miłe i życzliwe, i nic ci nie zrobiły.

– Jeszcze pół godziny – oznajmiła, wkraczając do sauny. – Potem się myjemy i kończymy. Wkrótce przyjedzie Anna Maria.

Zdażyły jeszcze posiedzieć przed kominkiem w izbie obok sauny. Potem na wpół ubrane wskoczyły w buty i pobiegly do domu. Maria poślizgnęła się i wywróciła. Rebeka zgarnęła trochę śniegu i wtarła w twarz, próbując wytrzeźwieć.

Zadzwoiła do Sivvinga i powiedziała, że sauna jest nagrzana i wolna od kobiet, więc jeśli chce się wykapać...

– Rany boskie, ileż tego śniegu! – powiedziała Anna Maria w samochodzie w drodze do Kurravaary. – A jak nie będziesz mógł po mnie przyjechać?

– Kurde, ale jesteś śliczna! – odpowiedział Robert, zerkając na nią kątem oka.

– Patrz przed siebie!

– Nie ułatwiasz mi tego, że tak powiem – usprawiedliwił się i posłusznie wbił wzrok w drogę z miną tak strapioną, jakby mu to przychodziło z ogromnym wysiłkiem.

Anna Maria przejrzała się w lusterku. Istotnie, wyglądała ładnie. Jenny zrobiła jej makiżaż, ułożyła włosy, pomalowała paznokcie i pożyczyła swoje eleganckie czółenka, wymógłszy na mamie uroczystą obietnicę, że odda je w nienaruszonym stanie. „Ani kroku w śniegu! Nie pozwól psu Rebeki, żeby po nich łąził albo jeszcze coś gorszego”.

Robert wjechał ostrożnie na podwórze i zatrzymał się przy samych schodach. Anna Maria sięgnęła po leżącą na tylnym siedzeniu złocistą torebkę z prezentem, chwyciła ją, znieruchomiła nagle, by po chwili oprzeć się o ramię Roberta. Pogłaskał ją po głowie delikatnie, by nie zburzyć fryzury.

– Słuchaj no, ty misiołku. To jest balanga. Będzie ubaw po pachy!

– Ale ja bym wołała siedzieć w domu pod kocem i oglądać *Zawołajcie położną!*

– Marsz na imprezę! Zadzwoń, kiedy będziesz chciała wracać.

Pocałowała go delikatnie, żeby nie zetrzeć szminki. A potem stanowczo wysiadła z samochodu i pokonała schody w dwóch szusach.

Ściągnęła trzewiki w maleńkiej sieni na parterze. Z góry dochodziła muzyka i piekielne trajkotanie. Smarkacz zaczął czekać. Drzwi na piętrze otwarły się i Rebeka zawołała:

– Anna Maria, to ty? Chodź do nas!

Policjantka włożyła czółenka córki. Trzymała się poręczy, schody były mokre i śliskie od stopionego śniegu. W drugiej ręce dzierżyła połyskującą torebkę.

Przekroczywszy próg, poczuła, że ogarnia ją coś na kształt szkolnej paniki. Żadna z kobiet nie miała na sobie imprezowych ciuchów, ba! – w zasadzie żadnych ciuchów.

Swoje podkoszulki powiesiły na kaloryferze i na stojaku rozłożonym nad piecem opalanym drewnem. Miały na sobie tylko legginsy i biustonosze, dwie z nich jeszcze fartuchy. Pod oczami resztki tuszu do rzęs, mokre włosy.

Z trudem udało się jej zarejestrować imiona, którymi się przedstawiły. Wszystkie kobiety były zajęte przygotowaniem obiadu.

– Umknęło mi coś w kwestii dress code’u? – zapytała, czując, że żart nie chwyta.

– O Jezu, jaka jesteś piękna! – wykrzyknęła wstawiona Rebeka.

– A więc to ty mi podkradłaś Reбекę – powiedziała Maria Taube. – Ona już mnie nie kocha. Mówi tylko o tobie, cały czas.

Anna Maria wysiliła się na uśmiech. Maria kłamała, to oczywiste. Rebeka nigdy o niej nie rozmawiała ze swoimi kumpelkami.

– Ach, tak, a co takiego mówi?

– Tylko miłe rzeczy.

Yeah, right, pomyślała policjantka i postawiła torebkę z prezentem na blacie kuchennym. Miała nadzieję, że Rebeka nie wyciągnie z niej butelki. Była zdecydowanie za droga, podobnie jak sukienka. Ryzyko było jednak minimalne. Gospodyni uwiesiła się bowiem na szyi Marii, zapewniając koleżankę, że w dalszym ciągu odrobinę ją kocha.

– I wymalowałaś się – kontynuowała Rebeka, odwróciwszy się do Anny Marii. – Śliczna jesteś.

Anna Maria miała ochotę jej przyłożyć. Niechżeż w końcu przestanie błaznować.

– Dziękuję – odparła zamiast tego. – Mogę w czymś pomóc?

– E, usiądź i strzel sobie browar – powiedziała ta wyrośnięta. Sophie? – Musisz nadrobić trochę w picciu, żeby z nami wytrzymać.

– Potrafię jednocześnie pić i kroić – Anna Maria roześmiała się z wdzięcznością. – W końcu jestem mieszkanką Kiruny, wicie, rozumiecie. Muszę tylko uważać na buty, należą do mojej córki, a ona zabije mnie, powolutku i wymyślnie, jeśli znajdzie na nich choć kropeczkę, gdy wrócę do domu.

– Ile córka ma lat?

Pytanie postawiła Clara. Policjantka zastanawiała się, czy ta kobieta nie bierze amfetaminy, żeby trzymać w szachu swój apetyt. Była cienka jak koperta. Miała w sobie coś zimnego i wężowatego, co nie przypadło Annie Marii do gustu.

– W lecie skończy dwadzieścia.

Rozproszone okrzyki:

– Dwadzieścia? Ile miałaś lat, jak się urodziła? Dwanaście?

Anna Maria słyszała to wcześniej i odpowiedziała standardowo:

– Tato musiał iść do króla, żeby uzyskać zgodę na mój ślub.

– Anna Maria ma pięcioro dzieci – dodała Rebeka. – Pięcioro!

Rozcapierzyła palce jednej ręki.

A sekundę później okazało się, że Anna Maria i Robert są razem od czasów liceum.

Kobiety wykrzykiwały: „Wow!” i „O, jakie to pięknie!”, i „Wznieśmy toast za miłość!”.

Anna Maria czuła się jak zwierzę w klatce. Szare nocne zwierzątko, które włożyło sukienkę i buty na wysokim obcasie.

Jadły golca z grzybami shiitake i zielonym groszkiem. Sophie przygotowała sos *beurre blanc*, doprawiony ikrą pstrąga.

– I pomyśleć, że przenoszą całe miasto – zagadnęła policjantkę Clara. – Jak się z tym czu-

jesz?

Anna Maria zaczęła odpowiadać, ale kiedy w połowie jej drugiego zdania Clara rzuciła się w wir rozmowy po drugiej stronie stołu, straciła wątek i zamilkła.

Niech mi, kurde, nikt nie wciska kitu, że kobiety są z Wenus, a mężczyźni z Marsa, pomyślała, przysłuchując się konwersacji gości. Robert jest z tej samej planety co ja. Ale te tutaj? One nie jeżdżą do rodzinnej wioski, one jeżdżą „na wieś”, do posiadłości swoich przodków od wielu pokoleń, gdzie trzymają stary wierny traktor, gdzie wdziewają gumowce i podniszczone zielone olejaki, rodzą troje dzieci, nie dwoje. I nie pięcioro! A jeśli już sprawiają sobie psa, to teriera albo labradora. Kupują ziarna kawy palone w niewielkich manufakturach. Jadają w restauracjach, gdzie personel chodzi w długich, wymiętoszonych fartuchach z lnu. Wszystkie w porywach mieszkają za granicą, ale nigdy nie pojechałyby na wakacje z biurem podróży. Stawiają swoje dzieci w kolejce do najlepszych szkół, kiedy pociechy są zaledwie kijankami w łonie matki. Mają na ścianach olejne portrety krewnych. Jedzą produkty ekologiczne i chleb wyłącznie na zakwasie, no, oprócz kopertowej Clary, która ze stuprocentową pewnością jest uczulona na gluten. Potrafią żeglować i jeździć na nartach, ale za orientację w terenie z użyciem mapy albo rozpalenie ognia w lesie nie zdobyłyby wysokiej punktacji.

Anna Maria przypomniała sobie uroczystość zakończenia roku szkolnego w Tromsø, gdzie była kilka lat wcześniej z rodziną. Jedna z kuzynek Roberta wyszła za Norwega i przeprowadziła się do jego ojczyzny. Dzieci odbierały świadectwa ubrane w stroje ludowe. To było tak piękne, że zaczęła płakać, ale kuzynka Roberta szepnęła jej do ucha, że taki strój kosztuje około sześćdziesięciu tysięcy, jeśli jest ręcznie haftowany i ze srebrnymi dodatkami. A do tego sukienki balowe i tak dalej. W pewnym momencie na scenę wszedł chłopiec w T-shircie i dżinsach. Anna Maria momentalnie przestała płakać. Zamiast tego rozboleł ją brzuch. Zastanawiała się, czy ten chłopiec był na szkolnym balu i czy będzie na wszystkich innych imprezach związanych z końcem roku szkolnego. Raczej nie. Po zakończeniu ceremonii widziała go, jak wychodzi pierwszy w towarzystwie swojej mamy.

Spojrzała na Rebekę po drugiej stronie stołu. Czy jej naprawdę na tym zależy? Żeby obcować z tymi kobietami? Czy zastanawiała się, kim ona dla nich jest? Uważała, że należy do tej kasty? Chciała do niej należeć? Chciała taka być? Uprzywilejowana i szczęśliwie nieświadoma swoich przywilejów?

Pomyślała znów o chłopcu, który wszedł na scenę po świadectwo w koszulce i dżinsach. Pomyślała o wszystkich, których nie stać na kupno eleganckich ubrań dla swoich dzieci, którzy nie mają pieniędzy, żeby posłać pociechy na obóz, żeby umożliwić im uprawianie sportów, na przykład jazdę konną. A córki i synowie tych kobiet kiedyś wejdą w dorosłe życie i będą tłumaczyć, że nic nie dostali za darmo. Że są kowalami swojego losu.

Ona się mnie wstydzi, pomyślała i dopiero teraz poczuła, jak bardzo ją to ukłuło, że została przedstawiona jako koleżanka z pracy. Nie jako kumpelka. Albo przyjaciółka.

Uprzątnęły ze stołu główne danie i nadeszła pora na deser. Lody domowej roboty i konfitura z moroszeki.

Kobiety próbowały wciągnąć Annę Marię do rozmowy. Pytały o ciemne zimy, czy to nie okropne nie widzieć słońca przez tyle czasu, i wyraziły chęć zobaczenia zorzy północnej oraz dnia polarnego. I reniferów! Możliwe, że zobaczą je w Riksgränsen, prawda? Pytały o komary w lecie i mrozy w zimie. Pytały, czy praca w policji jest ekscytująca, i Sofi opowiedziała przy okazji o znajomym policjancie.

– To ważna praca – podsumowała Anna Maria. – Jestem dumną członkinią tej niebieskiej rodziny.

Pozostałe kobiety zgodziły się z nią. Istotnie, bardzo ważna profesja, ważniejsza niż ich.

Anna Maria odpowiadała monosylabami. Milczała.

Dlaczego mam się wysilać?, pytała samą siebie.

A praca nauczyła ją, że pod piękną fasadą nie zawsze ukrywa się tylko piękno. Przemoc domowa, próby samobójcze, intoksykacje, to wszystko również dotykało osoby w ich gronie.

Choć przecież mają też swoje bolączki. Są ludźmi. To ja jestem teraz niesprawiedliwa.

Ale nie potrafiła się wydostać z dołka, w który wpadła. Jadła za szybko, zarówno główne danie, jak i deser skończyła na długo przed pozostałymi. Zniszczyły ją lata w towarzystwie małych dzieci.

Rebeka była coraz bardziej na bani, krzykliwa i zamaszysta w gestach. Sophie chciała pić bimber, więc na stół wjechała butelka PET. Rebeka nauczyła ich fińskiej pijackiej przyspiewki pod tytułem *Nyt*, teraz. Nauczyły się mówić *Kippis!*, na zdrowie! A potem przechwalały się swoją znajomością fińskiego. *Ei saa peittää!*, każdy kiedyś przeczytał informację na elektrycznym grzejniku żeby go nie przykrywać.

Anna Maria nie mogła dłużej patrzeć na Rebece. Ta udawała wulgarną i nieokrzesaną, a w gruncie rzeczy była nieautentyczna i lizusowska. Policjantka mogła się założyć, że plastikowa butelka zawiera zwykłą wódkę z monopolowego.

Na stole pojawiły się sery, które przyjezdne miały ze sobą. I momentalnie zaczęły się rozmowy o serach, winach i francuskich wioskach. Anna Maria poszła do toalety tylko po to, żeby sprawdzić, która jest godzina. Siedząc na desce sedesowej, kierowała strumień moczu ku muszli, żeby żadne dźwięki z ubikacji nie doszły do kuchni. To też jedna z upierdliwości po pięciu porodach: sikała jak krasula.

– Jak myślicie, wypogodzi się? – zapytała kopertowa Clara, kiedy Anna Maria wróciła do stołu. – Tak tutaj pięknie, chciałabym teraz zobaczyć góry.

Sprawdzały prognozę w swoich telefonach, Rebeka wyjaśniła, że aura jest tu zmienna. Ale o tej porze roku śnieg chyba nie powinien padać tak długo, prawda?

Patrzyły na Annę Marię, jakby potrafiła przepowiadać pogodę z żołądka renifera.

Wzruszyła ramionami w geście mówiącym: „nie mam zielonego pojęcia”.

– Tutaj jest naprawdę pięknie – powtórzyła Clara, która już kiedyś była na nartach w Riksgränsen. – Nie mam nic przeciwko płaceniu podatku, żeby Norrlandia pozostała żywa.

– Co masz na myśli? – zapytała Anna Maria.

Wypowiedziała te słowa gwałtowniej, niż zamierzała. Wszystkie nadstawiły uszu.

– No, że żywotna prowincja ma wartość dla wszystkich mieszkających w Szwecji. Nawet dla nas, dzieci asfaltu.

Dziecko asfaltu, no proszę!, pomyślała Anna Maria.

Clara wychyliła swoją książeczkę, po czym połała innym i sobie samej. Rebeka zdawała się wytrzeźwieć na sekundę. Unikając jej wzroku, policjantka w zamyśleniu kiwała swoim kieliszkiem.

– Nie wiem do końca, co masz na myśli, mówiąc o Norrlandii – odezwała się. – Norrlandia stanowi sześćdziesiąt procent powierzchni Szwecji. Jeżeli chodzi o mnie, to staram się różnić Sztokholm, Malmö i Västerås. Ale jeśli mogę powiedzieć coś o Kirunie, to charakteryzuje nas brak mieszkań i niemal zerowe bezrobocie. Kopalnia jest państwowa i w ciągu ostatnich dziesięciu lat spółka LKAB osiągnęła około trzydziestu miliardów zysku. Ale te sute dywidendy i cały podatek od przedsiębiorstw wypłacane są państwu, które znajduje się w Sztokholmie. A więc ci, którzy płacą, żeby żył cały kraj, to nie wy. I to niefajne uczucie dostawać w zamian tylko okruszki i tłusty stempel na dupie: „pobierający zasiłki”. To samo z gospodarką leśną i energią wodną. Żadne boskie prawo nie stanowi, że świat ma być urządzony w ten sposób. W niektórych krajach część podatku od osób prawnych pozostaje na tym obszarze, na którym

przedsiębiorstwo prowadzi swoją działalność. Tam nie wolno wykorzystywać zasobów, nie dając nic w zamian. Prawda, Rebeko? Przecież jesteś prawniczką podatkową.

Minęły trzy niesamowicie długie sekundy.

– Nie jestem specjalistką od międzynarodowego opodatkowania przedsiębiorstw – odpowiedziała w końcu.

Rozczarowana brakiem kręgosłupa moralnego koleżanki, Anna Maria zamknęła na chwilę oczy i uciskała powieki palcami.

Mam serdecznie dość tych przyjaciółek, pomyślała.

– Dziękuję za obiad – rzekła. – Ale muszę wracać, bo inaczej mnie tu zasypie.

– Nie idź – poprosiła Rebeka, wstając.

Wywróciło się jej krzesło.

Pozostałe wykrzykiwały jasnymi głosami: „Na razie, cześć!”.

Anna Maria chwyciła kurtkę. Ale odwróciła się jeszcze w drzwiach.

– I wiecie co? – cisnęła zjadliwie. – Wszystkie urzędy i instytucje państwowe powinny być rozproszone po mniejszych miastach. My, podatnicy, zaoszczędzilibyśmy miliardy na samych czynszach, które urzędy płacą właścicielom nieruchomości w stolicy. Ale wy: nie, nie, bo wtedy młodzi ludzie po studiach mogliby wrócić do rodzinnych stron i znaleźć pracę. I co by się wtedy stało z wartością waszych willi i mieszkań? Dalej by rosła w ten sposób? – Jej ręka wystrzeliła górę.

Potem zaczęła schodzić po stopniach. Rebeka poszorowała za nią.

– Wracaj! – prosiła. – O co ci, kurza dupa, chodzi?

Anna Maria otworzyła gwałtownie drzwi wejściowe i schodziła na rozstawionych nogach z ganku, żeby nie poślizgnąć się na śniegu. Rebeka próbowała ją złapać.

– Zatrzymaj się! Nie możesz przecież tak po prostu pójść. Jak się dostaniesz do domu?

– Zadzwoń po Roberta. Przyjedzie po mnie.

Wyciągnęła telefon. Rebeka błyskawicznym ruchem wyrwała go jej z dłoni.

– Możesz później zamówić taksówkę. Ja zapłacę.

– Daj spokój – warknęła policjantka. – Oddaj mi telefon!

Rebeka schowała go do kieszeni i odtrąciła wyciągniętą rękę Anny Marii.

Gniew wybuchnął w policjantce niczym poduszka powietrzna. Odepchnęła Rebeke obiema dłońmi. Ta wylądowała na tyłku w śniegu. Anna Maria pochyliła się, by dotrzeć do jej kieszeni. Ale Rebeka powaliła ją, pociągając mocno za rękę.

– Czyś ty na mózg...? Oddaj mi telefon!

Zaczęły się mocować. Rebeka stawiała opór jak przedszkolak, który nie chce, by mu włożono kombinezon, ale była nietrzeźwa i nieporadna. Anna Maria przewróciła ją na brzuch i wykręciła ramię do tyłu.

Drzwi wejściowe otwarły się i cztery kobiety wypadły z nich na podwórze z okrzykami: „Przestańcie!” i „Co wy robicie?!”.

Ale Anna Maria zdążyła odzyskać swój telefon i zostawiła za sobą uczestniczki obiadu, które teraz pomagały wstać Rebecę. Obejrzała się, by sprawdzić, czy nikt za nią nie biegnie. Dotarłszy do szosy, zadzwoniła do Roberta.

– Możesz teraz po mnie przyjechać. Idę w kierunku Kiruny.

– Co? Dlaczego... To znaczy, nie możesz poczekać w środku?

– Później ci wyjaśnię. Wstajesz z sofy raz-dwa-trzy, okej? Nogi mi przemarzają.

Rozłączyła się. Popatrzyła na swoje łydki w nylonowych rajstopach. I odkryła, że ciągle ma na stopach eleganckie czółenka Jenny.

– Ożeż kurrrrrwa mać! – wykrzyknęła przed siebie. – Kurwa, w oko pojebana, twoja mać!

Ale jej głos nigdzie się nie poniósł, wessany przez śnieżną zadymkę.

– Muszę do niej zadzwonić – upierała się Rebeka.

Po zapasach w śniegu znów była cała przemoczona.

Maria Taube zabrała jej telefon.

– Nie powinno się rozwiązywać konfliktów po pijaku – odparła stanowczo. – I zdecydowanie nie po dziesiątej wieczorem.

– W mojej rodzinie mamy taką zasadę, że w ogóle nie rozwiązujemy konfliktów – zaśmiała się Sophie. – My tylko...

Dokończyła, zdmuchując niewidzialny pyłek z wyimaginowanego przedmiotu.

– Załatwisz to jutro – powiedziała Maria.

– Albo pojutrze – dodała Sophie z miłym uśmiechem. – Na zdrowie! W Kurkivaarze to się dopiero dzieją rzeczy! Ostatnio, kiedy byłam na proszonym obiedzie, ludzie kłócili się o to, która kuchenka jest lepsza, LaChance czy AGA. Nikt się nie tarzał w śniegu!

– Ja też do niej jutro zadzwonię – obiecała Clara z ręką na piersi. – Nie miałam zamiaru jej...

– Jutro! – przerwała rozkazującym tonem Maria. – A teraz tańce!

Wsio rawno, pomyślała Rebeka, odkrywając, że przedmioty w kuchni zyskały półprzezroczyste duplikaty. Wszystkie moje relacje i tak są do dupy. A poza tym to się stąd wyprowadzę. Albo coś w tym stylu.

Podczas gdy ona wyjmowała wszystkie butelki ukryte w narożnym kredensie, pozostałe kobiety stawiały krzesła na stole i uwalniały podłogę z gałgankowych chodników. Maria podłączyła do głośnika telefon z playlistą do tańca. Smarkacz umościł się na górze chodników pod stołem, jak gdyby powstał tylko z myślą o nim.

Rebeka piła prosto z butelki. Alkohol owijał miękką kołderką jej myśli i emocje. To takie wspaniałe uczucie być pijaną. Zamroczenie alkoholem było jak ciepły uścisk. Te wszystkie fragmentaryczne osobowości, które długimi pazurami i kawałkami szkła w łapach uporczywie siały spustoszenie w jej wnętrzu, te wszystkie upiory znalazły się teraz na marginesie. Zwinięte w kulkę, wciskały nos w swój ogon. Ona sama zaś rozgrzewała się, tańcząc z koleżankami.

– A nie mówiłam, że to wszystko szlag trafi? – zwróciła się Anna Maria do Roberta.

Siedzieli w samochodzie, w drodze do miasta.

– Wypiła za dużo – powiedział. – To się zdarza.

– Nie możesz choć raz stanąć po mojej stronie? – warknęła. – Wiesz, kim ona jest? Cholerną zdrączynią klasową!

– Pewnie czuje się gorsza... Ona też – próbował znaleźć wyjaśnienie.

– Co za „ona też”? Ja się nie czuję gorsza! Jestem tylko wkurzona na to, że one czują się lepsze. A to różnica!

Pochyliła się do przodu i przetała zaparowaną szybę. Wilgoć z jej przemoczonych ubrań i ciepło klimatyzacji zamieniły samochód w saunę parową.

– No i buty Jenny! – zakwiliła. – Z pewnością kosztują ponad tysiąc koron. Rebeka mogła napisać na zaproszeniu „ubiór: kalessony i biustonosz”. Po jakiego grzyba kupiłam tę sukienkę?! Nigdy wcześniej nie czułam się tak nie na miejscu. No i wiesz, te ich komentarze... „Nikt nie przeczytuje tego za brak oglądy, gdy włożysz nóż do ust, jeśli wiesz, jak korzystać ze sztucców”. I co to, kurde, znaczy? Wyższa klasa może się zachowywać, jak chce, tak? A wy, tam na dole, musicie się podporządkować i już! Rozlał mi się makijaż? Czuję, że mam tusz do rzęs pod piersiami.

Robert zerknął na nią.

– Wcale nie. Faktem jest, że wyglądasz potwornie seksownie!

– Daj spokój. Po prostu przestań. Czekać, a dokąd ty jedziesz? Przecież jedziesz w prze-

ciwnym kierunku!

– Cicho sza – powiedział, skręcając w lewo na rondzie i oddalając się od starej Kiruny. – Coś ci pokażę.

– Co? Co za „pokażę”? Jakąś budowę przy nowym ratuszu? Czyś ty z byka spadł? Nie możemy tego przełożyć na inny dzień? Przecież teraz i tak nic nie widać.

Znów ją uciszył. Uśmiechnął się i mrugnął. Dwa razy próbowała otworzyć usta, by zapytać, dokąd jadą, i oznajmić, że marzy tylko o powrocie do domu. Ale za każdym razem Robert obłaskawiał ją cichym „szsz-szsz”.

Wjechał do wsi Kauppinen mimo zakazu wjazdu.

– Pamiętasz? – zapytał.

– Zwariowałaś jak nic!

Ale odwzajemniła jego uśmiech, nie mogła się nie uśmiechnąć.

Jasne, że pamięta! On miał osiemnaście, ona szesnaście lat. Mieszkali u swoich rodziców, ale on posiadał samochód. Tego pierwszego lata, zanim Robert przeprowadził się do kawalerki na Timmermansgatan, jeździli do żwirowni przy Poikkijärvivägen, parkowali z dala od szosy i uprawiali seks.

– Najpierw rozpalałem cię rozmową przez całą Kauppinen, a potem tylko zjeżdżałem z drogi.

– No – Anna Maria się zaśmiała. – Umiałeś zabajtlować! Pamiętasz ten pierwszy raz?

Ten pierwszy raz był ciepłą białą nocą. Robert miał opuszczone szyby, kiedy jechali przez wieś. Potem pieścili się jak szaleni, rozłożyli siedzenia, wysupłali się z džinsów. Ale zapomnieli o bocznych szybach – albo to ona zapomniała. Myślała o tym, żeby je podciągnąć, powiedziała później, ale nie chciała psuć nastroju, wystarczyła nerwówka z prezerwatywą, którą trzeba było naciągnąć. Samochód w mgnieniu oka wypełnił się rojem komarów. Robert miał na tyłku co najmniej setkę ukąszeń.

– Nawet między pośladkami! – dodał teraz.

Znali tę historię i nie musieli powtarzać w całości.

Anna Maria śmiała się, wycierając rozmazany tusz pod oczami.

– Moja ciotka miała kiedyś kundelka, który nabawił się robaków. Przemieszczał się jakby na siedząco, przesuwał zadkiem po podłodze w kuchni, żeby uśmierzyć swędzenie. Przez trzy dni czułem się jak ten pies.

– Naprawdę nie rozumiem – Anna Maria zanosila się śmiechem. – Kiedy to przestanie być zabawne?

Robert skręcił za żwirownią. Nie wyłączył silnika.

– Na serio? – zapytała. – Nie lepiej poczekać, aż wrócimy do domu? Łóżko w sypialni jest naprawdę niedoceniane.

– Nie ma mowy – odparł i odpiął obojgu pasy bezpieczeństwa.

Pochylił się nad nią i zaczął całować, tak jak zawsze lubiła, delikatnie po skroni i pod żuchwą. Ujął wargami jej płatek ucha i poruszył go językiem. Ścisnął jej brodawki przez materiał. Rozwarła nogi i podniosła pupę, by podciągnąć sukienkę do góry. Ściągnęła rajstopy do kolan.

– Jak to mamy...? – zapytała, spoglądając za siebie. – To niełatwe w samochodzie przypominającym śmietnik.

Tyłne siedzenia były zawalone gratami, które czekały na wywózkę do składowiska odpadów.

– Szsz – wyszeptał Robert. – Spokojnie.

Znał swoją dziewczynę. W jego oczach ciągle była młodziutką cool licealistką, a jemu trudno było uwierzyć w swe niepojęte szczęście, że go zechciała. Teraz trzymał w dłoniach jej

ciepłe, ciężkie piersi, uciskał je ostrożnie. Jęknęła, otwierając usta. Nie spuszczał z oczu jej twarzy. Chciał widzieć, jak odzwierciedla się w niej rozkosz, bolesna ekstaza, spełnienie. Nigdy mu się to nie znudziło.

Jego ręka wślizgnęła się między jej uda, palce odnalazły strzępek materiału.

– Aha, nie ściągnęłaś majtek – stwierdził, zerkając na zrolowane rajstopy.

– Tak, kupiłam przecież nowe, supereleganckie.

Uśmiechnęła się do jego oczu. Śnieg zdążył przykryć samochód białą kołderką. Teraz istnieli tylko on i ona. Jej zęby połyskiwały w ciemności. Jak u filuternego zwierzątka.

Poczuła palce Roberta pod krawędzią bielizny. Pisnęła nieśmiało. Przy piątce dzieci w domu obydwójce byli przyzwyczajeni do cichego seksu. Ale teraz chciał ją słyszeć. Odnalazł jej czułe punkty, czuł, jak wilgotnieją, pieścił ją i pocierał, tam gdzie chciała, nie przestawał całować; jej fantastyczne usta, jej boski język. Miał nadzieję, że czegoś sam nie nadweręży, przekrecona pozycja w fotelu kierowcy nie została by zatwierdzona przez Urząd do spraw Bezpieczeństwa i Higieny Pracy.

Anna Maria prężyła się, jego ruchy przybierały na sile, zaparła się stopami, wydawała z siebie dźwięki, te najlepsze na całym świecie.

Uderzyła dłonią w boczną szybę, kiedy nadszedł orgazm, czuł pod palcami pulsowanie, gdy krzyknęła: „Teraz, tak, teraz!”.

Ze wzruszenia napłynęły mu do oczu łzy. Zamrugał powiekami. Jak to możliwe, że wybrała właśnie jego? I że przy nim została. Te wszystkie lata, wszystkie dzieci, wszystkie noce, które było mu dane przespać u jej boku. Jej twarz porysowana grymasem nieklamanej rozkoszy, którą tylko on mógł oglądać.

Anna Maria osunęła się w błogie wyciszenie.

– W mordę jeża – stęknęła po chwili, a on zaśmiał się z jej dziecięcego przekleństwa. – A ty? – zapytała.

– Innym razem – odparł i wyskoczył z samochodu, żeby odsnieżyć szyby.

A potem wyjechał z ich starej kryjówki i odwiózł Annę Marię do domu. Przygotował jej kąpiel. Znalazł butelkę z pianką do kąpieli, wprawdzie pokrytą kurzem, ale zawartość nadawała się jak najbardziej do użycia.

– Zachowam cię jeszcze przez jakiś czas – oznajmiła mężowi, zanim zanurzyła się w cieplej wodzie.

– Całe szczęście – odpowiedział.

PIĄTEK, 6 MAJA

REBEKA PRZYCZŁAPAŁA DO KUCHNI koło dziesiątej. Jej koleżanki, od pewnego czasu na nogach, przywitały ją oklaskami.

– Aj, aj, aj – wystękała, oganiając się ręką.

Opadła ciężko na krzesło. Maria Taube postawiła przed nią kubek czarnej kawy.

– Cienko? – zapytała Sophie.

– Boli mnie kark, musiałam jakoś dziwnie leżeć.

– O, biedny kark – zaśmiała się Sophie.

– Kark! – wtrąciła Clara. – To może masz niewłaściwą poduszkę. Może potrzebujesz takiej ortopedycznej, Tempur?

– O, wy skurczycórki – powiedziała Rebeka. – Czy to nie ja was wczoraj zaprosiłam na obiad? A teraz kpicie sobie ze mnie w moim własnym domu?

Przy piecu stał Sivving i smażył naleśnikowe placuszki. Pod stołem leżała Bella ze swoją rękawiczką. Smarkacz przyglądał się jej z bezpiecznej odległości. Nie wolno mu było wejść pod stół, a właśnie teraz owo miejsce stało się jedynym, w którym chciałby się znaleźć. Rękawiczkę też chciałby mieć. Najbardziej ze wszystkiego na całym świecie. Sivving rzucił Rebecę spojrzenie, na wół z rozbawieniem, na wół z wyrzutem.

– Ta – odezwał się. – Całe szczęście, że babcia nie widzi cię w tym stanie.

– Widzi mnie, oj, widzi. Widzi ze swojego miejsca w niebie i osądza. A co wy robicie?

Jednym półprzymkniętym okiem zauważyła, że stół, ława kuchenna i podłoga są zasłane papierami. Tu i ówdzie otwarty segregator. Księgowość rodziny Pekkarich.

– Postanowiłyśmy pomóc ci w przejrzeniu tych dokumentów – odpowiedziała Sofi i wzięła kolejny łyk kawy. – Opowiadałaś wczoraj o swojej sprawie. Tak czy owak, nie możemy pojechać na narty, bo śnieg ma ponoć sypać przez cały dzień. Ledwo się do tego wzięłyśmy, gdy przyszedł najlepszy na świecie Sivving i zaczął nam robić śniadanie.

– To już nie jest moja sprawa. I nie rozumiem, jak możecie pracować. Jeśli przeczytam choć jedną literkę, to zwymiotuję.

Sophie pojawiła się u jej boku z kieliszkiem szampana. Trunek perlił się w szkle, bąbelki pękały z lekkim szmerem. Na dnie rozlewał się gęsty żółty sok. Obok kieliszka Sophie położyła białą tabletkę.

– Włóż ją do ust i wypij wszystko duszkiem – poleciła cicho. – Od razu wrócą ci siły. Obiecuję.

– A co to jest?

– Valium. I szampan plus sok z mango. Zapakowałam je do Riksgränsen, ale potrzebowałyśmy ich teraz.

– Nie wiem, czy poranny klin to moja bajka – próbowała protestować Rebeka.

– E tam, do dzieła – zachęcała Sophie. – To jeszcze nie czyni nas moczygębami, które piją płyn do dezynfekcji rąk na pogotowiu ratunkowym. Nie umrzesz, wręcz przeciwnie. Zaufaj siostrze Sophie.

Rebeka wrzuciła tabletkę do ust i przepłukała je napojem z kieliszka.

Sophie podeszła do pieca, objęła Sivvinga i pocałowała go w policzek.

– A może pójdziemy na całego i weźmiemy ślub? – zaproponowała. – Kiedyś przecież musi pan przeboleć stratę swojej Maj Lis?

– Puff! – wyrzucił z siebie Sivving z zadowoleniem.

Rebeka momentalnie poczuła się lepiej. Przyglądała się pustemu kieliszkowi, jakby za-

wierał czarodziejski eliksir.

– Znalazłyście coś? – zapytała, wskazując na porozkładane papiery.

– Owszem – odpowiedziała Maria Taube. – Zjedz trochę placuszków, to się dowiesz.

W piątkowe przedpołudnie odbył się pogrzeb Raimo Koskeli. Z szarych chmur ciągle padał gęsty śnieg, jak gdyby Bóg gdzieś tam w niebie zapisywał i gubił białe karteluski.

Börje Ström i Ragnhild Pekkari przyjechali do kościoła. Siedzieli przez chwilę w samochodzie, czekając, aż trumna zostanie wyjęta z karawanu.

To mogłabym być ja, pomyślała Ragnhild.

Czy Paula przyszlaby na pogrzeb? Jakimż to życiem żyłaś, jeśli nikt nie uroni po tobie choćby jednej łzy?

Nieśli trumnę w sześć osób. Ragnhild, Börje, Sven Erik Stålnacke, Taggen, Nyrkin-Jussi i pakistański bokser z klubu.

Zakrystian nie żałował zwirow, by nikt się nie poślizgnął i nie zabił.

Pastorka przyjęła tragarzy, stojąc przed ołtarzem. Nieliczni żałobnicy w środku podnieśli się z ławek.

Niosący trumnę usiedli na swoich miejscach. Czekwały na nich róże. Ragnhild położyła swoją na kolanach.

Dobrze mówi, ta pastorka wyglądająca na dwunastolatkę, pomyślała. Kazanie nad trumną zmarłego, który zniknął w 1962, i ożywienie pamięci o nim to trochę jak gotowanie zupy na gwoździu. Ale ona mówiła głównie o tym, jak wiele zmarły znaczył dla Börjego. Jak ten miał swojego tatę przy sobie przez całe życie, zapisanego w tatuażach, ale też wytatuowanego w środku. Jak ojciec w nim żył. Po czym, oczywiście, niczym w znanym programie muzycznym, nastąpiło zgrabne przejście do życia wiecznego i do tatusia w niebie, który zawsze tam jest obecny. Ale ogólnie zgrabna ta mowa nad trumną. Prochem jesteś i w proch się obrócisz. A co pastorka powiedziała o niej, Ragnhild? Że była dobrą pielęgniarką na pogotowiu ratunkowym. Że dbała o swoich pacjentów, okazywała im szacunek i troskę.

Przeglądała się obrazowi w ołtarzu, namalowanemu przez księcia Eugeniusza. Obcy pejzaż i roste drzewa liściaste, których nie uświadczysz w Norrlandii. A może to wyobrażenie wiecznych łąk w niebie?

Jakież to pogardliwe, pomyślała. Symbolem nieba mają być rodzinne strony bogaczy zamieszkałych w środkowej Szwecji.

Kiedy wybudowano kościół na początku dwudziestego wieku, proboszcz narzekał, że nie ma w nim krzyża. Diecezja zarządziła wyrychtowanie tegoż. Dysponent polecił swojemu przyjacielowi, Christianowi Erikssonowi, wykonanie niewielkiej rzeźby, którą umieszczono na ołtarzu. Kilkoro Saamów wokół krzyża. Niektórzy na kolanach, niektórzy stojący ze skrzyżowanymi ramionami. Kościół się obruszył. Rzeźbiarz poprawiał swe dzieło wiele razy. Coraz więcej osób na kolanach, coraz mniej z założonymi rękami.

To oczywiście, że krzyż nie leżał w sferze zainteresowań dysponenta i jego majątnych przyjaciół. Oni radzili sobie świetnie bez cierpiącego Boga, pochodzącego z klasy robotniczej młodzieńca, który – pogrążony w udręce – pocił się krwią i którego w końcu ukrzyżowano. Ale to było potrzebne prostakom. Żeby wzbudzić w nich nadzieję. I utrzymać w ryzach.

Zaprawdę, puste przestrzenie kościoła z lekko wyczuwalnym zapachem kurzu nigdy jej nie przyciągały. Nigdy nie rozumiała osób, które twierdzą, że właśnie w kościele znajdują ukojenie. Co innego w lesie. W górach.

I właśnie gdy o tym pomyślała, zobaczyła wirującego w powietrzu pajęczka, który ciągnął za sobą luźną nić. Hej, łobuzie, przywitała go bezgłośnie i pozwoliła mu spocząć na dłoni. Skąd się tu wziąłeś? Jak to w ogóle możliwe, że tutaj przetrwałeś?

Bóg jako pajak, przyszło jej do głowy. Nie lew. Tylko maleńki mistrz snujący tajemną sieć dobroci, którą mocuje w bolesnych punktach życia.

Porozmawiam z Rebeką, postanowiła. Opowiem jej o Virpi.

I podjąwszy tę decyzję, poczuła, jak ogarnia ją spokój.

Wkrótce wszyscy odejdziemy, pomyślała. Cała egzystencja tej planety to jedno mgnienie. Ból. Strach. Niech się spełni.

Pajaczek wędrował po grzbiecie jej dłoni. Położyła rękę na oparciu w przednim rzędzie, by mógł pójść dalej.

Zaspiewali *Nikt nie osiągnie wiecznego pokoju*, a potem jedno po drugim podchodzili do trumny i kładąc na niej róże, żegnali się ze zmarłym.

Ragnhild, która teraz podniosła się z ławki, była inna niż ta, która na tej ławce usiadła. Szła ku trumnie ostrożnie, by nie spłoszyć tego ulotnego uczucia.

Jeszcze trochę, poprosiła Boga. Zatrzymaj się jeszcze na chwilę.

Gdy wrócili na swoje miejsca, ręka Börjega odnalazła jej dłoń i Ragnhild pozwoliła mu ją ująć. Organista zaintonował ostatni psalm, *Piękna jest ziemia*. Ragnhild pławiła się w wewnętrznym jeziorze ukojenia. W brunatnej, lecz czystej wodzie, w której na dno opadła próchnica. Po prostu żyć, jeszcze przez chwilę. A potem zostać skremowaną i wrócić do ziemi. I w proch się obrócić.

W Starym Testamencie nie ma bajdurzenia o życiu wiecznym, pomyślała. Przyszły jej na myśl słowa Izajasza. „Wszelkie ciało to jakby trawa, a cały wdzięk jego jest niby kwiat polny. Trawa usycha, więdną kwiat”.

To pocieszające, uznała. Nie ma w tym żadnego lęku, że jesteśmy tylko mgnieniem, pyłkiem zaledwie. Siedzę tutaj teraz, w ławce kościelnej. Jestem trawą. W trumnie leży zwiędła, nieżywa trawa. Börje może wróci do Älvsbyn po pogrzebie, ale teraz trzyma mnie za rękę.

Czyżby najgłębszy bezsens i najgłębszy sens to właściwie to samo?

Wyszli z kościoła, trzymając się za ręce.

Ragnhild otworzyła tylne drzwi samochodu. Siedzącej w środku Villi dała łakocie i założyła smycz.

– Dzielna dziewczyna – powiedział Börje, przyglądając się wyskakującej z bagażnika suce.

– Tak – potwierdziła Ragnhild. – Naprawdę dzielna. Zaczyna ufać, że nie chcemy jej zrobić krzywdy.

– Jesteś naszą dziewczynką? – zwrócił się do zwierzęcia Börje.

„Naszą”. Ragnhild uśmiechnęła się do niego. Zabrzmiały pogrzebowe dzwony. Nyrkin-Jussi pchał przed sobą wózek z Sisu-Sikkem. Czekala już na nich taksówka.

Partnerka Svena Erika, Airi, wspięła się na palce i otoczyła Börjega ramionami. A ten odnalazł rękę Ragnhild, gdy tylko zelżał uścisk objęcia. Wszyscy widzieli. Ale nikt nie skomentował. Jak dobrze.

Sven Erik zaproponował, żeby przyszli do nich w odwiedziny i pomogli odśnieżyć pole pod ziemniaki.

Jak gdybyśmy już byli starą parą, pomyślała Ragnhild.

Czekala, aż jej wewnętrzne ja wierźnie przekornie, lecz dłoń spoczywała dalej w dłoni Börjega. Wyglądało na to, że sprzeciw i opór wybrały się na długi urlop.

– Ale przyjdziecie na stypę? – chciał się upewnić Börje, nim wszyscy rozejdą się do swoich samochodów.

Odpowiedzieli, że tak, że naturalnie.

– Jak tam? – zapytała Ragnhild, kiedy już siedzieli w samochodzie, w drodze do domu

parafialnego.

– Ogromnie miło, że przyszło tyle osób, mimo wszystko. I Nyrkin-Jussi niósł trumnę, nie-
złe jak na człowieka, który przekroczył osiemdziesiątkę.

Śnieg kleił się do szyb, Ragnhild włączyła wycieraczki.

– Jak potoczyłoby się moje życie, gdyby on nie zniknął? Z pewnością nie zostałbym bok-
serem. Śmierć jest kresem życia dla tego, kto zmarł. Ale dla pozostałych zaczyna się nowy roz-
dział.

Wrzesień 1972

„Wówczas [diabeł] wyprowadził Go w górę, pokazał Mu w jednej chwili wszystkie króle-
stwa świata”.

Menadżer bokserski Ben O’Shaughnessy, wbrew swojemu przydomkowi Big Ben, jest
krępy męczyzną. Jego koszulę pokrywają plamy potu, opuszczone szelki dyndają, spodnie
mają wypchane kolana. A jednak jest trochę próżny, najwyraźniej bowiem farbuje włosy, w każ-
dym razie to, co z nich zostało. Przechyla się przesadnie do tyłu, gdy Börje przestępuje próg ho-
telowego apartamentu. Spoziera w górę, jakby stał przed latarnią morską.

– Przynieście drabinę, żebym mógł się wspiąć i przywitać z gwiazdą – woła jowialnie do
kilku osób siedzących w fotelach: odzianych w garnitury męczyzn i pięknych kobiet w sukien-
kach mini.

Ci piją whisky w biały dzień i śmieją się serdecznie. Wstają jak na komendę.

Ben O’Shaughnessy częstuje kubańskim cygarem i Börje powtarza zasłyszany wczoraj
żart, gdy po zwycięskim meczu pojawiły się zwycięskie cygara. Teraz swoją koślawą angielsz-
czyzną sprzedaje go jako własny.

– *No, thanks. I smoked a Cuban yesterday. It’s enough for me*^[26].

Garnitury się śmieją, a Big Ben poklepuje go po plecach.

– Zabawny! – wykrzykuje, wskazując pięściarza kciukiem. – Kocham zabawnego mło-
dzieńca. I bije się jak grizzly. I zdobywa złoto na igrzyskach olimpijskich!

A jeśli już mowa o *big*, Börje widział wprawdzie niejeden pokój hotelowy, ale ten! Ni-
czym wielkie trzypokojowe mieszkanie. Wykładzina podłogowa, ciemne drewno na wysoki po-
łysk i mosiądz. Ciężkie tekstylia i tłusta mgła dymu z papierosów. Börje podaje rękę garniturom.
Są to kolejno: promotor z Miami, przewodniczący grupy sponsorującej, której nazwy Börje nie
zdąży zapamiętać, asystent, reprezentant WBA, który przyszedł wyłącznie po to, by pogratulo-
wać złota, i na końcu adwokat. Piękne kobiety, przedstawione tylko z imienia, machają dyskre-
tnie ręką.

Big Ben może i wygląda jak flejtuch, ale jest jednym z najpotężniejszych finansistów
boksu w Stanach. Doprowadził do mistrzowskich tytułów pięściarzy w wadze lekkiej, piórkowej
i półśredniej. Teraz życzy sobie gorąco mistrza świata wagi ciężkiej. Ale waga półciężka też nie
jest zła. Absolutnie nie.

– Poza tym – kontynuuje, kiedy usiedli na sofie, a urocze kobiety zdążyły opuścić aparta-
ment – jesteś młody. Nabierzesz jeszcze mięśni. Zrobię z ciebie mistrza świata, najpierw
w kategorii półciężkiej, a potem ciężkiej. Marciano był niewysokim skurczybykiem, ale to mu
nie przeszkodziło. Publiczność cię pokocha. Potrzebny nam teraz biały chłopak.

Tak, amerykański biały męczyzna tęskni za białym mistrzem świata wagi ciężkiej. Big
Ben ssie agresywnie cygaro i nazywa Muhammada Alego *clay pigeon*^[27]. Czas tego rzutka się
kończy, mówi. Po przegranej z Frazierem Ali jeździ po świecie i boksuje się na pokaz. I dobrze
się składa. Bo jedyne, co potrafi, to skakać i tańczyć tyłem. Ten pieprzony mahometanin, obdżek-

tor i podżegacz. A Frazier! Big Ben wzrusza zrezygnowany ramionami. Wygląda na to, że walka o mistrzostwo świata go złamała.

Börje próbuje sformułować myśli, które płaczą mu się w głowie wokół fenomenu nazwisk. Ali porzucił swoje pierwotne imię i nazwisko Cassius Clay, tłumacząc, że to miano niewolnika. Börje wraca myślą do mamy, która podobnie jak wiele innych osób z Tornedalen przetłumaczyła swoje fińskie nazwisko na szwedzki, ponieważ fiński uważano za język mniej wartościowy. Ludzie mówiący po fińsku byli mniej wartościowi. Od początku dwudziestego wieku aż do pierwszej wojny światowej pokazywano figę ludziom mówiącym meänkieli, gdy chcieli się zatrudnić w kopalni. Ta praca była zarezerwowana dla „prawdziwych Szwedów”. Börje i mama nazywają się Ström, a reszta rodziny Niva, co też znaczy prąd, tyle że po fińsku. I gdzieś tam Börje słyszał, że szwedzkie władze nadawały Saanom nowe nazwiska. Często miało to związek z jakimś fizycznym defektem. Jeśli byłeś niewidomy, przyznawano ci nazwisko Ślepy. Mogłeś też dostać nazwisko niewolnika. Albo mogłeś być zatruty pogardą tak długo, że zaczynałeś nienawidzić swego nazwiska.

Lecz teraz musi przerwać rozmyślenia, bo na stole pojawiła się umowa. Big Ben wypuszcza kłęby dymu i wyjaśnia, co w niej napisano. Nikt nie zapewni Börjemu lepszych warunków. Kontrakt opiewa na pięć lat. Czterdzieści procent gaży. To dużo, ale Börje bądź co bądź jest medalistą olimpijskim. Złotym medalistą, nawet jeśli wygrana wisiała na włosku. Wprawdzie amatorzy dość rzadko radzą sobie z przejściem na zawodowstwo. Boks zawodowy to coś zupełnie innego, wiedzą o tym wszyscy. Ale Big Ben O'Shaughnessy chce zaryzykować. Wierzy w Börjego.

Börje wie natomiast, że ów podżegacz i rzutek, „gliniany gołąb”, też kiedyś był amatorem. Frazier i Foreman również. To dlatego Mr. O'Shaughnessy przyjechał do Niemiec aż z Nowego Jorku i siedział wśród olimpijskiej publiczności.

Big Ben prosi Börjego, by nie wspominał o tym porozumieniu jego żonie, bo wówczas ona zrobi mu piekło. Kontrakt jest bowiem zbyt hojny. Bo, do diabła, małżeństwo to droga impreza. Czy Börje jest żonaty? Aha, już nie. Tak, tak, Big Ben wie, jak to jest. To jego piąty raz. Tylko jedna rzecz jest droższa od żony, i to jest była żona. Ale co człowiek ma począć, skoro ta nowa... ma dupę jak owoc z rajskiego drzewa?

Garnitury wyją chórem. Ha, ha, ha.

– Moi trenerzy... Co z nimi? – pyta Börje z długopisem w ręce.

– Nic z nimi, chłopcze – odpowiada Mr. O'Shaughnessy.

Mr. O'Shaughnessy pracuje z zawodowymi bokserami, wyjaśnia. Ma własną siłownię i własnych trenerów.

– A poza tym nie przepadam za *fruitcakes*.

Börje nie potrzebuje wysilać mózgowicy, by zrozumieć, że Big Ben albo któryś z garniturów rozmawiał ze sztokholmskim trenerem. Tyle w ludziach podłości.

Składa podpis. Przyszedł tutaj, żeby podpisać. Mimo wszystko ma wrażenie, że to jakiś fantastyczny sen. Przez moment odczuwa ukłucie w sercu, że nie ma do kogo zadzwonić, by podzielić się nowiną. Ani do żony, ani do matki, ani do Nyrkina-Jussiego i Sisu-Sikkego; ci ostatni będą potwornie rozczarowani, że przeszedł na zawodowstwo, że zostawił ich właśnie wtedy, gdy osiągnął sukces.

– Weź chłopaka i kup mu jakieś wystrzałowe ciuchy – nakazuje Big Ben jednej z pięknych kobiet. – I złoty zegarek. Jeśli nie jesteś żonaty, to musisz zaimponować kobietom, no nie? Chyba nie chcesz wyglądać jak ja? Ruszaj, chłopcze. A wieczorem świętujemy.

Airi i Sven Erik w drodze do domu śpiewali w samochodzie na całe gardło. Psalm, który wcześniej odśpiewali na pogrzebie.

– „Ciasne są drzwi, a droga wąska, i cała łaska Pana jest twym wyborem, i przedzieraj się, o, przedzieraj, bo inaczej przepadną nieba”.

Miał ciągle dobry głos. Widział, jak Airi uśmiecha się z uznaniem u jego boku, gdy on przykładała się jak nigdy. Lepiej też pamiętał tekst.

Olśnienie spadło na niego jak czapa śniegu zsuwająca się z dachu.

Przerwał śpiew w pół słowa.

– Co się stało? – zapytała, wypatrując przez zasłonę zadymki. – Renifer?

Całe szczęście, że prowadzi tak spokojnie i powoli.

– Nie – odparł. – Po prostu przyszło mi coś do głowy.

– Co?

– Opowiem później. Odwiozę cię tylko do domu i od razu wrócę do miasta.

– Nie ma sprawy, bylebyś tylko jechał ostrożnie.

Milczał i nie chciała mu przeszkadzać, zapytała jedynie, czy może włączyć radio; skinął głową. Odstawił ją, czekał, aż wejdzie do domu. Nigdy nie wiadomo, czy nie zamarzył zamek albo coś. Gdy tylko przekroczyła próg, zawrócił w kierunku Kiruny.

Świetnie, pomyślała Airi. Takiego chcę go mieć.

Godzinę później Sven Erik stał przed Ogrodem Złotej Jesieni. Wziął opartą o ścianę miotłę i odśnieżając wejście, zbierał myśli. Nie przestawał nucić „i przedzieraj się, o, przedzieraj”. To właśnie te słowa dały mu do myślenia.

Omiótł ze śniegu spodnie i buty, obtupał go z podeszew i wszedł do środka.

Sisu-Sikke i Nyrkin-Jussi właśnie skończyli jeść lunch. Zaproponowali policjantowi kawę. Jednocześnie jakby mieli się na baczności albo może po prostu domyślali się, że coś się święci. Lecz zachowali spokój. Nie było pośpiechu. Rozmawiali o śnieżycy, pogrzebie i o Börjem, że spiknął się z Ragnhild, to dopiero nowina!

– Słuchajcie – odezwał się w końcu Sven Erik, gładząc wąsa. – Zastanawia mnie jedna rzecz...

Nyrkin-Jussi skinął głową. Sisu-Sikke wytrzeszczył oczy. Miał wzrok spienionego konia. Zwierzęcia zbliżającego się do przerażającej, płonącej ogniem przeszkody.

– Półtora roku temu główna spółka Pekkarich, Bergsäk AB, wyemitowała nowe akcje i zyskała nowego współwłaściciela – zakomunikowała Maria Taube. – Ten współwłaściciel wgląda na zagraniczne przedsiębiorstwo inwestycyjne, MOGI Capital Group. Gdy je wygooglujesz, to poczytasz takie baju-baju o *global growth*, ale zero informacji na jakimś poważnym forum ekonomicznym albo w czasopiśmie finansowym.

Sivving stał przy zlewie i zmywał po brunchu. Pozostałe kobiety zajęły się pakowaniem swoich rzeczy. Według ostatniej prognozy pogody śnieżycy miała wkrótce ustać. Mogły więc ruszyć w kierunku Riksgränsen. Sophie, włączwszy głośnik w telefonie, zamawiała transport helikopterem.

– Opowiedz więcej – poprosiła Rebeka, posypując cukrem i cynamonem swój trzeci naleśnik.

– Miesiąc później spółka zrobiła *sale lease back*, sprzedała niemal wszystkie swoje maszyny innej zagranicznej firmie i teraz korzysta z nich w leasingu. Sumę uzyskaną ze sprzedaży akcji zainwestowali w jakiś projekt kopalniany w Ugandzie, ale o tym projekcie też nie ma w sieci prawie żadnych informacji. Zyski w pierwszym kwartale tego roku były o osiemdziesiąt procent niższe niż w roku ubiegłym.

Rebeka nabrała powietrza i wypuściła je w głośnym wydechu.

– Zabrzmiałaś teraz jak twoja babcia – skomentował Sivving znad zlewu. – Ona to umiała wdychać. A tak nie à propos, dzisiaj masz badanie techniczne auta. Nie zapomnij!

– Co? – wybuchnęła Rebeka. – Przecież nie mogę dziś sięść za kierownicą. Powinieneś mnie uprzedzić, zanim mi umówisz jakiś termin.

– To się skończy tak, że dostaniesz zakaz prowadzenia samochodu – odparował. – I żebyś wiedziała... Zaesemesowałem do Kristera. Powiedział, że przyjdzie tu i cię podwiezie.

Maria mrugnęła znacząco do przyjaciółki.

– O, nie – wymamrotała Rebeka. – To jedna wielka katastrofa.

– Jaka tam katastrofa – powiedziała Maria. – Pojedź z nim i już. To dobrze, że w końcu będziecie mogli ze sobą normalnie przebywać. W każdym razie: Bergsäk AB kupiła w Kirunie dwa poważne podmioty gospodarcze w sektorze kopalnictwa: firmę wiertniczą i firmę zajmującą się drążeniem tuneli, rozbiórką i demontażem. Nie mogę powiedzieć, czy zapłacili tyle, ile przedsiębiorstwa są warte. Ale sprawdziłam poprzednich właścicieli na Facebooku. Żaden z nich nie został zatrudniony w nowej spółce.

Rebeka zanotowała w swoim telefonie nazwy obu firm i ich dyrektorów.

– Osoby z takimi kwalifikacjami zazwyczaj pracują dalej, w każdym razie w okresie przejściowym. Ale ci dwaj musieli odejść tego samego dnia – kontynuowała Maria Taube. – I obaj wyprowadzili się potem z Kiruny. Można tylko spekulować, ale jeśli zostajesz zmuszona do sprzedaży, to potem spadasz.

– A więc zyski drastycznie maleją i firma wymiguje się od płacenia szwedzkiego podatku – podsumowała Rebeka. – I kupuje spółki, których właściciele później uciekają z miasta.

– Trzy lata temu Bergsäk była firmą rodzinną, która robiła swoje, a zyski inwestowała w rozwój przedsiębiorstwa – powiedziała Maria. – Definitywnie zmienili styl.

– Na styl: pokombinować, pomataczyć. Ale żadnych podstaw do oskarżenia. Albo choćby wszczęcia dochodzenia.

– Przed wyemitowaniem nowych akcji Bergsäk była ewidentnie w tarapatach. Bliska utraty płynności finansowej. Jeszcze dwie rzeczy. O, hej!

Z tym ostatnim okrzykiem Maria zwróciła się do Smarkacza, który bezceremonialnie wskoczył na ławę obok niej. Bella zawarczała ostrzegawczo. Miał się przecież trzymać z daleka od niej i rękawiczki.

– O, nie! Zeskakuj! – nakazała Rebeka. – Nie chcę mieć psa, który siedzi przy stole.

– Ze mną może siedzieć przy stole – odpowiedziała Maria. – Jak przyjedziesz do mnie do Sztokholmu, Smarkaczyku, to pójdziemy razem do knajpy i zjemy talerz owoców morza.

Pies zatopił łeb w objęciach Marii, unikając kontaktu wzrokowego ze swoją panią.

– Poddaję się – przyznała Rebeka. – Jeszcze dwie rzeczy?

– Ciut dziwny zakup niewielkiej drukarni. Po co im drukarnia? I coś, co powinno cię zainteresować: spółka posiada biały kamper. Czy nie taki właśnie...

– Właśnie taki! – wykrzyknęła Rebeka tak gwałtownie, że Smarkacz zeskoczył na podłogę. – Rosjanie jeździli białym kamperem. Z pracownikami seksualnymi.

– Chodzi na ropę, ale w dokumentach nie ma ani jednego paragonu potwierdzającego zakup oleju napędowego.

– A niech mnie! Więc do jakich celów używano tego samochodu? I gdzie on teraz jest?

Rebeka oparła się wygodnie na krześle.

– Ale to nie jest już moje dochodzenie. Przekażę to von Postowi. Chociaż on, kurza dupa, nawet nie kiwnie palcem. Nie chce zadzierać z tą całą bandą przedsiębiorców. A kamper... No cóż, zawsze mogą powiedzieć, że go pożyczili albo że nie mieli kontroli nad tym, że ktoś korzysta z pojazdu niezgodnie z prawem. Myślę, że zrobiłam swoje w tym mieście. Mam dość tej zupełnie niepotrzebnej harówki.

Maria Taube zerknęła na Sivvinga, który właśnie zaczął wycierać szklanki i talerze.

– Chodź, wyskoczmy na papierosa.

Stały pod dachem na ganku. Obserwowały spadające z nieba pojedyncze płatki.

– Przecież ty nie palisz – powiedziała Rebeka, mimo wszystko wyciągając ku przyjaciółce swoją paczkę.

Maria odmówiła machnięciem ręki.

– Zamierzam odejść z kancelarii – oznajmiła bez ogródek. – I planujemy...

Kiwnęła głową w kierunku mieszkania Rebeki, gdzie chwilowo rezydowały Sofi, Sophie i Clara.

– ...założyć własną firmę.

– Żartujesz!

– Nie żartuję. Sofi i ja będziemy przez jakiś czas na kwarantannie, ale to nie ma znaczenia. Brat Sophie jest bogaty jak fiks i na początku wesprze nas finansowo. Biuro na Kommen-dörsgatan.

– Wow! Gratuluję! Zwierzyłaś się ze swoich planów...

– Nie, jeszcze nie. Nie możesz pisać Månsowi ani słówka. On mnie i tak zabije. Minutę po złożeniu wypowiedzenia wyrznię głową o podłogę. Chcesz się przyłączyć?

– Przyłączyć jako... zatrudniona?

– Jako współwłaścicielka. Nie sądzisz chyba, że przejrzałyśmy rano te kartony w ramach rozrywki? Chciałyśmy cię trochę rozochocić, no wiesz.

– I przez pomyłkę rozochociłyście von Posta – skomentowała Rebeka, uśmiechając się smutno.

– E tam! No, ale co ty na to? Måns się z tym pogodzi, będziecie dalej ze sobą sypiać. A ty będziesz mogła tu przyjeżdżać w każdy weekend. Pracować zdalnie od czasu do czasu, jesteśmy elastyczne.

Rebeka zaciągnęła się dymem. To dlatego Maria przestała nagabywać ją o to, by wróciła do Meijer & Ditzinger. I to dlatego chciały ją tutaj odwiedzić.

– Podobasz im się. I wiedzą, że jesteś diabelnie dobra w opodatkowaniu koncernów.

– Jak długo to planowałyście?

Maria wzruszyła ramionami.

– Zaczęłyśmy o tym rozmawiać jakiś rok temu. Wiesz, jak to jest, człowiek chodzi i narzeka. Wszystkie harujemy jak woły, ciągle jesteśmy zmęczone.

– Ale przecież jesteś współwłaścicielką. Musisz zarabiać...

– Wiem, ale to nie pomaga. No to co?

Rebeka zgasiła papierosa w grubym śniegowym wężu, który położył się na poręczy balustrady.

– Zastanowię się – odparła. – Nie chcę zostać w prokuraturze. To nie tak, że wybrałam sobie to miejsce świadomie, po prostu nie miałam się gdzie podziać, jak mnie wypisali z psychiatrii.

– Proszę, zastanów się poważnie – dodała Maria, składając ręce jak do modlitwy. – I jeszcze jedno. Ale nie gniewaj się.

– Boisz się, że będę się z tobą tłukła w śniegu?

– Tak.

Zaśmiały się jednocześnie.

– Jestem twoją przyjaciółką – powiedziała Maria. – Kocham cię. Uważam, że powinnaś z kimś porozmawiać.

Rebeka poczuła, jak ściska ją w dołku. Skupiła się na tym, by odprężyć mięśnie twarzy.

– Ciężko ci się ze mną przyjaźnić, o to ci chodzi? – zapytała tonem, który wcale nie za-

brzmiał tak lekko i żartobliwie, jak jej się wydawało.

– O, Rebeka, nie, absolutnie nie. Czy przed chwilą nie klęczałam przed tobą, prosząc, byś do nas dołączyła? Pamiętasz, jak nam było dobrze, kiedy razem pracowałyśmy?

Nie, nie pamiętam, pomyślała Rebeka. Mam w głowie jakiś zespół realizatorów filmowych, który wycina klatki i montuje najgorsze chwile z mojego życia, wszystkie porażki, niepowodzenia i kompromitacje. A potem wyświetlają mi ten film raz po raz. Nawet to, co się wydarzyło, kiedy miałam czternaście lat.

– Po prostu mam wrażenie, że jesteś przygnębiona. Niepokoję się o ciebie.

– Wybacz mi – odpowiedziała Rebeka. – Nie chcę, żebyś się o mnie obawiała.

Miękka z wierzchu, odpychająca w środku. I to znów zadziało. Koniec poważnej rozmowy. To obrzydliwe być tą, o którą inne osoby się niepokoją.

– Okej – powiedziała Maria z uśmiechem, choć zdawała się zasmucona. – Dzięki za wspianiały obiad i śniadanie. A teraz chyba wracamy na górę, co? Zanim Sophie zdąży się zareczyć z Sivvingiem.

– No, bo wtedy to się naprawdę wezmę z nią za bary w śniegu! – roześmiała się Rebeka.

– Uderzyła mnie pewna myśl – powiedział Sven Erik, czując, jak go piecze w żołądku od ciągle żłopanej kawy – jeśli chodzi o tę chatkę, do której Raimo przyjechał z Börjem.

Byli przy trzeciej filizance. Sisu-Sikke miał przed sobą kubeczek z dzióbkiem, ale nie pił. Na stole leżało nienaruszone opakowanie herbatników.

– Raimo prowadził motocykl – kontynuował policjant. – Syna miał na siedzeniu za sobą. Ale Börje twierdzi, że tego wieczoru, gdy zniknął jego tato, przyjechał jakiś samochód. Słyszał warkot silnika, potem odjechali i Raimo zapadł się pod ziemię.

– Tak – odparł Nyrkin-Jussi.

– Pozostaje tylko jeden szkopuł – mówił dalej Sven Erik, ugniatając wąsa. – Kobieta, która wynajęła Raimowi chatkę, krewna Sikkego, zamontowała szlaban na drodze leśnej prowadzącej do tejże chatki. Poinformowała nas o tym...

Wyciągnął telefon z kieszeni i sprawdził notatki podesłane mu przez Rebeke. Niech Bóg ma w opiece tę dziewczynę. Jak zawsze porządna i dokładna.

– Mervi Johansson, z którą Rebeka rozmawiała, gdy byliśmy na wyspie.

Nyrkin-Jussi mieszał kawę. Łyżeczka uderzała o porcelanę. Jak dzwoneczek. Jak serce niespokojnego zwierzątka.

– Motocyklem można objechać szlaban. Ale nie samochodem. Musieli mieć klucz, żeby odblokować zaporę. Miałeś klucz, Sikke?

Sikke pokręcił głową.

– Ale wiedziałeś, gdzie ona mieszka?

Ponownie zajrzał do notatek.

– Olga Palo, szwagierka twojej ciotki, kobieta, która wynajęła chatkę?

Sisu-Sikke złapał za rękę Nyrkin-Jussiego.

Ten zapytał:

– Chcesz, żebym opowiedział?

Sisu-Sikke znów pokręcił głową. Siedzieli tak przez chwilę. Sven Erik czekał. Pośpiech był rzadko owocny. Czasami trzeba pozwolić ludziom pomilczeć.

Sisu-Sikke odezwał się w końcu.

– Ta... ta...

Nyrkin-Jussi podał mu „tablet”, leżący trochę dalej. Z wolna Sisu-Sikke przekazał swoje opowiadanie:

„Król pytał o Raimo

gdzie pojechał z synem
powiedziałem prawdę
że wynajął od Olgi w Kurkkio
zapytał gdzie ona mieszka
potem Raimo zniknął
tydzień później Król chciał zobaczyć szafkę Raimo w klubie
nic specjalnego tam nie było
powiedział
daj znać jak Raimo się odezwie
wiedziałem
że mówi tak żeby mnie oszukać
czułem że Raimo nigdy nie wróci
ale wmówiłem sobie
że to mi się zdaje
ale
tak naprawdę to wiedziałem”

– Wiesz, jak to było – uzupełnił Nyrkin-Jussi z udręką na twarzy. – Borówkowy Król posiadał nasz lokal, w dalszym ciągu jest właścicielem budynku, ale w tamtych czasach to on płacił za prawie wszystkie sprzęty w siłowni. Niektórzy z chłopaków pracowali dla niego to przy tym, to przy tamtym, człowiek o tym wiedział. Ale próbowaliśmy robić swoje, trzymać się na ubo-
czu...

Przerwał.

– Wygląda na to, że siedzę tu i nas usprawiedliwiam.

„Mnie”, wskazał na tablicie Sisu-Sikke. „Nigdy nie powiedziałem Jussiemu, że Król py-
tał”.

– Nie, ale przecież to jasne, że ja też się nad tym zastanawiałem. Chodziły słuchy o pie-
niądzach.

– Jakie słuchy? – zapytał Sven Erik.

– Raimo nie był jednym z pachołków Króla, zdecydowanie nie. Chociaż pracował dla niego dorywczo. Zwykle roboty, stolarka i tego typu, ale też sporo przewozów. Król wiedział, że to solidny chłopak, że można mu ufać. Dość często odbierał pieniądze. Ludzie byli winni Kró-
lowi za to i owo, gorzałkę i narkotyki, ale też czynsze i należności za skradzione rzeczy, można rzec, za jego różne usługi. Dostawał pieniądze w plastikowej reklamówce i jechał do następnej osoby.

– No i?

– Było takich dwóch chłopaków w klubie. Pojawili się dzień przed zniknięciem Raima, obaj mieli obtłuczone knykie. Nie zadawaliśmy pytań, ale dotarły do nas plotki. Ponoć zniknęła reklamówka z pieniędzmi; jakaś limuzyna pojechała do Niemiec, tam ją sprzedano. Chłopcy spu-
ścili lanie kierowcy, który prowadził ten samochód i który miał przyjąć zapłatę. Sprawili mu porządne manto, ale w końcu dali się przekonać, że naprawdę przekazał reklamówkę z żywą go-
tówką, a nie z papierem toaletowym.

– A potem Frans Mäki pytał o Raima, tak? – chciał się upewnić Sven Erik. – I po jego zniknięciu sprawdził szafkę i jeszcze raz o niego pytał. I nagle rozeszła się wieść, że Raimo naj-
pewniej był zamieszany w historię z fałszywymi dolarami i że zabiła go rosyjska mafia.

Nyrkin-Jussi odpowiedział na wdech:

– Tak.

– Wygląda na to, że Borówkowy Król szukał w szafce reklamówki z pieniędzmi.

– Tak.

– Wygląda na to, że po zniknięciu Raima Król pytał o niego i rozpuszczał plotki o rosyjskiej mafii, głównie po to, żeby odciągnąć uwagę od siebie samego.

– Tak.

– Wygląda na to, że Frans Mäki zastrzelił Raima Koskelę. Wyspa, na której znaleziono Raima, leży niespełna kilometr od chatki, w której znajdował się z Börjem. No i Frans Mäki znał Henry’ego Pekkarięgo.

– Ale my o tym nie wiedzieliśmy! – wybuchnął Nyrkin-Jussi. – W naszym wyobrażeniu Raimo Koskela zniknął. Mógł przecież wziąć nogi za pas i zwiać. Nie byliśmy kumplami. Boksował się w klubie i tyle.

W jego głosie zabrzmiał błagalny ton. A po chwili pomachał obiema rękami w odmownym geście. Jak gdyby jego usprawiedliwiający słowa nie były nic warte.

– Olga Palo od dawna nie żyje – powiedział Sven Erik w zamyśleniu. – Nie wiemy, czy pożyczyła im klucze i nie przyznała się do tego, kiedy Raimo zniknął.

– Albo po prostu weszli i sobie te klucze pożyczyli. W tamtych czasach nikt nie zamykał domu. To był późny wieczór. Może już spała.

– Dziękuję za szczere zeznania – powiedział policjant i wstał.

– Opowiesz to wszystko Börjemu?

– No, przecież muszę.

– Jak prosić o wybaczenie za coś takiego?

Sven Erik przypomniał sobie, jak bardzo był wściekły na Annę Marię. Po strzelaninie w Regli.

– Jesteśmy wszyscy podstarzałymi piernikami – odparł. – A życie mija pierońsko szybko...

Nyrkin-Jussi siedział obok Sisu-Sikkego, ujął jego prawą rękę w obie dłonie. Börje Ström spoglądał z wycinków gazet na ścianach.

– Przecież się nim zaopiekowaliśmy – odezwał się Nyrkin-Jussi. – Został mistrzem olimpijskim. Gdybyśmy poszli na policję... Co by to zmieniło? Nic, oprócz tego, że wylano by nas z klubu. I kto by się wtedy zajął Börjem? Jak inaczej mogliśmy postąpić?

– S... sss...słu... słu... słusz... słusznie – wyrzucił z siebie Sisu-Sikke.

Krister wysłał Rebecę SMS-a zaraz po lunchu. Maria i jej koleżanki odjechały, Sivving z Bellą wrócił do domu, a Rebeka, zebrawszy się w sobie, poszła na długi spacer ze Smarkaczem. Teraz, leżąc na ławie kuchennej, surfowała w telefonie.

Siema, napisał, Sivving dzwonił i powiedział, że masz badanie techniczne, ale nie dasz rady prowadzić po wczorajszej imprezie. Podwieźć cię?

Usiadła i zaczęła wystukiwać odpowiedź.

Byłoby bardzo...

Napisała najpierw: *cudnie*, ale skasowała. Boże drogi, zaczyna mówić jak kumpelki Marii Taube. Potem przetestowała masę innych przysłówków i w końcu pozostała przy „fajnie”.

Przyjadę, odpisał. Masz termin o wpół do drugiej.

Wzięła jeszcze jeden prysznic, ponieważ ciało wypacało wczorajsze grzechy niczym maszyna parowa. Wybrała któryś ze starych swetrów po tacie, niech Krister nie myśli, że się dla niego wysiła. Świeżo umyte włosy zostawiła rozpuszczone. Wielokrotnie przeglądała się w lustrze. W brzuchu łopotało coś nieokreślonego.

Kiedy przyjechał, miała urwanie głowy ze Smarkaczem, który wrywał się na podwórze, żeby powitać gościa. Zamknęła drzwi na klucz. Z wewnątrz dochodziło głośne i wzburzone szczekanie.

Krister nie miał ze sobą psów. Dawniej, kiedy wszystko było tak, jak powinno, Smarkacz, Tintin i Roy zatoczyliby kilka szalonych kółek w ogrodzie. Zostawiliby je razem w domu. Potem wspólnie ugotowaliby obiad.

On popatrzył na drzwi wejściowe. Ona popatrzyła na pustą klatkę w jego samochodzie.

– No to co, jedziemy? – zapytał.

Zdażył odsłoneżyć jej auto. Poczula się osobliwie spokojna, kiedy usiadła w fotelu pasażera i podała Kristerowi kluczyk. Teraz przynajmniej nie był w domu z Marit.

Przesunął siedzenie do tyłu i zmienił ustawienie lusterka wstecznego.

Ostatnio na jej miejscu siedział Sivving. Dobrze się złożyło, ponieważ zawsze odsuwał fotel jak najdalej do tyłu. Nic nie ruszała. Z tej pozycji mogła swobodnie obserwować Kristera, nie zwracając na siebie uwagi.

Szkoda, że miał na sobie kurtkę, uwielbiała jego ramiona. W każdym razie mogła nasycić oczy jego nadgarstkami i dłońmi.

Jego piękne dłonie na kierownicy. Każda część jej ciała, której te palce dotykały. Nie istniał ani skrawek, na którym by ich nie było. Choćby to, jak zwykł ją całować, a jednocześnie szczypać płatek ucha i wędrować drugą ręką ku piersiom.

– Ale kurniawa! – powiedział. – Miejmy nadzieję, że żaden idiota nie wpadnie na pomysł, żeby frirajdować, jak tylko przestanie sypać. Zagrożenie lawinowe będzie ekstremalne.

Rebeka momentalnie wybiegła myślą do wędrowek górskich, a stamtąd to już przecież tylko rzut beretem do Marit. Co robił z Marit? Czy też szczypał ją w ucho, gdy całował jej usta i po omacku szukał piersi? Czy właśnie tak?

To nie do pomyślenia. A jednocześnie całkiem możliwe. Nie do wytrzymania.

Złapała się na tym, że nieustannie o nim myśli. Bo tak faktycznie było. Każde drobne przyzwyczajenie codziennie przypominało jej o nim. Wyjście z psem do lasu, przypięcie nart, złożenie kartonu po mleku w specjalny sposób, żeby zajął jak najmniej miejsca, mycie zębów. Szczoteczka, która nigdy nie przeprowadziła się do jego szafki w łazience. Szczoteczka do zębów, którą zawsze miała ze sobą, gdy wracała do domu.

Gdyby nie przespała się z Månsem.

Pomyślała, że nawet nie pamięta, dlaczego to zrobiła, jak do tego doszło, że umówili się na wspólny obiad. Dlaczego? I dlaczego opowiedziała o tym Kristerowi? W ten sposób. Zmącona myśl pracowała dalej, lecz Rebeka nie potrafiła dojrzeć siebie samej w tym opowiadaniu.

Przyjechała do niego prosto z lotniska. Powiedziała od razu, bez owijania w bawełnę, w drzwiach. Nawet nie zdjęła butów. Wiedziała, jak to się skończy. Może chciała, żeby to się tak skończyło. Pokazał jej wyjście bez słowa. A potem to już był koniec.

Teraz zbliżali się do miasta. Krister prowadził ostrożnie w puszystym śniegu. Klimatyzacja pracowała na najwyższych obrotach, szyby zaparowały od mokrych ubrań. Rebeka też powinna powiedzieć coś o pogodzie. Ale słowa ugrzęzły.

Kiedy ze sobą zerwali, gdy tylko drzwi zatrzasnęły się za nią, zaczęła za nim tęsknić. Albo nie, to nieprawda. Na początku było lekko. Pozwoliła Smarkaczowi wskoczyć do samochodu i pojechała z nim do Kurravaary. Czuła się wolna. Bolało, ale w jakiś dziwnie przyjemny sposób. Co najmniej przez tydzień towarzyszyło jej uczucie ulgi.

Później zaczęła o nim myśleć. Tęsknota ogarniała ją z wolna i ukradkiem. Ale Rebeka nie podjęła żadnych działań. I nagle Krister z Marit zostali parą. Szybciej, niż zdażyła wypowiedzieć „problemy z nawiązywaniem relacji”. Wszyscy mówili o tym w pracy, tacy radośni, nie rozumieli, jak bardzo ją to obchodziło i bolało, każde słowo.

Przybierała więc promienny wyraz twarzy i wygłaszała takie bzdury, że potem miała ochotę przepłukać usta domestosem. „To dobra dziewczyna dla niego”. „On jest takim fajnym

chłopakiem”.

Nie musieli czekać. Jej numer rejestracyjny był już wyświetlony na ekranie, wystarczyło tylko wjechać do hali.

Nalała sobie kawy z automatu, Krister odmówił gestem ręki. Wyszedł na zewnątrz, gdzie ciągle padał śnieg, nałożył kaptur, zadzwonił do kogoś.

Z pewnością do niej.

Rebekę zdjął tak ogromny smutek, że tylko cudem nie spadła z krzesła. Zaczęła się na nim kiwać, tam i z powrotem. Przybrudzona biel plastiku, w zasadzie mebel ogrodowy.

Gdzie mam się z sobą podziąć?, zastanawiała się. Nie potrafię być z Månsem, nie potrafiłam być z Kristerem, nie radzę sobie z samotnością, nie mogę tu dalej pracować. Wszystko umiem spartaczyć. Totalna chujzo.

Obserwowała młodych mężczyzn, którzy sprawdzali jej samochód. Jak go windują, jak testują hamulce. Rzuciła okiem na telefon. Żadnych wiadomości.

Spojrzała na plecy Kristera w śniegu.

O czym rozmawiali? Na co masz ochotę na obiad? Na ciebie. Ja też mam na ciebie ochotę. Czy Marit leżała teraz i robiła sobie dobrze, podczas gdy on szeptał jej sprośności do ucha? A ona, Rebeka, siedzi tu z plastikowym kubkiem wypełnionym lurowatą kawą i tylko się przygląda.

Badanie dobiegło końca, uściła odpowiednią opłatę.

Krister schował telefon do kieszeni, gdy zapukała w szybę.

– No i jak, bez problemu? – zapytał, wyjeżdżając na szosę.

– Tak. A ty... Rozmawiałaś z Marit? Musiałaś jej złożyć raport?

Powinna była ugryźć się w język.

Zerknął na nią. Stwardniał na twarzy.

– Przepraszam – dorzuciła szybko. – To tylko żart. W dodatku kiepski.

Zwlekał z odpowiedzią.

– To Marit namówiła mnie do tego, żebym ci pomógł z samochodem. Zaraz po tym, jak zadzwonił Sivving. Bo po prostu jest jej ciebie żal. Mnie też.

Właśnie to jest niebezpieczne z kochającymi się ludźmi, pomyślała, a śnieg migotał jej przed oczami. Że uczą się słów, które mogą zabić. I nagle je wypowiadają.

Przez resztę drogi obliczała, ile może wybrać urlopu i wolnego za nadgodziny. Powinno wystarczyć prawie na cały okres wymówienia.

Börje Ström zadzwonił do Taggena Mäkiego. Siedział przy stole w kuchni u Ragnhild, pomyślał, że nie ma się nad czym zastanawiać, i po prostu wszedł na ring.

Ragnhild leżała na sofie w dużym pokoju i czytała książkę.

– Muszę się zobaczyć z twoim ojcem – powiedział. – Jeśli to nie on zabił mojego tatę, to z pewnością wie, kto to zrobił.

Taggen po drugiej stronie cofnął się i odparował cios.

– Z grubej rury walisz. Wiem, że z niego żaden anioł, ale skąd wiesz, że on...

– To nie ma znaczenia. Muszę z nim porozmawiać. Albo pojedę tam na własną rękę i będę siedział przed domem tak długo, aż mnie wpuszczą, albo mi pomożesz się z nim spotkać. Chcę się tylko dowiedzieć, co się wtedy stało. Nie myślę o zemście, nie szykuję żadnej rozpierduchy.

Taggen milczał. Börje słyszał, jak przeżuwa coś i połyka.

Ragnhild przerzuciła kartkę.

– Załatwię spotkanie – powiedział w końcu Taggen. – Ojciec nie jest w pełni sił. Ale nie jedź tam sam.

I odłożył słuchawkę. Börje wszedł do pokoju.

– No i? – zapytała Ragnhild cicho, nie chcąc spłoszyć Villi, której nos wystawał zza sofy.

– Co powiedział?

– Powiedział, że załatwi spotkanie.

– Sądysz, że Frans Mäki się przyzna? Nawet jeśli to on?

– Nie wiem. Ale trzeba próbować aż do momentu, w którym dalej już się nie będzie dało.

– Mhm. A co zrobisz, jeśli się okaże, że to on? Jeśli naprawdę się dowiesz. Podpalisz mu dom?

– Nie – zaśmiał się. – Co by to pomogło?

– Ja bym chciała spalić dom Henry’ego. Problem w tym, że to również mój dom, dom mojego dzieciństwa.

Tak to jest z zemstą, pomyślał Börje. Trzeba uważać, co staje w płomieniach.

1972 – 1974

Nowy Jork Börjego Ströma nie jest wielki. Mieszka w Hell’s Kitchen po zachodniej stronie dzielnicy irlandzkiej. Ludzie tutaj są biedni jak myszy kościelne, a na ulicach roi się od dzieciaków. W powietrzu zawsze czuć gotowaną kapustę i skwaśniałe śmieci.

Rankiem zbiega ze schodów w kilku kocich susach. Robi przebieżkę bardzo wcześnie, a potem je śniadanie dwie ulice dalej, w Sunshine Diner, jajka sadzone i kielbasę, dwa kubki kawy, choć kawa to żałosna historia, coś w rodzaju rdzawej wody z trzęsawiska.

Siłownia Big Bena leży w Brooklynie. Sześciopiętrowy budynek z cegły. Na parterze znajduje się magazyn, na trzecim piętrze sala treningowa. Przestronna, z dużymi oknami, czysta i zadbana, wszystkie sprzęty są nowe.

W dalszym ciągu się zdarza, że Börje na chwilę przystaje i tylko wsłuchuje się w odgłosy zza otwartych okien. Terkot gruszek bokserskich i skakanek, spokojny rytm skórzanych rękawic, które trafiają w worek z piaskiem. Siłownia to jego dom.

Wieczorami, kiedy w mieszkaniu jest zbyt gorąco, przesiaduje na smołowanym dachu kamienicy, nazywanym *the tar beach*, smolista plaża. Kiedy wiatr wieje z odpowiedniej strony, słyszy odgłosy ludzi zbierających się w Madison Square Garden. To klaksony taksówek i syreny, zawsze syreny, gwar tłumów napływających do areny. Kiedyś będzie się tam boksował.

Na razie jego przeciwnicy to niedrogie worki do bicia i chylący się ku upadkowi weterani.

Nowym trenerem Börjego jest łagodny jegomość z Paryża w Teksasie, wszyscy nazywają go z tego powodu Parisem. Jego kariera bokserska zakończyła się przed czasem z powodu odwarstwienia siatkówki, podobnie jak u taty. Przekonuje podopiecznego do cierpliwości.

– Musisz pracować nad swoją reputacją – powtarza od samego początku, drapiąc się po jednym z wykwitów na skórze ramion i dłoni. – Dopiero co byłeś amatorem. Wszyscy wiedzą, że zdobyłeś złoto na olimpiadzie, mają cię na oku, ale boks zawodowy to inna bajka. Dopiero kiedy będziesz miał porządną listę osiągnięć, nadejdą znaczące walki.

Paris ma powody do zadowolenia. Börje się nie leni, jest pracowity i zdyscyplinowany, żyje dla treningu, skakanka świszczy mu w rękach jak wiatr.

– *Keep it up*, tak trzymaj – mówi Paris. – Wkrótce przyda ci się ta kondycja.

Börje wygrywa wszystkie mecze. Siła przeciwników rośnie, on wygrywa dalej. W ringu jest nieubłagany, uderza mocno. Piszą o nim gazety. Nazywają go Szwedzkim Wikingiem i Białym Niedźwiedziem Polarnym, rywalizują o znalezienie przydomka, który się spodoba i przyjmie.

Börje nie jest wesołkiem, nie potrafi nawijać i zabawiać publiczności jak wielu innych

pięściarzy, ale ma białą skórę, blond włosy i niebieskie oczy. Szwedzka dziewczyna Bonda, Britt Ekland, mówi gazetom o swoim kraju: „Owszem, nie jest szczególnie rozmowny. Ale Börje Ström nie potrzebuje powalić dziewczyny rozmową”.

Trzynastego października 1974 roku staje do walki z Jimem Jonesem. To stary pięściarz, skończył trzydzieści pięć lat.

– Łatwo go nie docenić, nie zrób tego błędu – przestrzega go Paris. – W dalszym ciągu ma potężną siłę w prawym. I utrzymał się na nogach we wszystkich swoich meczach.

Publiczność dopisała. W pierwszym rzędzie siedzi Big Ben ze swoją świtą. Są przedstawiciele prasy, a w niewielkiej odległości od ringu zamontowano kamerę filmową. Siedzą tam również żona Jima oraz ich najstarszy syn.

Börje zaczyna agresywnie. Wie, że Jones jest wytrzymały, ale goni go i wytrąca z równowagi, przeszkadza w osiągnięciu stabilności. Nie chce pozwolić na to, by rywal zakotwiczył się w podłożu i znalazł siłę dla swego prawego.

Obaj zbierają ciosy, ale głównie na ramiona i gardę. Börje nastawia się na siódme starcie. Nie ma zamiaru czegokolwiek zaniedbać. W siódmej Jim będzie zmęczony. Börje daje mu porządny wycisk, przegania go od narożnika do narożnika, nie pozwala na chwilę wytchnienia.

Kiedy panienka odziana zaledwie w parę nitok wije się w świetle reflektora i podnosząc szyld, oznajmia rozpoczęcie siódmej rundy, Börje słyszy, jak Big Ben odzywa się do swoich towarzyszy:

– Jeśli nie potrafi skosić tego pajaca, to jak ma dać radę wielkim graczom?

Publiczność też zaczyna tracić cierpliwość. Słychać gwizdy i krzyki. Gong bije po raz siódmy. Börje zdaje sobie sprawę, że ma przewagę na punkty, ale dziś to nie wystarczy. Napiera mocniej. Ma na widoku nokaut, a Jonesowi najwyraźniej zaczyna brakować paliwa. Przeciwnik próbuje dosięgnąć wrażliwej brwi Börjego. Ten zaś cały czas próbuje osłabić rywala i zmusza go do ruchu na szeroko rozstawionych nogach, co redukuje jego zasięg.

Börje robi dwa kroki w lewo, zadaje prawy podbródkowy, poprawia sierpowym, po czym – przewidując prawy cios Jonesa – robi unik, tak że rękawica tylko muska mu ucho. Zanim Jim zdąży odzyskać równowagę, Börje wyprowadza piękną kombinację na korpus.

Ta rzuca przeciwnika na liny. Spadają nań pociski Szweda, Jim dzielnie to znosi, osłania się, wykręca, unika ostatecznego ciosu, choć dyszy jak bizon. Publiczność wstaje z miejsc i ryczy. Börje czuje się tak, jakby puszczał fajerwerki. Obawia się dźwięku gongu tak bardzo, jak bardzo Jim prawdopodobnie go oczekuje. Nie będzie kolejnej rundy. Wyprowadza jeszcze dwa solidne ciosy w szczękę. Widzi, jak nogi uginają się pod Jonesem, stoi teraz na dwóch ugotowanych nitkach spaghetti, jego garda słabnie i Börje celuje w głowę.

Jones zwala się na deski jak postrzelony koń. Sędzia liczy.

Potem podnosi jego rękę. Börje dopiero teraz zdaje sobie sprawę ze swojej zadyszki. I krwawiącego ucha. Publiczność wyje.

Jones ciągle leży. Jego nogi dygocą jak dwie świeżo złowione ryby. Ktoś zarzuca Börjemu pelerynę na ramiona i wyprowadza go z areny. W ringu krząta się już personel medyczny.

Big Ben ze swoją świtą wchodzi do szatni i składa gratulacje, zanim Paris zdąży rozsznurować zwycięzcy rękawice.

– Jak się czuje Jones? – pyta Börje.

– Jesteś moim białym chłopakiem – śmieje się Big Ben. – A mój biały chłopak posłał czarnego chłopaka do szpitala. I o to chodzi. Ja cię pierdolę, o to właśnie chodzi!

W policyjnej jadalni Anna Maria Mella zdrapywała z talerza wczorajsze resztki obiadu. Podczas gdy ona była u Rebeki, rodzina jadła kurczaka z ryżem i zostało trochę na dzisiejszy lunch, choć głównie ryż i sos. Nie powinna była też podgrzewać w mikrofalówce surówki.

Zabolało ją trochę w boku, kiedy wstała, ale starała się tego nie okazywać. Musiała coś nadwerżyć w trakcie bójk z Rebeką. Szlag by ją! Wyrzała przez okno, ale samochodu prokuratorki ciągle nie było.

I dobrze. Zmusiłabym ją, kurde, żeby dmuchnęła w balonik.

– Cześć, poturbowałaś się? – zapytała Magda Vidarsdotter, która właśnie podgrzała chińską zupkę.

– Poślizgnęłam się wczoraj na śniegu.

To przecież nie do końca kłamstwo.

– Oj, biednaś!

– To nic poważnego. Tylko siniak.

– Co to w ogóle za pogoda? Według prognozy śnieg miał sobie dać na wstrzymanie.

Anna Maria wzruszyła ramionami. Nacisnęła guzik w automacie do kawy, ten obudził się ze znajomym burczeniem. Obrzuciła nienawistnym spojrzeniem czerwone wezwanie na wyświetlaczu.

Karzan Tigris wszedł do jadalni. Właśnie zrobił zdjęcie z cyklu „Hu, hu, ha, nasza zima zła”, które miał wrzucić na Insta. Trzymał w ręce kubek z kawą gliniarza, do której wpadały płatki śniegu. W pozostałych regionach kraju ludzie publikowali fotki kwitnących wiśni.

– Całe szczęście, że łobuzerka siedzi w domu. A gdzie reszta?

Anna Maria znów wzruszyła ramionami. Tommy Rantakyro był w domu. Powiedziała mu przecież, żeby tam został do końca tygodnia. W każdym razie nie dostali żadnej skargi z powodu tego roztrzaskanego smartfona w Riksgränsen.

I właśnie wtedy zadzwonił telefon, a na wyświetlaczu pojawiło się jego imię.

– Serwus, Tommy! – wysiliła się, by przywitać go radośnie i ciepło.

– To ty...? Anno Mario...

Zachryły i przenikliwy głos. Jak krzyk.

Oblał ją nagły niepokój.

– Tommy, jak się czujesz?

– Nie wytrzymam dłużej, Anno Mario, nie daję już rady...

– Co? Czeka. Moment!

Chwyciła kubek z kawą, przybrała coś w rodzaju przepraszającej miny, zwracając twarz ku Magdzie i Karzanowi, po czym puściła się pędem do swojego gabinetu.

– Zabiję się – powiedział. – Siedzę tu z bronią służbową i... ja... ja...

Włączył się w niej alarm. Bożedrogiwdupėjeża! Ten chłopak tonie. Tonął od miesiący. A ona tylko... Nie zrobiła kompletnie nic!

Głęboki wdech.

– Tommy – odezwała się spokojnie. – Jesteś dorosły i możesz robić, co chcesz. Ale najpierw porozmawiamy, ty i ja, słyszysz?

Ktoś do niej dzwonił. Rebeka Martinsson! Odrzuciła połączenie.

– Tommy?

Cholera jasna, rozłączyło ich?

– Tommy, jesteś tam?

Zaskomlał, jakby ktoś go dźgnął czymś ostrym.

– Jestem.

– Gdzie jesteś? Zaraz do ciebie przyjadę. Nic nie rób, okej? Przyjadę!

Krister zaparkował na podjeździe przed domem. Przeszył Rebekę nożem, wiedział, że to zrobił, kiedy powiedział, że i jemu, i Marit jest jej żal, że tylko dlatego podwiózł ją do stacji kontroli pojazdów.

– Kurwa mać! – wyrzucił z siebie głośno.

Poczuł się bardzo nieswojo ze świadomością, że jest zdolny do takiego okrucieństwa. Że tego chciał. Zastanawiał się, co by o tym powiedziała jego siostra. Z pewnością coś, czego nie chce usłyszeć.

Przez okno w kuchni widział Marit. Siedziała przy stole z twarzą w dłoniach. Wysiadł z samochodu i usłyszał, jak psy, ujadając, rzucają się do drzwi. Marit zwykła je wtedy wypuszczać z domu. Bo inaczej robił się nieporządek w morzu butów. Ale teraz siedziała nieruchomo. Zbliżał się do drzwi. Włączył się w jego wnętrzu sygnał ostrzegawczy.

Przywitał się z psami w przedpokoju. Wsunął głowę do kuchni, nim powiesił kurtkę i ściągnął buty.

– Jak poszło? – zapytała.

– No, samochód był w porządku. A co z tobą?

– Tak sobie. Musimy porozmawiać. Napijesz się herbaty? Upiekłam ciasto.

Przy ostatnich słowach głos jej się załamał.

Krister nakazał psom spokój. Usiadł po drugiej stronie stołu. Czekał w milczeniu.

Nalała herbaty. Pomyślał o tych wszystkich razach, kiedy wkurzała się na jego czajnik z felemym dzióbkiem, z którego zawsze kapało po rozlaniu herbaty, trzeba było pod nim trzymać ręcznik papierowy.

Podawała mu kawałek babki bananowej. Oderwał kęs i włożył do ust, oznajmił skinieniem głowy, że dobra. Ale reszta leżała nienaruszona na talerzyku.

– Nie chcę tego dłużej – powiedziała.

– Nie chcesz czego?

– Nas.

Wciągnął głęboko powietrze. Tintin momentalnie się podniosła i położyła łeb na jego kolanach.

– Dlatego że podwiozłem Rebeke...? – zapytał, ale powstrzymała go gestem.

– Oczywiście nie dlatego, ale...

Spojrzała mu w oczy. A on zastanawiał się, jak powinien wyglądać. Czego Marit od niego oczekuje.

– To takie niesprawiedliwe – dodała. – Uważam, że jestem od niej lepsza.

– Jesteś lepsza niż ona.

Próbował wziąć ją za rękę, ale jej dłonie ześlizgnęły się na kolana. Tintin podniosła głowę i pacnęła pana łapą.

– Jestem pogodna. Prawie zawsze. Lubię porządek. Mam przyjaciół i nowe pomysły. Mamy dobry seks.

– Bardzo dobry – szepnął.

– Jeśli uda nam się spotkać w sypialni. Słuchaj, tu nie chodzi o nią. Zapomnij o niej. Chodzi o mnie. Nie czuję się kochana. Uważam, że zasługuję na to, żeby być kochaną.

– Kocham cię – powiedział, tłumiąc ze wszystkich sił gniew, który wezbrał w nim, gdy wymusiła na nim te słowa.

– Mówisz, że mnie kochasz. Ale to wyznanie jest takie...

Poruszyła rękami, jakby chciała złapać coś nieuchwytnego. Piasek przesypujący się między palcami.

– Psy lubią ją bardziej – dodała.

I zaczęła się śmiać. Z siebie samej, że przyszło jej do głowy coś tak dziecinnego. Nie zawtórował. Jej łzy były tuż-tuż. Jego też.

– To przecież prawda – powiedziała, pobrząkując łyżeczką o ścianki kubka z herbatą,

brzdęk, brzdęk. – Dlaczego nie mogę tego powiedzieć, jeśli to prawda?

– Nie jestem moimi psami.

Nie odpowiedziała. Podzieliła ciasto łyżeczką, podzieliła jeszcze raz, ale nie włożyła do ust ani kawałka.

– Zaslługuję na coś lepszego – powiedziała, przytakując swoim słowom. – Zaslługuję na to, żeby czuć się kochana. Cokolwiek to znaczy.

– Tak, zasługujesz.

– A może to tutaj coś się nie zgadza? – Zapukała łyżeczką w głowę. – Ale właściwie jakie to ma znaczenie?

– O Boże! – zawołał z udręką.

Chwyił jej dłonie. Szybko, tym razem nie zdążyły uciec. Ścisnął je tak mocno, że na jej twarzy pojawił się grymas bólu. Momentalnie rozluźnił uścisk.

– Nie rozumiem – przyznał. – Ty mnie kochasz? Ja cię kocham. Musisz mi dać jeszcze jedną szansę. Potrafię być lepszym partnerem.

Potrząsnęła głową. Zastanawiał się, czy to też coś w rodzaju okrucieństwa. Że jego cierpienie jest dla niej pocieszeniem.

Chciał jej powiedzieć, że jest dla niego za dobra. Wyznał jej to wcześniej wiele razy. Ale teraz zacisnął na słowach zęby. Zawsze był wdzięczny. Była dla niego zbyt ładna. Zbyt... Może nie tyle lubiana, co popularna. Wszyscy byli zgodni co do tego, że prawdziwy z niego szczęściarz.

To nie do końca fajnie, pomyślał. Być szczęściarzem. Zawsze być tą osobą, która powinna czuć wdzięczność. Startujesz ze słabszej pozycji i to zaczyna cię zżerać. Czujesz się winny. Próbujesz to jakoś kompensować. I miłość mutuje, przechodzi w coś innego. Może uzależnienie?

Myślał o tym, jak ciężko pracują psy, które znajdują się na samym dole w hierarchii stada. Myślał o Rebecce. Kochał ją tak długo, jeszcze nim zostali parą. Ale nigdy nie stawiał jej na piedestale.

– Jestem niezadowolona – powiedziała. – Nie cierpię być niezadowoloną osobą. Nie cierpię jej.

Uwolniła się z jego uścisku. Wstała.

Jego ręce spoczywały dalej na środku stołu.

– Jadę do domu – oznajmiła. – Marcus jest u Isaka, prosił, żeby go odebrać o siódmej. Porozmawiam z nim, ale nie teraz.

Krister skinął głową.

– Jedź ostrożnie – wychrypiał.

Wyrzała przez okno, ciągle padał śnieg.

– Wyślę ci SMS-a, jak przyjadę. Ale nie odpowiadaj, bo telefon będzie wyłączony.

Już wcześniej spakowała swoje rzeczy do papierowej torby z Ikei. Zabrała ją teraz z sypialni, włożyła kurtkę i buty. Krister głaskał Tintin po głowie, gładził jej uszy, drapał ją po piersi. Jej ogon uderzał delikatnie o podłogę.

Marit Törmä przedzierała się przez śnieżycę, czuła, jak koła ślizgają się po niestabilnym podłożu, słyszała zaciekle zgrzytanie i tłuczenie wycieraczek.

Najgorsze w tym zerwaniu było ryzyko, że Krister i Rebeka znów zostaną parą. Jak sobie z tym poradzi?

Nie potrafiła zrozumieć tej kobiety. Na zewnątrz spójna, zdolna prokuratorka, cool. Obowiązkowa, z pewnego rodzaju społecznym patosem. No i zakochana w psach i przyrodzie. Ale Marit miała wrażenie, że w Rebecce kotłuje się mnóstwo sprzeczności. Rezolutna, mądra, niemal

jak wyrocznia albo prastara wiedźma, a jednocześnie szalona i nierozsądna. Miła, a zarazem bezwzględna i egoistyczna. Opanowana i spokojna, wściekła. Znakomicie funkcjonująca, o złamanej duszy. Marit wyczuwała w niej coś pozbawionego złudzeń, coś zaprzepaszczonego.

Kiedy spotykała Rebeke w różnych sytuacjach, zwykle szybko i pobieżnie – nigdy nie zostały przyjaciółkami, nawet koleżankami – zawsze odnosiła wrażenie, że Rebeka ją bada, przysłuchuje się uważnie jej słowom, choć udaje rozkojarzoną. A potem ją zbywa. Zważywszy na wadze, znajduje Marit zbyt lekką.

Ta myśl ją rozzłościła. Czuła, że jest też zła na Kristera. Dlaczego człowiek chce mieć do czynienia z kimś tak chaotycznym? To naprawdę nie do pojęcia.

Zawstydziła się, uświadamiając sobie, jak często sprowadzała ich rozmowy na temat jego byłej dziewczyny. Dlaczego tak dużo o niej myślę?, zastanawiała się. To przecież toksyczne.

W domu przebrała się w wygodne ciuchy i nastawiła wodę na herbatę. Zrobiła selfie, opublikowała na Instagramie z komentarzem, że jest jej ogromnie, ogromnie smutno, i zakończyła: *In a world where you can be anything, be kind.*

A potem wyłączyła telefon. Nie miała sił na te wszystkie serduszka.

– Teraz tych wszystkich pajaców, którzy mają umowy na odsnieżanie, trzepnie porządnie po kieszeni – powiedział Taggen z zadowoleniem. – Myśleli, że to koniec sezonu, i odstawili maszyny.

Siedzieli we trójkę w samochodzie w drodze do Esrangevägen. Taggen zadzwonił do Börjega i oznajmił, że Borówkowy Król zgodził się na spotkanie. Börje skontaktował się ze Svenem Erikiem, który wsiadł do auta i przedzierając się przez śnieżycę, przyjechał do miasta.

Policjant siedział na tylnym siedzeniu i nie odzywał się prawie wcale. Nie powiedział Rebecce, że wybierają się do Króla.

Henry Pekkari zadzwonił do swojego brata Ollego, zanim został zamordowany. Olle zadzwonił zaś do Fransa Mäkiego.

Byli w drodze do Borówkowego Króla, żeby porozmawiać o przedawnionym morderstwie. O Raimo Koskeli, który leżał w zamrażarce u Henry'ego Pekkariego. Kręćka można dostać.

Rebeka i jego byli koledzy nie byliby zadowoleni, gdyby się dowiedzieli, dokąd jedzie. Nie mieli wystarczająco dużo dowodów, żeby wezwać Rosjan na przesłuchanie w jakiegokolwiek sprawie. Ani w sprawie śmierci Henry'ego, ani w sprawie tych dwóch biednych dziewczyn przejechanych skuterem, ani w sprawie Galiny – jakżeż ona się nazywała? – w Riksgränsen.

A teraz on łąduje się ze swoim prywatnym śledztwem i przeszkadza w oficjalnym dochodzeniu. Rosjanie będą się mieli jeszcze bardziej na baczności, a tego przecież policja sobie nie życzy.

No, ale ja już tam nie pracuję, pomyślał, wsuwając palce w wąsa. Podjąłem się prywatnego śledztwa i tu spoczywa moja lojalność.

W pewnym sensie to może nawet lepiej, że Rebeka już nie jest odpowiedzialna za dochodzenie. Wolał się poróżnić z von Postem.

Został wyrwany ze swoich rozmyślań, gdy Taggen gwałtownie zahamował i wszyscy przechylili się do przodu.

– Przepraszam, panowie – powiedział kierowca.

Byli na miejscu. W zagrodzie pies przypominający pitbulla z obszarpanymi resztkami uszu rzucił się na siatkę i gryzł ją jak oszalały.

Przyjezdnych powitali obaj Rosjanie. Sven Erik nie spotkał ich wcześniej, ale zrozumiał teraz, dlaczego mogli napędzić strachu Rebecce i Annie Marii. Pod warstwą tłuszczu najwyraźniej mieli muskuły. Tak szybko poruszali rękami po ubraniach gości, że ci dopiero po chwili zoriento-

wali się, że właśnie zostali przeszukani. Musieli zostawić telefony. W tej sytuacji protesty nie wchodziły w rachubę.

Żony Borówkowego Króla nie było widać. Poprowadzono ich do sypialni Fransa Mäkiego, która okazała się przyciasna. Sven Erik ledwo się do niej wcisnął, po czym zajął miejsce przy krótkiej ścianie przed sporym wiszącym telewizorem.

W stojącym w rogu fotelu na wpół siedziała, na wpół leżała młoda kobieta. Nos zatopiony w telefonie. Spódniczka mini z czarnego połyskującego materiału. Przeźroczysta różowa bluzka z bufiastymi rękawkami uwidaczniała stanik z czarnej koronki. Dziewczyna miała nienaturalnie grube sztuczne rzęsy, które widocznie były czymś naturalnym u młodych osób. Policjanta zabolalo serce. Ileż ona może mieć lat? I co, do diaska, tutaj robi?

Borówkowy Król leżał w szpitalnym łóżku, podparty kilkoma poduchami. Szary regulator podnoszący głowę i stopy wisiał z boku. Obok stał wózek inwalidzki.

– I kto by pomyślał, jacy zacni goście! – wykrzyknął w stronę Börjego. – Podejdz bliżej, kurwa, nie stój tam jak jakiś wędrowny druciarz.

Börje by go nie poznał. Czaszkę pokrywały zwiędłe siwe resztki ciemnej walońskiej czu-pryny. Ramiona wystawały z T-shirtu niczym wykałaczkki, policzki były zapadłe, lecz starannie ogolone. Klatka piersiowa podnosiła się i opadała w rytm szybkich oddechów. Król sprawiał wrażenie biednej rośliny, którą utrzymuje się przy życiu za pomocą nawozu i lampy doświetlającej.

Pięściarz chwycił ostrożnie wyciągniętą ku niemu słabą dłoń.

Sven Erik przywitał się również uściskiem ręki.

Taggen pozdrowił ojca ze swojego miejsca, ale ten zaszczycił go jedynie krótkim spojrzeniem. Kąciki ust opadły w gwałtownym niezadowoleniu.

– Wyglądasz prawie jak dawniej – powiedział Król. – Dalej się boksujesz?

– Prowadzę parę grup treningowych, tam gdzie mieszkam, w Älvsbyn. Człowiek próbuje trzymać formę.

Nieustannie myślał o swoim pytaniu. Powinien był poprosić Ragnhild o pomoc. Zapytać, jakich użyć sformułowań. W jakim porządku. Powinien był się przygotować.

Rozmawiali trochę o sporcie, lecz ani Taggen, ani jego ojciec nie nadążali za rzeczywistością. Mówili o przeszłych czasach, o tym, że boks amatorski był dawniej lepszy, że mieszane damsko-męskie gale są nieciekawe, że w pięściarstwie nie ma już prawdziwych charakterów i że nikt już o tym nie pisze w gazetach. Börje poczuł nagle niechęć, ciągle ta sama gadka. Kurka siwa, alem się postarzał, pomyślał.

– No, powinno być więcej takich chłopaków jak my w dawnych czasach – odezwał się Taggen. – Pamiętasz, jak jeździliśmy za granicę i walczyliśmy z Finami?

– Chyba cię pojechało, synu – wystękał Borówkowy Król. – Zamknij ryja, tłusty wieprzu. „Jak my w dawnych czasach”! Z ciebie przecież nigdy nic nie było! Kto cię, kurwa, pamięta? Piździana skóra na rękach.

Nastąpiła cisza.

– Miałeś jakąś sprawę – zwrócił się ponownie do Börjego.

Zaczynał mieć dość. Audyencja za chwilę dobiegnie końca.

– Tak. Nie wiem tylko, jak to wyrazić. Mój tato został znaleziony w zamrażarce u Henry’ego Pekkariego, zastrzelony. Miałeś z tym coś do czynienia, Frans? Czy to ty...?

– Twój ojciec mnie okradł. Zabrał ponad czterdzieści tysięcy. To było dużo pieniędzy w tamtych czasach. Takich rzeczy nie robi się bezkarnie.

– Jest, jak jest – odezwał się spokojnie Sven Erik. – Ale mógłbyś opowiedzieć, jak do tego doszło? Tak żeby Börje miał jasność. To żadna sprawa sądowa, już dawno uległa przedaw-

nieniu.

Borówkowy Król wygładził kołdrę skruszałą dłonią.

– Raimo zrobił dla mnie rundkę. Naszym formem taunusem, pamiętasz go?

Ostatnie słowa skierował do syna.

– Jasne. Auto...

– Tak było w tych czasach – kontynuował starzec. – Prosto. Pieniądze w plastikowych reklamówkach z kartką, na której napisane było, od kogo są. Ale kiedy je przejrzałem i miałem zacząć liczyć, zobaczyłem, że w jednej torbie jest tylko papier toaletowy. Cóż, to było zwykłe rutynowe działanie. Pogadaliśmy z tym, który zostawił reklamówkę. A on się upierał, że pieniądze oddał. Kluczyki od samochodu miałem tylko ja i twój ojciec. I ostatnio prowadził go twój ojciec. Więc... – Przerwał i odchrząknął. – Tonia!

Dziewczyna w fotelu podniosła wzrok. Starzec wskazał na stojący przy łóżku kartonik z sokiem. Wsunęła stopy w leżące obok buty na wysokim obcasie, podreptała do wezglowia, odczepiła słomkę, wbiła ją w zaplombowany otwór i podała Królowi do picia; nie zmieniła wyrazu twarzy, kiedy jego ręka pieściła ją po pupie. Wróciła do fotela i telefonu.

Sven Erik przyglądał się temu z mieszkanką bezsilności i odrazy. Ile ona ma lat? Piętnaście? Dwadzieścia? I co tutaj robi?

– Pojechaliśmy po niego – mówił dalej Borówkowy Król.

– Pojechaliśmy? Kto? – dociekał policjant.

Chciał wziąć tę dziewczynę za rękę i jak najszybciej ją stąd wyprowadzić.

– Ja i dwójka z moich chłopaków. Mauri Kaatari i Toivo Lahti. Od dawna nie żyją. Pojechaliśmy do Henry’ego, żeby porozmawiać. Mieszkał niedaleko na tej wyspie. Henry bywał w klubie, jak przyjeżdżał do Kiruny, więc się znaleźliśmy.

– I co się stało?

– Cóż, Raimo zaprzeczał. A potem zaczął się stawiać i grozić, no i go ściałem.

Sven Erik gładził wąsa.

– Skąd miałeś broń?

– A żebym ja to, kurwa, pamiętał. Pewnie miał ją któryś z chłopaków. To nie był mój pistolet. Nie zamierzałem posłać Raima do piachu. A teraz spadajcie, mam ciekawsze rzeczy do roboty.

Otaksował Tonię wzrokiem od góry do dołu.

Rosjanie wskazali głowami wyjście. Koniec wizyty.

– *How old is she, Tonia?* – spytał policjant w drodze do drzwi wyjściowych.

– *Nineteen* – odpowiedział jeden z Rosjan. – *She has passport. Nothing illegal here.*

– Ja cię smolę – powiedział Sven Erik, gdy usiedli w samochodzie i ruszyli w kierunku miasta.

Pomyślał, że to coś w rodzaju równoległego wszechświata. Podczas gdy on odśnieża poletko pod ziemniaki, czyta gazetę i głaszcze koty, pozostali żyją w zupełnie innym świecie, pełnym zawodowych przestępców, broni i przemocy wobec kobiet.

Taggen i Börje milczeli.

Börje przyglądał się spadającym na przednią szybę i topniejącym na niej płatkom śniegu. A więc to koniec. Teraz już wiedział.

Nie czuł żadnej potrzeby unicestwienia Borówkowego Króla. Prawie nic z niego nie zostało. A nawet gdyby... Raz już zabił człowieka. I to wystarczy.

Październik 1974

Jim Jones leży w szpitalu trzy dni. A potem umiera z powodu wylewu krwi do mózgu. Od któregoś z bokserów w siłowni Börje dowiaduje się, że wdowy nie stać na zapłacenie rachunku w szpitalu. Ma troje dzieci, żadnej pracy i żadnego męża.

Pismaki rozpisują się o meczu śmierci. Donoszą, że wprawdzie boks to niebezpieczny sport, ale bardziej niebezpieczna dla Amerykanina jest codzienna podróż do pracy samochodem, a przecież nikt nie zabrania motoryzacji. I każdy pięściarz wie, w co się wdaje, wchodząc na ring. Wszyscy wyrażają nadzieję, że Börje Ström otrząśnie się po wypadku i podaży wytyczoną drogą kariery ku tytułowi mistrza świata w wadze półciężkiej.

Börje odmawia wywiadów. Spotyka się z Big Benem i prosi go o pomoc wdowie w opłaceniu kosztów leczenia Jima Jonesa.

Menadżerowi niemal wypada cygaro z ust.

– Czyś ty rozum stracił? – wykrzykuje. – Dlaczego miałbym to zrobić?

– Ponieważ możesz. Ponieważ stać cię na to. A rodzina Jonesa nie ma pieniędzy.

– Nigdy w życiu! Jaki sygnał byśmy wtedy wysłali? Że jesteśmy winni jego śmierci, że ty jesteś winien. Wygrałeś! Zrobiłeś kawał dobrej roboty na ringu i wygrałeś.

– W takim razie sam chcę zapłacić ten rachunek. Przez ostatni rok wprowadziłem do kasy mnóstwo pieniędzy i teraz chcę trochę wybrać.

Big Ben osuwa się w fotelu za swoim gigantycznym biurkiem. Jest tak komicznie mały, że Börje musi się powstrzymać od śmiechu. Ale twarz menadżera zamienia się w czysty beton. Prztyka palcami i sekretarka, która zdaje się czytać w jego myślach, wychodzi z gabinetu tak szybko, na ile pozwala jej obcisła spódnica. Po minucie wraca z segregatorem, oznaczonym imieniem boksera.

– Tutaj! – oznajmia Big Ben, otwierając z hukiem segregator. – Tutaj masz wszystko wyliczone, aż do dzisiaj. Twoja część gaży w jednej kolumnie, a moje koszty w drugiej.

Börje przelatuje wzrokiem cyfry; koszty treningu, ubrań, korzystania z siłowni, mnóstwo dodatkowych opłat za mecze, nigdy wcześniej o tych opłatach nie słyszał; podróże, obiady, czynsz za mieszkanie, koszty samochodu...

– Przecież nie mam żadnego samochodu – protestuje bez przekonania.

– Ależ oczywiście, że masz – odpowiada menadżer, próbując wskrzesić życie w cygarze.

– Jeśli zdecydowałeś, żeby z niego nie korzystać, to już twoja sprawa.

Wskazuje odpowiednią kolumnę, gdzie zanotowano, że Börje wynajmuje ramblera amerykańskiego. Börje zauważa w myślach, że to pierońsko duży wydatek, jak na taki kiepski pojazd z silnikiem jak w maszynie do szycia.

– Ale to przecież nie ja...

– Nie ja co? Nie ty ponosisz te koszty? Wszystko jest napisane w umowie. Posiadam cię, rozumiesz?

Börje nie jest orłem w papierkowych sprawach, ale cyfry w kolumnach mówią same za siebie. Wisi menadżerowi prawie dziesięć tysięcy dolarów.

Ale ni stąd, ni zowąd Big Ben wybucha śmiechem.

– Spokojnie chłopcze. Wkrótce spłacisz ten dług. I jeszcze więcej zarobisz. W grudniu masz dwie walki, w styczniu jedną i jeszcze przed czerwcem przyszłego roku czeka cię mecz o pas mistrza. A potem możesz sobie sprawić dom z basenem. I dziewczynę, której nałożysz na palec porządny kamień. Prasa kocha takie rzeczy.

Garnitury również rechocą, jak gdyby miały wmontowane w plecy przyciski z napisem *włącz*.

– Masz dobre serce – kontynuuje Big Ben – i to jest jak najbardziej w porządku. Ale ja mam w głowie tylko biznes. W ten sposób osiągnąłem szczyt i w ten sposób doprowadzę na

szczyt ciebie.

Przez kolejne noce Börje śni o swoim udziale w Battle Royal. Właściciele plantacji w południowych stanach zapoczątkowali tę krwawą rozrywkę, sflaczając niewolników i nakazując im walczyć ze sobą tak długo, aż tylko jeden zdołał utrzymać się na nogach. Od czterech do trzydziestu mężczyzn, niemal wyłącznie czarnoskórych, tłukło się nawzajem do utraty przytomności; często z przewiazanymi oczyma, bili na oślep. Na zwycięzcę spadał deszcz pieniędzy.

Śni o tym, że zostaje wciągnięty na ring, choć krzyczy: *It's a mistake!*, to pomyłka! Budzi się zlany potem. W głowie ma obraz mężczyzn, którzy powaleni, leżą jeden na drugim z dygoczącymi jak ryby nogami. We śnie ma usta pełne krwi. A wokół szyi żelazną obrozę niczym uwięziony na łańcuchu pies.

Battle Royal trwały do lat trzydziestych, o tym wie.

One trwają dalej, myśli.

Sąsiad wali w ścianę i wrzeszczy: *Quiet!* Rozlega się płacz dziecka. Börje najprawdopodobniej krzyczał przez sen.

ANNA MARIA MELLA jechała w stronę domku Tommy'ego Rantakyrö. Mimo że wycieraczki chodziły na najwyższych obrotach, śnieg przyklejał się do przedniej szyby. Była zmuszona wysiąść z samochodu i przetrzeć ją rękami. Ostatni kawałek jechała w żółwym tempie, z nadzieją, że nie będzie musiała wyprzedzać jakiegoś tira jadącego z Narviku. Toyota Tommy'ego stała w odśnieżonej zatoczce, tak jak to opisał. Wcisnęła się z tyłu, może zbyt blisko szosy, ale przecież nie miała tu zabawić dłużej. Żeby tylko ktoś nie wjechał w samochód z powodu złej widoczności. Auto było już całe w śniegu.

Spróbowała zadzwonić do Tommy'ego, ale nie odebrał.

Chatka znajdowała się niedaleko od drogi. Ciągłe były widoczne jego ślady, niewielkie zagłębienia w śniegu.

Policjantka zamknęła auto i owinęła się szalikiem aż po oczy. Szła wzdłuż śladów, wkrótce miały zniknąć, zasypane. Buty od razu jej przemokły. Obiecała sobie, że kupi porządne traperki, które zawsze będą leżały w bagażniku.

Wiatr przybrał na sile, kiedy przechodziła przez bezdrzewne mokradło. Mokre płatki wiskały się do oczu, na czapce powstała śnieżna skorupa. Ale przynajmniej nie marzła, ponieważ tak ciężko było brnąć do przodu.

Naprawdę nie miała długiej drogi. Niecały kilometr, może jeszcze mniej. A mimo to szła ponad dwadzieścia minut.

Domek był jedną z tych brunatnych sportowych chatek z lat sześćdziesiątych. Po jednej stronie utworzyła się zaspą sięgająca aż do parapetu. Mella obejrzała się za siebie, nie powinna mieć problemu ze znalezieniem drogi powrotnej, choćby w najgorszej zamieci. Byleby tylko mogła wyjechać samochodem z zatoczki.

– Tommy! – wołała, podchodząc bliżej, ale słowa rozplynęły się na wietrze.

Kiedy sięgnęła po klamkę, otworzył drzwi od wewnątrz. Wzdrygnęła się, zaskoczona.

– Ależ mi napędziłeś pietra – wydyszała. – Co ci jest?

Płakał. Nigdy go nie widziała we łzach. Był w totalnej rozsypce. Tłuste, zmierzwione włosy. Smarki lejące się z nosa jak u malucha. Opatulony nylonową kołdrą, choć miał na sobie kurtkę.

– Anno Mario – powiedział tylko.

Wyciągnął ku niej rękę, jakby chciał ją uścisnąć, ale zaraz je opuścił. Przykrycie zsunęło się z ramion na próg.

Mella wepchnęła go do środka, podniosła kołdrę i zatrzasnęła drzwi.

Umeblowanie było skromne. Piętrowe łóżko. Dwa krzesła przy stole z klapą. Wiatr napie-

rał na cienkie ściany.

– Nie napaliłeś? Co się stało? Coś z Millą? Będzie miała dziecko ze swoim nowym chłopakiem?

– Nie. Nie!

Opadł na dolne posłanie. Łokcie wbił w kolana.

– Dałem płamę, Anno Mario. Dałem, kurwa, jedną wielką płamę!

I ryknął płaczem. Rozdzierającym i nieutulonym. Nie dało się wydobyć z niego ani słowa.

Policjantka otworzyła szafkę pod zlewem. Znalazła butelkę jägermaistera i naląła likieru do dużej szklanki. Tommy najwyraźniej był już pijany, ale jakie to miało teraz znaczenie? Żeby tylko mógł dojść do samochodu.

– Pij – rozkazała. – Zawiozę cię potem do domu. Wypij to, a ja napalę w piecu.

Otworzyła szyber, wiatr zawył w kominie. Podpaliła kilka zmiętych w kulkę stron gazet i karton po müsli, żeby przepchać korek zimnego powietrza. Rozłupała na drzazgi kilka brzoźowych szczap, położyła je na palenisku. Zajął się momentalnie.

Usiadła na krześle.

– A teraz opowiedz. Nie mogę cały czas zgadywać. Jesteś uzależniony od gier?

Pokręcił głową.

– Jestem skończony – powiedział. – Wiesz, kiedy Milla mnie rzuciła... Zabawiałem się ostro w knajpach.

Owszem, wiedziała. Znow przypomniła sobie te ranki, kiedy przychodził do pracy pozieleniały na twarzy i pocił się jak torba skisłych śmieci.

– Byłem kiedyś w Ferrum. Grała tam akurat jakaś kapela. Byłem dość napruty, reszta towarzystwa poszła do domu. Zaczęła się do mnie dowalać dziewczyna. Miała pokój w hotelu. Myślałem, że to jakaś stewardesa albo coś, bo była zajebiście ładna.

Opróżnił szklankę. Płacz czał się w jego rwanym oddechu, ale opowieść była wyrazista.

– Nie przypuszczałem, że dam radę, byłem nieźle uchłany. Ale... No, dobra, nie musisz wiedzieć o wszystkich szczegółach. W każdym razie dobrze mi poszło. Ale potem nagle zażądała ode mnie pieniędzy. Odmówiłem oczywiście. Nic przecież nie... Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Ale gdy próbowałem wyjść, na korytarzu stało dwóch typów. To byli ci, których ty i Rebecka...

Poczuła przejmujące ją od środka zimno. Dołożyła dwa polana. Ciąg był porządny, kiedy tak wiało.

– *Shit!* – skomentowała.

– Właśnie tak. *Shit!* Oczywiście nie pozwolili mi odejść bez zapłaty. Powiedziałem, że nie mam pieniędzy. A oni: no to Swish^[28]. Samo to! Przelew na telefon. Wskazali na pokój. A tam stoi ta dziewczyna i tylko: *You fuck, you pay*. Dosyć głośno. A potem zaczyna krzyczeć, że zadzwoni na policję. A ja... No, wiesz, miałem w głowie trociny. I myślałem, że wtedy przyjdiesz ty albo Fredde, albo jakiś inny znajomy. To nie wchodziło w grę. No więc zrobiłem ten przelew na telefon.

– Noż kurwa, Tommy!

– Wiem!

Zakrył gwałtownie twarz obiema rękami.

– Wiesz, że nie jestem z tych najbardziej łebskich, Mella.

Zakiełkowała w niej pewna myśl. Rosła niczym czarne drzewo.

– Czy to była jedna z nich? Jedna z tych zamordowanych kobiet w Kurkkio?

– Może. Może ta ze zmasakrowaną twarzą. Była w każdym razie blondynką. I to moja

wina.

Anna Maria zastanawiała się nad czymś w rodzaju wspomagającego pytania. Ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Chciała tylko krzyżeć. Zaciśnięła szczękę, aż zabołały ją zęby.

– Tydzień później – kontynuował Tommy – te typy pojawiły się u mnie w domu. Zadzwonili do drzwi. Okazało się, że filmowali. Mieli zamontowane kamery w łazience i przy łóżku. Obejrzałem ten film. Jak zataczam się, wchodząc z nią do pokoju. Rzygałem do wanny, tego nawet nie pamiętam. No i jak się pieprzyliśmy. Widać było, jak wychodzę pierwszy raz, kiedy nie chciałem zapłacić. A potem jak wracam i płacę. Zapytali mnie: *Maybe we show this to your boss?* Powiedzieli, że mam ich uprzedzić o nalotach policji. Gdy chodzi o seks albo drągi.

Anna Maria nie mogła na niego patrzeć. Jej wzrok zatrzymywał się na bezsensownych rzeczach w izdebce, niewielkich kawałkach kory brzoźowej i kłaczkach kurzu przed piecem, zwinętej w rulon skóry renifera w kącie.

O Boże, myślała. Nie, nie.

– Mówili serio – opowiadał dalej Tommy. – Znów mnie odszukali. Zmusili mnie do przyjęcia telefonu.

– Miałeś telefon? Ich telefon?

Anna Maria wiedziała, o czym mowa. O drogich komórkach od niszowych producentów, z szyfowaniem, którego nawet najlepsi specje nie mogą złamać.

– Dzwonili i naciskali. Mówili, że zaczynają tracić cierpliwość. I takie rzeczy. No i miesiąc temu... Byłem w mieście, a grupa z obyczajówki z Luleå jadła obiad w Mommas. Wiesz, Anja Häggroth, z którą czasami łądowałem w łóżku.

– Ale ona jest mężatką – powiedziała Anna Maria i momentalnie poczuła się jak idiotka.

– Wiem przecież. Spotkaliśmy się potem, wypiliśmy po kieliszku i dalej już poszło samo. Powiedziała mi wtedy, że planują nalot na kilka osób, które sprzedają seks w kamperze. Mieli na nich oko.

– No tak – odezwała się cicho. – Informator Svena Erika powiedział, że kamper nie pojawił się ustalonego dnia. Na parking przy miasteczku z baraków.

– Pomyślałem, że zrobię tę rzecz. Tę jedną rzecz. To nie miało mieszać szyków wam, tylko zespołowi z Luleå. No i myślałem, że policja może ich przecież zgarnąć następnym razem. Przecież nie mogłem przewidzieć, że zawiozą je do Palosaari. I że ktoś porozjeżdża je skuterem. Co one tam w ogóle robiły? Jak myślisz, co tam się, kurwa, wydarzyło?

– Nie wiem.

Nie zamierzała mu relacjonować anonimowej rozmowy z przyjacielem Galiny Kirejewskiej. Nie teraz.

– I nie powiedzieli ci nic o...

– Nie! Nic mi nie mówią. Ale oczywiście wypytywali o śledztwo i...

– Co im powiedziałaś?

– Właściwie nic. Nic ważnego. Że Rebeka poprosiła Pohjanena, żeby jeszcze raz przejrzał protokół z sekcji zwłok. Że Henry Pekkari został zamordowany. To moja wina. Gdybym nie... To teraz by żyły.

– Gdzie jest ten telefon?

– Zostawiłem go w domu. Przestałem odpowiadać. Po tym, jak zobaczyliśmy tę... Galinę w Riksgränsen.

– O, nie, Tommy! Powiedziałeś im coś o niej? Powiedziałeś im, że tam pracuje?

Popatrzył na nią przerażony.

– Nie! Nigdy bym... Nie!

Skinęła głową. Mówił prawdę. Znała go. Ktoś inny mógł im dać cynk. Ktoś, kto po pracy

pojechał do żony i dzieci. Kristoffer Westman; ten, który nawrzeszczał na nią przez telefon. Albo ktoś inny.

– Musisz być cholernie rozczarowana...

Znów wybuchnął płaczem.

Anna Maria wyjrzała przez okno. Pogoda była ciągle paskudna. Drewno zaczynało się kończyć i płonęło jak pochodnie.

– Musimy się stąd ewakuować, dopóki to możliwe. Pojedziemy prosto do komendy. Przyjmę twoje zeznanie. Zaczniemy od tego. Krok po kroku.

Przysunęła się i objęła go ramionami.

– Wpakowałaś się w niezłe gówno. Ale jakoś to rozwiążemy. I cały czas będę przy tobie, okej?

Można zmienić pracę, myślała. Można żyć innym życiem. Jest młody. Wykaraska się.

Tommy szukał ustami jej twarzy, przycisnął je do jej warg w niezdarnej próbie pocałunku. Odepchnęła go.

– Daj spokój! – fuknęła.

– Przepraszam – wyjęczał. – Jestem całkiem...

Wyjęła telefon i zadzwoniła do Roberta. Nie odpowiedział. Zadzwoniła więc do Jenny. Na nastolatkach można polegać, zawsze mają oko na swój smartfon. Ale ona też nie odebrała.

Odbierz teraz, ważne! napisała do niej i zatelefonowała jeszcze raz. Córka odpowiedziała po piątym sygnale.

– Mam nadzieję, że to naprawdę ważne, bo teraz mam matkę.

– Cześć, kochanie. Nie chcę cię niepokoić, ale mogłabyś skontaktować się z tatą i powiedzieć mu, że jestem w chatce Tommy’ego Rantakyrö przy Tiansbäcken? Zaparkowałam przy drodze. Jeśli nie wrócę do domu, to dlatego, że nie udało mi się wyjechać. Usiądziemy wtedy w aucie i będziemy na niego czekać. Powiedz mu, żeby po nas przyjechał. Jestem razem z Tommym, więc spoko. Ale powiedz tacie, okej? Poczekaj...

Anna Maria nadstawiła ucha. Jakiś chrzęst za drzwiami? Nie, to tylko wiatr. Pod jego naporem domek skrzypiał i trzeszczał.

W tej samej chwili klamka się poruszyła i otworzyły się drzwi. Dwóch osiłków, których Anna Maria i Rebeka spotkały u Borówkowego Króla, weszło do środka. Towarzyszący im wiatr wniósł tuman śniegu. Mężczyźni byli pokryci białym puchem, ale poznała ich od razu.

Spojrzeli na Tommy’ego. Potem na Annę Marię. Też ją poznali. W ułamku sekundy zrozumieli, że Tommy jej wszystko zdradził.

Jeden z nich zrobił dwa szybkie kroki w przód. I nagle trzymał w ręce broń. Mózg Anny Marii nie potrafił pojąć, jak ten pistolet tam się znalazł.

Tommy krzyczał. Ona sama nawet nie zdążyła wciągnąć powietrza. Huk. I ciało kolegi padające bezwładnie na łóżko.

Zdążyła jeszcze pomyśleć: jeśli sekcja zwłok wykaże ślinę Tommy’ego na moich ustach, to co Robert będzie sobie wyobrażał?

Więcej nie zdążyła. Druga kula przeszła jej głowę.

Córka Anny Marii wyszła na korytarz, żeby porozmawiać z mamą. Kiedy usłyszała krzyk i dwa strzały, wzdrygnęła się tak mocno, że upuściła telefon. Ten odbił się od podłogi i wylądował pod kaloryferem.

Jenny rzuciła się, by go schwycić. Uderzyła głową o grzejnik. Ekran popękał i szerniał.

Korytarz był pusty, prawie wszyscy skończyli już lekcje. W pozycji na czworakach próbowała włączyć telefon, lecz ten, ciągle czarny, wydał z siebie tylko jakiś pomruk.

– Mamo! – wołała. – Mamusiu!

Matematyczka otworzyła drzwi klasy.

– Jenny?

Jenny poczuła, że z nasady nosa leje się krew. Musiała sobie rozbić czoło. W wyciągniętej ku nauczycielce ręce trzymała telefon, jak gdyby to była zagrażająca życiu bomba zegarowa. A coś w jej wnętrzu zaczęło się sypać i zapadać niczym osuwisko.

– Moja mama – wyszeptała ledwie słyszalnym głosem.

Podniosła się na chwiejnych nogach, świadoma, że musi zachować rozsądek. Nie może dopuścić strachu do głosu. Wszystko po kolei. Teraz spokój. Panika później.

– Stało się coś okropnego. Musi mi pani... Pomóc. Zadzwoń na sto dwanaście.

– Jadłeś coś dzisiaj?

Techniczka sekcyjna Anna Granlund wsunęła głowę do jadalni, gdzie na skosmaconej sofie siedział Lars Pohjanen. Przyglądał się zniechęcony swojemu telefonowi.

– Jadłem, jadłem – wycharczał i machnął zniecierpliwiony ręką.

– Przecież wiem, że to nieprawda – odparła stanowczo. – Zamykam nasz kram. Wszystko pozmywane i na swoim miejscu. Słuchaj! Albo teraz coś zjesz, albo za chwilę zadzwonię do twojej żony.

– Okej, to daj mi coś – odpowiedział poirytowany. – I nie dzwoń do żony. Ostatnio kazała mi oglądać próbki materiału na firanki.

– Dobrze by ci to zrobiło – powiedziała, otwierając niewielką lodówkę. – Nie można oglądać tylko guzów nowotworowych i roztrzaskanych czaszek.

Postawiła przed nim na stole wafle w czekoladzie i karton soku.

– Jedź do domu – poprosiła. – Zamówić ci taksówkę?

– Popatrz, jem przecież – odparł i odchrząknął. – Chodź. Posiedź trochę ze mną.

Otworzył opakowanie, oderwał kawałek wafła i włożył do ust.

Anna Granlund usiadła obok i ściągnęła kurtkę.

– Rozmawiałem przed chwilą z Börjem Strömem. Byli u Borówkowego Króla, Fransa Mäkiego. A ten powiedział prosto z mostu, że to on kropnął jego ojca.

– Boże drogi! Dlatego że...?

– Podejrzał Raima o kradzież pieniędzy. I może faktycznie ten mu coś podwędził.

Pohjanen oparł się wygodnie na sofie. Potok słów i wafel sprawiły, że musiał zaczerpnąć powietrza. Dostał ataku kaszlu. Anna Granlund czekała cierpliwie, aż mu przejdzie.

– W każdym razie dobrze – odezwała się – że mógł się dowiedzieć. Dobrze to zrobiłeś!

Pohjanen spojrział na nią udręczonym wzrokiem.

– Przynajmniej tyle – powiedział. – Wiesz, mój ojciec i matka Börjego byli kuzynami. A wujowie Börjego, Erkki, Daniel i Hilding, to zimne dranie. Bóg na ustach, szatan w sercu. Hilding udzielał się nawet jako kaznodzieja. Wziął chłopaka do siebie do domu, gdy Börje miał czternaście lat, żeby go, jak to się mówiło, okrzesać. To się nie mogło dobrze skończyć. Coś się tego lata wydarzyło...

Odkasłał w chusteczkę, wypił łyk soku i mówił dalej.

– Matka Börjego miała chatkę. Bracia podzielili się lasem i gospodarstwem. Ona dostała w spadku tylko tę chatynkę. Piękne miejsce, nie chatka sama w sobie, ale las dookoła. Ale latem sześćdziesiątego szóstego wujowie wycięli las. Calusieńki, nie zostawili nawet patyczka. Totalne spustoszenie. Mama Börjego nigdy już tam nie pojechała. Za każdym razem, gdy odwiedzała rodziców, tylko płakała.

– Ożeż ty! – wykrzyknęła Anna z emfazą.

– A mój ojciec nigdy o tym nie wspomniał ani słowem. Żył w zgodzie z Hildingiem, Erkkiem i Danielem. Ja też nic nigdy nie powiedziałem.

– Byłeś dzieckiem...

– Miałem siedemnaście lat! I język w gębie. W tym zawodzie zawsze najbardziej odrzucają mnie sytuacje, kiedy dostajemy kobiety i dzieci. Bo człowiek wie, że sąsiedzi, koledzy w pracy... dorośli ludzie wiedzieli, co się działo. Ale trzymali mordy na kłódkę. Nie ma nic gorszego niż trzęsidupy, które ze wszystkimi się zgadzają i nigdy nie wypowiedzą własnego zdania.

– Słuchaj no ty – odparła ostro Anna. – W porywach to z ciebie cholerny upierdliwiec. Ale nie jesteś trzęsidupą!

Uśmiechnął się do niej zmęczony.

– Dziękuję. Dziękuję, Anno.

– Teraz to mi napędziłeś strachu – próbowała żartować. – Proszę, opiernicz mnie, tak że bym znów poczuła, że jesteś sobą. Dawaj! Podrzucę cię do domu.

– Nie. Zamów mi taksówkę za jakąś godzinę. Muszę się zebrać do kupy.

Spełniła jego życzenie i pojechała do domu. Była bezdzietną singielką, jej pracę wypełniała śmierć, ale dwupokojowe mieszkanie Anny tętniło życiem. Ze wszystkimi roślinami przywodziło na myśl dżunglę. Miała ogromne akwaria, dwa króliki w obszernej klatce i cztery kankary.

Pohjanen położył się na sofie.

Właśnie tego chciałem, pomyślał. Chciałem pomóc Börjemu zyskać jasność. Teraz jestem gotowy. Teraz mogę sobie odpuścić.

Wyciągnął rękę po telefon. Pomyślał, że posłucha muzyki. Ale smartfon ze słuchawkami leżał wciąż na jego brzuchu.

Słyszał dźwięki w głowie. Odgłos wiosł zanurzanych w wodzie. Jest małym chłopcem, ma jakieś sześć lat. Ojciec wiosłuje, łódź sunie po rzece, mają wyciągnąć sieci. Późne słońce migocze w wodzie niczym rybia łuska. Brzęczą komary. Plusk wody, gdy wiosło przebija jej powierzchnię. Chrobot dulek. Lejące się i skapujące z pióra krople. Chlupotanie fal o reling. Po drugiej stronie rzeki, tęskniąc do wieczornego udoju, porykują krowy.

Pohjanen wciągnął z mozołem powietrze po raz ostatni. I podryfował w wieczny odpoczynek.

Personel karetki pogotowia oraz policjanci Fred Olsson i Karzan Tigris dotarli do chatki Tommy'ego Rantakyrö w piątek o 17.32. Śnieg sypał jak z wora, wiatr wiał z prędkością dwudziestu czterech metrów na sekundę. Karzan, wysunawszy się na czoło, przecierał drogę.

Zarówno Anna Maria, jak i Tommy zostali postrzeleni w głowę. Ciało Tommy'ego leżało na podłodze. Gałgankowy dywanik pod nim nabrał koloru krwi. W ręku policjanta leżał pistolet.

Lekarz pogotowia stwierdził zgon.

– To niemożliwe – powiedział Fred Olsson. – On tego nie mógł zrobić. To niemożliwe!

Anna Maria z raną postrzałową głowy i nieprzytomna, w niepojęty sposób zdradzała oznaki życia. Pielęgniarka zmierzyła ciśnienie krwi. Położywszy raną na plandecę, wspólnymi siłami wynieśli ją z chatki i przenieśli w zamieci do stojącej na szosie karetki.

Najlepiej byłoby przetransportować ją do Umeå, ale od miasta dzieliło ich sześćset kilometrów i przy takiej pogodzie nie wchodził w rachubę ani samolot, ani helikopter. Postanowiono przewieźć Annę Marię do szpitala w Gällivare, zaledwie sto trzydzieści kilometrów stąd. Zanim ruszyli, lekarz zaintubował ją i podłączył do przenośnego respiratora.

Siedząca za kierownicą karetki pielęgniarka prowadziła z niesamowitą wprawą. Znała drogę i jechała dziewięćdziesiątką mimo fatalnej widoczności i mnóstwa sypkiego śniegu pod kołami.

Osiem kilometrów na południe od Skaulo musieli się zatrzymać. Mieli przed sobą pięćsamochodowy korek. Pielęgniarka wyskoczyła z karetki, zapukała w szybę stojącego przed nimi

auta i dowiedziała się, że kawałek dalej ciężarówka przewożąca dłużycę wpadła w poślizg, przy-
czepa się wywróciła, a rozsypany ładunek zatarasował drogę.

Pięć minut później inna karetka opuściła szpital w Gällivare, żeby przejąć transport po
drugiej stronie miejsca wypadku.

Tętno Anny Marii zaczęło maleć, a ciśnienie rosnąć. Lekarz zbadał źrenice rannej, jedna
z nich była rozszerzona.

– Obrzęk mózgu – stwierdził. – Podajemy mannitol.

O 20.34 Anna Maria wjechała do szpitala w Gällivare. Po wykonaniu tomografii kompu-
terowej dokonano natychmiastowej interwencji chirurgicznej, żeby zmniejszyć ciśnienie we-
wnątrzczaszkowe.

Godzinę później zameć śnieżna przesunęła się na wschód i nastąpiła cisza.

Börje przyszedł do Ragnhild. Opowiedział o swojej wizycie u Borówkowego Króla.
O tym, że ów przyznał się do przedawnionego morderstwa. O psie bez uszu.

Villa leżała przed drzwiami balkonowymi w dużym pokoju. Drzwi były lekko uchylone
i przez szparę nawiewało trochę śniegu, który topniał na parkiecie.

– Za ciepło jej w mieszkaniu – powiedziała Ragnhild. – Przywykła do wolności na świe-
żym powietrzu. Co z tobą?

Trzymał łokcie na stole. Teraz zasłonił dłońmi oczy.

– Nie wiem. Czuję się tak...

Szukał odpowiedniego słowa, życzyłby sobie mieć ich więcej do wyboru. By móc opisać
tę mieszankę pustki i głębokiej niechęci do wszystkiego.

Przysunęła się z krzesłem i objęła go. Jego ramiona oploty się wokół niej. Pocałowała go
w skroń.

Wtedy zrodziło się w nim pożądanie. Odpowiedział pocałunkiem. Chwyił ją w ten
szczególny sposób.

– Teraz? – zapytała. – Jesteś pewien?

Skinął głową z pełną powagą.

Podniosła się więc i zaprowadziła go do sypialni.

Rozbierali się sami, on był pierwszy. Nie miał pod spodem slipów. Zaśmiała się.

– Wielu uprawiających sztuki walki i boks nie nosi gatków – wyjaśnił.

– Mężczyźni!

Co też przez to chciała powiedzieć?

Stanął za jej plecami i pomógł ściągnąć ostatnie części garderoby. Klękawszy, zsunął jej
figi, pocałował pupę. Wstał. Odpiął guziki. Spojrzał przez jej ramię na piersi, kiedy odpinała ha-
ftki biustonosza. Zadrżała.

Nie spieszyli się. Stała na podłodze, kiedy ściągał czerwone gumki z jej warkoczy, kiedy
je rozplatał. Podniósł jej włosy. Pocałował ją w ten dołeczek pod uszami, w kark.

Pocałował jej łopatki, ugniatał mięśnie, obły mniejszy i większy, zębaty przedni. Miała
szerokie plecy i mocne ramiona. Z tyłu można ją było wziąć za mężczyznę.

– Jak możesz być tak cholernie piękna? – szepnął. – Taka silna?

– Biegi narciarskie z ciężkim bagażem – odparła.

Podobało mu się to coś w rodzaju uśmiechu w jej głosie. Wlewało w niego błogość.

Jazda na nartach zapewniła jej też dobrze rozwinięte mięśnie pośladkowe wielkie.

– Zgrabny tyłek – powiedział głośno, przesuwając wewnętrzną, szorstką częścią dłoni po
pośladkach.

Te wszystkie lata z bandażowaniem rąk. Owijki zdzierały skórę. W końcu ta zamieniła się
w papier ścierny. Zmienił chropowatość wnętrza dłoni na miękkość opuszków palców. Przeciągał

nimi wzdłuż rowka między pośladkami w dół aż do kudłatego krzaczka.

Położyli się na boku, z twarzami zwróconymi ku sobie. Ucieszył się, że nie chciała wejść pod kołdrę.

– Pozwól mi tylko cię pooglądać – poprosił.

Ona też mu się przypatrywała. Był dumny ze swojego wzrodu. Członek równie imponujący i twardy jak w młodości. Nie potrzebował medykamentów.

Chłonąc ją oczyma z przodu, poczuł się prawie zaskoczony, jak bardzo jest kobieca. Wypukłość brzucha, miękkie piersi, chciał poczuć ich ciężar w swoich dłoniach. Długie kosmki okrywające łono, bardziej siwe niż ciemnobrązowe. Jakby zwisający z gałęzi porost. Jak gdyby uwolniła się z wiekowej masywnej sosny, czekała na niego niczym leśna istota.

Czuł wdzięczność, że była taka swobodna, bez wstydu, bez pytań o części ciała, które powinny być mniejsze, większe, bardziej jędrne. Była z pewnością przyzwyczajona do cielesności z racji swojego zawodu. On również.

Przylgnęli do siebie. Całowali się, pieścili. Chciał dotknąć każdego jej zakamarka.

Z wolna zwilgotniała.

– Człowiek nie ma już pięćdziesiątki – szepnęła.

Oddychała ciężko i pięknie. Nasłuchiwał uważnie, czasami oddechy stawały się płytkie i gwałtowne, gdy natrafiał na miejsce, którego dotykanie sprawiało jej szczególną rozkosz.

Całe szczęście, że nie mieli pięćdziesięciu lat, pomyślał. Dzięki Bogu, że spotkał ją dopiero teraz. Byli jak dwa pokryte bliznami rysie. Ciągłe jeszcze zwinne i mocne. Chętne do zabawy. Wiedziały, co jest lepsze od pogoni za orgazmem.

Nie spieszył się z niczym. Z jej brodawkami, z zagłębieniem łokci.

Wzięła go do ust, lecz wycofał się szybko. W przeciwnym razie doszedłby błyskawicznie, jak gimnazjalista.

Obrócił ją na brzuch. Położył się na niej całym ciężarem. Zrozumiał, że to jej się podoba. Że czuła się pod nim mała i utulona. Członek dotykał szczeliny między pośladkami. Gdy je wypięła do góry, poruszył się niczym ślepe zwierzątko, które obwąchuje, popycha, chce wejść do środka.

Podparła się ramieniem i energicznie przewróciła na plecy.

Członek ocierał się teraz o jej wzgórek.

Börje podniósł się nad nią, wsparty na rękach i kolanach. Objęła członek miękko, acz zdecydowanie. Jej dłoń była równie szorstka jak jego. Rozłożyła nogi. Wprowadziła go w siebie.

– Zachowaj ostrożność – powiedziała. – Gryzę.

– Gryź sobie – odparł Börje. – Myślisz, że się boję takiego kociaka jak ty?

Ich oczy zatopiły się w sobie nawzajem. Jej nogi niczym brzozywe żerdzie wokół jego talii. Jej ręka na jego mosznie, palce drugiej wdzierające się między jego pośladki.

Zaprosiła go do siebie. Coś w nim zadrżało. Poruszyła go jej seksualna moc. Mimo że już dawno temu stracił rachubę i nie wiedział, ile miał kobiet. Kiedy sięgał do głębi, niemal poczuł w gardle płacz. Ona była rzeką rozkoszy. Obmywającym go wybawieniem. Nie był zgubiony, nie całkiem. Jeszcze do uratowania.

A potem te filozoficzne wywody odpłynęły w siną dal.

Ona nie była z tych cichutkich. On też nie.

Potem weszli pod kołdrę. Leżeli, patrząc sobie w oczy. Głaskali się nawzajem, bardziej rozproszeni. On obserwował jej ogorzałą twarz, jej linie i plamki. Ona omiatała wzrokiem każdą jego bliznę, sfatygowane brwi, przetrąconą przegrodę nosa.

– Dlaczego przestałeś się boksować? Jeśli mogę zapytać.

– Możesz pytać mnie, o co chcesz.

Opowiedział jej o walce zakończonej śmiercią Jima Jonesa.

– A potem był mecz w Catskill Mountains. Czy chciałem, czy nie, wtedy nadszedł koniec.

Listopad 1974 – marzec 1975

Börje zmienił się po śmiertelnym meczu.

Big Ben twierdzi, że go posiada, ale Börje nie jest niewolnikiem, w każdym razie nie w ringu.

Muhammad Ali właśnie zniszczył Foremana w Zairze. Rozповідаł gazetom, że będzie „tańczyć, tańczyć”, ale w tajemnicy trenował trzymanie gardy w pozycji stojącej. Ali przybrał własne imię i walczył na swój własny sposób.

– Nie jestem żadnym Szwedzkim Wikingiem – mówi Börje do swojego trenera. – Gazety nadają nam te wszystkie przydomki, Bombowiec, Mały Morderca, Wściekły Pies, podoba im się ktoś, kto jest killerem, bestią, torpedą.

Paris przyznaje mu rację, pomrukując. Jest bardzo wcześnie, Börje odpuścił sobie i poranną przebieżkę, i śniadanie. Siłownia jest niemal pusta, trochę dalej sparinguje dwóch młodych pięściarzy.

– Przyparłem Jonesa do lin – mówi Börje. – Nie mógł odskoczyć.

– Wszyscy jesteście przyparci do lin – odpowiada Paris, drapiąc się po dłoniach i ramionach. – W ten lub inny sposób. Kocham to...

Jego ręka zatacza łuk w kierunku sparingujących młodzieńców.

– Ale tym, co się dzieje poza ringiem, kieruje szatan. Pieniądze, kontrakty, promotorzy, menadżerowie, którzy zawsze zwalczali każdą próbę organizowania się bokserów, oszustwa.

– Jak można to wytrzymać? – pyta Börje.

– A co innego można robić? Co innego ja mógłbym robić? Stać w porcie i czekać na jakąś fuchę? Zajmowałem się takimi dorywczymi pracami przez trzy lata po tym, jak pękło mi oko. A potem zaciągnęli mnie tutaj. Dziękuję Bogu za każdy spędzony tu dzień, za każdego boksera, którego mogę wyszkolić. Za to, że mój kręgosłup ciągle wytrzymuje, gdy pozwalam pięściarzom tłuc w łapy. Na całej reszcie można położyć lachę. Myślę tylko o boksie, oddycham boksem.

Na ringu wyższy chłopak porusza się wokół niższego. Ten niższy jest bez dwóch zdań lepszy, trzyma się swojego środka, pozwala drugiemu bić, ale robi uniki, zbiera ciosy na gardę, uderza, wyprowadza drugiego z równowagi.

– Czyli boks – mówi Börje. – Rano, w południe, wieczorem?

– Zdecydowanie! – odpowiada Paris i składa ręce jak do modlitwy, choć tak naprawdę ten gest ma tylko powstrzymać go od drapania się. – Można też trochę pomyśleć o kobitkach. W przerwach.

Börje myśli o boksie. Wraca na siłownię i trenuje jak zwykle, ale traktuje boks w inny sposób. I potrzebuje tylko jednego meczu, by prasa i publiczność zrozumiały jego metamorfozę.

Boksuje się bardziej miękko. Jakby przeciwnik był jego bratem, któremu nie chce zrobić krzywdy.

To bardziej niebezpieczny sposób walki, nie zakończyć jej zbyt wcześnie, raczej dać rywalowi chwilę do namysłu, jakby pytając: „Czego się nauczyłeś?”. Publiczność wygwizduje go w ostatnich rundach. Ludzie wykrzykują niezadowoleni, że zapłacili za prawdziwy boks.

Börje wygrywa na punkty, ale wie, że przegrywa.

W następnych tygodniach prasa rozwodzi się nad zdrowiem psychicznym Börjega Ströma. Pojawiają się głosy, że jest załamany po śmierci Jima Jonesa, że na pozór silny – w środku jest bardzo słaby. Niektórzy zastanawiają się, czy nie oddał się religijnym rozmyśla-

niom, inni – czy nie gardzi publicznością. Zadają pytanie, czy szwedzki pięściarz ma to, czego się od niego wymaga, i odpowiadają przecząco.

A Big Ben jest wściekły. Nie pozwoli mięczakowi stanąć do walki o tytuł mistrza, niech to sobie zapamięta.

Börje nie odpowiada. Ale wie, że na ringu jest sam. I to on tam decyduje. Na deskach, ogrodzeni linami, są tylko on i ten drugi pięściarz. Miejsce Big Bena jest za jego pieprzonym biurkiem.

Bierze udział jeszcze w dwóch meczach. Stosuje niezachwianie swój nowy sposób walki.

– Rozjuszylesz szefa – tłumaczy Paris. – Jest przyzwyczajony, że ludzie słuchają jego poleceń.

– Robię coś źle? Tak uważasz? Przecież wygrywam.

– O, chłopcze. Te trzy ostatnie mecze... Boksujesz się tak zajebiście pięknie, że chce się płakać. Ale publiczność tego nie rozumie. Oni chcą widowiska, brutalnych fajterów i krwi.

W marcu 1975 roku zapada decyzja o meczu w Catskill Mountains.

Börje nie ma żadnych złych przeczuc. W każdym razie nie przed przyjazdem na miejsce. A wtedy jest już za późno.

Po fakcie Börje zdaje sobie sprawę, że powinien był się domyślić, iż szykowała się jakaś chryja. Kiedy Big Ben przestał się awanturować, na pozór pogodzony z nowym stylem podopiecznego. Kiedy na dwa tygodnie przed meczem Paris nagle zniknął z „powodów rodzinnych” i zastąpił go inny trener. Już z samej nazwy Catskill Mountains powinien był załapać, że walka odbędzie się na dużej wysokości, że nie wystarczy przyjechać tam dzień wcześniej, że człowiek musi się zaadaptować do rozrzedzonego powietrza.

Przeciwnikiem jest leworęczny Meksykanin, José Luis Pérez. Ma niższe notowania niż Börje i jest od niego tylko rok starszy. Góruje nad nim wzrostem i potwornym zasięgiem. Mógłby też spokojnie przybrać na wadze i przejść do kolejnej kategorii.

Börje myśli, że to nie powinno być problemem. Nie ma jednak pojęcia, że Big Ben doszedł do porozumienia z menadżerem Péreza i że wkrótce ma go przejąć.

– Wymęcz go – radzi nowy trener. – Wystarczająco zmęczony zazwyczaj opuszcza gardę.

Börje już o tym wie. I nie lubi słuchać kogoś, kto go zupełnie nie zna. Wszyscy wokół niego są nowi. Przydzielono mu również nowego cutmana. Każdy z nich jest przesadnie przywilny i przekonany, że wygrana Börjego to czcza formalność. Börje stara się od tego odciąć.

Już w pierwszej rundzie czuje, że coś jest nie tak. Nie może złapać oddechu. Kiedy wybrzmiewa gong, siedzi w narożniku i próbuje znaleźć rytm. Wdech i wydech. Głęboki wdech, relaks i wydech. Ale gdy tylko zaczyna walczyć, znów brakuje mu tchu.

Nie udaje mu się utrzymać Péreza przed sobą, nie potrafi utrzymać się w środku. To Börje krąży wokół Meksykanina. I to go niebotycznie męczy. Mózg działa na zwolnionych obrotach, nogi wykonują krok w prawo zamiast w lewo i Pérez, poprawiając lewym, trafia w brew, która natychmiast zaczyna krwawić. Börje nie nadąża za ciosami rywala, uderzenia przybierają na sile.

Cutman zajmuje się rozcięciem łuku brwiowego, ale adrenalina ma kolor jasnych sików i z rany ciągle sączy się krew. Buteleczka była otwarta zdecydowanie za długo i jej zawartość jest przeterminowana. To dociera do Börjego dopiero po fakcie, ale jak to udowodnić?

W siódmej rundzie coraz trudniej mu utrzymać gardę. Meksykanin przypuszcza atak. Börje próbuje kontrolować, ale ma problemy z oddechem, kończy mu się paliwo. Lewa brew krwawi i zamazuje obraz, Börje musi odwracać głowę w złym kierunku.

Nie widzi ciosu, który go powala. Nawet tego później nie pamięta. Nagle uginają się pod nim nogi, podnosi się na dziewięć.

Pérez wygrywa na punkty.

– Chodzi o to, żeby się nie załamać – mówi nowy trener po pojedynku. – Czasami się przegrywa.

– Cholerny pech – dodaje ktoś inny i peroruje, że Meksykanin miał dobry dzień.

Börje nie mówi nic. Palce masażysty wciskają się głęboko w jego poturbowane mięśnie.

Dziennikarzom stojącym przed wyjściem oznajmia, że dziś był gorszy niż jego przeciwnik. To przecież prawda.

Wieczorem idą na kolację do restauracji. Pojawiają się wydekoltowane damy. Ktoś przekonuje go, żeby sobie strzelił piwo, wypija dwa.

Potem robi się wokół niego dość mgliście. Nie pamięta, że opuszczają restaurację, nie ma pojęcia, dokąd idą.

Po fakcie przypomina sobie fragment jakiegoś klubu. Dym z cygar, tańczące na scenie kobiety, lekko odziane dziewczyny podające drinki.

Budzi się nazajutrz po południu. Minie trochę czasu, zanim zrozumie, że leży we własnym łóżku w Hell's Kitchen. Jest chory jak umierające zwierzę. Obolałe po wczorajszej walce ciało jakby wywróciło się na nice, by pozbyć się wnętrza.

Dopiero wieczorem zobaczy, co napisano w gazetach. Zdjęcia pokazują, jak siedzi z dziewczynami na kolanach i butelką szampana w rękach.

Ustawiony mecz!

Tutaj świętuje porażkę!

Oszust Börje Ström nie żałował grosza po skandalicznym meczu!

– Byłem skończony – powiedział Börje i przeciągnął palcami po ustach Ragnhild. – Zgodnie z umową zostały mi jeszcze dwa lata z Big Benem, ale wylał mnie na poczekaniu. Obudziłem się następnego ranka jak zjawa. Nie miałem siłowni ani żadnych planowanych meczów, wyrzucili mnie z mieszkania bez grosza przy duszy. Wykluczyli mnie z walk z powodu oszustwa, twierdzili, że mecz został ustawiony. Big Ben miał wszędzie znajomości.

– Pamiętam, że pisano o tym również w Szwecji – wtrąciła Ragnhild. – Chociaż sport średnio mnie interesuje. A co było dalej?

– Uratowała mnie kobieta. Jedna z kelnerek w jadłodajni, gdzie przychodziłem na śniadanie, wzięła mnie pod swój dach. Łapałem fuchy w porcie, kładłem asfalt, robiłem na budowach.

Powieki Ragnhild zamknęły się kilka razy.

– Śpij – powiedział miękko. – Mamy dużo czasu na opowiedzenie naszych historii.

Zapadli w sen oboje. Ona pierwsza. On kilka minut po niej. Zdążył jeszcze napatrzeć się na jej jasne rzęsy i szerokie brwi. Była tak niepojęcie piękna.

Kiedy Ragnhild obudziła się godzinę później, Börje spał twardo obok niej. Doceniła fakt, że nie chrapie.

Na podłodze przy wezgielciu położyła się Villa.

– Cześć, kochanie – przywitała ją Ragnhild swoim najbardziej miękkim głosem.

Suka zastrzygła uszami i słuchała, bez czujności i niepokoju, tylko po prostu uważnie. Leżała na miejscu, bezpieczna, z nosem spoczywającym na łapach.

Na zewnątrz przestało śnieżyć. Całe miasto zaległo w ciszy i odpoczywało pod kołdrą, podobnie jak ona i Börje.

Zamknęła oczy, nie mogąc się nadziwić, jak bardzo się czuje spokojna.

To oczywiście oksytocyna i endorfiny. Twarde rzeczy. I dostępne bez recepty.

Obróciła się na bok, twarzą do Börjego. Chwyciła go za palec. Jak noworodek. I zasnęła ponownie.

Historia dwójki policjantów znalezionych w chatce położonej dziesięć kilometrów na północ od Kiruny przeciekła do mediów, zanim Anna Maria została przyjęta do szpitala w Gällivare.

Pięcioro kolegów z okręgu policyjnego Norrbotten wsiadło do samochodów i ruszyło z pomocą. Von Post zarządził poszukiwanie Rosjan i wysłano patrol do domu Borówkowego Króla. Nie znaleziono tam nikogo oprócz właściciela posiadłości i jego żony, która według swojego paszportu i ewidencji ludności nazywała się Maria Mäki. Znajdowała się tam również młoda kobieta, Tonia Litwinowicz.

Żonę i Tonię zawieziono do komendy w celu przesłuchania.

Żona zeznała, że dwóch Rosjan, którzy mieszkali u nich w domu, było lokatorami. Pokazała umowę w telefonie. Podpisali ją Jegor Babicki i Jurij Juszenkow. Czym się zajmowali? Tego nie wiedziała. Przypuszczała, że byli zatrudnieni przy budowie drogi na południe od miasta.

Policja przeszukała posiadłość. Lokatorzy mieszkali w przybudówce. Tyle że już raczej ich tam nie było. Oprócz dwóch łóżek bez materacy, dwóch krzeseł i niewielkiego stołu, na którym stała mikrofalówka, nie było tam kompletnie nic. Pomieszczenie ziało pustką. Karzan Tigris i kolega z Kalix zastanawiali się, co za ludzie chcieli mieszkać w takiej komórce bez okien.

Ślady stóp prowadziły do czegoś, co przypominało wygasłe ognisko z nocy Walpurgii. Wezwano techników, którzy w dalszym ciągu pracowali w chatce Tommy'ego i którzy po wstępnych oględzinach mogli stwierdzić, że wśród niedopalonych resztek znajdują się dwa materace, różne tekstylia i ciało psa. Zwierzę zostało zastrzelone.

Przebywająca w komendzie Maria Mäki oznajmiła, że na kolejne pytania będzie odpowiadać tylko w obecności adwokata. Chciała wrócić do domu. Zostawiła tam bowiem chorego męża, który wymaga nieustannej opieki.

Ponieważ nie było powodu, dla którego można by ją zatrzymać, pozwolono jej opuścić komendę w towarzystwie Toni, która podczas przesłuchania również nic nie potrafiła powiedzieć o lokatorach. Na pytanie, czy któryś z nich był jej chłopakiem albo czy uprawiała z nimi seks, albo wręcz w jakiś sposób dla nich pracowała, odparła, że to stare dziadki i nie w jej typie. Obecni w pokoju przesłuchań mężczyźni też nie są w jej typie.

Dwóch kolegów z Gällivare miało czuwać przy drodze. Policja chciała mieć oko na obie kobiety.

Komendę obległa grupka dziennikarzy. O wpół do dziesiątej wieczorem Carl von Post poprowadził króciutką konferencję prasową. Potwierdził, że dwójka policjantów została postrzelona; jedna z osób zmarła, stan drugiej zaś jest krytyczny. Nie odpowiedział na żadne inne pytania.

Dziesięć po jedenastej w piątkowy wieczór Smarkacz poderwał się z podłogi i zaczął szczekać jak opętany. Po chwili dało się słyszeć pukanie do drzwi wejściowych.

Odchyliwszy firankę w kuchni, Rebeka dojrzała stojący przed domem samochód von Posta.

Rany boskie, nie mam siły, pomyślała. Czegóż on chce?

Poczłapała na dół. Nie pierwszy raz zaszczycał ją swoją szlachetną osobą, żeby się awanturować. Ale może przyjechał tylko po papiery Pekkarich.

Chłopiec na posyłki, pomyślała z pogardą.

Niech sam pobiega po schodach i znieś kartony.

Lecz gdy otworzyła drzwi, zobaczyła Carla von Posta, jakiego nigdy wcześniej nie widziała. Wyglądał żałośnie. Spuchnięty pod oczami, blady jak zmurszały lód. Jakby chropowaty. W oczach rezygnacja i bezbronność.

Całe jego jestestwo obudziło w niej najgorsze przeczucia.

– Mogę wejść do środka? – zapytał.

– Po co?

– Nie słyszałaś? Próbowałem się do ciebie dodzwonić. Fred Olsson też. Wyłączyłaś tele-

fon.

– Tak, wyłączyłam go, żeby...

Wyłączyła go, żeby nie wchodzić na Instagram Marit Törmä. Żeby nie zaesemesować do Kristera i nie napisać mu, że jest dupkiem.

– Nieważne – dokończyła. – A co się stało?

Opowiedział, stojąc w wiosennym słońcu, które odbijało się w świeżym śniegu. Jego blade usta opisywały okropności trudne do wyobrażenia.

– Zaaranżowali to w ten sposób, że Tommy najpierw zabił ją, a potem siebie – zakończył.

– Włożyli mu w dłoń pistolet. Ale nie wiedzieli, że kiedy przyszli, Anna Maria rozmawiała ze swoją córką. Prawdopodobnie upuściła telefon i potem na niego upadła, więc go nie zauważyli.

– Jenny – powiedziała Rebeka.

– Tak, to potworne. A jednocześnie prawdziwy łut szczęścia. Według zeznań Jenny Anna Maria nagle przerwała, mówiąc: poczekaj, jak gdyby coś przykuło jej uwagę.

– Jak gdyby ktoś nadchodził – uzupełniła Rebeka. – Jakby słyszała kogoś za drzwiami.

– Coś w tym stylu. Potem usłyszała krzyk Tommy’ego. *Please, no* albo może tylko *no*, ja-koś tak. A potem dwa strzały. Później telefon wypadł jej z rąk i się roztrzaskał. Zachowała się nadzwyczaj przytomnie, trzeba przyznać. Wykapana matka.

Rebeka musiała zrobić coś odruchowo, uniosła brwi albo wyciągnęła szyję. To był absolutnie pierwszy raz, gdy usłyszała, jak von Post wyraża się z uznaniem o Annie Marii.

Zauważył ten ruch.

– Wiem. Erika, moja żona, mówi, że jestem świnią. I ma rację. Ona... – odchrząknął, żeby zapanować nad głosem – chce się rozwieść. Miałem kilka chujowych dni, Martinsson. – Twarz mu się zmarszczyła, usta drgały. – Ale mniejsza z tym. Teraz chodzi o Mellę. I o Tommy’ego... też.

– Anna Maria. Jak...

Głos jej się załamał. Uwiązł w gardle.

– Niewiele wiemy. Otworzyli czaszkę, żeby zmniejszyć ciśnienie, jest nieprzytomna. Jak poważne są jej obrażenia i czy przeżyje, tego nikt nie wie. Sądzę, że właśnie transportują ją do Umeå.

– A Tommy...

– Zmarł na miejscu.

– Nic nie rozumiem. Dlaczego?

– Muszę ci coś o nim opowiedzieć. Tylko nie wiem za bardzo, od czego zacząć.

Rebeka wytarła twarz wierzchnią stroną dłoni.

– Chodź na górę. Wyglądasz jak siedem nieszczęść. Kiedy ostatnio jadłeś?

Odgrzała golca z wczoraj. Podsmażone na żeliwnej patelni ziemniaki migdałowe poląła resztką sosu zrobionego przez Sopię. Von Post jadł, jakby to były lata wielkiego głodu. Smarkacz usadowił się pod stołem i zasnął jak zabity. Ostatnie dni były bardzo intensywne, zarówno dla dwunożnych, jak i dla czworonożnych. Prokurator przerywał od czasu do czasu jedzenie, by przyglądać się psu, którego łapy drżały we śnie, a on skomlał cichutko w swoim świecie marzeń, gdzie był królem Kurravaary, postrachem zajęcy i kochankiem suczek.

– Osoba kontaktowa w Luleå do spraw prostytutki i handlu ludźmi odezwała się do mnie w środę dwudziestego siódmego – powiedział von Post i wziął łyk bezalkoholowego piwa, które postawiła przed nim Rebeka. – Chodziło o nalot, który zaplanowali wcześniej w Kirunie, i o Tommy’ego Rantakyrö. Cholernie delikatna sprawa. Już jakiś czas temu dostali cynk, że w pobliżu baraków mieszkalnych w przemysłowej części miasta w kamperze sprzedaje się seks. Planowali akcję wieczorem siódmego kwietnia. Ale właśnie tego wieczoru kamper nie przyje-

chał. I od tego czasu zniknął bez śladu.

– Okej... Ale co do tego ma Tommy?

– Operacja była szczelna; tak tam pracują, autonomicznie. Nikt spoza zespołu nie miał o niej pojęcia. Ale komisarz Anja Häggroth powiedziała szefowi grupy, że spotkała Tommy'ego i wspomniała mu o planowanym nalocie. Najwyraźniej ona i Tommy spotykali się czasami i...

Zakończył niedwuznacznym gestem.

– Żartujesz.

– Niestety nie. Ponieważ kamper z dziewczynami zniknął, przypuszczano, że ktoś ich ostrzegł. Grupa wywiadowcza i śledczy pracowali ze sobą od dawna. Anja Häggroth podejrzewała Tommy'ego. Twierdziła, że był odklejony. Użyła właśnie tego słowa. Chcieli więc dostać zgodę na podsłuch jego telefonu. Kontrolę połączeń przychodzących i wychodzących.

– Cienkie.

– Tak, ale cholernie poważne.

– W czwartek dwudziestego ósmego dostałam jedną z twoich spraw, w trybie natychmiastowym. Czy to właśnie wtedy?

– Mhm, pojechałem do Luleå i podjąłem tajną decyzję o podsłuchu. Jak już wspomniałem, to była... wyjątkowo delikatna sprawa. A potem znaleziono martwe pracownice seksualne.

Rebeka poczuła, że musi wstać. Zebrała ze stołu naczynia i wypełniła wodą zlew. Włożyła zmarznięte dłonie do ciepłej, spienionej wody. Mózg lepiej pracował, kiedy miała zajęte ręce. Smarkacz, obudzwszy się, pomógł w zmywaniu wstępnym.

– Strasznie się wkurwiłam na ciebie, gdy zrzuciłeś na mnie tę rozprawę – wyznała. – Byłam przekonana, że pojechałeś na narty do Riksgränsen.

– Masz też z pewnością masę innych powodów do wkurwu – przyznał von Post. – Byli zmuszeni mnie w to wciągnąć. Gdyby Tommy...

– Jasne, rozumiem. Jeśli to on sypał, to ważne, żeby mieć kontrolę nad tym, co wie, a czego nie.

– Gdybym pozwolił zatrzymać Rosjan, kiedy Anna Maria mnie o to prosiła...

Ty się przynajmniej z nią nie biłeś na pożegnanie, pomyślała.

– No a Tommy? – zapytała. – Zadzwoił do kogoś po rozmowie z Anną Marią? Kto wiedział, że znajduje się w chatce?

Von Post pokręcił głową.

– Fred Olsson rozmawia z jego rodziną i kolegami. Czy ktoś o niego pytał.

– Ostatnimi czasy często był na zwolnieniu chorobowym – zastanawiała się głośno Rebeka. – Zdawał się taki jakiś rozedrgany, no, ale rzuciła go dziewczyna, wszyscy myśleli, że to dlatego. Prawdopodobnie miał się do dupy. Coś go niewątpliwie łączyło z tymi Rosjanami. I w końcu zadzwonił do Anny Marii, żeby jej o tym opowiedzieć. Ona jest dla wszystkich jak matka.

– Zgaduję, że wiedzieli, że Tommy siedzi w chatce, ale nie sądzili, że będzie tam też Anna Maria – powiedział von Post.

– Zgarnęliście ich?

– Nie. Pojechaliśmy do tego domu przy Esrange, ale zdążyli się ulotnić. Byli tylko Frans Mäki, ta młodziutka dziewczyna i jego żona Maria Mäki... Maria Berberowa, zanim wyszła za mąż. Wedle ewidencji ludności.

– Albo Elena Litowa.

– Mhm. Wysłałem pytanie co do Eleny Litowej, ale jedyne, czego się dowiedzieliśmy, to że wyjechała z kraju. Nie mamy nawet jej zdjęcia paszportowego.

– Wygląda na to, że ktoś zapłacił, żeby zatrzeć po sobie ślady.

– No i jak mamy czegokolwiek dowieść? Zarządziłem poszukiwanie tych mężczyzn. Dostaliśmy dwa nazwiska w trakcie przesłuchania żony Fransa Mäkiego, kimkolwiek ona jest.

Zajrzał do telefonu.

– Jegor Babicki i Jurij Juszenkow. Równie prawdopodobne jak to, że nazywają się Humle i Dumle. Po prostu zniknęli.

– Technicy? – zapytała Rebeka.

– Przeszukują chatkę z pincetą. Obserwujemy Marię Mäki. Koledzy z Gällivare siedzą w samochodzie na poboczu i mają ją śledzić, jeśli opuści dom. Stamtąd prowadzi tylko jedna droga, więc...

Von Post drapał Smarkacza za uszami; zaśmiał się, gdy pies w końcu nie mógł ustać na łapach, tak mu było dobrze.

– Zależało mi na tym, żeby przejąć śledztwo – powiedział nagle. – Z powodu Tommy’ego, jasne. Ale i bez tego chciałbym je prowadzić. Nie darzę cię szczególną sympatią.

– Ja też cię nie lubię. Chcesz deser?

Rebeka wygrzebała z jakiegoś zakamarka traperki taty i przeszli się po wsi ze Smarkaczem. Minęła północ. Chmury odpłynęły. Carl von Post skomentował różową poświatę nad horyzontem, jasnoniebieskie cienie i świeży śnieg, które razem wzięte spowijały zabudowania w dziewicze piękno. Wyciągnął komórkę i próbował je uwiecznić, gdy lekki podmuch wiatru sypnął srebrem śniegu.

– Wkrótce to wszystko stopnieje i zamieni się w błotnistą papkę – powiedziała Rebeka.

– Z ciebie to niezła śmieszka – odparł. – No. A co myślisz o powiązaniach między Borówkowym Królem a Ollem i Andersem Pekkarim? Jak cię znam, to zdążyłaś przejrzeć ich księgi rachunkowe.

– Półtora roku temu spółka Ollego i Andersa Pekkarich, Bergsäk AB, przyjęła nowego współwłaściciela – powiedziała, postanawiając naprędce, że nie przyzna się do pomocy, którą dostała od przyjaciółki. – Mieli problemy z płynnością finansową. A potem nagle zmienili styl.

Miesiąc później transakcja typu *sale lease back*, obejmująca wszystkie ciężkie maszyny. Zakup dwóch podmiotów gospodarczych w sektorze kopalnictwa. Obaj sprzedający zaraz po przekazaniu firm wyprowadzili się z miasta. Ogromny kapitał wypłynął z przedsiębiorstwa za granicę, zainwestowano w jakąś obcą spółkę kopalnianą, która może być czymkolwiek. Jednego zakupu nie pojmuję, drukarni. Aha! I spółka posiada biały kamper.

– No proszę.

– Ale to jeszcze niczego nie dowodzi.

– Tak, wiem – zgodził się von Post. – Ale powiedz, co sądzisz. Pieprzyć, co możemy udowodnić.

– Myślę, że było tak: Elena Litowa dysponuje górą pieniędzy, które są jej udziałem po kradzieży tożsamości tej belgijskiej firmy. Ma dostęp do sieci ekonomicznej, która umożliwia transakcje pieniężne w wystarczająco wielu etapach, by znalazły się poza zasięgiem systemu prawa. Wychodzi za mąż za właściciela staczającej się, szemranej firmy.

– Borówkowego Króla. Fransa Mäkiego.

– Właśnie tak. Zaczepia się w mieście. Kolejny krok to przejęcie kontroli nad jakimś powszechnie uznanym i szanowanym przedsiębiorstwem.

– Bergsäk AB należący do Pekkarich – uzupełnił von Post.

– Nie inaczej. Dzięki temu może kupić więcej spółek. Sprawia sobie też kapitał prze-mocy, tych dwóch osiłków. A potem zaczyna obrabiać rynek; za pomocą szantażu i gróźb uzyskuje dostęp do kluczowych osób wśród zamawiających, czyli w LKAB i w gminie. Reszta to już dziecinna igraszka: jeden po drugim zgarnia kontrakty na budowę różnych obiektów i instalacji.

Za dziesięć, dwadzieścia lat, kiedy mosty się zawalą, tunele będą wymagały wzmocnienia, a szosy totalnej przeróbki, kiedy dachy się zapadną, a budynki pokryją grzybem, wtedy spółki już dawno nie będą istniały, bo albo ulegną likwidacji, albo zbankrutują, a pieniądze ulotnią się za granicę w tak wielu turach, że nie sposób będzie ich wyśledzić, a tym bardziej wyegzekwować. Rachunek zapłacą podatnicy.

– Ewentualnie można pociągnąć do odpowiedzialności karnej urzędników i osoby ze strony zamawiającej.

– Tyle że tego się prawie nigdy nie robi! Oszustwa w branży budowlanej kosztują szwedzkie społeczeństwo ponad sto miliardów rocznie. Rzadko się o tym mówi w mediach, ponieważ odpowiedzialni za podejmowanie decyzji boją się o swoje stołki. Nie zgłasza się tego policji, nie wszczyna się dochodzeń. A nawet jeśli ktoś pójdzie z tym dalej, to najczęściej sprawa ulega umorzeniu. Trudno bowiem czegoś dowiedzieć. Myślę, że właśnie coś takiego teraz się tu rozkręca. Humle i Dumle dodatkowo przejęli handel narkotykami i prostytutką. I z pewnością nie chcą z tej działalności zrezygnować, skoro już się zdomowili w mieście. Pamiętasz firmę Ohlsona, Maskin och Entreprenad AB?

– Nie.

– Wartość całego przedsiębiorstwa, szacowaną na ponad dziesięć milionów, stanowiły głównie maszyny: wózki transportu wewnętrznego, ładowarki, tego typu rzeczy. Nowy nabywca był spółką inwestycyjną. Wszystkie maszyny i urządzenia zostały sprzedane i wywiezione z kraju. Spółka nie odprowadziła żadnego podatku od zysków kapitałowych. Kiedy upłynęło trochę wody i zainteresował się tym urząd podatkowy, pieniędzy już nie było. Holenderska spółka inwestycyjna została zlikwidowana, właściciel okazał się figurantem. Urząd podatkowy zawiadomił nas o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, ale umorzyłam tę sprawę. Pod adresem firmy właściciela w Amsterdamie zarejestrowano około trzydziestu innych spółek, ale w rzeczywistości nic tam nie było, oprócz opustoszałej hali fabrycznej. Figurantem według holenderskiej policji był jakiś żałosny gość sypiający na ławce w parku. Były szef i właściciel w Kirunie twierdził, że sprzedając firmę, działał w dobrej wierze, i niewykluczone, że tak było. Ale nie znalazłam ani jednej osoby, którą dałoby się pociągnąć do odpowiedzialności karnej. I cały czas miałam wrażenie, że on... – przerwała, szukając odpowiedniego słowa – że on się boi. Ludzie zazwyczaj mają pietra, kiedy do drzwi puka policjant, ale on bał się nie tylko nas. Takie odniosłam wrażenie.

– Aha, to znaczy, że istnieje jakieś powiązanie z Litwą albo z Bergsäk AB?

– Niekoniecznie, ale aż korci, żeby sprawdzić, nie?

Zatrzymali się przed szarym eternitowym domem Rebeki. Jego właścicielka przyglądała się koledze, który droczył się ze Smarkaczem. Pies nurkował w śnieżnym puchu, zawracał w miejscu i śmigał z powrotem jak szalony. Von Post wołał: „Teraz cię mam!” i podrzucał śnieg, który Smarkacz łapał w powietrzu.

– Sprawdziłam Bergsäk AB w ewidencji spółek – powiedziała. – W zarządzie pojawił się nowy członek, niejaki John Berg, zamieszkały w Fortalezii, w Brazylii.

– I co o tym sądzisz?

– To nie są wesołe sprawy – odparła Rebeka. – Napijmy się whisky? Nie mogę przestać myśleć o Annie Marii, za chwilę zwariuję.

– Nie, co ty, przecież prowadzę – podziękował, spoglądając na zegarek. – Pojadę do hotelu.

– Możesz przenocować u mnie – zaproponowała ku swojemu zdziwieniu. – To znaczy, w mieszkaniu po moim tacie, na parterze. Stoi puste.

Von Post nie odrywał od niej wzroku.

– O co tu chodzi, Martinsson? Przecież mnie nie cierpisz.

– No. Chyba o Annę Marię. Bo, kurza dupa, jakie te nasze przewalanki mają teraz znaczenie?

Rebeka napaliła w piecu kuchennym i wyciągnęła whisky. Tręcili się szklaneczkami i wychylili do dna. Polala jeszcze raz.

– Jestem pewna na sto procent, że firmie Bergsäk AB skradziono tożsamość. Czasami oszuści działają szybko. Zaciągają horrendalne pożyczki, opróżniają aktywa i znikają. Można to zrobić w ciągu pół roku. Ale myślę, że ci tutaj ze względu na specyficzną sytuację Kiruny mają bardziej dalekosiężny plan.

– Stara Kiruna idzie do rozbiórki, nowa się buduje, czyli nieograniczone ilości projektów i kontraktów – uzupełnił von Post.

– Oczywiście. Mówimy o sumach idących w miliardy. I wszystkie budowy są pilne. Kiruna to perfekcyjna żywicielka tłustego pasożyta.

– A do tego cały sektor kopalniany! – dorzucił prokurator.

– Jasne. Jeśli LKAB zleci niebezpieczne prace podwykonawcom, żeby uwolnić się od odpowiedzialności... I jeśli firmy podwykonawcze to niepoważne podmioty gospodarcze, które nie dbają o konserwację i naprawę sprzętu i które mają blade pojęcie o przepisach BHP...

Carl von Post pomyślał o swoich rotariańskich braciach, którzy z roku na rok coraz bardziej otwarcie opowiadali o swoich oszustwach podatkowych, o pieniądzach wręczanych pod stołem, o czarnej sile roboczej. Poklepywali się po plecach i wyjeżdżali na wakacje na Seszele. Poczł lekkie mdłości na myśl o tym, jak wiele razy udawał, że nie słyszy, że nie rozumie aluzji.

– Powszechna nieuczciwość – powiedział. – Człowiek broni się, mówiąc: „Wszyscy tak robią” albo „Są jeszcze gorsi”, a potem stajesz się ofiarą szantażu albo groźby i nagle masz do czynienia z przestępczością gospodarczą, korupcją, oszustwami budowlanymi, narkotykami i handlem seksem.

– I przemocą – dodała Rebeka. – Zawsze znajdzie się ktoś, kto próbuje oszukać oszusta. Nie płaci, nie chce sprzedać albo sam woli przejąć handel narkotykami, na przykład. A to prosta droga do strzelanin na ulicy, morderstw na zamówienie i wzniesienia pożarów. I nikt nie ma odwagi zeznawać jako świadek.

– Zwłaszcza teraz. Strzały oddane do Rantakyrö i Melli to przecież demonstracja siły. Pokazali, że potrafią zabić nie tylko parę dziwek.

Pokręcił głową na propozycję kolejnej porcji whisky. Rebeka też poczuła, że wystarczy.

– Jeżeli tak naprawdę jest – powiedział powoli – to znaczy, że Kirunę toczy rak.

– A my reagujemy bez pośpiechu.

– A co możemy... Musimy coś zrobić – stwierdził von Post.

Rebeka wpatrywała się w swoją pustą szklaneczkę.

Nie ja, myślała. Nigdy nie uda się nam uwolnić niezbędnych środków, żeby odrąbać wszystkie macki tej bestii. On nie rozumie, jakie to trudne. Ile to zajmie godzin. Dostałam propozycję pracy. Sprzedam dom i wyprowadzę się stąd. Nie zamierzam tu zostać i patrzeć, jak to wszystko będzie się dokonywało.

Oprócz lekkiego poczucia winy doznała też ulgi. To już nie jej śledztwo. Jasne, to wszystko jest okropne i ohydne. Ale to nie jej problem.

– Minęła północ – powiedziała. – Jutro masz długi dzień pracy.

Von Post podniósł się i zrobił kilka krążeń barków w tył. Szukał jej wzroku.

– Nie traćmy nadziei – zakończył. – Jeśli ktoś ma przeżyć przestrzelenie czaszki, to właśnie Mella.

Robert Mella, przebudziwszy się, poczuł intensywną i krótką, acz zauważalną ulgę, zanim dotarł do powierzchni i uświadomił sobie, gdzie się znajduje i co się stało z jego życiem.

Leżał w szpitalnym łóżku obok Anny Marii. Nie była już zaintubowana. Ekran aparatury monitorującej pokazywał łagodną zieloną sinusoidę.

Kwadrans po trzeciej w nocy. W sali panował mrok. Na korytarzu słychać było kroki i stłumione głosy personelu nocnego.

Wyciągnął ku niej rękę i chwycił jej palce. Były ciepłe, ale wiotkie i bez życia, nie odpowiadały na uścisk. Zapytał wcześniej, czy może jej dotykać. Ile dusza zapagnie, odpowiedziała pielęgniarka. Powiedzieli mu też, żeby z nią rozmawiał. Że według badań naukowych nieprzytomni pacjenci reagują na głos najbliższych.

I rozmawiał z nią. Aż rozboleło go gardło i wyschły usta. Oddalał od siebie strach przed tym, że nie ma w niej nic, co odnotowuje jego obecność. Że już na zawsze jest stracona.

Nie tak, myślał. Nie tak.

Trzeba zdążyć się pożegnać. Dzieci muszą dorosnąć.

Dzieci zostały u jego siostry. Nie chciał ich tu mieć przy sobie, pokłócił się o to z Jenny. Krzyczała na całe gardło: „To jest moja mama!”

Sytuacja rozwiązała się bez ich udziału. Tylko jedna osoba z rodziny mogła polecieć helikopterem. Niewiele brakowało, a nie zdążyłby na czas. Szwagier zawiózł go, prowadząc w szaleńczym tempie przez zawiane śniegiem drogi. Osiemdziesiąt dwa kilometry z Kiruny do Gällivare.

Jeźdźnia, zatarasowana wcześniej przez ciężarówkę z dłużnicami, właśnie została udostępniona kierowcom.

Kiedy zadzwonił telefon, płakał. Może pięć minut. Potem odniósł wrażenie, że brakuje mu łoża. Czuł się wyschnięty w środku. Jak pustynia.

Teraz nie odważył się płakać. Nie miał pojęcia, jak to się może skończyć.

Wtedy w Regli, kiedy ledwo uszła z życiem, a Sven Erik Stålnacke był zmuszony zabić człowieka... Wtedy, grubo po fakcie, zaczął się potwornie bać. Czuł się przerażony i wściekły. Skończyło się tak, że nie był w stanie pracować. Dostał od lekarza miesiąc zwolnienia.

Człowiek nieustannie musi oddalać od siebie ten strach. Że ona wdepnie w coś, co odbierze jej życie. Że jakiś szaleniec na haju będzie miał przy sobie nóż. Że jakiś nieobliczalny facet katujący swoją żonę będzie miał broń. Jednocześnie człowiek myśli, że to się nie stanie. Statystycznie rzecz biorąc, ryzyko jest niewielkie. W Kirunie jeszcze mniejsze.

No i nagle staje się to niewyobrażalne. Cały świat rozpada się na kawałki.

Spróbował zmienić pozycję, bolała go każda część ciała.

Pogłaskał jej ramiona. Czuł pod opuszkami palców jej włoski, delikatne jak jedwab.

Napłynęło tyle wspomnień. Przypomnił sobie, jak była w ciąży z Petterem i jadła papier. W roztargnieniu odrywała strzępki, które zostają w kołozeszycie przy spirali, wkładała je do ust i przeżuwała. Jak powiedział, że przecież nie wiadomo, co w tym jest, że może zaszkodzić małżeństwu. Jak na początku mieszkali w kawalerce na Timmermansgatan, tak lodowatej zimą, że pranie na strychu schło całą wieczność, bo najpierw zamarzało na sztywne kawałki. Jej radość, gdy dostała się do szkoły policyjnej, a on cały czas się obawiał, że ona spotka tam kogoś innego. Jak się pobrali i wszyscy wiedzieli, że oczekuje dziecka, bo nie piła. Była cała w skowronkach i tańczyła jak szalona, nazajutrz ledwo mogła wstać z łóżka. A jego ojciec, pijany jak nigdy wcześniej, nakazał mu: „O tę dziewczynę masz dbać, Robercie”.

Przyciągnął jej wiotką dłoń do swoich ust.

– Musisz do mnie wrócić – szepnął. – Proszę cię, moja cudowna Anno Mario, wróć. Bo przecież muszę ci powiedzieć, że cię kocham. Jeszcze wiele, wiele razy chcę ci to powiedzieć. Że cię kocham.

SOBOTA, 7 MAJA

CARL VON POST OBUDZIŁ REBEKĘ MARTINSSON kilka minut po trzeciej w nocy. Stał w drzwiach do kuchni niczym cień i pukał delikatnie we framugę. Smarkacz kręcił się wokół niego jak fryga, okazując psią radość i sugerując uniżenie, że może przypadkiem i ewentualnie nadeszła pora na śniadanie.

Rebeka usiadła w łóżku. Z jasnym umysłem, owszem, ale gdzieś za oczami i w mięśniach całego ciała czuła, że ma solidny niedobór snu.

– Przepraszam, Rebeko, to tylko ja. Coś mi mianowicie przyszło do głowy...

– Wypuść psa na siku. Ja zrobię kawę.

Włożyła wczorajsze ubrania, nastawiła perkolator, napaliła w piecu i żeby było przytulniej, zostawiła drzwiczki do paleniska otwarte.

Kiedy podciągnęła rolety, wiosenne światło wlało się do środka, choć przecież jeszcze była noc.

Smarkacz i von Post wrócili po dziesięciu minutach. Ten ostatni miał ośnieżone spodnie i sweter.

– Poślizgnąłem się w czasie zabawy – wyznał.

Ty mój mały terapeuta, pomyślała Rebeka, drapiąc Smarkacza między uszami.

Usiedli z kawą, ogień buzował w najlepsze, a Smarkacz wcinał śniadanie, chociaż w zasadzie było na to zdecydowanie za wcześnie.

– Nie mogłem usnąć – zaczął von Post. – I kiedy tak leżałem tam na parterze, przypomniałem sobie o szkoleniu NFC^[29], które mieliśmy w zeszłym roku, o przestępczości związanej z narkotykami. Powiedziałaś, że spółka Pekkarich kupiła drukarnię i że tego nie możesz zrozumieć.

– No.

– Czasami w papierze szmugluje się kokainę. Jest łatwo rozpuszczalna w wodzie i alkoholu. No więc rozpuszczasz kokainę, kładziesz w roztworze arkusze papieru i wieszasz je potem, żeby wyschły. Kiedy odbiorca dostaje towar, tniesz papier na paseczki, wypłukuje kokainę, to proste, nie potrzebuje do tego żadnego laboratorium, wystarczy zwykły płyn do spryskiwaczy, który po czasie wyparuje. Zostanie tylko kokaina.

– Kokainę produkuje się w Kolumbii – skomentowała Rebeka w zamyśleniu. – Przemycasz się do Europy w kontenerach płynących statkami, a do Szwecji transportem drogowym przez Bałkany, no nie?

– Tak, ale zmiany klimatyczne powodują, że Ocean Arktyczny stał się możliwym szlakiem transportowym.

– To znaczy, że można by rozładowywać towar w północnej Norwegii albo jakimś portowym miście w Rosji.

– I w ten sposób stworzyć wysmienitą drogę dystrybucji do Szwecji, Skandynawii, Europy. Nie możemy przecież powiedzieć, że mamy jakąś kontrolę graniczną między Szwecją, Norwegią i Finlandią. Przy moście nad Sundem też nie. No i papier. Kto sprawdza papier?

– Jeżeli faktycznie tak jest – powiedziała Rebeka – to łatwo zrozumieć, dlaczego ci ludzie nie chcą wypuścić z rąk tego terytorium. Że warto zastrzelić dwoje policjantów.

Podeszła do leżących na podłodze kartonów i wyciągnęła segregatory z dokumentami poświadczającymi.

Kartkowała je szybko, nie przestając mówić.

– Myślałam, że zamierzali wykorzystać drukarnię do prania pieniędzy. I może to też ro-

bią. Wygląda na to, że mają samych zagranicznych klientów. Drukują instrukcje obsługi automatów do kawy i tym podobne. Ale zadziwiająco niewiele po stronie przychodów... Ciekawa jestem tej drukarenki.

– Jak bardzo ciekawa? – zapytał von Post. – Podjąłem decyzję o jej przeszukaniu. I słusarz z Bennys Lås & Larm będzie tam za...

Zerknął na zegarek.

– Dwadzieścia minut. Jedziesz ze mną?

– Ty się wczoraj urodziłeś czy co? – odparowała, wstając.

Nareszcie jakaś sensowna nitka, za którą można pociągnąć. Rzuciła koledze przychylnie spojrzenie.

Smarkacz, pełen nadziei, podniósł się na łapy.

– Ty nie, robaczku – powiedziała. – Jaki podałeś powód rewizji?

– Pieprzyć powód, Martinsson. Teraz robimy wszystko, żeby ich przyskrzynić. Niech mnie oskarżą o przewinienie służbowe. Mam to w dupie.

Von Post przekazał Rebecę kluczyki do swojego samochodu. Usiadł na miejscu pasażera.

Zrozumiała, że pił więcej sam, kiedy nie mógł zasnąć w nocy, i teraz nie chciał prowadzić. Pewnie miał flaszkę w torbie podręcznej. Ale nie zapytała o żonę.

Bo przecież, kurza dupa, nie zostaliśmy nagle kumplami, pomyślała.

Był kwadrans po czwartej, kiedy zatrzymali się na terenie przemysłowym, pod drukarnią. Jednopoziomą budowlą z zielonej blachy falistej.

Rebeka wzięła rozpęd i wjechała brutalnie na zaśnieżony parking. Śnieg bryzgał z obu stron, włączone na maksa wycieraczki były bez szans. W ciągu sekundy przednią szybę pokrył biały puch. Carl von Post krzyknął i odruchowo chciał się czegoś złapać, gdy Rebeka wcisnęła hamulec. Samochód obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, nim się zatrzymał. Von Post zaklął szpetnie, Rebeka się zaśmiała. Wysiedli z auta. Śnieg sięgał im prawie do kolan.

– A jak zamierzasz stąd wyjechać? – zapytał, obrzucając wzrokiem zaskakaniem.

– No chyba masz szuflę w bagażniku? – Zobaczywszy jego spojrzenie, dodała: – Tak poważnie. Od jak dawna mieszkasz w Kirunie?

Benny z firmy Bennys Lås & Larm przyjechał we własnej osobie parę minut później. Zaparkował rozsądnie przy drodze i w swoich wysokich gumowcach brnął ostrożnie ku dwójce prokuratorskiej. Szedł na sztywnych nogach, a od czasu do czasu zatrzymywał się, by odpocząć. Torba z narzędziami niemal tonęła w śniegu.

– A cóż się panu stało? – zapytała Rebeka, kiedy był już blisko.

– Eh, jasny gwint. Nic, tylko zawieźć mnie do rzeźni. Wywróciłem się w zimie ze skuterkem. Miałem przejechać przez zwał śnieżny. No i wiecie, człowiek odruchowo wystawia nogę, żeby się podeprzeć. Trach, i po wieżadle krzyżowym.

Machnięciem ręki zbył prokuratorskie wyrazy współczucia.

– E, nie jest tak źle. Człowiek musi tylko trochę zwolnić.

Otwierając zamek wytrychem, komentował najnowsze wiadomości. Czytał w sieci o dwójce zastrzelonych policjantów.

– Że też coś takiego mogło się u nas wydarzyć – powiedział i przesunął czapkę z nausznikami na tył głowy.

Po tylu latach pracy wiedział, że nie ma sensu pytać, czy robota, której się teraz podjął, ma z tym jakiś związek.

– Mam nadzieję, że ich złapiecie – powiedział z emfazą na odchodne.

Ani słowa o dodatkowych kosztach z powodu pracy poza godzinami urzędowania. Skinął

głową i wrócił do auta po własnych śladach w śniegu.

Rebeka i von Post znaleźli włącznik. Jarzeniówki zaburczały i zalały lokal zimnym światłem. Pomieszczenie było otwarte i bez okien. Drzwi, które najprawdopodobniej prowadziły do toalety, i przeszklone biuro. W środku nie było żadnych segregatorów ani czegokolwiek, co świadczyłoby o jakiejś działalności.

– Zero wyposażenia drukarni – stwierdziła Rebeka. – Czy to nie dziwne?

– Bardzo dziwne – przyznał jej rację von Post.

Przy ścianie na paletach stały ułożone w stosy ryzy papieru.

– Skontaktuję się z NFC – powiedział. – Muszą się temu przyjrzeć. Zadzwoń po psa do wykrywania narkotyków?

– Jasne. Ale najpierw rozejrzemy się ciut sami.

– Za czym?

Rebeka wzruszyła ramionami, wyciągnęła z kieszeni scyzoryk i rozcięła plastik. Wspięła się na kant palety i otworzyło jedno opakowanie.

– Nie wiem – powiedziała i ważyła ryż w ręce. – Czy nie jest trochę ciężka?

Carl von Post przejął opakowanie.

– No, może.

W środku leżały całkiem normalne arkusze A4. Rebeka przekartkowała kilka z nich.

– Popatrz! – zawołała. – Widzisz różnicę w kolorze?

Pierwsze dziesięć kartek było kredowobiałych. Pozostałe miały lekko liliowy ton.

– Podejrzane.

Próbowali porównywać kartki o różnym zabarwieniu, trzymając każdą w innej ręce.

– Uważam, że te kolorowe są cięższe – powiedział von Post. – Ale może dlatego, że chcę, żeby były cięższe.

Rebeka nie spuszczała wzroku z palet pełnych papieru. Próbowała w myśli oszacować ich wagę.

– Ile tu mamy papieru? Pół tony?

– Trzydzieści, czterdzieści procent wagi może stanowić kokaina – rzekł von Post. – Czyli mniej więcej dwieście kilo. A jeden gram na mieście...

– ...to ponad tysiąc koron. Dwieście milionów. Nawet jeśli łańcuch dystrybucyjny trochę kosztuje, to całkiem godziwy zarobek.

– Jak dużo zarekwirowano parę lat temu we Frihamnen w Göteborgu? – zapytał.

– Tonę. Ale to też są niezłe ilości, jeśli...

W tej samej chwili doszedł do nich z zewnątrz odgłos silnika. Jakiś duży pojazd. Hamulce i motor, które nagle ucichły.

Rebeka i von Post spojrzeli po sobie. Nie musieli nic mówić.

To oni, pomyślała. Przyjechali po ten swój zasrany towar. A my...

Von Post rozejrzał się za drogą odwrotu, która nie istniała. Żadnych okien. Żadnego tylnego wyjścia. Ogromne wrota, przez które można było przejeżdżać wózkami widłowymi, prowadziły w tym samym kierunku co drzwi wejściowe.

Oczami wyobraźni Rebeka zobaczyła, jak dwóch mężczyzn wyskakuje z ciężarówki i zbliża się do budynku. Widziała, jak porozumiewają się bez słów, dostrzegając zaparkowany obok samochód i ślady w śniegu prowadzące do lokalu. Jak wyciągają zza pazuchy broń.

Nie było czasu, by dzwonić po pomoc. Nogi ugiwały jej się ze strachu. Popatrzyła na von Posta. Odważemnił spojrzenie, błąd jak trup w świetle jarzeniówek, niemal niebieskawy. Jego oddech. Przyspieszony i urywany jak u zranionego łosia.

Sparaliżowani patrzyli na klamkę poruszającą się w drzwiach.

Kerstin Simma prowadziła pług śnieżny od drugiej w nocy. Prościej odśnieżać, zanim zacznie się poranny ruch, o siódmej zaś planowała wrócić do domu i obudzić męża, który miał iść do pracy. A później chciała usiąść sama z kubkiem herbaty, pozwalając dzieciakom wyspać się do oporu. Sobotnie przedpołudnia były najlepsze.

Słuchała programu dokumentalnego o pewnej sekcji i czuła się w miarę rześka. Była dokładna. Żadne zasy nie mogły zasłaniać skrzyżowań, aby piesi nie musieli pokonywać grzbietów śnieżnych gór, chcąc przejść na drugą stronę ulicy.

Gdy dojechała do jednego z parkingów na terenie przemysłowym, zakłęta pod nosem. Dokładnie w samym środku stał na skos jakiś samochód. Jakżeż ci kierowcy, kurde, parkują?

Ale dach samochodu nie był ośnieżony, a do budynku prowadziły świeże ślady. Podniosła lemiesz, wjechała na parking i wyłączyła silnik. Postanowiła, że poprosi osobę, która dostała prawo jazdy pod choinkę, o przesunięcie swojego auta. Nie żeby obawiała się, że porysuje samochód, była wystarczająco kompetentna i ostrożna, bardziej dlatego, że pozostawienie nieodśnieżonej plamy na środku parkingu kłóciło się z jej zamiłowaniem do porządku.

Dobrnęła do wejścia i nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

– Halo! – zawołała w głąb opustoszałego lokalu, kopiąc jednocześnie w ścianę budynku, żeby otrząpać śnieg z butów. – Halo? Jest tu kto? Chcę odśnieżyć parking i dobrze by było, żeby ktoś przesunął samochód.

Drzwi toalety się otworzyły i ze środka wyjrzały dwie osoby. Jedną z nich Kerstin poznała od razu. To Rebeka Martinsson, prokuratorka w mieście. Widziała ją i w telewizji, i w gazecie. Drugą osobą był mężczyzna w tym samym wieku, ubrany w szpanerski długi płaszcz, który z pewnością kosztował miesięczną pensję. Obydwoje patrzyli na nią, jakby była zjawą.

– Odśnieżyć parking? – zapytała Rebeka.

– Tak – odparła Kerstin i zerwała z głowy czapkę.

O co tutaj chodzi? Pieprzyli się w ubikacji?

I nagle Rebeka zaczęła się śmiać. Mężczyzna obok też wybuchnął śmiechem. Rechotali tak mocno, że trudno im było złapać oddech. Mężczyzna w drogim płaszczu nie mógł się utrzymać na nogach i w końcu usiadł na podłodze, zanosząc się spazmatycznym śmiechem.

– Ja pierdołę! Ja pierdołę – to jedyne, co udało mu się wypowiedzieć między atakami.

Rebeka, oparta o ścianę, trzymała się obiema rękami za brzuch. Łzy ciekły jej po policzkach.

– Ja mogę przestawić samochód – wyrzuciła w końcu z siebie i na sztywnych nogach ruszyła ku drzwiom.

– Może pani zaparkować na drodze przed wyjazdem – zaproponowała Kerstin Simma. – Ale czy jest pani pewna, że da radę prowadzić?

Rebeka wyluskała z torebki paczkę papierosów. I ona, i von Post wsparli się o fasadę budynku i palili z drżącymi dłońmi. Przyglądali się odśnieżającemu parking pługowi. Pomachali prowadzącej go kobiecie, gdy podniosła lemiesz i odjechała.

– Nigdy w życiu nie miałem takiego pietra – powiedział prokurator. – Weźmiemy ten magazyn pod obserwację.

Kto weźmie, ten weźmie, pomyślała ponuro Rebeka.

Kiedy dojeżdżali do Kurravaary, usłyszeli niemal jednoczesny dźwięk SMS-a w obu telefonach.

Zaciśnięte na kierownicy palce Rebeki zbieleły. Von Post wygrzebał komórkę z kieszeni płaszcza.

– Anna Maria? – zapytała, gdy czytał wiadomość.

Wpół do szóstej rano. Za wcześnie na coś innego. Tylko nie to. Nie to.

Prokurator pokręcił głową.

– Nie – powiedział. – To od Anny Granlund. W nocy zmarł Pohjanen. Albo raczej wczoraj wieczorem. Zasnął na sofie w szpitalu.

Myśli Rebeki nie miały się gdzie podziać. Biegały bezrozumnie w kółko niczym białe pardwy w białym śniegu.

Słońce wisiało już wysoko i rozjaśniało nadchodzący dzień z jego okropnościami. Mokry śnieg ciążył gałęziom. Brzozy zamarzły w bieli.

Rebeka poluzowała pedał gazu. Bała się, że niechcący dociśnie go do dechy i wypadnie z drogi. Wlokła się jak żółw wzdłuż ostatniego długiego zakrętu.

– Wezwę na przesłuchanie Andersa i Ollego Pekkarich, zadam im pytania o drukarnię i kamper – powiedział von Post, gdy zatrzymali się na podwórzu Rebeki w Kurravaarze. – Dzięki za nocleg i kolację.

I drukarnię, dodała w myślach zachmurzona Rebeka. Już zdążył zapomnieć, że to ja ją znalazłam.

Carl von Post przyglądał się koleżance. Złapał się na tym, że często życzył sobie widzieć ją właśnie taką. Jakby wygasła w środku. Teraz jednak wolałby mieć obok siebie tę upierdliwą przecherę, która doprowadzała go do białej gorączki. Kiedy się zaperzała. Kiedy jej wzrok błyskał, a mięśnie wokół ust twardniały. Kiedy z werwą godną pozazdroszczenia rzucała się w wir pracy: rozeźlona, zmęczona i uparta.

– Przyjdiesz dzisiaj do biura? – zapytał.

Pokręciła głową.

Ich stara waśń rozgorzała niczym dopalające się ognisko, które ktoś rozniecił podmuchem.

Dwoje zastrzelonych policjantów, pomyślał. A ona zostaje w domu i odgrywa rolę ofiary.

Nie jestem jego słodką asystentką, pomyślała.

Von Post wzruszył ramionami. Nie chciał się kłócić. Nie z Rebeką. W zasadzie z nikim. Zerknął na telefon. Żadnego znaku życia od Eriki. Miała od niego odejść.

Niech robią, co chcą, obydwie. On spróbuje tylko przeżyć ten dzień.

Anders Pekkari i jego ojciec Olle zostali wezwani na przesłuchanie kwadrans po siódmej. Zadbali o to Carl von Post i Fred Olsson.

Kiedy Anders otworzył drzwi, ujrzał za nimi prokuratora, który zaprosił go do środka. Na poboczu zatrzymał się inny samochód. Na tylnym siedzeniu siedział Olle Pekkari. Wściekły, wpatrywał się w zagłówek przedniego fotela. Nie spojrzął w stronę syna.

Prokurator poprosił Andersa o telefon. Ten oddał go bez słowa i stał przed kurtkami wiszącymi w przedpokoju. Nie rozpoznawał ich. Nie wiedział, która należy do niego.

W końcu von Post wskazał jedną z pytaniami:

– Ta?

Anders Pekkari skinął głową, jakby nieobecny.

Prokurator położył ostrożnie rękę na jego plecach, gdy szli do samochodu.

Mężczyzna ze strachu dostał czkawki. Od dawna bał się tej chwili. Rojenia o niej wyrywały go ze snu. Czasami jednak, leżąc w ciemności u boku śpiącej żony, życzył sobie, żeby to się stało, żeby to dobiegło końca.

Zabawiał się myślą o tym, że traci wszystko. Szacunek, przyjaciół, firmę, rodzinę. Że odsiaduje karę więzienia i zaczyna od nowa. Sprawia sobie kawalerkę i bierze się do jakiejś roboty, cokolwiek by to miało być. Albo chwyta za flaszkę, gdyby go naszła ochota.

Ale to nie przynosiło mu ulgi. To był tylko kolejny etap koszmaru, w który przeobraziło się jego życie.

Czuł wdzięczność, że nie jedzie z ojcem w tym samym samochodzie.

Recepcja była bez nadzoru, w poczekalni nikt nie siedział. Anders przestał dbać o to, co pomyślał inni. Ktoś noszący jego nazwisko, ale żyjący w innym systemie słonecznym, ten ktoś dawniej przejmował się takimi rzeczami. Czkawka przybrała na sile. Któryś z policjantów przyniósł mu trochę wody w plastikowym kubku.

Przypadek to pseudonim Boga, kiedy ten nie chce się pod czymś podpisać. Börje obudził się w łóżku Ragnhild. Leżeli na łyżeczkę, on z nosem w jej karku. Obudziła się również, odwróciła do niego i kochali się raz jeszcze. Niespiesznie. To było dla niego coś nowego.

Potem ona miała ochotę na jajecznicę. I sok. Ale lodówka świeciła pustkami. Börje wciągnął na siebie ubranie, by zrobić zakupy. Skierował kroki ku pobliskiej stacji benzynowej.

W porannym słońcu miasto przypominało kolorową widokówkę. Nieskazitelnie biały śnieg na wszystkim, co wcześniej było rozpuszczone i brudnoszare. Biel iskrzyła się w koronach drzew, a w środku miasta nagle pojawiły się ślady zająca. Podobała mu się luźna zabudowa Kiruny. Ogrom przestrzeni.

Wszedł do sklepu, włożył do koszyka również bukiet skrzypiących tulipanów. Przy ladzie chłodniczej ktoś trącił go w ramię i zaczął od najczęściej zadawanego pytania:

– Czy to nie Börje Ström?

Nie dało się zaprzeczyć. Mężczyzna, ciut starszy od niego, przedstawił się jako Harry Svonni i powiedział, że też boksował się w Nordpolen. Stali przez jakiś czas, podejmując różne wątki w poszukiwaniu wspólnych wspomnień osób i walk. Börje znów poczuł cichą radość z powrotu do Kiruny. Ragnhild – to zakrawało na cud. Ale też spotkania tego typu. Spontaniczne i miłe rozmowy z ludźmi.

– Mój ty Boże, pamiętam cię, jak przyszedłeś do klubu, kajtek taki. A Jussi i Sikke wzięli cię pod swoje skrzydła. Już wtedy widzieli, że masz niezły talent.

Śmiali się na wspomnienie pojedynków w Finlandii. Jaki wtedy dostawali wycisk.

– Dobrze, że klub ciągle istnieje – powiedział Harry Svonni. – Ale nie wiem, kto teraz jest właścicielem lokalu, dalej Król? Czy on w ogóle jeszcze żyje?

– Owszem, żyje. Mieszka przy Esrangevägen.

– No proszę. Jego syn, Taggen Mäki, nie miał zadatków na pięściarza. Byliśmy rówieśnikami. Ale Król zmuszał go do boksu. Człowiek nie miał odwagi przywalić mu zbyt mocno, bo jeszcze by zadarł z jego ojcem. No, chłopak nie miał lekko. Mieszkaliśmy po sąsiedzku w Piilijärvi.

– W Piilijärvi? – zdziwił się Börje i coś w nim drgnęło, jak wtedy, gdy bierze ryba.

– Tak, jego matka dość szybko rozwiodła się z Królem. Wyszła ponownie za mąż za montera z Piilijärvi, który miał w wiosce dom po rodzicach, dzielił go z rodzeństwem. Mieszkali tam latem. A moja rodzina ze strony mamy też stamtąd pochodzi. Kiedy mieliśmy sześć, siedem lat, bawiliśmy się razem z Taggenem. W Indian i kowbojów. Ale później trudno go było rozgryźć. Zajmował się masą różnych...

Harry Svonni pokręcił fraszobliwie głową.

– No, ale mimo wszystko wyszedł na ludzi i dobrze sobie radzi. Choć nie z wagą. Spotkałeś go może? Waży chyba z dwieście kilo. W przeciwieństwie do ciebie. Wygląda na to, że jesteś w świetnej formie. Dalej się boksujesz?

Börje słyszał swoje odpowiedzi, ale rozmowa docierała do niego w oderwanych od siebie fragmentach, jak gdyby między półki z towarami wpadł potężny wiatr i porywał słowa. W jakimś odległym zakamarku siebie samego miał nadzieję, że mówi w miarę składnie. W końcu Harry Svonni chyba jednak zauważył, że jego rozmówca jest myślami gdzie indziej.

– Nie będę cię zatrzymywał – powiedział życzliwie. – Ale wiesz, strasznie miło było cię

spotkać. Przez wiele lat chwaliłem się, że należeliśmy do tego samego klubu.

Pożegnali się i Börje ruszył ku wyjściu.

Harry Svonni zawołał za nim:

– Twoje zakupy. Zapomniałeś o koszyku z zakupami!

Börje nie zareagował, przeszedł szybko obok kas i opuścił sklep.

Piilijärvi, myślał. Sven Erik Stålnacke mówił o mężczyźnie, któremu skradziono, nie, od którego pożyczono pistolet właśnie w Piilijärvi.

Von Post wszedł do kuchni. Eriki nie było w domu. Jej samochód nie stał w garażu. Na blacie obok chleba leżał ser, który zdążył się spocić. Coś półpłynnego w opakowaniu masmixu świadczyło o tym, że nie wyszła tylko na chwilę.

Spróbował jeszcze raz do niej zadzwonić, ale połączył się z pocztą głosową. Jeszcze raz.

Z pietra dochodziły dzikie wrzaski i śmiech synów, którzy w coś grali. Uchylił drzwi, rzucili mu „cześć”, nie odrywając wzroku od ekranu, na którym między ciężko uzbrojonymi mężczyznami rozgrywała się jakaś masakra.

– Dlaczego nie jesteście w szkole? – zapytał.

– Bo jest sobota – uświadomili mu chłopcy.

Dał im spokój. Zrozumiał, że nie wstali tak wcześnie, tylko że w ogóle się nie położyli. Wyszedł z założenia, że Erika nic im nie powiedziała. Zastanawiał się, czy spała u przyjaciółki, siedziała z nią przy winie i obrabiała mu dupę przez pół nocy.

Wziął szybki prysznic. Miał nadzieję, że Erika wróci do domu. Nie miał nadziei.

Kiedy wkładał czyste ubrania, zadzwonił telefon. Wyświetlacz zdradził, że to Fred Olsson. Pewnie panowie Pekkariowie robili problemy.

– Coś się stało? – zapytał, schodząc do pralni, żeby z poddasza nie było słychać wrzasków i odgłosów rzezi.

– Ojciec i syn Pekkari. Twierdzą, że są gotowi złożyć zeznania. W każdym razie Anders.

– Żartujesz?

– Nie. Anders jest kompletnie wykończony.

– Poprosili o adwokata?

– Nie. Mam zapytać, czy...

– Nie, kurde, nie. Zaraz tam będę.

Börje zadzwonił do Ragnhild i wyjaśnił, że trochę się spóźni. Ona o tym nie wiedziała, ale on sam zanotował zmianę w swoim zachowaniu. Nie miał w zwyczaju komunikować się w ten sposób ze swoimi kobietami. Pewnego razu, gdy jedna z nich zaczęła narzekać, zapytał: „O jaki związek ci chodzi? Taki, w którym będziesz rządziła?”. Związek zakończył się wkrótce potem.

Opowiedział o spotkaniu w sklepie. I wtedy też uświadomił sobie, że zostawił tam zakupy. Zaśmiali się, ale po chwili spoważniali.

– Muszę porozmawiać z Taggenem – powiedział. – Potem jeszcze raz pójde do sklepu. I będę pamiętał, żeby zapłacić i wziąć ze sobą to, co włożyłem do koszyka.

– No to ja skoczę z Villą na spacer – odpowiedziała.

Nawet wtedy, gdy rozmawiali o codziennych sprawach, miał w myśli ich fizyczną bliskość. Wspominał, jak całował jej kark. Jak obudziwszy się w nocy, odkrył, że pod kołdrą trzymają się za ręce. W myślach nieustannie powracał do Ragnhild. Najczęściej do drobiazgów. Jej włosów, delikatnych na ramionach, grubszych i kręconych na wzgórku łonowym, niemal niedostrzegalnych na płatku ucha.

I nawet teraz, gdy gawędził z Harrym Svonnim na stacji benzynowej. Stojąc przy ladzie chłodniczej, próbował wywnioskować, jakiego rodzaju sok Ragnhild lubi najbardziej. To też coś

nowego.

– Zdecydowałaś się w końcu na to imię? – zapytał. – Villa?

– Cóż, żadne inne nie przypada mi do gustu.

Börje wszedł do windy w budynku czynszowym, w którym mieszkał Taggen, i pożałował tego, jeszcze nim zamknęły się drzwi. Winda poruszała się wolno, cuchnęła sikami, a jej ściany pokryte były starymi graffiti, które zmyto tylko częściowo, tak że bardziej wyblakły, niż zniknęły.

Taggen otworzył drzwi. Wzrok miał rozbiegany. Na przodzie białego T-shirtu widniała duża plama. Börje próbował na nią nie patrzeć.

– Börje! – wykrzyknął gospodarz. – To dopiero... Aha?

Spojrzał na zegarek, rzucił okiem za siebie. Mieszkanie najwyraźniej nie było gotowe na przyjęcie gości.

– Mogę wejść?

Taggen się odsunął, Börje wkroczył do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi.

W dużym pokoju telewizor rzucał zimne światło na dwa opuchłe fotele obite skórą. Przy jednym z nich leżały dwie puste torebki po chipsach i butelka, która kiedyś zawierała świąteczną lemoniadę. Żadnego dywanu. Żadnych firanek. Spuszczone żaluzje. Börje zrozumiał, że nie odebrał Taggena od żadnego programu, telewizor był włączony na okrągło.

Opary przerażającej samotności wisiały w powietrzu i Börje nie skorzystał z zaproszenia, by usiedli w kuchni. W mieszkaniu panował zaduch; przykra woń starej pizzy, chipsów i bąków mieszała się z sennymi wyziewami ciała.

– To nie zajmie dużo czasu – powiedział.

– Rzekła służąca do biskupa – dodał dowcipnie Taggen, ale żart uderzył o podłogę.

– Kiedy byłeś młodym chłopcem, latem bywałeś w Piilijärvi – zaczął bez wstępów Börje.

– Pistolet, którym został zastrzelony mój tato, należał do jednego gościa z Piilijärvi. Broń zniknęła z jego samochodu dokładnie wtedy, gdy dokonano morderstwa, a potem wróciła na swoje miejsce. To ty ją wziąłeś, prawda? I dałeś swojemu ojcu. To dlatego nie odpowiedział na pytanie, skąd ją miał.

Nie doczekawszy się odpowiedzi Taggena, mówił dalej:

– Nie będę tego rozpowiadał, zaufaj mi. Chcę tylko poznać prawdę.

– To było przecież tak dawno temu...

Ale wtedy Börje nie wytrzymał.

– Nie! – wrzasnął. – Dzisiaj, wczoraj. Każdego dnia, którego żyłem bez taty. Nigdy nie wiedziałem. Zawsze chciałem się dowiedzieć!

Krzyk słychać było na klatce schodowej. Börje zupełnie się tym nie przejmował.

Taggen wytarł wierzchem dłoni czoło, z którego zaczęły spływać krople potu.

– Masz rację – odpowiedział zrezygnowany. – To ja wziąłem ten pistolet. Znasz mojego ojca. Człowiek miał się hartować. I dlatego musiałem czasami jeździć z nim na takie wyprawy. Kiedy pokazywał ludziom ich miejsce w szeregu. Zadzwoił i powiedział, żebym podjechał motorowerem do skrzyżowania na Vittangi. Pistolet wziąłem ze sobą.

– A później?

– O bosz! Odebrał mi go i dał mocno w papę. A potem pistolet się przydał, że tak powiem.

– Byłeś tam, kiedy to się stało.

Taggen skinął głową. Po czym zaczął nią kręcić.

– Ale o tym nie chcę mówić. Było tak, jak opowiedział ojciec.

Jego oczy stwardniały.

– A tobie i tak życie dobrze się ułożyło, prawda? Spójrz na siebie! Popatrz na siebie samego. A potem na mnie. Mój ojciec żyje. I jaką mam z tego radość? A teraz spierdalaj. Możesz mnie zabić, jak chcesz. Zamieścić ogłoszenie w gazecie, jeśli ci to, kurwa, przyniesie ulgę. Mnie to nie robi.

Przerwał, zdyszany, jak gdyby biegł.

– Muszę usiąść – powiedział i począpał do kuchni, gdzie opadł na krzesło z grymasem na twarzy. Taki ciężar z pewnością nadwątlął kolana.

Börje przyglądał się mężczyźnie pochylonemu nad stołem. Był ciężki i zziębnięty. A jeśli teraz umrze na zawał serca?, pomyślał.

Odwrócił się, by wyjść.

– Miałem czternaście lat – rzucił na odchodne Taggen. – Miałem tylko czternaście lat.

Börje zatrzasnął za sobą drzwi. Taggen słyszał jego kroki na schodach. Pochylił się jeszcze bardziej nad stołem, by oprzeć czoło o blat. Brzuch mu przeszkadzał, więc się wyprostował.

– Nic nie powiedziałem – szepnął. – Nic.

Börje zbiegł po schodach, jakby opuszczał płonący budynek. Ruszył szybkim krokiem na stację benzynową. Koszyk z zakupami stał tam, gdzie go zostawił.

„A tobie i tak życie dobrze się ułożyło, prawda? Spójrz na siebie! Popatrz na siebie samego”.

Dobrze mi się ułożyło? Wszystko, do czego w życiu dążyłem, to boks.

Marzec 1977

Nancy, dziewczyna Börjego, prostuje się na dźwięk dzwonka w drzwiach jadłodajni, gdzie pracuje. Pięściarz siedzi przy jednym ze stolików nad śniadaniem, za chwilę pójdzie do roboty. Wozi w taczkach beton na budowie między Broadwayem a Mercer Street. Najlepszy okres na tego typu fuchy, ładna pogoda, ciepło, ale nie za gorąco, jak to bywa w lecie.

Do środka wchodzi Paris, jego były trener. Nancy wita go swoim:

– *Hello, handsome, take a seat. I'll bring you a menu.*

Ma dwadzieścia jeden lat. Jest tak wielkiej urody, że klienci często pytają, czy nie jest aktorką. Zazwyczaj zbywa ich śmiechem. Jak gdyby pletli bzdury. Odkłada pieniądze na studia, ale tego nie zdradza stołującym się tu ludziom. *I'm happy right here*, mawia i wpłaca napiwki na konto oszczędnościowe.

Börje wstaje. Paris rozplýwa się w uśmiechu.

– Tu jesteś, mój chłopcze!

Wprawdzie „chłopakiem” nazywa wszystkich oprócz Big Bena, dla którego zarezerwował tytuł „boss”, ale wydaje się autentycznie poruszony widokiem Börjego.

Zamawia kawę, sok pomarańczowy i grzankę z sadzonym jajkiem. Niemal od razu zdradza, że rzucił pracę trenera na siłowni.

– Miałem dość.

Opowiada o młodym, zdolnym czarnoskórym chłopaku, którego trenował przez ostatnie cztery lata. Impulsywny, niekoniecznie w ringu, ale jak mu coś nie wychodziło, poddawał się i chciał iść do domu. Na przykład gdy nie mógł sobie poradzić z ciosami połączonymi ze skretem.

– Ożeż, ale się kłóciliśmy! Ale gdy tylko odkryłem, że chodzi o ciut niewłaściwe ustawienie nogi zakroczej, no, to wtedy powtarzał ten sam ruch do upadłego, aż pot się lał na ulicę. Pamiętasz go? Trenował jednocześnie z tobą.

Börje mówi, że nie pamięta. Paris wygląda na trochę rozzarowanego.

– Byłeś mi na rękę – kontynuuje trener – jako biały pięściarz. W ten sposób mogłem pomóc swoim chłopakom. Rozumiesz, o co chodzi?

Börje potwierdza skinieniem głowy.

– Był bardzo młody. Powiedziałem Big Benowi, że jeszcze nie jest gotów na wielkie mecze. Ale wiesz, jak to jest. Nietrudno zabajerować chłopaczka, który ma mleko pod nosem i mieszka u mamy. „Potrzebujesz pięćdziesięciu, sześćdziesięciu stoczonych walk, żeby stanąć do pojedynku o mistrzostwo, no to kiedy masz zacząć? Paris uważa, że będziesz gotów, jak ci się urodzi pierwszy wnuk...”

Opowiada o swoim młodym podopiecznym, który teraz walczy z pięściarzami o ustalonej już reputacji. O tym, jak raz za razem zbiera baty, jak z czasem zbiera ich coraz więcej.

– Przestał się boksować – mówi Paris. – Teraz wbiega na ring jak byk z pochyloną głową i zbiera ciosy, które wyślą go na boksterską emeryturę, nim skończy dwadzieścia pięć lat.

Nancy przychodzi z jego śniadaniem, Paris kładzie starannie serwetkę na kolanach.

– Potrafił czytać swoich rywali – mówi dalej Paris. – Rączy był. Potrzebował więcej techniki, pracowaliśmy nad jego ciosem. Niesamowicie szybki w starciu. A teraz... To tylko pieprzony worek treningowy. Jest skończony. Dwadzieścia jeden lat. Prosiłem Big Bena, żeby go oszczędził. Stałem w jego biurze i błagałem.

Paris mruga kilka razy i wbija oczy w sufit.

– No więc rzuciłem to w cholerę. Nie mogłem się temu tak po prostu przyglądać. Każdy trening, każdy mecz. Jak trwający nieustannie pogrzeb. A to, co Big Ben zgotował tobie... Ale właśnie dlatego tu dziś jestem. Twoja umowa z nim niedawno wygasła, prawda?

Börje odpowiada, że owszem, ale żaden menadżer nie chciałby mieć z nim do czynienia. Żaden promotor nie zaprosiłby go do wzięcia udziału w jakimś pojedynku. Nikt nie ma odwagi narazić się Big Benowi. Börje znajduje się na czarnej liście i ma żałobę pod paznokciami.

Uśmiechając się, pokazuje byłemu trenerowi swoje robociarskie ręce.

– Możesz się boksować w Europie – proponuje Paris i opiera się wygodnie na krześle.

Nancy przychodzi z dolewką. Pyta Parisa, czy wszystko w porządku.

– Dobrze mi tutaj – odpowiada mu Börje.

– Widzę – mówi Paris, spoglądając znacząco na kelnerkę. – Pozwól mi jednak coś powiedzieć. José Luis Pérez...

Börje czuje, jak tężeje mu twarz. Powraca do niego walka z Pérezem w Catskill Mountains. Powraca dzień po meczu, kiedy jego życie się skończyło. Kiedy Pérez przeszedł do Big Bena, a w listopadzie federacja WBA przyznała mu pas mistrza świata w wadzie półciężkiej.

– Pérez jest na gościnnych występach w Europie – kontynuuje Paris. – Big Benowi cholernie zależy na tym, żeby chłopak zachował pas mistrza. Nie pozwala mu wrócić do domu i zerzeć się z jakimś godziwym przeciwnikiem. Chodzi o pieniądze. Im więcej meczy „niepokonanego mistrza”, tym więcej...

Paris pociera kciuk o palec wskazujący i środkowy, mając na myśli *money, money*.

– Od sponsorów i uczestników bankietów. Pérez to dobry pięściarz, ale przecież wiesz, podobnie jak ja, że dobry bokser powinien spotykać innych dobrych bokserów. A on teraz walczy w pojedynkach, w których w zasadzie potrzebuje tylko raz wyciągnąć rękę. Wkrótce ubzdura sobie, że jest nieśmiertelny.

Były trener milknie, pozwala słowom zapaść w pamięć Börjego.

Börje rzuca okiem na zegarek, teraz zdecydowanie tańszy; swój poprzedni, złoty, musiał sprzedać. Pora iść do pracy.

– I! – dorzuca Paris, patrząc na niego filuternie. – W lipcu Pérez ma zaplanowany mecz w Hamburgu. Ja mam tam kontakty. A ty... Zdajesz się być w całkiem dobrej formie. Nie przy-

brałeś na wadze. Trenujesz?

– No... Nie mam już siłowni. Ale codziennie biegam. Inaczej bym zwariował.

– A co z szybkością? Myślisz, że dalej masz taki świetny refleks? Boksujesz się równie pięknie jak wtedy, gdy przestałeś się boksować?

Börje się śmieje.

– Tego to nie wiem. Gram w ping-ponga z paroma Irlandczykami, trzy razy w tygodniu. Mają stół w piwnicy pubu. Ostatnimi czasy nikt mnie nie może pokonać.

Paris, wydawszy okrzyk zdziwienia, zdaje się zastanawiać, czy to dla niego wystarczająco dobre wiadomości. Niewątpliwie coś mu leży na wątrobie i Börje łapie się na tym, że bierze go ciekawość.

Trener miesza łyżeczką kawę i w końcu pyta:

– Jeśli załatwię ci udział w tym meczu w Hamburgu, chciałbyś...? Dasz radę do tego czasu trenować tak intensywnie, że porami będzie ci wypływać krew? Pokonałbyś Péreza?

Spogląda na Börjega zza krawędzi kubka. Ma w oczach coś zniewalającego. Widać po nim, że zna się na rzeczy, że to stary wyjadacz. Börje nie ma pojęcia, jak mu się uda załatwić udział w meczu, ale jedno wie na pewno: Paris nie jest łgarzem.

Odczuwa nagle coś, czego nie czuł od dawna. Osobliwą mieszankę radości, podniecenia, gniewu i woli walki: ochotę na rewanż.

Pohjanen nie żyje, pomyślała Rebeka Martinsson.

Tęskniła za płaczem, lecz nie czuła żalu.

Siedziała przy stole w kuchni i wyglądała przez okno. Słońce i śnieg. Smarkacz leżał na jej stopach.

Nie zawsze taka byłam, uświadomiła sobie. W dzieciństwie, kiedy babcia żyła... przelewały się przeze mnie różne emocje i odczucia. Nos zawsze wypełniały zapachy: rozgrzany słońcem las sosnowy, mokry pies i stara obora. Wiem, jak pachną delikatne listki brzozy rozarte w palcach, ale kiedy ostatnio trzymałam w ręce te mysie uszka? Jako dziecko cały czas rejestrowałam zapachy, teraz prawie w ogóle o nich nie myślę.

Stopy pod koniec lata twardniały tak bardzo, że mogłam biegać po szyszkach, nie czując bólu. Pływałam i nurkowałam w rzece, nie przejmując się zimną wodą. Znalezienie na dnie zapomnianej błystki było równoznaczne ze znalezieniem skarbu. Skradałam się jak kot przez wysokie trawy, wśród bodziszków i pełników. Zbierałam kocanki i nie mogłam się nadziwić. Wspinałam się na drzewa, na kolanach zawsze miałam ślady zadrapań, pod paznokciami żalobę, we włosach kołtuny, a całe ciało było pokryte śladami po ukąszeniach komarów.

Zimą z rękawiczek zwisały kulki zlodowaciałego śniegu. Zjadałam je i usta zapełniały się kosmykami wełny. Z nosa lało się cały czas. Ale tylko raz polizałam żelazo i przymarzł mi język. Palce u nóg marzły zawsze tak, że aż bolały.

Żyłam pełnią życia, pomyślała. Jak powstała we mnie ta pustynia?

Słowa Kristera wbite w nią jak noże: „Marit jest ciebie żal. Mnie też”.

Uświadomiła sobie, że nie była w górach, odkąd zerwali. W każdym razie nie tak naprawdę.

Podniosła się i otworzyła okno. Gdzieś po drugiej stronie zatoki warczała krajzega.

Pachniało śniegiem. Pustką i czystością. Czuła, jak rozszerzają jej się nozdrza, wargi drgają jak u zwierzęcia. Ogarnęła ją tak potężna tęsknota za górami, że trudno ją było pomieścić w piersi.

Jakby ktoś rzucił zew. Chodź!

Wiedziała, że musi za nim pójść. Była dalej. Wiedziała, że musi przypiąć narty i wjechać w tę przepastną ciszę.

O dziewiątej rano Rebeka zaparkowała w zatoczce przystanku Låktatjåkka. Zamknęła samochód, założyła plecak i wcisnęła buty w wiązania nart. Słońce płonęło biało. Skrzyło się na szczytach w świeżym śniegu. Mimo okularów przeciwsłonecznych mrużyła oczy. Powinna sprawić sobie takie porządne, które zakrywają również boki, przeszło jej przez myśl.

Przejechała sto metrów i stanęła. Odwróciwszy kijek, wbiła go kontrolnie w podłoże. Przebił z łatwością cienką skorupę, która zdążyła powstać na świeżym śniegu, i grubą warstwę puchu pod spodem. Zatrzymał się na zwartej, przedwiosennie zamarznętej pokrywie. Piękny śnieg. Ale też niebezpieczny.

Przed nią żadnego śladu nart. Żadnego śladu skutera. Tylko ona jedna.

Ruszyła dalej. Miękki odgłos desek uderzających o podłoże. W góry! Kiedyś szczyty były wyraziste, szpiczaste, wysokie i twarde. Teraz, po ponad czterystu milionach lat, nabrały miękkich form. Spoczywały wokół niej niczym potężne istoty, leniwe wilczyce w półśnie. Puszysta biała sierść, ogromne łapy, nastroszone ucho. Obserwowały ją szczelinami oczu.

W połowie drogi do Låkta zatrzymała się i wypila trochę wody z niebieskiej butelki Nalgene, którą dostała kiedyś od Kristera. Powinna kupić nową.

Ich wspólne wyprawy do lasu i w góry. Zawsze czuła, że przy nim może po prostu być sobą. Ich współpraca we wszystkich sprawach praktycznych przebiegała bez słów. Jedno z nich rozpałało ogień, drugie rozłupywało zamarznąłą karmę dla psów. Kiedy rozbijali namiot, gotowali posiłki: cztery ręce i jedna myśl. Seks. Budziła się w nocy, wtulała w jego ciało i zasypiała ponownie.

Odbijała się teraz intensywniej kijkami. Nie chciała go zranić. Ale zraniła. Chciała być tą, na której można polegać. Ale na niej nie da się polegać. Psuje wszystko, czego się tknie. Coś jest z nią nie tak. Ma w sobie jakiś defekt, coś ostrego, co kaleczy innych.

Zdarzało się, że budziła go w środku nocy. Porozmawiaj ze mną. I rozmawiał. O psach, o lesie i wyprawach na ryby w dzieciństwie. Głaskał ją po głowie i czuła, jak wstępuje w nią spokój.

Na przełęczy między Låktatjåkka a Kärketjärro szło jej wolniej, niż chciała. Forsowała ostatnie strome podejście ku schronisku. Zebrało się tu wyjątkowo dużo śniegu.

Byle się nie zatrzymać, nie skrócić kroku w przód i w górę. Napiąć mięśnie w udach, wyrzucić biodra do przodu i położyć nacisk na środek narty, by maksymalnie wykorzystać foki. Zignorować kwas mlekowy. Ból to tylko słabość, która opuszcza ciało, jak mawiają starzy mieszkańcy Kiruny.

Dyszząc, zbliżała się do szczytu wzniesienia, widziała już domek Låktatjåkka. Było po sezonie, schronisko zamknięte. Świeży śnieg zasypał je niemal do połowy, sponad zwałów bieli wyglądały jedynie górne części czerwonych ram okien. Nareszcie. Była na nartach prawie od dwóch godzin.

Prawa noga do przodu. Lewa noga do przodu. Oddychała ciężko, pot lał się do oczu. Coś uwierało nieprzyjemnie w prawym oku, pewnie rzęsa.

Na wysokości domku Låktatjåkka zatrzymała się na chwilę i wypila więcej wody. Po lewej stronie widziała stare koło nawrotowe dawno już zlikwidowanego wyciągu, który kiedyś funkcjonował na stoku zwanym Pumphusbacken.

Wrzuciła do ust garść „mieszanki myśliwskiej”, składającej się z rodzynek, orzechów i kawałków czekolady. Przeżuła dokładnie, popiła wodą. Musi uzupełnić straty. Z niskim poziomem cukru i odwodnieniem nie dałaby rady jechać dalej.

Dalej?, zapytała jedna z olbrzymich wilczyc. A dokąd ty chcesz dotrzeć?

Rebeka spojrzała w kierunku szlaku letniego.

Strach musnął ją swym skrzydłem. Teren zagrożony lawinami, wiedziała o tym.

Nie masz na tyle odwagi, stwierdziły wilczyce. Zawróć, dziewczynko.

I wtedy dotarło do niej, że musi pojechać właśnie tą drogą.

Weźcie mnie, pomyślała. Nie zależy mi. Przestało mi zależeć na czymkolwiek już dawno temu.

Ruszyła przed siebie. Teraz musiała trzymać się ścieżki ukrytej pod śniegiem, by dotrzeć do dwóch jeziorzek przy ujściu doliny między Kuoblatjárro i Låktatjåkka. Żeby trafić w odpowiednie miejsce na przełęcz.

Tu i ówdzie widniały ślady pardwy. Wydeptane wąziutki, skrzyżowane ze sobą ścieżki. Wgłębienia, w których ptak się zaszywał.

Bała się, że przeoczy te dwa jeziora. W tak głębokim śniegu trudno ocenić, gdzie ich wody się zaczynają, a gdzie kończą. Przypomniała sobie pewną zimową wyprawę wędkarską z tatą, kiedy wywiercił dziurę w ziemi, przekonany, że stoją na jeziorze. Zniszczone noże wiertarki do lodu i urażona męska duma. „Nikommu o tym nie powiemy. I tak miałem zamiar kupić nowy świder”.

Palące słońce i jakby iskrzący deszcz strzał wylatujących ze śniegu sprawiły, że do jej oczu napłynęły łzy. Ale w końcu z uczuciem ulgi, dojrzała pierwsze podłużne jezioro. Ktoś kiedyś, dawno temu, nauczył ją takiego zdania: „Wewnętrzna krzywizna banana i górną krawędzią groszku dojdiesz do przełęczy, która prowadzi do górnego stawu, a przy Biran będziesz miała zbrocza gór”. Na dobrą sprawę zawsze ją to irytowało, że ktoś tak bez polotu nazwał piękne jeziora górskie bananem i groszkiem, ale teraz, gdy śnieg zamazał kontury, ta informacja była jak znalazł. Rebeka sunęła więc wzdłuż krzywizny jeziora, by nie przegapić jej końca, świst nart przybierał na sile. Lewa do przodu, prawa do przodu.

Omali nie przeoczyła punktu krytycznego między bananem a groszkiem, ale jakieś większe podwyższenie w podłożu świadczyło o tym, że znajdowała się na lądzie. W tych jeziorach nie łowiono ryb, więc to nie mogła być zapomniana chatka wędkarska. Raczej spory głaz. Z boku miała dwa szczyty Kuoblatjárro, powinna trzymać się tego po prawej stronie.

Wyciągnęła butelkę i znów się napiła. Mogła wziąć ze sobą więcej, woda była na wykończeniu.

Stała przez jakiś czas, nasłuchując, ale cisza między stokami przejmowała do głębi, niczym w monstualnej świątyni. W czasach, kiedy Måns wybierał się z nią na górskie wycieczki, a jej udało się doprowadzić go do podobnego miejsca, miała wrażenie, że ono zawsze w jakiś sposób napelniało go lekkiem. Stawał się niesłychanie rozmowny, gadał jak najęty. Ona reagowała odwrotnie: cisza ją uspokajała. Poruszała się bardziej miękko, stąpała uważniej.

A teraz wzniesienie ku przełęczy. Mięśnie ud protestowały. Nie dbając dłużej o technikę, pochylała się ku czubkom nart, opierała ciało na kijkach, żeby odciążyć nogi. Nie wyszło jej to na dobre, foki bowiem traciły kontakt z podłożem, narty ślizgały się do tyłu, bieg gubił rytm, rwał się, coraz bardziej wyczerpujący.

Napominała siebie samą. Tułów do tyłu, zaakceptuj ból, uczucie, że ktoś ci przekręca mięśnie wokół kości udowej w różne kierunki. Ramiona w tył, tak żebyś mogła wypełnić płuca powietrzem. Do góry, w przód. Trzymaj się prawej strony.

Kiedy w końcu miała dwa szczyty za sobą, była tak zgrzana, że czuła, jak pot spływa jej po plecach, jak szczypiące potoczki perlą się na łądźwiach i wzdłuż tylnej strony ud. Oczy bolały coraz bardziej, miała wrażenie, że przeciera je piaskiem.

Wyjęła butelkę, by stwierdzić, że jest pusta. Język niemal przyrósł jej do podniebienia. Wepchnęła do ust garść śniegu, rozglądając się wokół. Była na szczycie. Stała na górnym stawie. Na południowy wschód od niej wznosiła się Biran. I właśnie tutaj, między Biran a jednym ze szczytów Kuobla, otwierał się zjazd ku Kårsavagge, do którego zmierzała. Zbrocza były strome.

W sprzyjających warunkach narciarze off-pistowi albo młodzieńcy na sportowych skuterach ze specjalnymi gąsienicami mogli tu wyznaczyć trasy. Problem w tym, że tych sprzyjających warunków nigdy nie było. Prawie zawsze istniało zagrożenie lawinowe. To, co teraz robiła, zakrawało na szaleństwo. Rozumiała to w jakimś odległym zakamarku mózgu.

Przejechała przez pierwszy płaski odcinek. U podnóża Biran, jak to bywa przy zachodnich wiatrach, zebrało się mnóstwo świeżego śniegu. Kiedy dotarła do stromizny, którą miała zjechać w dół, zawahała się. Na razie nadal była bezpieczna. Teoretycznie ciągle jeszcze mogła zawrócić.

Wilczyce podniosły się na łapach. Teraz bacznie się jej przyglądały. Ich gorące oddechy lizały śnieg. No, pokaż. Jak sobie z tym poradzisz?

Zebrała narty i podskoczyła parę razy w miejscu, wsłuchując się w odgłos podłoża. Żadnych niepokojących sygnałów. Zdecydowanym ruchem ruszyła w przód i w dół. Śniegu było więcej, niż się spodziewała, wykonywanie płynnych skrętów przychodziło jej z trudem, przez moment nie panowała nad prawą nartą i omal się nie wywróciła. Kombinacja głębokiego puchu i wyczerpanych mięśni nóg. Potworna obawa przed utratą kontroli. Że nie poradzi sobie z amortyzacją, jeśli nagle zmieni się podłoże. Utrzymywała się na nogach, ale cały czas na granicy upadku. Zatrzymała się, by nabrać tchu.

Gdy tętno zwolniło, rozejrzała się, ogarniając wzrokiem przestrzeń. Musiała osłonić oczy dłonią. Każde mrugnięcie sprawiało ból. Oczy bolały też, kiedy je mrużyła. Te pieprzone diadymowskie okulary!

Czyś ty na mózg upadła? – myślała. Czyś ty naprawdę upadła na mózg?

Teraz miała podążać krawędzią pod najbardziej stromą partią Biran, gdzie stok łagodniał i przechodził w szeroką i zdecydowanie łatwiejszą formację w porównaniu z urwiskiem powyżej. Najwięcej śniegu zebrało się u podnóża szczytu, osłoniętego od zachodniego wiatru. Ale ponieważ opady były wyjątkowo obfite, również tereny położone dwieście pięćdziesiąt metrów wyżej dostały swoją porcję białego puchu. Słońce zdążyło roztopić wierzchnią warstwę, tworząc cienką szreni. Poczowała wdzięczność, że ciągle ma na nartach fokki, które w połączeniu ze stalowymi krawędziami zapewniały jej przyczepność, tak że nie musiała naciskać nartami na kruchą skorupę.

Po mniej więcej trzystu metrach usłyszała dźwięk. Jakby jedna z jej obserwatorek głęboko westchnęła. Sekundę później śnieg poruszył się pod nartami. Zaledwie drgnięcie, ale wyłapała je momentalnie i stanęła.

To nie wróżyło nic dobrego. Na tej wysokości śnieg powinien być wystarczająco stabilny dla samotnej narciarki.

Spojrzała ku szczytowi Biran. Trzy lemingi puściły się po szreni pędem strzały. Przypomniała sobie pewną starą mądrość: uciekające w górę lemingi to kłopoty w śniegu poniżej. No i ta szczelina w pokrywie śnieżnej przy samej krawędzi. Czy naprawdę była tu cały czas? Czy utworzyła się właśnie teraz?

Niebezpieczeństwo! Po chwili jednak przemówiła surowo do siebie:

Urojenia! Nic mi nie grozi. A te lemingi to jedna wielka bujda, szczelina – cienka linia zaledwie. Prawie nic nie widzisz w tych nędznych okularach i myślisz ci się mąca.

Jechała dalej. Mimowolnie poruszała się z większą rozwagą. Wbijając kijki lekko, leciuteńko. Nasłuchiwała w napięciu. Wkrótce usłyszała ten odgłos ponownie, to nie żadne urojenia. Tym razem dźwięk był potężniejszy, nie tyle westchnienie, co głuchy łoskot.

Śnieg poruszył się pod nią wyraźnie. Lęk zmroził krew w żyłach. Serce zaczęło się tłuc. Powoli odwróciła głowę, próbując zachować resztę ciała w bezruchu. Mimo ostrego słońca dostrzegła teraz wyraźne pęknięcie w wyższej warstwie śniegu, na granicy stromizny.

Obrywa się, pomyślała. Cała ściana śniegu obrywa się i zaraz zejdzie w ogromnej lawi-

nie.

Stała nieruchomo niczym zwierzę uwięzione w snopie świateł samochodu. Kijki w powietrzu, ze strachu, że dwie nowe dziurki w pokrywie śnieżnej wyzwolą siły, które zmiotą ją z powierzchni i pogrzebią w tonach śniegu.

Napawała ją lękiem nie tyle śmierć, co sposób, w jaki miała umrzeć.

Ramiona i nogi uwięzione jak w cemencie. Pogrzebana żywcem, umierająca świadomie. Śnieg w ustach, śnieg w nozdrzach. Dusząca się powoli podczas próby krzyku.

Nauczyła się, żeby w razie porwania przez lawinę zakryć twarz rękami, stworzyć kieszonkę powietrza. W oczekiwaniu na ratunek. Niejedna osoba przeżyła kilka godzin pod śniegiem, jeśli tylko miała trochę powietrza, a chłód spowalniał funkcje życiowe, zwiększając szanse na przeżycie. Krister uratował paru takich narciarzy ze swoim poprzednim psem, Zackiem.

Ale Krister i jego psy nie mogli teraz przyjść jej na ratunek. Nikt nie mógł przyjść. Nikt nie miał bowiem pojęcia, że ona tu jest.

Oddychała tak ostrożnie, że tchnienia zatrzymywały się w ustach, pierś była niemal nieruchoma. Z kijkami ciągle w powietrzu, starała się zebrać myśli.

Powrót nie wchodził w rachubę. Musiałaby poruszać się po obszarze, na którym już powstało pęknięcie.

Silny impuls, by skręcić ciut narty i po prostu poszusować w dół, opuścić zbocze, tak naprawdę byłby pułapką. Ryzykowała, że znajdzie się dokładnie w środku przewidywanej trasy lawiny. Poza tym lawina często rozszerza się stożkowo. Strefa niebezpieczeństwa byłaby coraz bardziej szeroka. Pozostawała ewakuacja boczną drogą. Istniała niewielka szansa, że uda się jej przejechać bokiem i zjechać skosem w dół, gdyby stało się to najgorsze. Ale jak miała to zrobić, skoro ledwie ważyła się oddychać, nie wspominając o odepchnięciu się kijkiem?

Nieskończenie ostrożnie zaczęła przesuwając jedną nartę w przód, prawie na nią nie naciskając. Po chwili drugą. Równie ostrożnie. Każdy ruch zdawał się śmiertelnie niebezpieczny. Jedyne, czego pragnęła, to jak największego spokoju. Chciała, żeby zbocza górskie, wilczyce, wyciszyły się, położyły, zapadły w sen. Był tylko jeden ratunek. Oddalić się. Krok po kroku.

Foki pod nartami zaczęły przeszkadzać. Hamowały. Zwiększone tarcie utrudniało ślizg lekkimi ruchami.

Po pięciuset metrach jazdy na nartach, która bardziej przypominała ruchy osoby ćwiczącej taijiquan, odważyła się dotknąć śniegu kijkami. A po chwili się nimi odepchnąć.

Zatrzymała się. Nasłuchiwała. Włożyła palce pod okulary i wytarła łzawiące, obolałe oczy. Mrużąc je, popatrzyła znów na pęknięcie. Powiększyło się? Trudno ocenić.

Obawiała się chwili, w której podłoże zacznie się obsuwać. Zostanie wyszarpięte spod nóg jak dywan.

Znów ostrożnie naprzód. Bez ustanku sondując ruchy śniegu.

Pot lał się pod pachami. Nie z wysiłku, lecz ze strachu. Kwaśna woń adrenaliny napięcia dotarła do jej nozdrzy.

Po nieskończeniu długim skradaniu się na nartach uznała, że jest w bezpiecznej strefie. Teren u podnóża Biran się wypłaszczył. Znajdowała się teraz z dala od stromizn Kuoblatjárro i Låktatjåkka.

Śmiertelna pułapka pozostała daleko za nią.

Nagle ugięły się pod nią nogi i klapnęła na tyłek, z butami w wiązaniach. Przewróciła się na plecy i z ciągle niewypiętymi nartami przeniosła na bok nogi zgięte w kolanach. Zerwała z twarzy okulary, zakryła oczy dłonią, czuła napływające łzy.

Wilczyce się położyły. Przestały się nią przejmować.

Elena Litowa, która w ewidencji ludności i w swoim paszporcie nazywała się Maria

Mäki, razem z Tonią przez całą dobę sprzątała dom. Nie spała, jej ręce były spierzchnięte i zaczerwienione. Ale udało się. Pracowały według sporządzonej wcześniej listy: wszystko, czego kiedykolwiek dotknęły, przemywały mieszanką wody, płynu do mycia naczyń i domestosa. Klamki, futryny, żarówki, włączniki, sprzęty w kuchni, patelnie, garnki, sztućce, szklanki, półki, stoły, blaty kuchenne, szczotkę do WC. Wszystko. Z pewnością coś przeoczyły, lecz znalezienie tego nie powinno przyjść lekko. Spaliły w kominku wszystkie ubrania, w kilku rzutach. W ostatnim – całą pościel.

Popatrzyła na zegarek. Usłyszała jakby mysie drapanie, to Tonia zeszkrobywała kolor ze swoich paznokci. Najpierw płaciła bająnskie sumy za te pazury, żeby potem – pomagając sobie zębami – pozbawić je grubych pokładów lakieru. W rezultacie paznokcie wyglądały jak obłazące z farby domy w miasteczku, w którym zlikwidowano przemysł.

– Kiedy? – zapytała Tonia z paznokciem między wargami.

Miała już na sobie złotą kurtkę puchową. Paczki z firmy Net-a-Porter przychodziły co najmniej raz w tygodniu. Oszczędzanie na czarnej godzinie to nie jej bajka. Oblewała łzami skwierczące w ogniu luksusowe ciuchy, jakby opłakiwała zmarłe dziecko.

– Za piętnaście minut – odpowiedziała Elena. – Ile par spodni masz na sobie?

– Trzy, ale nie widać. Jestem szczupła.

Elena powinna jej nakazać, by ściągnęła te podwójne warstwy. Wydać rozkaz. Ale była zupełnie wykończona, ledwie powłóczyła nogami. Dwa lata temu miała milion euro. Teraz nie ma nic.

Kiedy ten angielski adwokat skontaktował się z nią po kradzieży tożsamości firmy w Nowosybirsku, przedstawione przez niego plany były zbyt piękne, by mogły być prawdziwe. Cztery, góra pięć lat. Wyjść za mąż za Szweda. Kupić kilka przedsiębiorstw. Zgarnąć mnóstwo umów w krótkim czasie. Wydrenować projekty, opróżnić rezerwy paru firm. A potem zniknąć z co najmniej dziesięcioma milionami euro w kieszeni. Podkreślił wtedy, że Elena ma świetne zadatki. Wiedział, że studiowała ekonomię na państwowym uniwersytecie, nawet jeśli z powodu braku pieniędzy nie obroniła pracy. Pochwalił za oceny. Powiedział to, o czym myślała sama, że milion euro to dużo pieniędzy, ale nie dość, by wystarczyło do końca życia. Szczególnie w sytuacji, gdy służby bezpieczeństwa szukały jej za oszustwo podatkowe w Rosji. Obiecał jej nową tożsamość. Zarówno przed Kiruną, jak i po niej.

„Byłem taki jak ty”, powiedział. „Bystry, ale sam na świecie”. Pokazał jej zdjęcia swoich koni. Z okazałym budynkiem w tle, pałacem niemal. Wiedział, że będzie patrzyła na pałac. Tylko na pałac. „Muszę wziąć ze sobą swoją siostrę”, zastrzegła.

Odpowiedział, że to żaden problem. Poinstruował ją, co ma zrobić. Zapewnił, że w każdej chwili może się z nim skontaktować. Dodał, że potrzebne jej będą mięśnie i bezpieczeństwo. Przekazał namiary na firmę, która zapewnia tego typu ochronę.

They believe in you upstairs, dorzucił swoim perfekcyjnym angielskim.

Ta góra, myśl o niej, napawała ją chorobliwym lękiem. Góra zaludniona przez potężne i przerażające cienie, których nikt nie mógł dosięgnąć, ale które same potrafiły dosięgnąć wszystkich.

Gdyby Żora i Dima nie zawieźli tych dziwek na wyspę. Gdyby nie zatrudniła ich od samego początku. Gdyby, gdyby. Czowała się totalnie wyczerpana, wracając myślą do przeszłości i próbując dojść do tego, co i kiedy powinna była zrobić inaczej.

Tamtego wieczoru zadzwonił do niej Olle Pekkari. „Możesz mi, kurwa, wyjaśnić, co mój syn robi u mojego brata z paroma dziwkami w towarzystwie twoich pacholków?” Nie mogła. Był wściekły i nie do końca składny. Ale tyle zrozumiała, że niejaki Henry, który jest jego bratem, grozi policją i prasą. Zadzwoniła do Żory. Odebrał od razu. To profesjonalista, zawsze odpo-

wiada na jej telefon. Krótko i zwięźle przekazała mu, że jak nawarzyli piwa, to muszą je teraz wypić. Bezzwłocznie. Anders Pekkari jest dla niej niezbędny. Czy rozumieją, co by się stało, gdyby został wciągnięty w śledztwo w sprawie stręczycielstwa?

A później znaleziono ciało Henry'ego Pekkariego. I kobiety w śniegu. Próbowwała wtedy dać Żorze i Dimie wymówienie. Ale się nie zgodzili.

„Myślisz, że jesteśmy zatrudnieni przez ciebie?”, odparowali. „Kupujesz nasze usługi, a to nie jest to samo”.

Zdążyli wyczyścić swój rynek z niemal całej konkurencji. Zarabiali kupę szmalu. Nie zamierzali się nigdzie wyprowadzać. Zmieniły się między nimi relacje władzy. Zaczęli wchodzić do jej domu. Przesiadują przy stole w kuchni. Oglądają się za Tonia.

Skontaktowała się z firmą ochroniarską. Wy tłumaczyli jej, że zajmują się jedynie pośrednictwem kontaktów między zleceniodawcą a potencjalnymi zleceniobiorcami. Zwróciła się do góry. Zadzwoniła do adwokata. Był zimny jak lód. Twój podwładni, twoja odpowiedzialność.

Teraz nie miała pojęcia, gdzie oni są, Żora i Dima. I czuła wdzięczność, że dostała pomoc w ewakuacji. W ciągu ostatnich dwunastu godzin opłaciła faktury z czterech spółek w Kirunie, opiewające na pokażne sumy. Jest tylko kwestią czasu, kiedy to się wyda.

Z sypialni Fransa dobiegło wołanie.

– Halo! Halo! Halooooo!

Naciągnęła rękaw swetra na dłoń i odkręciła kurek w kuchni. Pozwoliła płynąć lodowatej wodzie, piła ją prosto z kranu. Tabletki uspokajające sprawiały, że czuła suchość w ustach.

Potrzebował się wysikać. Zrzucał przedmioty z nakastlika, rozeźlony, ponieważ nikt nie pojawiał się na jego zawołanie. Co za obrzydliwy kurdupel! Odpowiedziała życzliwie, że jest w drodze z kaczką. Zapytała, czy jeszcze czegoś potrzebuje. Uśmiechnęła się.

W domu nie było ani jednego telefonu. Nie będzie mógł nikogo zawiadomić. Tonia oczywiście chciała go zabić, jak gdyby któraś z nich była do tego zdolna. Nie było też ku temu powodu. On przecież nic nie wie. A w dodatku nie jest z tych, co się wygadują, to mu trzeba przyznać. Nie, nie ma zamiaru być ścigana za zabójstwo.

Poszła po kurtkę i torebkę. A dziadek niech się posika.

Tonia zerkała w lusterko wsteczne, gdy przejeżdżały przez Jukkasjärvi. Szare volvo V60, które stało w zatoczce przy Esrangevägen, jechało teraz za nimi. Policja w cywilu. Elena prowadziła z dozwoloną prędkością, lecz co chwilę rzucała okiem na prędkościomierz, żeby nie jechać zbyt wolno.

Cały czas czekała na moment, kiedy przyczepią do dachu koguta. Za każdym zakrętem spodziewała się blokady drogi. Bała się, że się z kimś zderzy, że na kogoś wjedzie.

Ale nic takiego się nie wydarzyło. Skręciła w ulicę Österleden, prowadzącą do centrum handlowego, i zaparkowała przed sklepem Coop. Cywile w volvo zatrzymali się ciut dalej.

Elena i Tonia wyszły z samochodu i nie oglądając się za siebie, ruszyły ku wejściu.

Mam swoje mocne strony, powiedziała Elena Litowa bezgłośnie. Studiowałam na uniwersytecie. Nie ćpam. Miała nadzieję, że następne miejsce, w którym ją umieszczą, będzie bardziej przyjazne dla człowieka. Tęskniła za morzem. Za ogródkiem kawiarnianym, w którym o zachodzie słońca, z szumem fal w tle, mogłaby sączyć pastis.

A jednocześnie była świadoma, że góra zainwestowała w ten projekt mnóstwo pieniędzy, które teraz przepadły. I że ona sama przy okazji rzuciła światło na monetarne autostrady owej góry.

Miała nadzieję, że za czterdzieści osiem godzin ciągle jeszcze będzie żyła.

Posterunkowi Gunnar Paulsson i Petter Autio podążyli za żoną Borówkowego Króla, Marią Mäki, i tą drugą kobietą, kiedy pojechały do miasta. Wypożyczeni z Gällivare policjanci ob-

serwowali z samochodu dom Króla tak długo, że zaczęły ich boleć plecy, a tyłki ciążyć betonem. Zatrzymali się na ogromnym parkingu przy centrum handlowym na Österleden.

– Wchodzimy do środka? – zapytał Gunnar Paulson, patrząc, jak kobiety znikają w Coopie.

– E tam – odparł dwadzieścia lat młodszy Petter Autio i przeciągnął się, postępując. – Zraz obok jest Frasses. Nie lepiej skorzystać z okazji i wrzucić coś na ruszt? To co, dwa zestawy Frassego, frytki i krążki cebulowe? Ważne, żebyśmy nie spuścili oka z auta.

– Frasses, zlituj się! – jęknął Gunnar. – Wiesz, ile to gówno ma kalorii?

– Ooo, nie możesz sobie choć raz odpuścić tej noworocznej obietnicy? Ja muszę w każdym razie zjeść lunch. A ty skocz se do Coopa i kup kawałek selera. Rodzimy hamburger to nie żaden hamburger! Jesteś już chudy jak szczapa, no, ile zrzuciłeś?

– Dwadzieścia pięć kilo! Pierwszy raz od dawna znów zobaczyłem siusiaka. Ani mi się waży...

Ostatnie słowa skierował do kolegi, który właśnie zamierzał rzucić komentarz w stylu: „Jakby było na co patrzeć”. Śmiejąc się, Gunnar w końcu dał za wygraną.

– Okej. Powiedz ile, to ci przeswishuję. A jak piśniesz choć słówko Loisan, to będziesz miał kłopot.

Petter Autio ruszył w kierunku restauracji Frasses. Odczekał swoje w kolejce i wrócił po dziesięć minut. Zjedzenie hamburgerów i wypicie słodzonego napoju zajęło im kwadrans. A potem zatrzymał się przy nich jakiś gość z Oinakkajärvi, były trener hokeja, który pamiętał Pettera z jego młodzieńczych lat w klubie. Zaczęli wspominać stare czasy. Jegomość miał i gadane, i poczucie humoru, a policjanci byli tak wynudzeni bezczynnością w samochodzie, że nawet nie zauważyli upływu czasu.

Von Post usiadł naprzeciw Andersa Pekkariego w pokoju przesłuchań.

– Wybacz, że musiałeś czekać – zaczął.

Musiał najpierw spotkać się z dwoma policjantami z NOA. Dochodzeniowi mieli ręce pełne roboty na froncie terrorystycznym w związku z ostatnimi eksplozjami w Brukseli. Byli zmęczeni i dosyć upierdliwi, ale morderstwu policjanta zawsze przyznawano wysoki priorytet. W koszu na śmieci w mieszkaniu Tommy’ego Rantakyrö znaleziono i skonfiskowano telefon. Mężczyźni z NOA nie dawali nadziei, że to coś wniesie do śledztwa. Telefon przypomina wietnamski V-smart, stwierdzili, ale byli przekonani, że system androida to zmyłka. Z takiego telefonu nie da się prowadzić normalnych rozmów ani łączyć z siecią Wi-Fi. Urządzenie miało najprawdopodobniej tajny system do szyfrowanego przekazu tekstu, dźwięku i obrazu. Żadnego GPS-u.

„W ostatnich czasach nie potrafimy ani wykrywać, ani podsłuchiwać zorganizowanej przestępczości”, podsumował jeden z nich, wzruszając ramionami z rezygnacją.

Pod samochodem Tommy’ego natrafiono na lokalizator GPS. Niedrogi wariant, jakiego ludzie używają w swoich łodziach i skuterach śnieżnych, narażonych na kradzież. Przyjęto, że w ten sposób mordercy go namierzali. Samochód przy drodze, a potem ślady w śniegu prowadzące do chatki.

Śledczy odmówili udziału w przesłuchaniu Andersa Pekkariego, ale zażyczyli sobie nagrania. Jeśli to cokolwiek da.

Anders Pekkari obiecał złożyć zeznanie. Prokurator miał nadzieję, że biznesmen nie zdążył się rozmyślić.

Teraz Fred Olsson ustawiał kamerę, sprawdzał baterie, zapis dźwięku i kartę pamięci. Von Post nie irytował się z powodu tej dokładności. Próbował konwersować z Andersem, a to o śnieżycy, a to o kawie z automatu, czy ta w ogóle nadaje się do picia, lecz mężczyzna nie wy-

kazywał chęci rozmowy i w końcu zapadła cisza.

Po chwili Anders zapytał:

– Nagrywacie już? Możemy zacząć?

Zapakowana w przezroczystą folię kanapka leżała przed nim nienaruszona. Między kącikami oczu a nasadą nosa miał sinoczarne plamy.

Fred Olsson uniósł szybko kciuk.

– Jest sobota, siódmy maja, godzina jedenasta dwadzieścia trzy – powiedział von Post najbardziej formalnym tonem, na jaki go było stać. – Przesłuchanie z Andersem Pekkarem. Pozostali obecni: komisarz Fred Olsson i ja sam, pełniący obowiązki prokurator rejonowy Carl von Post.

Anders Pekkari wziął głęboki oddech.

– Ponieważ wyraziłeś gotowość do udzielenia pomocy policji i do współpracy, proponuję, byś zaczął opowiadać i od tej opowieści wyjdziemy.

– Tak, o Boże, gdzie tu zacząć... – odparł Anders, przesuwając dłonią po twarzy. – Nasza płynność sięgnęła dna.

– Nasza, czyli czyja? I kiedy to było?

– Spółki. Bergsäk AB. Dwa lata temu. Między mną a ojcem dochodziło do zgrzytów, nie będę tego ukrywał. On stworzył firmę od zera, nikt mu tej zasługi nie odbierze. Ale brakuje mu ekspansywności. A ja uważam, że pieniądze powinny pracować. Wniosłem więc nasz kapitał, zaciągnąłem pożyczkę i zainwestowałem w norweskie przedsiębiorstwo zajmujące się odwiertami wydobywczymi. Obroty wzrosły, ale po jakimś czasie ta fińska spółka kopalniana, która u nas składała zamówienia, wpadła w jakieś kłopoty i zawiesiła płatności. A my...

Gestem pokazał gwałtowny spadek.

– Siedzieliśmy w głównej z nową firmą, całym parkiem maszynowym, niewypłaconymi pensjami i odsetkami, które trzeba było zapłacić. No i tak. Od Taggena Mäkiego kupowaliśmy wcześniej kontenery socjalne, więc znamy się od dawna. Zaproponował, że skontaktuje nas z inwestorem, który chce wejść na skandynawski rynek budowlany. Nie mieliśmy wielkich nadziei, budownictwo a przemysł wydobywczy to przecież dwie różne rzeczy. Ale nasze pierwsze kontakty były zadziwiająco pozytywne. Chociaż musiałem uciec się do perswazji, ojciec wykazywał raczej umiarkowany entuzjazm. Ale byliśmy w sytuacji, w której nie mieliśmy innego wyjścia.

– Rozumiem – wtrącił prokurator. – Chcesz się czegoś napić? Nie spieszy się nam.

Poczuł się zmęczony i przygnębiony, ciągle dręczyły go myśli o Annie Marii Melli, Tommym Rantakyrö i swojej żonie.

Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale właśnie ów stan ducha czynił go lepszym przesłuchawczem. Wyglądał na lekko zmiętego. Nie popędział i nie groził. Nie buzowały w nim żadne ambicje. Nie znajdował się po przeciwnej stronie, zarezerwowanej dla zwycięzcy. Siedział tam niczym pastor z nadkruszoną nadzieją, że spowiedź doprowadzi do czegoś w rodzaju wybawienia.

Fred Olsson podniósł się, wyszedł, żeby kupić coś do picia. Stojąc przy automacie w jadalni, starał się rozszyfrować nowego von Posta. Pomyślał: ja pierdzielę!

– Plan był prosty – kontynuował Anders Pekkari. – Kredyt opiewający na dziesięć milionów trzysta tysięcy. Plus nowa emisja. Mieli dostać czterdzieści procent spółki. Propozycja nie do odrzucenia. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

– Co to była za spółka? Z kim miałeś kontakt?

– Nazywa się William Ainsworth, senior legal advisor w jakiejś kancelarii adwokackiej. Zarządu spółki nigdy nie spotkałem. Mówił jak Brytyjczyk, który skończył prywatne szkoły. Szalenie miły. Dopóki robiłeś to, czego sobie życzył. Powiedział, że mamy prowadzić działalność jak zwykle. Inwestorzy nie chcieli nic narzucać. Ich rola miała polegać na „doradztwie”. Rosyj-

ska żona Fransa Mäkiego siedziała na zebraniach. Byli starymi znajomymi, mieli do niej zaufanie, ona ufała nam, ple, ple, ple.

– I jak to wszystko się potoczyło? – zapytał miękko prokurator.

Anders Pekkari wypuścił powietrze przez nos.

– Przejęli ster już na dzień dobry. Na sam początek dwie duże sprawy, najpierw park maszynowy. Mieliśmy go sprzedać i wynajmować, żeby uwolnić kapitał na inwestycje. Zgodziliśmy się na to, uzyskałem opcję na odkup, głównie ze względu na ojca. Chcieli, żebyśmy rośli w siłę, mówili. Jasne, ja też tego chciałem. W Kirunie teraz naprawdę kręci się biznes. Buduje się nowe miasto. LKAB zwiększa obroty. Poszukuje się nowych złóż. A potem nagle mieliśmy zainwestować w jakiś afrykański projekt wydobywczy. Próbowałem oponować. I od razu zrobiło się nieprzyjemnie. Adwokat pojawił się w towarzystwie dwóch Rosjan. Grozili mi, że zażądadą zwrotu pożyczki. Okazało się, że w umowie jest jakaś klauzula, że kapitał dłużny nie może przekraczać zasobów spółki, a ponieważ sprzedaliśmy maszyny... Przecież, kurka siwa, nie przywiązywałem wagi do takich szczegółów. Żaden tam ze mnie buchalter. A nasz rewident nie połapał się w niczym aż do momentu, w którym obudziliśmy się z ręką w nocniku. Mogli więc robić, co chcieli. Wmawiałem sobie, że ta inwestycja jest zgodna z prawem. Ponieważ chciałem w to wierzyć. Byłem zmuszony w to wierzyć.

Fred Olsson wrócił z trzema puszkami coli.

Anders Pekkari przycisnął swoją do czoła i mówił dalej:

– Żona Fransa Mäkiego zaczęła pojawiać się w biurze z Rosjanami. Musiałem podpisywać różne papiery. Zadzwoiłem do angielskiego adwokata, a ten poradził mi współpracować. Czuję, że mam na szyi pętlę. A Maria Mäki powiedziała, że Biuro do spraw Przestępstw Gospodarczych byłoby ogromnie zainteresowane inwestycją w zagranicznym projekcie wydobywczym. Siedziałem po uszy w gównie. To przecież ja jestem prokurentem, moje nazwisko widnieje na wszystkich dokumentach. To tak jak w programie przyrodniczym, który kiedyś obejrzałem w telewizji. O mrówkach zaatakowanych zarodnikami pewnego grzyba. Grzyb przejmuje kontrolę nad mózgiem takiej mrówki, ta wspina się na jakieś słoneczne miejsce i tam umiera. A z jej głowy wyrasta nowy grzyb. No więc stałem się taką mrówką. Szlag by to, Calle. Od ponad roku nie mogę spać. Cały czas, kurwa, umieram ze strachu.

– Czy możemy teraz przenieść się w czasie do tego wieczoru, kiedy Henry Pekkari zadzwonił do... – zaczął von Post.

– Tak, oczywiście. Mogę tylko skorzystać z toalety?

Mógł, oczywiście. Fred Olsson poinformował go uprzejmie, że drzwi nie da się zarygłować. Okna nie ma, a lustro jest odporne na rozbitcie. Zarówno policjant, jak i prokurator czekali na zewnątrz. Słyszac, jak z jelit przesłuchiwanego wytryskuje ich zawartość, patrzyli każdy w innym kierunku i udawali, że ich tam nie ma. Słyszac kręcącą się rolkę papieru toaletowego, mieli wrażenie, że odwinął jakieś sto metrów. Potem dwa razy spłuczka i szuranie szczotką w muszli, był z tych porządnych. Woda z kranu lała się pół wieczności.

W końcu wyszedł z kabiny. Mokry na twarzy i u nasady włosów.

– Możemy kontynuować? – zapytał prokurator.

Anders Pekkari skinął głową.

– Pojawili się u mnie w domu wieczorem ósmego kwietnia – zaczął, kiedy ponownie usiedli w pokoju przesłuchań. – Ci Rosjanie. Powiedzieli, że policja poszukuje ich dziewczyn. Pojąłem od razu, przecież kupili kamper na firmę. Teraz chcieli, żebym je gdzieś ukrył. Tylko na noc albo dwie.

Palcem wskazującym starł krople ze zroszonej puszkki.

– Mogli to zrobić na własną rękę. W zasadzie wcale nie potrzebowali mojej pomocy. Zro-

bili to tylko jako... Żeby zademonstrować siłę... Może też, żeby usidlić mnie jeszcze bardziej, ale chyba przede wszystkim po to, żeby pokazać, gdzie jest moje miejsce. No i robiłem, co kazali. Zamontowałem przyczepę, przymocowałem do niej skuter, a do niego sanki. Jechali za mną kamperem. Myślałem tak: u wujka Henry'ego jest spokojnie. Nikt się tam nie kręci. Z dala od policji. Ale Henry...

Anders otworzył swoją colę. Zasyczała. Wziął głęboki łyk i odstawił puszkę z hukiem.

– Przejechaliśmy na wyspę skuterem. Wysłaliśmy dziewczyny na poddasze, miały ze sobą torby i najmniejsze materace z kampera. Ale Henry, jak już wspominałem, dostał ataku szału. Darł się i krzyczał, że to nie żaden hotel dla dziwek. Zaczął grzmieć o babci i dziadku, jak gdyby...

Zaśmiał się smutno i pokręcił głową.

– Jak gdyby był obrońcą honoru rodziny. Chwycił za słuchawkę i zatelefonował do ojca. Wrzeszczał i ciskał gromy. Zagroził, że zadzwoni do gazety i na policję. Poinformuje, że jego nieposzlakowany i sumienny syn rozbija się po nocach z kurwami. Ojciec zadzwonił więc do Fransa Mäkiego.

Von Post zerknął na swój telefon. Nic nowego o Melli. I nic od Eriki.

– I ojciec zapytał prosto z mostu, czy oni sobie w chuja lecą – kontynuował Anders Pekkari. – Przeklinał soczyście, choć może nie do końca, bo przecież z Marią rozmawiał po angielsku. Możecie go zapytać, jakich słów użył. Ale tato nie zlecił im zabicia Henry'ego. Na pewno tego nie zrobił. Mimo wszystko Henry był jego bratem.

– Opowiedz po kolei – poprosił von Post ze spokojem i pomyślał, że akurat o tym, co powiedział jego ojciec, Anders wie tyle co nic. – Opowiedz, jak ty to widziałeś. Przecież nie miałeś pojęcia, że twój ojciec skontaktował się z Fransem Mäkim. Czyli tak: Henry zadzwonił do twojego taty. Ci Rosjanie... Wiesz, jak się nazywają?

– Nie. Tato i ja nazywamy ich buldogami, po prostu. Chociaż raz zapytałem. *You can call us Sven and Sven*, odpowiedzieli.

Sven i Sven, pomyślał Carl von Post. Równie prawdopodobne jak Jegor Babicki i Jurij Juszenkow.

– Co się stało, kiedy Henry zadzwonił do Ollego?

– Jeden z tych „Svenów” zapytał mnie, o co chodzi. Odpowiedziałem, że Henry rozmawia z moim tatą. Byłem wtedy dość roztrzęsiony. Próbowalem, na tyle, na ile to możliwe, nie wtajemniczać ojca. Jeden z buldogów wyrwał Henry'emu słuchawkę i odłożył ją. Po chwili zadzwoniła jedna z ich komórek. Krótka rozmowa. Buldog, który odebrał, prawie nic nie powiedział. Albo...

Von Post wyprężył się trochę. Fred Olsson oderwał wzrok od ekranu kamery i nie odwracając głowy, spojrzął na Andersa, który szukał w pamięci.

– Powiedział jakieś rosyjskie słowo, kiedy skończył rozmowę, ale przecież nie znam rosyjskiego.

– Spróbuj sobie przypomnieć. Zamknij oczy, jeśli ci to pomoże.

Anders Pekkari przymknął powieki. Prokurator i policjant otwarli usta, by oddychać bezgłośnie.

– Włożył komórkę do kieszeni. Popatrzył na tego drugiego. I powiedział: „Litowa”. Jakby przekazywał jakiś rozkaz. A potem pchnął Henry'ego na sofę. I... no, kurwa, po prostu usiadł na nim, wysoko, prawie przy głowie. Chwycił za poduszkę, przycisnął mu ją do twarzy. A Henry... szamotał się trochę i wymachiwał rękami, ale wszystko poszło strasznie szybko. Nagle znieruchomiał. Nie rozumiałem do końca, co się stało. A później...

Umilkł.

– Litowa. Jesteś pewien, że właśnie to powiedział?

– Tak.

– Świetnie sobie radzisz – wymamrotał von Post, jednocześnie wystukując i wysyłając wiadomość z poleceniem natychmiastowego zatrzymania Eleny Litowej alias Marii Mäki. Teraz ją mają! Nie za podżeganie do zabójstwa, oczywiście, bo materiał dowodowy zbyt cienki. Ale za kradzież tożsamości firmy Bergsäk, za szantaż i groźby bezprawne. Zawsze coś. – Robisz to, co należy – dodał. – Mów dalej. Wkrótce zrobimy przerwę.

– A później w drzwiach pojawiła się jedna z tych dziwek. Pisnęła, zobaczyła przecież Henry’ego, no a... buldog ciągle na nim siedział. Puściła się w te pędy na górę. Słyszałem, jak dziewczyny krzyczały na poddaszu. Buldogi wymieniły ze sobą parę słów po rosyjsku. Ja siedziałem wtedy na podłodze. Nie mogłem ustać na nogach. Jeden ciągle siedział na Henrym, z poduszką. Ten drugi wszedł po schodach na górę. Potem wrócił. Poszedł do sieni, słyszałem, jak przeszukuje wiszące tam klucze. Wyszedł z domu. Słyszałem, jak odpala skuter Henry’ego i odjeżdża. Ten drugi kazał mi wstać. Ale nie mogłem się podnieść. Poszedł po rzeczy dziewczyn, wyniósł je przed dom. Wziął też ze sobą poduszkę, którą przyciskał Henry’emu do twarzy. Wytarł słuchawkę telefonu i może jeszcze coś. Po jakimś czasie wrócił ten drugi. Opuściliśmy wyspę moim skuterem. Ostrzegli mnie, żebym trzymał język za zębami. Śmierć Henry’ego miała wyglądać na naturalną. Śmiali się, że mam szczęście, bo kazali mi przecież zostawić telefon w domu. Ich komórki nie dało się namierzyć.

Von Post pomyślał o telefonie znalezionym w koszu na śmieci Tommy’ego.

– Bałem się tak, że szczękały mi zęby – powiedział Anders Pekkari. – Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłem. Nie wiedziałem, że można się tak bać. I to wcale mi nie przeszło. Nie powiedziałem nic Carinie. Chociaż ona oczywiście się domyśla, że coś jest nie tak. Ojcu też nie. No a potem on się dowiedział, że Henry został zamordowany. Kiedy Rebeka Martinsson była u niego w domu... Jestem załatwiony. Siedzę w biurze i tylko przekładam papiery. Nawet nie potrafię myśleć.

– Przerwiemy w tym miejscu – zarządził von Post. – I porozmawiamy potem z twoim ojcem.

– Musicie pojechać po Carinę i chłopców! – wybuchnął Anders. – I mamę! Żeby oni nie...! Dlatego że z wami rozmawiam!

– Pojedziemy – odparł von Post. – Choć jesteśmy niemal pewni, że ci mężczyźni opuścili Szwecję.

Gdzieś, pomyślał, gdzieś na świecie siedzą ludzie i szukają takiego miejsca jak Kiruna. Siedzą z mapami i masą informacji. Analizują, podejmują decyzje. Znajdują miejsca, które można wydrenować do dna. Planują i wysyłają tam odpowiednie osoby.

Jego emocje miały teraz coś z metronomu. Wahwały się między strachem a histerią zwolennika teorii spiskowej.

Posterunkowi Gunnar Paulsson i Petter Autio rozmawiali długo z mężczyzną z Oinakkajärvi. Któryś z nich napomknął o Estrange^[30]. Nie to, że powiedzieli, co robią w Kirunie, nie zdradzili przecież, że siedzieli wieczność w samochodzie zaparkowanym w zatoczce przy Estrangevägen i że śledzą Marię Mäki i Tonię Litwinowicz. To była raczej ogólna pogawędka o mieście, branży turystycznej, kopalni i kosmodromie.

– Czy oni się tam właściwie zajmują? – zapytał Gunnar Paulsson.

– Wysyłają w kosmos emerytowane psy zaprzęgowe – zaproponował Petter Autio.

Mężczyzna z Oinakkajärvi, stary nauczyciel fizyki, mógł trochę o tym opowiedzieć. Okazało się, że pracuje tam szwagierka jego kuzynki. Kiruna jest ponoć najlepsza w świecie w konstruowaniu instrumentów, które mierzą jony i wysokoenergetyczne neutrony.

– Ach, te! – zaśmiał się Peter.

Były nauczyciel powiedział, że tu chodzi o badania podstawowe. O eksperymenty naukowe, których celem jest nie tyle udoskonalenie jakichś wynalazków czy leków, ile zrozumienie tego, jak świat jest urządony. Ot, badania naukowe powodowane ciekawością.

– Moim zdaniem to fajnie, że prowadzą tego typu działalność właśnie w Kirunie – zakończył.

Posterunkowi, śmiejąc się, doszli do wniosku, że chyba obrali w życiu nieprawidłową drogę. Badania naukowe powodowane ciekawością! Tym się człowiek powinien zająć. Czy to ma jakieś znaczenie, czego ta ciekawość dotyczy? Zaproponowali w żartach kilka mniej lub bardziej srośnych pomysłów.

Mężczyzna z Oinakkajärvi zapytał, czy słyszeli o Nagrodzie Ig Nobla. Przyznaje się ją naukowcom, których badania najpierw zdają się niedorzeczne, ale które często okazują się mieć większe znaczenie, niż się można było spodziewać. Opowiedział o nagrodzie dla matematyków, którzy obliczyli, ile zdjęć grupowych trzeba zrobić, aby choć na jednym nikt nie miał zamkniętych oczu. Co najmniej siedem, jeśli fotografowano mniej niż dwadzieścia osób. Nagrodę pokojową w 2006 roku przyznano Walijczykowi, którego przyczynek do pokoju w świecie polegał na wynalazku elektromechanicznego odstraszacza nastolatków, wytwarzającego irytujący dźwięk o wysokiej częstotliwości, słyszalny tylko dla młodzieży.

Policjanci byli zgodni, że ten ostatni pomysł to społecznie ważne i w najwyższym stopniu użyteczne odkrycie. Może właśnie taki dings zamiast koguta na dachu?

Petter Autio, zebrawszy leżące na podłodze samochodu pozostałości po lunchu, papierowe pudełka, kubki, torebki i serwetki, poszedł je wyrzucić. Właśnie wtedy zadzwieczał jego telefon. SMS od prokuratora von Posta, krótki i zwięzły. *Zatrzymajcie Marię Mäki.*

Wcisnął śmieci do przepełnionego już kosza na odpadki i wrócił do samochodu.

– Pora trochę popracować – oznajmił koledze.

– Miło się z panem rozmawiało – zwrócił się do mężczyzny z Oinakkajärvi – ale teraz musimy podjąć działanie na rzecz społeczeństwa.

Wskazał głową na sklep Coop. Gunnar Paulsson wyszedł z samochodu i zamknął go pilotem.

Mężczyzna z Oinakkajärvi pożegnał się pośpiesznie, pełen szacunku dla ich pracy, choć akurat z jej powodu tak niespodziewanie musieli zakończyć pogawędkę.

W drodze do centrum handlowego Petter wyjaśnił sytuację. Wmieszali się w tłum klientów z wypełnionymi po brzegi wózkami, sobotnich zakupowiczów z Kiruny i okolicznych wsi. Przejrzeliby wszystkie alejki między półkami, sprawdzili aptekę, sprawdzili restaurację, by po chwili jeszcze raz obejść cały sklep spożywczy.

Petter wybiegł na parking. Samochód Marii Mäki stał na swoim miejscu.

Po ponadpięćdziesięciominutowym poszukiwaniu poddali się i złożyli raport. Maria Mäki i Tonia Litwinowicz zniknęły jak kamień w wodę.

REBEKA MARTINSSON to siedziała, to leżała w śniegu. Rozłożyła pod sobą plecak i siedzisko na tyle, na ile potrafiła. Nieziemsko zmęczona, ręce i nogi jak z galarety. Słońce jak piec do wypalania ceramiki.

Zrozumiała, że ma ślepotę śnieżną. Miała wrażenie, że ktoś pociera jej rogówkę piaskiem.

Tylko chwilkę odpoczną, pomyślała. A potem pojedę na nartach przez Kårsavagge do Abisko. To pewna droga. Nie da się zabłądzić. Spokojnie i powolutku. Dojadę, kiedy dojadę.

Ból głowy, spowodowany odwodnieniem, był nie do wytrzymania. W trakcie biegu na nartach pot lał się przecież z niej strumieniami, świeciło słońce, a ona miała ze sobą za mało wody. Język zdawał się w ustach ogromną grudą. Szorstki, z powiększonymi, sztywnymi bro-

dawkami; Rebeka co chwilę przeciągała nim po podniebieniu, co tylko pogarszało uczucie suchości.

Jadła śnieg i jeszcze więcej śniegu, z dość mglistą świadomością, że ów nie zawiera soli i że to właśnie brak sodu powoduje mdłości.

Kołujący nad nią myszołów włochaty rzucał cień na śniegu, ale nie miała siły podnieść oczu, by podążyć za ptakiem. Jego wrzask przeszył jej czaszkę jak piła szablata.

Było już po drugiej. Powinna naprawdę...

Spróbowała wstać, nie czuła się jednak zbyt pewnie na nogach. Najwyraźniej spadło jej też ciśnienie.

Niedobrze, pomyślała, znów się kładąc. Nie do końca wiedziała, czy ma na myśli swój stan, czy cały ten idiotyczny pomysł.

Nie, to nie był zły pomysł.

Wyruszyłam na wędrowkę, pomyślała przekornie. Sama. Poradziłam sobie. Przedałam się między Biran a Kuobłą.

Szaleństwo. Owszem, przejechała na nartach między wilczymi łapami śmierci. Bała się, że umrze, zniesiona lawiną, unieruchomiona jak w imadle, ze śniegiem w ustach.

Ale żyć jest gorzej, pomyślała. I stale z kubkiem żebraczki w ręce. Czego właściwie oczekuje od innych? Co mają jej do tego kubka włożyć?

Poczuła, że coś się w niej poluzowało. Poczuła się wolna.

Wszystko mi jedno, pomyślała. Dokładnie wszystko.

To nie była akurat myśl, która ubrana w słowa mogła służyć za afirmację przypiętą do tablicy z ogłoszeniami.

Ale związane z nią uczucie pomogło jej wstać.

Założyła plecak, wpięła buty w narty.

Szreń zmiękła. Rebeka zapadała się przy każdym kroku w dziewiczym śniegu. Wisiała na kijkach, które przebijały się coraz głębiej.

Poddała się po niespełna dwustu metrach. Była zbyt chora. Zbyt słaba. Nie dawała sobie rady.

I wtedy usłyszała odgłos skutera.

– Rebeka Martinsson! – przywitał ją mężczyzna, wyłączwszy motor. – A więc to ty tutaj sobie wędrujesz!

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

– Nisse?

Jak zwykle ubrany w oryginalny kombinezon Ski-Doo z żółtymi wstawkami. Mocno zacisnięty pas z nitami w kolorze bieli, nieba i czerwieni, zwisająca zeń finka, na nogach klasyczne kozaki z dziobami, a na głowie nieśmiertelna czapka z lisiego futra, naciśnięta głęboko na czoło, zasłaniająca twarz ogorzałą i pomarszczoną niczym liść tytoniu.

Znali się od dawna. Niilas Skârpa pochodził z rodziny pasterskiej. Jego najstarszy brat, Anden-Heikka, od urodzenia był wyznaczony do przejścia stada reniferów, więc całe życie szło mu jak po maśle. Maśle z reniferowej sznytki, zwykł dodawać młodszy brat.

Bo młodszemu nie udało się znaleźć swego miejsca na świecie. Od dziadka ze strony mamy dostał wprawdzie rodowy symbol do znakowania reniferów. Ale ponieważ dziadek był nieszczęsną duszą z pociągami do butelki i turystek ze Sztokholmu, koniec końców okazało się, że ma zaledwie gromadkę zwierząt u jednego z kuzynów. I z jakiegoś dziwnego powodu stado kuzyna ciągle przyrastało, a dziadkowi zostały dwa mizerne byki, i gdy zaczęła obowiązywać nowa ustawa o hodowli zwierząt, rodowy symbol trafił szlag.

W młodości wiązał jeszcze jakieś nadzieje z Risten Poidnakk z Dellik, dziewczyną, która

patrzyła na niego łaskawym okiem. Była najstarszym dzieckiem w rodzinie pasterzy, która miała tylko córki i mnóstwo reniferów. Piękna była, kruczowłosa. Kiedyś pomógł jej zawinąć oblużowaną tasiemkę wokół cholewki botków. A jej dłoń spoczęła na jego ramieniu. Tamtej jesieni przybył do Giron na saamskie tańce, odziany w tradycyjne gákti ze srebrnymi ozdobami i z uśmiechem od ucha do ucha. Ale Risten zniknęła razem z jego starszym bratem. Bo cóż może być lepszego niż duże stado reniferów? Jeszcze większe stado tychże.

Anden-Heikka i Risten pobrali się; Nisse z niechęcią patrzył na to wszystko, o czym marzył, a co przypadło w udziale jego bratu: Risten, dzieci, renifery. Pojawiał się na rytualnych znakowaniach młodych reniferów i przy selekcji zwierząt, ale poza tym spotykał się z rodziną brata niezmiernie rzadko.

Rebeka nie musiała werbalizować swojej radości i wdzięczności, które poczuła na widok Nissego. On to zrozumiał. Wyjął termos z sokiem z czarnej porzeczeki, wafel w czekoladzie i zielone jabłko, które pokroił na kawałki.

– Jedz – powiedział z odmownym gestem, gdy próbowała oddać mu połowę wafla. – I pij. Do dna! Nie ma co zostawiać.

Od wielu lat Nisse radził sobie, biorąc prace zlecane w turystyce, reperował kładki wzdłuż szlaków wędrownych, transportował butle z gazem i drewno do schronisk pod egidą Szwedzkiego Towarzystwa Turystycznego. Całe swoje życie miał w dwóch kufrach przytwierdzonych do skutera. Kilka kraciastych koszul, bandany, które spinał pod szyją obrączką z rogu renifera, wełniana bluza i kalesony, para dżinsów i skórzane spodnie. Slipy kupował w opakowaniach liczących dwanaście sztuk i wyrzucał jedne po drugich, w miarę używania.

Rebeka zauważyła, że Nisse przygląda się śladom jej nart, zanikającym w śniegu na północy, od strony przełęczy.

– Przyjechałaś z Lákty?

Skinęła głową, nie dało się skłamać, nie chciała zmyślać.

Nawet jeśli poczynił jakieś refleksje na ten temat, zatrzymał je dla siebie.

Zamiast komentować, spojrział na nóż wiszący u jej pasa i momentalnie zgadł, który z rękodzielników go wykonał.

– Mogę zobaczyć twoją dłoń? – zapytał, kiedy opróżniła termos, wylizała kawałki czekolady z opakowania po waflu i zjadła wszystkie kawałki jabłka.

Wyciągnęła przed siebie rękę. Wziął ją w swoją okazałą grabę, sprawdził grzbiet dłoni, uszczypnął jej skórę. Odształcona fałdka utrzymała się przez dłuższą chwilę.

Rebeka poczuła się jak głupia siksa w górach, odwodniona i ze ślepotą śnieżną. Ciągle męczyło ją pragnienie, ale nie odważyła się zapytać Nissego, czy ma coś więcej do picia.

On był z tych przemyśłych i uczynnych. Poznali się w Nutti Sámi Siida, osadzie Saamów dostępnej dla turystów w Jukkasjärvi. Była tam na imprezie firmowej zorganizowanej przez prokuraturę w okręgu Norrbotten.

Kiedy miała już dość narzekań kolegów i swoich własnych – na temat adwokatów (nie do pojęcia, że niektórzy za swoje działania w sądzie są opłacani z pieniędzy podatników, oskarżeni mieliby większe szanse bez wystąpień i pytań obrońcy), kiepskich sędziów (niektórzy kupują najbardziej chore zarzuty, równie dobrze można by umorzyć postępowanie, wiedząc, kto będzie sędzią przewodniczącym), zrujnowanych planów urlopowych z powodu rozpraw w sądzie apelacyjnym i nadmiernego obciążenia pracą, marnych płac i marnych policjantów – wycofała się do zagrody dla wykastrowanych reniferów. Tam spotkała Nissego, który właśnie zabierał się do wieczornego karmienia zwierząt granulkami i chrobotkiem reniferowym. Zapytała, czy może mu pomóc. I owszem, mogła.

Wyjaśnił jej, jak powinna się zbliżać do zwierząt, nauczył, jak z nimi rozmawiać, spokoj-

nym, cichym głosem, by cały czas wiedziały, gdzie się znajduje. Chciała wiedzieć, czy któryś z reniferów jest narowisty, czy trzeba się przed którymś mieć na baczności, ale Nisse odparł, że wystarczy je tylko dobrze traktować, a wtedy niemal każdy będzie łagodny w kontakcie.

Potem siedzieli przy ognisku. Pili kawę i jedli kawałki zielonych jabłek, które były jedynym nałogiem Nissego.

Obydwoje wyrazili pochwałą samotności, a on opowiedział o swoim życiu bez stałego miejsca pobytu i o tym, że teraz musi pracować z turystami w Nutti, ponieważ miał ogromne zaległości w płaceniu podatków. Ponad piętnaście tysięcy. Oddał na złom swój stary Ski-Doo Elan, choć ów z racji wieku powinien raczej nabrać wartości zabytkowej, i sprawił sobie Ski-Doo Tundra. Problem w tym, że wykorzystał wszystkie oszczędności na kupno nowego pojazdu i nie miał z czego zapłacić podatku. Pisma z urzędu skarbowego były tak przygnębiające, że w końcu przestał je otwierać. A fiskus bez przerwy suszył mu głowę.

Skończyło się na tym, że Nisse przyniósł papierową reklamówkę pełną rachunków i kwitów. Rebeka przejrzała je szybko i zapytała właściciela, czy może je pożyczyć i wziąć do domu razem z upoważnieniem, spisanim naprędce na odwrotnej stronie jadłospisu.

Wróciła tydzień później z segregatorem, w którym uporządkowała wszystkie papiery. Zażądała od urzędu ponownego rozpatrzenia decyzji podatkowej. Po odliczeniu różnych kosztów wysokość zaległego podatku zmalała o połowę. Wniosła o odroczenie płatności i zaprezentowała harmonogram spłaty długu.

Nie powiedział „dziękuję”, tylko „aha”. Ale od tego dnia pojawiał się u niej od czasu do czasu z wędzoną rybą albo suszonym mięsem najwyższej jakości.

Zdarzało się, że kupowała zielone jabłka, chociaż sama ich nie jadła. Na stoisku z owocami przypominały jej o Nissem.

– Co tutaj robisz? – zapytała go teraz.

Nie mogła otworzyć oczu. Czowała przeciskające się między rzęsami łzy.

Odpowiedział, że sprawdza tropy pardwy.

– Ale teraz nie wolno polować – dodał miękkiem głosem, który zawsze brzmiał, jakby lada moment miał przejść we *vuolle*, spokojny joik. – Jeździć skuterem też nie, więc najlepiej się stąd oddalić. I myślę, że cię podwiozę. Ale wrócimy inną drogą niż ta...

Skinął głową w kierunku, z którego przybyła Rebeka.

Potem wydusił z niej, że zostawiła samochód na przystanku w Låkta.

Siedziała za nim, obejmując go ramionami. Miał tyle lat, ile miałby jej tato, gdyby żył. Dzieliły ich jedynie trzy miesiące.

Na przystanku uparł się, że odwiezie ją do domu. Usiadła w fotelu pasażera. Nie mogła prowadzić. To oczywiste.

Zatrzymał się w Björkliden, wziął jej kartę płatniczą i kupił wodę mineralną oraz niewielkie opakowanie chipsów.

Nie ulegało wątpliwości, że prowadzenie jej luksusowego auta sprawiało mu radość. Zapytał, ile kosztowało, i przełączył radio na P4 Norrbotten, z którego połała się muzyka łatwa i przyjemna.

Podawała cenę samochodu zgodnie z prawdą i zasnęła. Obudziła się, gdy stanęli na jej podwórzu.

– Ale jak ty się teraz dostaniesz do domu? – zapytała.

– Nie ma problemu – zapewnił. – Zadzwoiłem do kuzynki, zaraz po mnie przyjedzie.

Anna Maria Mella obudziła się ze śpiączki kwadrans po piątej po południu, siódmego maja. Robert drzemał obok.

We śnie wymówił jej imię i – obudziwszy się – usłyszał jej głos.

– Zaniósłeś buty Jenny do szewca?

Robert otworzył oczy. Miał wrażenie, że umysł płała mu potwornego figla.

Ale ona patrzyła na niego swoim jednym okiem. I gdzieś tam w środku była tą samą Anną Marią. I wypowiedziała jego imię.

– Robert.

A po chwili.

– Boże drogi, jak ty wyglądasz! Jak po swoim wieczorze kawalerskim!

Zaśmiała się. I skrzywiła zaraz w nagłym grymasie. Ręce uniosły się ku pozszywanej części twarzy.

W ciągu ostatniej doby jego głowa była tak bardzo przepełniona katastrofami, że słowa „krwiak wewnątrzczaszkowy” zaalarmowały mózg niczym wyjąca syrena. Nacisnął guzik wzywający personel i wybiegł na korytarz. Zaczął krzyczeć:

– Ona umiera! Ona umiera!

Za sobą znów usłyszał jej głos:

– Co ty wyprawiasz? Odbiło ci?

A po chwili z obawą w głosie:

– A gdzie ja jestem?

Pielęgniarka przybiegła pierwsza. Za nią jej asystentka. Lekarz przemierzał korytarz długimi krokami. Robert próbował wejść do sali, ale go wyproszono.

Stał przed drzwiami jak słup soli. Bezgłośnie powtarzał raz za razem:

– Dobry Boże, dobry Boże, dobryBożedobryBożedobryBoże.

Jak gdyby jej szanse na przeżycie rosły proporcjonalnie do liczby słów wypowiedzianych w ciągu minuty.

Elena Litowa zniknęła. Podobnie jak Tonia Litwinowicz. Koledzy w Narviku ustawili patrol na granicy. Koledzy z Gällivare ustawili kolejny przy E10, na północ od Svappavaary, za skrzyżowaniem z E45 ku wschodowi. Policja w Kirunie zablokowała nawet drogę na zachód, ale ta prowadziła jedynie w góry, a nie z kraju. Poinformowano fińską policję graniczną, która wezwała posiłki.

Kamery monitorujące wewnątrz sklepu Coop pokazały, że kobiety przeszły przez sklep i za stoiskiem z wędlinami dostały się do części służbowej i magazynu. Tam nie było żadnych kamer, ale przyjęto, że wydostały się z budynku przez wejście dla personelu. Kod był potrzebny, żeby otworzyć drzwi od zewnątrz, wyjść natomiast można było bez żadnego zabezpieczenia.

Dzień wcześniej ktoś rzucił kamieniem w kamerę monitorującą przy rampach rozładunkowych. Nie działała więc. Podłoże na tyłach budynku było rozjeżdżone przez różne samochody i nie dało się ze śladów opon wywnioskować, jakiego typu pojazd przyjechał po uciekinierki.

Gdzie się podziały? Pozostało tylko zgadywać. W porozumieniu z kolegami z NOA zdecydowano, by mimo wszystko przeczesać teren helikopterem. Rosjanie mieli dostęp do białego kampera marki Kabe. Teoretycznie mogli nim odebrać Elenę Litową i Tonię Litwinowicz, ale to było bardzo mało prawdopodobne.

Wysłano personel medyczny do Fransa Mäkiego. Przygotowano dla niego miejsce w domu spokojnej starości. Borówkowy Król miał zaskakująco ograniczoną wiedzę na temat zaginionych kobiet.

Tonia Litwinowicz była zatrudniona jako jego niewykwalifikowana pielęgniarka. Co o niej wiedział? Że ścieliła mu łóżko i opróżniała basen. Coś więcej? Że nie umiała ugotować nawet jajka. Dwóch Rosjan? Lokatorzy, z tego co wie, pracują przy budowie jakiejś drogi. A o swojej żonie: nigdy nie słyszał nazwiska Elena Litowa.

– Nazywała się Maria Berberowa – wyjaśnił śledczym z NOA.

Była zainteresowana kupnem jednej z jego firm, on sam jest świetnie prosperującym przedsiębiorcą, jeśli tego nie wiedzieli. Od słowa do słowa i po jakimś czasie się pobrali.

Przesłuchano również Taggena Mäkiego. Wyjaśnił, że kontakt z ojcem ma sporadyczny, w zasadzie żaden. Nie został nawet zaproszony na ślub. Maria Berberowa skontaktowała się z nim w sprawie kupna firmy. Chodziło o przedsiębiorstwo drzewne, które przede wszystkim produkuje kontenery socjalne. Zawiaduje nim Taggen, ale formalnie właścicielem w dalszym ciągu pozostaje ojciec. To Taggen spiknął ich ze sobą.

– Można powiedzieć, że ona go usidliła – dodał.

To wszystko prowadziło donikąd. Śledczy z NOA, podobnie jak von Post i pozostali policjanci zaangażowani w sprawę, już dawno temu zrozumieli różnicę między tym, co wiedzą, a tym, co mogą udowodnić. Nie było podstaw do aresztowania. Carl von Post mimo wszystko skonfiskował księgi rachunkowe firmy produkującej kontenery socjalne.

Pozwolili mediom opublikować zdjęcia rosyjskich mężczyzn i kobiet. Nie mieli nic do stracenia.

Sivving poświęcił chwilę, by dokładnie wyczyścić buty o wycieraczkę, nim wspiął się po schodach do Rebeki Martinsson. Schody miała strome i upadek byłby początkiem końca.

Kiedyś się tu zabije, pomyślał, ściskając mocniej poręcz. Bella i Smarkacz przeciskały się niecierpliwie, by zdążyć przed nim.

Zanotował poirytowany, że każdy stopień jest mokry od stopniałego śniegu. Gdyby tak młoda dama również mogła spędzić trochę czasu na wycieraczce. Choćby ze względu na niego.

Jej samochód stał na podwórzu, ale nie przyszła odebrać Smarkacza. A kiedy wyszedł z psami na siku, zauważył, że we wszystkich oknach zaciągnęła rolety. To było dość dziwne. I niepokojące.

Wszedł bez pukania. Gotowy do skarcenia jej za ten naniesiony śnieg na schodach. Ale nagle opuścił go rezon. Nie paliła się ani jedna lampa. W słabym, acz wiosennie ostrym świetle sączącym się przez szparę między futryną a roletą dojrzał Rebeke. Leżała na plecach na kuchennej ławie ze złożonym we czworo ręcznikiem na oczach. Miała na sobie anorak. I buty.

Psy podbiegły do niej i przepychając się, zaczęły lizać jej twarz, tam gdzie się dało, i ręce, złożone na brzuchu. Twardy wyżli ogon Belli uderzał o nogi stołu niczym pałka perkusyjna.

– Co ci jest, duszyczko? – zapytał.

Miał właśnie powiedzieć, że cały dzień próbował się do niej dodzwonić, ale ugryzł się w język.

– Nic takiego, nic takiego – odparła.

Poznał po głosie, że kłamie.

W drodze do stołu potknął się o gałgankowy chodnik. Ręka wysunęła się automatycznie do przodu i chwyciła za oparcie najbliższego krzesła. Kiedy w końcu wysunął je i usiadł na nim, westchnął tak głęboko, jakby właśnie – wdrapawszy się na szalupę ratunkową – uratował życie.

– Leżeć! – nakazał psom, ale kompletnie go zignorowały.

Biegały w koło i węszyły, jakby odkryły nowe tereny łowieckie. Wróciły do Rebeki. Smarkacz położył łeb na jej brzuchu. Rozplotła dłonie i pogłaskała go po głowie i za uszami. Bella nie odrywała od niego wzroku.

Co się tutaj dzieje? – zdawała się pytać.

Sivving gładził ręką blat stołu, kuchennego mebla z klapami, który był dziełem szwagra Theresii. Zastanawiał się, ile razy przy nim siedział. Przez te wszystkie lata, już na zawsze minione.

Kiedy był chłopcem i rodzice przyjaźnili się z babcią i dziadkiem Rebeki. Kiedy Mikko, tato Rebeki, był małym berbeciem, a w oborze stały krowy i niepokojono się o pogodę w lecie,

zwłaszcza gdy siano, rozłożone na ostwiach, musiało najpierw porządnie wyschnąć, zanim można je było zwieźć do stodoły.

Kiedy Theresia i Mikko mieszkali tutaj i cienko przędli, ponieważ firma Mikka nie przynosiła zysków. Pracował, ale zawsze były jakieś kłopoty, a to z opłatami, a to z umową.

Kiedy wprowadziła się Virpi i zamieszkała z Mikkiem na parterze. Kondycja firmy się poprawiła. To Virpi wydzwaniiała i wyklócała się o należności. I nie w postaci jakiegoś samochodu, „w którym wystarczyło zaledwie wymienić skrzynię biegów”, tylko w żywej gotówce, i basta!

Kiedy Virpi spakowała manatki i odeszła w siną dal. A Mikko pił zdecydowanie za dużo i znów mieli mało pieniędzy.

Te wszystkie wylane przy stole łyzy. Kiedy zmarł Albert, kiedy zmarł Mikko, kiedy zmarła Virpi. Kiedy zachorowała i zmarła jego Maj-Lis.

Theresia nie skomentowała ani słowem jego przeprowadzki do piwnicy po śmierci żony. Został tam do dziś. Ludzie we wsi gadali. Nigdy się tym nie przejmował.

Przypomniał sobie, jak Rebeka przyjechała do domu na pogrzeb Theresii. Cała w czerni, ubrania wyglądały drogo. Siedział dokładnie w tym samym miejscu i powiedział jej: „Nie sprzedawaj. Przecież nigdy nie wiadomo”.

Jak bardzo się o nią niepokoił. Kiedy wracała ze Sztokholmu, zgaszona, przepracowana, z podkrążonymi oczami.

Kiedy jej odbiło i wylądowała w psychiatryku. Dostała wtedy elektrowstrząsy. Nie miał pojęcia, że ciągle się stosuje tę metodę leczenia.

Jego radość, kiedy w końcu przeprowadziła się tu na stałe. Jego skryta radość, kiedy sprawiła sobie psa. Zwierzę było jak kotwica, przecież nie mogła wrócić do Sztokholmu z czworonogiem. Albo raczej z czworonogami, przez krótki czas miała też Verę. O, mój Boże, biedna Vera. Ona też.

Przebywał w towarzystwie Rebeki, rozmawiał z nią, niepokoił się o nią i otaczał ją opieką. Bardziej niż własne dzieci. Te radziły sobie świetnie.

To błogosławieństwo czuć się potrzebnym, pomyślał filozoficznie. I w jakiejś zakazanej części swojego wnętrza wiedział, że Rebeka jest mu droższa niż ktokolwiek inny na świecie. Z własnymi dziećmi i wnuczętami włącznie. Chociaż zawsze sobie powtarzał, że to tylko różne uczucia. W rozmaity sposób.

Psy położyły się pod stołem. W kuchni słychać było ich pochrapywanie, tykanie zegara i lekkie skrzypienie krzesła, na którym siedział.

– Starość nie radość – powiedział. – Ciało opada z sił i polegać na nim nie można. To moje ramię, na przykład. Człowiek jest też coraz bardziej zapominalski i czasami coś pokręci. Ale najgorsze jest to, że ludzie przestają się z tobą liczyć. Zauważasz to, kiedy przestają cię słuchać albo są zakłopotani, gdy zdarzy ci się powiedzieć coś, co opowiedziałeś wcześniej, albo uważają, że jesteś zbyt drobiazgowy. Ale nawet tego ci już nie wytykają. Nastawić kawę?

Był przekonany, że odmówi. Ale odpowiedziała:

– Chętnie napiłabym się herbaty. Z trzema kostkami cukru. A w lodówce mam kawałek suszonego mięsa. Gdybyś był tak uprzejmy.

Niezmiernie się ucieszył. Kiedy niechcący brzęknął garnkiem, usłyszał, jak cichutko jęknęła, i zrozumiał, że boli ją głowa. Starał się więc być ostrożny. Wlewał wodę delikatnym strumieniem. Z uwagą rozdzierał papierowe opakowania herbaty w torebkach.

Stojąc w milczeniu, obserwował, jak woda powoli zbliża się do wrzenia; niewielkie bąbelki odrywały się z dna ku powierzchni. Zdjął garnek z płytki właśnie w tym momencie, w którym woda zaczęła bulgotać, i rozlał ją do kubków. Podchodził do stołu trzy razy, mógł bowiem

zaufać tylko jednej ręce. Za każdym razem trzymał w niej jeden kubek, a na końcu szklankę na zużyte torebki.

– Rozmawiaj ze mną – poprosił. – Bo inaczej... Równie dobrze mogę umrzeć.

Chciał zadzwonić do Kristera. Ale rozumiał, że to wykluczone.

– Cały dzień na nartach – powiedziała. – Kiepskie okulary słoneczne. Stąd ślepotą śnieżną.

Nie był w ciemię bity. Jako młody chłopak wyjechał na studia, został inżynierem. Wykształceniu zawdzięczał też swój przydomek. Skrót od magistra inżyniera, *civ.ing.*, w ustach mieszkańców wioski przekształcił się w Sivvinga. Coś w rodzaju przestrogi, by nie zadzierać nosa.

Domyślał się, że powiedziała prawdę, ale niezupełnie całą. Dlaczego wybrała się na narty akurat wtedy, gdy po ataku na Annę Marię i Tommy'ego wszyscy, z pewnością ona też, zostali wezwani na pokład?

– Czy to z powodu Pohjanena? – zapytał.

Sven Erik wysłał mu wiadomość, że medyk wyzionął ducha. Żadna niespodzianka. Ale przykro, gdy odchodzą znajomi.

Rebeka oddech miała krótki i płytki. Podobnie jak Maj-Lis, zanim zmarła. Przyciskała dłonie do brzucha, jakby coś ją zjadało od środka.

Siedział przy stole, próbując wytrzymać z uczuciem bezsilności. Ale też strachu. Pomyślał o tym czasie, kiedy leczono ją elektrowstrząsami. Zdarzyło się to raz. Mogło przecież zdarzyć się raz jeszcze. To nie była zwykła chandra.

Tak bardzo chciałby jej dotknąć. Albo powiedzieć, że ją kocha. Nigdy jednak nie byli wobec siebie wylewni, czuły się niezręcznie. Był wdzięczny Smarkaczowi, który nagle wstał, wskoczył na ławę i wcisnął się na nogi swojej pani.

Pół godziny później, siedząc w toalecie, wysłał Svenowi Erikowi wiadomość. Napisał, że Rebeka ma ślepotę śnieżną. Że potrzebuje maści i kropli do oczu, ale skąd je wziąć w sobotni wieczór?

Ragnhild i Börje wyłączyli wiadomości, przerwali strumień informacji o ataku na policjantów i pogoni za mordercami, która z góry była skazana na niepowodzenie.

Wzięli się do obiadu. Siekając cebulę, Börje pochwalił Ragnhild za ostre noże. Ona namoczyła bułkę tartą i czekając, aż ta napęcznieje, zagotowała dżem z brusznicy. Rozmawiali o klopsikach. Opowiedziała o tym, jak je przyrządzała mama – zamiast bułki dodawała gotowane ziemniaki, a potem formowała z wprawą perfekcyjnie małe kuleczki.

– Wszystko potrafiły zrobić, kobiety z jej pokolenia – zakończyła.

– Ale nie moja matka – odparł. – Umiała obcinać włosy. Robiła pieczeń rzymską, bo to nie zajmowało wiele czasu. Nie zmieniała firanek na Wielkanoc i Boże Narodzenie. To przecież był prawie skandal. Dzieciaki dokuczały mi z tego powodu. Ani ojca, ani bożonarodzeniowych firanek.

– Wygląda na to, że miałeś ciężkie dzieciństwo.

Villa nie mogła się oprzeć zapachom. Siedziała w kuchni i śledziła uważnie każdy ruch dwunożnych. Ragnhild jedną ręką podała jej trochę surowego mielonego mięsa, drugą głaszcząc ją po głowie.

– Uczę ją żebrać – stwierdziła.

– E tam. Uczysz ją, że jesteśmy dobrzy i że należy do naszego stada.

Ragnhild pocałowała go w policzek. Odłożył nóż i otoczył ją ramionami.

– Nie skończyłeś – powiedziała z wyrzutem.

– Trzeba sobie robić przerwy – wymamrotał z ustami w jej włosach.

Wzrok Ragnhild padł na różowy kwit z pralni chemicznej, leżący obok czajnika. Powinna odebrać tę zimową kurtkę.

Wtem zadzwonił jej telefon. Börje wypuścił ją z objęć i wrócił do cebuli.

To był Sven Erik Stålnacke. Zamienili kilka słów na temat tych okropnych wydarzeń ostatniej doby. A potem chciał ją poprosić o przysługę. Wiedział, że jest emerytką, tak jak on. Ale Rebeka Martinsson ma ślepotę śnieżną i... czy Ragnhild nie mogłaby dostarczyć jej odpowiednich medykamentów?

Spojrzała na Biblię leżącą na kuchennym stole.

– Nie poddajesz się – rzuciła do Boga.

Dopiero Svenerikowe „co?” uzmysłowiło jej, że wypowiedziała te słowa głośno, i musiała naprędce zmyślić coś o rozmowie z psem.

Obiecała, że zajmie się tą sprawą. I zapewniła kolegę emeryta, że to nie sprawi jej kłopotu.

Psy zaczęły czekać, gdy tylko Ragnhild wjechała na podwórze przed domem Rebeki w Kurraavaarze. Była tu raz, dawno temu. Kiedy Rebeka miała sześć lat, a Virpi właśnie kończyła dwadzieścia pięć. Zebrała się na odwagę i pojechała do Kurry z prezentem. Ciągłe pamiętała reklamówkę, ale nie to, co w niej miała. Może jakąś roślinę?

Virpi była nieprzystępna i oschła. Gdyby nie Theresia, która od razu zaproponowała „coś na przegrzynkę”, pewnie nawet nie dostałaby kawy. Rozmawiała więc jakieś pół godziny z babcią Rebeki, podczas gdy Virpi siedziała obok i paliła ze stężałą twarzą.

Obawiała się, że Rebeka będzie podobna. Nowe uczucia rosną na pożywce starych.

Pomóż mi teraz, zwróciła się w myślach do Boga, wspinając się po schodach.

Otworzył jej starszy mężczyzna. Od razu zrozumiała, że miał kiedyś wylew. Jedna strona nie nadażała za drugą. Emerytowana pielęgniarka automatycznie zrobiła niewidzialny krok ku słabszej stronie, gdy się witali. Żeby sprawdzić, czy wylew nie pogorszył mu wzroku. Ale starzec nie musiał odwracać głowy, by zachować ją w polu widzenia. To dobrze. Przedstawił się jako Sivving, najbliższy sąsiad.

Rebeka leżała na kuchennej ławie. Rolety były zaciągnięte. Psy witały się z odwiedzającą, jakby zobaczyły Świętego Mikołaja.

Poczuła, jak Sivving zmienia o niej zdanie. Połowa czegoś w rodzaju niechęci zniknęła, gdy Ragnhild poświęciła trochę czasu na powitalne pieszczoty z psami i gdy pochwaliła gałganekowy chodnik w przedpokoju, gdzie rozsznurowywała buty.

– Splot czteronitkowy gwarantuje grubszą i bardziej stabilną tkaninę. Czy to dzieło Theresii?

Sivving odparł, że najprawdopodobniej tak. I to wystarczyło, by przełamać lody. Ragnhild nie była już jedną z Pekkarich. A przynajmniej nie tylko jedną z nich.

– No więc – powiedział, wskazując zdrową ręką Rebece – tutaj mamy pacjentkę.

– To Sivving zadzwonił do Svena Erika – odezwała się Rebeka spod ściereczki. – Nie musiałas przyjeżdżać. To przecież nic groźnego.

– Zgadza się – odparła Ragnhild głosem pielęgniarki. – Ale przyjechałam i mam ze sobą Viscotears, więc równie dobrze mogę rzucić okiem na twoje oczy.

Wpuściła jej krople na te czerwone spojówki.

– Możesz przechowywać buteleczkę w lodówce. Chłodne krople zazwyczaj przynoszą większą ulgę.

Rebeka podziękowała. Ragnhild usłyszała w jej głosie śnieżny pomost. Ogarnęła ją nieprzeparła chęć pomocy dojmująca, może nawet chorobliwa.

Paula w jej głowie rzuciła drwiące: „Florence Nightingale”.

Ragnhild pomyślała: No nie, przecież nie ma nic niestosownego w tym, że przejmuję się losem bliźnich. To nie jest objaw zła. To nie jest objaw choroby ani cecha osoby współzależnej. Wolno mi pozostać dobrą pielęgniarką.

– Już jutro poczujesz się lepiej – dodała.

– Napije się pani herbaty? – zaproponował Sivving. – Albo kawy? Jeśli pije pani wieczorem? Niektórzy twierdzą, że nie mogą usnąć, jeśli...

Zrobił krótki wykład na temat kofeiny i jak działanie tejże może się zmienić z wiekiem oraz wspomniał o znajomym, który przed pójściem do łóżka potrafi wyłopać trzy kubki kawy.

Powiedziała, że chętnie. Potrzebowała wymówki, by zostać dłużej.

– Dziękuję – odezwała się raz jeszcze Rebeka. – Czuję się jak jakaś drama queen.

– Jesteś chora – odparła Ragnhild. – A ja się cieszę, że miałam powód, by tu przyjechać.

Tak czy owak, zamierzałam się do ciebie odezwać. Ponieważ chcę z tobą porozmawiać o twojej mamie.

Tak po prostu. Słowo się rzekło.

Usłyszała, jak Sivving zatrzymał się w pół kroku przy piecu.

– Dlaczego? – zapytała Rebeka.

Dopiero teraz Ragnhild zrozumiała dlaczego. Patrzyła na jej ręce, znów splecione na brzuchu. To były te same dłonie, które boksowały pierś Virpi, kiedy ta karmiła swoją nowo narodzoną córkę tego dnia, gdy spotkały się w szpitalu. Te małe piąstki, przepelnione wolą życia. Ta instynktowna umiejętność uciskania piersi, by napłynęło do niej mleko.

Nagle ożyły w jej pamięci pierwsze słowa wyznania grzechów: „Ja biedny, grzeszny człowiek, przejmujący po przodkach dziedzictwo grzechu i śmierci”. Zawsze uważała je za opresyjne. Chociaż właściwie były zbawienne. Religia zmusza nas do tego, byśmy czuli się jak dranie. Świadomi, że dopuściliśmy się draństw. Wszyscy inni z glorią nad głową, ci to mogą sobie siedzieć na wzgórzu i medytować.

– Ponieważ chcę poprosić o wybaczenie – odpowiedziała.

I dodała pośpiesznie:

– Nie, ty absolutnie nie musisz mi nic wybaczać. To nie tak. Chcę tylko, żebyś wiedziała.

– Tego to już zupełnie nie rozumiem – wyznała Rebeka. – Przecież nigdy nic mi nie zrobiłaś. Nawet się nie znamy.

– To prawda. Ale...

Ale ono ciągle w nas żyje, pomyślała. Przejęte po przodkach dziedzictwo. Niegodziwość ojców.

Odwróciła głowę i napotkała spojrzenie Sivvinga. Mężczyzna niemal niezauważalnie skinął głową.

– Psy potrzebują wyjść na spacer – powiedział. – Zrobię z nimi rundkę.

Wylew nie zaburzył jego funkcji poznawczych, pomyślała Ragnhild z wdzięcznością.

Po chwili usłyszała, jak upomina zwierzęta, schodząc z nimi po schodach:

– Spokojnie! Ze staruszkami musicie zwolnić.

W pewnym sensie miała ułatwione zadanie, bo Rebeka nie siedziała, patrząc jej w oczy. Leżała spokojnie z rącznikami na twarzy, podczas gdy ona opowiadała.

– Virpi przyjechała do nas na wyspę, kiedy miała trzy lata – zaczęła. – Ja skończyłam osiem. Żyliśmy wolnym, dzikim życiem. Bawiłyśmy się jak szalone, od samego początku, kiedy jeszcze była malutka. Tato mawiał, że ciągnie się za mną ogon, ale nie byle jaki, tylko *tuiskusapara*, kita na wietrze, bo nie zawsze pozwalała mi rządzić. Wracałyśmy do domu w zasadzie tylko na posiłki i na noc. Łaziłyśmy po drzewach, robiłyśmy dalsze i bliższe wyprawy łódką, ponieważ wolno mi było korzystać z tej mniejszej. *Āiti* tylko wzdychała, kiedy wracałyśmy z potar-

ganymi portkami i ubraniami poplamionymi żywicą albo kiedy swetry były całe w sianie po zabawie w stodole. „Musicie wnosić do kuchni połowę boskiego stworzenia?“, narzekała. Ale zszywała i prała, a my znów – myk na dwór.

Ragnhild zatrzymała się na moment, przywołując w pamięci obraz Virpi w odziedziczonych po przyszywanej siostrze ubraniach i w za dużych gumowcach. Jak odpycha z brzegu łódkę, czerwona jak burak z wysiłku. Ileż w tym wątłym ciałku jest siły! Ona sama zaś, siedząc przy wiosłach, niczym jędrza rozkazuje: „Wskakuj!“. A Virpi woła o pomoc i wdrapuje się do łódki, nim ta odpłynie zbyt daleko i nim dziewczynka pogubi gumowce. Jeśli nie zdąży, Ragnhild po prostu powiosłuje sama. Zostawi ją na brzegu. To się zdarzało.

– Pamiętam, że mama opowiadała o waszym psie – odezwała się Rebeka. – Wabiła się Villa, prawda?

– Tak. Villa.

Przeszłość i terażniejszość mieszały się w Ragnhild. I zabolowały w piersi.

– W każdym razie – mówiła dalej – przeprowadziliśmy się do miasta, kiedy ja miałam dwanaście, a Virpi osiem lat. Zamysł był taki, że Henry przejmie gospodarkę i tym samym wyjdzie na ludzi. Ale nikomu to nie wyszło na dobre.

Przesunęła palcami po odprasowanym obrusie. Widać było po krajce, że utkano go na domowych krosnach. Poruszyło ją to, że Rebeka mieszka w domu po babci i że dba o niego.

– Matka była... – kontynuowała. – Dzisiaj pewnie powiedzielibyśmy, że cierpiała na depresję. Ale wtedy nikt nie używał takich określeń. W każdym razie nie w naszej rodzinie. Jej nieustanne sprzątanie mieszkania budziło w nas postrach. Nie znała nikogo, nie miała odwagi odezwać się nawet do kasjerki w sklepie, gdzie robiła zakupy, tak słabo mówiła po szwedzku. Jeśli jakaś koleżanka zatrzymywała się u nas po szkole, mówiłam *äiti*: „Nie odzywaj się“. Nie chciałam, żeby koleżanki usłyszały jej: *Halvaks leipää?*, „Chcecie kanapkę?“.

Tak bardzo chciałam się do nich upodobnić. Przez pierwszy rok siedziałam cicho. Trenowałam wymowę, żeby pozbyć się fińskiego akcentu. Virpi zaś... Ona się po prostu biła! Gdy tylko ktoś na przerwie nazwał ją fińskim brzdącem, to bach! Więc często ją tak nazywali.

Z Rebeki wydobyło się coś w rodzaju śmiechu.

– Potem zaczęłam włączyć się z chłopakami. Po nocach. Mieszkaliśmy na parterze, łatwo się było wymknąć. Jeśli nie zachowywałam się wystarczająco cicho, Virpi budziła się i wychodziła ze mną. Nie chciałam oczywiście, żeby mi deptała po piętach, ale ona niewiele się przejmowała tym, co mówiłam. Na początku miała dziewięć lat. I potrafiła żartem zaskarbić sobie łaski starszych.

Do rzeczy, pomyślała Ragnhild. Nie muszę opowiadać, jakie byliśmy młode, jak bardzo się upijałyśmy, że Virpi była zaledwie dzieckiem.

– W co drugi weekend *äiti* jeździła na wyspę i sprzątała u Henry’ego. Gotowała obiady i zapełniała nimi zamrażarkę. Wiosną i latem sześćdziesiątego siódmego roku *äiti* była chora, miała wrzód żołądka. Olle przyszedł do nas, żeby przedyskutować sprawę. Henry potrzebował pomocy. Ja dostałam pracę w szpitalu jako starsza nocnikowa, więc nie wchodziłam w grę. Virpi miała czternaście lat. Olle stwierdził, że najwyższy czas, by przestała być darmozjadem. Miała spędzić wakacje u Henry’ego jako jego gosposia. Próbowwała się wywinąć, ale Olle nie dawał za wygraną. I nikt z nas się nie sprzeciwił. Ja poczułam ulgę, że nie padło na mnie. W pierwszy dzień wakacji odprowadziliśmy ją do autobusu.

Zapach oleju napędowego i zakurzone siedzenia pojazdu. Reklamówki z domowym chlebem i posiłki przygotowane przez *äiti* obok niewielkiej walizki z ubraniami. Zacięty wyraz bladej twarzy Virpi. Patrzyła prosto przed siebie, nie widziała nas, gdy machaliśmy jej na pożegnanie na przystanku.

– Dwa tygodnie później zadzwoniła w środku nocy. Płakała i mówiła szeptem. „Nie mogę tu zostać. Zabierzcie mnie stąd”. *Äiti* i *isä* obudzili się na dźwięk telefonu, *isä* odebrał mi słuchawkę. Nie rozmawiali długo. „Co się stało?”, zapytała *äiti*, kiedy skończył. Odpowiedział, że nie wie. Zadzwonił do Ollego. Ten przyjechał, jak tylko nastał ranek. Siedzieliśmy w kuchni i Olle powtórzył, że najwyższy czas, by Virpi nauczyła się odpowiedzialności. Że się rozbisurmaniła tylko dlatego, że jest najmłodsza. Przypomniawszy *äiti* i *isä*, że oni przecież zaczęli pracować, kiedy mieli po dwanaście lat. Jeśli teraz się poddadzą i pozwolą jej wrócić do domu, bo coś okazało się uciążliwe, nudne albo co tam jej się ubzdurało, przecież nie powiedziała, o co chodzi, powtarzała jedynie, że mają po nią przyjechać, no więc jeśli teraz się ugną, to ona już na zawsze pozostanie próżniakiem, który nie poradzi sobie w życiu. Po raz drugi nie zgłosiliśmy sprzeciwu. Olle zadzwonił na wyspę, porozmawiał i z Henrym, i z Virpi. Przez słuchawkę wyszarpał ich za ucho. Przypomniawszy obojgu, że *äiti* jest chora. Że to wszystko ją niepokoi i że mają sobie dać spokój. Wieczorem zatelefonował Henry. Virpi zniknęła. Wkrótce się znajdzie, zapewniawszy Olle i zapytał, czy brat na pewno przeszukał wszystkie zakamarki. Henry był wściekły. Zostawiony sam sobie, odpowiedzialny za gospodarstwo i wszystko inne. Virpi była tylko dodatkowym ciężarem. Czyżby oczekiwali od niego, że na dodatek będzie jej opiekunem? Nie wzięła żadnej łodzi, bo zdjął kabel ze świecy zapłonowej, wymontował przewód paliwa i zamknął wiośła. Lody puściły tamtego roku dość późno. Woda nie miała nawet dziesięciu stopni.

Ragnhild musiała zrobić przerwę, by zaczerpnąć oddechu. Opowiadając tę historię, odbywała podróż w inne miejsce. Spojrzenie wstecz sprawiało, że wszystkie znajome punkty orientacyjne wyglądały teraz zupełnie inaczej. Czarnym charakterem tej historii był zawsze Olle. To on wyznaczał kierunek i nie znosił sprzeciwu. Teraz dojrzała siebie samą, *isä* i *äiti*. Czarne masywne skały, broniące dostępu do lądu.

– Virpi pojawiła się dwa dni później. Przebyła rzekę wplaw. Że nie zatoneła w tej lodowatej wodzie! Potem ktoś ją podrzucił autem do miasta. Olle krzyczał, my siedzieliśmy w milczeniu. Była... nieprzejednana, to określenie Ollego. Ona sama prawie nic nie mówiła. Ale zapewniała, że na wyspę już nie wróci. „Nie możecie mnie do tego zmusić”, powiedziała. Wówczas Olle zaczął się rozwodzić o konsekwencjach. Jeśli Virpi myśli, że w naszej rodzinie ma zagwarantowane darmowe spanie i obiady i że może sobie żyć jak pełnokrwista egoistka, to jest w błędzie. W tej rodzinie każdy wywiązuje się ze swoich obowiązków. Spakowała trochę swoich rzeczy.

– Miała wtedy czternaście lat – powtórzyła cicho Rebeka.

– Nie skończyła dziewiątej klasy – kontynuowała Ragnhild. – Pomieszkiwała u różnych mężczyzn. Kurwa za bułkę i dach nad głową, tak ją określił Olle.

Niewyobrażalne, pomyślała Ragnhild. Ludzie współczuli naszej rodzinie. Przecież zrobiliśmy dla niej wszystko. Gdy w rozmowach schodziło na Virpi, Olle zwykł mówić o dziedzictwie. Cóż mogliśmy wiedzieć o jej biologicznych rodzicach? Gównem spływa w dół, zwykł mówić. A ja w ostatniej klasie liceum wzięłam się w garść. Nie chciałam spotykać Virpi, więc przestałam chodzić na imprezy. Ojciec pojechał na wyspę i ubił krowy z konieczności.

– W końcu spotkała Mikka. Wydała na świat ciebie.

– I odeszła od nas – dopowiedziała Rebeka. – Drugi mąż, drugie dziecko.

– Zadzwoniła do mnie miesiąc przed śmiercią. Wyznała, że ma zamiar rzucić męża i wrócić z dzieckiem do Kiruny. Zapytała, czy mamy dla niej miejsce. Mówiła też o tobie. Ale moje życie wtedy było...

Pomyślała o Toddem i Pauli. O tym, jak był na nogach całymi nocami i nie dawał jej spać. O tym, jak leżał na sofie i chrapał za dnia.

– Nie. Nie będę teraz zwałać na swoje życie. Powodem, dla którego u mnie nie zamiesz-

kała, było to, że ciągle byłam na nią zła.

Dłonie Rebeki poruszyły się lekko.

– Dlaczego byłaś na nią zła?

– Ponieważ powinnam była się wstydzić. Ja, *äiti, isä*, Olle. I Henry oczywiście, chociaż jego ledwie zaliczam do ludzi. Wszyscy powinniśmy czuć wstyd. Ale zamiast tego gardziliśmy nią i wyparliśmy się jej.

– Myślisz, że Henry...

Ragnhild czekała, ale Rebeka nie dokończyła swojego pytania.

– Myślę, że tak. Boże drogi, przecież przepłynęła rzekę. Miała czternaście lat. Dziewczęta w tym wieku... Są jak świeżo rozkwitłe kwiaty.

Ragnhild chciała przytrzymać się krzesła, żeby nie wstać nagle i nie wziąć się do zmywania naczyń zostawionych w zlewie, nie wstawić do lodówki buteleczki z kroplami, nie zacząć myć okna albo szorować sufitu.

Zmusiła się, by pozostać przy tym, co właśnie do niej dotarło. Że zadała Virpi ogromny ból. Że ją zawiodła.

– Przepraszam – zwróciła się do Rebeki. – Powinnam była stanąć po stronie twojej mamy, sprzeciwić się Ollemu. Powinnam była zaprosić ją do siebie.

– Ale ja nie jestem moją mamą – broniła się Rebeka. – Nawet o niej w ogóle nie myślę.

Ragnhild pozostawiła to bez komentarza. Po chwili powiedziała, że musi wracać. Chciała zapytać, czy może jeszcze raz zakropić jej lek do oczu. Ale bała się, że nie wytrzyma odmownej odpowiedzi. W każdym razie zebrała się na odwagę i spytała:

– Mogę jutro do ciebie zadzwonić? Żeby zapytać, jak się czujesz.

Rebeka, ciągle leżąc na ławie, wzruszyła ramionami. A Ragnhild pomyślała, że dla wszystkich matek na świecie chyba właśnie ten gest jest najbardziej bolesny.

W drodze powrotnej do domu poczuła ciepło na myśl, że czeka na nią Börje. Pomyślała o zdjęciach Pauli, które schowała do szuflady biurka, kiedy robiła przedśmiertne porządki.

Wyjmę je stamtąd, postanowiła. Pokażę Börjemu. Przejrzę je wszystkie. A jeśli zacznę płakać i nie będę mogła przestać, to... To tak będzie i już.

Rebeka leżała w kuchni i słyszała oddalający się samochód Ragnhild. Sivving wrócił pięć minut później. Zapewnił, że zostawi ją w spokoju. Zapytał, czy ma wziąć psy do siebie.

Powiedziała, że tak, choć w zasadzie wolałaby mieć Smarkacza w domu. Ale pomyślała, że dobrze mu to robi, jak odpocznie od swojej pani.

Nagle sam pomysł posiadania psa wydał się jej absurdalny. Ludzie to małpy. Małpy biorą w niewolę inne zwierzęta. Trzymają je jak niewolników i traktują wedle własnego widzimisię. To wszystko jest odrażające.

Poprosiła Sivvinga, żeby wstawił krople do lodówki i obiecała, że będzie ich używać. Obiecała też, że zadzwoni do niego, gdy tylko się obudzi. Obiecała, że się rozbierze i położy w łóżku pod kołdrą.

Kiedy poszedł, leżała ciągle w kuchni.

Próbowała ogarnąć ostatnie wydarzenia. Anna Granlund napisała do niej i do von Posta, kiedy siedzieli w samochodzie do Kurravaary. Że Pohjanen nie żyje. A ona wpadła na niedorzeczny pomysł jazdy na nartach w terenie zagrożonym lawinami.

Tyle rzeczy naraz. Niewyobrażalna dziecinada. Szaleństwo. Niebezpieczeństwo.

Pomyślała o Pohjanenie.

Dlaczego nie płacę? – zastanawiała się.

Pomyślała również o wypadzie do Sztokholmu, kiedy przespała się z Månsem i zerwali z Kristerem.

Przeraziło ją to, że robi rzeczy pod wpływem impulsu, którego nie rozumie. Rzeczy, co do których nawet nie podjęła decyzji.

Przecież nie chciała umrzeć. Chyba?

Okazuje się, że ta łódź ma kapitana, który gardzi śmiercią. I na którym nie można polegać. Kapitan wziął kurs na skały, a wszystko pod pokładem przesunęło się bezładnie to w jedną, to w drugą stronę, obijając się o kadłub. Była niemal wdzięczna za ten pulsujący ból oczu.

Ale wyprawa narciarska była czymś więcej. Rebeka nie chciała umniejszyć jej roli, ograniczyć tylko do szaleństwa.

Stanęłam twarzą w twarz ze śmiercią, pomyślała. I teraz mogę zrobić cokolwiek.

Złapała telefon, by – w przypływie natchnienia – zadzwonić do Kristera, ale mrużąc powieki, poczuła tak ogromny ból i napływające do oczu łzy, że zdążyła się powstrzymać.

Nie, pomyślała. Nie to.

Ponieważ to jest zniszczone. Sama to zepsułam. I nie potrafię jeszcze naprawić. Może nigdy mi się nie uda.

Miała dla siebie tyle pogardy. Zaśmiała się ochryple, zrozumiałwszy, że ni stąd, ni zowąd nagle poczuła wobec siebie politowanie.

Pomyślała o swojej terapeutce. Po powrocie z psychiatryka, po tym, jak Lars Gunnar Vinsa zastrzelił swego syna i siebie samego, spotkała się z nią parę razy, ale szybko zrezygnowała z psychoterapii.

Zlustrowawszy wtedy buty i ubranie Agnes Stoor, Rebeka znalazła rzeczy godne pogardy: szafranową bluzkę, wisiołek w kształcie ptaka. Była przekonana, że prywatnie – choć terapeutka nigdy nie zdradziła się ani słowem – jest upierdliwie idealna.

Ciągle miała numer jej telefonu. Napisała krótką wiadomość. Zmniejszyła jasność wyświetlacza. Oczy bolały i łzawiły.

Dobry wieczór. Nazywam się Rebeka Martinsson. Kilka lat temu byłam u Pani na paru sesjach. Nie wiem, czy mnie Pani pamięta. Chciałabym wznowić terapię. Jeśli Pani nadal pracuje i znajdzie dla mnie czas.

Wahała się. Był sobotni wieczór. Ale w końcu nacisnęła symbol „wyślij”.

Położyła telefon na piersi z myślą, że terapeutka pewnie odpowie na początku tygodnia. W poniedziałek może. Albo we wtorek.

Muszę, pomyślała. W przeciwnym razie dłużej nie wytrzymam.

Poczuła, że to jedyna słuszna rzecz, która jej przyszła do głowy.

Po dwudziestu minutach telefon zawibrował.

Dobry wieczór, Pani Rebeko. Naturalnie, że pamiętam. Usłyszymy się w poniedziałek i ustalimy termin.

Rebeka odłożyła telefon na stół. Przykryła oczy ręcznikiem.

Poczuła ogromną wdzięczność. Wdzięczność za to, że kobieta odpowiedziała jej od razu, choć był sobotni wieczór.

CZERWIEC

PRZEDLECIE PRZYBIEGŁO w jasnozielonej szacie. Tego dnia, kiedy chowano Tommy'ego Rantakyrö, puściły lody na rzece Torne. Kry wznosiły się i wspinały na brzegi z prawdziwą furją, powaliły drzewa i przemieściły o siedem metrów pewien domek letniskowy. Przy grobowcu rodzinnym na cmentarzu w Poikkijärvi huk był tak ogromny, że pastor musiał podnieść głos.

Mella płakała swoim jednym okiem, Robert i Jenny podtrzymywali ją za ramiona, każde po swojej stronie.

„Ze względu na dobro śledztwa” nie ujawniono przedstawionym policjantowi zarzutów popełnienia przestępstwa. Media, rodzice i żadna sensacji publika wiedzieli tylko, że Tommy'ego i Annę Marię zaatakowano, ponieważ byli kluczowymi osobami w policyjnym dochodzeniu w sprawie morderstw, ciężkiego przestępstwa narkotykowego i stręczycielstwa. Anna Maria w trakcie formalnego okazania pośredniego zidentyfikowała dwóch Rosjan, którzy w śledztwie widnieli jako Jegor Babicki i Jurij Juszenkow.

Nazwiska pochodziły z podpisanej przez Elenę Litową umowy o wynajem, założono jednak, że są fałszywe. Mężczyzn nie dało się oskarżyć, ponieważ ciągle byli nieuchwytni. Najprawdopodobniej wyjechali z kraju. Zarówno Interpol, jak i Europol wystosowały listy gończe z nadzieją, że pewnego pięknego dnia zbiegowie zostaną schwytani z innego powodu. Kiedyś, gdzieś tam.

Nie udało się potwierdzić tożsamości Eleny Litowej. Władze w jej mieście rodzinnym wprawdzie przyznały, że kobieta opuściła kraj, ale nie dysponowały żadnymi fotografiami. W żadnej ewidencji ludności nie znaleziono natomiast Marii Berberowej, która wyszła za mąż za Fransa Mäkiego. Poszukiwano jej w każdym razie z powodu szantażu, groźby bezprawnej i przestępstwa skarbowego.

Śledztwa w sprawie morderstwa Tommy'ego Rantakyrö, Henry'ego Pekkariego, Galiny Kirejewskiej, Adriany Mohr i trzeciej, niezidentyfikowanej kobiety pozostały otwarte, nawet jeżeli wycofano wszelkie środki. Wiadomo było, jak do tych zabójstw doszło. Sprawa w sensie policyjnym była więc zakończona.

Rebeka nie spotkała Anny Marii od wypisania jej ze szpitala. Po ceremonii pogrzebowej podeszła do koleżanki. Potwornie spięta z powodu katastrofalnego zakończenia przyjęcia i zapasów w śniegu. Zaniepokojona, że kobieta o wyglądzie Anny Marii w środku już nią nie jest.

– Cześć – powiedziała. – Miło cię zobaczyć.

– Rebeka!

Anna Maria uśmiechnęła się przelotnie, jakby z poczuciem winy, że okazuje radość w czasie żałoby. Otworzyła ramiona, pozwoliła Rebecce wpaść w objęcia. Stały tak dość długo, mocno do siebie przytulone. Rozmawiały przytłumionymi głosami.

– Żyję. I czuję ogromną wdzięczność... – wyznała Anna Maria.

– Ja też. Ja też – odezwała się Rebeka niczym chór.

– Wiesz... Próbuję myśleć w ten sposób: każdemu zdarza się zrobić coś głupiego. Nie masz pojęcia o konsekwencjach. Rzucasz okiem na telefon, gdy prowadzisz samochód, a sekundę później wjeżdżasz na... I życie spryszczone.

– Wiem, wiem – szeptwała Rebeka. – Ale to w dalszym ciągu jest Tommy. Nie zamienił się w innego człowieka.

– Tak, tyle że ja mówiłam o sobie. No wiesz, przecież widziałam, jak się miał na duszy. Byłam jego szefową.

– O, Anno Mario! Nie mów tak, nie!

– I tak mi przykro z powodu tej dziewczyny, której nie udało się nam zidentyfikować. Bardzo dużo o niej myślę. Gdzie jest jej mama? Chodzę po domu z odkurzaczem i zastanawiam się, czy miała dzieci. Albo czy była kompletnie sama na świecie. Jak wytrzymać w takim zawo-
dzie?

Policjantka umilkła i wytarła nos wierzchem dłoni.

– Słyszałam, że już u nas nie pracujesz. Nie wrócisz do prokuratury?

– Pracuję na pół etatu, nie zniknęłam na dobre. Pomagam w rozwikłaniu tej afery. Ale nie wiem. Chyba nie mogę. Albo raczej: nie chcę.

– Zamierzam o to pójść z tobą w zapasy – wymamrotała Anna Maria. – Chyba rozumiesz, nie?

Uwolniły się delikatnie z objęć. I nagle wszystko było odrobinę lepsze.

Tydzień później brzozy rozwinęły swoje mysie uszka i pochowano Pohjanena. Ból nie był tak rozdzierający. Płacz nie tak rozpaczliwy. Koledzy wspominali jego profesjonalne umiejętności. Syn, zachowując opanowanie, wygłosił wcześniej przygotowaną mowę.

Tego wieczoru przyszedł do Rebeki Krister.

Stała na brzegu rzeki i paliła dopiero co ścięte gałęzie. W powietrzu wisiała ciepła mżawka. Wciągnął w płuca zapach płonącego świeżego drewna, kwaskowość brzozowych liści, coś, co przypominało cukier palony.

Kosa spalinowa leżała trochę dalej, na pomoście. Rebeka dorzucała właśnie do ognia i nim dostrzegła Kristera, ten mógł ją przez chwilę poobserwować. Tylko ogień i ona. Wzrok zatopiony w płomieniach. Twarz pobrudzona i poprzecinana strużkami potu, zarumieniona od ciepła bijącego z ogniska. Włosy rozpuszczone, frotka na przegubie dłoni. Rebeka wyglądała na osobliwie szczęśliwą.

Musiał na moment odwrócić wzrok. Odepchnął chęć dotknięcia palcami jej ust. Zlizania soli z jej skóry.

Przez sekundę zastanawiał się, czy nie zawrócić, nie zostawić jej w spokoju, ale właśnie wtedy go dostrzegła.

– Cześć – powiedziała po prostu.

– Cześć – odpowiedział.

Stali nieruchomo, jakby zauważyli w lesie zwierzę, którego nie chcą spłoszyć.

Tyle w nim dało za wygraną i zniknęło. Teraz widział tylko ją. Ta cała historia z Månsem była nieskończenie odległa.

Jego siostra powiedziała mu kiedyś: „Wiesz, myślę, że ona nie przespała się z nim dlatego, że ty nic dla niej nie znaczysz. Myślę, że było dokładnie odwrotnie”.

Zamknął się wtedy w sobie. Nastroszył, nieprzyjemnie poruszony jej amatorem psychologizowaniem.

Powiedziała też: „To jej oczywiście nie usprawiedliwia, nie to chciałam powiedzieć. Tak nie wolno robić”.

Zmienili temat rozmowy, ale słowa zapadły mu w pamięć. Słowa o przedłużonym działaniu. Nie był pewien, czy to, co właśnie czuł, jest zrozumieniem, czy raczej próżną i dziecinną nadzieją. W każdym razie teraz tu stał. Lekko zdyszany. Składał broń w przeświadczeniu, że Rebeka jest tą jedną jedyną.

Szukał w swym wnętrzu bólu. Sprawdzał niczym człowiek, który nabawiwszy się bąbla pod stopą, próbuje ją obciążyć, by zobaczyć, czy da radę iść dalej.

– A gdzie Sivving, który zawsze musi dopatrzeć, żebyś robiła wszystko, jak należy? – zapytał.

Zaśmiała się.

– Był święcie przekonany, że poobcinam sobie nogi tą kosą, więc wrócił do domu. Zaraz mu wysłałem esemesa, że niebezpieczeństwo minęło. A gdzie twoje psy?

– W samochodzie.

– Wypuść je. Ja zaraz wypuszczę Smarkacza. Nie chciałam, żeby mi się plątał pod nogami, kiedy wycinałam te chaszczce.

Dumna, skinęła głową w kierunku obszaru, z którego teraz widać było rzekę.

– Pięknie – powiedział.

Miał w sobie tyle słów. Ale w ustach zamieniały się w suche hasła, więc milczał.

Idąc w kierunku domu, jakby przyspieszyli kroku. Krister wypuścił Tintin i Roya. Rebeka otworzyła drzwi domu. Smarkacz wyleciał z siłą pocisku. Psy zaczęły gonić się nawzajem, rozdrapując wiosennie rozmokłą ziemię.

Rebeka tylko się śmiała.

– Mogę tu potem posadzić ziemniaki.

Spojrzeli po sobie. Uczepili się spojrzenia tej drugiej osoby niczym wspinacz skały, popatrzyli na psy, po chwili znów na siebie.

– Obiecałam Sivvingowi, że jak będę gotowa, to napalę w saunie. Chcesz do nas dołączyć?

– Tak – odparł.

I to było takie proste. Nie lekkie, bo już chyba nigdy nie miało być lekko. Ale proste, oczywiste i jedyne.

Tak się złożyło, że Rebeka spędzała sporo czasu na cmentarzu w Kirunie. Nabrała zwyczaju zaglądania tam w każdy wtorek po wizycie u terapeutki. Szła spacerem do grobu babci i taty, zatrzymywała się na chwilę.

Teraz wrywała mikroskopijne chwasty i sadziła aksamitki, babcine ulubienice.

Cmentarz był miejscem na inne myśli. Rebeka chodziła niespiesznie wzdłuż wygrabionych alejek i czytała z nagrobków o ludziach, którzy żyli przed nią. Spoczywały tu bezpowrotne straty. Data za datą opowiadały lakonicznie o żywotach zbyt krótkich, o rodzicach, którzy stracili swe dzieci, i na odwrót. Ze zdziwieniem odczytywała informacje o małżonkach, którzy umierali jedno po drugim w krótkim odstępie czasu. Czyżby ta druga osoba kapitulowała po odejściu pierwszej?

Był chłodny czerwcowy dzień, zaledwie trzynaście stopni w cieniu. Nie dało się nie zauważyć bliskości gór.

Z miejsca, w którym powstawał nowy ratusz, dochodziły wyraźne odgłosy budowy. Ale Rebeka wychwytywała również dyskretne dźwięki z cmentarza: wiewiórkę, która za pomocą ostrych pazurków przemieszczała się między pobliskimi sosnami, rozkojarzoną dłoń wiatru, która mierzwiła korony drzew.

Wytarła o dzinsy pobrudzone ziemią ręce, spodnie, tak czy owak, miały wieczorem wylądować w pralce. Telefon był wyciszony, dlatego dopiero teraz się zorientowała, że przegapiła połączenie od Marii Taube. Oddzwoniła.

– Wysłałam ci zdjęcie naszych nowych regałów na książki – zawołała Maria na powitanie. – Są zajedwabiste. Człowiekowi aż się chce zamieszkać w tym biurze.

– Pracujecie w porywach czy poświęćacie się głównie urzędowaniu?

– Urządzamy i pijemy wino.

Z głębi doszedł ją głos Sofii:

– Ja pracuję. Pozdrów!

– Chciałam tylko usłyszeć, jak ci idzie – powiedziała Maria.

– Powoli – odparła Rebeka. – Ale dobrze. Ustaliliśmy, które firmy robiły interesy ze spółkami Fransa Mäkiego albo Ollego i Andersa Pekkarich. Korzystamy z artykułu dwadzieścia dziewięć, paragraf piąty Kodeksu karnego.

– Złagodzenie kary. Myślałam, że w Szwecji się z niej nie korzysta.

– Owszem, choć dość rzadko. Osobom zamieszanym w machlojki taka deklaracja rozwiązuje języki. Obiecujemy im pracę na cele społeczne i to, że nie będziemy żądać zakazu prowadzenia działalności gospodarczej. Cały czas więc wyskakuje coś nowego. Jak zmuszano ich do podpisywania umów z podwykonawcami, o których nie mieli pojęcia, jak grożono, by nie wyklócili się o faktury opiewające na sumy dwa razy wyższe niż te, co do których się ugodzono. Kiepski beton, zbyt wątle belki nośne, wadliwe izolacje przeciwwilgociowe, tego typu kwiatki. Czasami się zastanawiam, czy ci ludzie naprawdę byli zastraszeni, czy po prostu z radością wykorzystywali możliwość szybkiego zarobku. Chociaż wczoraj złapaliśmy grubą rybę. Nowo powstała gminna spółka, której gmina pożyczyła trzydzieści milionów. Pieniądze poszły na wynagrodzenie dla konsultantów. Właśnie tym usługom konsultanckim chcemy się teraz przyjrzeć.

– Człowiek powinien być zostać konsultantką, bez dwóch zdań. Uda się wam oskarżyć kogoś z tych większych oprychów? Więzienie? Chleb i woda?

– To raczej marzenie ściętej głowy, ale można się cieszyć z tego, że nie ma już zleceniodawców. Że zakręcamy kurki.

– Że roznosi się fama, jak to prokuratura kołuje nad przedsiębiorstwami niczym sokół.

– No, w każdym razie niczym dzięcioł czarny.

– A nie przymierzasz się do pracy na cały etat? Nie będę mękoliła o tym, żebyś zaczęła u nas.

– Możesz mękolić. Czuję się wtedy bardziej popularna. Ale teraz muszę kończyć, widzę już Kristera i Sivvinga.

– Kristera – powtórzyła Maria, a jej głos stał się nagle komnatą, do której słońce wpływa przez ogromne okna. – A jak ci idzie z nim?

– Powoli – odparła Rebeka. – Ale dobrze.

Sporo przebywali w swoim towarzystwie. Od tego wieczoru po pogrzebie Pohjanena. Nie spali ze sobą. Czasem, kiedy byli sami, pieścili nawzajem swoje ręce. Głaskali wierzchy dłoni. Obejmowali palce. Albo po prostu trzymali się za ręce i wpatrywali się w siebie na tyle długo, że w końcu wybuchali śmiechem. To było niesłychanie intymne. I bardzo prywatne. Nigdy nikomu by o tym nie opowiedziała. Z wyjątkiem terapeutki. Tej kobiecie, Agnes Stoor, mówiła o wszystkim.

Zakończyła rozmowę z Marią. A spomiędzy nagrobków wyłoniło się jej dwóch mężczyzn. Sivving poruszał się wolno. Krister trzymał swą otwartą dłoń w pogotowiu, jak najbliższej przyjaciela, gdyby ten się potknął.

– Jesteś gotowa?! – krzyknął starzec, nie czekając, aż dojdzie do celu, by zacząć rozmowę. – Psy zostały w samochodzie. Nie dlatego, że im za gorąco. Zapowiadali w radiu przy-mrozek. Ciekawe, co na to kwitnąca moroszka.

Zarówno Sivving, jak i Krister pochwalili aksamitki i po chwili całą trójką powędrowali do samochodu.

Kiedy byli w połowie drogi, Rebeka spostrzegła mężczyznę dwie alejki dalej. Natychmiast skojarzyła go z fotografią w aktach śledztwa. Taggen Mäki, syn Borówkowego Króla. Stał przy grobie i na moment podniósł oczy. Zrozumiała, że on też ją poznał, ale szybko spuścił wzrok i ruszył ku drugiej furtce w murze okalającym cmentarz.

Już na parkingu Rebeka poprosiła:

– Poczekajcie na mnie minutkę. Muszę tylko coś sprawdzić.

Nie mieli nic, co obciążałoby Taggena. Był tylko zwykłym pracownikiem zatrudnionym w firmie ojca. Nie podpisywał nigdy żadnych papierów. Nie miał pojęcia o finansach przedsiębiorstwa. W zasadzie nie miał kontaktu ani z ojcem, ani z jego żoną. Wiedział tyle co nic, zeznał.

Obserwowała jego szerokie plecy i stopy szeroko rozstawione na zewnątrz, gdy kołysząc swym monstualnym ciałem, zbliżał się do wyjścia. Wyrzucił wiecheć zwiędłych kwiatów do kosza na odpadki.

Rebeka pospieszyła ku grobowi, przed którym chwilę wcześniej stał Taggen. Kogo tutaj odwiedzał? Może swoją mamę. Dlaczego chciała się dowiedzieć? Coś ją tknęło. Sposób, w jaki mężczyzna się oddalił.

Ty i te twoje przecucia, usłyszała w głowie głos Pohjanena.

Nagrobek był szary, niepozorny. Zero ozdób. Rebeka stała wpatrzona weń. Świeże kwiaty w wazonie wetkniętym w ziemię. Najprawdopodobniej kupione na stacji benzynowej. Tanie. W jakimś nienaturalnym kolorze, jak gdyby wciągnęły z wodą farbkę do barwienia ciasta.

Tekst na nagrobku brzmiał:

Inger Ström

ur. 1931 zm. 2001

Spoczywaj w pokoju

Inger Ström?, zdziwiła się. Matka Börjega Ströma. Dlaczego? Ale tutaj myśl utknęła. Nie udało się jej pójść dalej.

Rebeka zawróciła do samochodu. Sivving rozprawiał o zbieraniu jagód i nie omieszkiał wspomnieć, że Rebeka powinna poprawić drenaż domu.

Taggen Mäki wyrzucił zwiędłe kwiaty do kosza przy murze i wcisnął się do samochodu. Ból kolan i ulga, gdy wylądował na tyłku. Powinien sprawić sobie nowy samochód. Bardziej obszerny. Kierownica wrzynała mu się w brzuch, chociaż odsunął fotel do tyłu tak bardzo, jak mógł, nie tracąc kontaktu z pedałami.

Ta prokuratorka go zobaczyła. Choć na dobrą sprawę to nie miało żadnego znaczenia. Nic już nie miało znaczenia. Nic go nie cieszyło. Ani też nic nie martwiło. W czasie przesłuchań na policji w ogóle się nie bał. Jako młody człowiek nieustannie żył w strachu, teraz niemal mu tego brakowało.

Kiedy spojrzął wstecz, a miał sześćdziesiąt osiem lat, całe życie jawiło mu się jako poplątana stara sieć rybacka. Poszarzałe nici, wszystkie jednakowe, nie do odróżnienia.

Nagle uświadomił sobie, że siedzi w aucie, które zaparkował przed swoim blokiem. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy wybrał właściwe miejsce. Jak to możliwe, że przejechał całą drogę z cmentarza do domu, zupełnie nie pamiętając podróży? Że też się nie rozbił.

W tej płątanie szarej sieci istniał jeden jedyny barwny punkcik. Kiedy Taggen miał czternaście lat. To równie dobrze mogło się zdarzyć wczoraj. Czas, który upłynął, był jak ta podróż z cmentarza: poszarzały, zwietrzały, nieistniejący.

Maj – czerwiec 1962

Taggen ma czternaście lat, za miesiąc będzie obchodził piętnaste urodziny. Późnym wieczorem pod koniec maja stoi sam w klubie bokserskim. Tłucze w worek treningowy, splywa potem. Za tydzień skończy ósmą klasę, na świadectwie będzie miał mnóstwo dwój. Chromolę, pomysłał. I tak nie mam zamiaru zostać grzypiórkim.

Ma już opinię lokalnego opryszka. Ojciec zleca mu drobne sprawy, a to stłuc szybę, a to pogruchotać samochód młotem, tego typu rzeczy. Nigdy nie pyta dlaczego, pytań zadawać nie

wolno. Chodzi najpewniej o ludzi, których trzeba ostrzec albo ukarać. Dwa razy podłożył ogień. Jeden dom spłonął doszczętnie, na drugi dzień pisali o tym w gazecie. Taggen nigdy nie odmawia, a mimo to ojciec cały czas wyzywa go od ciot, pojebów i tchórzy. Lecz nie przed każdym. Wobec przedstawicieli szkoły, społeczeństwa i klubu bokserskiego Taggen jest jego synem i niech żaden skurwiol nie odważy się na niego naskoczyć. Ale w obecności najbliższych kumpli rozżalenie uchodzi z niego jak powietrze ze starej opony.

Jest rozczarowany, bo Taggen nie zapowiada się na dobrego boksera. Uważa go za mięczaka i nazywa pupilkiem mamusi. Półżartem dodaje: „Wątpliwe, czy jest mój”. Kuksaniec zawsze wisi w powietrzu.

Nowy chłopak mamy jest zupełnie inny, ale Taggen pogardza nim równie mocno jak ojciec. Nowy pracuje jako woźny na pływalni i ojciec nazywa go pływakiem trzęsidupą.

Taggena ciągnie do ojca, chce się do niego upodobnić, chce udowodnić, że potrafi, ale ciągle dostaje w japę.

Zgrywa twardziela, nikt nie może mu podskoczyć, mało kto ma odwagę spojrzeć w jego stronę. Lecz prawda jest taka, że Taggen żyje w nieustannym strachu. Najbardziej boi się ojca. Ale też innych rzeczy. Panicznie boi się ciemności, szpitala i pajaków. Nie może siedzieć plecami do drzwi. Lękiem napawają go też mecze bokserskie. Nikt jednak o tym nie wie. W towarzystwie innych szydzi z każdego, kto okazuje najmniejszą słabość.

Trenuje sumiennie, ponieważ to dla ojca ważne. Stracił nadzieję, że kiedykolwiek będzie kimś w ringu. Kolegom mówi, że reguły to nie dla niego. Coraz częściej natomiast wdaje się w bójkę na potańcówkach albo przy tych nielicznych okazjach, gdy pojawia się w szkole. Niewątpliwie ma z treningu korzyści. Uderza z taką siłą, że nie może okładać rywali po facjacie. Twarz jest twarda i przy celnym ciosie bez rękawic łatwo połamać sobie kości dłoni. Taggen stawia więc na części miękkie i wieńczy walkę kopniakami, gdy przeciwnik leży na ziemi.

Właśnie kiedy tłucze w worek w najlepsze, słyszy pukanie do drzwi lokalu.

W progu stoi kobieta. Taggen najpierw bierze ją za jakąś ciotkę klotkę, dopiero gdy ociera oczy z potu, dostrzega jej piękno. Obcisły sweterek i dopasowana spódnica. Jakby wyjęta z filmu.

– Szukam Raima Koskeli. Czy jest tutaj?

– Nie... – odpowiada Taggen i odwraca oczy od jej piersi. Spodenki bokserskie są szerokie, ale nie aż tak.

– Ale zazwyczaj tu trenuje, prawda? – pyta kobieta, usiłując zajrzeć w głąb lokalu przez ramię młodego pięściarza.

Ten odpowiada skinieniem głowy.

– Tylko że nikogo tu nie ma – mówi. – To znaczy ja jestem, no. Nie ma nikogo innego, to chciałem powiedzieć.

Milknie. Czuje się jak ostatni dureń.

Lecz ona nie patrzy na niego jak na durnia. Zaczyna jej drgać podbródek i do młodzieńca dociera, że kobieta za chwilę się rozpłaczę.

– Raimo to mój były mąż – wyjaśnia. – Mamy synka... Börjego... A Raimo nie płaci alimentów. Nie ma telefonu, nie mogę go złapać...

Na widok lejącego się łez Taggen czuje się bezradny. Nigdy nie miał żadnej dziewczyny. Kolegom wciska oczywiście jakieś kłamstwa, ale tak naprawdę nigdy nie chodził z żadną dziewczyną, nigdy żadnej nawet nie pocałował. Nie wie, jak rozmawiać z kobietami, a już absolutnie nie ma pojęcia, co robić, kiedy płaczą.

Gdyby miał choć serwetkę, kawałek papieru, żeby je podać do otarcia łez. Ręka unosi się, porusza zagubiona w powietrzu, jakby w oczekiwaniu na zmaterializowaną znikąd chusteczkę do

nosa.

Nagle w oczach kobiety pojawia się coś, co przypomina – Taggen nie wie co – złość? I głód. Jakby go chciała zjeść. Zanim, wystraszony, zdąży cokolwiek zrobić, kobieta chwyta go za uniesioną rękę i przyciąga do siebie. Przestrzeń między nimi jest tak naelektryzowana, że buczy mu w uszach, jakby stał pod przewodami wysokiego napięcia. Czuje, jak serce pompuje krew w potężnych rzutach. Wtłacza ją do tętnic. A sekundę później jej usta przywierają do jego ust, ręka obejmuje kark.

Po jakimś czasie wspomnienie tej chwili ulegnie zmianie. Taggen zapamięta, że to on wyciągnął rękę, by otrzeć łzy. Że to on pochylił się do przodu i zrobił pierwszy krok.

Fiut twardnieje w ciągu sekundy. Jego właściciel odpowiada nieporadnym pocałunkiem.

Kobieta napiera na Taggena, wpycha go do środka, drzwi zatrząskują się za nimi.

Chwyta fiuta przez spodenki, ugniata go od spodu tak mocno, że chłopak niemal mdleje. Jej piersi falują pod sweterkiem, po chwili w jego dłoniach. Ożeż kurwa, jaka nim targa chuć!

Kobieta popycha go na ławkę do wyciskania, zrywa mu spodenki, podnosi spódnicę, jednocześnie ściągając rajstopy. Zanim siądzie na nim okrakiem, on zdąży jeszcze zobaczyć rąbek damskich majtek, spadających na podłogę.

To wszystko nie trwa długo. Naraz serce przestaje walić jak oszalałe, Taggen czuje się zadowolony i oziębiały.

Kiedy w końcu podnosi się z ławki, dostrzega, że kobieta zdążyła włożyć figi i rajstopy. Płaszczka nawet nie zdjęła. Teraz wsuwa stopy w szpilki. Gładzi Taggena po twarzy wierzchem dłoni. Uśmiecha się smutno i mruga. Powoli, jakby zamykała oczy. Gęste czarne rzęsy ciągle są mokre od łez. Wychodzi bez słowa.

Przez następne tygodnie bez przerwy o niej myśli. Nie opowiada nikomu, co mu się przytrafiło. Koledzy z pewnością by nie uwierzyli. A gdyby nawet, to nabijaliby się z niego, pytając, czy nie przeleci też własnej matki albo paru nauczycielek ze szkoły. Potrafi sobie wyobrazić, jak go popychają przed domem dla seniorów, jak proponują, żeby tam zajrzał i znalazł sobie nową cipę.

Ale wspomnienie ciała kobiety ogrzewa część jego wnętrza, dotychczas tak opustoszałego. Zadając niezobowiązujące pytania o Raima, który przecież pracuje dla ojca, ustala jej imię i nazwisko. Inger Ström. Fantazjuje o tym, jak się spotykają w sklepie albo na potańcówce. Jak wystarcza jedno spojrzenie i już wiedzą. Splątane ciała w jej łóżku. Tym razem nie idzie tak szybko. On jest tym niezmordowanym młodym kochankiem, o którym cały czas marzyła.

W kolejnych tygodniach onanizuje się intensywnie, aż do bólu. Wyobraźnia maluje mu coraz wyraźniejsze obrazy. Inger Ström i on kochają się, ona szepcze mu, że jest tym jednym jedynym, on się do niej wprowadza i zastępuje dziecku ojca.

W tym bezdusznym mroku, jakim jest jego życie pełne występków, pijaństwa i przemocy, jedynie myśli o Inger ogrzewają mu serce.

Ale jak im zapewni utrzymanie? Co jej może ofiarować? Wkrótce zacznie dziewiątą klasę, ale nie ma nawet pracy na wakacje. Dostaje czasem trochę kasy od ojca, a tej ledwie starczy na benzynę do motoroweru i trochę gorzałki.

I wtedy pojawia się okazja.

W pewien sobotni wieczór maszeruje do ojca, ponieważ mama i pływak trzęsidupa zaprosili sąsiadów na obiad i nie chcą, żeby im przeszkadzał. Linka gazu się zerwała. Oczywiście na dole, przy gaźniku, bo przy manetce mógłby zdjąć pancierz i manewrować ręcznie. Idzie więc pieszo całą drogę aż do Tuolli.

Samochód ojca, czerwony ford taunus transit z paką, stoi na podwórzu. Obok cztery inne auta. Z domu słychać muzykę i stłumione głosy. Ojciec imprezuje z kumplami. Zazwyczaj przy-

gotowuje jakieś nieskomplikowane żarcie: gotowe klopsiki i makaron w białym sosie, chleb z kiełbasą. Teraz pewnie grają w karty. Żołądek kurczy się boleśnie z głodu i ze strachu. Dobrze byłoby wrzucić na ruszt kilka kiełbasek, ale ojciec po pijaku ma jeszcze bardziej dotkliwe zapędy wychowawcze, Taggen nauczył się ich unikać. Dosić ma sprawdzianów siły, mocowania się na ręce i tych wszystkich wyzwisk.

Podchodzi więc do samochodu ojca i pociąga za klamkę. Zamknięty. To znaczy, że w środku są pieniądze. Zagląda przez boczną szybę. Dostrzega na podłodze stosik utworzony przez kilka zawiązanych reklamówek. Masa pieniędzy.

Skrada się po schodach, otwiera drzwi do domu. Nikt go nie słyszy. Na haczyku w sieni wisi kurtka ojca. Taggen wyciąga klucze z prawej kieszeni. Szybko na ugiętych nogach przemieszcza się do samochodu dostawczego, po chwili jednak zmienia plany i pędzi w kierunku wychodka.

Z leżącego tam na półce opakowania papieru toaletowego bierze dwie rolki i wraca do forda taunusa. Otwiera go. Plastikowe torby wypełniają całą przestrzeń na podłodze przy fotelu pasażera. Chwyta pierwszą z brzegu, rozwiązuje ją, wciska pliki banknotów za pazuchę i do kieszeni, wrzuca do reklamówki rolki papieru toaletowego, zawiązuje ją i odkłada na miejsce.

Zamknawszy samochód, dostrzega ruch na ganku. Jest tak przerażony, że siłą powstrzymuje się od krzyku. Rzuci się na ziemię i wsuwa pod auto. Jakiś mężczyzna otwiera drzwi, schodzi niepewnie po schodach i maszeruje do wychodka. Chłopak nie jest pewien, kto zacz, może Toivo? Chyba tak, nikt inny nie dorównuje mu wzrostem. Przecinając podwórze, mężczyzna puszcza potężnego, końskiego bąka.

Kiedy Toivo znika w sławojce, Taggen zamyka samochód na klucz i biegnie do domu. Kumpel ojca poszedł się wysrać, to pewne. Inaczej odlałby się pod drzewem, jak inni. Miejmy nadzieję, że jest z tych, co lubią posiedzieć w sraczyku, myśli. Wchodzi do sieni i wkłada klucze ojca do jego kurtki.

A potem rusza pędem przed siebie, jakby chodziło o życie. Przytrzymuje rękami bluzę na brzuchu, żeby banknoty nie wyleciały, i zmuszając nogi do nadludzkiego wysiłku, próbuje ochłoniąć z przerażenia. W końcu brakuje mu sił, kwas mlekowy zwała go z nóg. Płuca łapczywie wciągają powietrze.

Nie dociera do niego jeszcze, co zrobił. Ale kiedy podnosi się ponownie, nie czuje strachu. Czuje się jak mężczyzna. Bluza jest wypełniona banknotami mokrymi od potu, gumki opasujące pliki drażnią skórę.

Ukryje kasę w jakimś bezpiecznym miejscu. Na razie ma tylko niejasny plan odszukania Inger Ström. I zaoferowania jej... właściwie nie wie czego. Musi najpierw policzyć pieniądze.

Tydzień później odbiera telefon od ojca. Wcześniej zdążył zwinąć banknoty w ceratę i zakopać w lesie. Ale też pożałować swego bezmyślnego uczynku. Ojciec dostał szału, kiedy wykryto kradzież. Taggen wie, że mężczyznę, którego podejrzewano o wypchanie reklamówki papierem toaletowym, sprano na kwaśne jabłko. Boi się śmiertelnie, że ojciec go nakryje. Zastanawia się cały czas, czy nie lepiej odkopać zawiniątko i wrzucić do ognia. Nie ma jednak na tyle odwagi, żeby choć pójść do tego miejsca w lesie, które oznaczył kamieniem tak ciężkim, że ledwie mógł go podnieść. A jak ktoś go zobaczy?

Gdy jest razem z mamą i jej nowym mężem w Piilijärvi, w gospodarstwie rodziców pływaka trzęsidupy, odbiera telefon od ojca.

– Naprawiłeś motorower? – pyta ojciec bez wstępów. – Wsiadaj i ruszaj do skrzyżowania na Vittangi. Odbierzemy cię stamtąd.

– A dlaczego? – pyta Taggen, próbując zachować spokój.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Jak mówię, że masz przyjechać, to po prostu

przyjeżdżasz, zrozumiano?

Odłożenie słuchawki na widelki sprawia mu trudność. Wykryli go. Ojciec w jakiś sposób to wyniuchał. Wywiezie go teraz do lasu i solidnie mu przyłoży. Rozkaże swoim chłopaczkom, żeby mu poprzetręcali kości. Nagły skurcz żołądka zgina go w pół. Musi pojechać, ale czy starczy mu odwagi?

Ponieważ pływak trzęsidupa dba o gospodarstwo i nie pozwala pasierbowi rozjeżdżać ziemi motorowerem, Taggen prowadzi swój pojazd do drogi, idąc na skróty przez zagrodę sąsiada. Przechodząc obok jego samochodu, zerka do środka.

I dostrzega leżący na siedzeniu pasażera pistolet. Bez wahania otwiera drzwi, bierze broń i wkłada do kieszeni.

A potem jedzie do skrzyżowania z drogą na Vittangi. Zostawia motorower w rowie. Kiedy wsiada do buicka ojca, okazuje się, że dzieli tył samochodu z Toivem, który swoim potężnym cielskiem wypełnia połowę przestrzeni. Jego fińska głupia blond pała sięga sufitu.

Kierowcą jest Pessan-Mauri. Jakiś rok temu boksował się w klubie Nordpolen. Ma ciemne oczy i odzywa się do człowieka jak do psa: „Nie gap się!”, „Przesuń się!”.

Ojciec zajął miejsce pasażera. Toivo na dzień dobry podaje Taggenowi piersiówkę.

– Jedziemy porozmawiać z Raimo Koskelą – informuje ojciec.

– Aha – odpowiada jego syn, czując, jak wódka wlewa się ciepłym strumieniem do żołądka i kładzie na nim uspokajającą dłoń.

Raimo, myśli chłopak, podczas gdy samochód sunie wzdłuż rzeki w ten jasny letni wieczór. Podejrzewają, że to Raimo zwędził ojcu pieniądze. Ogarnia go tak ogromna ulga, że do oczu napływają mu łzy. Musi odwrócić twarz do szyby.

Zatrzymują się na moment w Kurkkio, Pessan-Mauri wchodzi do domu na skraju wsi. Rozgląda się wokół, nie rozszczękał się żaden pies. Kierowca porusza się cicho i zwinnie, w rękę trzyma klucz. Ten, którym za chwilę otworzy szlaban. Jadą powoli, omijając korzenie i wyboje na piaszczystej drodze leśnej, ojciec dba o swojego buicka.

Kiedy docierają do chatki, Raimo Koskela siedzi na schodkach.

– Gdzie twój syn? – pyta ojciec.

– Börje nocuje u kolegi – odpowiada Raimo. – Wróci jutro.

Pessan-Mauri przeszukuje sprawnie cały domek i rzeczy Raima. Żadnych pieniędzy. Okrąża chatkę, schodzi na brzeg rzeki, zagląda pod łódkę.

– Chcemy tylko pogadać – mówi ojciec, częstując rozmówcę papierosem. – Ale na osobności.

Raimo wydaje się zaniepokojony, ale nie stawia oporu. Wciska się z tyłu między Toiva i Taggena.

Zawracają do wioski, gdzie czeka na nich z łodzią Henry Pekkari. Mieszka na wyspie pośrodku rzeki. Taggen spotkał go parę razy w klubie. Przesiaduje tam z innymi chłopakami, ale sam się nie boksuje. Teraz rusza na niepewnych nogach do łodzi i zajmuje miejsce przy motorze. Wypił najwyraźniej więcej, niż zdradzają jego zdawkowe odpowiedzi. Wita się z Raimem, nie patrząc mu w oczy.

W drodze do domu Henry’ego Raimo nie potrafi dłużej ukryć niepokoju. Taggen przebiera palcami po pistolecie leżącym w kieszeni kurtki.

Rozmawiają w największym pokoju. Raimo zaprzecza, jakoby wziął jakieś pieniądze. Ojciec twierdzi, że to Raimo prowadził samochód i że nikt poza nim nie ma kluczyków.

– Czy to znaczy, że ja sam je wziąłem? – pyta ojciec. – Wyszedłem z domu w nocy jak lunatyk i sam siebie okradłem?

Pessan-Mauri trzyma Raima, a Toivo wymierza ciosy. Uderza kilka razy w twarz

i w brzuch. Raimo upiera się, że jest niewinny. Taggen czuje na sobie spojrzenie ojca. Rozumie nagle, dlaczego tu przyjechał. Ma się nauczyć wytrzymałości. Żadnego babskiego mazgajstwa. Taggen stara się zachować neutralny wyraz twarzy. Wykrzywia usta w lekkim uśmiechu. Spoko, daje radę. Jeszcze tato zobaczy.

Henry Pekkari opada na fotel i nie przestaje spoglądać w bok.

Pessan-Mauri i Toivo zamieniają się rolami, teraz ten drugi podtrzymuje, a pierwszy zadaje razy. Raimo niezmiennie zaprzecza. Jego twarz zaczyna przypinać mięsno-ziemniaczaną papkę. Krwawi z nosa i rozciętej wargi, łapie szybkie oddechy i wykrzywia się z bólu. Najpewniej złamali mu żebro. Taggen myśli, że równie dobrze to on mógłby tak wyglądać. Ojciec nie traktowałby go ulgowo tylko dlatego, że jest jego rodzonym synem. Raczej na odwrót.

Olbrzym puszcza ofiarę i otrząsa ramiona. Pessan-Mauri posyła szefowi pytające spojrzenie: co dalej?

Taggen dostrzega w oczach ojca cień zwątpienia. Rozważa, czy to może jednak nie on?

– Na więcej nie pozwolę – odzywa się Raimo, wypluwając na podłogę krwawą nitkę śliny. – Jeśli chcecie mi jeszcze przyłożyć, to musicie się liczyć z tym, że też wam przywalę. Nie wziąłem twoich pieniędzy, Fransi. Ileż to lat dla ciebie pracuję? Teraz musisz mi uwierzyć na słowo.

Jeśli ojciec zdecyduje się na wersję, że to nie Raimo... To wtedy już tylko krok do wersji, że winny jest jego syn. Jest tylko jeden kluczyk do samochodu. Ojciec w końcu zacznie się zastanawiać, kto go mógł wyjąć z kieszeni jego kurtki.

Chłopak wyszarpuje ze swojej pistolet.

– Przestań kłamać! – krzyczy, wymierzając w Raima.

Pozostali mężczyźni reagują błyskawicznie.

Pijaczyna Henry wstaje z fotela tak gwałtownie, jakby mu ktoś do dupy włożył rozżarzony węgiel. Z rozdziawionych ust nie wydobywają się żadne słowa. Ojciec rzuca przekleństwa. Toivo i Pessan-Mauri robią krok, każdy w inną stronę, żeby nie stać na linii strzału.

Uczucie, które przeszywa teraz Taggena, niemal unosi go nad podłogą. Oni się boją. Ci dorośli mężczyźni boją się jak gówniarze. Nawet siedzący ciągle ojciec pobladł.

– Rzuć broń – chrypi Raimo. – Nie ukradłem...

Więcej powiedzieć nie zdąży, nim dosięgnie go kula. Taggen sam jest zdziwiony. Siła odrzutu wytrąca mu pistolet z dłoni, ten upada na podłogę.

Raimo przewraca się do tyłu. Na przodzie koszuli rośnie czerwona plama. Wszyscy oprócz Henry'ego i Taggena podbiegają do leżącego.

– Ja cię pierdolę, chłopcze! – wyrzuca z siebie Pessan-Mauri.

Ranny rzezi i charczy. Po chwili z jego ust wypływają różowe bańki. Ale nie przestaje oddychać. Taggen nie może wytrzymać tego potwornego dźwięku.

– Siadaj! – rozkazuje ojciec, podnosząc pistolet. – Skąd go, do kurwy nędzy, wziąłeś?

Syn siada posłusznie i opowiada. Pessan-Mauri i Toivo też opadają na krzesła.

Henry zawodzi, że kula przeszła Raima na wylot i zrobiła dziurę w ścianie nad kanapą. Ojciec szydzi z niego, że lamentuje nad wystrojem wnętrza jak baba. Przecież wystarczy powiesić obraz trochę niżej. Nakazuje mu przynieść coś do picia i wkrótce na stole pojawiają się bimber i pięć szklanek.

Piją w milczeniu, podczas gdy na podłodze powoli umiera człowiek. Taggen połyka alkohol dużymi łykami, dostaje dolewkę. Czuje na sobie wzrok ojca. Poczucie władzy, które jeszcze przed chwilą dodało mu skrzydeł, zniknęło bezpowrotnie. Znów jest beznadziejnym szczeniakiem, którego trzeba pouczać. I hartować chrapliwymi oddechami, które nie chcą ucichnąć. Zastanawia się, czy tak będzie przez całą noc. Czy ten facet po prostu nie może umrzeć?

Nie trzeba całej nocy. Po niespełna półgodzinie Raimo bierze swój ostatni oddech.

– Ty durniu pojebany! – zwraca się ojciec do syna i wstaje z krzesła. – I jak ja się teraz dowiem, gdzie schował pieniądze?

Taggen nie potrafi odpowiedzieć. Rzęzenie Raima jeszcze przed chwilą było obrzydliwe, ale cisza napawa go lękiem, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył.

A ojciec zaczyna komenderować. Każdy trzyma mordę zamkniętą na kłódkę. Jeśli ktoś się wygada, to spotka go ten sam los co Raima. To dotyczy również Taggena. Żadnego wypłakania się u mamuśki albo w objęciach jakiejś cizi. Henry ma się pozbyć ciała.

– Nie, nie dam rady – próbuje protestować Henry. – Dlaczego właśnie ja...?

Ojciec każe mu się zamknąć.

– Chyba rozumiesz, że teraz nic nie wskóramy? Jasno na okrągło. Byle kto może zobaczyć, jak targamy ciało do łodzi i próbujemy zatopić w rzece. Włożymy zwłoki do zamrażarki i z nastaniem jesieni, pod osłoną nocy, owiniesz go łańcuchem i wrzucisz do wody, tam gdzie jest najgłębiej.

– No co ty, kurwa, zamrażarka jest nowiusieńka – jęczy Henry.

Ale ojciec nie słucha jego pretensji. Albo Henry robi, co mu się każe, albo są tutaj cztery osoby, które mogą poświadczyć, że to właśnie on wpakował kulę w Raima.

Toivo i Pessan-Mauri opróżniają zamrażarkę i wciskają w nią zwłoki.

Taggen uświadamia sobie, że teraz dwa rosłe chłopcy trudzą się z zapakowaniem nieboszczyka do skrzyni. A jak ma sobie potem poradzić Henry? Jak wyjmie to sztywne ciało, jak zaciągnie je na brzeg, wpakuje do łodzi i obciążone łańcuchem wrzuci do wody? Będzie musiał je porąbać, rozczłonkować jak zwierzę.

Mdli go od alkoholu i ze strachu, wstaje z trudem. W drodze do domu dwa razy prosi kierowcę, żeby się zatrzymał. Wymiotuje na poboczu. Ojciec go wyśmiewa.

Zostawiony przy skrzyżowaniu, resztę drogi pokonuje na motorowerze. Gdy staje u celu, musi wytrzeć twarz oblepioną nieżywymymi komarami. Ma ich pełno we włosach i na ubraniu.

Zakrada się do samochodu sąsiada i kładzie pistolet na fotelu pasażera, skąd go wziął. Jak mu nakazał ojciec.

Potem wchodzi na palcach do domu. Mama i jej partner śpią twardo. Z sypialni słychać ich pochrapywania. Pachnie świeżo upieczonym ciastem. W kuchni leżą dwie blachy pełne drożdżówek z cynamonem. Taggen pałaszuje jedną bułeczkę. Po chwili następną. I jeszcze jedną. Zjada ich dziesięć. Wypełniają żołądek miękkim, uśmierzającym cięzarem.

Tylko to mu pomaga. Jedzenie. Przez kolejne lata, kiedy struchlały i zlany potem budzi się ze snów o krwi i charczeniu. Kiedy samotność ścisza go niczym zimni ogrodnicy.

Choćby to, że nikomu nic nie może powiedzieć. Jest samotny i śmiertelnie przerażony. Zawsze trzymał się z dala od policji, ale teraz dostaje trzęsionki na sam widok radiowozu zaparkowanego przed knajpą. Gorzalka nie pomaga.

Pomaga jedzenie. Budzi się w nocy, kraje cały bochenek na kromki, smaruje masłem. Pochłania drożdżówki, ciastka i słodczyce tak długo, aż poczuje wewnętrzny spokój.

Piątkowego wieczoru pod koniec czerwca wychodzi na całonocną imprezę. O szóstej rano wraca samotnie i w zasadzie powinien skierować kroki do domu. Ale nagle stoi przed mieszkaniem Inger Ström przy Föraregatan. Już dawno temu sprawdził w książce telefonicznej, gdzie mieszka, i nawet był tu kilka razy na motorowerze, ale nigdy jej nie spotkał. Wie, że pracuje jako fryzjerka w salonie niedaleko stąd. Kiedyś nawet dostrzegł ją tam, choć oczywiście nigdy nie wszedł do środka.

Drzwi do budynku są otwarte. Litery w spisie lokatorów dwoją mu się przed oczami, musi przymknąć jedno, by móc czytać. Inger mieszka na drugim piętrze.

Taggen wspina się po schodach, podciągając się na poręczy. Na jednych drzwiach, przy wrzutniku na listy, dostrzega jej imię i nazwisko. Zamierza zapukać cichutko, ale wychodzi mu łomot, niosący się po całej klatce schodowej.

Inger Ström otwiera po kilku sekundach w koszuli nocnej i błękitnym pikowanym szlafroku.

Taggen nie zaplanował, co ma powiedzieć. Tak naprawdę nie wie, o co mu w ogóle chodzi.

– Kim ty jesteś? – pyta kobieta, choć on widzi po niej, że go poznaje.

Wszystkie rzeczy leżące mu na sercu krystalizują się tylko w połowie.

– Czy chcesz... – zaczyna bardziej bełkotliwie, niżby chciał. – Myślałem o... Mam pieniądze.

Oj, uświadamia sobie, że daje do zrozumienia, że chce zapłacić za jej usługi.

– Nie, nie – próbuje raz jeszcze. – Twój mąż... To znaczy były mąż... Ja...

Dłoń chce uformować się w pistolet, ale uniesiony palec wskazuje to tu, to tam. Może ona nic nie rozumie. A może pojmuje wszystko.

– Kim ty jesteś?! – krzyczy Inger tak głośno, że w ten sobotni poranek z pewnością budzą się wszyscy sąsiedzi. – Spadaj! W tej chwili won, bo inaczej zadzwonię na policję!

Trąca go w pierś, on zatacza się do tyłu.

– Won! – wyje ponownie. – Won, won i nie waż się tu wrócić, ty parszywy, ohydny gnojku!

Jego umysł jest ociężały. Ale jej wykrzyczane przesłanie w końcu doń dociera.

Na chwiejnych nogach Taggen schodzi po stopniach i opuszcza budynek. Któryś z sąsiadów otwiera okno i podąża za nim wzrokiem, gdy chłopak z rękami w kieszeniach skręca w Hjalmar Lundbohmsvägen. Jest cudowny letni poranek, spokojny, czarujący. Żadnych samochodów, ale ptaki nadają na pełnych obrotach. Taggen nie zwraca na to uwagi. Jest głodny. Ma ochotę na frytki i kiełbasę. Herbatniki z masłem oraz kanapki z serem i pastą kawiorową.

Pewnego sierpniowego wieczoru do klubu przychodzi Börje. To nie żaden dzidzius, któremu Taggen chciał zastąpić tatę. Nyrkin-Jussi i Sisu-Sikke biorą go pod swoje skrzydła. Kiedy sparingują ze sobą, Taggen przykłada mu ile wlezie. Börje wkrótce okaże się lepszy, ale ciągle brakuje mu siły ciosu. A kiedy tę siłę ciosu zdobędzie i wykaże się talentem, Taggen sobie odpuszcza.

Pieniądze leżą w lesie, tam gdzie je zakopał. Nigdy nie wróci do tego miejsca. Myśli często o Inger Ström. Ale to wszystko inne... jest jak powracający sen. Czasami nieprzyjemnie wyrażny, tak jak wtedy, gdy stał w sypialni ojca ze Svenem Erikiem Stålnackem i Börjem Strömem i nie wiedział, czy ojciec go nie zdradzi. Ale najczęściej ma wrażenie, że to nigdy się nie wydarzyło.

– **POGODĘ MACIE PIERWSZEJ KLASY** – powiedział Krister, gdy wysiadł z samochodu i przeszedł na drugą stronę, by otworzyć Sivvingowi.

– Może bardziej pierwszej wody – uśmiechnął się Börje, ogarniając zmrużonymi oczyma rzekę.

Rebeka rozejrzała się dokoła. Stali w miejscu, gdzie zimą wznosi się hotel lodowy w Jukkasjärvi. Przyjemnie tutaj, z tymi wszystkimi chatkami do wynajęcia i nowym zajazdem, zbudowanym w całości z bloków lodu, otwartym przez okrągły rok. W zajeździe znajduje się wyborny bar.

Grupka rozmawiających żywo turystów, chyba z Japonii, przeszła obok. Rebeka pomyślała, że pewnie wracają z atelier, gdzie starali się z całych sił rzeźbić w lodzie. Teraz, jeszcze przed sezonem, unosiła się tutaj aura senności. Jak gdyby ziemia odpoczywała po intensywnym

oblężeniu przez turystów z całego świata.

Niebieska woda Torne. Jej rodzimej rzeki. Jakies dziesięć kilometrów stąd w górę biegu stał jej szary eternitowy dom. Słońce posypywało wodę brokatem, lekki wiatr odganiał komary. Po drugiej stronie leżało Poikkijärvi, gdzie na cmentarzu obok swojego taty spoczywał Nalle. I Tommy.

W porządku, pomyślała i nie odwróciła wzroku od wioski na drugim brzegu. To dobrze, że miejsce osadziło się w mojej historii. Żebym nie zapomniała. Bo to, że zapomnę, nie sprawi, że coś po prostu zniknie.

Ragnhild mocowała bagaż w pontonie. Przywitała się, podeszła do swojego auta, wypuściła Villę.

– Myślę, że nie ucieknie – powiedziała. – Jest już jedną z nas.

Psy z tyłu samochodu prokuratorki zaczęły szczebrać i skomleć.

– No to niech się przywitają – zdecydowała Rebeka.

Wypuściła Tintin, Roya, Bellę i Smarkacza.

Dwunożni obserwowali przez jakiś czas procedurę powitalną: igraszki połączone ze spiżaniem i podwijaniem warg. Po chwili psy ustaliły hierarchię.

– A ty jak zawsze najniższy rangą – powiedziała czule Rebeka do swojego czworonoga.

– Będzie dobrze – podsumował Sivving. – Bella jest szefową.

– Nie mam powodu do niepokoju – odparła Ragnhild. – Taka sfera dobrze Villi posłuszy.

– A już na pewno posłuszy jej powrót na wyspę – dodała Rebeka. – Przyjedziemy z nią za dwa dni. Przeżyjesz je u nas, kruszyno, prawda?

Ostatnimi słowy zwróciła się do Villi, która właśnie zaczęła radosne harce ze Smarkaczem.

– Jeśli wy przeżyjecie – wtrącił się Sivving, spoglądając znacząco na nurt rzeki. – To przecież czyste wariactwo.

Spojrzenie Ragnhild spotkało się krótko ze spojrzeniem Rebeki. Od jakiegoś czasu zaczęła się o nią modlić. O nią i o Paulę. Modlitwa zbliżyła ją do obu kobiet, choć one o tym nie wiedziały. Ragnhild nie była przekonana, że słyszy ją jakaś siła wyższa. Tak czy owak, to się sprawdzało.

Sprzedziała swoje mieszkanie i spłaciła udział Ollego w spadku. Brat był zaabsorbowany trwającym śledztwem i badaniem działalności firmy. Zarówno jemu, jak i Andersowi sporo miało ująć płazem. Działali w dobrej wierze, przynajmniej na początku, po zaakceptowaniu swoich nowych właścicieli. A gdy wkroczyli na drogę występku, czynili to pod przymusem. Ragnhild cieszyła się, że w przyszłości nie będzie miała z nimi do czynienia. Olle odstąpił jej swoją część wyspy bez wygórowanych żądań finansowych. W jakiś sposób wszystko się ze sobą wiązało. Bóg niczym pająk przącił swoją sieć dobra, mocując nici do czarnych trzpieni życia.

Zauważyła dłoń Kristera pospiesznie głaszczącą rękę Rebeki.

Wskoczyła z Börjem do pontonu. Rebeka i Krister odepchnęli ich od pomostu. Villa pożegnała niespokojnym szczebraniem.

– Jesteś pewna, że pamiętasz, jak to się robi? – zapytał Börje. Zaśmiał się, kładąc pod siedzisko kask, który miał się przydać później.

– Mam nadzieję, że jak przyjdzie co do czego, to sobie przypomnę – odpowiedziała ze śmiechem.

Chwyciła za wiosła sterowne i równomiernymi ruchami nadała pęd łodzi, kierując ją ku głównemu nurtowi rzeki. Przyjaciele na brzegu pomachali na pożegnanie.

Börje przemieszczał się z jednej strony na drugą i machał pagajem na komendę Ragnhild. Poczł się młody i pełen życia. Radował się siłą, z jaką wprawiał ponton w ruch. Ragnhild za

nim z wiosłami sterownymi.

Po meczu w Hamburgu myślał, że to już koniec. Że już nigdy nie poczuje, jak niecierpliwa ekscytacja burzy w nim krew.

Lipiec 1977

Volksparkstadion w Hamburgu wrze. Kiedy Börje tam dociera, trwa już drugi przedmecz. W ogromnej hali sportowej podnosi się wrzask publiczności. Ani chybi nokaut.

– Wszystko w porządku, chłopcze? – pyta Paris w szatni, bandażując Börjemu ręce.

Jest dobry w te klocki. Wie dokładnie, jak wiązać owijki, żeby chroniły delikatne kości, a jednocześnie nie ścisnęły dłoni zbyt mocno, żeby bokser nie stracił w nich czucia. Börje ma ze sobą tylko trenera i niemieckiego cutmana. To wystarczy. Nie życzy sobie masy ludzi, którzy stojąc w narożniku, wykrzykują masę dobrych rad.

Odpowiada, że wszystko w porządku, ale głos dobywa się z tej części wnętrza, której nie do końca jest świadomy. Zapatrzone we własną głębię.

Boi się. Ale to część gry. Przed wejściem na ring pięściarz ma być spięty. Strach jest w porządku. Nie można tylko pozwolić, by emocje odebrały człowiekowi umiejętność myślenia.

Börje jest też pełen nadziei. Tęskni za ringiem. To najlepsze miejsce na świecie. Lepsze niż łóżko kobiety. Lepsze niż wypitka, która opatula świat mięciutką bawełną. Ring to planeta w innej galaktyce, dokąd udać się mogą tylko nieliczni. Nikt inny nawet nie będzie próbował tego zrozumieć.

Tak ciężko trenował w ostatnich miesiącach. Biegał jak opętany, dycha poniżej czterdziestu minut mimo sporej wagi, tam i z powrotem po wysokich schodach w dynamicznych interwałach. Paris wyczarował mu całą armię leworęcznych pięściarzy do sparingów. Sparingowali ukradkiem o nieludzkich porach, o świecie i późnym wieczorem. Bokserzy nie odmawiali Parisowi, ale żaden z nich nie chciał, żeby dowiedział się o tym Big Ben. Spotykali się w niewielkiej siłowni na Bronksie. „Wygląda na to, że znasz wszystkich”, powiedział kiedyś Börje. Trener wzruszył ramionami i odparł: „*I'm a nice guy*. Jestem takim miłym facetem od trzydziestu lat. I to procentuje”.

Do szatni wkracza sędzia i wygłasza litanie o obowiązujących regułach. Czcza formalność, nikt tego nie słucha. Będą walczyć dziesięć rund, ponieważ to nie jest mecz tytułowy.

Ktoś sprawdza owijki i wyraża na nie zgodę, rysując krzyżyk na każdej ręce. Paris sznurowuje podopiecznemu rękawice i owija taśmą, co również zostaje zatwierdzone. Już prawie czas. Ktoś zarzuca mu na ramiona niebieski płaszcz bokserski.

Börje podskakuje sprężysto, markuje kilka ciosów w powietrzu. Daje upust buzującej w nim energii. Lód w umyśle, ogień w sercu. Nie odwrotnie.

José Luis Pérez, który pokonał go w Catskill Mountains, miał zgodnie z planem walczyć z pewnym Brazylijczykiem. Paris dowiedział się przypadkiem, że Brazylijczyk oczekuje swojego pierwszego dziecka akurat w tym terminie, w którym miał się odbyć mecz w Niemczech. Nie chciał jechać tak daleko. Paris doszedł z nim i jego menadżerem do porozumienia finansowego. Potem zaś pociągnął za odpowiednie sznurki i na tydzień przed meczem nadeszła wiadomość z Brazylii, że pięściarz w czasie treningu nabawił się poważnej kontuzji mięśnia łydki i musi zrezygnować z udziału w walce. Mecz nie trzeba było jednak odwoływać. Z tej części umowy, którą napisano najmniejszą czcionką, wynikało bowiem, że w razie choroby lub śmierci pięściarza albo kogoś z jego najbliższej rodziny organizator ma prawo zastąpić boksera podejmującego wyzwanie innym zawodnikiem. Trzy dni przed meczem ogłoszono, że zastępcą Brazylijczyka będzie Börje Ström.

Po drugiej stronie Atlantyku Big Ben O'Shaughnessy kipiał ze złości. Garnitury pracowały w pocie czoła, ale kontrakt przewidywał wysokie grzywny za zerwanie umowy, a niemiecki promotor był nieprzejednany. Big Ben dał za wygraną.

Prasa rzuciła się na tę historię. Pisano, że Szwed z pewnością pała żądzą odwetu, ale oczywiście nie ma szans. Börje nie zajrzał do żadnej gazety. Bilety na mecz wyprzedano do ostatniego miejsca.

Nancy postawiła na niego połowę swoich oszczędności. Zapytał ją wtedy, czy oszalała. „Przecież jedziesz tam, żeby wygrać, nie?”, powiedziała. Kiedy wspomniał o tym Parisowi, trener był tego samego zdania: chodzi o zwycięstwo.

Teraz Börje idzie po schodkach prowadzących do ringu. Krok w krok za nim Paris. Umysł pięściarza jest w tej chwili otwarty jedynie na głos trenera.

– Wchodzisz i robisz swoje, chłopcze – mówi Paris. – Jesteś gotów.

Niepokój znika jak ręką odjął. Teraz wojna.

Börje odprawia swój rytuał. Przywiera plecami do lin po wszystkich czterech stronach i podnosi pięść. Oto ja. Udaje się do swojego narożnika, siada na stołku. Niektórzy bokserzy opierają ramiona o liny, ale Paris twierdzi, że to hamuje dopływ krwi, i dlatego ręce Börjego spoczywają na kolanach.

Potem na ring wkracza José Luis Pérez. Celebryzuje powitanie. Idzie do narożnika.

Börje obejmuje trenera. Sędzia wzywa bokserów do wyjścia na środek. Wszyscy inni opuszczają ring. Wyjeżdżają też stołki. Reflektory u sufitu niczym słońce w zenicie. Publiczność, jeszcze spokojna, niczym ocienione zbocza gór po każdej stronie.

– *Touch gloves* – nakazuje sędzia i ręce Börjego dotykają lekko rękawic Péreza.

Potem odzywa się gong.

Meksykanin rozpoczyna spokojniej, niż można się było spodziewać. Prawdopodobnie nasłuchał się od wszystkich wokół, że Szweuda pokona bez problemu, że ten przecież w ogóle nie walczył od przegranej w Catskills. Ale Pérez wie, że to nie gadacze spotykają przeciwnika w ringu. To czyni tylko i wyłącznie on. I teraz chce się dowiedzieć, jakiego ma się spodziewać oporu.

W pierwszych dwóch rundach sondują się nawzajem. Dzięki niezliczonym sparingom z leworęcznymi pięściarzami długi lewy Péreza zdaje się Börjemu czymś naturalnym. Blokuje błyskawicznie i wyprowadza kilka częściowo trafnych uderzeń własnym lewym. Odchodzi do narożnika spokojny. Oddech bez zarzutu.

W trzeciej rundzie Pérez wchodzi na ring z takim wzrokiem, jakby zamiast przeciwnika widział dom, który chce zrównać z ziemią. Zakorzenia stopy w podłożu i swoim sławetnym lewym wymierza ciężkie ciosy. Ale Börje nie pozwala mu stać w miejscu. Bierze cios na gardę i odskakuje w bok, tak że przeciwnik musi przesunąć się w lewo nogą zakroczną. Pérez wydaje się zaniepokojony. Jakby ten budynek, który zamierzał staranować, nagle zaczął się na niego walić. Börje raz za razem zmusza go do zmiany pozycji i nie dopuszcza do siebie jego prostych.

W czasie pauzy przed czwartym starciem mężczyźni w przeciwnym rogu zaczynają wykrzykiwać dobre rady. Prawdopodobnie proponują Pérezowi, żeby zaczynał od stopy wykroczonej, w prawo. Ale nikt nie potrafi mu powiedzieć jak.

Mija czwarta i piąta runda. Czasami Meksykaninowi udaje się skoordynować krok i jego długi lewy strzela jak pistolet pneumatyczny, ale nie zdąży wcisnąć kombinacji, ponieważ rywal cudownie kontruje i schodzi z linii ciosów. I chroni swoje łuki brwiowe przed kontuzją. Börje wyprowadza coraz więcej skutecznych ciosów. Zaczyna bić seriami, wykorzystując opuszczoną gardę. Zadaje prosty prawy w korpus i zaraz po nim dwa sierpy na głowę. Pérez nie wie, jak przerwać ten schemat. Raczonej gradem ciosów, musi robić uniki i to go męczy.

W szóstej rundzie twarz Meksykanina zaczyna przypominać jakąś nieokreśloną potrawę w taniej knajpie. Brakuje mu tchu i przetrzymuje Börjega. Sędzia ich rozdziela, ale zajmuje mu to trochę za dużo czasu. Publiczność buczy. Börje wyprowadza krótkie ciosy na korpus.

– Dlaczego nie daje mu ostrzeżenia? – pyta, odpoczywając przed siódmym starciem. – Przekupili go?

– Nie myśl tak, chłopcze – mówi trener, płucząc mu ochraniacz na zęby.

Ale Börje właśnie tak myśli. Big Ben był przecież nieźle wkurzony. Kto wie, co on tam wykombinował? W każdym razie koniec ze szkółką niedzielną, postanawia.

Paris przypomina mu o oddechu, ale myśli pięściarza dostają zadyszki. Doprawdy, nie wszystkie walki są uczciwe. Nierzadko sędziowie przyznają więcej punktów bokserowi, który pochodzi z tego samego kraju co oni. Są też zależni od wpływowych osób w branży. Czasami przyjmują pieniądze. Zdarza się, że lekarz przerywa walkę z powodu śmiesznego rozcięcia brwi tylko po to, by przesądzić o wygranej przeciwnika. Myśl, że macki Big Bena sięgają Europy, jest dla niego nowa. Ale to przecież nie do końca nieprawdopodobne.

W narożniku Péreza trenerowi wypada z rąk butelka z wodą i przerwa zostaje przedłużona o czas potrzebny na wytarcie podłogi. To oczywiście zamierzone działanie, żeby dać pięściarzowi dodatkowe sekundy na odpoczynek. Publiczność znów buczy i gwizdże.

– Nie zostaw głowy w narożniku – mówi Paris, wkładając mu do ust ochraniacz na zęby.

Börje wkracza w siódme starcie z myślą, żeby rozpracować już dość pokiereszowane lewe oko Péreza. Chce go osłabić. Ale po wydłużonej przerwie Meksykanin zdaje się mieć więcej energii. Po piętnastu sekundach od gongu Börje wyprowadza prawy prosty, nie trafia i robi krok do tyłu. Pérez idzie za nim jak partner w tańcu, kontruje od góry szybki prosty Börjega, odsuwa jego pięść lewym i błyskawicznym prawym sierpowym strzela w niechronioną głowę. Ciało Börjega przechyla się w bok i w drodze na deski dostaje jeszcze dokładkę w postaci mordczego lewego sierpowego.

Chwilę później Börje mruży oczy, patrząc na oświetlenie u sufitu. Ale widzi podchodzącego z boku sędziego, który musi pochylić się nad leżącym, ponieważ publiczność wyje jak w Koloseum. Sędzia odlicza, Börje widzi jego palce w powietrzu.

Na dziewięć staje na nogach.

– Walczysz dalej? – pyta sędzia i dostaje odpowiedź twierdzącą.

Kilka metrów dalej Pérez czeka na to, by rzucić się na przeciwnika, jego narożnik wdziera się na całe gardło, żądając kontynuacji. Sędzia podnosi ku nim rękę w odmownym geście.

– Odejdź trzy kroki i zrób trzy kroki z powrotem.

Börje wykonuje jego polecenie i walka toczy się dalej.

Pérez dopada konkurenta niczym tornado, by rozszarpać go na strzępy, Szwed jest w defensywie. I trochę otumaniony. Dwa razy popełnia ten sam błąd, trzyma gardę zbyt blisko twarzy, i kiedy Meksykanin z potężną siłą uderza w jego rękawice, Börje dostaje własnymi pięściami po dziobie. Ale przeżywa i to. Robiąc głębokie uniki, cofając się, nie dopuszcza do siebie tornado. Na głos gongu chroni się w narożniku.

W ósmą rundę wchodzi z głową. Cofa się ku linom, odpiera zalew ciosów, chce Péreza wymęczyć. Potężna bomba Meksykanina nie dosięga celu i Börje widzi na twarzy rywala grymas bólu. Domyślając się, że Pérez uszkodził bark, idzie do ataku. Przeciwnik wchodzi w klincz i przyjmuje kilka krótkich razów na ciało, które osłabiają go jeszcze bardziej. Börje goni go przed sobą i pompuje w niego cudowne serie. Brwi Péreza przypominają dwa łańcuchy górskie w czerwonym świetle zachodzącego słońca.

Kiedy do końca rundy pozostaje trzydzieści sekund, Börje dostrzega, jak środek tamujący krew spływa do oczu rywala, jak ów mruży powieki i – zmęczony – opuszcza gardę. Wyprowa-

dza lewy sierpowy na szczękę Péreza. Jest tak zakorzeniony w deskach, że tylko cudem korzenie nie rozsadzają betonowego fundamentu stadionu. Wyprowadza ciosy spod ziemi. Poprawia wysokim uderzeniem w splot słoneczny i wieńczy decydującym strzałem w brodę. Sparaliżowany po lewej stronie Meksykanin się przewraca – przekręcone ciało odbija się od liny, by w końcu opaść na podłogę.

Pérez nie wstaje. Sędzia nie ociąga się z liczeniem. Börje wygrywa mecz.

Publiczność zrywa się z miejsc i wyje. Sędzia ringowy podnosi rękę zwycięzcy. Paris i cutman zarzucają ramiona na jego spocone ciało. Ale serce Börjego zatrzymuje się do momentu, w którym pokonany znów staje na nogach. Pięściarze się obejmują.

– Dobry mecz – szepcze Pérez do ucha konkurentowi. – Big Ben pozwala mi tylko na mecze, co do których jest pewien, że wygram. Ja chcę walczyć o tytuły. Ale ten... to świetny mecz.

Paris okazuje uznanie Pérezowi, klepiąc go po ramieniu. Owszem, w początkowych rundach próbował klinczować Börjego, ale kto o tym teraz pamięta? I nie dopuścił się prawdziwie nieczystych zagrań, takich jak cios głową albo próba uderzenia w tył głowy.

Sędzia główny wchodzi do szatni, kiedy Börje leży na ławce i poddaje się masażowi. Rozmawia z kilkoma dziennikarzami, wpuszczonymi do najświętszego miejsca.

– Kiedy leżał na deskach, widziałem, że podąża za mną wzrokiem – informuje pismaków, którzy notują gorliwie i błyskają fleszami. – Jedną nogę miał ugiętą. Kiedy ktoś jest zupełnie omdlały, leży z wyprostowanymi nogami. No i potrafił zrobić trzy kroki i zawrócić. Pewnie obezwę za te dodatkowe sekundy. Ale nie chcę dopuścić do walki chłopaka, który przed chwilą leżał, jeśli nie jest fizycznie i psychicznie zdolny się bronić.

– A pan jest z pewnością zadowolony, że sędzia nie przerwał meczu? – zwraca się do zwycięzcy jeden z dziennikarzy.

Börje się śmieje i zapewnia, że wszystko, czego wtedy chciał, to stanąć na nogach i dostać może jeszcze większe lanie.

Sędziowie i żurnaliści patrzą na niego jak na eksponat w muzeum. Potem jeszcze raz gratulują mu wygranej i wychodzą. Ktoś pstryka ostatnie zdjęcia w drzwiach.

Podczas gdy zwycięzca się ubiera, Paris rozmawia z żoną przez telefon. Jej płacz dochodzi aż do ławki, na której Börje wkłada skarpety.

– Co z nią? – pyta trenera, gdy ten odłożył słuchawkę.

– E tam – mruczy Paris. – Po prostu poczuła ulgę. Wziąłem kredyt pod zastaw domu i postawiłem wszystko na ciebie. No, nie patrz tak na mnie. Przecież wygrałeś!

Na drugi dzień rano, przed śniadaniem, Börje robi lekką przebieżkę w Volksparken. Park jest dość rozległy i łatwo się pogubić na krętych ścieżkach między bukami i świerkami. Znajduje się tu też cmentarz, ale nie uświadczysz pałacu ani żadnych innych okazałych budowli dla arystokracji. Park stworzono dla ludu.

Cudownie się tu biega. Zapachy przywodzą na myśl las. Bo w samym mieście powietrze jest podłej jakości. Wewnętrzna część kołnierzyka koszuli i wydzielina z nosa są czarne od sadzy. Kanał roi się od zdechłych szczurów, a z lokalnych zakładów przemysłowych na czele z fabryką farb czuć śmierdzące wyziewy.

Z wolna rozgrzewają się obolałe mięśnie i Börje czuje, jak cały organizm, po miesiącach harówki zwieńczonej wczorajszym meczem, tęskni za odpoczynkiem.

Mija kort, gdzie jakiś tato, w każdym razie tak się Börjemu wydaje, krzyczy na stojącego obok syna. Chłopiec ma mniej więcej jednaście lat, zgięty kark i wzrok wbity w ziemię. Bokser obserwuje scenę z alejki biegnącej wzdłuż placu do gry w tenisa. Ojciec jest czerwony jak burak. Po drugiej stronie siatki znajduje się inny krzyczący tato, ale ów zdaje się być zły na tego o czerwonej twarzy. Obok niego stoi drugi chłopiec, rakieta zwisa mu z ręki niczym ścięta roślina.

Gdzieś tam na korcie leży zapomniana piłka.

Trochę dalej Börje przebiega obok grupki dzieci grających w nogę. W różnym wieku, głównie chłopców. Żadnych dorosłych. Prawie wszyscy rzucają się za piłką jak szalone szczeniaki. Nieliczni ustawiają się strategicznie na boisku. Parskają śmiechem i zdają się mieć w nosie takie rzeczy jak róg i spalony, mecz i walka o piłkę czasami rozgrywają się poza liniami.

Börje się zatrzymuje i – wsparty o rosłe drzewo – rozciąga mięśnie.

Dwa tygodnie temu był nikim. Teraz cały świat wita go z otwartymi ramionami.

Myśli o wczorajszej walce, która ciągle rozsadza mu pierś złotą kulą radości.

A mimo to nie potrafi pozbyć się wrażenia, że to koniec. Czuje, że musi usiąść na ławce i się zastanowić.

Zawsze kochał boks, bardziej niż cokolwiek innego. To uczucie, kiedy walisz w worek treningowy. Kiedy pot spływa po ciele. Kiedy uczysz się nowych rzeczy, powtarzasz je do znużenia i w końcu masz je w małym palcu. To uczucie, kiedy wchodzisz na ring i piłeczki do ping-ponga przestają tłuc się w twojej głowie.

Ale w sporcie jest też tyle gówna. Rządzi pieniądź. Machlojki i przekręty, tyle, że można w nich brodzić.

Przebiega myślą po tych wszystkich nowych, którzy pojawiają się na siłowni. Z głowami pełnymi marzeń o wielkim sukcesie albo tylko o pieniądzach na czynsz i jedzenie. Z większości nic nie wyrośnie. Będą tylko mozolnie robić za worki do bicia. Aż w końcu, gdy nadejdzie czas rozstania z ringiem, pozostanie im zamiatanie ulic. Będą się trząść, jękać i gubić w myślach. Spotkał w swoim życiu wielu byłych bokserów, zarówno tych, którzy kiedyś dobrze rokowali na przyszłość, jak i tych, którzy nie rokowali wcale.

Naprawdę niewielu pięściarzy może zbić fortuny. A i wtedy nierzadko pozostają bezsilni. Nawet z Alim zadzierano, kiedy odmówił udziału w wojnie z Wietnamem. Nagle zamknięto przed nim każdą arenę w USA.

Słońce wędruje coraz wyżej po niebie i przez listowie sączą się jego promienie.

Börje czuje, że nie potrafi dłużej być częścią tego biznesu. Miłość do boksu wygasa. Umarła chyba w nocy, kiedy spał w swym obolałym ciele. Opłakuje ją teraz jak nad grobem. A potem wstaje i niespiesznym truchtem wraca do hotelu. To niemal absurdalne, że nic po nim nie widać. Hotelowi boye stoją przy wejściu w swoich źle dopasowanych uniformach i pozdrawiają go jak zwycięzcę. Dziewczyny w recepcji wykrzykują: *Great match!*

Macha do nich ręką. Chociaż czuje się prawie martwy.

Po prysznicu idzie z Parisem na śniadanie. W restauracji siedzi klasyczna hotelowa mieszanka gości: mężczyźni odziani w garnitury, pary w średnim wieku i kilka rodzin z dziećmi, które pałaszują góry naleśników z dżemem i bitą śmietaną.

Trener wysłuchuje go do końca, nie przerywając.

– Może jeszcze to przemyślisz – proponuje.

– Jasne – odpowiada Börje.

Ale decyzja zapadła głęboko. Jak potwornie ciężka kotwica, której nie sposób wyciągnąć z dna.

Na stole leżą rozpostarte gazety. Börje z uniesioną do góry ręką i wielkie słowa. Wygląda na to, że ludzie zapomnieli o wszystkich szyderstwach i prasowych spekulacjach, jakoby mecz w Catskills był ustawiony.

Börje kupuje bilet lotniczy do Szwecji. Honorarium za mecz przeznacza na kapitał załóżkowy niezbędny do kupna niewielkiej czynszówki w Älvsbyn. Naturalnie zostaje uhonorowany przez lokalny klub bokserki, którego członkowie nie posiadają się z radości. Przy pomocy paru gości w okolicy uczy się gięcia rur i reparacji dachów. Wszystkiego po trochu. I zostaje tam na

dłużej.

Przyjmuje się, że rzeka Torne bierze swój początek w siedemdziesięciokilometrowym jeziorze Torneträsk, ale źródło, które je zasila, bije dalej na południowy zachód, przy Unna Allaks i Sjangeli. Moźni panowie od dawien dawna pragnęli ją ujarzmić. W archiwach zakładów energetycznych ciągle leżą plany oraz szkice i czekają na stosowną okazję. Na razie Torne wije się wolna i dzika.

Börje i Ragnhild podążali leniwym nurtem w kierunku Pauranki. Próg skalny leżał za zakrętem i nie było go widać, ale już przy Talvimaa Ragnhild poleciła partnerowi, by zaciągnął paski kapoka i założył kask. Börje poczuł mrowienie, choć ciągle nie miał pojęcia, czego ma się obawiać.

Wtem minęli zakole i przed nimi ukazał się próg rzeczny. Börje najpierw nie pojmował, co widzi. Na wysokości oczu zobaczył przed sobą wierzchołki świerków.

To jest spadek wody, dotarło do niego po chwili. Boże drogi, jesteśmy w drodze ku przepaści!

Zacisnął ręce na pagaju tak mocno, że pobielaly mu knykcie.

Ragnhild krzyknęła, żeby wiosłował. Muszą płynąć szybciej niż rzeka, w przeciwnym razie nie wstrzelą się w bystrzynę. Manewrując wiosłami sterownymi, starała się nadać pontonowi kurs skośny do osi jego symetrii. Walczyła o to, by trzymać dziób na prawo od środka, jej oczy non stop czytały wodę w poszukiwaniu głównego koryta, którego mieli się trzymać.

Woda jest za wysoka, pomyślał Börje. Za dużo w niej stopniałego w górach śniegu. Czuł narastające wokół rafta porywy fal. Przed sobą miał tylko zbełtaną na biało kipieli. Nie było odwrotu. Nie było szansy na wydobycie się z głównego nurtu, który prowadził w otchłań.

Chwilę później znaleźli się w Niskapauranki, górnej części bystrzyny. A potem spłynęli prosto w jej spienioną paszczę.

– Kontra! – krzyknęła Ragnhild.

Ledwie ją słyszał w huku rwącej wody. Siedział na burcie i wiosłował wstecz, aż mięśnie paliły.

Walczyli, żeby – trzymając się lewej strony – trafić na właściwą linię spływu. Biała woda biczowała ich ze wszystkich stron. Teraz po prawej mieli „japoński walec”. Wirujący odwój, zawdzięczający swą nazwę pewnemu japońskiemu turyście, który właśnie tam uparł się, żeby wstać i fotografować.

„Odwój jest groźny”, wyjaśniła wcześniej Ragnhild. „Musimy go ominąć, wstrzelić się precyzyjnie w wąski przesmyk obok”. Wspomniała też o koledze, który utonął w takim poziomym wirze. Uwięziony w nim, został wciągnięty pod wodę. Nie pomogła mu nawet kamizelka asekuracyjna. Jego ojciec siedział przy bystrzynie dziesięć dni, nim kręcąca się woda w końcu wypłuła ciało na powierzchnię.

Niewiele brakowało. Strach niczym opasująca żebra żelazna obręcz. W ostatniej chwili, kiedy właśnie mijali odwój, Ragnhild wyciągnęła wiosła, żeby to prawe nie złamało się jak gałązka. Trzymali się oboje uchwytów relingu.

Dziób podniósł się mimo obciążenia bagażem, ponton przechylił się niebezpiecznie. Börje oczami wyobraźni zdążył zobaczyć, jak stają w pionie, robią wywrotkę i przywaleni ciężarem, nie mogą się wydostać na powierzchnię.

Odwój bryzgał wodą. Spienione fale zalewały gumową łódź, która była teraz zaledwie skorupką orzecha.

Po chwili mieli walec za sobą. I znów trzeba było chwycić za wiosła. Przekrzykując huk wody, Ragnhild wydała polecenie: „*Päälle vain*, cała naprzód!”. Płynęli skosem i slalomem między ostrymi kamieniami, które w każdej chwili mogły rozerwać gumę na strzępy.

Wszystko trwało mgnienie oka i nagle nurt zwolnił. Bystrzyna zaliczona! Przed nimi rozpościerały się masy spokojnej wody.

Börje obejrzał się za siebie. Wiedział, że bystrze ma dwa kilometry długości. Jak to możliwe? Nie mógł pozbyć się wrażenia, że minęło zaledwie kilka sekund.

Popatrzył na Ragnhild, przemoczoną do suchej nitki władczynię przy sterach. Buchnęli jednocześnie radosnym śmiechem. Pozwolili znosić się łagodnemu nurtowi. Ledwie starczyło im sił na otarcie potu z czoła. Ręce i nogi drżały z wycieńczenia. Ragnhild wskazała domek, w którym miał siedzibę klub wędkarzy spinningowych.

Börjego zadziwiały doznania płynące z ciała. Kiedy serce wraca do niespiesznego rytmu. Kiedy zalewa cię spokój i szczęśliwość. Podobnie jak po meczu.

Nie miał w zwyczaju przemyślać i roztrząsać. Kiedyś oczywiście zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby wrócił do USA. Gdyby nie skończył z boksem.

Te wszystkie warianty życia, które nie były mu dane z powodu jakiegoś wyboru.

Ale teraz jest tutaj z nią. W drodze do jej wyspy.

Ragnhild toczy wzrokiem po brzegu rzeki. Wierzbowe zarośla, srebrnozielone nad wodą. Żółte noski kaczeńców w słońcu. Po północnej stronie rośnie las mieszany, zielone kapoty świerków zamiatają połami mokre podłoże. Sztynne kolumny sosen oraz ich tajemne związki z grzybniami.

Mijają słup znaczący granicę ziem uprawnych. Wkrótce dotrą do Pirtilahti i tam Ragnhild powiosłuje do brzegu. Muszą rozpaścić ognisko i włożyć suche ubrania.

Za dwa dni przybędą na wyspę. Na lato planują reparację dachu. Börje twierdzi, że się na tym zna. Ragnhild odpowiada ze śmiechem, że to się okaże w praniu, ale że z pewnością będzie miała z niego jakiś pożytek.

Śnieżny pomost stopniał, lecz pozostaje możliwością wśród innych.

Bo jeśli będę mogła żyć w ten sposób, myśli, od czasu do czasu wiosłować z całych sił w białej wodzie, patrzeć, jak Villa biega swobodnie po wyspie, pracując fizycznie, podnieść z upadku zagrodę, to chcę jeszcze trochę powalczyć.

Börje wyciąga telefon z podwójnych woreczków plastikowych, do których wcześniej go zapakował. Robi zdjęcia i przesyła je swoim byłym trenerom. Ragnhild zgaduje, że pewnie też córce.

Gdzieś tam Paula żyje swoim życiem. Z mężem i dziećmi, których Ragnhild nigdy nie poznała. Oczami wyobraźni widzi, jak córka robi zakupy, płaci rachunki, podnosi zabawki z podłogi.

Ta utrata jest jak bezdenne czarne mokradło w jej sercu. Nie wie, czy potrafi żyć z taką nigdy-cością. Wie jednak, że w lesie wkrótce zakwitnie korzenna woskownica. A po niej słodkie dzwoneczki zimoziołu niczym cichy szelest w mchu. Dojrzeją czarne jagody, będzie je wkładała do ust prosto z krzewinek.

W każdym razie zrobię to wszystko jeszcze raz, postanawia.

Tęskni za wonią żywicy z nagranych słońcem wiekowych sosen na wyspie. Tych, które młodzianki chwiałały się na wietrze, gdy abdykowała królowa Krystyna. Znów je zobaczy.

Wypierze gałgankowe chodniki, utkane przez *äiti*. Jeśli znajdzie jakieś warte odratowania, z nieprzetartą osnową, to będzie je szorować na pomoście, aż poczuje ból w mięśniach pleców.

Potem rzekę pokryje cienkie szkło pierwszego lodu. Spadnie śnieg. A woda gdzieś w głębi będzie biegła nieustającym nurtem.

Pożyjemy, zobaczymy, myśli Ragnhild. Krok po kroku.

Uśmiecha się do swojego mężczyzny. Z nim na razie też nic pewnego. Ciągle na etapie

zakochania. Bo co stanie się później, gdy sobie spowszednieją, gdy przestanie ich napędzać dopamina, noradrenalina i serotonina? To się okaże.

Teraz on uśmiecha się do niej. Beztroski. Ze słońcem na twarzy.

Ona odwzajemnia uśmiech i pyta:

– Kawa i kanapka?

POSŁOWIE

ŻEGNAJ, REBEKO MARTINSSON! Stworzyłam cię. Tak ja ty potem stworzyłaś mnie. Zapewniłaś utrzymanie mojej rodzinie, przysporzyłaś przyjaciół i znajomości, o których nawet mi się nie śniło, nim zaczęłam o tobie pisać.

Teraz, kiedy nadszedł czas rozstania, ogarnia mnie taki smutek, że nie potrafię się z nim uporać. Dziękuję za wspólnie spędzony czas, Rebece! Dziękuję za twoją niestrudżoność. Za to, że nie poddałaś się, choć dopilnowałam, by nie zawsze szło ci jak z płatka. Twój osli upór był zarówno mocną, jak i słabą stroną. Zawsze podobała mi się twoja nieprzyjazność i dokuczliwość, poczucie obowiązku, podejście do zwierząt i starszych. Imponowała mi twoja umiejętność zadzierzgnięcia głębokich relacji i twoje poczucie, że życie jest całkiem dobre, choć sama czułaś się przez nie dość poturbowana. Życie niesie ze sobą porażki i straty. A mimo to bywa udane.

Zamierzam teraz wymienić z imienia i nazwiska pokaźną grupkę. Pisanie zajęło mi sporo czasu i z pewnością o kimś zapomniałam. Z góry za to przepraszam.

Osoby, którym pragnę podziękować, to: Peter Löwenhielm, Jan Lindberg, Therese Kärrman, Janne Ejeklint, Birgitta Fernlund, Kajsa Östergren, Curt Persson, Peter Johansson, Kjell Fredriksson, Mikael Svonni, Christer Rattis Strandberg, Petra Östergren, moja mama Gunhild Larsson, Ulrika Ljung Faxén, Karin Arrhenius, Karin Larén Hallström, Oskar Söderlund, Per Fredriksson, Leif Fredriksson, Lena Andersson, Fredrik Andersson, Anna-Lena Edlund, Anders Lindberg, Emma Lindberg, Loveina Hofwander Khans, Christiane Hagström, Ahti Aasa, Maria Törmä Lindmark. To z wami rozmawiałam o wybroczynach, zawodzie pielęgniarki, dzierzbach i wierzbach, boksie, zawodzie policjanta, pracownikach seksualnych, motorowerach, broni, górnictwie, żałobie i utracie, miłości i seksie, o tym, jak to jest być rosłą kobietą, o Bogu, lawinach i o wszystkim innym.

Dziękuję moim przyjaciółom z FB. W mojej wirtualnej kawiarence mogę zadać każde pytanie i dostać nie tylko odpowiedź, ale też dostęp do zabawnych wątków.

Błędy są moje. Czasami źle coś zrozumieć, a mój zawód polega przecież na zmyślaniu. Niektóre fakty są jednak prawdziwe, jak ten, że oszustwa w branży budowlanej kosztują szwedzkie społeczeństwo od 83 do 111 miliardów koron rocznie. To daje do myślenia.

Dziękuję Marii Ernestam, która po przeczytaniu manuskryptu na wczesnym etapie dawała mi wartościowe wskazówki (przez pięć godzin bez przerwy!). Dziękuję Ninie Skårpie, która również przeczytała cały tekst i pomogła mi w pisaniu o narciarstwie górskim, książkowym Niilasie Skårpie, służbie zdrowia i wielu innych sprawach.

Dziękuję mojej wydawczyni Evie Bonnier, mojej redaktorce Rachel Åkerstedt i wszystkim innym osobom z Albert Bonniers Förlag. Dziękuję konsultantce do spraw public relations i komunikacji Annie Tillgren. Dziękuję Astri von Arbin Ahlander, Kaisie Palo, Christine Edhäll i wszystkim innym osobom z Ahlander Agency.

Dziękuję Lenie Callne. Wiele lat temu przeprowadziła ze mną wywiad. W studiu radiowym siedział również pięściarz Pasi Haapala. Miał mnóstwo tatuaży. „Gdybyś miała napisać książkę o Pasim”, zapytała Lena Callne, „o czym by traktowała?”.

Dziękuję rodzinie, Tintin, Leo, psiuniom i Oli. Wracam do was, powłóczę nogami.

PRZYPISY

[1] *no sitten* (fiń.) – proszę usiąść [2] *äiti* (fiń.) – matka, *isä* (fiń.) – ojciec [3] *faari* (w j. meänkieli, odmianie j. fińskiego używanym na północy kraju, w szwedzkiej części Doliny Torne) – ojciec, tato [4] W Szwecji motorower można prowadzić od piętnastego roku życia. [5] Postaci ze szwedzkiego programu telewizyjnego dla dzieci, wyświetlanego od 1958 do lat dziewięćdziesiątych. [6] Blocket.se – największa internetowa platforma handlowa w Szwecji. [7] *ffäder* (szw.) – pióro [8] *Kaffeost* (szw.) – dosł. ser kawowy; tradycyjny ser z krowiego młodziwa, wyrabiany na północy Finlandii. W dolinie rzeki Torne, po szwedzkiej stronie, podawany jako deser do kawy lub w postaci małych kawałków, które wkłada się do filiżanki z kawą. [9] *Bragdguldet* (dosł. złoto za wyczyn) – potoczne określenie prestiżowej corocznej nagrody przyznawanej od 1925 roku przez dziennik „Svenska Dagbladet” najlepszemu szwedzkiemu sportowcowi/sportsmence lub zespołowi. [10] Fińskie sanki – rodzaj dwuśladowej hulajnogi na płozach. Zimą powszechny środek lokomocji w północnej Szwecji i Finlandii. [11] W latach 1939–1944 z objętej wojną Finlandii przetransportowano do Szwecji, niebiorącej udziału w drugiej wojnie światowej, ok. siedemdziesięciu tysięcy fińskich dzieci. [12] NOA – skrót od *Polisens nationella operativa avdelningen*, Krajowy Oddział Operacyjny Policji. [13] Snus – popularna w Szwecji używka na bazie tytoniu. [14] Wszystkie cytaty z Pisma Świętego pochodzą z Biblii Tysiąclecia. [15] Moa Martinson (1890–1964) – szwedzka pisarka, autorka powieści o życiu kobiet z proletariatu. [16] Bert Karlsson (ur. 1945) – wszechstronny przedsiębiorca szwedzki, były polityk i założyciel nieistniejącej już populistycznej prawicowej partii Nowa Demokracja. [17] Borówkowy tydzień (szw. *lingonveckan*) – eufemizm określający menstruację. [18] „NSD” – „Norrländska Socialdemokraten” („Norlandzki Socjaldemokrata”), największa lokalna gazeta codzienna w prowincji Norrbotten. [19] *ström* (szw.) – prąd, strumień [20] Luossavaara-Kiirunavaara Aktiebolag – szwedzki koncern państwowy zajmujący się wydobywaniem i przetwórstwem rud żelaza [21] SIN (Säkerhets- och Integritetskyddsnämnden) – Rada ds. Bezpieczeństwa i Ochrony Prywatności, organ administracyjny podlegający Ministerstwu Sprawiedliwości. [22] *hullu* (fiń.) – szalona, stuknięta [23] *stålnacke* (szw.) – dosł. stalowy kark [24] Pierwsze słowa tradycyjnej pieśni z końca XIX wieku z tekstem J.L. Runeberga, piszącego po szwedzku romantycznego poety z Finlandii. Śpiewana co roku podczas obchodów Nocy Walpurgii na powitanie wiosny. [25] *Grahn* – zachowana w nazwach własnych dawna pisownia wyrazu *gran*, który oznacza świerk. [26] Gra słów, *I smoked a Cuban* może znaczyć „wypaliłem kubańskie cygaro” lub „załatwiłem Kubańczyka”. [27] *clay pigeon* (ang.) – dosł. gliniany gołąb, rzutek do trenowania strzałów z broni palnej; przen. osoba, która daje się wykorzystywać, oszukiwać [28] Swish – mobilny system płatności w Szwecji. [29] NFC (Nationellt Forensiskt Centrum) – Krajowe Centrum Kryminalistyczne [30] Esrange Space Center – kosmodrom leżący niedaleko Kiruny

